

David Weber i Steve White

Krucjata

Crusade

Przełożył: Jarosław Kotarski

Wydanie oryginalne: 1992

Wydanie polskie: 2005

TMN

Rozdział I

POWRÓT WYGNAŃCÓW

– I jak smakuje *zeget*? – spytał Khardanish, Dwudziesty Szósty Mały Pazur Chana i trzeci z kolei lord Talphon, gładząc z zadowoleniem imponujące wąsy i przyglądając się zmrużonymi oczyma o pionowych źrenicach gościowi siedzącemu po przeciwnej stronie stołu.

– Dziękuję, sir. Jest całkiem dobrze ugotowany – odparła porucznik Johansen, uśmiechając się tak, by nie pokazać zębów.

Khardanish pokiwał głową z aprobatą – ludzie często zapominali, że dla wywodzących się od drapieźników poddanych chana pokazanie zębów oznaczało wyzwanie. Porucznik Johansen, oficer łącznikowy przydzielona do jego eskadry, starannie przygotowywała się do objęcia tego stanowiska, o czym wiedział, ale nadal ujmowało go, gdy obserwował, jak wykorzystuje zdobytą wiedzę w praktyce. Tym bardziej że cały czas podpuszczał ją delikatnie drobnymi złośliwościami.

– Cieszę się – stwierdził – i przepraszam, że kucharzom tyle czasu zajęło zrozumienie, że naprawdę wolisz to gotowane.

– Żadne przeprosiny nie są potrzebne, sir. Pocieszała mnie myśl, ile wysiłku kosztowałoby przekonanie dowolnego kucharza na okręcie Federacji, że pan naprawdę wolałby zjeść je na surowo.

Khardanish zamruczał basowo, nie chcąc roześmiać się na cały głos. Naprawdę poznali się i rozumieli z porucznik Johansen zadziwiająco dobrze, co było tym dziwniejsze, że żadne z nich nie mogło posługiwać się językiem drugiego w związku z odmienną budową krtani i strun głosowych. Podejrzał, że przydział do sił patrolujących Lorelei dostał właśnie z powodu niezłego rozumienia standardowego angielskiego. Co prawda mówiło się o nowych programach tłumaczeniowych, ale nic konkretnego, a obecnie istniejące były nie dość że nieprecyzyjne, to na dodatek potrzebowały zbyt wiele pamięci, by mogły być wykorzystywane przez system komputerowy niszczyciela.

Wieść o tym przydziale nie wprawiła go w zachwyt, choć oznaczał on dowodzenie eskadrą. 10. Eskadra Niszczycieli składała się jednak obecnie tylko z czterech starych i

wysłużonych jednostek, a system Lorelei nawet przy dużej dozie dobrej woli trudno było uznać za ważny. Był to co prawda jeden z niewielu systemów planetarnych, jakie Chanat zdobył w pierwszej wojnie międzyplanetarnej stoczonej dwa oriońskie wieki temu z Federacją, ale był całkowicie pozbawiony znaczenia i niemożliwy do obrony. Co Federacja udowodniła w drugiej wojnie międzyplanetarnej. Podejrzał zresztą, że tylko z tych powodów pozwolono w końcu Chanatowi go zatrzymać. System nie posiadał nadających się do kolonizacji planet, a z sześciu warpów cztery prowadziły do systemów Federacji, tylko jeden zaś na obszar Chanatu. Ostatni wiódł prosto do śmierci – żadna jednostka Zwiadu Kartograficznego, która weń wleciała, nie powróciła. Dlatego *Znamae* i pozostałe okręty 10. Eskadry stacjonowały tu bardziej z przyczyn propagandowych niż jakichkolwiek innych.

Dopiero później zdał sobie sprawę, że przydział ten był ważny także z innego powodu. W czasie trzeciej wojny międzyplanetarnej, gdy Federacja i Chanat Oriona utworzyły Sojusz przeciwko Protektoratowi Rigeliańskiemu, przydzielanie oficerów łącznikowych na okręty patrolujące pograniczne sektory było oczywiste – chciano uniknąć incydentu. Mało kto zdawał sobie jednak sprawę z korzyści płynących z utrzymania tego zwyczaju po zakończeniu walk. A właśnie dzięki temu obie rasy miały okazję się poznać i w wojownikach należących do każdej z nich rodził się stopniowo szacunek dla drugiej strony.

Sam był zaskoczony tym, jak szczerze polubił porucznik Johansen. Fakt, że była samicą, nie miał z tym nic wspólnego, bo jakoś nigdy nie zdołał uznać żadnego człowieka za atrakcyjnego fizycznie. Ludzie mieli nagie twarze, małe, okrągłe i zbyt nisko umieszczone uszy, a brak wąsów powodował, że trudno było ich traktować poważnie. Samce wprawdzie miały zarost, choć rzadki i krótki, u samic sprawa była gorsza, bo długie włosy jedynie podkreślały całkowitą nagość twarzy. Całe szczęście, że ludzie mieli dziwaczny zwyczaj stałego okrywania ciał ubraniami – przynajmniej nie świecili gołą, pozbawioną futra skórą. To mogłoby okazać się ponad siły nawet opanowanego wojownika.

Samantha Johansen miała natomiast inne zalety, które podziwiał. Była spostrzegawcza, inteligentna, wyczulona na niuanse różniące obie rasy i miała takie jak on złośliwe poczucie humoru. I doskonały przebieg służby – według ludzkiego kalendarza liczyła sobie dopiero dwadzieścia osiem lat (według oriońskiego pięćdziesiąt trzy), a na kurtce jej munduru znajdowała się baretka Federation Military Cross, czyli odpowiednik *Valkhaanair*. A biorąc pod uwagę, że od końca III wojny minęło pięćdziesiąt ziemskich lat, nie było to odznaczenie łatwe do zdobycia. Podejrzał zresztą, że ludzie wybierali kandydatkę na to stanowisko równie starannie jak jego przełożeni.

– Saahmaantha! – miauknął zadowolony. – Czasami jesteś aż za bardzo podobna do mnie.

– Profilaktycznie uznam to za komplement, sir – oceniła Johansen, przegryzając się przez kolejny kawałek *zegeta*.

Prawdę mówiąc, mięso było twarde i łykowate, ale była to potrawa wojowników i dowód

uznania. Z prostego powodu – przypominający niedźwiedzia *zeget* był najgroźniejszym drapieżnikiem na ojczystej planecie Chanatu. Określano go jako „cztery metry czystej furii”. Poczęstowanie jej jego mięsem było wyrazem wielkiej uprzejmości i szacunku ze strony gospodarza.

– To miło z twojej strony. – Khardanish dolał obojgu wina.

Jak na jego gust było zbyt wytrawne, ale Johansen mu je podarowała, toteż nie skrytykował słowem smaku. Oglądał za to z przyjemnością grę światła w rubinowym płynie.

– W takim razie coś ci powiem w rewanżu. Wiesz, jak my nazywamy dwie wojny stoczone z wami?

– Wiem – odparła miękko. – Wojny Wstydu.

– Właśnie. I jest to właściwe określenie nawet teraz, gdy jesteśmy sojusznikami. Mieliśmy dwa razy tyle systemów i dziesięć razy większą populację niż wy. Mieliśmy flotę, a wy kilkanaście lekko uzbrojonych jednostek Zwiadu Kartograficznego. I ponieśliśmy klęskę. Jak wojownik może nie czuć wstydu po przegraniu z o tyle słabszym wrogiem?

Johansen spojrzała mu prosto w oczy i czekała na ciąg dalszy, nie próbując w żaden sposób ukryć, że niezręcznie jej tego słuchać.

– Okazało się, że w tym, co najważniejsze, wcale nie jesteście słabsi – dodał poważnie. – Dla was wojna to kwestia dyscypliny i planowania. Dla nas była to szansa wykazania się odwagą i honorem, ale jako jednostek. Wasz wódz Anderson wciągał nas w pułapki i zasadzki, masakrował ogniem, gdzie się dało, a dla nas była to taktyka tchórza. Tyle że on wygrał, a my przegraliśmy. Mój przodek, pierwszy lord Talphon, walczył w obu wojnach. Był inteligentnym oficerem, protegowanym Varnika'sheerina, a i tak uważał, że prowadzicie wojnę w sposób dobry tylko dla *chofaki*.

Johansen nie zareagowała, choć użyte przez niego określenie oznaczało kogoś, kto tak dalece utracił honor i odwagę, że nie rozumie nawet znaczenia tych słów.

– Wiele razy czytałem jego dziennik i wiem, że w końcu pojął w czym rzecz. Nie walczył w Aklumar, ale jego okręt jako jedyny ocalał z pierwszej bitwy o Ophiuchi Junction, a potem brał udział we wszystkich większych bitwach tej kampanii. Mój przodek w końcu nauczył się tego, co wy wiedzieliście od dawna: że obowiązkiem wojownika jest wygrać, a nie zyskać sławę i honor. Skoro więc jesteś do nas tak podobna, to być może po części dlatego, że my upodobniłiśmy się do was bardziej, niż można by przypuszczać.

– To dobrze czy źle? – spytała.

– Uważam, że dobrze. – Nalał wina do jej pustego kielicha i uniósł swój w ziemskim toaście. – Jesteśmy waszymi dłużnikami. Nauczyliście nas, iż planowanie nie jest tchórzostwem, a cnotą. Jeszcze dziś niektórzy się z tym nie zgadzają; pamiętają tylko wstyd klęski i wołają o was myśleć jako o *chofaki*. Ale mój przodek przejrzał na oczy. Zginął, broniąc Tanamy przed Pierwszą Flotą Protektoratu Rigeliańskiego. Dowodził grupą wydzieloną o mieszanym składzie. Wchodzące w jej skład okręty Federacji walczyły do ostatniego obok

oriońskich. Żaden nie przetrwał i żaden nie uciekł. Nazwiska ich kapitanów zapisano w honorowym miejscu wraz z nazwiskami ojców i matek klanu. Sądzę, że polubiłby cię.

– Twoje uznanie to dla mnie zaszczyt, mistrzu miotu – powiedziała uroczyście Johansen.

– Prawdziwy zaszczyt i honor znajdują się w sercu tego, kto je rozumie, kociaku – odparł równie formalnie Khardanish, po czym zastrzygł uszami. – Chyba zrobiliśmy się zbyt poważni.

– Być może. – Samantha ujęła kielich i rozparła się wygodniej na pufie zastępującym fotel i doskonale dopasowanym wysokością do niskiego stołu. – My i wy poznaliśmy się lepiej, ale zapłaciliśmy za to naprawdę drogo. Historia choćby tego systemu jest najlepszym tego przykładem, sir.

Khardanish kiwnął w milczeniu głową. Sto pięćdziesiąt oriońskich lat temu flota Federacji odcięła w systemie Lorelei jedną trzecią okrętów liniowych Chanatu. Nie ocalał żaden. Czterdzieści lat wcześniej oriońska eskadra zaskoczyła tu całą ziemską flotę kolonizacyjną, gdyż niezauważona przeniknęła przez granicę. Nie przeżył żaden człowiek.

– Być może powód jest prosty: pod jednym względem zawsze byliśmy tacy sami – ocenił, a widząc, jak rozmówczyni pytająco unosi brwi, parsknął i wyjaśnił: – Jesteśmy niewiarygodnie wręcz uparci.

* * *

Superdreadnought *Alois Saint-Just* drgnął, kończąc próby maszynowe, i jego kapitan pokiwał z zadowoleniem głową, przyglądając się wynikom wyświetlającym się na ekranie. Dowodzenie choćby najmniejszą jednostką należącą do Pierwszego Zespołu Wydzielonego było zaszczytem, a co dopiero dowodzenie jego okrętem flagowym...

Przeniósł wzrok na główną holoprojekcję taktyczną. Najbliżej znajdowały się należące do tej samej eskadry co *Saint-Just* superdreadnoughty *Helen Borkman* i *Wu Hsin*, ale cała kula upstrzona była symbolami okrętów oraz radiolatarniami oznaczającymi wylot warpa czy pola minowe i forty go broniące. Wypełniała go duma i niecierpliwość, toteż z trudem zmusił się do spokojnego siedzenia i czekania, aż upłyną ostatnie godziny beczynności.

* * *

– Kapitan proszony na mostek! Powtarzam: kapitan proszony na mostek!

Komputerowe nagranie było spokojne i beznamiętne, ale towarzyszące mu wycie klaksonów alarmu bojowego wyrwałoby każdego z najgłębszego nawet snu. Kapitan Khardanish nie spał, gdy rozbrzmiało, toteż błyskawicznie wyszedł z kabiny, doszczelniając w biegu skafander próżniowy. Wpadł na jakiegoś pechowego technika, który pojawił się na jego drodze, przebiegł po nim, i nie zwalniając kroku dopadł głównego szybu, klnąc cały czas cicho, acz z uczuciem. *Znamae* był doskonałym okrętem, ale część mieszkalną projektował jakiś skretyniały *zarkotga*. Niszczyciele były za małe, by opłacało się instalować na nich

windy, ale kajutę kapitańską umieszczono w końcu kadłuba przeciwnym do tego, na którym znajdował się mostek, co nieodmiennie oznaczało, że w przypadku niespodziewanego alarmu zjawiał się na tymże mostku ostatni. I do tego w nieprzyzwoitym pośpiechu, co wyglądało zgoła niepoważnie i nie wpływało dodatnio na morale załogi.

Wyhamował ostro, widząc prowadzące na mostek drzwi, dzięki czemu gdy przez nie przeszedł, poruszał się statecznie, jak na wojownika przystało, i nawet bardzo nie sapał.

Bez słowa zbliżył się do swego fotela i umieścił hełm na wsporniku. Tak jak się spodziewał, nawet Johansen, która miała prawie równie daleką drogę ze swej kabiny, była już na swoim miejscu.

– Meldować! – warknął zwięźle.

– Wykryto niezidentyfikowane źródła napędu w odległości trzech minut dwudziestu sekund świetlnych w namiarze 0-7-2 na 0-3-3. Przypuszczalny kurs 2-4-9 na 0-0-3, sir – zameldowała obserwator Hinarou, niezwykle dokładnie wymawiając słowa, co było najlepszym dowodem napięcia i braku doświadczenia bojowego.

– Namiar jest na pewno prawidłowy? – upewnił się Khardanish.

– Tak, sir.

Khardanish rzucił szybkie spojrzenie Johansen i Yahaarnowowi, swemu pierwszemu oficerowi. Na twarzach obojga dostrzegł równe własnemu zaskoczenie.

– Oficer astro, obliczyć punkt wejścia jednostek w system na podstawie podanego kursu – polecił.

– Tak jest, sir – potwierdził oficer astronawigacyjny i dodał po chwili: – Jeśli kurs jest prawidłowy, wyszły z warpa numer sześć, sir!

Khardanish kiwnął głową. Ludzie, którzy odkryli warpa numer sześć, nazwali go Łodzią Charona, ponieważ żaden statek, który go użył, nigdy nie powrócił.

– Niezidentyfikowane jednostki znajdują się dwie minuty pięćdziesiąt osiem sekund świetlnych od nas i powinny pojawić się na holoprojeksi taktycznej, sir.

Khardanish spojrział na holoprojeksię – ludzie woleli płaskie ekrany taktyczne, ale jego rasa preferowała trójwymiarowe obrazy z powodu odmiennej budowy oczu. Symbole niezidentyfikowanych jednostek pojawiły się rzeczywiście, a obok nich informacje o prawdopodobnej masie każdej z nich. Większość odpowiadała niszczycielom, ale znajdowały się tam i większe okręty, najpewniej ciężkie krążowniki.

– Przygotować kapsuły kurierskie z pełnym zapisem danych – polecił, a gdy rozkaz został potwierdzony, dodał: – Oficer łącznościowy: standardowe obwołanie Sojuszu!

– Rozumiem, sir!

Przy odległości prawie dwóch i pół minuty świetlnej, czyli trzydziestu minut lotu całą naprzód dla niszczyciela, pięciominutowe oczekiwanie zdawało się wiecznością.

– Otrzymaliśmy odpowiedź, sir, ale nie... – oficer łącznościowy urwał i dodał po sekundzie: – Odpowiedź jest zgodna z zasadami łączności jednostek Federacji z okresu

poprzedzającego Sojusz, sir!

Khardanish spojrział na niego zdumiony – podobnych zasad nie stosowano od kilkuset lat w znanej części galaktyki.

– Można to rozszyfrować? – spytał.

– Naturalnie, sir. Federacja dostarczyła nam wszelkie potrzebne kody. Te pochodzą z okresu Pierwszej Wojny Wstydu. Obrazu nie przesłano, ale głos zaraz będzie, sir.

Z głośników dobiegł szum, który nie wygasł nawet, gdy rozległ się nieco zniekształcony, ale zrozumiały głos:

– Niezidentyfikowane jednostki, tu krążownik ziemski *Kepler*. Proszę natychmiast podać tożsamość!

– *Khheepaaahhlaar?* – powtórzył Khardanish. – Nie rozpoznaję tej nazwy, porucznik Johansen, a pani?

– Ja też nie, sir – odparła Samantha, sprawdzając na ekranie spis okrętów Marynarki Federacji. – Taki okręt nie figuruje na stanie Federation Navy, sir.

– Rozumiem... – Khardanish przygładził wąsy, myśląc intensywnie.

Mogło oczywiście istnieć logiczne wytłumaczenie, jak choćby takie, że w systemie Lorelei znajdował się siódmy, zamknięty warp. Zamkniętego warpa nie sposób było wykryć inaczej, jak używając go od drugiej strony. Któraś z flotylli Zwiadu Kartograficznego Federacji mogła w ten sposób pojawić się właśnie w systemie, a jeśli warp był zlokalizowany w pobliżu Łodzi Charona, pomyłka w obliczeniu wstępnym kursu była uzasadniona. Ale to nie wyjaśniało posługiwania się przez przybyszów archaicznymi kodami i formą „ziemski”. Ani tego, dlaczego Johansen nie miała *Keplera* w spisie – Zwiad Kartograficzny uznawany był za formację paramilitarną i używał uzbrojonych jednostek klasyfikowanych jako okręty, nie statki.

Był tylko jeden sposób, by dowiedzieć się prawdy.

– Oficer łącznościowy: przesłać naszą identyfikację i spytać, czy możemy w jakiś sposób im pomóc.

– Tak jest, sir.

– Sternik, zwolnić do trzydziestu procent mocy – dodał Khardanish.

Dystans między obydwiema eskadrami spadł poniżej dwóch minut świetlnych, a jego okręty nie należały do najszybszych. Jeśli będzie musiał uciekać, wolałby mieć jak największą przewagę odległości. Znów musiał cierpliwie poczekać, aż sygnały pokonają w tę i z powrotem stosowną drogę, nim z głośników dobiegło:

– *Znamae*, jesteście w przestrzeni należącej do Federacji Ziemskiej!

Głos był ostry, a Khardanish warknął cicho – cała sytuacja zaczynała być, łagodnie rzecz określając, dziwaczna.

– Sensory wykryły dwie nowe grupy niezidentyfikowanych jednostek, sir! – zameldowała w tym momencie Hinarou. – Grupa G2 w niamiarze 1-6-4 na 0-3-3, odległość trzy minuty

dwadzieścia sekund świetlnych. Grupa G3 w namiarze 0-2-8 na 0-3-2, odległość trzy minuty dziesięć sekund. Obie lecą kursami przechwytyjącymi w stosunku do naszego, sir!

Słyszając to, Khardanish zmrużył oczy – taki szyk mógł oznaczać tylko jedno: zaplanowany wcześniej atak. Pierwszą grupę musiały poprzedzać jednostki zwiadowcze, które wykryły jego okręty, pozostając poza zasięgiem sensorów. Przeciwnik rozdzielił więc siły i wykonał stosowne manewry, nim pierwsza grupa dała się zauważyć. Wszystko zgodnie z klasycznymi regułami taktyki.

Pozostało tylko pytanie dlaczego. Jeśli załogi tych jednostek rzeczywiście stanowili ludzie, byli sojusznikami. Jeśli była to jakaś nowa, nieznaną rasą, to jakim cudem znali tak dokładnie ludzkie szyfry i metody łączności, nawet tak stare jak te?! To wszystko nie miało sensu, chyba że...

Żadna jednostka nigdy nie wróciła z Łodzi Charona, ale archiwa I wojny zawierały informację, że część ludzkiej floty zaskoczonej w systemie Lorelei uciekła, korzystając z tego warpa, woląc ryzyko ewentualnej śmierci od pewnej szalejącej wokół. Jeśli koloniści zdołali przetrwać i znaleźć nadającą się do życia planetę...

Hipoteza była zgoła fantastyczna, ale jako jedyna tłumaczyłaby wszystko. W końcu od tamtych wydarzeń upłynęło ponad czterdzieści ziemskich lat. Wszystko, co wiedzieli koloniści o sytuacji zewnętrznej, dawno przestało być aktualne. Zupełnie inną kwestią było to, jak ich statki kolonizacyjne zdołały przetrwać coś, co zniszczyło jednostki kartograficzne, czy w jaki sposób zdołali przez ten czas stworzyć populację na tyle liczną, by zbudować i obsadzić wszystkie te okręty. I przede wszystkim dlaczego czekali z powrotem aż tak długo...

Głos Hinarou przerwał mu dalsze rozmyślenia:

– Mamy wstępną klasyfikację składu G2, sir.

Khardanish spojrział na holoprojekcję taktyczną i stężał – co najmniej siedem było okrętami liniowymi, a trzy z nich stanowiły superdreadnoughty.

– Sternik, kurs 0-8-0, cała naprzód! – polecił natychmiast.

– Jest kurs 0-8-0 i cała naprzód, sir – potwierdził sternik, kładąc okręt w tak ciasny skręt, że było to wyczuwalne mimo pokładowej grawitacji.

– Chciała pani coś powiedzieć, porucznik Johansen? – spytał Khardanish.

– Poza tym, że nie mam pojęcia, kim oni są, to nic, sir.

– Czy mogą to być potomkowie kolonistów, którzy przeżyli przelot przez Łódź Charona w dwa tysiące dwieście szóstym?

Johansen wytrzeszczyła oczy, a po sekundzie zmarszczyła czoło.

– Mogą, sir... – przyznała po chwili. – Ale jeśli tak, to gdzie byli przez te wszystkie lata?

– Nie potrafię powiedzieć, ale jeśli mam rację, oni nie mogą wiedzieć o niczym, co nastąpiło potem. Żyją w przekonaniu, że wojna nadal trwa i ciągle jesteśmy wrogami.

– Sir, odbieramy dodatkowe sygnały sensorów – zameldowała Hinarou. – Komputer taktyczny ocenił je jako emisję systemów celowniczych.

– Rozumiem...

Chwilowo ścigający znajdowali się jeszcze poza zasięgiem rakiet, nie mówiąc o działach, ale sytuacja ta powoli ulegała zmianie. Okręty liniowe zbliżały się nader wolno, lecz mniejsze jednostki rozwijały prędkość o dwadzieścia procent większą od jego niszczycieli i proste obliczenie dowodziło, że za nieco ponad dwie godziny będą miały oriońskie okręty w skutecznym zasięgu strzału. A grupa G1 była bliżej i ten zasięg osiągnie za nieco ponad osiemdziesiąt minut. Od najbliższego warpa dzieliło zaś jego eskadrę trzydzieści godzin lotu...

Widząc gest kapitana, Johansen podeszła do jego fotela.

– Są tylko dwie możliwości – powiedział cicho Khardanish, pochylając się nad nią. – Albo to ludzkie okręty, albo nie. Nie zdołamy im uciec, a jeśli zaatakują, zniszczą nas, co może mieć katastrofalne skutki dla całego Sojuszu.

– Rozumiem, sir – potwierdziła, gdy umilkł wyczekująco.

– Być może istnieje jednak sposób, by tego uniknąć. Jak dotąd rozmawiali z nimi tylko członkowie załogi, a jak wiesz, wszyscy są *Zheerlikou'valkhannaiee*. Ty jesteś człowiekiem. Pomów z nimi i przekonaj ich, że Federacja i Chanat nie znajdują się obecnie w stanie wojny.

– Spróbuję, sir.

– Nie próbuj, zrób to! – parsknął cicho i dał jej znak, by odeszła.

Kiedy wróciła na swoje stanowisko, polecił głośno.

– Oficer łącznościowy, przełączyc porucznik Johansen na zewnętrzny kanał.

– Natychmiast, sir.

Oficer łącznościowy wstukał stosowne polecenie na klawiaturze komputera, zastrzygł prawym uchem i zameldował:

– Gotowe, sir.

Samantha Johansen wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić wolno i wyraźnie:

– *Kepler*, tu porucznik Samantha Johansen z Marynarki Federacji Ziemskiej. Jestem oficerem łącznikowym przydzielonym do oriońskiej 10. Eskadry Niszczycieli i znajduję się na mostku *Znamae*. Nie jesteśmy w przestrzeni Federacji, gdyż ten system przypadł Chanatowi Oriona zgodnie z ustaleniami traktatu zawartego na Tycho. Federacja nie jest, powtarzam: nie jest w stanie wojny z Chanatem. Od lat jesteśmy sojusznikami. Powtarzam: Federacja Ziemska i Chanat Oriona są sojusznikami. Proszę o potwierdzenie odbioru.

* * *

Słowa porucznik Johansen dotarły na pokład *Keplera*, wprawiając w szok jego oficera łącznościowego. Niemniej zachował on dość przytomności umysłu, by przesłać je na flagowy superdreadnought *Saint-Just*.

– Co ona wygaduje?! – wykrztusił admirał dowodzący Grupą Wydzieloną 1., wpatrując

się z osłupieniem w swego oficera flagowego.

– Że Federacja i Chanat są sprzymierzeńcami – powtórzył drżącym głosem zapytany.

– Święta Ziemio! – jęknął admirał. – Jest gorzej, niż się obawialiśmy!

Kapitan pokiwał głową, próbując zaakceptować świętokradcze stwierdzenie. Dopiero po dłuższej chwili otrząsnął się i spytał:

– Odpowiadamy, sir?

– Moment. – Admirał zamyślił się głęboko, wbijając wzrok w pokład.

Gdy ponownie spojrzął na kapitana, jego oczy były spokojne i lodowate.

– Proszę polecić oficerowi łącznikowemu *Keplera* odpowiedzieć, kładąc nacisk na fakt, że przez tyle lat nie mieliśmy kontaktu z nikim. Ma przekazać tej porucznik Johansen – wypowiedział nazwisko niczym obelgę – że musimy rozważyć i sprawdzić jej informacje. Ma uprzejmie poprosić, by oriońskie okręty zatrzymały się i pozwoliły zbliżyć się okrętom osłony.

– Aye, aye, sir – potwierdził kapitan, nie kryjąc dezaprobaty.

– Jeśli niewierni się zgodzą, pozostałe nasze jednostki nie będą się do nich zbliżać – dodał admirał z błyskiem rozbawienia w oczach. – Poczekamy, aż okręty osłony znajdą się wystarczająco blisko, a potem...

* * *

Kiedy nadeszła odpowiedź, wszyscy obecni na mostku *Znamae* odruchowo spojrzeli na kapitana, choć zdecydowana większość zrobiła to ukradkiem.

– Co ty na to, Saaahmaanthho? – spytał cicho Khardanish.

– Nie podoba mi się to, sir. Coś mi tu śmierdzi, tylko nie wiem co... Z drugiej strony, jak pan powiedział, są od nas szybsi, więc...

– Podzielam podejrzenia porucznik Johansen, sir – dodał pierwszy oficer. – Jeśli zbliżą się do nas na tak małą odległość, będą mogli użyć nie tylko rakiet, sir.

– Wiem, Yahaarnow – przyznał ciężko Khardanish – ale wybór mamy niewielki, a przymierze służy dobrze tak Federacji, jak i Chanatowi. Jeśli zginiemy, by przetrwało, spełnimy tylko nasz obowiązek.

Pierwszy oficer zastrzygł uszami na znak zgody.

Khardanish zaś spojrzął na Johansen i polecił:

– Powiedz im, że się zgadzamy. A ty, Yahaarnow, przekaż na pozostałe okręty, że utrzymujemy alarm bojowy, ale nie mają aktywnie namierzać celów. Namiary rakiet aktualizować tylko w oparciu o odczyty pasywnych sensorów.

* * *

10. Eskadra Niszczycieli pozostawała z włączonymi napędami we względnym w stosunku do słońca systemu bezruchu, podobnie jak główne siły „ziemskiej” floty. Poruszała

się jedynie część jednostek grupy G1. Reszta grzecznie czekała poza zasięgiem skutecznego ostrzału raketowego i Khardanishowi pozostało jedynie mieć nadzieję, że jest to dobry znak. Mimo wszystko czuł rosnący niepokój, a odmowa dalszych rozmów aż do momentu spotkania ze strony niewidocznego przeciwnika jeszcze go powiększyła.

Obserwował zbliżający się symbol *Keplera*, oddalonego aktualnie o osiem sekund świetlnych i nadlatującego z prędkością równą dwóm procentom szybkości światła. Towarzyszyły mu dwa lekkie krążowniki i trzy niszczyciele. Pozostałe sześć niszczycieli zatrzymało się w odległości dziesięciu sekund świetlnych, czyli tak jak zostało to uzgodnione.

– Odległość sześć sekund świetlnych, sir – zameldowała Hinarou.

– Porucznik Johansen, niech im pani powie, żeby się bardziej nie zbliżali, dopóki nie nawiążemy łączności wizualnej – polecił Khardanish.

– Aye, aye, sir – potwierdziła odruchowo Johansen. – *Kepler*, tu porucznik Johansen. Dowódca 10. Eskadry chce, żebyście najpierw nawiązali kontakt wizualny, a dopiero potem...

– Odpalili rakietę! – przerwał jej okrzyk Yahaarnowa.

– Ognia! – rozkazał Khardanish, waląc pięścią w poręcz fotela. – Cel główny: *Kepler*!

Wszystkie niszczyciele równocześnie odpaliły rakietę, ale w porównaniu z lecącą ku nim salwą był to bardziej gest symboliczny niż realna odpowiedź mogąca zaważyć na losach bitwy. Okręty przeciwnika zwiększyły prędkość.

– Wykonać Alfa Dwa! – rozkazał Khardanish i jego okręty także pomknęły do przodu, wykonując zarazem gwałtowne uniki.

Kilka sekund później pierwsze rakietę detonowały na osłonach siłowych *Znamae*. Moment później otworzyły ogień fazery, których załogi potrzebowały paru sekund na uaktywnienie systemów celowniczych.

– Odpalić kapsuły kurierskie! – polecił spokojnie Khardanish.

Dla wszystkich obecnych na mostku stało się oczywiste, że walczą już tylko o honor.

* * *

– Ten – wskazał kapitan *Keplera*. – Wszystkie rozmowy prowadziliśmy z tym okrętem i ten chcemy zdobyć!

* * *

Kapsuły kurierskie wystrzelone przez okręty 10. Eskadry pomknęły w kierunku radiolatarni oznaczających wejścia do warpów. A za nimi coraz więcej nuklearnych wybuchów wykwitano na osłonach siłowych niszczycieli. Obrona raketowa wszystkich została przeciążona liczbą nadlatujących celów i zdołała zniszczyć jedynie część z nich. Jak długo jednak osłony siłowe wytrzymały, tak długo oriońskie okręty były w stanie walczyć. Pierwsze przestały działać generatory osłon *Keplera*, być może dlatego, że oprócz rakiet były w nie także fazery. Mimo to jednak pierwsza rakietę trafiła w pozbawiony osłon niszczyciel

Tramad.

– Dwa generatory osłon *Keplera* wyłączone z akcji, sir – zameldował Yahaarnow. – Wrogi niszczyciel zdehermetyzowany, traci powietrze, sir. Za...

I zagłuszył go dźwięk alarmu uszkodzeniowego, który rozległ się prawie równocześnie z potężnym szarpnięciem, które targnęło okrętem. Dziobowy generator osłon siłowych został zniszczony, a moment później w dziób trafiło coś zupełnie nowego.

– Dziobowy pancierz i fazer numer trzy nie istnieją. Załoga wyrzutni numer jeden wybita – sypnęła się lawina meldunków.

– Sir, to był promień laserowy! – krzyknęła Hinarou z niedowierzaniem. – I to promień rentgenowski!

Khardanish spojrzał na nią zszokowany i sprawdził odczyt na ekranie taktycznym fotela. Obserwator Hinarou miała rację! Takim uzbrojeniem nie dysponował ani Chanat, ani Federacja. Aby z tej odległości promień lasera rentgenowskiego był wystarczająco silny, żeby można go było zastosować jako broń, potrzeba było olbrzymiej dawki energii wyzwalanej punktowo niczym przy eksplozji. Wymagało to potężnego reaktora i niezwykle masywnych zabezpieczeń. Miejsce na podobne instalacje znalazłoby się wyłącznie w stacjonarnych fortach, ale szybkostrzelność praktyczna broni była tak niewielka, że trafienie w cel manewrujący z prędkością dziesięciu procent c , było mało prawdopodobne, toteż zaniechano ich instalowania nawet w nich. Owszem, okręty były uzbrojone w działa laserowe, lecz były to lasery węglowe – ich promienie złożone z protonów mogły przebić siłową osłonę elektromagnetyczną, ale nie mogły z takiej odległości wyrządzić szkód choćby zbliżonych do tych, które właśnie stały się faktem...

Dalsze rozmyślenia przerwał mu gwałtowny rozbłysk w holoprojeksi, po którym zniknął z niej symbol *Tramada*. A moment później podobny los spotkał *Honarhe*.

– Prawoburtowe generatory osłon zniszczone, sir! – zameldował Yahaarnow.

Lecz ku zaskoczeniu wszystkich w okręt nie trafiły kolejne rakiety, mimo że był na dobrą sprawę bezbronny od strony wroga. Khardanish nie mógł pojąć, dlaczego wróg rozstrzeliwał wszystkie jednostki poza jego własną. Nie zdążył dojść do żadnego sensownego wniosku, gdyż Hinarou zameldowała:

– Wrogie krążowniki odpaliły kolejną salwę, sir! Rakiet jest mało, ale są wielkie, zupełnie jak rakiety liniowe!

Krążowniki z oczywistych powodów posiadały mniejsze i słabsze rakiety niż okręty liniowe, więc Khardanishowi nie mieściło się to w głowie, ale nie wątpił, że Hinarou mówi prawdę. Nie próbował nawet zgadywać, dlaczego przeciwnik tak dziwacznie uzbroił okręty ani dlaczego nie wykorzystał wcześniej rakiet o większym zasięgu i silniejszych głowicach, gdyż rozległ się kolejny meldunek:

– *Sonasha* został zniszczony, sir – głos Yahaarnowa zabrzmiał dziwnie głucho.

Okrętem wstrząsnęło kolejne trafienie, po którym zamigotało oświetlenie. A potem

jeszcze jedno i jeszcze – wrogie działa mogły trafiać punktowo w pozbawiony osłon okręt, niszcząc wybrane cele, i to właśnie czyniły, eliminując kolejno stanowiska ogniowe *Znamae*. Jego załozce pozostało już tylko czekać na ostateczny cios, gdy detonują głowice nadlatujących rakiet.

Nie musieli czekać długo. Kadłubem wstrząsnęła seria eksplozji. Ale zbyt słabych, by...

– To nie rakiety, tylko jednostki szturmowe, sir! – Yahaarnow odwrócił się od bezużytecznego już stanowiska kontroli ogniowej. – Ich załogi wysadziły dziury w naszym kadłubie i dokonują abordażu!

Khardanish omal nie zamarł z opuszczoną szczęką. Abordaż lecącego okrętu był czymś tak ryzykownym, że nikt o szczątkowym choćby zdrowym rozsądku nie próbował go wykonać od niepamiętnych czasów.

– Intruzi na pokładzie ósmym! – rozległ się nagle zdumiony głos w głośniku systemu łączności pokładowej.

Zaraz dołączyły doń inne:

– I na pokładzie siódmym!

– Napastnicy na pokładzie piątym!

Zawył alarm dehermetyzacyjny oznaczający gwałtowny spadek ciśnienia powietrza w całym okręcie i Khardanish w końcu zrozumiał, o co chodzi przeciwnikowi. Wróg chciał dostać całą pokładową bazę danych wraz z mapami astronawigacyjnymi i wszystkim, co zawierał okrętowy bank pamięci.

Okrętem wstrząsnęły kolejne słabe detonacje, gdy grupy abordażowe odpaliły następne ładunki, robiąc sobie wejścia w różnych miejscach kadłuba. Napastnicy używali broni automatycznej i byli w skafandrach próżniowych. Cięższej broni i granatów nie mieli, prawdopodobnie bali się uszkodzić komputery, ale też jej nie potrzebowali. Na niszczycielach jako jednostkach zbyt małych nie było pokładowych kontyngentów Marines, a przydziałowa broń palna w znikomej zresztą liczbie co do sztuki spoczywała zgodnie z przepisami w zbrojowni. Jedyne uzbrojenie osobiste załogi stanowiły obosieczne sztylety honorowe zwane *defargaie*.

Ale załoga co do jednego wywodziła się z rodów wojowników i stanęła do boju, jak na potomków wojowników przystało. Walka nie była równa – przeciwko broni automatycznej mieli tylko stal, kły i pazury – ale nie ginęli sami. Walczyli, czym się dało, a gdy udało im się zdobyć automat zabitego napastnika, jego towarzysze drogo płacili za każdy krok. Tym niemniej desant miał zbyt dużą przewagę i ciągle parł do przodu po spływających krwią korytarzach. A w tym czasie *Kepler* złapał niszczyciel w wiązkę promieni ściągających i przyciągał go do siebie.

Khardanish zdążył zerwać się z fotela, sięgając po sztylet, gdy eksplodował ładunek przymocowany przez napastników do drzwi mostka. Te przestały istnieć, zmieniając się w deszcz odłamków, które zmasakrowały Yahaarnowa i kilku najbliższych członków wachty

dyżurnej, przeobrażając ich ciała w krwawe strzępy. Serie z kilku luf wystrzeliwane na oślepie zabiły kilkoro następnych, jako że pomieszczenie nie było duże, a zaraz potem przez dymiący otwór w ścianie wskoczył na mostek pierwszy napastnik.

Na jego widok Khardanish ryknął wściekle, nagle wszystko rozumiejąc.

Wszystko okazało się jednym wielkim oszustwem – napastnik bowiem nie był człowiekiem. Choć miał dwie ręce i dwie nogi, te pierwsze były zbyt długie, a drugie zbyt krótkie. Cała zaś sylwetka była zbyt krępa i niska, by mogła należeć do przedstawiciela rasy ludzkiej. Skoczył ku niemu, ale Hinarou była szybsza.

Mimo iż znajdowała się bliżej, nie zdążyła; przecięła ją seria pocisków z broni napastnika. Ten odwrócił się w stronę Khardanisha, nim kapitan zdążył wykonać drugi skok, i znów nacisnął spust.

Khardanish trafiony w prawy bok i prawe ramię zwałił się na pokład, wypuszczając broń. Napastnik wycelował w leżącego, by go dobić, ale nim to uczynił, dopadła go porucznik Samantha Johansen z rykiem godnym *zegeta* na ustach i *defargaie* Hinarou w dłoni. Ostrze błysnęło w krótkim łuku zakończonym pchnięciem, w które włożyła całą siłę skoku. Przekręciła je, gdy już tkwiło w ciele, i napastnik osunął się na pokład, wypuszczając automat.

Johansen odsunęła trupa kopniakiem, podniosła broń i padła na pokład prosto w kałużę jego krwi, zajmując klasyczną pozycję strzelecką dokładnie na wprost wysadzonych drzwi. Broń była prosta w obsłudze, toteż w następnym momencie opróżniła cały, nieproporcjonalnie długi magazynek prosto w resztę grupy abordażowej mającej zdobyć mostek.

Gdy skończyła strzelać, zapanowała wręcz dzwoniąca w uszach cisza. Khardanish tym wyraźniej usłyszał, jak wyjęła magazynek, wyciągnęła drugi z ładownicy na ciele zabitego i załadowała. Z obsady mostka pozostali przy życiu tylko oni oboje, a wkrótce zjawią się kolejni napastnicy. A ona nie знаła kodu uaktywniającego ładunki autodestrukcyjne. Tylko on je znał i dlatego musiał dotrzeć do najbliższego nie uszkodzonego pulpitu z klawiaturą komputera.

Na czworakach dotarł do fotela i trzymając się go, wstał. Nie mógł przy tym powstrzymać jęku bólu, ale jego umysł nadal działał sprawnie. Nie zauważył śladów zniszczeń na konsolecie, za to na ekranie przełączonym na wizualny obraz z zewnętrznych kamer dostrzegł coś znacznie gorszego – *Kepler* prawie przyciągnął już do siebie jego okręt.

Z kolejnym jękliwym miauknięciem opadł na fotel i prawie równocześnie Johansen ponownie otworzyła ogień. Z korytarza odpowiedziały jej strzały, ale to ona była bardziej osłonięta przed trafieniem, więc zmusił się, by o tym nie myśleć. Starannie wybrał na klawiaturze kod, a gdy ten został przyjęty, odsunął przezroczystą osłonę i położył dłoń na płaskim czerwonym przycisku.

Ostatni raz spojrzął na Samanthę i zobaczył w jej oczach całkowite zrozumienie.

– A więc razem, siostró! – warknął.
I nacisnął przycisk.

Rozdział II

DECYZJA

Francis Mulrooney, ambasador Federacji Ziemskiej w Chanacie Oriona, wsparł się o futrynę wysokiego okna, obserwując grę promieni słonecznych na błękitnej trawie, zupełnie do ziemskiej niepodobnej. Za trawnikiem rosły drzewa wyglądające niczym opierzone stożki w barwach pomarańczy, żółci i czerwieni, jako że była wiosna. Nad nim przelatowały ledwie widoczne, gdyż posiadające przezroczyste skrzydła, stworzenia będące tutejszymi odpowiednikami ptaków.

Valkha'zeeranda zawsze przypominała mu krainę rodem z baśni, tym bardziej że na pierwszy rzut oka zupełnie nie wyglądała na stolicę rasy wojowników o długoletnich tradycjach we wzajemnym wyrzynaniu się. Często zastanawiał się, dlaczego tę właśnie planetę wybrali na nową stolicę koloniści, którzy opuścili zrujnowaną po wojnach zjednoczeniowych Valkhę. I jak musieli się czuć, wychodząc na powierzchnię bez hermetycznych kombinezonów i liczników mierzących promieniowanie.

Pogładził wyryty na framudze herb Chanatu złożony z tarczy i skrzyżowanych mieczy i spojrzął na wysokie, białe wieże minaretów kompleksu pałacowego. Był jednym z niewielu ludzi, którzy odwiedzili Valkhę. Widział olbrzymie, kamienne, wsparte żelbetem fortyfikacje stanowiące podstawę architektury oriońskiej z okresu poprzedzającego zjednoczenie klanów. New Valkha tak nie wyglądała, choć pałac chana był równie dobrze umocniony i zawierał podobną liczbę stanowisk artyleryjskich wszelkiej maści co centrum obronne normalnej planety wchodzącej w skład Federacji. Wszystko zostało jednak starannie zamaskowane i ukryte, podobnie jak orioński uśmiech skutecznie maskował kły. Pałac i planeta stwarzały wrażenie spokoju, piękna i harmonii. I nic nie wskazywało na to, że tę doskonałość trzyma w uścisku żelazna pięść.

Taka była natura *Zheerlikou'valkhannaieee* – stanowili połączenie klejnotu i żelaznej korony, kwiatu i nagiego ostrza, subtelności i bojowej furii.

Odwrócił się od okna z westchnieniem i powoli przespacerował się tam i z powrotem. Wezwał go do pałacu sam *kholokhanzir*, czyli wielki wezyr; nie po raz pierwszy, ale nigdy nie kazał mu tak długo czekać. Dzięki swym starannie kultywowanym kontaktom w

administracji Mulrooney wiedział, że wydarzyło się coś ważnego i to zupełnie niespodziewanie, ale pojęcia nie miał, co takiego.

Dalsze rozmyślania przerwał mu głośny stuk drewna o kamień. W ostatnim momencie przypomniał sobie, że nie należy szybko się odwracać, bo zostanie to odebrane jako wyraz zniecierpliwienia. Obrócił się więc powoli i zobaczył osobistego herolda wielkiego wezyra trzymającego w dłoni artystycznie rzeźbioną rękojeść wysadzaną klejnotami halabardy. Futro herolda przyprószone było siwizną, ale dzierżył symbol swego urzędu pewnie i poruszał się sprawnie. Skłonił się ceremonialnie na powitanie i dał znak ambasadorowi, by poszedł za nim.

Po czym poprowadził go skąpanym w blasku słońca korytarzem, na który wychodziły liczne balkony o delikatnie rzeźbionych balustradach oplecionych artystycznie dobraną winoroślą.

Korytarz nie był długi, a wiódł do drzwi pilnowanych przez dwóch wartowników. Uzbrojonych w jak najbardziej funkcjonalne i nowoczesne karabiny oraz pistolety pulsacyjne. Herold zapukał, otworzył drzwi i skłonił się ponownie, zapraszając go gestem, by wszedł.

Mulrooney wkroczył energicznie do środka i stanął jak wryty. Spodziewał się ujrzeć *kholokhanzira*, a tymczasem zobaczył kogoś zupełnie innego.

Na zasłanym poduchami podwyższeniu siedział przygięty przez wiek do ziemi wojownik o futrze po części siwym, a po części smolście czarnym oznaczającym najszlachetniejsze możliwe pochodzenie.

Mulrooney przezwyciężył zaskoczenie i podszedł na odległość dokładnie trzech metrów od podwyższenia. Zatrzymał się, przyłożył zaciśniętą w pięść prawą dłoń do piersi i skłonił się najformalniej jak umiał. Po czym wyprostował się i czekał w milczeniu, spoglądając prosto w oczy Liharnowa'hirtalkina, *Khan'a'khanaae*, władcy Chanatu Oriona.

– Witam, ambasadorze – odezwał się Liharnow.

Mulrooney przełknął ślinę. Czuł lekki niepokój. Zazwyczaj niezwykle starannie chroniony chan był sam w komnacie. Ambasador nie wątpił, że obserwują go czujne oczy straży przybocznej i że nim zdążyłby przebyć połowę drogi dzielącej go od chana, zostałby rozniesiony przez igły pulserów, ale pozornie byli sami. Nie słyszał, by podobny zaszczyt spotkał kiedykolwiek członka obcej rasy, więc nie miał pojęcia, jak zwracać się do władcy, gdyż chan nigdy nie przemawiał bezpośrednio do przedstawiciela obcego państwa na oficjalnych spotkaniach z udziałem dworu.

– Witaj, *Hia'khan* – odparł, mając nadzieję, że wybrał stosowną formę.

– Zaprosiłem cię tu, by przedyskutować nader istotną kwestię. – Liharnow, jak wszyscy należący do jego rasy, od razu przeszedł do rzeczy. – Ponieważ najważniejsze jest, byśmy się dobrze zrozumieli, proszę, byś darował sobie dyplomatyczne uprzejmości. Będę mówił szczerze to, co myślę, i chcę, byś postąpił tak samo.

– Naturalnie, *Hia'khan*. – Mulrooney nie miał wyboru: musiał przyjąć każde ustalone

przez gospodarza zasady.

– Dziękuję. – Chan rozsiadł się wygodniej i pogładził imponującej długości wąsy.

Układ jego uszu wskazywał, że traktuje sprawę naprawdę poważnie.

– Dwa tygodnie temu dowiedziona przez lorda Talphona 10. Eskadra Niszczycieli patrolująca system Lorelei została zdradziecko zaatakowana – oznajmił chan.

Mulrooney zeszywniał – jeśli atak został uznany za „zdradziecki”, to reakcja mogła być tylko jedna.

– Napastnicy dostali się do systemu przez warpa numer sześć, który wasz Zwiad Kartograficzny nazwał Łodzią Charona, a atak zakończył się całkowitym sukcesem, gdyż zwabili okręty lorda Talphona w zasięg ognia fałszywą propozycją negocjacji. Sygnatury napędów ich okrętów nie odpowiadają żadnym znajdującym się w banku pamięci naszej floty, ale byli uprzejmi przed rozpoczęciem napaści zidentyfikować się... jako okręty ziemskie.

Mimo całego opanowania Mulrooney jęknął cicho, a chan powoli poruszył uszami, jakby wbrew sobie zadowolony.

– Kapsuły kurierskie zostały wysłane krótko po podjęciu walki i wszystkie nagrania, jakie zawierały, kończyły się Kodem Omega. Wiadomości zostały retransmitowane przez system przekaźników i dotarły do nas pięć dni temu. Przeanalizował je następnie nasz wywiad, który doszedł do wniosku opartego na trzech założeniach. Po pierwsze, napastnicy używali kodów, zwrotów i zasad obowiązujących przed wielu laty w Marynarce Federacji Ziemskiej. Po drugie, jedyna znana nazwa należącego do nich okrętu, brzmiąca *Kepahlar*, to według naszych ksenologów nazwisko sławnego ziemskiego naukowca sprzed wieków. Po trzecie, napastnicy posługiwali się wyłącznie standardowym angielskim. Dlatego też jednomyślny wniosek jest następujący: napastnikami były rzeczywiście okręty Federacji Ziemskiej.

Mulrooney poczuł, jak robi mu się zimno.

– Mnie jednak zastanowiło kilka spraw – dodał spokojnie chan. – Dziwne sygnatury napędu i użycie przestarzałych zasad łączności – to jedno. Brak informacji wywiadu o zmianie dyslokacji sił Marynarki Federacji czy przybyciu dodatkowych okrętów w rejony pograniczne oraz minimalne znaczenie militarne systemu Lorelei – to drugie. A wniosek, do którego doszedł lord Talphon, to trzecie. W efekcie jestem skłonny przyjąć jego hipotezę dotyczącą tożsamości napastników... przynajmniej częściowo. Mówiąc krótko, nie wierzę, by to okręty Federation Navy zaatakowały 10. Eskadrę, ale podejrzewam, że napastnikami byli ludzie.

Mulrooney odetchnął pierwszy raz od długiej chwili.

– *Hia'khan*, nie...

– Jeszcze moment, jeśli można – przerwał mu miękko chan i ambasador zamilkł natychmiast. – Lordowi Talphonowi przyszło na myśl, że mogą to być potomkowie tych, którzy przeżyli atak na flotę kolonizacyjną. Przeprowadziła go w systemie Lorelei nasza 81. Flotylla w dwa tysiące dwieście szóstym, a kilka statków kolonizacyjnych ratowało się

ucieczką, wykorzystując właśnie Łódź Charona. Jeśli jego hipoteza jest słuszna, to ani Marynarka Federacji, ani jej władze nie mogły z oczywistych przyczyn nakazać tego ataku, mimo że został on przeprowadzony przez ludzi. Wyjaśniam to tak dokładnie, ponieważ większość członków Rady Strategicznej oficjalnie odrzuciła tę hipotezę, dodając, że nawet gdyby była prawdziwa, w ich opinii nie uwalnia to Federacji od odpowiedzialności. Rada zaleca, by Chanat Oriona natychmiast przestał respektować traktat valkhański i podjął działania wojenne przeciwko Federacji Ziemskiej.

– Pierwsze słyszę o tych wydarzeniach. – Mulrooney starannie dobierał słowa, mając świadomość, jak wiele od tej rozmowy zależy. – Mój rząd, gdy się o tym dowie, będzie równie zszokowany jak ja w tej chwili i jak wy, gdy dotarła do was ta wiadomość. Proszę jednak o rozagę i o niepodejmowanie zbyt szybkich decyzji, gdyż jeśli Chanat zaatakuje Federację, nie będziemy mieli innego wyboru, niż się bronić. A to oznacza wojnę, której konsekwencje będą straszne dla obu stron.

– Właśnie dlatego zaprosiłem cię tu w tak nietypowy sposób – oznajmił spokojnie Liharnow. – Zdecydowałem bowiem, że nie posłucham zaleceń Rady Strategicznej...

Ambasador odetchnął z ulgą, ale nieco za wcześnie.

– ...natychmiast – dodał chan. – Pierwszy Kieł Lokarnah poparł moją decyzję, ale prawda jest taka, że mamy ograniczone pole manewru. Po pierwsze, możemy zrobić to, co proponuje Rada Strategiczna. Po drugie, możemy ukarać tych ludzi sami zgodnie z wymogami honoru. Pierwsze rozwiązanie oznacza pewną wojnę, drugie prawdopodobną, nie wierzę bowiem, by wasze władze beczynnie obserwowały, jak zabijamy ludzi za to, że zaatakowali okręty floty, co do której byli pewni, że nadal toczy wojnę z Federacją. Istnieje jeszcze trzecia możliwość, ale jeśli się na nią zdecydujemy, wtedy w najniekorzystniejszej pozycji może znaleźć się Federacja. Znasz nasz kodeks honorowy. Krew moich wojowników przelali *shirnowmakaie*, którzy zaproponowali negocjacje pokojowe i nie dotrzymali słowa. Ci, którzy łamią obietnice, muszą zostać ukarani. *Khiinarma* jest nienaruszalną zasadą, dzięki której funkcjonuje każde państwo, i ani nie mogę, ani nie chcę jej zmieniać. Istnieje tylko jeden sposób, w jaki Federacja może zapobiec wyrównaniu przez nas rachunków z krzywoprzysięzcami pozbawionymi honoru.

– Jaki to sposób, *Hia'khan*? – spytał Mulrooney tonem wyraźnie wskazującym, że zna odpowiedź.

– Federacja musi wystąpić jako *khimhok iazheerlikou'valkhannaiee* – powiedział miękko chan.

Mulrooney skinął głową bez słowa. Termin ten nie miał odpowiednika w żadnym z ziemskich języków, a dosłownie oznaczał „niosący prawo wojownikom”. Ujmując rzecz krótko, chan życzył sobie, by Federacja zastąpiła Chanat i podjęła się ukarania uznanych przez tenże Chanat za winnych zbrodni. Funkcja ta była znacznie bardziej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać, i z jej przyjęciem wiązały się rozmaite konsekwencje. Na przykład

Federacja miałaby całkowicie wolną rękę, ale nie mogłaby liczyć na żadną pomoc Chanatu. Od momentu, w którym przyjęłyby rolę *khimhok*, Chanat przestałby uznawać traktat sojuszniczy – aż do zakończenia całej sprawy. Stałby na pozycji obserwatora. Co gorsza nie wiadomo było, czy uznałby następnie, że rzecz została załatwiona w sposób zadowalający, a takim sposobem bynajmniej nie musiało być wyróżnienie w pień wszystkich odpowiedzialnych za atak, nawet gdyby Federacja się na to zdecydowała. Jeśli władze Chanatu nie czułyby się usatysfakcjonowane, na Federację automatycznie spadałaby wina, którą w tej chwili chan gotów był obarczać wyłącznie napastników. A to z kolei oznaczałoby wojnę.

– Przekażę twoje słowa mojemu rządowi, ale muszę przyznać, że obawiam się, iż podjęcie decyzji nie przyjdzie nam łatwo. Bo jeśli ci, którzy zabili twoich wojowników, w rzeczy samej są ludźmi, uznanie ich za zbrodniarzy wojennych, którzy muszą zapłacić za przelaną krew, może okazać się naprawdę trudne dla obywateli Federacji.

– Rozumiem, bo nam także sprawiłoby wielką trudność żądanie *vilknarma* od *Zheerlikou'valkhannaiee* zaginionych przed dwustu laty, którzy nie znając obecnej sytuacji, zaatakowałiby wasze okręty – przyznał pośpiesznie chan. – I właśnie dlatego, że dobrze to rozumiem, wolałbym, żeby to ludzie załatwili tę kwestię. Honor wymaga kary za zdradę, ale jeśli ci ludzie byli przekonani, że nadal toczymy wojnę, to słusznie postąpili, przyłączając się do niej, choć użyli tchórzliwego i haniebnego sposobu. Co więcej, całe życie uczyłem swoich rodaków, że wszechświat nie jest miejscem ani dla tych, którzy są zbyt tchórzliwi, by walczyć, ani dla tych, którzy są zbyt głupi, by zorientować się, kiedy nie należy walczyć. Nie było to proste i uprzedzenia w stosunku do innych ras nadal są silne. Nie chcę, by traktat valkhański stał się bezwartościowym świstkiem papieru, a obie nasze rasy wyniszczyły się wzajemnie. Dlatego składam tę propozycję nie tylko jako Liharnow, ale także jako *Khan'a'khanaae*. Nie posiadamy żadnych kolonii między Lorelei a fortyfikacjami granicznymi, toteż jeśli Federacja podejmie się roli *khimhok ia'zheerlikou'valkhannaiee*, Chanat sceduje system Lorelei na jej rzecz i wycofa z niego wszystkie jednostki. Uznamy sprawę za wewnętrzny problem Federacji i zrzekniemy się *vilknarma* oraz przyjmujemy odszkodowanie i *shirnowkashaik*: przyznanie się do winy sprawców. Nie przyjdzie nam to łatwo, gdyż nie uważamy odszkodowania za równoznaczne z zadośćuczynieniem jak wy, ale jeśli ja to zaakceptuję w imieniu wszystkich, złożę w ofierze jedynie własny honor, a pozostali będą związani moją przysięgą. A zrobię tak w imię pokoju.

Mulrooney wciągnął głęboko powietrze, starając się nie okazać zaskoczenia. Propozycja chana była olbrzymim poświęceniem. Pierwszy raz od rozpoczęcia audyencji zaczął mieć cień nadziei na uniknięcie wojny.

– Dziękuję, *Hia'khan* – powiedział szczerze. – I natychmiast przekażę twą wspańiałomyślną propozycję memu rządowi.

– Gdyby chodziło tylko o mnie, tej oferty by nie było – oznajmił rzeczowo Liharnow. – Niczego bardziej nie pragnę, jak zmiażdżyć *chofaki*, którzy zabili moich wojowników. I

gdyby nie byli ludźmi, tak właśnie bym zrobił. Ale to decyzja polityczna i muszę wziąć pod uwagę inne czynniki. Dlatego przysięgam na honor swego klanu i na Valkhę, przybocznego Hiranowa'khanarka, że nie będę wymierzał sprawiedliwości i nie uznaję rządu Federacji Ziemskiej za odpowiedzialny za to, co się stało. Kimkolwiek byliby ci *chofaki* i skądkolwiek by nie pochodzili, deklaruje, że zaakceptuję Federację jako *khimhok* działającego w moim imieniu i w imieniu wszystkich moich poddanych. Powiedziałem.

Po czym dał ambasadorowi znak, by odszedł, co ten natychmiast uczynił, starając się zachowywać jak najciszej.

Rozdział III

FLOTA POKOJOWA

Howard Anderson był w zdecydowanie zgryźliwym nastroju, przekraczając masywne odrzwia prowadzące do sali Zgromadzenia Legislacyjnego. Zdawał sobie sprawę, że zmiany są rzeczą nieuniknioną, ale nie zmieniało to faktu, że nazwanie zwykłej sali posiedzeń, fakt że dużej, Komnatą Światów, irytowało go niepomiarnie. Upatrywał w tym najlepszego przykładu imperialnych zapędów coraz wyraźniej szych wszędzie wokół, jak i odrażającej rewerencji, z jaką go wszyscy ostatnio traktowali. Z trudem powstrzymał chęć kopnięcia liktora prowadzącego go z przesadnym szacunkiem na miejsce. W końcu usiadł z ulgą w fotelu i rozejrzał się po wypełnionej sali, w której słychać było cichy poszum głosów.

– Cześć, Howard.

Uniósł głowę i uśmiechnął się na widok drobnego mężczyzny w admiralskim mundurze stojącego obok fotela.

– Co uczciwy żołnierz robi w tym burdelu, Chien-lu? – spytał uprzejmie.

– Podziwiam konsekwencję, z jaką kreujesz swój wizerunek wrednego złośliwca, ale mógłbyś od czasu do czasu uznać zalety uprzejmości.

– Pieprzysz! Mam sto pięćdziesiąt standardowych lat! Jeśli ja nie mogę być upierdliwym, wrednym sukinsynem, to kto może?

– Biorąc pod uwagę, dla jak wielu ludzi ty jesteś Federacją, mimo wszystko sugerowałbym pewną wstrzemięźliwość – odparł admirał Li Chien-lu złośliwie.

– Wypchaj się! A jeśli powiesz to głośno, to tak cię kopnę w tą kościstą chińską dupę, że doleczysz do mównicy przewodniczącego!

Chien-lu parsknął śmiechem.

– Dobrze, skoro upierasz się grać chama, to graj. Może nawet po tylu latach sprawia ci to przyjemność. Wy, biali, macie dziwne zboczenia.

– A sprawia mi przyjemność, i to cholerną – zgodził się Anderson i postukał laską w sąsiedni fotel. – Siadaj, chcę z tobą pogadać.

Li zawahał się.

– Teraz, admirale – powiedział cicho, ale całkowicie poważnym tonem Anderson.

Li wzruszył ramionami i usiadł.

– Nieuczciwie wykorzystujesz naszą znajomość – ocenił. – Admirał floty to nie chorąży w twoim sztabie.

– Fakt, ale znamy się dłużej, niż chcielibyśmy pamiętać, a teraz muszę wiedzieć, co Sakanami wyobraża sobie, że ma zamiar zrobić.

– Dokładnie to, co powiedział – admirał Li ponownie wzruszył ramionami. – Nie twierdzę, że sam bym tak postąpił, ale nie dał mi żadnych tajnych rozkazów, jeśli o to ci chodzi.

– Dziwne, biorąc pod uwagę to ścierwo Waldecka, ale nie o to mi chodzi. Trochę źle zadałem pytanie; powinienem spytać, co wy obaj sądzicie, że wyprawiacie.

– Howard, dlaczego kiedy ty byłeś prezydentem, radosne posłuszeństwo wobec cywilnych przełożonych floty stanowiło zaletę? – spytał uprzejmie Li.

– Bo kiedy ja byłem prezydentem, bezczelny młokosie, cywilni przełożeni mieli pojęcie o tym, co robią. A ta banda kretynów nie orientuje się ni w ząb w militarnym aspekcie polityki i doskonale o tym wiesz.

– A ty wiesz, że oficer czynnej służby nie może tego głośno powiedzieć. Poza tym jesteś bardziej elokwentny ode mnie. I masz znacznie większy kij do dyspozycji.

Anderson chrząknął i splótł dłonie na lasce. Mimo niefrasobliwej formy, w jakiej rozmowa przebiegała, wiedział, że Li ma rację. Jako komandor Anderson wygrał jedną bitwę stoczoną w I wojnie, a zakończył ją w randze admirała jako szef operacji floty. Na tym stanowisku pozostawał też przez całą II wojnę. W zupełnie dosłownym znaczeniu tego słowa Federation Navy była jego dziełem. To on ją stworzył i nią dowodził, nim zajął się polityką. Gdy wybuchła III wojna, sprawował urząd prezydencki drugą kadencję. Wszystko to powodowało, że nawet teraz, gdy oficjalnie był na emeryturze, cieszył się niezwykłym szacunkiem. To właśnie Li miał na myśli, mówiąc o „posiadaniu większego kija”.

We flocie także istniały kliki i zdarzały się intrygi, ale łańcuch dowodzenia i zakresy odpowiedzialności były od początku sensowne i dokładnie określone. W polityce tak nie było, a od wazeliniarzy i mend aż się w niej roilo. Jako prezydent wiele wysiłku musiał włożyć w pilnowanie, by wszarze w rodzaju Sakanamiego Hideoshiego czy Periclesa Waldecka nie mieli nic do powiedzenia.

Ale nie był już prezydentem i nic nie mógł poradzić na to, że ich głos liczył się tak w rządzie, jak i w Zgromadzeniu Legislacyjnym. Być może niepokoiło go to po części dlatego, że sam umożliwił im zdobycie takiej władzy w Zgromadzeniu, ale przede wszystkim obawiał się tego, co naprawdę chcą osiągnąć, a co – mógł jedynie podejrzewać.

Nigdy nie podobał mu się pomysł wpuszczenia w kosmos korporacji, ale nie było innego wyjścia. Wiek temu Federacja nie podołałaby finansowo kolonizacji i budowie floty bez rujnujących podatków, które dobiłyby ją później. Chanat po prostu był zbyt wielki i nawet większa produktywność ludzkiej gospodarki nie była w stanie tego szybko zrównoważyć.

Trzeba było znaleźć inny sposób i znaleziono go.

Z ekonomicznego punktu widzenia udzielenie korporacjom licencji na finansowanie kolonizacji było dobrym pomysłem dla obu stron. Kolonizacja zaś odbywała się bez zakłóceń. W ten sposób nie dość, że uwolniono olbrzymie środki dotąd przeznaczone na zasiedlanie nowych planet, to zwiększono bez nakładów bazę podatkową. A Marynarka Federacji potrzebowała pieniędzy, by zapewnić istnienie całego państwa. Wiedział o tym doskonale, bo sam robił, co mógł, by wzmocnić jej budżet.

Korporacje jednak odniosły zbyt wielki sukces i Zgromadzenie nie oparło się pokusie, by w zamian za stopniowe ustępstwa polityczne wycisnąć z nich jak najwięcej pieniędzy. Dzięki temu, nim w 2275 roku ostatecznie nie położono kresu temu sposobowi kolonizacji, niektóre z korporacji stały się właścicielami całych planet.

Powstały na nich oligarchie planetarne, które zaczęły się coraz bardziej włączać w międzynarodową politykę, dogadując się nieoficjalnie i zyskując coraz większy wpływ na decyzje polityczne Federacji. Wtedy też pojawiło się określenie „Planety Korporacji”.

Korporacje skoncentrowały uwagę na planetach w strategicznych systemach, co odpowiadało potrzebom floty, gdyż zapewniało populację tam, gdzie lokalizowano bazy floty i umocnienia chroniące węzłowe systemy. Dla władz Planet Korporacji było to jednak drugoplanowe – liczyły się ekonomiczne skutki takiej lokalizacji, a więc kontrola nad szlakami przez warpy stanowiącymi podstawę handlu. Osiągniętą przewagę wykorzystywały do bezwzględnego drenowania mniej szczęśliwie położonych planet.

Andersonowi nie podobała się ta polityka, dobrze wiedział też, jaką niechęć wywoływała na Planetach Pogranicza, najbardziej wyzyskiwanych przez korporacje, ale miał też świadomość, że nim sprawa nabrzmieje na tyle, że stanie się groźna, on od dawna już będzie martwy. Mógł jedynie ostrzegać, tyle że nikt go nie słuchał, skupił więc uwagę na najbardziej palących problemach, głównie zaś na polityce względem Marynarki Federacji.

Ponieważ władze Planet Korporacji nie miały ochoty na tworzenie potencjalnych rywali, powrót do starych zasad kolonizacji był im na rękę, ale nie miały zamiaru za to płacić, toteż stanowczo sprzeciwiały się każdej próbie podniesienia podatków. Żeby znaleźć pieniądze na kolonizację, Partia Liberalno-Postępowa, będąca w gruncie rzeczy ich partią, zabrała się do cięć w wydatkach wojskowych.

W efekcie Marynarka Federacji znalazła się w opłakanym stanie, a Rezerwa wręcz w skandalicznym. Flocie brakowało okrętów, a Rezerwa mająca oficjalnie obejmować 75% liczby jednostek każdej klasy pozostających w aktywnej służbie w Battle Fleet liczyła ledwie 36% okrętów... i mniej niż dziesięć procent tonażu. Na dodatek wchodzące w jej skład zakonserwowane okręty od ponad trzydziestu lat nie były modernizowane. Szczytem swoistej złośliwości losu było, że władze planet, które zostały zasiedlone w wyniku potrzeb militarno-ekonomicznych, teraz robiły, co mogły, by wykończyć siły zbrojne, dzięki którym zaistniały.

Oficjalne uzasadnienie mówiło o pięćdziesięciu standardowych latach pokoju i traktacie

valkhańskim, ale Howard Anderson wiedział, że wersja oficjalna niewiele ma wspólnego z prawdą. Wiedział też, że konflikty wybuchają zwykle niespodziewanie i szybko. A Battle Fleet brakowało 20% okrętów do osiągnięcia stanu przewidzianego na czas pokoju. Gdyby teraz rozpętała się jakaś wojna, straty w początkowym okresie byłyby katastrofalne.

I dlatego właśnie obecna polityka Sakanamiego była czystym idiotyzmem.

Wyprostował się w fotelu i powiedział cicho:

– Chien-lu, nie mogą posłać tak dużej części floty do Lorelei. Przynajmniej dopóki nie wiadomo, z kim naprawdę mamy do czynienia.

Admirał Li westchnął ciężko:

– To przekonaj ich o tym. Do twojej wiadomości, zarówno ja, jak i admirał Brandenburg powiedzieliśmy głośno to samo. Ani minister obrony, ani prezydent nie przyznali nam racji. A co to oznacza, obaj wiemy.

Anderson pokiwał głową z posępną miną.

– Wiem. I masz rację: muszę znowu wziąć się za rogi z tymi gnojkami i mieć nadzieję, że mi się uda. A zmieniając temat – jak tam rodzina?

– Dziękuję, dobrze – uśmiechnął się szczerze Li. – Wiesz, że Hsu-ling wyemigrował.

– Nie wiedziałem, ale pochwalam jego decyzję. W Centrum zrobiło się nie do wytrzymania: wszędzie gryzpiórek na biurokracie i biurwą pogania. Gdybym miał z pięćdziesiąt lat mniej, sam bym się wyniósł gdzieś na Pogranicze. Dokąd zdecydował się wyjechać?

– On i moja czarująca synowa wybrali Hangchow. Powinieneś zobaczyć holonagrania z tej planety! Co prawda zasady karty planetarnej jak na mój gust są nieco zbyt tradycyjne, ale poważnie się zastanawiam, czy nie dołączyć do nich po przejściu na emeryturę.

– Zrób to, a zmusisz mnie, żebym cię tam odwiedził.

– Trzymam cię za słowo! – wyszczerzył się radośnie admirał Li.

* * *

– ...i w ten sposób zgodnie z planem prezydenta wyznaczone jednostki otrzymały rozkaz zebrania się w systemie Redwing – oświadczył Hamid O'Rourke, minister obrony. – Następnie wraz ze specjalnym wysłannikiem Aurellim mają udać się do systemu Lorelei. Na tym chciałbym zakończyć, pani przewodnicząca.

– Dziękuję, panie O'Rourke – powiedziała marszałek Zgromadzenia Legislacyjnego Chantal Duval, której twarz zastąpiła jego oblicze na olbrzymim ekranie ściennym. – Ktoś jeszcze chce zabrać głos w tej sprawie?

Howard Anderson nacisnął klawisz i Duval spojrzała na swój pulpit, na którym zapaliła się kontrolka.

– Przewodnicząca udziela głosu prezydentowi *emeritusowi* Howardowi Andersonowi – oznajmiła dźwięcznym głosem.

Kiedy na ekranie pojawił się Anderson, na sali zapanowała cisza, co nawet po tylu latach sprawiło mu przyjemność. Wstał, opierając się na lasce, i oświadczył:

– Dziękuję, pani przewodnicząca. Będę mówił krótko. Zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie powiedział, jakim niepokojem, jakim głębokim niepokojem napełniają mnie plany rządu.

Cisza stała się absolutna, a na paru twarzach dało się zauważyć zdenerwowanie i obawę. Złośliwe, ale celne ataki Andersona w kwestiach dotyczących floty często były wymierzone w konkretnych delegatów. Anderson miał doskonałe źródła informacji i nie raz publicznie ogłaszał, kto co dostał za poparcie takiego czy innego głupiego jego zdaniem pomysłu.

– Panie i panowie, zgodziliśmy się podjąć roli *khimhok* w tej konfrontacji między osobnikami zwącymi samych siebie Thebanami a Chanatem – dodał Anderson. – Jako że osobiście znam chana Liharnowa, być może lepiej niż większość, rozumiem, jak wielkie uczynił ustępstwo, pozwalając nam na to. I podobnie jak prezydent Sakanami doskonale rozumiem, że musimy podjąć się tego zadania. Ale musimy także postępować nader rozważnie. A okoliczności nakazują daleko posuniętą ostrożność, choć poszlaki bowiem wskazują, że mamy do czynienia z potomkami kolonistów, którzy przeżyli Masakrę Lorelei, nie jesteśmy tego pewni. Co więcej, nawet jeśli rzeczywiście są tymi, za kogo się podają, ich zachowanie przed i po ataku na 10. Eskadrę Niszczycieli jest w mojej ocenie wysoce podejrzane. Po pierwsze, nie wyjaśnili w zadowalający sposób, dlaczego nie wzięli pod uwagę tego, że porucznik Johansen może mówić prawdę. Z nagrań dostarczonych przez kapsuły kurierskie, które udostępnił nam Chanat, jasno wynika, że nie mieli najmniejszego zamiaru doprowadzić do spotkania, które mogłoby potwierdzić lub podważyć to, co usłyszeli. Ich jedynym celem było dotarcie w zasięg skutecznego ognia i zniszczenie wszystkich oriońskich okrętów. Po drugie, od chwili pierwszej próby nawiązania przez nas kontaktu wpuścili do Lorelei tylko kapsuły kurierskie. Nie zgodzili się do dziś dnia na jakikolwiek kontakt fizyczny, a połączenia wizualne pozostawiają więcej niż dużo do życzenia, jeśli chodzi o jakość obrazu. Trudności techniczne, którymi je tłumaczą, są według mnie zupełnie niezasługującym na wiarę kłamstwem. Po trzecie, nadal odmawiają wyjaśnień na temat tego, jak statki kolonizacyjne zdołały przetrwać tranzyt do systemu Thebes, który nie udał się żadnej jednostce Zwiadu Kartograficznego. Po czwarte, nie wyrazili zgody na jakiegokolwiek dalsze rozmowy, dopóki nie udowodnimy, że jesteśmy w stanie ochronić ich przed zemstą Chanatu. Mamy to zrobić, wysyłając do Lorelei siły wystarczające do obrony tego systemu przed poważnym atakiem. Biorąc pod uwagę, że dotąd nie zezwolili nawet jednemu naszemu niszczycielowi na wlot do systemu, jest to, łagodnie rzecz ujmując, podejrzane żądanie.

Zrobił krótką przerwę i rozejrzał się po sali – ledwie na paru twarzach widać było zrozumienie. Reszta po prostu się nudziła, bo wszystko, co powiedział, słyszała już wcześniej.

– Mogę zrozumieć, że odcięci od Federacji przez prawie wiek koloniści są ostrożni. Mogę nawet zrozumieć, że mają objawy zbiorowej paranoi, pamiętając o okolicznościach, w jakich

ich przodkowie tę kolonię zakładali. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego tak ostrożni paranoicy chcą, żebyśmy wysłali praktycznie na ich próg ponad jedną trzecią Battle Fleet. Najsensowniejszym posunięciem byłoby wpuszczenie do systemu Lorelei nie uzbrojonej jednostki kurierskiej w celu dokonania pierwszego kontaktu. Ich propozycja dziwnie przypomina ofertę złożoną lordowi Talphonowi.

Tym razem na twarzach większej liczby słuchaczy pojawiły się żywsze emocje.

– Pomysł, aby jedna planeta rzuciła wyzwanie Chanatowi i nam, jest szalony, ale spotkaliśmy już rasę, która nie kierowała się racjonalnymi przesłankami i logiką taką jak nasza, dlatego ostrożność wydaje się w tych okolicznościach wskazana. Gdyby Marynarka Federacji dysponowała pełną siłą, byłbym mniej zaniepokojony. Ale nie dysponuje, co w połączeniu z ryzykiem natknięcia się na społeczeństwo pozbawione zdrowego rozsądku nakazuje zwiększoną czujność. Nie wolno beztrzesko narażać ponad jednej trzeciej posiadanych okrętów. Choć polityka dyplomatyczna i militarna leżą w gestii rządu, konstytucja daje Zgromadzeniu Legislacyjnemu prawo nadzoru, co zostało potwierdzone w ustawie o władzy wykonawczej z dwa tysiące dwieście osiemdziesiątego trzeciego roku. Dlatego wnioskuję, by Zgromadzenie zaleciło rządowi, aby Flota Pokojowa pozostała w stanie gotowości w systemie Redwing, Thebanie zaś zostali poinformowani, że żaden okręt Marynarki Federacji nie znajdzie się w systemie Lorelei przed pierwszym osobistym spotkaniem obu stron. Jeśli są tymi, za kogo się podają, i szczerze pragną dołączyć do reszty ludzkości, zgodzą się na to. Jeśli nie, będziemy mieli dowód, że nie mówią nam prawdy. A szczytem nieodpowiedzialności byłoby, abyśmy w takich okolicznościach ryzykowali tak znaczną część floty bez możliwości zapewnienia jej wystarczającego wsparcia. Dziękuję.

Usiadł, a na ekranie pojawiła się ponownie Duval.

– Został postawiony wniosek, by zalecić rządowi zatrzymanie wszystkich okrętów w systemie Redwing do czasu, gdy Thebanie nie spotkają się bezpośrednio z negocjatorami Federacji – podsumowała Duval. – Czy ktoś popiera ten wniosek?

– Pani przewodnicząca, ja go popieram – odezwał się natychmiast Andrew Spruance z New Terry, jeden z członków Partii Konserwatywnej i stały sojusznik Andersona.

– Panie i panowie, wniosek został poparty i będzie głosowany. Czy ktoś pragnie wcześniejszej debaty na ten temat?... Udzielam głosu delegatowi planety Christophon.

– Dziękuję, pani przewodnicząca. – Pericles Waldeck, lider Partii Liberalno-Postępowej i zagorzały wróg Andersona uśmiechnął się promiennie z ekranu. – Podobnie jak szanowny prezydent *emeritus* będę mówił krótko. Nikt z obecnych nie może równać się doświadczeniem z prezydentem Andersonem. Tak jako bohater wojenny, jak i polityk zasługuje na szacunek, a jego słowa na rozważenie. W tej kwestii jednakże nie jestem w stanie się z nim zgodzić. Ostrożność zaiste jest godna pochwały, ale dość jej wykazał prezydent Sakanami. Od godnego pożałowania ataku na oriońskie okręty minęły jednak trzy standardowe miesiące. Przez cały ten czas ani jeden thebański okręt nie próbował czy to

opuścić systemu Lorelei, czy to ostrzelać kogoś z naszych kurierów w tymże systemie. Okazali się być może mniej uprzejmi czy skłonni do wyjaśnień, niżbyśmy tego chcieli, ale należy pamiętać o ich historii. Ludzie z cywilizacji, która zaczęła swój byt od masakry i rozpaczliwej ucieczki, musieli zareagować dziwnie, oceniając inną, która tak przykrych doświadczeń nie miała. Co więcej, po prawie wieku standardowym przygotowań do powrotu, pierwszymi okrętami, na jakie natknęli się po wyjściu z warpa, były okręty Chanatu. Tego samego Chanatu, którego flota zmasakrowała ich przodków. Teraz kwestia druga: nie jestem specjalistą w tej materii, ale eksperci zapewnili mnie, że problemy techniczne ze zgraniem urządzeń wizyjnych, o których mówią Thebanie, są możliwe, zwłaszcza jeśli próbuje się zgrać dwie technologie, których poziom dzieli dziewięćdziesiąt jeden standardowych lat. Ich nagła chęć, by jak najbliżej znalazła się silna grupa okrętów wojennych, też jest dla mnie całkowicie zrozumiała. Po tym, co przeszli ich przodkowie, zasada „zobaczyć, by uwierzyć” musiała nieuchronnie stać się jedną z naczelnych umożliwiających przetrwanie. Na koniec rozważmy, jakie siły chce do systemu Lorelei wysłać prezydent Sakanami. Otóż będzie to dwadzieścia jeden okrętów liniowych, piętnaście lotniskowców zarówno lekkich, jak i floty oraz stosowna osłona złożona z lżejszych jednostek. Thebanie bez oporu pozwolili naszym kurierom na zbliżenie się do wejścia do Łodzi Charona i stąd wiemy, że liczebność ich floty w systemie Lorelei nie przekroczyła nigdy siedemdziesięciu jednostek, w tym zaledwie dwunastu okrętów liniowych. Fakt, jak na możliwości jednego systemu planetarnego są to imponujące siły, które zresztą po dołączeniu przez nich do reszty ludzkości poważnie wzmocnią Marynarkę Federacji, której słabość tak często podkreśla prezydent Anderson, ale nie można uznać ich za poważne zagrożenie dla sił, które zamierzamy wysłać do Lorelei. Dlatego też biorąc to wszystko pod uwagę, zmuszony jestem uznać, iż prezydent Anderson wykazuje nadmiar ostrożności. A takie postępowanie może spowodować przekreślenie szansy na osiągnięcie szybkiego i pokojowego rozwiązania. Dlatego też proszę obecnych tu delegatów o głosowanie przeciw wnioskowi prezydenta *emeritusa* Andersona. Dziękuję.

Usiadł, a Anderson z kamienną twarzą przyglądał się, jak wprawiony w ruch przez liberalnych postępców walec nabiera rozpędu. Około dziesięciu delegatów zgodziło się natychmiast z tezami Waldecka, wyrażając się oczywiście z należyтым szacunkiem o Wielkim, Starym Człowieku Federacji. I w każdym zdaniu podkreślając, że jest stary i prawdopodobnie wiek uczynił z niego alarmistę skłonnego do przesadnej ostrożności.

Musiał też przyznać, że część ich argumentów była sensowna. Powierzchniowo sensowna, ale nie dysponował kontrargumentami. Miał tylko zdrowy rozsądek i instynkt wyostrzony przez ponad sto standardowych lat służby wojskowej i politycznej. A to było zbyt mało, by przekonać demokratów i niezależnych delegatów, by przyłączyli się do Partii Konserwatywnej w sprzeciwie wobec polityki silnego prezydenta i jego partii. Tym bardziej że podstawa prawna, na którą powoływał się Anderson, od dawna budziła kontrowersje...

Stąd też wynik głosowania, w którym wniosek odrzucono stosunkiem głosów ponad trzy

do jednego, nie wzbudził jego zaskoczenia.

Rozdział IV

RZEŹ NIEWINIĄTEK

Admirał Li Chien-lu zmarszczył brwi, widząc wchodzącego do jego prywatnej sali odpraw specjalnego wysłannika Victora Aurelliego. Patrycjuszowskie oblicze Aurelliego zdobił jak zwykle pełen wyższości uśmiezek, który powodował automatycznie skok ciśnienia u admirała Li. Zmuszając się, by nie spojrzeć na gościa bykiem, odłożył na stół elektrokartę i powiedział:

– Dziękuję za tak szybkie przybycie, panie Aurelli.

– Odniosłem wrażenie, że raczej się panu spieszy, admirale. – Aurelli wzruszył lekko ramionami.

– Bo tak jest w istocie, panie Aurelli. A powodem jest to! – stuknął palcem w elektrokartę, spoglądając ostro na gościa.

– Sądzę, że chodzi o moje skromne poprawki do pańskich planów bojowych?

– Nie, panie Aurelli. Chodzi mi o pańskie wtrącanie się w standardowe procedury operacji wojskowej, do którego nie miał pan żadnego prawa.

Obaj spojrzeli na siebie przez stół bez cienia życzliwości.

– To misja dyplomatyczna, nie szturm na rebelianckie umocnienia systemowe, admirale – odezwał się w końcu Aurelli. – I nie zamierzam pozwolić ani panu, ani komukolwiek narażać jej wyniku. Kryzys jest zbyt poważny, by można było ryzykować urażenie Theban nieodpowiedzialnymi posunięciami.

– Biorąc pod uwagę dotychczasowe znane nam postępowanie tychże Theban, jakoś nie rozumiem, jak rozsądnie rozplanowany szyk bojowy może zostać uznany za obrazę przez osobników o tak subtelnej naturze. A poza tym, żeby nie było nieporozumień w przyszłości: pan kieruje misją, ale to ja dowodzę wyznaczonymi do tej misji siłami.

– Co jest drugorzędną rolą w stosunku do kierowania całą misją, admirale. Proponuję, by sprawdził pan dokładnie punkt trzeci otrzymanych rozkazów – odparł Aurelli, uśmiechając się z jeszcze większą niż dotąd wyższością.

Widok tego uśmiechu wywołał w łagodnym z natury admirale Li szczerzy żal, że nie znajdują się na którejs z Planet Pogranicza, na których przywrócono obowiązywanie zasad

kodeksu honorowego łącznie z tymi dotyczącymi pojedynków.

– Wiem, że zgodnie z rozkazami mam z panem współpracować, ale rozkazy są wytycznymi dla oficera dowodzącego, a ich praktyczne stosowanie wymaga od niego rozważań i właściwej oceny zastanej sytuacji. Ma ich użyć do właściwego wykonania zleconego zadania, modyfikując w razie konieczności otrzymane rozkazy, jeśli zajdą okoliczności nie przewidziane w czasie wydawania tychże. Takiej inicjatywy oczekuje się po każdym oficerze flagowym, panie Aurelli. A ostatnie żądanie Theban jest w mojej opinii właśnie taką nie przewidzianą okolicznością.

Aurelli westchnął ciężko – wszyscy wojskowi byli tacy sami: niezależnie od wykształcenia, osiągnięć i przebiegu służby całkowicie niezdolni do zobaczenia czegokolwiek wykraczającego poza zasięg rakiet. Oczywiście było, że Thebanie zachowywali się nieracjonalnie, bo jak mieli się zachowywać, mając taką historię. Ale Li nie potrafił tego zrozumieć, podobnie jak nie potrafiłby zaakceptować opinii negocjatora występującego w imieniu Rigelian, głoszącego, że III wojna była po prostu nieporozumieniem.

Nie można było pozwolić wojskowym zepsuć oczywistej i prostej sytuacji dyplomatycznej. I dlatego też był na to przygotowany.

– Admirale Li, może mi pan nie uwierzy, ale rozumiem pański punkt widzenia. Jako dowódca wojskowy ma pan obowiązek przewidywać wszelkie możliwe zagrożenia i starać się im przeciwdziałać. Ale w tym wypadku zmuszony jestem nalegać, by postępował pan dokładnie według instrukcji, które panu dałem.

– Nie! – oznajmił zwięźle Li.

Aurelli uniósł brwi, słysząc tak kategoryczny sprzeciw.

– Thebanie poprosili, żeby całe nasze siły spotkały się z nimi w pobliżu warpa prowadzącego do ich systemu – oznajmił Li takim tonem, jakby tłumaczył coś oczywistego wyjątkowo tępemu dziecku. – Co oznacza, że lotniskowce i krążowniki liniowe dzieliłoby od najbliższego przyjaznego warpa dwadzieścia godzin lotu, a okręty liniowe ponad dwadzieścia cztery. Jeśli nas zaatakują, nie będziemy mogli się wycofać, bo nie zdążymy. Nie wystawię na takie ryzyko ani moich okrętów, ani ludzi.

Li skończył wyjaśnienia i przyglądał się rozmówcy z pogardą. Victor Aurelli był idiotą nie rokującym cienia szansy na reedukację. Należał do durniów, którzy obcinali każdy budżet zbrojeniowy, wychodząc z założenia, że skoro wojsko poradziło sobie jakimś cudem w zeszłym roku, to mając trochę mniej pieniędzy, poradzi sobie i w tym. A teraz na dodatek chciał, by jedna trzecia Marynarki Federacji wleciała sobie radośnie do systemu opanowanego przez istoty, które już udowodniły, jak traktują własne słowo i co potrafią zrobić pod pozorem negocjacji, i spotkała się z nimi w odległości uniemożliwiającej odwrót, gdyby spotkanie okazało się zasadzką.

– Admirale Li, czy wykryto w systemie jakieś dodatkowe okręty thebańskie? – spytał Aurelli, przerywając ciszę.

– Nie, ale system planetarny to naprawdę duża przestrzeń, a oni mieli dość czasu, by rozmieścić, co chcieli, gdzie chcieli. Okręt z wyłączonym napędem może zostać wykryty przez nasze sensory w idealnych warunkach z odległości pięciu minut świetlnych. Tam może znajdować się cała oriońska flota, a my nie będziemy o tym wiedzieli, dopóki nie zbliżą się na odległość mniejszą niż pięć minut świetlnych.

– Ale nie wykryto obecności żadnych dodatkowych okrętów?

– Powiedziałem już, że nie.

– A nawet gdyby takowe się tam znajdowały, nie są zdolne zbliżyć się na odległość umożliwiającą atak bez uprzedniego wykrycia?

– Jeżeli nie dysponują lepszymi od naszych systemami maskowania elektronicznego, to nie.

– Doskonale. W takim razie bezpośrednio zagrożenie mogą stanowić tylko te ich okręty, które możemy wykryć. Czy jest pan w stanie, naturalnie w razie konieczności, pokonać siłami, którymi pan dysponuje, admirale, okręty thebańskie, które już zidentyfikowaliśmy?

– Jeżeli nie dysponują jakimś nieznanym rodzajem uzbrojenia i dużą przewagą zwrotności, to tak. Zakładając naturalnie, że w pobliżu nie ukrywają się dodatkowe jednostki.

Aurelli ponownie ciężko westchnął, zastanawiając się, dlaczego wszyscy wojskowi mają ten sam irytujący zwyczaj używania trybu warunkowego, odpowiadając na proste pytania. I dlatego ciągle posługują się wyświechtaną taktyką, domagając się zwiększenia wydatków na wojsko. Zawsze było tak samo: jeśli Chanat robi to, jeśli pojawi się nowy Protektorat Rigeliański albo jeśli Ophiuchi zrobią tamto.

– Admirale, gdyby chronił pan system Centauris, z którego warp prowadzi prosto do Układu Słonecznego, pozwoliliby pan wrogim siłom na wejście w głąb systemu, zamiast bronić samego wylotu warpa, którym one przybędą? – spytał łagodnie.

– W określonych okolicznościach tak – odparł Li, zaskakując go całkowicie. – Na przykład dysponując siłami wystarczającymi do zwycięstwa w boju spotkaniowym, ale zbyt słabymi do skutecznej obrony wszystkich prowadzących do systemu warpów. Gdyby taka właśnie była sytuacja, nie ryzykowałbym rozdrobnienia sił, bo wtedy każdą grupę wróg mógłby pokonać osobno. Zrobiłbym co tylko możliwe, by wciągnąć go jak najgłębiej w system. Idealną sytuacją byłoby doprowadzenie do walki w takiej odległości od pozostałych warpów, by nie mógł przez nie uciec, nim nie zostanie zaatakowany przez moje przeważające siły. I zniszczony.

– Widzę, że nie da się z panem dojść do porozumienia, admirale – oznajmił zimno Aurelli. – Ma pan zebrać wszystkie okręty, nie tylko krążowniki i krążowniki liniowe, i udać się do wyznaczonego miejsca spotkania z flotą thebańską w pobliżu wlotu w Łódź Charona. I ma się pan powstrzymać od jakichkolwiek potencjalnie prowokacyjnych posunięć.

– Nie zrobię tego, a pan nie ma prawa wydawania mi rozkazów – odparł równie zimno Li.

– A tu akurat się pan myli – Aurelli uśmiechnął się lodowato i wyjął z wewnętrznej

kieszeni marynarki kopertę. – Prezydent Sakanami, widzi pan, przewidział sytuację, w której mogłoby dojść do różnicy zdań między militarnymi a cywilnymi elementami tej misji, i podjął skuteczne środki, by temu zaradzić.

Li wyjął z koperty pojedynczą kartkę papieru, przeczytał, co na niej napisano, i twarz mu stężała. Potem bardzo starannie złożył ją, wsunął do koperty i umieścił w wewnętrznej kieszeni kurtki mundurowej.

* * *

– Myślisz, że tak zrobią? – spytał pierwszy admirał Lantu, spoglądając pytająco na kapelana floty Manaka.

Ten wzruszył wymownie ramionami i pogładził się z namysłem po porastających czoło i szczyt czaszki płytkach kostnych. Ruch ten wywołał refleks światła w klejnocie zdobiącym pierścień wsunięty na wskazujący palec trójpalczastej dłoni.

– Myślę, że tak – powiedział w końcu. – Miałem wątpliwości, gdy Prorok to ogłosił, ale Święta Ziemia zaprawdę działa w sposób trudny do pojęcia. Niewierni zdają się być ogłupieni naszymi słowami.

– Mam nadzieję, że masz rację – mruknął Lantu, odwracając się ku głównemu ekranowi taktycznemu.

Widać było na nim symbole oznaczające okręty pogan zbliżające się z równą prędkością. Na czele leciała eskadra niszczycieli, którą wysłał, by pełniła rolę przewodników i szpiegów. Wszystko jak dotąd przebiegało zgodnie z planem, ale nadal nie mógł uwierzyć, by ktoś mógł być tak głupi.

– Myślę, że mam – odparł Manak z ufnością zrodzoną z wiary. – Przeklęte pomioty Szatana-Chana dały się zwieść, i to łatwo, dlaczego więc niewierni nie mieliby dać się omamić?

Lantu nie odpowiedział. Szatańskie pomioty czy nie, poddani chana okazali odwagę i waleczność, której nikt się nie spodziewał. Już pierwsze meldunki grup abordażowych świadczyły, że atak był całkowitym zaskoczeniem i członkowie załogi niszczyciela nie mieli szans na zorganizowany opór. Mimo to walczyli jak wściekli i zadali desantowi naprawdę poważne straty. Nie wspominając o tym, że obsada mostka jakoś zdołała pokonać pierwszą grupę, która miała go zdobyć, i utrzymać mostek wystarczająco długo, by zdążyć wysadzić swój okręt... a wraz z nim *Keplera*.

Spojrzał na portret Anioła Saint-Justa wiszący na ścianie pomostu flagowego i zamknął ze współczuciem wewnętrzne powieki. Nie wyobrażał sobie, co musi czuć Święty Wysłannik, widząc, jak nisko upadła jego rasa.

* * *

Admirał Li siedział w fotelu admiralskim na pomoście flagowym superdreadnoughta FNS

Everest i robił, co mógł, by ignorować Aurelliego. Nie chciał okazać, jak dalece nim gardzi, bo nie wpłynęłoby to dobrze na morale oficerów i załogi, ale nie miał też najmniejszego zamiaru udawać, że żywi wobec niego jakiegokolwiek pozytywne uczucia.

– Wylot Łodzi Charona w zasięgu sensorów, sir – zameldowała szef sztabu. – Liczba źródeł napędu nie uległa zmianie.

– Dziękuję, Christine. Są jakieś nowe wiadomości od Theban?

– Nie, sir.

Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od ekranu taktycznego, na którym symbole przedstawiające jego okręty poruszały się ze stałą szybkością czterech procent prędkości światła. I próbował nie myśleć, jak daleko od najbliższego przyjaznego warpa się znajduje.

* * *

– Hmm... – admirał Lantu przyjrzał się obrazom przesłanym przez niszczyciele i gestem przywołał kapitana flagowego. – Spójrz na to. Widzisz, jak starannie osłaniają te okręty?

– Widzę, sir. – Kapitan Kurnash potarł nasadę długiego nosa, przyglądając się okrętom znajdującym się w centrum pogańskiej formacji. – To będą pewnie te, które przewożą małe jednostki, sir.

– Wiem. – Lantu zabębnił palcami po poręczu fotela.

Niszczyciele nagrywały wszystko i regularnie przesyłały materiały od momentu pojawienia się pogan w Lorelei. Lantu z dużym zainteresowaniem obejrzał wszystko, co dotyczyło tych małych jednostek – były szybkie i zwrotne, i to w trakcie rutynowych lotów, a nie miał pojęcia, jakie mogą mieć maksymalne osiągi czy zasięg, nie wspominając o uzbrojeniu. Na pewno posiadały rakiety, ale jakie, tego nawet nie próbował zgadnąć, bo oni sami nie dysponowali niczym podobnym, więc nie miał nawet materiału porównawczego.

– Sądzę, że lepiej będzie załatwić je w pierwszej kolejności – zdecydował w końcu. – Możemy to zrobić, Kurnash?

– Możemy, sir. Nie zdołamy co prawda wejść w zasięg dział, ale jeśli naprawdę będą je chronić, powinni pozostawić je poza zasięgiem rakiet. A w tej sytuacji dostaniemy je bez trudu, sir.

– Dzięki Ziemi za Jej łaskawość. Proszę zaktualizować plan ogniowy i wysłać kapsułę z jego nową wersją rezerwie.

– Aye, aye, sir.

* * *

– Zbliżamy się do ustalonego miejsca spotkania, sir – zameldowała komandor Christine Gianelli. – Odległość od thebańskiego okrętu flagowego piętnaście sekund świetlnych. Punkt spotkania osiągniemy za sześć minut. Thebańskie okręty mają wyłączone osłony siłowe, ale odbieramy emisje wielu radarów, lidarów i sensorów szerokopasmowych. Większość

komputer zidentyfikował jako należące do obrony antyrakietowej, ale część pochodzi z systemów celowniczych dział i wyrzutni. Nie wykryto żadnych emisji Erlichtera.

– Dziękuję, Christine. – Li w końcu został zmuszony do zauważenia Aurelliego. – Zbliżamy się do punktu spotkania, panie wysłanniku. Sugerowałbym, aby pan skontaktował się z thebańskimi reprezentantami.

– Dziękuję, admirale. To doskonały pomysł – odparł uprzejmie Aurelli.

Li dał znak oficerowi łącznościowemu.

* * *

– Niewierni nas wywołują, Wasza Świątobliwość.

Kapelan floty Manak spojrzął na asystenta i kiwnął głową.

– Komputer gotów? – spytał.

– Tak, Wasza Świątobliwość.

– W takim razie odpowiemy. – Manak spojrzął na Lantu. – Jesteś gotów, mój synu?

– Jestem.

Manak dostrzegł napięcie w jego oczach i uśmiechnął się. Admirał był jego wychowankiem, więc wiedział, jak jest silny, ale chwile takie jak ta były momentami próby nawet dla najsilniejszych i najbardziej nieugiętych.

– Uspokój się, mój synu – powiedział łagodnie. – I przygotuj kapsułę kurierską. Damy niewiernym ostatnią szansę, by udowodnili, że są godni Świętej Ziemi. Jeśli okażą się niegodni, z Jej łaski znajdą się w twojej mocy. Przygotuj się.

– Jestem gotowy, Wasza Świątobliwość.

* * *

– Witam, panie Aurelli. Nazywam się Mannock.

Głos brzmiał wyraźnie, choć towarzyszący mu obraz pozostawiał wiele do życzenia, a wymowa była bardzo dziwna. Słowa pochodziły ze standardowego angielskiego, ale wymawiano je ze specyficznym świstem na pewnych literach. Nawet przyjemnym, ale niespotykanym. A Mannock wyglądał na całkiem przystojnego, a raczej wyglądałby, gdyby nie ciągle śnieżenie i zakłócenia na ekranie.

– Miło mi pana poznać – odparł. – Choć przyznam, że nie mogę się doczekać, by uścisnąć pańską dłoń.

– Podobnie jak i ja – dobiegło z głośnika.

Może dzięki zakłóceniom, a może dlatego, że nie zwracał uwagi na podobnie trywialne szczegóły, Aurelli nie zauważył, że ruch ust widocznego na ekranie rozmówcy nie pasował do wypowiedzianych słów.

– W takim razie może byśmy zaczęli, panie Mannock.

– Naturalnie. Już rozpoczęliśmy przygotowania do połączenia z waszym okrętem

flagowym. Chciałbym, korzystając z okazji, że wreszcie rozmawiamy spokojnie, zadać panu pytanie.

– Proszę pytać, panie Mannoek.

– Czy zaakceptował pan prawdę wynikającą z nauk Proroka, panie Aurelli?

Aurelli zamrugnął powiekami i zmarszczył brwi.

– Z nauk którego proroka, panie Mannoek? – spytał.

I wszechświat eksplodował mu prosto w twarz.

* * *

– Odpalili rakiety! – krzyknął ktoś.

Kapitan Nadine Wu dowodząca lotniskowcem FNS *Deerhound* spojrzała na główny ekran taktyczny i zobaczyła zbliżające się do jej okrętu rakiety. I to całą chmarę.

– Uderzenie za osiemnaście sekund! – zameldował oficer artyleryjski. – Obrona raketowa, strzelać do wybranych celów!

– Wszystkie myśliwce start! – poleciła kapitan Wu, nie odrywając wzroku od ekranu.

Dyżurne dywizjony miały szansę opuścić pokład przed dotarciem pierwszych rakiet. Ale tylko one.

* * *

– Dobry Boże! – jęknął Victor Aurelli, ale admirał Li nie miał czasu nawet na chwilę satysfakcji.

– Wykonać plan Charley! – polecił.

I wszystkie wyrzutnie podległych mu okrętów plunęły raketami. Ale generatory osłon siłowych i stanowiska dział potrzebowały czasu, by przejść ze stanu pogotowia w stan pełnej sprawności. Niewielkiego czasu liczonego w sekundach, ale i tak zbyt długiego, bo Aurelli zabronił choćby rozgrzania generatorów. I dlatego pierwsze rakiety detonowały, uderzając w niczym nie osłonięty pancierz kadłuba.

– Kapitan Bowman melduje, że utraciliśmy hermetyczność, sir – zameldowała Gianelli. – Sieć taktyczną też szlag trafił. Nie możemy koordynować ognia, sir.

– Rozumiem. Kiedy działa będą gotowe do otwarcia ognia?

– *Cottonmouth* jest pod ostrzałem dział energetycznych, sir! – rozległ się zaskoczony głos oficera operacyjnego.

Li odwrócił się ku niemu, wytrzeszczając oczy. Nie wykryli żadnych emisji Erlichtera, więc nie mogły to być fazery, a pancernik znajdował się zbyt daleko, by mogły być to działa laserowe.

– Pod ostrzałem jakich dział? – warknął.

– Nieznanych, sir. Wyglądają na lasery rentgenowskie...

– Jakie?! – zdumiał się Li i spojrział na wyświetlacz obok ekranu taktycznego fotela.

To, co tam odczytał, było niemożliwe i zmroziło mu krew w żyłach.

– *Cottonmouth* nadał Kod Omega, sir – zameldowała Gianelli. – Lotniskowce są głównym celem ataku; *Deerhound* i *Corgy* zostały zniszczone. *Bogue* także, ale dopiero po starcie prawie wszystkich myśliwców.

– Wielokrotne trafienia wrogiego flagowca, sir – zameldował oficer artyleryjski. – Musi mieć niewiarygodnie gruby pancerz, sir, bo osłon nadal nie zdołali uaktywnić, a mimo tylu trafień jeszcze nie gubi powietrza.

– Mam nowe źródła napędu, sir! – rozległ się głos oficera taktycznego. – Właśnie wylatują z Łodzi Charona!

Komputery pokładowe uaktualniły obraz na ekranie taktycznym i Li przestał mieć choćby cień nadziei. Posiłki musiały czekać tuż przy wlocie warpa, a ci tu odpalili rakiety i równocześnie wystrzelili kapsułę kurierską w warpa. Teraz do bitwy miała przyłączyć się reszta ich floty, o której istnieniu nikt w Federacji nawet nie miał pojęcia. Na jej czele zaś znajdowało się sześć superdreadnoughtów.

A jego siły topniały z każdą sekundą – połowa lotniskowców już została zniszczona, a reszta była poważnie uszkodzona. To one stały się głównym celem wrogich rakiet. Pozostałe okręty dysponowały wreszcie osłonami, ale z większości jednostek liniowych uciekało już powietrze, co świadczyło o poważnych awariach. Część musiała też stracić dostęp do sieci taktycznej, co oznaczało, że będą musiały walczyć indywidualnie przeciwko zsynchronizowanemu ostrzałowi wrogich okrętów. A tych pojawiało się coraz więcej i więcej.

Musiał przyznać, że przeciwnik zaplanował wszystko idealnie. Gdyby okręty Marynarki Federacji znajdowały się choć trochę bliżej warpa, mogłyby zaryzykować przelot przez niego i po rozbiciu zaskoczonych tym manewrem sił blokować wylot. W tych warunkach nie mogły tego zrobić, bo jedynie naraziłyby się na skuteczniejszy ogień tych cholernych dział laserowych, które miały prawie taki sam zasięg jak fazery, a dla których osłony siłowe nie stanowiły żadnej przeszkody.

– Wycofujemy się, Christine – powiedział tak spokojnie, że samego go to zaskoczyło.

– Aye, aye, sir – potwierdziła równie spokojnie, choć doskonale wiedziała, że jest to równoznaczne z przyznaniem się do klęski.

W istocie stanęli w jej obliczu. Gdyby wszystkie myśliwce zdołały wystartować, wynik bitwy mógłby być inny. Ale nie zdołały. Te, które zdążyły, zrobiły, co mogły, ale na niewiele się to przydało, gdyż po wystrzeleniu rakiet ich jedyne uzbrojenie stanowiły działka laserowe. Każdy myśliwiec miał takie jedno, a rakiet nie dało się uzupełnić, gdyż nie było już lotniskowców. Wszystkie maszyny zdołały wystartować tylko z *Elkhounda* i *Constellation*, ale same lotniskowce zostały ciężko uszkodzone przez eksplozje rakiet zaraz potem.

– Admirale! – W głosie Gianelli było tyle niedowierzania, że Li odruchowo odwrócił się ku niej. – *Greyhound* melduje o wdarciu się na pokład grup abordażowych, sir!

* * *

– Flota Taranująca na pozycji, sir. Pierwsi samuraje w drodze!

– Dziękuję. Kapitanie Kurnash, gdzie są nasze osłony?! Jeżeli...

Admirał Lantu umilkł i uśmiechnął się szeroko, widząc, jak na ekranie przedstawiającym schemat okrętu kontrolki generatorów osłon zmieniają barwę z czerwonych na zielone.

Niewierni nie mieli dział laserowych, a te, których używali, choć nieznanego typu i równie dalekonośne, nie przenikały przez osłony. Jak dotąd gruby pancerz stanowiący jedyną barierę chroniącą przed promieniem laserowym dobrze się spisywał, ale bez osłon siłowych nie mogło to trwać wiecznie. A więc pierwsze starcie zakończyło się znacznie lepiej, niż śmiało mieć nadzieję.

– Wycofują się, sir!

– Widzę. Oficer łącznościowy, proszę przekazać na wszystkie okręty: flota rozpoczyna pościg.

– Aye, aye, sir!

* * *

Li Chien-lu zmusił się, by przestać reagować, a zacząć myśleć.

Pierwsza salwa zniszczyła praktycznie wszystkie lotniskowce. Działa laserowe uszkodziły zbyt wiele okrętów liniowych, by całość tworzyła nadal zwartą formację bojową połączoną siecią taktyczną. A to, że przeciwnik znalazł sposób dokonywania abordażu okrętów znajdujących się w ruchu, uczyniło złą sytuację wręcz beznadziejną. Kontyngenty Marines na wszystkich większych jednostkach były już co prawda w zbrojowniach, ale były też zbyt nieliczne, by poradzić sobie z takim desantem, o jakim meldował *Greyhound*, nim nie zamilkł. A bój spotkaniowy z połączonymi siłami wroga oznaczał, że góra po półgodzinie straci wszystkie okręty...

Otworzył oczy i powiedział:

– Komandor Gianelli.

– Tak, sir?

– Proszę przekazać na wszystkie zdolne do lotu okręty osłony, lotniskowce i krążowniki liniowe rozkaz wycofania się całą naprzód do najbliższego warpa. A na wszystkie okręty liniowe rozkaz zmiany kursu: atakujemy szyk wroga.

– Aye, aye, sir.

Odwrócił się do głównego ekranu taktycznego, obserwując wykonywanie rozkazów. Dwa krążowniki liniowe nie opuściły formacji – widoczne obok nich kody oznaczały poważne uszkodzenia, musiały więc też mieć nie w pełni sprawne napędy. Prawdę mówiąc, nie liczył, że wszystkie okręty, którym kazał się wycofać, zdołają uciec, ale w ten sposób ocali choć część z nich...

– Co pan wyprawia?! – ktoś złapał go za ramię.

Li odwrócił się spokojnie i przyjrzał przerażonemu Aurelliemu.

– Kazałem słabszym okrętom uciekać; większości powinno się udać.

– Ale... ale...

– My nie dysponujemy odpowiednią prędkością, by móc to zrobić – wyjaśnił mu Li cierpliwie. – Ale jeśli zdołamy skupić na sobie ogień pogoni wystarczająco długo i zadać jej wystarczająco duże straty, im powinno się udać.

– Ale my zostaniemy zabici!

– Zgadza się, panie Aurelli – potwierdził Li, a gdy na pomoście flagowym zapadła nagła cisza, dodał: – I dlatego naprawdę cieszę się, że jesteś, gnojku, na pokładzie tego okrętu!

Po czym odwrócił się od niego i dodał normalnym głosem:

– Cała naprzód, Christine. Nie pozwólmy im czekać.

Rozdział V

KHIMHOK ZAWSZE WALCZY SAMOTNIE, PANIE PREZYDENCIE

Howard Anderson wyłączył komputer i wstał, przecierając oczy. Potem splótł dłonie na plecach i powoli przespacerował się po gabinecie.

W czasach, gdy służył w Federation Navy, wiadomości między systemami planetarnymi przesyłano wyłącznie za pomocą kapsuł kurierskich, ale stopniowa rozbudowa systemu przekaźników zmieniła ten stan rzeczy. Żaden rodzaj sygnału nie mógł przedostać się przez warpa, a kapsuły mogły, ale z kolei poruszały się wolniej w normalnej przestrzeni niż sygnał radiowy czy promień laserowy. Dlatego też połączono obie metody i przy wyjściu z każdego warpa znajdował się przekaźnik, a przy wejściu doń stacja z zapasem kapsuł. Kapsuła kurierska natychmiast po wyjściu z warpa zaczynała nadawać wiadomość, przekaźniki retransmitowały ją na planetę i stacje wysyłające kapsuły, gdzie wgrywano ją do pamięci następnej kapsuły kurierskiej, którą natychmiast wystrzelowano w warpa. System był drogi w utrzymaniu, toteż posiadały go tylko bogate układy planetarne oraz te, które znajdowały się wzdłuż granicy z Chanatem, gdyż w tym przypadku koszt pokrywała Federacja. Nawet najgłupszy bowiem polityk zdawał sobie sprawę, że szybki przepływ informacji na tym kierunku ma żywotne znaczenie dla wszystkich.

Dzięki temu na Ziemi dowiedziano się o klęsce w Lorelei ponad dziesięć razy szybciej, niż byłoby to możliwe jeszcze kilkadziesiąt standardowych lat wcześniej. Co w sumie niewiele zmieniało...

Poza jednym.

Zniszczonych zostało osiemdziesiąt procent okrętów, które wysłano do Lorelei, w tym także FNS *Everest*. Ale Li przed wysadzeniem swego okrętu zdołał wystrzelić kapsuły kurierskie. Poza Kodem Omega i dokładnym opisem bitwy zawierały też starannie ukrytą i zakodowaną kopię, którą rozkodować mógł tylko Howard Anderson.

I dlatego wiedział o wszystkich powodach, które doprowadziły do klęski.

Natomiast fakt, iż wiadomość od Chien-lu prawie zbiegła się z zaproszeniem do

prezydenta, mógł oznaczać, że Sakanami dowiedział się o istnieniu tej nielegalnej kopii i zamierzał uniemożliwić mu jej wykorzystanie. Jeśli tak właśnie było, to Sakanami Hideoshi miał właśnie odkryć granice władzy prezydenckiej.

* * *

Sekretarz zapukał dyskretnie w rzeźbione drzwi, otworzył je i odsunął się, przepuszczając Andersona i starannie zamykając je za nim. Pomieszczenie było wspaniałe – zaprojektowano je specjalnie tak, by podkreślało władzę prezydenta Federacji Ziemskiej. Na Andersonie nie robiło wrażenia – zbyt długo zasiadał w fotelu prezydenckim.

Przemierzył puszysty, czerwony dywan, podpierając się laską, która coraz bardziej stawała się niezbędną podporą, a coraz mniej symbolem przejścia na emeryturę. Nie było w tym nic dziwnego – dożył pięćdziesiątki, nim kuracja spowalniająca proces starzenia stała się dostępna, toteż gdy zegar biologiczny w końcu dogonił zegar standardowy, skutki pojawiały się znacznie szybciej niż u osób poddanych jej w młodszym wieku. Natomiast umysł pozostał równie sprawny jak dotąd i teraz spokojnie analizował znaczenie każdej z obecnych a oczekujących go osób.

Za masywnym biurkiem siedział Sakanami. Jego twarz była bez wyrazu jak u aktora *kabuki*. W fotelach przy stoliku stojącym obok zasiadali: wiceprezydent Ramon Montoya, minister obrony Hamid O'Rourke i Erika Van Smitt, liderka demokratów. Przy oknie stał udający ostentacyjnie spokój i beztroskę Pericles Waldeck.

Zgromadzenie było dość imponujące, co Anderson przyznał w duchu, siadając obok Eriki. Wliczając w to jego samego, obecni byli ci, którzy mogli wypowiadać się w imieniu rządu i 90% Zgromadzenia Legislacyjnego.

– Dziękuję, że przyszedłeś – odezwał się Sakanami.

Waldeck odwrócił się od okna, przez które wyglądał, z szerokim uśmiechem.

Anderson spojrzał przez niego i uśmiech zniknął.

Cisza przeciągała się i robiła się coraz cięższa, aż w końcu Sakanami odchrząknął i powiedział:

– Howard, zaprosiłem cię tu, bo potrzebuję twojej rady.

– To coś nowego – skomentował Anderson.

Sakanami skrzywił się boleśnie.

– Proszę! Rozumiem, co musisz czuć, ale...

– Bardzo wątpię – przerwał lodowatym tonem Anderson – by miał pan choćby blade pojęcie o tym, co czuję, panie prezydencie.

Profilaktycznie nie dodał, że gdyby Sakanami choć to podejrzewał, kazałby ochronie poddać go rewizji osobistej w poszukiwaniu ukrytej broni.

– Ja... – prezydent przerwał i dodał: – Sądzę, że zasłużyłem na te słowa. Ale naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

– A konkretnie?

– Twojego doświadczenia. Przeprowadziłeś szczęśliwie Federację przez trzy wojny zarówno jako admirał, jak i prezydent. Wiesz, czego trzeba Marynarce Federacji, by mogła walczyć, i co jest niezbędne, by to wyprodukować. Chciałbym stworzyć nowe stanowisko: ministra do spraw produkcji wojennej, i poprosić cię, byś je objął.

– A co należałoby do moich obowiązków?

– Byłbyś moim bezpośrednim przedstawicielem, a twoim zadaniem byłoby zgranie potrzeb floty z możliwościami przemysłu. Gdybyś się zgodził, poprosiłbym cię, abyś udał się na Galloway's World. Dowództwo sektora Lorelei obejmuje admirał Antonow. Pomógłbyś mu skoordynować produkcję Stoczni z cywilnymi stoczniami, zanim odleci z tej planety. Co ty na to?

– I zachowałbym prawo mówienia, co myślę, publicznie i prywatnie? – spytał Anderson, stwierdzając ku swemu zdumieniu, że jest zainteresowany propozycją.

Sakanami zerknął na Waldecka i przytaknął.

– Nie mógłbym w pełni skorzystać z twoich doświadczeń, gdybym ci tego zakazał – oznajmił.

– W takim razie przyjmuję ofertę, panie prezydencie. – Głos Andersona nadal był zimny, ale zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem zbyt ostro nie ocenił prezydenta.

– Doskonale! W takim razie możemy przejść do drugiej kwestii, w której potrzebuję twojej pomocy. Jesteś jedynym człowiekiem na Ziemi, który osobiście spotkał się z chanem Liharnowem. Wiem, że wiadomość od ciebie potraktuje znacznie poważniej niż ode mnie.

– Wiadomość? – Anderson zmrużył oczy i uśmiechnął się w duchu.

Jednak nie pomylił się w ocenie: Sakanami najpierw pokazał mu marchewkę, a teraz kij.

– Nie ogłosiliśmy tego jeszcze publicznie, ale wywiad floty zakończył analizę wiadomości przekazanych przez admirała Li – odpowiedzi udzielił O'Rourke.

I natychmiast zająknął się, widząc jadowite spojrzenie Andersona skupione na sobie. Mimo to kontynuował, choć znacznie mniej pewnym tonem:

– Musiał pan słyszeć pogłoskę, że Thebanie jednak nie są ludźmi. Teraz wiemy to na pewno i mamy dowody. Krażownik liniowy *Scimitar* ocalał, ale najpierw stał się celem abordażu. Okazuje się, że Thebanie wynaleźli pojazdy desantowe bliskiego zasięgu, które potrafią dogonić i trafić w poruszający się okręt niczym rakietą, tylko znacznie delikatniej. Muszą co prawda wcześniej zniszczyć generatory osłony siłowej na części długości burty atakowanego okrętu, ale to, jak się okazuje, także mają opanowane. Wywiad ocenia zasięg tych pojazdów na maksimum osiem sekund świetlnych, a ładowność na siedem do dwunastu osób. Kontyngent Marines zaokrętowany na FNS *Scimitar* wygrał serię starć z desantem, a ponieważ okręt zdołał się wycofać z Lorelei, ciała napastników poddano oględzinom oraz autopsji i z całą pewnością wiemy już, że to nie ludzie.

Urwał, a Anderson przejmie uniósł brwi, czekając na ciąg dalszy. Oczywiście było, iż

obecni nie mieli pojęcia, że widział oryginały meldunków i materiałów przesłanych przez Li. Informacja o tym, że napastnicy należą do obcej rasy, także się tam znajdowała, choć bez dowodów w postaci choćby hologramów, o autopsji naturalnie nie wspominając.

Ponieważ cisza się przedłużała, spytał:

– A co to ma wspólnego z moją znajomością z Liharnowem?

– Przecież to oczywiste! – odparł z wyrozumiałą wyższością Waldeck. – To wszystko zmienia, Howardzie.

– Co zmienia i jak? – spytał zimno Anderson.

– Panie Anderson... – O'Rourke wydawał się być zaskoczony jego tępotą. – Straciliśmy osiemdziesiąt procent sił wysłanych do systemu Lorelei... w tym wszystkie okręty liniowe. To ponad dwadzieścia pięć procent całego stanu Marynarki Federacji!

– Wiem o tym, panie O'Rourke. Nadal jeszcze umiem liczyć.

– A... aha... – zająknął się minister obrony. – No cóż, rozumie pan, że zgodziliśmy się interweniować i zająć sprawą sami, ponieważ byliśmy przekonani, że mamy do czynienia z ludźmi! Okazuje się, że nie mamy, a co gorsza nie mieliśmy pojęcia, z jak potężnym przeciwnikiem przyjdzie nam się zmierzyć. Thebanie co prawda twierdzą, że mają tylko jeden system planetarny, ale mogą ich mieć kilkanaście. Potrzebujemy pomocy całego Sojuszu, a zwłaszcza Chanatu!

Anderson spojrział na niego jak na idiotę.

– Nie możemy prosić o pomoc – oznajmił wreszcie ostro. – To w ogóle nie wchodzi w grę!

– Howard, nie mamy wyboru – wtrącił Sakanami. – Całe miesiące zajmie nam dyslokacja floty i włączenie do linii Rezerwy, a przez ten czas nie będziemy mieli czym bronić granic. Potrzebujemy oriońskich okrętów!

– Nie znacie oriońskiego kodeksu honorowego czy pogłupielście ze szczętem?! – zdziwił się Anderson. – *Khimhok* zawsze walczy samotnie, panie prezydencie! To zasada, od której nie ma wyjątków. Jeżeli teraz poprosicie Liharnowa o pomoc, odrzucicie rolę, o której ofiarowanie go poprosiliście! To postępowanie haniebne i tchórzliwe, które może prowadzić do wojny, a na pewno doprowadzi do pogorszenia stosunków z Chanatem. Jedyne, na co możemy mieć nadzieję, to że nie obarczy nas odpowiedzialnością za kolejny atak Theban, jeśli taki nastąpi.

– Ależ przyjęliśmy tę rolę tylko dlatego, że myśleliśmy, że Thebanie są ludźmi. A nimi nie są! – wyjaśnił Waldeck wolno i wyraźnie, jakby miał do czynienia z ociężałym umysłowo.

– To nie ma najmniejszego znaczenia! – warknął Anderson. – Wyście nawet nie rozmawiali z ksenologami przed podjęciem decyzji albo zdążyliście zapomnieć wszystko, co wam powiedzieli. Dla Liharnowa, jak zresztą dla każdego kociambra, zobowiązanie jest zobowiązaniem i nawet jeśli podejmuje się je przez pomyłkę czy nieporozumienie, należy się

z niego wywiązać, bo to jego problem. Albo zginać, próbując.

– Sądzę, że przesadzasz – zauważył Sakanami.

– A ja sądzę, że jesteście bandą nieuków i durniów! Liaharnow zaryzykował własnym honorem, żeby pozwolić ludziom uniknąć wojny z Chanatem. Zaproponujcie mu ten idiotyzm, a będziecie mieli, kurwa, oprócz Theban oriońską flotę na karku.

– Uważam, że wyrażasz się obelżywie – ocenił z urażoną dumą Waldeck.

– A ja mam głęboko w dupie to, co ty uważasz, nadęta kupo gówna! – prychnął Anderson. – Mogę pomóc posprzątać syf, który zmajstrowaliście, ale prędzej mnie szlag trafi, nim przyłożę rękę do tego, żeby pogłębić gnojownik, w którym Federacja znalazła się dzięki takim kutasom złamanym jak ty, Waldeck!

– Howard... – zaczęła Erika Van Smitt.

– Trzymaj się od tego z daleka! – przerwał jej Anderson. – Ogranicz się do ogólnego popierania rządu, bo część tego gówna przylgnie do ciebie i już nigdy nie zejdzie!

– Mam cię dość, Anderson. – Waldeck przestał zgrywać uprzejmego. – Ty i twoje zasrane, zawsze słuszne krytykanctwo! To zawsze wina cywili, rządu i Zgromadzenia, tak? Zawsze nasza wina, tak? No to niech do ciebie dotrze, stary przyku, że tym razem spierdoliła sprawę twoja nieomylna i genialna Marynarka Federacji!

Anderson spojrział mu w oczy z czystą pogardą i ugryzł się w język. Ich wrogość miała znacznie głębsze podstawy niż polityczne, o czym mało kto pamiętał. Była osobista i głęboka, gdyż Waldeck nigdy nie wybaczył Andersonowi, że ten jako głównodowodzący Federation Navy osobiście dopilnował, by jego dziadek, niejaki Solon Waldeck, w czasie I wojny admirał, stanął przed sądem wojennym. Sądem, który za tchórzostwo na polu walki, w wyniku czego flota oriońska zdobyła nie uszkodzoną bazę danych astronawigacyjnych Federacji, co uznano za zdradę, skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano. Klan Waldecków i wcześniej, i później dał flocie wielu oficerów, którzy osiągnęli stopnie flagowe i wyróżnili się honorowo na wszystkich trzech wojnach, ale niektórzy członkowie rodu nie mogli zapomnieć hańby. A winili za nią nie Solona (bo przecież Waldeck z samego założenia nie mógł być winny), lecz Andersona. Do czołowych zwolenników tej logiki należał Pericles.

Teraz poczerwieniał, gdyż nastąpiło to, na co czekał Anderson – górę nad rozsądkiem zaczynał brać rodowy temperament. Sakanami, wiedząc, jakim cholerykiem jest Pericles, próbował interweniować, ale ten go zignorował.

– Teraz jesteś górą, panie zasrany ministrze – warknął. – Ostrzegałeś nas, a my i tak spieprzyliśmy, więc teraz łaskawie zgadzasz się nam pomóc i cały czas oczywiście masz rację, tak?

– Pierwszy raz dziś zaczynasz mówić z sensem – ocenił chłodno Anderson.

– Więc coś ci powiem. Twoje oczko w głowie, twoja nieomylna flota tym razem spierdoliła wszystko. To admirał Marynarki Federacji zdecydował, by wszystkie okręty leciały aż do Łodzi Charona, i przez to ponieśliśmy takie straty! To jego wina, bo on tam

dowodził, i pamiętaj o tym, kiedy następny raz będziesz nam, do kurwy nędzy, opowiadał, co możemy, a czego nie możemy zrobić, żeby wyjść z gówna, w które on nas wpakował!

Anderson nie tyle zbladł, ile zbiełał.

A Waldeck przyjrzał mu się z satysfakcją, całkowicie mylnie oceniając jego reakcję.

– Ty pierdolony, zakłamany skurwysynie! – Andersona aż poderwało na równe nogi z wściekłości.

Waldeck, widząc to, odruchowo cofnął się o krok.

– Howard! – Sakanami także poderwał się, ale nic więcej nie zdążył powiedzieć.

– Zabierz to załgane gówno z moich oczu albo najpierw napluję mu w pysk, a potem wsadzę łaskę w dupę i wypierdolę przez okno! – ryknął Anderson.

– Panie Anderson! – O'Rourke miał więcej odwagi, niż sądził Anderson, gdyż złapał go za ramię i fizycznie uniemożliwił wykonanie groźby, do czego ten już się zabierał. – Błagam, panie Anderson!

Howard Anderson pozwolił się powstrzymać, jako że wybuch był bardziej zaplanowany niż spontaniczny, choć musiał przyznać, że samego go zaskoczyło, jak dalece dał się mimo wszystko ponieść nerwom.

Widząc, że nie grozi mu realizacja zapowiedzi, Waldeck odzyskał nieco pewności siebie.

– Zapomnę o tym pożałowania godnym incydencie, bo wiem, jak bardzo byliście zaprzyjaźnieni z admirałem Li – oznajmił wspaniałomyślnie. – Ale nie zmienia to faktu, że to on dowodził i to on wprowadził wszystkie swoje siły w pułapkę, z której nie można było uciec. Gdyby tak się nie stało, nie potrzebowalibyśmy pomocy Chanatu. O którą poprosimy, za twoją zgodą czy bez niej.

– Aha! – oznajmił niespodziewanie spokojnie Anderson i przeniósł lodowate spojrzenie na Sakanamiego, który zaczął się niespokojnie kręcić. – Cały czas zastanawiam się, czy on jest tak dobrym aktorem, czy też tym razem zrobiłeś coś za jego plecami, Hideoshi. To w sumie nieważne, ale na pewno ty masz więcej do stracenia, więc będę mówił do ciebie. Nie poprosisz Chanatu o pomoc, bo jeśli tego spróbujesz, zgłoszę wniosek o usunięcie cię z urzędu i postawienie w stan oskarżenia pod zarzutem zdrady stanu. I gwarantuję ci, że postawię na swoim w obu przypadkach.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwało pytanie Waldecka:

– Na jakiej podstawie?

– Na podstawie prawdy, wypierdka – odparł pogardliwie Anderson. – A ciebie przy tej okazji ukrzyżuję i nic mi nie przeszkodzi czerpać z tego przyjemności. Znajdziesz się wreszcie tam, gdzie od dawna powinienesz być.

– Powtarzam: na jakiej podstawie?! – warknął Waldeck.

– Na podstawie tajnych rozkazów, w które prezydent zaopatrzył Victora Aurelliego po tym, jak zapewnił Zgromadzenie Legislacyjne, że takowe nie istnieją. Admirał Li zeskanował je i przesłał mi, abym znał prawdę i mógł jej użyć, gdyby potwierdziły się jego podejrzenia.

Zamurowało obu. Waldeck pierwszy odzyskał głos:

– To niedorzeczność!

– Powiedziałem już, wypierdku, że nie będę z tobą rozmawiał! – warknął Anderson i dodał zupełnie innym tonem: – Przepraszam za niewłaściwy język i formę, panie prezydencie, ale obcowanie z obłudą zawsze tak na mnie działa. Mam kopię podpisanego przez pana rozkazu, w którym oddaje pan admirała Li całkowicie i bezwarunkowo pod rozkazy Victora Aurelliego, który obejmuje zgodnie z nimi dowództwo także nad wojskowym aspektem misji. Dysponuję także kopią dziennika okrętowego, w którym zapisano, jakie rozkazy wydał admirałowi Li Aurelli, a które ten oprotestował, ale musiał wykonać. Bez trudu też mogę dowieść, że do ich wydania nakłonił pana, łamiąc prawo, Pericles Waldeck. Pańskiej ocenie pozostawiam skutki, jakie przyniesie udostępnienie tych dokumentów Zgromadzeniu Legislacyjnemu i mediom.

– Nie odważysz się! – wybuchnął Waldeck. – Zgno...

– Pericles, zamknij się! – polecił ostro Sakanami.

I Waldeck z trzaskiem zamknął usta zaskoczony tonem i poleceniem. Anderson także był zaskoczony, choć nieco mniej – to prezydent miał znacznie więcej do stracenia i najwidoczniej dobrze to rozumiał. Sakanami usiadł i oświadczył takim samym tonem:

– On ma rację. Nie powinienem dać się przekonać tobie i Aurelliemu i nie powinienem podpisać tego rozkazu. Cóż, stało się i się nie odstanie.

– Ale Hideo...

– Powiedziałem ci, żebyś się łaskawie zamknął – warknął zimno Sakanami. – Możesz być przywódcą najliczniejszej partii w Zgromadzeniu, ale to cię i tak nie uratuje. Nie dam sobie i rządowi poderżnąć gardła, a to właśnie nastąpi, jeśli zmusimy Howarda, by wypełnił swe groźby. I nie łudź się, że tego nie zrobi.

– Ale my naprawdę potrzebujemy pomocy Chanatu! – jęknął Waldeck.

– I co z tego? A jeśli Howard ma rację i reakcją chana będzie wystąpienie z Sojuszu i wypowiedzenie nam wojny? Wtedy będzie walka na dwa fronty, której w ogóle nie możemy wygrać.

– Ale, panie prezydencie... – zaczął O'Rourke.

– Hamid, proszę daj spokój. – Sakanami przeniósł wzrok na Andersona; w jego spojrzeniu nie było sympatii, ale był szacunek. – Mam propozycję: skonsultuję się ze specjalistami z wywiadu floty przed wysłaniem wiadomości do chana. Jeśli zgodzą się z tobą, żadnej wiadomości nie będzie, ani też nikt publicznie nie zwali winy za Lorelei na admirała Li. W zamian obiecasz nie podawać do publicznej wiadomości treści obu dokumentów, dopóki nie skończymy tej wojny. Są to warunki do przyjęcia?

– Tak – odparł zwięźle Anderson, wiedząc, jaka będzie opinia ksenologów z wywiadu.

A uniknięcie wojny z Chanatem było niestety ważniejsze od natychmiastowego oczyszczenia z podejrzeń dobrego imienia Chien-lu.

– W takim razie sądzę, że skończyliśmy – powiedział spokojnie. – Dziękuję i żegnam.

Po czym odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

Po pierwszym kroku stanął jednak jak wryty, słysząc pytanie Sakanamiego:

– Tak na marginesie, Howard, to jak szybko jesteś w stanie dotrzeć na Galloway's World?

Anderson spojrział na niego i tym razem nie zdołał ukryć zaskoczenia.

Na ten widok oraz na widok osłupiałej miny Waldecka Sakanami parsknął śmiechem, i to przynajmniej w połowie szczerym.

– Zawsze zbyt osobiście podchodziłeś do polityki – powiedział, patrząc na Andersona. – Nie lubię cię i wiem, że ty mnie też, ale rzeczywiście potrzebuję twojego doświadczenia.

– Nie... – zaczął Anderson, ale Sakanami był szybszy:

– Nie mów czegoś, czego możesz żałować. Może następnym razem nie wygrasz, ale dziś postawiłeś na swoim całkowicie i być może nawet miałeś rację. Ale tu nie chodzi o mnie czy o ciebie, tylko o Federację, więc proszę, weź tę cholerną robotę.

Anderson przez moment spoglądał na pełną nienawiści twarz Periclesa Waldecka, wiedząc, że jeśli przyjmie propozycję, wojna z nim dopiero się zacznie. Ale miewał już groźniejszych przeciwników, a poza tym Sakanami mówił prawdę: gra toczyła się o znacznie większą stawkę, a sytuacja była zbyt poważna, by mógł stać z boku bezczynnie.

Dlatego powoli, ale wyraźnie przytaknął ruchem głowy.

Rozdział VI

NA DRODZE BURZY

Pierwszy admirał Lantu stał na pomoście flagowym superdreadnoughta *Hildebrandt Jackson* i przyglądał się głównemu ekranowi wizyjnemu. Znajdował się w systemie binarnym Alfred posiadającym gwiazdy typu G0 i K2. Każda z nich miała swój układ planetarny. W skład każdego z nich wchodziła jedna nadająca się do zamieszkania przez ludzi planeta, ale tylko jedna została skolonizowana. Alfred-A IV znany jako New Boston był planetą nieco suchą, ale od warpa dzieliło go tylko czterdzieści godzin lotu. Alfred-B I, choć znacznie wilgotniejszy, leżał natomiast ponad sto godzin lotu od najbliższego warpa, a prawie dwieście od następnego. W tym wypadku niewierni mieli w opinii Lantu całkowitą rację, wybierając do kolonizacji New Boston. Zaoszczędziło im to masę czasu i kosztów.

Splótł na plecach ręce o podwójnych stawach i kołysząc się na szerokich stopach, obserwował kolejną falę promów szturmowych wchodzącą w atmosferę. Na orbitach parkingowych wokół planety aż roiło się od okrętów Pierwszej Floty Miecza Świętej Ziemi, ale wychodziło na to, że ta siła ognia znalazła się tu niepotrzebnie, bo większość jednostek ocalałych z pogromu niewiernych w Lorelei jedynie przeleciała przez system, uciekając do następnego, zwanego Blackfoot. Prowadził do niego szlak przez pusty, pozbawiony gwiazd system oznaczony jako JF-12, będący równocześnie systemem węzłowym. W systemie Alfred 1. Flota prowadzona przez sześć superdreadnoughtów i dziewięć pancerników straży przedniej napotkała jedynie pięć fregat, które uciekały tak szybko, jak tylko mogły. Lantu nie dziwił się temu – ich załogi nie zwojowałyby niczego, poświęcając życie i okręty, byłoby to więc z ich strony czyste marnotrawstwo. Ucieczka była najrozsądniejszym wyjściem.

I w ten sposób błękitno-zielona planeta zamieszкана przez ponad milion niewiernych stała się jego łupem zupełnie bez walki. Bo nie posiadała żadnego systemu obronnego, nie wspominając już o fortyfikacjach. Było to niewiarygodne, ale jednak prawdziwe.

Wrócił na swój fotel i zamyślił się, ponownie rozpamiętując bitwę z flotą niewiernych w Lorelei. Większość okrętów, na które dokonano abordażu, uległa zniszczeniu – wysadziły je własne załogi, nie mogąc odeprzeć ataku. Ale najpierw postarały się, by drogo sprzedać skórę. *Saint-Just* na wiele miesięcy trafił do stoczni remontowej, a inna jednostka tej klasy,

Helen Borkman, została zniszczona wraz z całą załogą. A to były jedynie najpoważniejsze straty odniesione przez *superdreadnoughty*... Zaciętość, z jaką okręty liniowe niewiernych zaatakowały jego flotę, by umożliwić lżejszym jednostkom ucieczkę, była zastanawiająca i niepokojąca. Co prawda Synod wyraził zadowolenie, ale duchownych interesowały tylko straty zadane przez okręty Miecza Świętej Ziemi. Nie zastanawiali się nad tym, jak zachowali się niewierni mimo całkowitego zaskoczenia, i ta pogarda Kościoła dla wrogów niepokoiła Lantu...

Ale nawet on zdumiał się niepomiarnie całkowitym brakiem obrony systemu Alfred. Co prawda załogi większości zdobytych okrętów zdołały zniszczyć i wyczyścić bazy oraz banki danych, ale z tego, co udało się odczytać, dowiedzieli się i tak wystarczająco wiele. Między innymi o traktacie z Tycho. Lantu musiał przyznać, że jedynie wpływ mocy piekielnych i demonów mógł skłonić ludzi do takiego idiotyzmu. Pierwotne założenie Kościoła, że to przeklęty po trzykroć Chanat podbił Federację, okazało się błędne, ale niewierni mimo wszystko zostali w jakiś sposób pokonani. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zwycięska Federacja nie dość, że zawarła pokój z Szatanem-Chanem, to zaproponowała na dodatek, by nie umacniać tranzytowych systemów, przez które wiodły szlaki ku granicy. Przecież już to, że nie dobito pokonanego wroga, było błędem, by nie rzec karygodną głupotą, ale przypiecztowanie tego następnym idiotyzmem po prostu nie mieściło się w głowie. Piekło i herezja musiały mieć z tym coś wspólnego.

Lantu potrzęsął głową, w żaden sposób nie mogąc dojść z tym wszystkim do ładu. Natknęli się także na jakieś niejasne wzmianki o Linii, czymkolwiek by ona była. Na przykład system Redwing położony pięć tranzytów za układem Alfred był najbliższym należącym do niej i uważanym przez niewiernych za nie do zdobycia, mimo że fortyfikacje zbudowano osiemdziesiąt ziemskich lat temu. Przynajmniej według tych nielicznych informacji, jakie posiadali. Jak wyglądała prawda, przekona się, gdy tam dotrze. Póki co w stocznicach badano zdobyczne przyzy i analizowano, które z rozwiązań były najbardziej przydatne i najprostsze do skopiowania, by wzmocnić siłę własnej floty. A okręty tejże floty pod dowództwem Lantu zajęte były zajmowaniem okolicznych systemów, których niewierni tak uprzejmie nie ufortyfikowali i nie przygotowali do obrony.

* * *

Sierżant Angus MacRory z policji New New Hebrides przeczesał palcami spocone włosy. Brązowy uniform też miał przepocony, bo kopał już dość długo. Nie miał wyjścia – brakowało w równym stopniu ciężkiej broni wsparcia, jak i sprzętu budowlanego.

Odłożył kilof i wygramolił się z dziury mającej stać się stanowiskiem ogniowym, by obejrzeć własne rękodzieło. Odgłosy kucia i kopania rozlegały się wszędzie, jako że pseudokoralowe wyspy stanowiące znaczną część lądu planety New Hebrides były twardsze od ziemskich. Planeta nazywała się co prawda oficjalnie New New Hebrides, ale jej

mieszkańcy ignorowali jedno „New”, uznając je za debilizm. Dziura, którą wykopał MacRory, pozostawiała wiele do życzenia, ale była dobrze zlokalizowana. Dawała doskonałe pole ostrzału, pokrywające w całości jedyne lotnisko – New Lerwick. Co i tak psu na budę się zda, ale tego Angus głośno nie mówił. Przez siedem standardowych lat służył w jednostce Marine Raiders i doskonale zdawał sobie sprawę, że to, co od paru dni robią, to ćwiczenia w zorganizowanej bezsilności. Jego towarzysze zresztą sądzili podobnie, po części dlatego, że także byli weteranami, którzy zatęsknili za domem, a po części dlatego, że policja z samego założenia nie była ani wyszkolona, ani odpowiednio wyposażona, by prowadzić działania wojenne.

Kopiąca obok niego kapral Caitrin MacDougall także przerwała pracę i oparła się o szpadel. Była wysoka – miała prawie 179 centymetrów wzrostu – i szeroka w ramionach jak na kobietę. Rudo-złociste, krótko ścięte włosy także miała przepecone, a perkaty nosk uwalany ziemią. Była równie jak on zmęczona, ale uśmiechnęła się, napotykając jego spojrzenie.

– Wystarczająco głębokie? – spytała.

– Ano – przyznał. – A nawet jak nie, głębiej się nie da.

– I tu masz całkowitą rację – zgodziła się radośnie.

Po sześciu latach studiów na planecie New Athen i uzyskaniu tytułu doktora biologii morskiej odruchowo posługiwała się bezbłędnie standardowym angielskim, z czym Angus miewał regularne problemy.

– Ano czas zabrać się za wory – westchnął Angus, sięgając po łopatę. – Jak je napelnimy piachem i będziemy mieli cholerne szczęście, to może nawet dowództwo znajdzie nam jutro pukawkę do ustawienia w tej dziurze obłożonej worami.

* * *

Kapitan Hannah Avram z Federation Navy weszła do sali odpraw niszczyciela FNS *Jaguar*, ale komodor Grissom był tak pochłonięty holoprojeksią przedstawiającą jakąś symulowaną bitwę, że musiała odchrząknąć, by ją zauważył.

– Witaj, Hannah – wskazał jej gestem fotel i zamroził holoprojeksię.

– Chciał mnie pan widzieć, sir.

– Zgadza się. Jaki jest stan napraw?

– Wszystkie wyrzutnie sprawne, podobnie jak fazer numer jeden. Generatory osłon sprawne w osiemdziesięciu sześciu procentach. Pancierz jest dziurawy jak sito, ale napęd w pełni sprawny. Sieć taktyczna przywrócona... mniej więcej.

– Czyli tak jak się spodziewałem... – mruknął Grissom, masując kwadratowy podbródek.

Jakim cudem zdołał zachować taki spokój, było dla Avram niepojęte. Tak zwana Flota Obronna New New Hebrides miała nazwę bardziej imponującą od składu. Należały do niej krążowniki liniowe *Dunkerque* (jej własny) i *Kirow*, czyli wszystko, co zostało z 9. Eskadry

Krażowników Liniowych admirała Branco, który nie zdołał opuścić Lorelei, dwa ciężkie krążowniki, jeden lekki i dwa niszczyciele. Oraz dwanaście fregat i korwet Służby Celnej. Oba krążowniki liniowe zresztą znalazły się tu tylko dlatego, że zostały odcięte w czasie odwrotu od warpa prowadzącego do systemu JF-12.

– Wygląda na to, że nie mamy cienia szansy na utrzymanie tego systemu, Hannah – oznajmił Grissom, przyznając ostatecznie to, co wiadome było od początku. – Ale musimy spróbować: dla honoru i dla morale.

Odchylił się na oparcie fotela i splótł ręce na solidnym brzuchu. Przez długą chwilę milczał, wpatrując się w pokład, nim zaczął mówić dalej:

– Na planecie jest sześć i pół miliona mieszkańców i nie możemy tak po prostu ich opuścić. Z drugiej strony z Lorelei prowadzi wiele warpów, a wątpię, by Thebanie mieli dość siły, by pójść we wszystkich kierunkach, tym bardziej że nie są pewni, jak szybko i gdzie możemy przegrupować posiłki. Gdyby ruszyli prosto tutaj, już by byli. Skoro ich nie ma, najwyraźniej są ostrożni i metodyczni. A to z kolei może oznaczać, że najpierw dokonają rozpoznania walką, czyli wyślą lekkie jednostki na zwiad. W takim wypadku mogłoby się udać przyłać im solidnie i przekonać, by poszukali sobie innego systemu do zdobycia. Może wówczas doczekalibyśmy odsieczy. To najbardziej możliwy scenariusz, więc proponuję się go trzymać i mieć nadzieję, że się sprawdzi. Co ty na to?

Wyprostował się i spojrzał na nią uważnie.

Hannah kiwnęła głową.

– Dobra – mruknął, opadając z powrotem na oparcie. – W takim razie daję ci połowę promocję na komodora i oddaję pod twoje rozkazy *Kirowa*, *Bouveta*, *Achillesa* i *Atago*, czyli wszystkie posiadane krążowniki. Niszczyciele i całą resztę ustawię przy wylocie z warpa, żeby załatwić zwiad, gdy tylko zakończy tranzyt, bo wtedy będziemy mieli największe szanse. Będę potrzebował wsparcia fazerów krążowników, ale trzymajmy *Dunkerque* i *Kirowa* w bezpiecznej odległości.

Zamilkł ponownie, a Avram drugi raz kiwnęła głową. Oba krążowniki liniowe należały do klasy *Kongo*, czyli miały zwiększoną liczbę wyrzutni rakiet kosztem stanowisk artyleryjskich, toteż nadawały się lepiej do walki na dużą odległość. A poza tym pozostawienie ich z tyłu dawało lepszą osłonę przed tymi przeklętymi działami laserowymi, a oba miały poważnie uszkodzone pancerze.

– Moim obowiązkiem jest bronić tego systemu – dodał poważniej i posepniej Grissom – ale bezsensiem byłoby poświęcić dwa krążowniki liniowe, bo jak podejrzewam, są teraz więcej warte niż miesiąc temu dwa superdreadnoughty. Dlatego jeśli wydam rozkaz, wszystkie okręty, które oddałem ci pod rozkazy, mają się stąd wynosić najszybciej, jak będą w stanie.

– Rozumiem, sir – powiedziała cicho Avram.

– Zrobisz wtedy, co zechcesz, ale doradzałbym ci lecieć do systemu Danzig.

Avram znów skinęła głową – Danzig był ślepy m zaufkiem, gdyż prowadził doń tylko jeden warp i jako system nietranzytowy nie został objęty zakazem posiadania stałych fortyfikacji. Na dodatek miał bardzo rozwinięty przemysł, toteż forty broniące warpa były dość solidne. I było ich sporo.

– Jeśli pomożesz mieszkańcom w utrzymaniu go, odciągniesz spore siły wroga, które będą musiały pilnować wyjścia z tego warpa. Poza tym na planecie Danzig mieszka piętnaście milionów ludzi i twoim obowiązkiem jest ich bronić.

– Rozumiem, sir. Zrobię, co będę mogła, jeśli do tego dojdzie.

– Ani przez moment w to nie wątpiłem. A teraz... – Grissom zerwał się niespodziewanie energicznie. – Chodźmy poszukać czegoś, by oblać pani awans, komodor Avram!

* * *

Admirał Lantu sprawdził po raz ostatni stan gotowości swoich sił, gdy Manak skończył wygłaszać błogosławieństwo. Największym ryzykiem szturm przez warpa była konieczność dokonywania tranzytu kolejno, pojedynczymi okrętami. Chodziło o to, by dwie jednostki nie znalazły się równocześnie w tym samym miejscu przestrzeni, gdyż spowodowałoby to gigantyczną eksplozję i zniszczenie obu oraz ułatwiłoby życie obrońcom. Oznaczało to, że czujna obrona zawsze znajduje się w lepszej sytuacji, gdyż jeśli dysponuje wystarczającą siłą ognia, może kolejno niszczyć jednostki wychodzące z warpa.

Lantu co prawda wątpił, by obrońcy systemu, który miał zaatakować, dysponowali taką siłą ognia, ale nie miał pewności i dlatego musiał postępować ostrożnie.

– W porządku, kapitanie Yurah – powiedział do dowódcy *Jacksona*. – Wykonać!

* * *

– Nieprzyjaciel wychodzi z warpa, skipper! – zameldował pierwszy oficer.

Komodor Avram potwierdziła ruchem głowy, że słyszała, nie odrywając wzroku od ekranu taktycznego, na którym zaczęły pojawiać się pierwsze czerwone symbole wrogich jednostek. Okręty Grissoma tworzące pierścień wokół wylotu z warpa już odpaliły pierwszą salwę. Obraz na ekranie zmienił się – obok symboli pojawiły się opisy. Były to niszczyciele. Grissom skoncentrował ogień na prowadzącego.

– Oficer artyleryjski, cel – ostatnie okręty w szyku! – poleciła.

Moment później wyrzutnie pokładowe *Dunkerque* tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne wypuściły pierwszą salwę rakiet.

* * *

Angus MacRory spojrział w nocne niebo rozświetlone jedynie przez Bright, najmniejszy z trzech księżyców, gdyż jego uwagę zwrócił nagły rozbłysk. Po nim nastąpiło kilka innych, mniejszych. Caitrin wsunęła się obok, złapała go za ramię i oboje przyglądali się toczącej się

w przestrzeni bitwie.

* * *

– Wykonać plan Beta! – polecił cicho Lantu.

Gdyby nie napotkano oporu, wróciłby już jeden z wysłanych niszczycieli.

– Aye, aye, sir – potwierdził kapitan Yurah i wydał odpowiednie rozkazy.

W ich wyniku na początku kolejki jednostek do tranzytu znalazł się pancernik *Mohammed*.

* * *

– To nie jest niszczyciel – ocenił komandor Dan Maquire, gdy na głównym ekranie taktycznym pojawił się symbol wrogiego okrętu liniowego.

A za nim następny.

I jeszcze jeden.

W pierwszej fali znalazła się eskadra thebańskich niszczycieli i żaden nie przetrwał. Obrońcy stracili za to fregatę, a jedna z korwet i niszczyciel zostały poważnie uszkodzone. I wszystko na marne, okazało się bowiem, że nie było to rozpoznanie bojem, tylko początek inwazji.

Ekran mrugnął raz i drugi, gdy sensory zostały przeładowane nadmiarem energii skumulowanej na małej przestrzeni w wyniku eksplozji wielu głowic nuklearnych i strzałów z rozmaitych rodzajów dział energetycznych. Jednostki obrońców zniknęły z ekranu jedna po drugiej; wprawdzie rakiety z obu krążowników liniowych najpierw zniszczyły generatory osłon prowadzącego pancernika poprzez ich przeciążenie, a teraz zabrały się do jego pancerza, ale nie był to wystarczający rewanż.

– Rozkazy od komodora Grissoma, ma'am! – zameldował oficer łącznościowy. – Tylko do pani wiadomości.

Avram nacisnęła kombinację klawiszy i na ekranie łącznościowym fotela ukazała się twarz Grissoma.

– Dobra, Hannah! – oznajmił. – Wynoś się z sy...

Twarz zniknęła, głos umilkł i ekran stał się ciemny.

– Sternik, proszę wykonać plan Dunkirk! – poleciła chrapliwie Hannah. – Frank, utrzymujemy ostrzał celu, dopóki nie znajdzie się poza zasięgiem rakiet.

* * *

– O Jezusie! – jęknął ktoś po sąsiedzku, widząc na nieboskłonie nową serię rozbłysków po chwilowej przerwie.

Rozbłyski trwały przez parę minut i przesuwwały się nieco – w opinii Angusa oznaczało to próbę wycofania się części obrońców w stronę warpa prowadzącego do Sandhurst, ale z tego

co widział, nie bardzo im się to udawało. A potem nagle coś błysnęło oślepiająco, znacznie silniej niż wszystkie dotychczasowe, co mogło oznaczać jedynie zniszczenie o wiele większego niż dotąd okrętu.

– Dostali któregoś gnoja! – mruknął z satysfakcją.

* * *

Admirał Lantu przeczytał otrzymaną wiadomość i spojrzał na kapitana Yuraha.

– Proszę przerwać pościg, kapitanie – polecił.

– Ależ, sir... ściga ich osiem krążowników i sześć, krążowników liniowych, nie zdołają...

– Krążowniki może uda się dogonić. Krążowników liniowych na pewno nie, a mają bardzo silne uzbrojenie rakietowe. Poniesiemy większe straty, niż zadamy. Proszę przerwać pościg.

– Aye, aye, sir!

Sądząc po głosie, Yurah nie zgadzał się z tą decyzją, ale Lantu nie skomentował tego. Trudno było mieć za złe młodszemu oficerowi to, że chciał dopaść i zniszczyć wszystkie jednostki wroga, mając taką szansę. Udało się unicestwić jeden z lekkich krążowników przeciwnika, ale pozostałe miały zbyt dużo rakiet, by dalsza pogoń się opłacała. Fakt, że prawdopodobnie dogoniliby oba, ale wystawialiby się tym samym na niezwykle celny ogień obu krążowników liniowych wyposażonych w rakiety o znacznie większym zasięgu niż te, którymi dysponowała Pierwsza Flota.

Uruchamiano już ich produkcję, kopiując te zdobyte w Lorelei, a ponieważ od początku używano ziemskiego systemu miar i wag, sprawa nie była skomplikowana; póki co jednak pozostawały w sferze planów. A o ich skuteczności najlepiej świadczyła utrata *Mohammeda*.

Założył ręce za plecy i podrapał się kciukami w łopatki, gdzie kończyły się płytki kostne chroniące głowę i szyję. Pancernik, ciężki krążownik i eskadra niszczycieli – to nie była wysoka cena za system planetarny, ale niepokoiło go to, że niewierni zdołali zadać takie straty, dysponując tak mizernymi siłami. Większość ich okręcików nie miała nawet możliwości sprzęgu z siecią taktyczną, a zniszczyli jednostki wielokrotnie większe i lepiej chronione. I uszkodzili poważnie inne – zwłaszcza *Savonarolę* i *Karla Marxa*, z których wciąż napływały niepokojące meldunki. Kiedy niewierni opamiętają się i wyślą przeciwko jego siłom zorganizowany zespół wydzielony z prawdziwego zdarzenia, sytuacja może zrobić się paskudna. A kiedyś to nastąpi...

Odegnął ponure myśli i spojrzał na Yuraha.

– Proszę wziąć kurs na planetę New New Hebrides, kapitanie – polecił.

* * *

Nad wyspą New Lerwick wstawał karmazynowy świt. Sierżant MacRory siedział na stanowisku strzeleckim obok radiostacji. Jak dotąd najeżdźcy się nie pojawili, co było miłe z

ich strony, gdyż major Carmichael nie zdołał zorganizować obiecanej ciężkiej broni wsparcia. Natomiast w innych rejonach planety toczyły się ciężkie walki. New Hebrides była światem wodnym, na którym ląd składał się z archipelagów, wielkich wysp i niewielkich kontynentów. Osady ludzkie były za bardzo rozrzucone, by mieszkańcy mogli skutecznie przeszkodzić najeźdźcom w desantach, zwłaszcza gdyby zostały dokonane w wielu odludnych miejscach równocześnie. Tyle tylko że takie desanty najeźdźców nie interesowały, ponieważ wykonali ich kilka, za to zmasowanych, w pobliżu największych miast.

W radiu krzyżowały się ze sobą rozmowy obrońców i thebańskie wezwania nadawane w standardowym angielskim. Angus niewiele z nich rozumiał poza tym, że adresowane były do jakichś „niewiernych” i nakazywały im złożenie broni w imieniu „Świętej Ziemi”. Był to bełkot tym dziwniejszy, że używany przez obcych w stosunku do ludzi.

Kanały zastrzeżone do łączności wojskowej były znacznie spokojniejsze, ale wiadomości, które z nich płynęły, tym bardziej przerażające. Na miejsce głównego desantu wybrano stolicę – New Selkirk – położoną na kontynencie Aberdeen, ale pierwsza fala promów szturmowych została zmasakrowana przez obronę przeciwlotniczą. Organizowano ją w pośpiechu, ale zgromadzono sporo wyrzutni i działek szybkostrzelnych, przewidując, że stolica stanie się pierwszoplanowym celem. Przewidywania okazały się słuszne, ale nie do końca, Thebanie bowiem zamiast drugiej fali posłali raketę z głowicą nuklearną, która zmieniła dwie trzecie miasta w zeszkloną pustynię. Podobny los spotkał kilka innych miast, w których chcieli wylądować, a obrona im to uniemożliwiła.

MacRory po usłyszeniu tego kłął cicho, ale z uczuciem naprawdę długo. Pierwszy raz w życiu czuł się całkowicie bezsilny. To nie była wojna, tylko eksterminacja. Nie miał ochoty umierać, ale nie miał też pojęcia, jak walczyć z wrogiem, który tak lekceważąco podchodził do strat i ofiar. Prezydent zginął w New Selkirk, a wraz z nim rząd planetarny, toteż nie było komu ogłosić kapitulacji, ale MacRory wiedział, że gdy najeźdźcy wylądują na New Lerwick, to właśnie nastąpi.

Zacisnął zęby i omal nie rozpląkał się z bezsilnej wściekłości.

Rozdział VII

ŚWIĘTA MATKA ZIEMIA

Arcybiskup Tanuk z trudem panował nad zniecierpliwieniem, siedząc w promie lecącym przez atmosferę nowego arcybiskupstwa. Natomiast rozpierającej go dumy nawet nie próbował stłumić.

Wiek temu Anioł Saint-Just wyruszył, by zająć tę właśnie planetę w imię Świętej Ziemi. Teraz prawdziwi wyznawcy Świętej Wiary i Lud Świętego Wysłannika dokończą jego misję, nawet gdyby musieli wydrzeć planetę heretykom z jego własnej rasy. A Synod uznał właśnie jego, syna zwykłego inżyniera górnictwa, za godnego dopilnowania tego zbożnego dzieła.

Odruchowo spojrzął na pierścień z ametystem, w którym wyryto symbol Świętej Ziemi, i przepełniła go jeszcze większa duma.

* * *

Maszerując wraz z niedobitkami swego oddziału, Angus MacRory próbował trzymać głowę prosto, ale nie bardzo mu się to udawało, bo w gardle drapał kurz, a dzień był wyjątkowo gorący jak na Aberdeen. Temperatura wynosiła ponad dwadzieścia stopni. Szlak, po którym szli, przemierzyły już tysiące innych, zmieniając powierzchnię w sięgający kostek pył. Na dodatek trójkołowe motocykle, którymi jeździli pilnujący kolumny strażnicy, wzbijały tumany tego pyłu. Motorki były nieduże i mogły wyglądać głupio, ale w rzeczywistości stanowiły genialny wynalazek, gdyż Thebanie ze swoimi krótkimi, choć masywnymi nogami nie byliby w stanie dotrzymać kroku nawet zmęczonym ludziom.

Angus przyjrzał się im dokładnie. Byli ciemnowłosi, o twarzach pokrytych delikatnym, by nie rzec dekoracyjnym wzorem łusek. Mimo ciemnozielonych mundurów i kamizelek kuloodpornych widać było, że mają własne pancerze kostne pokrywające ramiona oraz złożone z drobniejszych płytek osłaniające głowę. Te ostatnie pokrywały się w ogólnych zarysach z lokalizacją włosów u ludzi. Oczy mieli bursztynowe, dziwnie przypominające ślepią owczarka alzackiego, ale pyski nieco podobne do wilczych kończyły się płasko szerokimi nozdrzami. Zęby mieli białe i mocne, ale typowe dla wszystkożerców, nie dla drapieżników.

Ogólnie rzecz biorąc, najbardziej przypominali ziemskie pawiany, tyle że byli więksi. Tułowia wielkości ludzkich korpusów osadzone na przykrótkich nogach i wyposażone w zbyt długie ręce podkreślały groteskowość ich wyglądu. Na tym podobieństwa się kończyły, kończyny miały bowiem podwójne stawy, nogi zaś wyrastały ze środka szerokich, płaskich stóp. Mieli po trzy palce i kciuk, ale umiejscowiony na zewnątrz, nie wewnątrz.

Byli brzydzy jak kupa po jagodach, sprawiali wrażenie człapiących niezdarnie niczym kaczki, a ich wyposażenie według standardów Federation Marine Corps było bardziej niż przestarzałe. Ale mieli jako wsparcie ciężką broń, pojazdy opancerzone i okręty na orbicie zaopatrzone w broń nuklearną. A więc więcej, niż potrzebowali, by stłumić patetyczną obronę planety w mniej niż osiemnaście godzin. Brutalna sprawność, z jaką zabrali się do organizowania jeńców, nie była już niczym zabawnym.

Zaczęli od wyszukania oficerów i kapelanów, których oddzielono od pozostałych jeszcze przed załadunkiem i przewozem na kontynent. Ponieważ sierżanta majora MacIntosha dwa dni temu zastrzelono za zabicie strażnika, najstarszym rangą w kolumnie został on sam. Dlatego nie ryzykował, choć widok zmaltretowanych drogą cywilów, podzielonych na trzy grupy: mężczyzn, kobiet i dzieci, omal nie doprowadził go do szału tak jak MacIntosha. Uznał, że jego ludzie go potrzebują, nie może więc dać się zabić.

Jeńców nie rozdzielono według płci i nie wiedział, czy to dobry, czy zły znak. Powtarzał jednakże pozostałym to, co było dlań oczywiste – gdyby chcieli ich zamordować, rozstrzelaliby ich zaraz po kapitulacji, oszczędzając sobie trudu. O tym, co mogli dla nich zaplanować na przyszłość, wołał nie myśleć. I nie mówić.

* * *

– Witam Waszą Wielbność – ojciec Waman pochylił się w ukłonie i ucałował pierścień Tanuka.

– Dziękuję, ojcze, ale nie traćmy czasu na ceremonie. Zbyt wiele mamy do zrobienia w służbie Świętej Ziemi.

– Już zaczęliśmy, Wasza Wielbność. Gdybyś, Wasza Wielbność, zechciał przeczytać mój raport.

– W tej chwili wolę ustne sprawozdanie – Tanuk wskazał mu gestem fotel i usadowił się za swoim biurkiem.

– Naturalnie, Wasza Wielbność. Otóż heretyckich przywódców świeckich, duchowych i wojskowych już rozstrzelano. Nie wiem dlaczego, ale byli niezwykle zaskoczeni, zwłaszcza heretyccy księża.

– A pozostali?

– To niestety będzie wymagało czasu, bo ludność nie jest zgrupowana w dużych miastach, ale rozsiana po miasteczkach, wioskach, a nawet pojedynczych gospodarstwach. W tych ostatnich mieszka prawie połowa populacji! Ale już rozpoczęliśmy dzieło boże

oddzielenia dzieci od dorosłych zgodnie z instrukcjami Waszej Wielebności.

– Doskonale! Jeśli dotrzemy do ich umysłów w odpowiednio wczesnym wieku, być może zdołamy nawrócić je na drogę wiary szybko i skutecznie.

– A ojcowie ze Świętej Inkwizycji skończyli budować pierwsze centra reedukacyjne. Za zgodą Waszej Wielebności poleciłem ojcu Shamarowi w pierwszej kolejności skierować do nich jeńców.

– Tak? – Tanuk podrapał się po nosie. – Dlaczego?

– Sądzę, że oni okażą się najbardziej zatwardziali w herezji i na prawdziwą wiarę uda się nawrócić niewielu. Ale pracując nad nimi, nauczymy się wiele, nim zajmiemy się ludnością cywilną. A jeśli już trzeba stracić część owieczek, to jak mówi Pismo, najlepiej spośród tych najmniej przydatnych.

– Prawdę powiadasz – zgodził się Tanuk. – Niech więc tak będzie. Dobrze się spisałeś, ojcze. O czym nie omieszkać w ciepłych słowach donieść Synodowi. Postępuj zgodnie z planem i poinformuj ojca Shamara, że czekam na jego raport.

* * *

Dla Angusa najważniejsze było to, że w obozie znajdowały się łóżka i pierwszy raz od ponad tygodnia nie musieli spać na ziemi, a na dodatek jeszcze byli w miarę czysti, bo zaraz po przybyciu zagnano ich pod prysznic. Ponieważ Thebanie nadal nie rozdzielili jeńców według płci, Angus musiał strategicznie manewrować ściereczką, którą dostał w charakterze ręcznika, bo wylądował pod jednym natryskiem z Caitrin. Był od niej osiem lat starszy i znał ją praktycznie od dziecka, ale cztery lata spędził poza planetą i wrócił dopiero niedawno. A w tym czasie ona studiowała i także wróciła do domu dopiero ostatniej wiosny. I zamiast wysokiej, chudej i płaskiej jak deska dziewczyny, którą pamiętał, zobaczył zgrabną młodą kobietę. Nie miał jednak zamiaru dać jej to w jakikolwiek sposób odczuć. I jak do tej pory dobrze mu się to udawało. A teraz, gdyby nie strategiczne manewrowanie ścierką, zdradziłoby go jego własne ciało.

Leżąc na wąskiej, twardej pryczy w podoficerskim baraku, nie myślał jednak o tym, co zobaczył pod prysznicem, ale o obserwacjach dotyczących lokalizacji obozu. Znajdował się on w pobliżu pozostałości po New Selkirk, u podnóża poszarpanego łańcucha górskiego New Grampians będącego jakby kręgosłupem kontynentu Aberdeen. Wszystkie wyspy na planecie powstały w wyniku osadzania się obumarłych pseudokorali, natomiast podstawę kontynentów stanowił solidny granit. Góry zaś, choć wykonano ich mapy na podstawie zdjęć lotniczych i satelitarnych, były niezbadane, gdyż mieszkańcy woleli nadbrzeżne płaskowyże i bliskość oceanu. Gdyby udało mu się wraz z ludźmi przedostać w góry, przeciwnik dysponowałby jedynie mapami, czyli teorią...

Prychnął cicho, zły na siebie samego za nieuzasadniony optymizm. Aby bowiem wyjść z obozu, trzeba było pokonać trzy ogrodzenia pod napięciem i wartowników z bronią

automatyczną. Co prawda nie widział żadnej wieży wartowniczej ani okopanego stanowiska karabinu maszynowego, ale to niewiele zmieniało, większość jego ludzi nie przeszła bowiem przeszkolenia wojskowego. Byli dobrzy i gdyby posiadali broń, sprawa wyglądałaby inaczej, ale tak były to tylko sny o potędze.

Pozostało mu jedynie czekać i mieć nadzieję.

* * *

– Mam na imię Yashuk – przedstawił się obcy. – I jestem waszym nauczycielem.

Angus i Caitrin wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Yashuk stał na specjalnym podwyższeniu, dzięki czemu jego głowa znajdowała się na poziomie głowy stojącego człowieka, oni oboje zaś siedzieli, skuci kajdankami, na niskich krzeselkach. Metoda uzmysłowienia im charakteru wzajemnych relacji była prymitywna, ale obie strony i tak wiedziały, jak one wyglądają. Poza nimi w małym pokoiku nie było nikogo. Resztę podoficerów podzielono na podobne pary i rozproszono pod strażą, najprawdopodobniej do innych tego typu pomieszczeń.

Yashuk ubrany był w fioletowy habit z kapturem, ale w futerale na prawym biodrze miał niewielki pistolet automatyczny. Na palcu prawej dłoni zaś pierścień z czerwonym kamieniem, w którym odbijały się promienie słoneczne. W prawej dłoni dzierżył gruby, choć krótki metalowy pręt z pokrętłem na rękojeści. Ten właśnie pręt podobał się Angusowi znacznie mniej niż pistolet.

Yashuk zamilkł i przyglądał im się z przekrzywioną głową, najwyraźniej na coś czekając.

– Nauczycielem czego? – spytała Caitrin.

Pytanie najwyraźniej było prawidłowe, gdyż Yashuk skinął głową z aprobatą.

– Dobrze, że spytałaś – oznajmił w idiomatycznym standardowym angielskim, z lekka jedynie zniekształconym drobnymi syknięciami. – Zostaliście sprowadzeni na drogę grzechu i herezji. Wasza rasa opuściła drogę Świętej Ziemi, łącząc się z Szatanem-Chanem, i dlatego tak jak Anioł Saint-Just przyniósł prawdziwą wiarę do mojego świata, tak ja teraz zwracać będę jego dar jego własnej rasie.

Angus mrugnął gwałtownie – Yashuk wygłosił ten stek bzdur z przekonaniem, ale on nic z tego nie rozumiał.

– Przepraszam, Yashuk – Caitrin odezwała się pierwsza, co Angusowi odpowiadało: sam gadatliwy nie był, a ona na dodatek była lepiej wykształcona – ale nie wiem, o czym mówisz.

– Zdaję sobie z tego sprawę – przyznał. – Prawda bowiem została przed wami ukryta, ale zapoznam was z nią. Słuchajcie i słyszcie głos Świętej Ziemi.

Z kieszeni habitu wyjął niewielką książeczkę, odchrząknął zupełnie jak człowiek i zaczął czytać:

– Przez wieki Lud żył w nieświadomości, czcząc fałszywych bogów. Naród z narodem toczył walki o dobra doczesne, ziemię i władzę nad światem. Wszystko to uległo zmianie w

Roku Oświecenia, gdy przybył Święty Wysłannik. Imię jego brzmiało Saint-Just, a wysłany został przez Świętą Ziemię, by jako jej Anioł powiódł Lud drogą światła i wiary. Aliści Szatan-Chan, który nienawidził Świętej Ziemi i dzieci jej wszelakich, napadł na anielską flotę i statków naniszczył, tak iż trzy tylko dotknąć zdołały powierzchni świata, który Anioł ochrzcił, nadając mu nazwę Thebes. Miało to miejsce na wyspie Arawk, a imiona statków to *Starwalker*, *Speedwell* i *John Ericsson*. Atak Szatana-Chana przetrwało niewielu ponad stu Wysłanników i serca ich przepełniała trwoga i zmęczenie, gdy dotarli do Ludu. Aliści misja ich tak wielką była, a Anioł Saint-Just podzielił się z ludem nauką Świętej Ziemi, że garnęli się do nich wszyscy i jako dzieci byli wobec wiedzy jej, którą także dzielił się z nimi dobrowolnie. Zawiesć i strach wywołało to u okolicznych nacji pogańskich, które zdobyć chciały wyspę i prawdziwą wiarę zdławić, ale Posłaniec i towarzysze jego wspomogli lud Arawk, którego prawdziwą wiarę przyjął, i pognębili nieprzyjacioły jego. Działa i czołgi pogan topiły się w ogniu broni, którą Święta Ziemia dała swym wyznawcom, i niezwyciężonymi się stali. Jednak w chwili tego tryumfu Szatan-Chan ponownie uderzył, zarzę strasliwą na świętych zsyłając. A wredna była zaprawdę, bo nikt z Ludu nie zapadł na nią, a święci dziesiątkami umierali, aż żywy został jedynie Anioł Saint-Just i garść jego towarzyszy w ciężkiej rozpaczce pogrążonych. Gdy otrząsnęli się z niej w końcu, zebrali najpilniejszych uczniów swych, a był wśród nich Sumash, książę Arawk, i nauczycieli ich tego, co przekazała im kazała Święta Ziemia. I rzekł wtedy Anioł Saint-Just: „Naucz się sztuk i wiedzy Świętej Ziemi i zbierz Lud, aby jako jeden był. I przygotujcie się, albowiem nadejdzie dzień, w którym Święta Ziemia zażąda, by spłacili dług za Jej dary. Szatan-Chan silny jest i zdarzyć się może, że nawet ją zdobędzie, a wtedy wy Jej Ludem się staniecie, jako my jesteśmy. Silni w wierze wróćcie do Niej jako synowie marnotrawni i porazicie Szatana-Chana, a Ona znów powstanie w chwale i biada będzie dnia onego wszystkim niedowiarkom, zdrajcom i heretykom, bo zebrać ich należy i w czeluście piekielne wtrącić”. Tako rzekł Święty Posłaniec, a Sumash pilnie studiował nauki wszelakie pod jego kierunkiem. Opanował sztukę czytania Świętych Archiwów *Starwalkera* i posiadał wiedzę Świętej Ziemi, ale pamiętał zawsze, że pokornym sługą Jej jest, co wielce Wysłannika cieszyło. I zdarzyło się w Ósmym Roku Świętym, że zaraza Szatana-Chana wróciła wredniejsza niżli za pierwszym razem i powaliła nawet Anioła Saint-Justa i wszystkich towarzyszy jego. Wielka była rozpacz Ludu, a niektórzy uczniowie tak dalece zwątpili w nauki o świętej wojnie, że herezje głosić zaczęli. Sumash wtedy wizji doznał: ujrzał oto samą Świętą Ziemię, która uznała go swym Prorokiem i Mieczem Wysłannika. Poraził tedy uczniów słabego ducha i wygnał ich ze *Starwalkera*, a gdy nadal herezję głosili, zabić kazał. I taki też los każdego heretyka i odszczepieńca czeka.

Yashuk odsapnął i zamknął książeczkę.

– Oto jak Anioł Saint-Just przybył do nas i obarczył nas świętym zadaniem – dodał z rewerencją.

Angus gapił się na niego prawie z otwartymi ustami.

– Tylko widzisz, Yashuk – powiedziała ostrożnie Caitrin. – My nigdy nie słyszeliśmy ani o Aniele Saint-Juście, ani o wierze w Świętą Ziemię.

– Wiemy – przyznał ze smutkiem Yashuk. – Sprawdziliśmy dokładnie wasze archiwa i banki danych. Okazuje się, że prawdziwa wiara została z nich usunięta naprawdę dokładnie. Tak jak przepowiedział Święty Wysłannik, Szatan-Chan pokonał Świętą Ziemię i sprowadził jej dzieci na drogę grzechu.

– Bujdy! – Angus odzyskał głos. – Przecież to myśmy skopali dupę kociambrom!

– Nie używaj w mojej obecności plugawego języka! – oznajmił stanowczo Yashuk.

– Wal się! – prychnął Angus. – Razem z tymi pierdołami, które próbujesz nam wci...

Żółte oczy Yashuka rozbłysły, pręt zahaczał cicho, a Angus wrzasnął i wygięty w łuk zwałił się z krzeselka. Czuł, jakby każdym nerwem płynął mu rozpalony metal, i targały nim takie drgawki, że wił się po podłodze, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Agonia trwała wiecznie i nagle się skończyła, ale dłuższą chwilę trwało, nim przestało mu się kręcić w głowie. Lodowaty głos Yashuka usłyszał jednak wyraźnie:

– Uważaj, poganinie, albowiem choć w podzięce za miłość Wysłannika będziemy uczyć cię prawdziwej wiary, to jeśli zapierać się będziesz i tkwić w ciemnocie, tak jako rzekł, w czeluście piekielne strąconym będziesz. A inni poganie wraz z tobą. Nawróć się na prawdziwą wiarę Świętej Ziemi albo zginiesz.

* * *

Angus nie był specjalnie religijny, a na dodatek doskonale wiedział, że głupotą jest stawianie się Yashukowi, ale wśród jego przodków było zbyt wielu szkockich górali, by przemoc mogła złamać jego upór. I dlatego cierpiał, bo tamten każdy sprzeciw karał użyciem bicia neuronowego, ale nienawiść nigdy nie zniknęła z jego oczu.

Wyglądało na to, że tym razem trafił na kogoś równie upartego jak on sam, bo większość podoficerów zniknęła w przeciągu tygodnia, „wtrącona w otchłań piekielną” przez mniej od Yashuka cierpliwych oprawców. Yashuk nie poddał się jeszcze, choć Angus nie miał większych złudzeń, że gdyby nie Caitrin, sytuacja wyglądałaby inaczej.

Caitrin bowiem desperacko odciągała uwagę Yashuka, zajmując go rozmowami i udając, że trafia do niej to, co opowiada. Niektóre z jej pytań wydawały się sprawiać mu autentyczną przyjemność. W dobry dzień potrafiła skłonić go do parogodzinnych wyjaśnień jakichś teologicznych bzdur, dając Angusowi tyleż godzin spokoju, by odzyskał siły. Wiedział dobrze, że oboje tak samo traktują nawiedzone brednie, tylko ona gra. I jest zdesperowana jego otwartym, upartym odrzucaniem tych nonsensów. Ale byli w końcu różnymi ludźmi – Angus po prostu nie umiał bawić się słowami tak jak ona. A nawet gdyby umiał, nie chciałby.

Mimo iż był świadom, że na dłuższą metę jest bardziej uparty od Yashuka.

* * *

– Jestem zmęczony twoim uporem, poganinie – oświadczył Yashuk, spoglądając z pretensją na Angusa. – Caitrin poszukuje wiedzy i oświecenia, a ty ją powstrzymujesz. Czepiasz się swoich fałszywych zabobonów niczym pomiot Szatana-Chana! Jesteś gotów za nie zginąć? Skazać swą duszę na wieczyste potępienie, nim będziesz w stanie wrócić do swej Świętej Matki Ziemi?

– Odczep się od mojej matki, bo kobity ześ nie znał – burknął Angus. – Dobra była, ale nie świnta i wara ci od niej.

Był zmęczony i choć spoglądał z taką samą jak pierwszego dnia nienawiścią na prześladowcę, miał dość. Wiedział, że Caitrin robiła wszystko, co mogła, by go chronić, ale w ciągu ostatnich dwóch dni zbyt otwarcie stanęła w jego obronie i też posmakowała bata. A ostatnią rzeczą, do jakiej wolno mu było dopuścić, to aby zginęła przez niego.

Dlatego dodał, zanim Yashuk zdołał coś powiedzieć:

– A do mojej duszy ci gówno, bom cię o nic nie prosił. A twoją Świętą Ziemię mam w dupie!

– Błuznierstwo! – wrzasnął Yashuk.

Bicz zahuczał, a Angus zawył, choć starał się nad tym zapanować. Mimo agonii czuł satysfakcję – wiedział, że za chwilę wszystko się skończy i zginie, ale w ten sposób uwolni Caitrin i będzie...

Ból zniknął zastąpiony wysokim piskiem.

I to nie jego własnym. Angus nie bardzo mógł się ruszać, ale oczy zdołał otworzyć.

I zamarł, wytrzeszczając je.

Caitrin zdołała dopaść Yashuka, gdy ten był skoncentrowany na nim, i zarzucić mu skute dłonie na szyję. Ponieważ doskoczyła do niego od tyłu, spinający kajdanki łańcuch, a był on dłuższy niż w ziemskich modelach, dusił go całkiem skutecznie, jako że wyężyła wszystkie siły. Ciągnęła tak mocno, że metal zniknął w fałdach jego skóry, odcinając dopływ tlenu.

Yashuk miotał się dziko. Najpierw próbował uwolnić tchawicę, ale dorobił się jedynie krwawych bruzd, gdyż nawet pazurami nie był w stanie zaczepić o łańcuch. Potem sięgnął za plecy i walił Caitrin biczem raz po razie, używając go jako pałki.

Caitrin jęknęła, gdy któryś z ciosów trafił ją w żebro, ale nie zwolniła nacisku.

Angus spróbował wstać – okazało się, że jest za słaby. Mógł tylko bezsilnie przyglądać się tym śmiertelnym zapasom. Oblicze obcego pociemniało, a jęk przeszedł w charkot. Gwałtownym ruchem uderzył Caitrin opancerzoną głową w twarz, rozkwaszając jej nos i rozcinając usta. Pod dziewczyną ugięły się kolana, ale on też opadł z sił – przyklęknął i upuścił bicz, oburącz próbując złapać łańcuch i odciągnąć go. Była to jego ostatnia próba. Ręce opadły mu bezwładnie.

Za to Caitrin wsparła się kolanem o jego kręgosłup i jeszcze zwiększyła siłę ciągu. Jej zakrwawiona twarz wyglądała niczym maska furii.

Puściła dopiero, gdy jego wytrzeszczone oczy zgasły i zaszyły mgłą, a ciało stało się

zupełnie bezwładne.

I padła bez sił na jego zwłoki.

* * *

Caitrin MacDougall uniosła zapuchnięte powieki i zobaczyła nad sobą pływające oblicze Angusa. I jęknęła, czując, jak głębszy oddech wywołuje ból odbitych żeber.

– Oj, ty kretynko! – powiedział czule, wycierając delikatnie jej twarz mokrą szmatką.

– Ja?! – szepnęła przez opuchnięte, popękane wargi. – Zabiłby cię tym razem.

– Przecież tego chciałem, głupolu. Za bardzo dla mnie ryzykowałeś.

– No to teraz oboje mamy przegwizdane – podsumowała i spróbowała usiąść.

Opadła z jękiem i dopiero po chwili, gdy fala bólu minęła, spytała:

– A co ty tu jeszcze robisz?

– Nie mogłem cię zostawić – odparł całkiem rozsądnie.

– Będziesz musiał. Jeśli się pospieszysz, zdążysz do ogrodzenia. Jeśli spróbujesz mnie nieść, nigdzie.

– Cichaj! Nigdzie nie będę biegał. Ty też nie musisz. Zajęlim się wszystkim.

– My? – zdziwiła się i obróciła głowę.

I zobaczyła spory tłum w brązowych więziennych uniformach, jakie dali im pierwszego dnia po prysznicu strażnicy. Każdy miał w garści jak nie pistolet maszynowy, to karabinek szturmowy albo inną broń thebańskiej produkcji.

– Co...? – wykrztusiła słabo.

– Yashuk miał klucz do kajdanek, nóż i gnata, Katie. – Angus uśmiechnął się paskudnie.

– A wrzaski i wycia toż to normalka. Nikt nie spodziewał się, że któryś z nas zdoła się uwolnić. No to cichcem żem załatwił z tuzin sukinsynów. A potem rozkułem ludzi i jak już mieli broń, to żal było okazję zmarnować.

I wzruszył wymownie ramionami.

– Chcesz mi powiedzieć, że wy...

– Ano. Zdobyłim cały ten cholerny obóz, zaczynając od radiostacji. Więc se możesz spokojnie leżeć, dziewczyno. Mamy nosze i bierzem cię ze sobą.

Rozdział VIII

KWESTIA AUTORYTETU

Bosmanmat Hussein obserwował kapitan, a raczej komodor Avram wchodzącą na pokład hangarowy *Dunkerque* i żał mu się zrobiło pechowca, z którym miała się spotkać.

Wyprężył się w postawie zasadniczej wraz z resztą wachty trapowej, ale Avram praktycznie ich nie zauważyła. Zasalutowała precyzyjnie i całkowicie odruchowo fladze Federacji i przy wtórze świstu trapowego wsiadła do swego kutra. Drzwi zewnętrznej śluzy zamknęły się z sykiem, szczęknięły elektromagnetyczne cumy i kuter powoli ruszył ku wewnętrznym wrotom śluzy.

Bosmanmat Hussein potrząsnął głową – jakiegoś biednego kretyna na powierzchni czekało naprawdę zdrowe manto.

* * *

Hannah Avram zmusiła się do spokojnego siedzenia, choć wewnątrz gotowała się z wściekłości. Całą drogę do Gdańska, stolicy Danzig, spędziła z tego powodu w kompletnym milczeniu, wpatrując się albo w okno, albo w leżącą na kolanach czapkę z nowym obszyciem komodora. Ten awans był podstawą całego planu i na nim oparła swą strategię, choć zdawała sobie sprawę, że jest to nader niepewna podstawa.

Na szczęście komodor Hazelwood okazał się prawdziwą dupą z uszami.

Potrząsnęła głową, nadal nie mogąc uwierzyć ani w całą sytuację, ani w to, ile już udało jej się osiągnąć. Richard Hazelwood pochodził z rodziny o naprawdę pięknych tradycjach w Marynarce Federacji. Dopiero gdy go spotkała, zrozumiała, dlaczego wylądował na takim zadupiu jako dowódca obrony systemu, który nawet w najgorszych koszmarach strategicznych nie powinien zostać zaatakowany. Powód był prosty – wątpiła, czy był w stanie się wysmarkać bez rozkazu przełożonego. I to rozkazu w trzech egzemplarzach.

Już samo pojawienie się w systemie jej eskadry było złym doświadczeniem. Poza swoim okrętem zdołała wyprowadzić z układu New New Hebrides *Kirowa*, ciężki krążownik *Bouvet* i lekki *Atago*, tak więc do systemu New Danzig wleciały cztery i to nie najmniejsze okręty wojenne. A wezwano je do zidentyfikowania się dopiero po dobrych dwóch minutach od

momentu wyjścia z warpa. Wołała nie myśleć, co przez ten czas zdołaliby osiągnąć Thebanie, gdyby znaleźli się na jej miejscu.

Dlatego też wszystkie jej okręty wraz z sześcioma niszczycielami stacjonującymi w systemie zajmowały obecnie pozycje wokół wylotu z warpa i znajdowały się pod dowództwem kapitana Yan, dowódcy *Kirowa*, w stanie pełnej gotowości bojowej.

Jedyną korzyścią, która wyniknęła z tego całego szamba, było to, że Hazelwood nawet nie pisał, gdy przejął dowodzenie. Był wręcz zadowolony, że zdjęła z niego obowiązki głównodowodzącego, opierając się na zasadzie, w myśl której oficer służby liniowej stał wyżej od oficera służby fortecznej tego samego stopnia. Naturalnie Hazelwood musiał wyjść z założenia, że jest komodorem, a nie kapitanem awansowanym do stopnia komodora w polu, czyli czasowo, przez zdesperowanego przełożonego. Hannah miała pełne prawo do noszenia komodorskich dystynkcji i używania tego stopnia, ale dopóki jej awans nie został potwierdzony przez dowództwo Federation Navy Hazelwood był z prawnego punktu widzenia jej przełożonym. Jednakże nawet o to nie spytał, choć w jego bazie danych Avram figurowała jako kapitan. A ona nie uznała za stosowne poinformować go o rzeczywistym stanie rzeczy, bo w ten sposób automatycznie oddałaby się pod jego rozkazy.

O tym, że jej awans został podpisany przez komodora Grissoma, wiedzieli tylko członkowie jej sztabu, z których żaden na ten temat nawet się nie zająknął.

Nikt zresztą się tym nie interesował. Większość wyższych rangą oficerów stacjonujących w systemie Danzig stanowiła przeciwieństwo swego dotychczasowego dowódcy i niemalże z zachwytem przyjęła zmianę na stanowisku głównodowodzącego obrony systemowej.

Teraz jednakże, gdy minęły trzy dni i Hazelwood zapanował nad pierwszym atakiem paniki, zaczął być prawdziwym wrzodem na dupie. Dowodził dwunastoma fortami *Typu III*, które choć mniejsze niż forty umieszczone w systemach Linii, i tak były znacznie lepiej uzbrojone i opancerzone od pancerników. Na dodatek chroniły je pola minowe tak gęste, że Hannah w pierwszej chwili uznała dane za błędne. Hazelwood był w związku z tym odpowiedzialny za obronę piętnastu milionów obywateli Federacji. A przynajmniej był do momentu, w którym nie przejął dowodzenia. I ktoś taki chciał wysłać jednostkę kurierską przez warpa w celu „przedyskutowania warunków” z Thebanami!

Stłumiła kolejne przekleństwo.

Już samo posiadanie idioty jako zastępcy było fatalne, ale Hazelwood na dodatek miał bliskie powiązania z lokalnym rządem. Trudno się było temu dziwić, skoro od sześciu lat standardowych tu stacjonował, ale nie znaczyło to, że musiał mieć taką samą opinię jak tenże rząd. A gotowa była się założyć, że pomysł nie był jego, tylko prezydenta Wyszyńskiego. Albo raczej Wiktora Tokarowa, bo to on tu wszystkim rządził.

Będąc u szczytu formy, Wyszyński mógł na przykład samodzielnie zdecydować, na jaki kolor mają mu pomalować gabinet. Wszystko inne zależało od dyrektora Cracow Mining Company. Danzing został pięćdziesiąt standardowych lat temu zasiedlony przez polskich

neonarodowców, ale niewiarygodne bogactwa naturalne planety szybko przyciągnęły tu Tokarov Mining Consortium z New Detroit. Korporacja przyczyniła się naprawdę solidnie do szybkiego uprzemysłowienia systemu, ale równocześnie dopilnowała, by Danzig stał się Planetą Korporacji.

Dzięki pieniądzom Tokarowa Wyszyński mógł zostać kolejny raz prezydentem, leżąc już w trumnie. Miało to i drugą stronę: gdyby zirytował Tokarowa, nie znalazłby zajęcia nawet jako hycel. Zakładając naturalnie, że na planecie żyło dość psów, by taki specjalista był tam w ogóle potrzebny.

Pomysł musiał pochodzić od Tokarowa, bo na taki idiotyzm mógł wpaść tylko bankier albo biznesmen z bożej łaski. Oczywiście ani on, ani Wyszyński i Hazelwood nie wierzyli do końca w relacje z Lorelei czy w to, co ona im opowiedziała o obronie New New Hebrides. I do żadnego z nich nie dotarło, że mieliby większe szanse, próbując negocjować z tygrysem szablającym albo z *zegetem*.

Droga upłynęła jej na podobnie radosnych rozmyślaniach nawet szybko i ani się obejrzała, gdy kuter znalazł się na płycie planetarnego portu kosmicznego, dołączając do dobrego tuzina promów i kutrów Marynarki Federacji. Większość niedawno wylądowała i z ich otwartych ramp desantowych wylądowywali się właśnie Marines przesiadający się do mniejszych pojazdów atmosferycznych.

Widząc to, uśmiechnęła się lekko. Jej najnowszy pomysł omal nie doprowadził jej własnego sztabu do zapaści nerwowej, ale do roboty wzięli się wszyscy. Najlepszy okazał się Danny, który nie dość że opracował całą logistykę, to wraz z prawnikiem, komandor Bandaranaike, znalazł furtkę umożliwiającą wprowadzenie pomysłu w życie w pełnym majestacie prawa. Hannah nie miałaby żadnych oporów, nawet gdyby musiała naginać to prawo do potrzeb – Grissom polecił jej obronić New Danzig. Skoro sam zginął, próbując bronić systemu zamieszkanego przez ludzi w liczbie równej jednej trzeciej populacji tego, w którym się znajdowała, miała zamiar wykonać jego ostatni rozkaz.

Nawet wbrew woli rządu planetarnego.

* * *

Wiktor Tokarow obserwował komodor Avram uważnie od chwili, w której przekroczyła próg. Starannie ułożyła na stole konferencyjnym teczkę i czapkę, potem usiadła i uśmiechnęła się niczym uosobienie spokoju. Brał jednak udział w zbyt wielu spotkaniach, aby dać się zwieść – zdradzała ją zbyt duża samokontrola. Starannie ukrył uśmiech, wiedząc, że jest w tego typu aktorstwie znacznie lepszy i mógłby ją wiele nauczyć. Tyle że nie miał najmniejszego zamiaru. Chciał dać jej lekcję pogładową, a nie wprowadzać w tajniki fachu zawodowych negocjatorów.

Prezydent Józef Wyszyński ukłonił się jej uprzejmie w przeciwieństwie do Hazelwooda, którego zachowanie jednoznacznie świadczyło, że chce się jak najbardziej zdystansować od

całej rozmowy. Tokarow w sumie żałował, że Avram znalazła się w takiej sytuacji. Z racji wielu cech charakterologicznych byłaby cennym sojusznikiem. Gdyby pobyła dłużej w systemie, dałoby się jej wytłumaczyć, jak nierozsądny jest pomysł „bronienia” Danzigu. Żaden pojedynczy system planetarny nie był w stanie przeciwstawić się potędze, która zniszczyła trzecią część Battle Fleet i tak szybko wdarła się tak głęboko w obszar Federacji. Znacznie mądrzejszym rozwiązaniem było dogadanie znośnych warunków kapitulacji, która pozwoliłaby ocalić oszczędzić infrastrukturę, i ludność ma się rozumieć, od bezsensownego zniszczenia. W końcu flota prędzej czy później zjawi się, by ich uratować.

– Dziękuję za przybycie, komodor Avram – zagaił prezydent. – Doceniam, że znalazła pani czas mimo takiego nawału zajęć, jaki pani z pewnością ma.

– To żaden problem – zapewniła go z wymuszonym uśmiechem. – I tak planowałam w najbliższej przyszłości wizytę. Co prawda chciałam później wyłączyć *Dunkerque* z obrony wyjścia z warpa, ale w końcu okręt musiał trafić do stoczni z powodu konieczności dokonania napraw, więc skorzystałam z okazji.

– Aaa... rozumiem – Wyszyński odchrząknął. – Przechodząc zaś do kwestii, o której, jak sądzę, rozmawiał z panią komodor Hazelwood, z punktu widzenia rządu planetarnego rozsądny wydaje się pomysł, by...

– Przepraszam, panie prezydencie – przerwała mu spokojnie Hannah. – Zakładam, że mówi pan o sugestii komodora Hazelwooda, abyśmy wynegocjowali z Thebanami lokalny *modus vivendi*?

Wyszyńskiego na moment zatkało, gdy mu przerwała, ale szybko nad sobą zapanował.

– Cóż, może nie ująłbym tego w ten sposób, ale o to właśnie chodzi – potwierdził. – Jak rozumiem, jest pani przeciwna temu pomysłowi. Jako najwyższy rangą oficer w systemie ma pani prawo do innej oceny sytuacji taktycznej, ale uważam, że...

– Jeszcze raz przepraszam – znów weszła mu w słowo, zyskując niechętnie uznanie Tokarowa za sprawność, z jaką zbiła prezydenta z pantałyku i wzmocniła własny autorytet. – Ale takie negocjacje bez zgody prezydenta Federacji czy Zgromadzenia Legislacyjnego są czymś znacznie poważniejszym niż taktyczna decyzja.

– Zdajemy sobie z tego sprawę – odparł nieco opryskliwie Wyszyński. – Tylko że prezydent Sakanami i Zgromadzenie Legislacyjne znajdują się na Ziemi, nie tutaj.

– Zgadza się, ale jakiegokolwiek negocjacje z wrogiem leżą wyłącznie w gestii rządu federalnego, nie zaś rządów lokalnych planet zgodnie z artykułem siódmym konstytucji Federacji.

Wyszyński zamarł z otwartymi ustami.

A niechętny szacunek Tokarowa wzrósł. Mimo to sam przystąpił do rozgrywki.

– Ma pani rację, komodor Avram, ale choć występuję tu wyłącznie w roli doradcy do spraw ekonomicznych i przemysłowych, ośmielę się zauważyć, że konstytucja nie przewiduje podobnej sytuacji jak nasza, gdy pojedynczy system zostaje odcięty od Federacji przez wrogie

siły. A Danzig jako skonfederowana planeta nie ma federalnego gubernatora ani też oficjalnego przedstawiciela władz wykonawczych Federacji.

– Rozumiem – Hannah przekrzywiła głowę z namysłem i dodała: – Uważa pan, że wobec braku takich oficjalnych przedstawicieli rząd planetarny musi w związku z zaistniałą sytuacją prowadzić własną politykę zagraniczną do momentu odzyskania kontaktu z władzami Federacji.

– Właśnie – odrzekł szybko Wyszyński.

– Rozumiem... – powtórzyła Hannah i otworzyła teczkę. – Prawdę mówiąc, panowie, nie przybyłam omawiać konkretnie tej kwestii. Zamierzałam zapoznać panów z planem zawartym w tej teście, a zawierającym szczegóły przewidywanych napraw i prac konstrukcyjnych. Biorąc pod uwagę potencjał przemysłowy systemu, sądzę, że z łatwością zdołamy w ciągu dwóch miesięcy potroić gęstość obecnie istniejących pól minowych. Następnie chciałabym skoncentrować wysiłek na budowie niszczycieli i lotniskowców eskortowych, gdyż wątpię, byśmy mieli czas na zakończenie konstrukcji większych jednostek. Wydaje mi się, że wyniknąłby problem ze znalezieniem wystarczającej liczby osób, by takie jednostki obsadzić załogami, gdyż tutejsza populacja jest niezbyt liczna. Dlatego też sądzę, że możemy zostać zmuszeni do przywrócenia poboru, naturalnie jedynie na czas trwania wojny. I o tym właśnie chciałam z panami porozmawiać.

Cała trójka przyglądała się jej w osłupieniu – nawet Tokarow stracił na moment dar wymowy.

Hannah uśmiechnęła się do nich i dodała:

– No, ale skoro uważacie, panowie, że musimy najpierw zająć się sprawą tych negocjacji, to naturalnie jestem do usług.

Wyszyński zamrugał gwałtownie powiekami. Pewność siebie i zagrywka Avram zupełnie nie pasowały do apolitycznego oficera Federation Navy. Tokarow zaś zmuszony był przyznać, że nie docenił jej – zachowywała się niczym doświadczony polityk i najwyraźniej Józef też do tego wniosku doszedł, bo nie odezwał się, toteż sam musiał załatwić sprawę.

– Mając na względzie interesy przemysłu Danzig, naturalnie z wdzięcznością zajmę się produkcyjną stroną pani planu, ale myślę, że najpierw powinniśmy ustalić, jak ten plan ma się do zamiarów rządu negocjowania z Thebanami.

– Nie ma sensu tego ustalać, panie Tokarow, ponieważ, widzi pan, nie będzie żadnych negocjacji.

– Przepraszam?! – zdziwił się Wyszyński, czerwieniejąc ze złości. – Z całym szacunkiem, komodor Avram, ale to kwestia polityczna i prawna, a nie militarna.

– Wbrew pozorom nie, panie Tokarow – w głosie Hannah zadźwięczały nagle stalowe nutki. – To przede wszystkim jest kwestia militarna. Ja zresztą nie ustosunkowałam się wyłącznie do jej czysto wojskowego aspektu, ale też do prawnego i politycznego.

– A to w jaki sposób, jeśli można wiedzieć? – spytał Tokarow.

– A w taki, panie Tokarow. – Wyjęła z teczki niezbyt grubą książkę i podała mu przez stół.

Tokarow spojrział na nią zaskoczony.

– To kodeks wojskowy – odczytał tytuł, próbując zyskać na czasie.

– Zgadza się. Może pan odczytać artykuł pięćdziesiąty trzeci? – spytała.

Tokarow zaczął wertować strony w poszukiwaniu go, a ponieważ chwilę to trwało, Avram znów przejęła inicjatywę:

– Ponieważ to jedyny egzemplarz, jakim dysponuję, zaoszczędzę nam wszystkim czasu, cytując rzeczony artykuł z pamięci: „Najstarszy rangą obecny oficer Marynarki Federacji powinien w przypadku braku stosownego przewodnictwa władz cywilnych, opierając się na własnej ocenie sytuacji, tworzyć lokalną politykę wojskową i wspierającą zgodnie ze zrozumieniem sensu ostatnio otrzymanych rozkazów”. Taka jest treść artykułu 53.

Tokarow przestał go szukać. Nie miał wątpliwości, że zacytowała go dosłownie, choć nadal nie rozumiał, do czego zmierzała. Coraz mniej mu się to jednak podobało, gdyż oczywiste było, iż zjawiała się przygotowana i była zbyt pewna siebie, by nie miała czegoś paskudnego w rękawie.

– Nie bardzo pojmuję, jak ten artykuł odnosi się do spornej kwestii – odezwał się Wyszyński. – Nie rozmawiamy o polityce militarnej, ale o decyzji politycznej podjętej przez legalne władze lokalne. W tym artykule jest nawet mowa o „stosownych władzach cywilnych”, czyli o nas!

– Z całym szacunkiem, panie prezydencie, ale zmuszona jestem się z panem nie zgodzić – odparowała spokojnie i Wyszyński zamarł z otwartymi ustami. – Dokument, którego artykuł zacytowałam, stanowi podstawę prawną Marynarki Federacji. Jest to więc kodeks prawny ułożony co prawda przez Admiralicję, ale zatwierdzony przez Zgromadzenie Legislacyjne, stanowi więc część praw Federacji obowiązujących wszystkich jej członków. A zgodnie z artykułem drugim konstytucji prawo federalne zawsze jest ważniejsze od praw lokalnych. Dlatego też nie jestem ograniczona pańskimi pragnieniami czy życzeniami pana Tokarowa w tworzeniu „polityki wojskowej i wspierającej”. A w rzeczy samej to ja jestem bezpośrednim przedstawicielem rządu Federacji, a pan jedynie najwyższym rangą urzędnikiem władz lokalnych. Prawda, panie prezydencie?

– Cóż... no, sądzę, że to brzmi sensownie w pewien sposób, choć nigdy nie zetknąłem się z taką interpretacją... – wykrztusił Wyszyński. – Prawo konstytucyjne nie jest moją specjalnością i nie chciałbym zajmować nie przemyślanego stanowiska.

– Zdawałam sobie z tego sprawę, przedyskutowałam więc tę sprawę z prawnikiem wojskowym przydzielonym do mojego sztabu – poinformowała go Avram, starannie maskując uśmiech. – Za jej poradą odsyłam pana do spraw „Hargod – Federacja” i „Lutwell’s World – Federacja”. W obu przypadkach Sąd Najwyższy zdecydował, że najwyższy rangą oficer był bezpośrednim reprezentantem rządu Federacji. Jestem pewna, że pański prokurator

generalny dostarczy panu kopie tych wyroków z uzasadnieniem.

– No dobrze, ale nadal nie rozumiem, jak pani prawo do ustalania polityki militarnej ma się do czysto politycznej decyzji negocjowania z Thebanami.

– W takim razie proszę jeszcze raz przeczytać artykuł pięćdziesiąty trzeci, a zwłaszcza jego fragment – poradziła mu Avram, już nie kryjąc wesołości.

Zaczynało jej to sprawiać satysfakcję, co było dość dziwne – nigdy nie podejrzewała siebie o skłonności sadystyczne.

– Który jego fragment? – warknął Wyszyński.

– Ten dotyczący „polityki wojskowej i wspierającej” – odparła miękko. – Chciałabym pana poinformować, bo widzę, że nie zrozumieliśmy się dokładnie, że mam zamiar bronić systemu New Danzig i przeszkodzić wdarciu się tu sił thebańskich. A to jest decyzja czysto militarna, a więc taka, do której jestem w pełni uprawniona. Wyklucza to z kolei jakiegokolwiek negocjacje z wrogiem, toteż jako osoba mająca ustalać zasady polityki wspierającej decyzje militarne zmuszona jestem prosić, by zaprzestał pan zajmowania się problemem negocjacji, a skupił się na moich wymaganiach produkcyjnych, które zaczęłam przedstawiać.

– Zaraz! Moment! – wtrącił ostro Tokarow. – Chyba nie sugeruje pani poważnie, że legalnie wybrany rząd planetarny powinien pozwolić, by oficer floty dyktował mu, co ma robić!

– Ujmując rzecz brutalnie, to właśnie powiedziałam, panie Tokarow. Z jedną poprawką: „sugeruje” nie jest właściwym słowem. Ja po prostu was poinformowałam, że przejmuję władzę. Tak to należy rozumieć.

– To... to śmieszne! – prychnął Wyszyński. – To czysty idiotyzm! Pani ma takie samo prawo dyktować cywilnej władzy, co ta ma robić, jak... jak...

Zawahał się i zamilkł.

Tokarow spojrzał na Avram zmrużonymi oczyma i bez śladu wesołości.

– Jak sądzę, prezydent Wyszyński chciał powiedzieć, że choć reprezentuje pani siły zbrojne Federacji, nie ma pani podstaw do uzurpowania sobie władzy cywilnej – powiedział zimno.

– Wręcz przeciwnie. – Hannah wyjęła z teczeki opasłe tomisko i z hukiem umieściła je na blacie. – Oto *Zbiór przepisów prawnych i precedensów z komentarzem Marynarki Federacji Ziemskiej* tom XLVIII.

– A co to, jeśli wolno spytać, ma wspólnego ze sprawą?

– A to, panie Tokarow, że zgodnie z tymi przepisami najstarszy rangą oficer Marynarki Federacji obecny w systemie staje się najwyższym rangą cywilnym przedstawicielem Federacji w przypadku braku stosownych władz cywilnych. Odsyłam pana do wyroku w sprawie Anderson – Medlock, Travis, Suchien, Czernow i pozostali, znanej jako „precedens *Starquesta*”. Ponieważ uzgodniliśmy, że w całym systemie nie ma przedstawiciela władz Federacji, muszę uznać samą siebie za takowego. Oto proklamacja przygotowana przez

mojego oficera prawnego i przeze mnie, ogłaszająca przyjęcie przeze mnie stanowiska gubernatora systemu Danzig w imieniu rządu Federacji!

I wyjęła z teczki kolejny dokument.

– Zwariowałaś?! – Hazelwood odezwał się pierwszy raz w czasie tego spotkania. – To bezprawne! Odmawiam słuchania podobnych...

– Komodorze Hazelwood – powiedziała dziwnie miękko Avram. – Właśnie naruszył pan artykuły siódmy, ósmy i czternasty kodeksu wojskowego. Jestem pana dowódcą i będzie się pan do mnie zwracał w przepisowy sposób albo każę pana aresztować. Czy pan mnie zrozumiał, komodorze Hazelwood?

Hazelwood pod jej spojrzeniem zapadł się w sobie i ograniczył do mamrotania czegoś niezrozumiałego pod nosem. Hannah zignorowała go i skoncentrowała uwagę na Tokarowie, przestając udawać, że Wyszyński ma cokolwiek do powiedzenia.

– Komodor Hazelwood został zwolniony z dowodzenia fortyfikacjami stałymi systemu Danzing godzinę temu – oznajmiła, patrząc na zegarek. – Jego obowiązki przejął kapitan Isaac Tinker dotąd dowodzący ciężkim krążownikiem FNS *Bouvet*. Naturalnie po przekazaniu dowództwa okrętu swemu zastępcy. Komodor Hazelwood objął nowe stanowisko: został moim oficerem łącznikowym przy kompleksie przemysłowym systemu Danzig. Jestem pewna, że nowe obowiązki będzie wykonywał równie sumiennie jak dotychczasowe.

– Nie uda się to pani, komodor Avram – ostrzegł cicho Tokarow.

– Pani gubernator Avram, jeśli już chce mnie pan tytułować – odparła Hannah spokojnie. – W tej chwili pełnię tę funkcję. A poza tym już mi się udało, jak był pan łaskaw to określić. Nie licząc jednego czy dwóch defetystów, wszyscy oficerowie oraz cały personel floty nie są zainteresowani negocjacjami z wrogiem. Dotyczy to także oficerów, podoficerów i szeregowych Federation Navy Marine Corps.

Tokarow przełknął ślinę, widząc, że Avram ponownie sięga do teczki. Tym razem wyjęła z niej komunikator, włączyła go i poleciła:

– Może pan wejść, majorze.

Drzwi sali konferencyjnej otworzyły się i do środka weszło jedenastu Marines w pełnym rynsztunku bojowym i z bagnietami na broni. Zajęli pozycję wzdłuż wszystkich ścian i zamarli w bezruchu, nie zwracając absolutnie żadnej uwagi na siedzących przy stole.

– Teraz, panowie – głos Hannah wyrwał pozostałą trójkę z osłupiałego gapienia się na Marines – sądzę, że skończyliśmy.

I zamknęła z trzaskiem teczkę.

– To... to jest bunt! – Wyszyński odzyskał głos. – Zdrada!

– To, panie prezydencie, jest konstytucyjne przekazanie władzy zgodnie z precedensami prawnymi udokumentowanymi w leżących na tym stole papierach.

– To jest nonsens! – Tokarowowi także puściły nerwy, choć nie okazał tego krzykiem. – To oczywiste użycie siły, by pozbawić władzy legalnie wybrany rząd!

– Jest to kwestia punktu widzenia, panie Tokarow. I proponowałabym, żeby skonsultował się pan z prawnikami, zanim publicznie zrobi pan z siebie durnia. Jeśli przekroczyłam swoje kompetencje, jestem pewna, że zarówno Admiralicja, jak i Zgromadzenie ukarzą mnie za to, gdy odzyskamy kontakt z Federacją. Póki co jednak mamy wojnę do stoczenia i organy Federacji obecne w tym systemie, czyli jednostki Marynarki Federacji i Marines, są gotowe wypełnić swój obowiązek zgodnie z moimi rozkazami, jak też zgodnie z przysięgą nakazującą im bronić planety Federacji i stać na straży jej konstytucji. I to, obawiam się, powoduje, że pańskie obiekcje są bez znaczenia.

– Moi ludzie nie zgodzą się na to, a bez nas nie będzie zaplecza przemysłowego umożliwiającego realizację tej zwiariowanej polityki!

– Myli się pan. Personel kierowniczy być może odmówi wykonania moich poleceń, ale pracownicy niższego szczebla nie – i oboje doskonale o tym wiemy. Na wszelki wypadek jednostki Marines właśnie obsadzają pańskie biura i główne dyrekcje zakładów przemysłowych. Każdy akt sabotażu czy czynnego oporu spotka się z użyciem siły, a w razie konieczności także z użyciem broni. Może pan oczywiście zdecydować się na stawianie biernego oporu wraz z podwładnymi i nie współpracować ze mną. Wtedy każę was wszystkich zamknąć, a gdy odzyskamy kontakt z Federacją, zamelduję o wszystkim przełożonym i złożę doniesienie do władz cywilnych. Po zakończeniu tej wojny zarówno moje, jak i pańskie poczynania zostaną stosownie ocenione. Przyznam, że o ocenę swoich nie obawiam się specjalnie. Wybór należy do pana.

I zamilkła, patrząc mu spokojnie w oczy.

A po długiej chwili Tokarow spuścił wzrok.

– W takim razie uważam, panowie, że załatwiliśmy wszystkie bieżące sprawy – oświadczyła Hannah, wstając i sięgając po czapkę i teczkę. – Życzę miłego dnia.

Po czym wyszła, nie czekając, aż któryś z nich oprzytomnieje na tyle, by się odezwać.

Rozdział IX

IWAN GROŹNY

Prom zakończył podejście i wylądował z gracją oraz oczywiście bezbłędnie. Zewnętrzne drzwi śluzy otworzyły się i na oświetloną blaskiem słońca płytę lądowiska planety Galloway wyszła pojedyncza postać.

Admirał floty Iwan Nikołajewicz Antonow był ponadprzeciętnego wzrostu, ale zdawał się być niższy z powodu szerokich barów i reszty sylwetki sprawiającej nieodparte wrażenie masywnej i gęstej, choć to nieco dziwnie brzmiało w odniesieniu do człowieka. Wygląd i sposób poruszania się sugerowały niepowstrzymany żywioł – i taką też miał reputację. Tym razem jednak szedł w miarę statecznie – stanął u podnóża rampy i zsalutował niczym na paradzie staremu mężczyźnie w cywilnym ubraniu przewodzącemu komitetowi powitalnemu. Zwykle nie zadawał sobie takiego trudu, spotykając ministrów... ale Howard Anderson nie był takim sobie zwykłym ministrem.

– No – warknął Anderson. – Nie spieszyło ci się tym razem.

– Otrzymałem rozkazy, by zjawić się tu „nadzwyczaj pilnie” – odparł dudniącym basem zganiony. – Ale przed odlotem musiałem zakończyć pewne sprawy administracyjne... a kapitan Quirino podejrzewa, że pobił nowy rekord na tej trasie.

– To czego stoisz na słońcu i pieprzysz trzy po trzy?

Reszta obecnych zeszytniała, a młodziutki chorąży stojący obok Andersona zbladł jak płótno.

– Rusz dupę do budynku, a po drodze załatwimy formalności – burknął Anderson. – Admirała Stevensona już znasz, dowodzi teraz Stoczną, do której masz zaproszenie. A ten tu to...

Od I wojny międzyplanetarnej rozrastający się kompleks stoczniowy Marynarki Federacji na archipelagu Jamieson nazywano po prostu Stoczną.

Antonow bez słowa protestu wykonał polecenie, słuchając kolejnych przedstawień.

* * *

Anderson i Antonow w kompletnym milczeniu szli do drzwi luksusowego gabinetu

przeznaczonego do wyłącznego użytku tego pierwszego. Chorąży, który cały czas znajdował się w pobliżu Andersona, pospieszył, by je otworzyć, ale ten szturchnął go końcem laski w plecy, nim młodzieniec dotarł do drzwi. Szturchnięcie było znacznie delikatniejsze, niż wyglądało, ale wmurowało chorążego w podłogę.

– Jeszcze nie jestem takim niedorajdą, żebym nie potrafił otworzyć cholernych drzwi, Mallory! – poinformował go zgryźliwie Anderson. – No dobrze, dobrze, wiem, że chciałeś jak najlepiej, Andy.

– Tak, sir i...

– Admirał Antonow i ja dogadamy się bez pośredników i sekundantów – burknął łagodnie Anderson. – Idź irytować midszypmen Gonzales albo co.

– Tak, sir. – Mallory uśmiechnął się szeroko i czym prędzej odmaszerował... po naciśnięciu klawisza otwierającego drzwi.

Anderson zmełł w ustach przekleństwo i gestem zaprosił Antonowa do wnętrza. Wszedł za nim, walnął w przycisk zamykający drzwi i za pomocą laski opuścił się w głęboki fotel.

– Szczeniak! – prychnął i spojrzał na Antonowa. – No to część oficjalną mamy już za sobą. I całe szczęście. Poznałeś, kogo miałeś, a teraz możemy normalnie porozmawiać.

– Też się cieszę. – Antonow rozpiął kołnierzyk i wziął namiar na sownicy zaopatrzonej barek. – Utrzymywanie wizerunku upierdliwego starego sukinsyna musi być równie uciążliwe co ciągłe udowadnianie, że masz rację, sprzeciwiając się durnym pomysłom. Czy oni tu nie mają uczciwej wódki?! Aa! Uchowała się... „Stolicznaja”, i to taki kawał drogi od domu, sierota jedna! Ale pieprzu nie ma!

Po ostatnim zdaniu rozejrzał się oskarżycielsko.

Andersonem aż zatrzęsło ale nie skomentował tego.

– Mnie nalej bourbona, jeśli jeszcze jakiś został. Wiesz, jaki jest problem z flotą i to od samego momentu jej powstania?

– Nie, ale jak cię znam, to zaraz się dowiem.

– Za dużo cholernych ruskich w dowództwie! Przecież wy w głębi serca dalej jesteście komunistami!

Anderson był jednym z niewielu żyjących, którzy rozumieli, co to słowo oznacza, za to Antonow, służąc pod jego rozkazami, dokładnie przestudiował historię. Teraz słysząc opinię rozmówcy, zrobił coś, co większość znających go uznałaby za niemożliwe – uśmiechnął się.

– A do tego za dużo jankeskich kapitalistów i podżegaczy wojennych! – odpalił, niosąc butelkę i dwie szklanki, z czego jedną z bourbonem do stolika, przy którym siedział gospodarz. – Z których ostatnim chodzącym, a raczej drepczącym egzemplarzem jesteś ty! W ciągu ostatnich lat zacząłeś zresztą dziwnie przypominać tego jak mu tam... Dziadka Sama?

– Wujka Sama – uśmiechnął się Anderson. – Blisko.

Była to naprawdę stara wymiana przycinków, ale spowodowała rzeczywistą sytuacją.

Rząd Federalny Ziemi, czyli bezpośredni poprzednik rządu Federacji Ziemskiej, po

zakończeniu Wielkiej wschodniej wojny i likwidacji ONZ stworzył własne siły zbrojne. Do ich wzmocnienia przyczyniły się dwadzieścia lat później Chiny próbujące wyłamać się spod jego władzy. Wojna chińska była ostatnią zorganizowaną jatką na Ziemi, ale w jej efekcie błyskawicznie zredukowano siły zbrojne poszczególnych państw członkowskich Zjednoczonej Ziemi do stanów czysto symbolicznych.

Jako że chińska armia przestała istnieć, najliczniejsze były amerykańska i rosyjska, toteż i największa liczba zredukowanych oficerów pochodziła właśnie z nich. Było rzeczą nieuniknioną, że wszystkie służby paramilitarne i militarne, z których potem powstała Federation Navy, obsadzone zostały właśnie przez tych pozbawionych zajęcia zawodowców. Naturalnie nie wyłącznie, ale w większej części. Sytuacja ta dotyczyła także późniejszego okresu, gdy do służby wstępowali ich potomkowie. Nawet obecnie, dwieście pięćdziesiąt lat po tych wydarzeniach, gdy rasy i narody wymieszały się, a kwestia przynależności państwowej przodków była jedynie ciekawostką (przynajmniej na Planetach Wewnętrznych), potomkowie Amerykanów i Rosjan stanowili większość wśród oficerów Marynarki Federacji.

– I zaczynam czuć się równie staro jak on – dodał Anderson. – Natomiast ty wyglądasz kwitnąco: zupełnie jak śledzik zakonserwowany w wódce.

Podobnie jak cały personel floty, który zadeklarował chęć emigracji na Planety Pogranicza, Antonow nieomal od wieku młodzieńczego poddawany był kuracji antystarzeniowej, dzięki czemu mając siedemdziesiąt dwa lata standardowe, wyglądał, jakby dobijał dopiero do czterdziestki. Teraz, słysząc komplement, wrzucił ramionami i opadł w fotel naprzeciwko gospodarza.

– Robię, co mogę – przyznał skromnie, po czym spojrzał na Andersona z wyrzutem. – Marnujemy czas na plotki, zamiast się wreszcie napić! Dalej, do roboty, Howard, matkojebco, twoje zdrowie!

I uniósł szklanę.

Wypili obaj, tyle że Antonow do dna, a Anderson znacznie ostrożniej, mrużąc coś niepochlebnego o łapiduchach i konowalach.

– O właśnie, to następna rzecz, której u was nie rozumiem – zauważył Anderson. – Dlaczego po prostu nie powiecie, kiedy chcecie się napić? Co ma do wódki moja matka i toasty? Ale muszę przyznać, że idiomy rosyjskie bywają piękne. Matkojebca: zwięzłe i konkretne.

– Prawda? – ucieszył się Antonow, napełniając swoją szklanę. – Żebyś ty jeszcze znał naszą piękną i nieporównywalną z żadną inną literaturę...

– Przeczytałem jedną rosyjską powieść – przerwał mu rzeczowo Anderson. – Przez siedemset osiemdziesiąt trzy strony ludzie o niewymawialnych nazwiskach nic nie robią, tylko pieprzą o bzdurach. A potem umiera czyjaś ciotka i książka się kończy. Na szczęście!

Antonow ze smutkiem potrząsnął głową.

– Ot, beznadziejny przypadek. Howard, ty niekulturny jesteś, ot co!

– Ja cię tu, gówniarzu, zaraz kultury nauczę! – zagroził Anderson z błyskiem rozbawienia w oczach.

Na moment czas się cofnął i znów była II wojna, gdy to w przeddzień bitwy o Ophiuchi Junction szef sztabu Andersona, wówczas komandor, Nikołaj Borysowicz Antonow, dowiedział się o narodzinach syna. Popili tego tego wieczora, a bitwę stoczyli na naprawdę ciężkim kacu. Nikołaj przeżył i kaca, i bitwę. A pod koniec III wojny prezydent poznał powód tego pijaństwa: świeżo upieczonego podporucznika... który teraz siedział naprzeciwko niego, pił i żartował zupełnie jak ojciec...

Kolejny raz przyszło mu do głowy, że ma zbyt dużo wspomnień – ludzie nie powinni żyć tak długo, bo głupiej. Jeśli tak dalej pójdzie, jeszcze zostanie dewotem!

Przyglądający się gospodarzowi znacznie uważniej, niż to okazywał, Anderson wyczuł zmianę jego nastroju, więc spytał:

– Jak źle jest naprawdę, Howard? Nawet przy tej technice wiadomości i tak są przestarzałe, gdy do nas docierają. Wiem, co się stało z admirałem Li, a poza tym praktycznie nic pewnego.

– W takim razie wiesz, że straciliśmy trzecią część floty – odparł ponuro Anderson. – Według ostatnich ocen wywiadu na podstawie odczytów sensorów okrętów, które zdołały uciec z Lorelei. Wygląda na to, że Thebanie dysponowali w ostatniej fazie bitwy większymi siłami niż Chien-lu na jej początku.

Antonow zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

Anderson zaś pokiwał głową i dodał:

– Właśnie. Jak dotąd zidentyfikowaliśmy dwanaście superdreadnoughtów, osiemnaście pancerników i ponad dwadzieścia krążowników liniowych. A mogę się założyć o każdą kwotę, że nie widzieliśmy wszystkiego. Wygląda na to, że w jednostkach eskortowych mamy przewagę, ale to akurat żadne pocieszenie. To, o czym wiemy, właściwie równoważy w obecnej chwili siły obu stron w okrętach liniowych. Nie zaobserwowano, by posiadali jakiegokolwiek lotniskowce, ale my w Lorelei z kolei straciliśmy ich więcej niż okrętów liniowych. Do tego to oni mają inicjatywę i zajmują doskonałą pozycję praktycznie w samym środku naszego obszaru, toteż w dowolnym momencie mogą szybciej skoncentrować siły. Możesz sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji strategicznej się znaleźliśmy.

Wstał, podpierając się laską, i wziął z biurka pilota. Nacisnął guzik i nad biurkiem pojawiła się holomapa przedstawiająca szlaki przez warpy.

– Jest przynajmniej tak źle, jak podejrzewasz. Thebanie wyszli z Lorelei i są o dwa lub trzy tranzyty od systemu we wszystkich kierunkach poza prowadzącym do Chanatu. Jak dotąd nie przekroczyli ani nie próbowali przekroczyć granicy. Dziwne, ale przyznam, że mnie to nie martwi – nacisnął inny guzik i podświetlił dwa systemy: Griffin i Redwing. – Podejścia do nich obsadzają niedobitki sił Chien-lu, ale nie mamy sił mogących choćby próbować powstrzymać Theban przed osiągnięciem Linii. Pierwsza dobra wiadomość jest taka, że im

większy obszar zajmą, tym bardziej rozproszą swe siły. Druga zaś taka, że Ophiuchi zgodzili się nam pomóc. Co prawda nie w samej walce z Thebanami, ale przejmą część naszych zobowiązań granicznych, co pozwoli nam przesunąć sporo z tego, co pozostało z floty, do sektora Lorelei. Koncentracja wymaga jednak czasu, a budowa nowych okrętów tym bardziej. I dlatego twoja Druga Flota, bo taką otrzymała nazwę, będzie składała się głównie z jednostek znajdujących się w Rezerwie, tu, na Galloway's World... Teraz główną kwestią jest kolejność przywracania ich do służby.

I uniósł pytając brwi, czekając na komentarz.

– W pierwszej kolejności lotniskowce klasy *Pegasus* i myśliwce – odparł Antonow bez chwili wahania.

– To się nazywa błyskawiczna decyzja – uśmiechnął się Anderson. – Jesteś pewien? Te jednostki są naprawdę przestarzałe, a nawet w okresie świetności nie były specjalnie rewelacyjne. Zbudowano je na początku III wojny jako najprostsze możliwe nosiciele myśliwców...

– ...ponieważ potrzeba ich było szybko i dużo. Sytuacja się powtarza – dokończył Antonow. – Jak słusznie powiedziałeś publicznie, moja podróż tutaj trochę trwała, więc miałem czas przemyśleć pewne rzeczy. Sprawa pierwsza: lotniskowców eskortowych klasy *Pegasus* jest w Rezerwie więcej niż jakichkolwiek innych okrętów. Są one względnie małe i prymitywne, a to oznacza, że przywrócenie im pełnej gotowości bojowej potrwa znacznie krócej niż przywrócenie jej lotniskowcom floty czy okrętom liniowym. A czas jest w tej chwili najważniejszy, bo w ciągu najbliższych kilku tygodni będziemy musieli użyć wszystkiego, co mamy lub co zdołamy zdobyć. Druga sprawa – tak z meldunków admirała Li, jak i z innych danych wynika, że Thebanie nie posiadają lotniskowców i myśliwców. Admirał Li – nie z własnej winy – nie mógł użyć myśliwców skutecznie. Biorąc oba czynniki pod uwagę, podejrzewam, że Thebanie mogą zlekceważyć myśliwce, a na pewno nie w pełni zdają sobie sprawę z ich możliwości. A to może dać nam przewagę. Problem w tym, że nie potrwa ona długo i żeby ją wykorzystać w pełni, musimy użyć wszystkich myśliwców, a więc i wszystkich lotniskowców jak najprędzej.

– Ładnie to ująłeś – pochwalił Anderson. – Tak prawdę mówiąc, chciałem głównie usłyszeć twoje argumenty i poznać tok myślowy... który dokładnie pokrył się z moim. W ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin pełną gotowość bojową odzyskają trzy pierwsze lotniskowce eskortowe, a reszta stopniowo później.

Antonow wyglądał, jakby mu zdjęto z barków spory ciężar.

– Chyba zapomniałeś o paru innych dobrych wiadomościach – powiedział niespodziewanie. – Wiesz, nie wszyscy Rosjanie to melancholicy i ponuracy, ale to tak na marginesie. Chodzi mi o pewne nowe rozwiązania techniczne, które zostały już w pełni przetestowane, ale nie wprowadzono ich jeszcze do produkcji. Tak się, widzisz, złożyło, że kapitan Tsuczewski, zanim trafił do mojego sztabu, pracował w zespole testującym nowe

rakiety. Więc wiem i o zwiększonym zasięgu, i o innych cudach, jak choćby raketach mogących dokonać tranzytu przez warpa, tylko nie mam pojęcia, jak je nazwali. I o nowych głowicach...

– Już dobrze! – przerwał mu Anderson. – Będą, ale pierwszą bitwę musisz stoczyć bez nowych zabawek, bo nie zdążą do ciebie dotrzeć.

– Rozumiem. Ale przynajmniej jest jakaś nadzieja... I jeszcze coś, co może być nawet ważniejsze od tych rakiet... jeśli istnieje, bo słyszałem tylko pogłoski. Ponoć dokonaliśmy jakiegoś przełomu w dziedzinie wojny radioelektronicznej.

I zamilkł wyczekująco.

– Czego to ludzie nie wymyślą – burknął z podziwem Anderson. – Sprawdzę tę plotkę.

Antonow kiwnął głową – skoro rzecz była ściśle tajna nawet dla kogoś z jego rangą i przydziałem służbowym, nie oczekiwał konkretnej odpowiedzi. A ta, którą dostał, była wystarczająca. Rozumieli się naprawdę dobrze.

– A teraz chciałbym, żebyś kogoś poznał – dodał Anderson zupełnie innym tonem i nacisnął kolejny guzik na pilocie. – Poproś lorda Talphona, żeby wszedł.

Antonow co prawda nie zamarł z otwartą gębą, ale wyłącznie dzięki samokontroli i latom praktyki. Nim zdołał wyartykułować jakieś pytanie, drzwi otworzyły się i do środka wszedł wojownik orioński o idealnie czarnym futrze oznaczającym, że wywodzi się z jednego z najstarszych i najszlachetniejszych rodów. Uprząż bojowa wysadzana klejnotami to potwierdzała – była z gatunku najdroższych i najstaranniej wykonanych. Natomiast miejsca, w których winny znajdować się symbole stopni wojskowych, świeciły pustkami – widać było, że usunięto je całkiem niedawno.

– Admirale Antonow – oznajmił uroczyście Anderson. – Proszę pozwolić przedstawić sobie Kthaarę'zarthana, Dwudziestego Trzeciego Małego Pazura Chana i obecnego lorda Talphona.

Antonow wstał i skłonił głowę, nie poruszając resztą ciała – w Chanacie był to odpowiednik uścisku dłoni.

– Jestem zaszczycony, mogąc powitać pana, admirale Antoaanaaw – oświadczył Kthaara, odwzajemniając powitanie.

Miał niezwykle głęboki głos o dziwnym, prawie jedwabistym brzmieniu pomruku. Antonow należał do grona powszechnie znanych i szanowanych „speców od spraw kociambrów”, jak ich potocznie nazywano w Marynarce Federacji. Był to zresztą jeden z powodów, dla których otrzymał dowództwo 2. Floty. Teraz z przyjemnością słuchał Kthaary. Co prawda sporo ludzi uważało, że orioński do złudzenia przypomina odgłosy kociej bijatyki na kobzie, ale on był innego zdania. I żałował, że budowa krtani i strun głosowych uniemożliwia obu rasom posługiwanie się językiem drugiej. Nie mogąc mówić po oriońsku, nauczył się biernie tego języka, czyli rozumiał go. I podobał mu się dźwięk oriońskich głosów, czego według Andersona należało się zresztą spodziewać po zbroceńcu

przekonanym, że rosyjski był najlepszym ziemskim językiem.

– Pan Anderssaahn jednakże niedokładnie mnie przedstawił, gdyż nie posiadam obecnie żadnego stopnia wojskowego, bo zrezygnowałem ze służby – dodał Kthaara. – Jestem natomiast lordem Talphonem od czasu bezpotomnej śmierci poprzedniego, którym był mój kuzyn Khardanish.

Antonow zrozumiał w tym momencie, w czym rzecz.

– Proszę przyjąć moje kondolencje z powodu śmierci kuzyna – powiedział szczerze. – Padł ofiarą zdrady, a zginął godnie.

– Dziękuję, admirale. Właśnie okoliczności jego śmierci są powodem mojej tu obecności. To, że Federacja występuje w roli *khimhok*, zadowala honor mojej rasy, ale ja jako lord Talphon, a zwłaszcza jako *khanhaku*, mojego klanu, mam specjalne zobowiązania. Dlatego *Khan'a'khanaae* zezwolił mi na przerwę w służbie wojskowej aż do czasu ich wypełnienia. Przybyłem jako osoba prywatna, jako ochotnik, by walczyć w wojnie z zabójcami mego kuzyna.

– Zanim coś powiesz, Iwan, posłuchaj – wtrącił Anderson. – Lord Talphon przywiózł oficjalne potwierdzenie chana, że działa jako osoba prywatna i nie narusza tym samym neutralności Chanatu. A ja ze swej strony chciałbym dodać, że jest uważany we Flocie Chanatu za jednego z czołowych ekspertów w kwestii taktycznego użycia myśliwców.

Antonow zmarszczył brwi. Najlepsi myśliwscy piloci Federacji zginęli wraz z admirałem Li, a teraz oferował mu swe usługi najlepszy myśliwski taktyk Chanatu. A Flota Chanatu specjalizowała się w użyciu myśliwców, tyle tylko że jej doktryna nie opierała się na racjonalnej ocenie zysków i strat. A raczej opierała się nie tylko na niej, gdyż równie ważny był orioński kodeks honorowy uznający osobisty udział w walce za jedyny naprawdę godny sposób zemsty i kilku innych kwestii. W okresie od I do II wojny kociambry były głęboko nieszczęśliwe, gdyż niewielkie okręty przestały wtedy spełniać swoją funkcję, a ważący sto pięćdziesiąt tysięcy ton superdreadnought trudno było uznać za bojowego rumaka czy przedłużenie wojownika. Pojawienie się myśliwców operujących w próżni pozwoliło im znów stać się sobą, toteż nawet najbardziej uprzedzeni do nich oficerowie Marynarki Federacji przyznawali, że jako myśliwcy kociambry są znacznie lepsi niż ludzie.

Wynikało z tego, że pod stosownym nadzorem niespodziewany nabytek mógł okazać się użyteczny, a poza tym odmowa skorzystania z jego usług raczej nie poprawiłaby stosunków z Chanatem, czy był tu oficjalnie, czy nie. Stosunki te zaś stanowiły sprawę priorytetową.

– Lordzie Talphon, w pełni doceniam znaczenie pańskiej oferty i jestem za nią wdzięczny – odezwał się, starannie dobierając słowa. – Są jednakże pewne trudności... Sądzę, że wie pan, że każde siły zbrojne cechuje pewna zawodowa zazdrość, która może ulec zaognieniu, gdy ktoś zupełnie obcy zajmuje w niej stanowisko zgodne z pańskim stopniem i doświadczeniem...

– Proszę się o to nie martwić, admirale – przerwał mu Kthaara. – Gotów jestem służyć na

każdym stanowisku, na jakie pan mnie przydzielili. Mogę pilotować myśliwiec czy obsługiwać kontrolę ogniową. To bez znaczenia, bylebym tylko brał udział w walce.

I to właśnie najlepiej świadczyło o tym, jak poważnie podchodził do sprawy. Jego klan cieszył się poważaniem i zajmował wysokie miejsca w hierarchii oriońskiej, gdyż pochodzący z niego wojownicy byli naprawdę dobrzy. Większość oriońskich klanów miała imiona czy tytuły pojedyncze, gdyż upamiętniały one bohaterstwo w bitwie pierwszego przodka, który otrzymał za to tytuł lordowski. Klan Zarthan miał prawo do drugiego tytułu, co było wielkim i nader rzadkim zaszczytem. Dlatego też gotowość Kthaary do zajęcia pozycji zwykłego wojownika wykonującego, a nie wydającego rozkazy, była wielkim poświęceniem.

– Niestety to nie jedyny problem. – Antonow wziął głęboki wdech i wyjaśnił: – Nasze rasy od pięćdziesięciu ziemskich lat łączy przymierze, ale wielu w obu flotach nadal nie jest tym zachwyconych. Widzi pan, walka z Chanatem była powodem utworzenia Marynarki Federacji, gdyż przed zetknięciem się z wami Federacja Ziemska nie potrzebowała sił zbrojnych z prawdziwego zdarzenia. Ludzie żyjący w tym okresie uważali, że wojna jest czymś, co nie przytrafia się rozwiniętym cywilizacjom, gdyż musiały one, gdzie by się nie znajdowały i jakich by nie miały korzeni, dojść już do etapu wykluczającego używanie przemocy.

– A dlaczego tak uważali? – zainteresował się szczerze zaciekawiony Kthaara.

– Ee... nieważne. Chodzi o to, że w Federation Navy niechęć do was stała się czymś w rodzaju nieoficjalnej tradycji. Osobiście tego żałuję, ale mam obowiązek rozważyć, w jaki sposób uprzedzenia części podkomendnych mogą wpłynąć na morale i zdolność bojową całych podległych mi sił.

– Doskonale pana rozumiem, admirale. Wśród mojej rasy też są tacy, którzy nadal uważają ludzi za *chofaki*, i to mimo III wojny i ludzi takich jak oficer łącznikowy mojego kuzyna, którą, jak sądzę, pan znał.

– Porucznik Johansen? – Antonow nie krył zdziwienia. – Tak, znałem ją, służyła w moim sztabie, nim dostała przydział do eskadry lorda Khardanisha. Była naprawdę dobrym oficerem, ale...

– Dobrym oficerem, którego zachęcił pan, by doskonaliła zrozumienie Języka Języków – zgodził się Kthaara, ruszając prawym uchem. – Dlatego sądzę, że zainteresuje pana wiadomość, że jej nazwisko zostało umieszczone wśród matek honoru klanu Zarthan. Prosił o to w ostatniej wysłanej wiadomości mój kuzyn... i wyjaśnił, dlaczego na to zasłużyła. Nikt z *Zheerlikou'valkhannaiee* nie wypełniłby lepiej zobowiązań, jakie dyktuje honor. Mam nadzieję, że mnie także będzie to dane!

I wyprostował się dumnie.

Przez moment dwie pary oczu przedstawicieli zupełnie różnych ras i ewolucji spoglądały na siebie z całkowitym zrozumieniem.

– Przyjęcie do liniowej służby oficera obcej narodowości jest nieco nieregulaminowe, ale

przy rekomendacji tak szacownej osoby jak minister produkcji wojennej... – zdecydował Antonow.

Anderson uśmiechnął się niewinnie.

* * *

W skład sztabu admirała Antonowa wchodziło nieproporcjonalnie wielu speców od kociambrów, ale pomimo tego, jak i wcześniejszego uprzedzenia jego członkowie nie zdołali zachować pozorów codziennej rutyny na widok Antonowa wchodzącego do sali odpraw pomostu flagowego w towarzystwie Kthaary. Na dodatek ubranego w uprząż bojową w barwach Marynarki Federacji, czyli czarno-srebrną. I z dystynkcjami pełnego komandora.

– Kontynuować – polecił Antonow i dodał tym samym rzeczowym tonem: – Chciałbym przedstawić nowego członka sztabu, specjalnego zastępcę oficera operacyjnego do spraw taktyki myśliwskiej, komandora Kthaara' zarthana.

Długaśny ten tytuł powstał dzień wcześniej w wyniku równie długo trwającej burzy mózgów, stopień zaś był wynikiem uprzejmości dyplomatycznej. Prawnik sztabowy biorący udział w tym spotkaniu omal nie doznał rozstroju nerwowego, słysząc grzeczne, ale kategoryczne zaprzeczenia Kthaary upierającego się, iż nie jest oficjalnym wysłannikiem Chanatu czy samego chana. W sumie nie miało to zresztą znaczenia: skoro Iwan Groźny oznajmił, że kociamber jest komandorem, to kociamber był komandorem.

I tyle.

– Teraz oddaję głos komandor porucznik Trevayne – dodał Antonow w sposób jednoznacznie świadczący, że właśnie zakończył rutynową prezentację nowego oficera.

Komandor porucznik Winnifred Trevayne była oficerem wywiadu o ciemnej karnacji i ostrych, jakby wyrzeźbionych rysach. Nim zaczęła mówić, uruchomiła holoprojektor i nad stołem pojawiła się mapa ze szlakiem przez warpy.

– Dziękuję, sir. Według ostatnich raportów Thebanie zajęli system Laramie – oznajmiła z typowym brytyjskim akcentem, choć część jej przodków pochodziła z Jamajki.

Wiadomość nie wywołała wrażenia, bo spodziewano się jej, a informacje o kolejnych podbitych przez wroga systemach stały się może nie codziennością, ale na pewno przestały być szokujące. Trevayne przedstawiła podsumowanie sporządzone z fragmentarycznych relacji niedobitków i zakończyła:

– W połączeniu z wcześniejszym zajęciem nie bronionego przez nas QR-107 daje im to dobrą pozycję wyjściową do ataku na Redwing. Mają dwie możliwe osie natarcia i nie wiadomo, z której skorzystają. Niepewna jest także sytuacja na przedpolach systemu Griffin: wiemy, że zdobyli Manticore, ale według ostatnich raportów nie opanowali systemu Basil.

– Dziękuję, komandor Trevayne. – Antonow jak zwykle pozostał nieporuszony. – Teraz musimy podjąć decyzję, gdyż zaistniała sytuacja, której się spodziewaliśmy. Przeciwnik w dwóch miejscach dotarł do Linii. Dzięki zdobytym, choćby fragmentarycznym informacjom

musi zdawać sobie sprawę, że ma przed sobą trudne – w naszej opinii – do zdobycia systemy. Ponieważ od początku działań Thebanie nie wykazali się głupotą czy amatorszczyzną, założyć należy, że przygotowują się odpowiednio do ataku i skoncentrują poważne siły. Pytanie podstawowe brzmi: zaatakują Griffin czy Redwing? Bo wątpliwe jest, by uderzyli na oba. Należy także przyjąć, że dysponują kompletną bazą danych astronawigacyjnych. A to oznacza, iż są świadomi, że Redwing znajduje się na najkrótszym szlaku prowadzącym z opanowanych przez nich systemów do Układu Słonecznego. I dlatego sądzę, że wybiorą właśnie Redwing. Niestety, ponieważ nie mam w tej kwestii pewności, nie mam też i wyboru, muszę więc podzielić siły.

Zrobił przerwę, ale nikt się nie odezwał. Nikogo zresztą nie prosił o zabranie głosu; wziął całą odpowiedzialność za tę niezwykle trudną decyzję na siebie.

Po krótkiej chwili dokończył:

– Obejmę dowództwo zespołu wydzielonego udającego się do Redwing. Kapitan Tsuczewski zaś będzie uprzejmy powiadomić wiceadmirala Chebaba, że obejmuje on dowództwo zespołu wydzielonego, którego celem jest Griffin. Sądzę, panie i panowie, że w związku z tym czeka nas długa i pracowita noc.

Nikt nie powiedział głośno, że podział sił stanowiących w tej chwili 2. Flotę spowoduje powstanie dwóch zgrupowań, które jedynie przez uprzejmość będzie można nazwać zespołami wydzielonymi.

Rozdział X

„BY PORAZIĆ NIEWIERNYCH..”

Pierwszy admirał Lantu obserwował ze zmarszczonymi brwiami ekran wizualny, gdy niszczyciel wchodził na orbitę parkingową Thebes. Był zbyt obowiązkowym synem Kościoła, by zignorować wezwanie Synodu, więc wrócił, jak mu kazano. Ale nie podobała mu się spowodowana przez to zwłoka. Było to niepotrzebne marnowanie czasu.

Niewierni jak dotąd nie zdołali skoncentrować sił mogących zagrozić Pierwszej czy Drugiej Flocie, ale była to tylko kwestia dni. Zbyt wiele godzin spędził, analizując zdobyte informacje, by w to wątpić. W Lorelei zniszczył większą, niż sądził, część ich floty, ale mieli rezerwy, a Federacja rozrosła się bardziej, niż Synod zakładał. Poganie znaleźli jakiś sposób, dzięki któremu kolonie mnożyły się jak chwasty, toteż czas był kluczowym czynnikiem. Miecz Świętej Ziemi musi uderzać szybko i ciąć głęboko, inaczej rychło zostanie pokonany przez przytłaczające siły.

Westchnął ciężko, a siedzący obok Manak, słysząc to, chrząknął i powiedział:

– Cierpliwości, mój synu.

– Aż tak widać, co czuję?

– Ktoś, kto zna cię od dzieciństwa, zauważy to bez trudu. Synod? Wątpię, jeśli będziesz uważny i rozsądny.

– Będę to miał na uwadze – obiecał Lantu cicho.

* * *

Fotele w głównej sali konferencyjnej *Starwalkera* były niewygodne, gdyż siedzenia znajdowały się za wysoko. Dostosowano je do proporcji ciała ludzkiego, nie thebańskiego, ale nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by je wymienić, jako że było to święte miejsce. Tu właśnie spotykał się Synod Świętej Ziemi. I tu zaproszono Lantu.

Wszedł równym, spokojnym krokiem i uspokoił się natychmiast, czując aprobatę obecnych. Ale w powietrzu wisiało też napięcie.

– Błogosławionyś przez Świętą Ziemię, mój synu – powitał go Prorok. – Wróciłeś na skrzydłach zwycięstwa i jesteśmy z ciebie zadowoleni.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość – wymamrotał Lantu.

Prorok uśmiechnął się.

– Nie wątpię, że szkoda ci czasu, który, jak uważasz, powinienes spędzić na przygotowaniach do kolejnego ataku, pierwszy admirał. – Prorok uśmiechnął się szerzej, widząc jego zaskoczenie. – To normalna reakcja u wojownika, mój synu. Nie wszyscy jesteśmy zbyt starzy lub zbyt zmęczeni, by to rozumieć.

Wśród obecnych rozległy się przytłumione śmiechy, jako że Prorok był młodszy od Lantu.

– Mimo to jednak musieliśmy odciągnąć cię od twych obowiązków, choć na krótko. Jesteś wodzem wojsk Świętej Ziemi i potrzebujemy twojej rady.

– Jestem do usług, Wasza Świątobliwość.

– Dziękuję. – Prorok wskazał mu fotel obok swego. – Siądź proszę, a wyjaśnię ci, w czym rzecz.

Lantu wykonał polecenie, choć wolałby stać, bo było to i wygodniejsze, i jakoś tak stosowniejsze w obecności Proroka.

– Kłopot polega na tym, że nie możemy uzgodnić stanowiska – podjął Prorok. – Twoje zwycięstwo w Lorelei wspañiale rozpoczęło nasz jihad, ale sukces czasami powoduje problemy.

Lantu przełknął ślinę i zerknął na Manaka. Jako pierwszy kapelan floty ustępował rangą jedynie Prorokowi, toteż widok jego pełnego aprobaty uśmiechu był z logicznych powodów uspokajający.

– Co prawda Wysłannik ostrzegł nas, że Święta Ziemia może znaleźć się we władzy Szatana-Chana, ale nikt z nas nie spodziewał się potworności, którą odkryłeś, mój synu – kontynuował Prorok. – I prawda ta wywołała wśród nas spory. Rozpoczynaliśmy bowiem świętą wojnę, by zniszczyć Szatana-Chana, natomiast przy okazji odkryliśmy herezję Federacji i spowodowało to różnicę zdań co do tego, jak powinniśmy postępować dalej. Część z nas uważa, że należy powrócić do pierwotnego planu, część, że najpierw trzeba zająć się herezją. Jako że obaj przeciwnicy są niewiernymi, oba wyjścia z punktu widzenia wiary są słuszne. A ponieważ nie osiągnęliśmy w tej kwestii porozumienia, zaprosiliśmy cię, byś powiedział, co sądzisz. Jak według ciebie najskuteczniej porazić niewiernych?

Lantu podejrzewał, że o to właśnie go zapytają, i liczył, że Prorok w jakiś sposób da mu do zrozumienia, co uważa, ale tak się nie stało. Dlatego odrzekł, naprawdę starannie dobierając słowa:

– To trudne pytanie, a ponieważ Święta Ziemia nie powołała mnie do stanu kapłańskiego, odpowiedzieć mogę, biorąc pod uwagę tylko militarny aspekt. Czy to będzie satysfakcjonujące, Wasza Świątobliwość?

– Będzie.

– W takim razie za pozwoleniem Waszej Świątobliwości zacznę od przedstawienia

obecnej sytuacji militarnej, przynajmniej w moim rozumieniu. Zdobyliśmy jak dotąd dziesięć systemów planetarnych heretyków i cztery nie nadające się do skolonizowania systemy węzłowe. Zajęliśmy też trzy nie skolonizowane systemy należące wcześniej do Szatana-Chana. W ten sposób praktycznie dotarliśmy do ufortyfikowanych systemów granicznych obu wrogów. Tylko jeden układ planetarny, Danzig, oparł się naszym siłom. Moglibyśmy go opanować, ale posiada on tylko jednego warpa, i to silnie bronionego. Próbując go zdobyć, ponieśliśmy ciężkie straty, toteż postanowiłem zrezygnować do czasu, aż nie rozprawimy się ostatecznie z pozostałą częścią floty niewiernych. Uznałem, że koszt zajęcia Danzig w tej chwili byłby zbyt wysoki. Natomiast prawdą też jest, że gdzie byśmy teraz nie zaatakowali, natknęlibyśmy się na ufortyfikowane systemy, i obawiam się, że drogo zapłacimy za ich zdobycie. Dlatego wolałem nie uderzać na mniej istotne cele i wolałbym tego nie robić w najbliższej przyszłości. Jak dotąd nasze straty to zaledwie superdreadnought, cztery pancerniki, siedem krążowników liniowych, pięć krążowników ciężkich i lekkich oraz trzynaście niszczycieli. Kilkanaście okrętów znajduje się w stoczniach remontowych, podobnie jak zdobyte przyzy. Te ostatnie po wyremontowaniu i modernizacji zostaną włączone w skład naszej floty i praktycznie wyrównają poniesione dotąd straty. Zanim zacznę atakować dalej, chciałbym, za zgodą Waszej Świątobliwości, spytać arcybiskupa Ganhada o kwestie produkcji uzbrojenia.

– Naturalnie – zgodził się Prorok, dając starszemu, niskiemu osobnikowi sprawującemu z ramienia Synodu funkcję ministra produkcji znak, by wstał.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość. – Lantu zwrócił się do Ganhada. – Wasza Wielebność wie o tych sprawach więcej niż ja, toteż prosiłbym, by pokrótce wytłumaczył Synodowi, jak to, czego dowiedzieliśmy się o uzbrojeniu niewiernych, będzie miało wpływ na nasze plany produkcyjne.

– Oczywiście, mój synu. – Ganhad odwrócił się, stając twarzą do pozostałych członków Synodu. – Niewierni generalnie osiągnęli wyższy poziom techniki, ale różnica między nami nie jest wielka i pewne rodzaje naszego uzbrojenia przewyższają ich broń. Nie posiadają na przykład pojazdów desantowych typu *Samurai* i Floty Taranującej. Ich działa laserowe, choć nowocześniejsze, są słabsze i mają mniejszy zasięg niż nasze. Dysponują natomiast czterema systemami uzbrojenia, których my nie mamy, a w jednym osiągnęli poważną przewagę jakościową. Chodzi o rakiety, w które wyposażono ich okręty liniowe. Mają o wiele większy zasięg i potężniejsze głowice oraz znacznie lepszy system samonaprowadzania i zagłuszacze, no i inny sprzęt ECM utrudniający namierzenie ich przez obronę antyrakietową. Dlatego też ich skopiowanie i wdrożenie do produkcji uznaliśmy za najważniejsze i pierwsze dostawy zaczną wkrótce docierać do naszej floty. Jeśli zaś chodzi o uzbrojenie, którym w ogóle nie dysponujemy, są to po pierwsze małe jednostki zwane myśliwcami. Najczęściej jednoosobowe, choć zdarzają się wersje dwuosobowe. Uzbrojone są w rakiety bliskiego zasięgu i lekkie działa laserowe i mogą operować na dystansie kilku minut świetlnych od

nosicieli zwanych lotniskowcami. Tej klasy okrętów także dotąd nie posiadaliśmy. Ze zdobytych danych wynika, że są one uznawane za bardzo skuteczne, ale nie potwierdziły tego w dotychczasowych z nami bitwach. Drugim systemem, o który z oczywistych względów musieliśmy się postarać, są rakiety przeciwlotnicze do zwalczania myśliwców. Szybkie, małe i zwrotne, o bardzo czułych systemach samonaprowadzających. Jest to broń prosta i już znajduje się w produkcji. Biorąc pod uwagę naszą niską ocenę skuteczności myśliwców, jak i posiadanie rakiet przeciwlotniczych, programowi opracowania własnych myśliwców przyznaliśmy niski priorytet. Czwarty system to działo zwane fazerem. Ma ono większy zasięg od naszych dział laserowych i jest mniejsze gabarytowo, więc okręt może ich mieć więcej na wyposażeniu. Można by je określić jako emiter Erlichtera o zmiennej polaryzacji. Szybkie zmiany funkcji przyciągania i odpychania powodują zniszczenie struktury trafionego wiązki miejsca. Fazer nie może jednak przeniknąć osłony siłowej tak jak promień lasera, jest więc mniej skuteczny. Produkcję możemy uruchomić w każdej chwili, gdyż jest to po prostu nowe zastosowanie znanej nam technologii. Ostatnim systemem jest działo zwane beamerem, oparte na zbliżonej zasadzie działania, tyle że dające bardzo skoncentrowany i bardzo cienki promień zdolny przeniknąć przez osłonę siłową. Przebija on wszystko, co napotka, także najgrubszy pancerz, ale ma bardzo małą szybkostrzelność. Otwór o średnicy czterech do pięciu centymetrów wydaje się malutki, ale wystarczy, by zniszczyć każdy system, w który trafi. Przyznaliśmy mu pierwszeństwo w opracowaniu i produkcji, jako że powinien stanowić doskonałe uzupełnienie naszych dział laserowych.

Ganhad zamilkł, obrócił się w stronę Lantu i spytał:

– Ufam, że to właśnie chciał pan usłyszeć, pierwszy admirale?

– Dokładnie to, Wasza Wielobność – potwierdził Lantu.

Profilaktycznie wolał nie dodawać, że w swoich raportach sugerował przyznanie znacznie wyższego priorytetu myśliwcom. Niewierni próbowali użyć ich tylko raz i nie dał im szansy, by zrobili to zgodnie z doktryną, więc trudno było się dziwić, że nie okazały się skuteczne. W żadnej następnej bitwie nie natknęli się na lotniskowce, więc ocena ogólna nie uległa zmianie. Natomiast perspektywa spotkania z dużą liczbą zwrotnych i szybkich maszyn operujących z okrętów znajdujących się poza zasięgiem rakiet nie była przyjemna. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie da się równocześnie produkować wszystkiego, toteż także systemom uzbrojenia trzeba nadać jakiś stopień ważności. Poza tym wojownik, jak to zresztą wielokrotnie mu powtarzano, walczył tym, co miał, a nie tym, co chciałby mieć.

– Tak jak to widzę, Wasza Świątobliwość, mamy dwie możliwości strategiczne i związane z nimi dwa problemy operacyjne – oświadczył, wracając do tematu. – Pierwsza to zaatakowanie Szatana-Chana, co jest naszym ostatecznym celem. Dopóki go nie pokonamy, Święta Ziemia nigdy nie będzie bezpieczna. Jednakże jak dotąd nie zrobił on nic; najwyraźniej odpowiada mu to, że walczymy z heretykami. Być może nawet go to bawi, ale na dłuższą metę stanie się powodem jego upadku. Druga strategia to kontynuowanie ataków

na heretyków i sędzę, że ta byłaby rozsądniejsza. Okupujemy w tej chwili trzy zamieszkane przez nich planety i raporty ze wszystkich wskazują, że przystosowanie ich zakładów przemysłowych do naszych potrzeb nie powinno być trudne. Na dodatek Święta Inkwizycja zapewne dość szybko nawróci znaczną część mieszkańców na drogę prawdziwej wiary, co zwiększyłoby liczbę potencjalnych robotników. W końcu, choć to chwilowo bardziej kwestia duchowa, możemy wyzwolić Świętą Ziemię znacznie szybciej, niż walcząc z Szatanem-Chanem. Jeśli on jest gotów pozwolić nam pokonać Federację i wykorzystać jej potencjał przemysłowy, tym lepiej, gdyż tym pewniej pokonamy potem jego.

Zrobił przerwę i z zadowoleniem dostrzegł potakujący ruch głową Manaka, a co ważniejsze, podobne reakcje kilkunastu innych prałatów.

– To logiczne i dobrze uzasadnione rozumowanie, mój synu – ocenił Prorok. – A co z problemami operacyjnymi, o których wspominałeś?

– Powody tych problemów są następujące, Wasza Świątobliwość. Po pierwsze zdobyliśmy wszystko, co się dało, bez konfrontacji z fortyfikacjami niewiernych. Brakuje dokładnych informacji o tym, jak konkretnie są umocnione systemy wchodzące w skład Linii i jak je nazywają. Faktem jest, że fortyfikacje te zbudowano osiemdziesiąt standardowych lat temu. Jednakże niewierni uważają je nadal za wystarczająco silne, co oznacza, że zostały przez ten czas zmodyfikowane i uzupełnione. Te, na które natknęliśmy się w systemie Danzig, potwierdzają, że będzie trudno przełamać się przez nie. Po drugie wiemy, że jak dotąd nie wykorzystali jeszcze rezerw swej floty. Wolałbym, by to zrobili, najlepiej w niewielkich grupach, gdyż wtedy łatwo byłoby je pokonać, ale wychodzi na to, że nie są głupi i koncentrują siły do jednego dużego kontrnatarcia. W związku z tym mamy dwa problemy. Pierwszy: czy atakować dalej, czy nie, i drugi: jeśli zdecydujemy się atakować, to jak to zrobić. W tej chwili siły nasze i przeciwnika są mniej więcej równe, a nie musimy pilnować innych zdobytych sektorów, możemy więc skoncentrować nasze w stopniu dla nich nieosiągalnym. Jeżeli jednak w bitwie z jego rezerwami poniesiemy duże straty, utracimy też tę przewagę. Poza tym okupujemy systemy, które przeciwnik będzie mógł próbować odbić. Dlatego uważam, że chwilowo powinniśmy pozostać na zdobytym obszarze w obronie i pozwolić wrogowi zaatakować. Nacierający z reguły płaci wyższą cenę, więc powinniśmy w ten sposób wyeliminować znaczną część jego rezerw, nim rozpoczniemy atak na Linie.

– Pozostać w obronie?! – Któregoś starszego biskupa aż poderwało z oburzenia. – Przecież za każdym razem pokonałeś ich z łatwością!

Lantu spojrział na Proroka i widząc jego przyzwalający gest, odparł:

– Do tej pory, Wasza Wielbność, dysponowaliśmy przewagą tak liczebną, jak i wynikającą z zaskoczenia i nie mieliśmy do czynienia z umocnionymi wyjściami z warpów. Szturm przez taki warp to zawsze kosztowne przedsięwzięcie, zwłaszcza jeśli fortyfikacje stałe wsparte są przez okręty. Jeżeli ograniczymy się do obrony, to my będziemy w bardziej komfortowej sytuacji, choć bez potężnych fortów, bo na ich zbudowanie może zabraknąć

czasu. To przeciwnik poniesie większe straty, próbując przełamać nasz opór, dzięki czemu łatwiej nam będzie przejść potem do ofensywy.

– Tak więc chwilowa obrona, którą proponujesz, jest w istocie przygotowaniem do ataku?
– spytał Manak.

– Dokładnie tak, Wasza Świątobliwość.

– Ale sam wielokrotnie mówiłeś, że przeciwnik ma większe zasoby! – zaprotestował biskup. – Jeśli oddamy mu inicjatywę, to czy nie zbierze takich sił, że zdoła nas pokonać, nawet jeśli będziemy się bronili?

– Jest to możliwe, ale niewierni nie są czarnoksiężnikami. Na zbudowanie okrętów, zwłaszcza liniowych, potrzebny jest czas. Jeśliby zbyt długo nie atakowali, należałoby przemyśleć dalsze postępowanie. Ale w tej chwili rozsądniejsze wydaje mi się stworzenie okazji zachęcającej ich do popełnienia błędu wynikającego z pośpiechu niż zrobienie go samemu.

– Hmph! – prychnął biskup. – Nie takich słów spodziewałem się po wojowniku! Mówisz, że ponieśliśmy niewielkie straty, a niewierni wielokroć większe; toż to przecież wyraźny znak, że odstępstwo od wiary wpłynęło na ich zdolność do walki. Mając po swojej stronie Świętą Ziemię, boisz się stawić czoła tak godnemu pogardy wrogowi?

Lantu w ostatnim momencie ugryzł się w język, by nie odpalić, że widząc, jak okręty liniowe Federacji walczyły w Lorelei oraz w paru innych starciach, nie określiłby ludzi mianem wroga godnego pogardy.

– Mając po swojej stronie Świętą Ziemię, nie obawiam się ani starcia z wrogiem, ani śmierci – odparł, ostrożnie dobierając słowa, świadom konsekwencji, jakie niósł zarzut tchórzostwa. – Doradzam jedynie ostrożność. Odnieśliśmy wielkie zwycięstwa nad silniejszym wrogiem i nie chciałbym ich zaprzepaścić przez nadmierną pewność siebie.

Na silniejszy sprzeciw nie odważył się, gdyż na twarzach części obecnych zauważył dezaprobatę. Synod naturalnie znał przeciwnika tylko z jego raportów i oczywiste było, że niektórzy jego członkowie albo nie zrozumieli, albo zignorowali wszystkie zawarte w nich i dziś przez niego wygłoszone ostrzeżenia.

– Dziękuję ci, mój synu – głos Proroka pozostał neutralny. – Dobrze przedstawiłeś problem. Teraz poprosimy cię o cierpliwe oczekiwanie, aż podejmiemy decyzję.

– Naturalnie, Wasza Świątobliwość.

Lantu wyszedł, starając się nie okazać tego, co czuje.

* * *

Dopiero po przeszło godzinie Manak wszedł do niewielkiej kajuty pełniącej rolę poczekalni. Stary kapelan nie miał wesołej miny. Dał znak Lantu i skierował się w stronę wyjścia ze statku, a gdy admirał dołączył do niego, położył mu dłoń na ramieniu i potrząsnął ciężko głową.

– Usłyszeli cię tylko częściowo – powiedział. – Nie zaatakujemy Szatana-Chana, bo uznali za sensowne zdobycie najpierw potencjału przemysłowego Federacji i nawrócenie jak największej liczby niewiernych. Ale odrzucili twój pomysł przejścia do obrony.

– Przecież...

– Óóóó mój synu. – Manak rozejrzał się i dodał znacznie ciszej: – Tego, że stary biskup Wayum będzie tak uważał należało się spodziewać, ale poparł go sam Prorok, więc sprawa jest zamknięta. Będziemy atakować.

– Skoro Synod tak zdecydował – dodał Lantu.

Ale zbliżając się do świętej rampy *Starwalkera*, miał coraz poważniejsze obawy.

Rozdział XI

„LINIA NIE ZOSTANIE PRZERWANA!”

– Bacność! – padła komenda i wszyscy obecni w sali odpraw wyprężyli się w postawie zasadniczej, widząc wchodzącego Antonowa.

– Spocznij – polecił nowo przybyły dziwnie cicho, bez śladu akcentu.

Dla znających go tak dobrze jak kapitan Tsuczewski były to nieomylnie znaki zbliżającej się burzy.

– Komodorze Chandra – Antonow spojrzął na dowódcę obrony systemu Redwing. – Zapoznałem się z pańskim planem obrony i zgadzam się, że podstawą są umocnienia stałe. Proponuje pan, by wszystkie forty orbitalne przenieść do wylotów warpów prowadzących z systemów Laramie i R. Dalej proponuje pan, by prowadziły one walki opóźniające pozwalające Drugiej Flocie osłonić ewakuację niezbędnego personelu do systemu Cimmaron.

– Zgadza się, sir – potwierdził z ulgą Chandra.

Najwyraźniej spokojny ton Antonowa utwierdził go w przekonaniu, że ma rację. Tsuczewski przyglądał się obu oficerom z chorobliwą wręcz fascynacją.

– Naturalnie wydzieliłem też znaczną część Drugiej Floty do osłony warpa prowadzącego do systemu Nowa Rodina – dodał Chandra. – Sądziłem, że zarówno pan, admirał, jak i kapitan Tsuczewski będziecie sobie tego życzyć.

– Zauważyłem, komodorze Chandra. Podobnie jak zauważyłem, że niezbędny personel, który ma zostać ewakuowany, obejmuje wszystkich dyrektorów i personel kierowniczy firm z Galloway's World mających tutaj filie... oraz wszystkich obecnych w tej sali. – Antonow podnosił głos tak minimalnie i stopniowo, że jedynie posiadający dobrze wyczulony słuch to zauważyli.

Chandra do nich nie należał.

– Cóż, sir... na planecie Redwing żyje sto pięćdziesiąt milionów ludzi. Ponieważ nie zdołamy ewakuować wszystkich, należało dokonać selekcji i wybrać najbardziej użytecznych do dalszego prowadzenia wojny. Wymagało to pewnych trudnych decyzji, ale cóż... No i oczywiście specjalną uwagę należy poś...

– Jest pan zwolniony ze stanowiska, komodorze Chandra – oznajmił Antonow, ignorując

jego wypowiedź całkowicie. – O dwudziestej drugiej zero zero odlatuje na Ziemię jednostka kurierska. Znajdzie się pan na jej pokładzie... razem z moim raportem dla admirała Brandenburga.

Chandra wytrzeszczył oczy.

– Aaa... ależ, panie admirałe, ja tylko...

– Chce pan dołączyć oskarżenie o niesubordynację do niekompetencji i tchórzostwa? – Antonow nie krzyczał: jego głos przypominał ryk bijący fizycznie falą akustyczną. – Ty tchórzliwy skurwielu, wynoś się stąd i nie waż mi się opuszczać kwatery do samego odlotu! *Job twoju mat, ty czernożopi jeden!*

Chandra wstał nieporadnie, blady jak trup i, potykając się, wyszedł z sali.

Żaden z członków jego sztabu nie ośmielił się nawet drgnąć.

Natomiast Tsuczewski odetchnął z ulgą – Antonow nie przetłumaczył z rosyjskiego, co by zrobił z matką rozmówcy i jak go na zakończenie nazwał. „Czarnodupiec” mogło nie brzmieć specjalnie obelżywie po angielsku, ale w rosyjskim miało bardzo konkretne i wysoce obraźliwe znaczenie. Rozejrzał się dyskretnie – wszyscy obecni przybrali obojętne miny poza Kthaara'zarthanem, który przyglądał się wychodzącemu z uśmiechem obnażającym śnieżnobiałe kły.

– Co zaś się tyczy całej reszty – dodał Antonow nieco ciszej, spoglądając na sztabowców zwolnionego Chandry – pozostaniecie na dotychczasowych stanowiskach... tymczasowo. To, czy zachowacie je na stałe, zależeć będzie od wykonywania przez was obowiązków. Teraz do rzeczy: sądzę, że jasno wyraziłem swe uczucia względem defetyzmu. Nie będzie więcej mowy o ewakuacjach, skracaniu frontu czy odwrócić na z góry upatrzone pozycje. Linia nie zostanie przełamana i to jest założenie, które musi zostać zrealizowane. Tak na marginesie to od dnia dzisiejszego aż do odwołania anulowane zostają wszystkie urlopy i przepustki. Kapitanie Lopez! Właśnie został pan komodorem, tylko proszę łaskawie nie traktować tego jako dowodu uznania dla ponadprzeciętnych talentów, ale jako konieczność administracyjną. Obejmie pan obowiązki dowódcy obrony systemowej. Proszę skoordynować zmianę dyslokacji sił i późniejsze ćwiczenia z kapitanem Tsuczewskim.

Antonow włączył holoprojektor z mapą systemu i podświetlił wejście warpa prowadzącego do systemu Cimmaron.

– Wszystkie forty mają zostać przeholowane tutaj – oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Oficerowie z Fortress Command, już wstrząśnięci dotychczasowym przebiegiem odprawy, teraz byli zupełnie zszokowani.

– Ale... – zająknął się Lopez. – Czego w takim razie użyjemy do obrony wyjść z warpów, którymi zaatakuje przeciwnik? I co z warpem prowadzącym do systemu Nowa Rodina?

– Odpowiedź jest prosta: niczego i nic. Nie będziemy bronić tych warpów, ponieważ nie wiemy, którego użyją Thebanie. Oznaczałoby to podzielenie sił, a gdyby nawet udało nam się

uniemożliwić im wejście do systemu, nic by to nam nie dało. Po prostu podciągnęliby rezerwy i spróbowali ponownie. A ponieważ mają w pobliżu rezerwy, udałoby im się. Spróbuję jeszcze raz wyjaśnić sytuację prosto i zrozumiale. Panie i panowie, nie prowadzimy akcji opóźniającej. Naszym zadaniem jest obrona systemu, a celem jest zniszczenie sił przeciwnika! Jeśli ktokolwiek tego dotąd nie rozumiał, to ma ostatnią okazję, bo wszystkie rozkazy będą zmierzały do osiągnięcia tego właśnie celu. A każdy, kto nie wykona ich właściwie, trafi pod sąd. Co zaś się tyczy warpa do Nowej Rodiny, jego ochrona nie zostanie wzmocniona. Nowa Rodina to ważny system węzłowy, ale większość prowadzących przez niego szlaków wiedzie do nie skolonizowanych układów planetarnych. Przeciwnik z pewnością o tym wie, a jak dotąd konsekwentnie kierował się ku Planetom Wewnętrznym. Jestem przekonany, że nadal będzie tak postępował.

W sali ponownie zapanowała cisza, ale tym razem nie spowodowana strachem. Wszyscy wiedzieli, że Antonow ma krewnych i znajomych na Nowej Rodinie, a Paweł Siergiejewicz Tsuczewski był jednym z pierwszych urodzonych tam kolonistów.

– Teraz przejdziemy do szczegółów – dodał Antonow. – Najważniejsze jest skoordynowanie działań myślicieli bazujących w fortach i na lotniskowcach. Za to odpowiedzialny będzie komodor Kthaara'zarthan. Czy dla kogokolwiek z obecnych stanowi to jakiś problem?

Pytanie zostało zadane spokojnym, w miarę cichym głosem i teraz już wszyscy obecni doskonale wiedzieli, czego to może być zapowiedzią.

* * *

Dezorientacja spowodowana tranzytem szybko minęła i pierwszy admirał Lantu mógł na własne oczy przekonać się, że meldunki zwiadowców, choć niewiarygodne, były zgodne z prawdą. Na ekranach i holoprojekcji pomostu bojowego superdreadnoughta *Hildebrandt Jackson* nie było śladu wroga. Wyjścia z warpa nie broniono.

Ta miła niespodzianka mocno go zaniepokoiła. Wszyscy przygotowali się na najgorszą próbę – szturm bronionego wyjścia z warpa słynnej wśród niewiernych Linii – a tu nic. Jednostki zwiadowcze penetrowały system, a okręty liniowe jeden po drugim dokonywały całkowicie pokojowego tranzytu.

– Nie podoba mi się to – powiedział Lantu tak cicho, by usłyszał go tylko Manak. – Wszystkie informacje, jakie zdobyliśmy, są zgodne co do tego, że każde wyjście z warpa w tym systemie jest potężnie ufortyfikowane. A zdrowy rozsądek po prostu wymusza wzmocnienie fortów okrętami. Więc gdzie one są?!

– Mój synu, kto może zgłębić umysły heretyków? – odparł zbyt spokojnie Manak.

Lantu już miał mu to powiedzieć, ale zobaczył troskę w jego oczach. Obaj mogli popaść w niełaskę Synodu, a Manak nie był już młody, z czego Lantu dopiero teraz zdał sobie sprawę.

– Panie admirale, zwiadowcy mają w zasięgu sensorów pozostałe warpy – rozległ się głos kapitana Yuraha. – Właśnie kończymy odbierać transmisje od nich, sir...

W tym momencie holomapa rozświetliła się czerwonymi symbolami. Większość z nich skupiona była w jednym miejscu.

– Aha... – mruknął Lantu. – Tak to sobie wymyślili! Wygląda na to, że ściągnęli wszystkie forty do obrony warpa, którym planowaliśmy opuścić system. Poza fortami orbitalnymi broniącymi samej planety, ma się rozumieć. Tylko dlaczego się na to zdecydowali, zamiast bronić wejścia do systemu? Przy tak małych odległościach nawet ich działa laserowe byłyby groźną bronią... To nie ma sensu! Przynajmniej z wojskowego punktu widzenia nie ma, a nawet heretycy winni mieć...

– Pamiętaj, synu, że te forty są stare. Pochodzą prawie z czasów Wysłannika. Może są słabsze, niż sądziliśmy – przerwał mu Manak, próbując przekonać sam siebie. – Mimo to sądzę, że z wydzieleniem sił do pokonania obrony orbitalnej rozsądniej będzie poczekać, aż je zniszczymy.

– Zgadzam się całkowicie, Wasza Świątobliwość. Kapitanie Yurah, proszę poinformować komodora Ganhada, że flota ma wykonać plan Gamma. Może odłączyć się od sił głównych jedynie na mój rozkaz.

– Aye, aye, sir – potwierdził Yurah.

I Pierwsza Flota Miecza Świętej Ziemi skierowała się ku umocnieniom wokół warpa prowadzącego do systemu Cimmaron. Lantu nie podobało się to wszystko, ale polecenia Synodu były jednoznaczne. Nie miał wyboru.

* * *

– Przeciwnik skierował się wszystkimi siłami ku warpowi prowadzącemu do Cimmaron, sir.

Antonow mruknął potwierdzająco. Najniebezpieczniejszy moment nastąpił, gdy thebańscy zwiadowcy znaleźli się tak blisko pasa asteroidów między gazowymi gigantami, czyli czwartą i piątą planetą układu, że mieli go w zasięgu sensorów. Na szczęście ich załogi całą uwagę skupiły na olbrzymich fortach, toteż nic dziwnego, że przeoczyły okręty z wyłączonymi napędami rozsiane w tymże pasie asteroidów.

Antonow rozejrzał się po pomoście flagowym FNS *Indomitable*. Krążowniki liniowe klasy *Kongo*, nawet krążowniki dowodzenia, nie były przystosowane do roli okrętów flagowych floty, toteż panowała ciasnota. Ale wszystkie okręty liniowe znajdowały się w systemie Cimmaron i bezsensu byłoby przebywanie na którymś z nich. Wszystkie czekały na kapsułę kurierską z rozkazem tranzytu w decydującym momencie. Natomiast on miał rozegrać bitwę i musiał znajdować się na polu walki. Jeśli przegra, po prostu zginie wraz ze wszystkimi obrońcami Redwing.

– Wróg zbliża się do punktu Stalingrad, sir – oświadczył Kthaara, wskazując pulsującą

kropkę na ekranie nawigacyjnym ukazującym kurs Theban.

Antonow przytaknął, zauważając, że Kthaara odruchowo stulił uszy i pokazał pazury. Określenie „kotowaty” z jednej strony nie było właściwe, jako że jego rasie przypadła w udziale zupełnie inna droga ewolucji i był bliżej spokrewniony z jaszczurką niż z kotem, ale z drugiej było idealnie trafne, ponieważ wyglądał i zachowywał się dokładnie jak ziemski kot. Tyle że był duży, inteligentny i śmiertelnie niebezpieczny. Takie przypadki musiały się zdarzyć w tak wielkiej galaktyce. Poddani chana byli drapieżnikami o wielopokoleniowym doświadczeniu i Antonow dziękował losowi, że tym razem to nie ludzie występują w roli ich przeciwników.

– Komodorze Tsuczewski – powiedział spokojnie – kiedy przeciwnik dotrze do punktu Stalingrad, proszę doprowadzić flotę do stanu pełnej gotowości bojowej i czekać na mój rozkaz.

– Aye, aye, sir – potwierdził Tsuczewski, nie komentując, że rozkaz jest zbędny, bo przecież zostało to wcześniej uzgodnione.

– Komandorze Kthaara, wyda pan rozkaz startu myśliwcom, kiedy uzna pan to za sensowne, naturalnie w ramach planu operacyjnego – dodał Antonow.

– Aye, aye, sir – potwierdził spokojnie Kthaara.

Z pewnością wśród oficerów Drugiej Floty nadal byli tacy, którzy nie akceptowali obecności i stanowiska kociambra, ale po ostatnich tygodniach ćwiczeń z całą pewnością nie było ich wśród pilotów myśliwskich.

Zadowolony z rozwoju wydarzeń Antonow poprawił się w fotelu.

I czekał.

* * *

Gdy thebańskie okręty dotarły do punktu Stalingrad, komodor Lopez znajdujący się w forcie dowodzenia o kryptonimie *Skywatch* rozkazał:

– Wszystkie myśliwce start!

I po raz pierwszy w tej wojnie dywizjony myśliwskie Marynarki Federacji wystartowały do walki w całości jako dobrze przygotowana i zgrana formacja uderzeniowa posiadająca bezpieczne lądowiska.

* * *

Lantu nie odezwał się, widząc w holoprojeksji nowe jednostki przeciwnika. Tego właśnie się obawiał. Ustawione w uporządkowaną formację myśliwce w niczym nie przypominały gorączkowo i beładnie startującej z ostrzelanych lotniskowców gromady, z którą miał do czynienia w Lorelei. Biorąc pod uwagę czas startu, musiały mieć jeszcze większy zasięg operacyjny, niż wcześniej przypuszczał. Wyglądało na to, że na tyle duży, by zdążyły wrócić po nowe rakiety i zaatakować jego okręty powtórnie, nim te będą miały forty w zasięgu ognia.

A może nawet i trzeci raz.

Jedyna nadzieja w tym, że 1. Flota nie była zupełnie bezbronna. O czym przeciwnik nie wiedział.

* * *

Porucznik Allison Du Pre ze 119. Dywizjonu Myśliwskiego Fortress Command prowadząca formacje atakujące nieprzyjacielską flotę pomyślała, iż lepiej byłoby, gdyby admirał Antonow i kociamber mieli rację i przeciwnik rzeczywiście nie docenił możliwości myśliwców. Poza nią bowiem w systemie było niewielu doświadczonych pilotów, a to oznaczało, że...

Jej boczny zmienił się nagle w ognistą kulę.

– Rakiety przeciwlotnicze! – warknęła na kanale dowodzenia. – Rozpocząć uniki!

Dopiero potem zaczęła kłąć.

* * *

Obserwując zniszczenie pierwszych myśliwców, Lantu był naprawdę wdzięczny arcybiskupowi Ganhadowi za tak szybkie wdrożenie do produkcji rakiet przeciwlotniczych. Natomiast nie podzielał optymizmu swego sztabu, gdyż ich skuteczność okazała się znacznie mniejsza, niż przewidywano. Oczywiście było, że przeciwnik opracował nie tylko doktrynę ofensywnego ich użycia, ale i obrony przed znanymi bronią przeciwlotniczymi. Dlatego właśnie wszystkie instrukcje, jakie zdobyli, podkreślały, że jedyną skuteczną bronią antymyśliwską jest inny myśliwiec!

Mimo strat myśliwce nie rozproszyły się ani nie zawróciły i zdecydowanie zbyt szybko jak na jego gust znalazły się w odległości umożliwiającej im rozpoczęcie ataku.

* * *

Porucznik Du Pre przeżyła ostrzał rakiet przeciwlotniczych i z dumą obserwowała, jak reszta pilotów jej dywizjonu zmienia szyk, przygotowując się do ataku. Może i byli nowicjuszami, ale dobrze wyszkolonymi. A kociamber rzeczywiście znał parę chwytów, o których ona nawet nie słyszała. Obserwowała uważnie ekran taktyczny, czekając, aż osiągną odpowiednią odległość...

– Atak! – Rozkazała i położyła maszynę w ciasny skręt.

A za nią manewr powtórzyli piloci jej dywizjonu i pozostałych. Przedarli się przez ogień działek laserowych i antyrakiet i znaleźli się w martwej strefie ostrzału, czyli za rufami thebańskich okrętów liniowych.

Przelatując przez obronę antyrakietową, 117. Dywizjon stracił następnych dwóch pilotów, w tym porucznik Du Pre, ale pozostali przeprowadzili atak tak jak, ich wyszkolono, lecz z większą zaciętością, bo mścili się za śmierć dowódcy.

* * *

Lantu zachował obojętny wyraz twarzy, za to Manak jęknął, gdy myśliwce przedarły się przez ostatnią zaporę, czyli ogień obrony antyrakietowej. Miały co prawda uzbrojenie o małym zasięgu i dość słabe, ale uderzały z niezwykłą precyzją i było ich dużo. Całe dywizjony odpalały salwy równocześnie, powodując przeciążenie generatorów osłon, a potem, gdy te przestawały działać, zbliżały się i prwały pancierz, przelatując wzdłuż burt znacznie wolniejszych okrętów. Jego flagowiec nie stał się celem ataku, ale superdreadnought *Allen Takagi* nie miał tyle szczęścia. Pozbawiony osłon, z pancierzem podziurawionym w wielu miejscach i zniszczoną połową napędu włókł się, pozostając coraz bardziej w tyle i znacząc swój ślad skryształizowanym powietrzem.

– Przerzywają atak, sir – zameldował Yurah.

Lantu potrząsnął głową – Yurah był w błędzie: myśliwce nie przerwały, lecz zakończyły atak. Teraz wycofywały się, by uzupełnić rakiety i zacząć nowy.

– *John Calvin* i *Takagi* nie są w stanie utrzymać prędkości, sir – zameldował Yurah. – Flota ma zwolnić czy damy im osłonę?

– Wydziel wzmocnioną eskortę, a reszta floty ma lecieć z tą samą szybkością. Musimy jak najprędzej mieć forty w zasięgu ognia.

– Aye, aye, sir!

* * *

– Myśliwce *Fortress Command* wykonały pierwszy atak, panie admirale. Przeciwnik poniósł poważne straty i wydaje się, że wydzielił kilka eskadr niszczycieli do roli okrętów przeciwlotniczych. Widać, że nie opracowali właściwej doktryny ochronnej – zameldował z satysfakcją Tsuczewski. – Natomiast okręty liniowe, poza dwoma ciężko uszkodzonymi, zmierzają nadal ku fortom.

Antonow kiwnął głową, przyglądając się ekranowi taktycznemu. Odległość była zbyt duża, by nawiązanie łączności z Lopezem miało jakiś sens. Poza tym zdradziłyby w ten sposób swą obecność przedwcześnie. Pozostało tylko mieć nadzieję, że Lopez wykona swoją część planu.

– Kapitanie Tsuczewski – oznajmił formalnie – proszę wydać Drugiej Flocie rozkaz wyruszenia.

– Aye, aye, sir!

Na ekranie wizualnym przesunął się obraz żelaznej asteroidy, za którą ukrywał się FNS *Indomitable*, i po chwili ukazała się na nim rozgwieżdżona czerń kosmosu. Pozostałe okręty zajęły wyznaczone pozycje i Druga Flota ruszyła ku przeciwnikowi w szyku bojowym. Antonow westchnął z ulgą, po czym powiedział tak cicho, że usłyszeć mógł go tylko Tsuczewski.

- Cóż, Pasza, teraz już nie mamy odwrotu. Oby Lopez nie skrewił.
- Ano – przyznał równie cicho Tsuczewski.

* * *

Myśliwce wróciły do fortów, by uzupełnić rakiety, ewentualnie paliwo. Ich śladem, acz znacznie wolniej, leciała Pierwsza Flota. Myśliwców było zbyt mało, by same mogły zdecydować o losach bitwy, co Kthaara słusznie przewidział, toteż straty thebańskie nie były tak poważne, jak być powinny. Zniszczonych zostało tylko parę mniejszych okrętów, za to znacznie więcej, w tym i liniowych – poważnie uszkodzono. Utrzymanie szyku stało się problematyczne, ale Lantu uparł się, by jego okręty jak najszybciej miały forty w zasięgu swych rakiet. Rakiety wystrzeliwane z fortów miały większy zasięg, ale był na to przygotowany, a poza tym nic nie mógł na to poradzić, tylko lecieć dalej. Na co nie był przygotowany, jako że być nie mógł, to na nowe głowice, których pierwszą wyprodukowaną partię Howard Anderson zdążył dostarczyć obrońcom Redwing wbrew oficjalnym harmonogramom dostaw. A była to zupełna nowość w historii wojen międzyplanetarnych, gdyż były to głowice z antimaterią. Każda z nich zawierała jej odrobinę, ale i tak była wielokrotnie silniejsza od klasycznej nuklearnej. Przekonały się o tym załogi pierwszych okrętów, przy których detonowały – pojedyncza rakietka powodowała przeciążenie generatora albo i dwóch osłon, a następna zmieniała najgrubszy nawet pancierz burtowy w nicłość.

Część załóg ogarnęła panika, ale nie objęła ona pomostu flagowego *Jacksona*. Lantu rozkazał dać całą naprzód, poświęcając uszkodzone okręty, byle tylko móc wreszcie otworzyć ogień do fortów. Tylko w ten sposób mógł bowiem powstrzymać myśliwce i nowe rakiety. Wiedział, że należy zdobyć egzemplarze nowej broni, by w przyszłości jego jednostki miały równe szanse w starciu z niewiernymi, toteż wydał stosowne rozkazy dowódcom grup abordażowych. Nim jednak Pierwsza Flota dotarła na tyle blisko fortów, by je ostrzelać, z wylotu warpa prowadzącego do Cimmaron zaczęły wyłaniać się okręty liniowe wroga.

A pierwsze dywizjony zatankowanych i uzbrojonych myśliwców wystartowały z pokładów hangarowych fortów.

Wszystko to spowodowało, że nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje dokładnie za rufami okrętów. I dlatego ani sensory, ani ich operatorzy nie wykryli zgrupowania niewielkich lotniskowców wraz z eskortą, które wyłoniły się z pasa asteroidów i leciały śladem Pierwszej Floty.

* * *

Na pomoście flagowym FNS *Indomitable* panowała cisza. Antonow zamierzał w pełni wykorzystać wiedzę i instynkt Kthaary, więc dał mu wolną rękę, a pozostali byli nadzwyczaj ciekawi jego taktyki, toteż czekali w ciszy i napięciu. Poza tym i tak nie mieli nic do roboty, jak długo bitwa toczyła się zgodnie z planem.

Nagle Kthaara wydał serię warknięć, miauknięć i syknień, które przydzielony do jego osobistej dyspozycji tłumacz przełożył na łańcuch komend. W następnej chwili z pokładów hangarowych dwóch lotniskowców floty i dziewięciu lotniskowców klasy *Pegasus* wystartowały równocześnie wszystkie myśliwce.

* * *

Pierwsza Flota miała wreszcie forty w zasięgu skutecznego ostrzału raketowego, toteż tak wokół umocnień, jak i okrętów przestrzeń gotowała się od eksplozji. Lantu z ulgą zauważył, że coraz mniej wśród nich było potężnych rozbłysków nowych głowic. Święta Ziemia była łaskawa i niewierni mieli ich na szczęście niewiele. Nakazał wystrzelenie jednostek abordażowych i odetchnął z ulgą.

Przedwcześnie.

– Panie admirale, myśliwce nadlatują od rufy! – meldunek zbiegł się z pojawieniem nowych symboli w holoprojektacji.

Lantu zbladł. Drugi atak myśliwców z fortów był w toku i wyglądało na to, że zakończy się tuż przed przybyciem nowych. Teraz zrozumiał taktykę przeciwnika – gdzieś za nim, poza zasięgiem sensorów, znajdowały się lotniskowce, których zadaniem było przydusić jego siły do umocnień Linii niczym robaka do szkła.

Sklął się w duchu za to, że zbyt mało uwagi poświęcił instrukcjom i regulaminom walki niewiernych, i zaczął gorączkowo improwizować. W wyniku tego rozpaczliwego manewrowania, na ile to było możliwe, stworzył formację obronną, w której jedne okręty kryły ogniem rufy innych, ale wiedział, że nie jest ona ani kompletna, ani szczelna. Dawała jednak jednostkom jakieś wzajemne wsparcie ogniowe. Teraz mógł tylko czekać na skutki abordażu, który powinien rozpocząć się lada chwila...

* * *

Sierżant Jason Mendenhall zwany potoczny „Gunny” prowadził swoją drużynę Marines przejściami technicznymi znajdującymi się między wewnętrznym a pancernym kadłubem fortu dowodzenia. Przejścia te przeznaczone były dla robotów, ale zaprojektowano je tak, by mogli korzystać z nich także ludzie. Natomiast Marines w zasilanych zbrojach przeciskali się przez nie z pewnym trudem.

Na szczęście były to zbroje nowego typu, bo w tych z okresu III wojny międzyplanetarnej nie zmieściliby się nawet w szerokim przejściu. Co prawda projektanci nie przewidzieli, że zbroje będą wykorzystywane przy odpieraniu abordaży, ale istniała szansa, że kiedy się o tym dowiedzą, wprowadzą stosowne poprawki do zmodernizowanych wersji skafandrow bojowych MkV, jak oficjalnie nazywały się zbroje. Mendenhall nie bardzo przejmował się ciasnotą – wiedział, że pociski nawet wielkokalibrowych karabinów maszynowych odbijają się od zbroi, bo brał udział w testach polowych, i wiedział też, jaką siłą ognia dysponuje broń,

którą miał.

I znał zadanie, które musiał wykonać za wszelką cenę.

Z przodu, zza załomu korytarza dobiegał głuchy huk eksplozji i z wyciem zaczęło uciekać powietrze. Oficer taktyczny dobrze przewidział, w którym miejscu Thebanie wysadzą przejście w panczerzu. Na znak sierżanta Marines zajęli pozycje, wtulając się na ile to było możliwe w załomy ścian.

Nie musieli długo czekać, nim sensory skafandrów wykryły z przodu ruch i zbliżające się odgłosy. Te ostatnie co prawda słycać było słabo w coraz bardziej rzedającym powietrzu, ale urządzeniom to wystarczyło. Mendenhall dał znak podkomendnym i z bronią gotową do strzału wysunął się za załom korytarza.

Wiedział, co zobaczy, natomiast Thebanie nie. A zobaczyli dwuipółmetrowego stalowego olbrzyma z dziwną długą strzelbą. Samopuł ten był jednostrzałowy, a w komorze miał odrobinę wodoru zawieszoną w superprzewodniku. Po naciśnięciu spustu wstawione zbieżnie mikrolasery podgrzały ją prawie do temperatury próżni, a gdy zamieniła się w strumień plazmy, została elektromagnetycznie wystrzelona z lufy. Plazma i otaczające ją powietrze miały tak wysoką temperaturę, że spalały wszystko poza stopem kompozytowym, z którego wykonano lufę. Gdyby nie zbroja, Mendenhall nie przeżyłby tego strzału. Miał ją, więc przeżył.

Thebanie nie mieli, więc większość nie przeżyła.

A niedobitki w osłupieniu spoglądały na spalone i rozszarpane wtórnymi eksplozjami amunicji ciała towarzyszy zaścielające korytarz o ścianach opalonych do gołego panczerza. Dwaj Marines za Gunnym byli pod mniejszym wrażeniem, toteż zaczęli strzelać, ledwie uciął odgłos strzałów wywołanych temperaturą. Nie z karabinów plazmowych, bo takowy przypadał jeden na drużynę, lecz z automatów systemu *flechette* wypływających pociski wypełnione cieniutkimi i ostrymi jak żyłki krążkami. Pociski eksplodowały parę metrów po opuszczeniu lufy i tarczki leciały, wirując i tnąc wszystko, co nie było zbroją. Thebańskie skafandry próżniowe były miejscami opancerzone, ale za słabo, by stanowić osłonę przed wirującą śmiercią.

Masakra zakończyła się w ciągu paru sekund, ale nie obyło się bez ofiar. Jeden z ostatnich Theban uzbrojony był w ręczną wyrzutnię rakiet używaną do torowania drogi przez zamknięte włazy, wewnętrzne ściany czy inne przegrody. Nim zginął, zdążył raz wystrzelić, a z tej odległości trudno było nie trafić. W zbroję Gunny'go Mendenhalla uderzyła rakietka z ładunkiem kumulacyjnym przeznaczonym do niszczenia ciężkich czołgów...

* * *

Pierwszy admirał Lantu z coraz większym niepokojem słuchał kolejnych meldunków Yuraha. Ani jedna grupa abordażowa nie odniosła sukcesu. Większość zamilkła po nadaniu meldunków o wysadzeniu wejść w poszyciach. Z rozpaczliwych raportów pozostałych jasno

wynikało, że przeciwnik spodziewał się ich i zastawił pułapkę, w którą wpadły co do ostatniej.

A nie była to pierwsza zasadzka przygotowana przez obrońców. Lantu, który ostrzegał przed atakiem, czuł się fatalnie.

Myśliwce z fortów zakończyły nalot i do dzieła przystąpiły te z lotniskowców. *Takagi* przestał istnieć, *Calvin* stracił napęd, co oznaczało, że dobiją go później, a większość okrętów odniosła równie poważne uszkodzenia. A myśliwce wracały po rakiety na pokłady jednostek czekających na granicy wykrywalności sensorów. I do tego ich straty były znacznie mniejsze niż tych z fortów, gdyż nie musiały przedzierać się przez zaporę niszczycieli, a atakowały od rufy. Pierwsza Flota zaś nie mogła manewrować, tak jak powinna, czyli odwracając się rufami do kierunku ataku, z obawy przed raketami z fortów, które miałyby wówczas idealne a w żaden sposób nie chronione cele. Rakiety te były znacznie potężniejsze od przenoszonych przez myśliwce i wystarczyłoby jedno trafienie, by pozbawić okręt napędu, czyli skazać na zniszczenie. Co gorsza do walki włączyły się też przybyłe z Cimmaron okręty liniowe i ich działa. Sprawily, że szala zwycięstwa w pojedynku artyleryjskim przechylała się wyraźnie na stronę obrońców. Lantu na dodatek miał świadomość, że zapas rakiet przeciwlotniczych jest ograniczony. Dlatego też choć znajdowali się naprawdę blisko celu, mógł zrobić tylko jedno:

– Musimy przerwać walkę i wycofać się – powiedział cicho, lecz stanowczo.

Manak spojrział na niego zszokowany.

– Jesteśmy w pułapce między fortami a lotniskowcami – wyjaśnił Lantu. – Jeżeli tu zostaniemy, zniszczą nas kolejne myśliwce i rakiety. Nie ocaleje ani jeden okręt.

– Nie możemy! – zaprotestował kapelan. – Ponieśliśmy ciężkie straty, ale oni też! Jeśli zniszczymy forty i zdobędziemy wlot do warpa, to niewierni wpadną w pułapkę.

– Chciałbym, żeby tak było, Wasza Świątobliwość – westchnął ciężko Lantu. – Ale Cimmaron także jest silnie umocniony i znajdujące się w nim forty na pewno zostały skoncentrowane wokół wyjścia z tego warpa. Ich załogi będą na nas czekać, a każdy okręt zaraz po tranzyście jest bezbronny: wystrzelają nas po kolei. A jeśli nie dokonamy tranzytu, zniszczą nas myśliwce startujące z lotniskowców, których nie jesteśmy w stanie zaatakować, bo są równie szybkie co nasze krążowniki. W najgorszym wypadku wycofają się do Nowej Rodiny, ale to tylko teoria. Prawda jest taka, że przegraliśmy tę bitwę, i ciągnąc ją, tylko powiększamy własne straty.

– Ale Synod, synu! Prorok osobiście nakazał ten atak! Jak wytłumaczymy to Synodowi?!

Lantu wyprostował się.

– Synodowi ja to wyjaśnię. To ja dowodzę Pierwszą Flotę, a Święta Ziemia nie powierzyła mi jej na zatracenie. Nie będę niepotrzebnie marnował życia Jej dzieci tylko po to, by okazać ślepe posłuszeństwo woli Synodu. To moja decyzja i wina, jeśli tak to zostanie osądzone, będzie także moja.

Jednak mówiąc to, nie wierzył we własne słowa. Bo to nie on był winny, ale ci, którzy nie

mając pojęcia o realiach militarnych, zignorowali jego rady i kazali mu wykonać plan, w którego powodzenie nie wierzył. A byli to ci, dla których flota tyle wcześniej poświęciła i dla których poświęcała się nadal...

– Nie! – sprzeciwił się Manak. – Jesteś pierwszym admirałem, ale ja jestem kapelanem floty, to także moja decyzja. A ta decyzja jest słuszna, mój synu. Razem wyjaśnimy to Synodowi. Rób, co musisz.

– Dziękuję – powiedział Lantu cicho, po czym dodał głośno i spokojnie: – Kapitanie Yurah, proszę skontaktować się z admirałem Troną. Jego jednostki będą musiały osłonić nasz odwrót.

* * *

Komodor Lopez rozejrzał się po centrum dowodzenia *Skywatch Redwing*, bo taki kryptonim nosił fort dowodzenia. Po dyżurnej zmianie widać było zmęczenie wielogodzinnym napięciem i walką zarówno z wrogiem, jak i z uszkodzeniami. A te ostatnie były tak poważne, że fort musiał używać awaryjnego zasilania.

Na szczęście bitwa dobiegała końca, gdyż większość zdolnych do ruchu jednostek thebańskich właśnie rozpoczęła odwrót, co powitano radosnymi, choć słabymi wiwatami. Lopez dopiero po chwili zauważył, że w przeciwieństwie do sił głównych kilka krążowników liniowych i ciężkich skierowało się ku jego fortom...

* * *

Biorąc pod uwagę prędkości rozwijane przez nowoczesne okręty oraz ich zwrotność, niemożliwością było, by jeden okręt staranował drugi. Niezwykle rzadko, ale zdarzają się jednak takie przypadki. Kończą się one zawsze całkowitym zniszczeniem obu, chyba że jeden z nich jest dużo większy od drugiego i ma znacznie potężniejszy napęd. W związku z tym nie jest to metoda ani opłacalna, ani pewna.

Thebanie znaleźli jednakże sposób, by uczynić ją na tyle skuteczną, na ile tylko było to możliwe. Kosztowało ich to sporo jednostek straconych w czasie prób, a okręty przystosowane do taranowania rozwijały mniejszą niż inne prędkość, ale udało im się opracować swoisty elektromagnetyczny taran działający przed dziobem okrętu. Nikomu w Marynarce Federacji sposób taki nawet się nie przyśnił, jako że oznaczał śmierć dla wszystkich na pokładzie okrętu taranującego w momencie trafienia z uwagi na przeciężenie reaktora. Oraz dlatego, że obrona na cel jednostka bez trudu mogła uniknąć ataku.

Ale forty Linii nie miały możliwości robienia uników.

A krążowniki Floty Taranującej obsadzono załogami składającymi się z najbardziej fanatycznych wyznawców Świętej Ziemi. Dla nich śmierć w Jej służbie była najwyższą nagrodą.

* * *

– Panie admirale – zameldował Tsuczewski – forty bardzo ucierpiały w wyniku zastosowania tej nowej metody ataku, a kontyngenty Marines toczą zaciekle walki z samobójczymi grupami abordażowymi wystrzelonymi tuż przed taranowaniem. Nasze myśliwce właśnie mają rozpocząć następny atak... możemy je jeszcze skierować przeciwko jednostkom taranującym, które nie zdążyły dotrzeć do fortów...

– Nie! – oznajmił Antonow na tyle donośnie, by usłyszeli go wszyscy obecni na pomoście flagowym. – Właśnie o to przeciwnikowi chodzi. Forty muszą się obronić same, a naszym celem pozostają okręty liniowe. Z każdym, który nam ucieknie, będziemy musieli walczyć w przyszłości, gdy go wyremontują. Myśliwce mają wykonać zaplanowane zadanie, nie będzie żadnych zmian celów!

Najnowszy przejaw szaleństwa Theban, czyli taranowanie, wstrząsnął Antonowem tak samo jak pozostałymi ludźmi, ale on jako pierwszy nad sobą zapanował. Sądząc po zachowaniu przyglądającego mu się bez słowa Kthaary, podejrzewał, że ten uznał, iż zachował się dokładnie tak, jak przystało na oriońskiego wojownika.

A reakcje członków sztabu świadczyły, że myślą dokładnie tak samo.

* * *

Bitwa była skończona.

Niedobitki floty thebańskiej opuściły system, a Druga Flota połączyła się ponownie w jedną całość w pobliżu fortów. Antonow z kamienną twarzą przyglądał się liście zniszczonych okrętów i umocnień oraz zabitych obrońców. Tę drugą otwierał komodor Antonio Lopez y Sandoval zabity wraz z całą załogą *Skywatch Redwing*, gdy wrak fortu staranował trzeci z kolei krążownik liniowy.

Usłyszał, że ktoś podchodzi do fotela, i uniósł głowę.

– O co chodzi, komandor Trevayne? – spytał.

– Przypomniało mi się, co powiedział kiedyś jeden z moich rodaków, sir – odparła cicho Trevayne. – Poza przegraną bitwą nie ma nic równie strasznego jak wygrana bitwa.

Antonow chrząknął i wrócił do przeglądania listy strat.

Rozdział XII

JAK ZA DAWNYCH, DOBRYCH DNI

Pojazd dostojnie osiadł na lądowisku i Howard Anderson wysiadł, ignorując nieśmiałą próbę pomocy ze strony chorążego Mallory'ego. Młodzian szybko się uczył, ale pewne odruchy jeszcze mu pozostały. Nawet adiutant cierpiący na ciężki przypadek uwielbienia szefa w końcu był w stanie nad nimi zapanować, jeśli wystarczająco często był za to rugany, a Anderson w tej mierze dokładał wszelkich starań. Każdy chorąży musiał przejść podobny proces, by potem móc stać się normalnym oficerem, inaczej cały czas miałby problemy.

Mallory naturalnie był pierwszy przy windzie i przywołał ją, nim Anderson doszedł do drzwi. Tym razem podziękował mu ruchem głowy i wsiadł. I prawie natychmiast pożałował swojej łagodności, gdyż Mallory prawie pojaśniał ze szczęścia. Gdyby miał ogon, bez dwóch zdań by nim zamerdał. W następnej chwili Anderson przestał myśleć o adiutancie. Bębnił delikatnie palcami po gałce laski. Jeśli wywiad floty znalazł to, o co prosił, w krótkim czasie dobierze się komuś do dupy... i zrobi to z przyjemnością.

Winda zatrzymała się i obaj wysiedli. Postronny obserwator uznałby, że chorąży wygląda na młodszą wersję starszego mężczyzny, ale gdyby tenże obserwator zasugerował to Andersonowi, zapoznałby się natychmiast z bogactwem tej części jego słownictwa, którą powszechnie uważa się za obelżywą. Lubił młodego Mallory'ego, ale dawno już zapomniał, że kiedyś sam był równie młody i równie zielony.

- Masz te raporty, Andy? – spytał, gdy podeszli do drzwi gabinetu.
- Mam, sir.
- To dobrze.

Drzwi otworzyły się i midszypmen Gonzales zaczęła zrywać się do pionu, lecz widząc szefa, opadła spokojnie na fotel znacznie szybciej i naturalniej, niż Mallory by się ośmielił. Anderson uśmiechnął się do niej i wszedł do swego gabinetu.

Ledwie włączył komputer, wysłał adiutanta do sekretariatu i zajął się klawiaturą. Wpisywanie komend szło mu zaskakująco sprawnie, a gdy na ekranie wyświetliły się poszukiwane informacje, zagłębił się w lekturze.

Im dłużej czytał, tym jego wzrok stawał się twardszy.

* * *

– Witam, panie Anderson. Co za miła niespodzianka! – Lawrence Taliaferro wstał, widząc Andersona wchodzącego do jego obszernego gabinetu.

Był przysadzisty, ale z racji dobrze rozwiniętej skłonności do tycia można go było już określić mianem tłustego. Jego szare oczy były czujne i Anderson z czystej złośliwości zadał sobie w duchu pytanie, z ilu różnych powodów. Obstawiał, że co najmniej z tuzina, ale na pewno nie z tego, który go tu sprowadzał. Bo wówczas Taliaferro by się bał.

– Dziękuję za miłe słowa – odparł łaskawie i pozwolił, by gospodarz podsunął mu fotel.

– Drobiazg. Coś do picia?

Anderson potrząsnął głową. Raz, że nie podobało mu się ostentacyjne zatrudnianie służących ludzi przez oligarchów Planet Korporacji. Dwa, był zwolennikiem oriońskiego zwyczaju nieprzyjmowania jadła czy napoju od *chofaki*.

– Cóż więc pana tu sprowadza, panie Anderson? – spytał radośnie gospodarz. – Cokolwiek mogę dla pana zrobić, będzie dla mnie zaszczytem.

– To miło z pana strony. – Anderson miał okazję spotkać go osobiście pierwszy raz.

Stocznia Taliaferro całkiem sprawnie uwinęła się z przywracaniem zdolności bojowej przydzielonych okrętów, ale to akurat nie był specjalny powód do dumy. Była wystarczająco nowoczesna i wystarczająco wielka, by dobrze funkcjonować. Obejmowała prawie połowę archipelagu, gdyż przez ostatnich czterdzieści lat standardowych ród Taliaferro stopniowo przejmował wszystkie mniejsze firmy. Nawet w warunkach monolitycznego kapitalizmu tę rodzinę można było określić mianem superkapitalistów.

Lawrence był wnukiem Winstona Taliaferra, założyciela imperium. Anderson dobrze pamiętał Winstona z okresu I wojny i szczerze żałował, że tamten zmarł, nim kuracja antystarzeniowa stała się dostępna. Winston był bezwzględny starym rozbójnikiem, ale także uczciwym człowiekiem, i z tego co Anderson wiedział, nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie naraził bezpieczeństwa Federacji dla zysku. Na szczęście populacja Galloway's World wzrosła tak znacznie, że chcąc mieć dostęp do kuracji antystarzeniowej, Lawrence musiał stąd wyemigrować.

Teraz zaczął się pod jego baczny spojrzeniem nerwowo kręcić. Wiedział, że toczą wojnę, ale uważał, że wpłacił wystarczająco dużo na fundusz wyborczy Sakanamiego, by nie musieć znosić na swojej planecie tego chodzącego przeżytku historii. A już do reszty wyprowadzała go z równowagi ta niespodziewana wizyta...

– Panie Taliaferro – odezwał się w końcu Anderson. – Przez ostatnie dni zapoznałem się z paroma naprawdę interesującymi raportami technicznymi.

– Tak?

– Właśnie. Technika poczyniła ostatnio spore postępy. Gdybym miał choć część tych systemów uzbrojenia w systemie Aklumar czy w bitwie o Ophiuchi Junction... – Anderson

wzruszył wymownie ramionami.

A uspokojony gospodarz uśmiechnął się szeroko.

– Tak, jesteśmy dumni z naszych osiągnięć. Nasza flota zasługuje na najlepszy sprzęt i...

– W zupełności się z panem zgadzam. – Anderson wszedł mu zgrabnie w słowo. – A teraz, gdy Rezerwa w całości została reaktywowana i wysłana na front, zastanawiałem się nad priorytetami dla budowy nowych okrętów. Wygląda na to, że przez Galloway's World przepłynę naprawdę dużo kredytów.

– Tak? – powtórzył Taliaferro, siadając prosto, z błyskiem chciwości w oczach.

Widok ten sprawił Andersonowi czystą przyjemność.

– A tak. I chcę pana osobiście poinformować o planach, jakie mam względem udziału Stoczni Taliaferro w wykorzystaniu tych pieniędzy, jak też i o tym, od czego powinna w mojej opinii zacząć realizację zamówień.

– To naprawdę miło z pana strony i jestem pewien...

– Zwłaszcza zaś – przerwał mu Anderson, nim gospodarz rozplątał się w podziękowaniach – o tym, że pierwsze kontrakty do wysokości półtora miliarda kredytów Stoczni Taliaferro wykona gratis.

– Co?! – Gospodarza poderwało z fotela. – Nie można... jak to... przecież to niedorzeczność!

Anderson uśmiechnął się zimno.

– Wręcz przeciwnie, to nie tylko możliwe, ale wręcz logiczne.

– Ale... co...

– Siadaj pan i przestań się jękać – warknął Anderson.

Taliaferro usiadł.

– Największe wrażenie wywarły na mnie osiągnięcia w dziedzinie środków wojny radioelektronicznej odniesione przez wasz zespół. Jeśli wierzyć ocenie specjalistów z dowództwa floty, pańscy ludzie dokonali przełomu i opracowali ECM-y zupełnie nowej generacji. Zintegrowany system mogący równocześnie zagłuszać i oglupiać wrogie systemy kierowania ognia, a także skutecznie ukrywać okręt przed sensorami wroga – to prawdziwe osiągnięcie. Niewidzialność z odległości tak małej jak jedenaście sekund świetlnych daje wręcz bezcenną przewagę taktyczną.

– Cóż, oczywiście, ale były...

– Jestem świadom trudności, z jakimi się borykacie – przerwał mu dziwnie miękko Anderson. – Natomiast pan raczej nie jest świadom, że w czasie wojny Biuro Wywiadu Floty ma znacznie większe uprawnienia i obowiązek szeroko rozumianego nadzoru nad sprawami związanymi z opracowywaniem i produkcją uzbrojenia. Oraz prawo wglądu w historie takich opracowań, czy firma była, czy jest dostawcą sprzętu dla wojska.

Taliaferro pobladł.

A Anderson uśmiechnął się zimno.

– Od listopada dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku Marynarka Federacji wypłaciła Stoczni Taliaferro ponad milion kredytów na badania i opracowanie nowej generacji ECM-ów – oznajmił Anderson. – Uznałem to za niezwykle interesujące, jako że wywiad floty uzyskał raport napisany przez pańskich specjalistów, z którego jednoznacznie wynika, że na dzień osiemnastego listopada dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiątego czwartego roku opracowany przez nich system przewyższył w próbach praktycznych parametry wyznaczone przez Federation Navy.

– Potrzebne było dodatkowe sprawdzenie i...

– Potrzebowałeś pan pieniędzy i tyle – przerwał mu Anderson. – Choć w sumie ta chciwość wyszła nam na dobre. Ten system i tak na nic by się nie przydał admirałowi Li w Lorelei, za to wpadłby w ręce przeciwnika, który by go skopiował i używał. Od tego momentu minęło jednakże trochę czasu i pańskie oszustwo kosztowało setki, jeśli nie tysiące zabitych, ponieważ flota nadal go nie ma, a desperacko potrzebuje. Co więcej, nie poprzestałeś pan na tym, ale bezczelnie zażądałeś następnych milionów na „nadzwyczajne przyspieszenie” opracowania czegoś, co już istnieje. To już nie jest chciwość, Taliaferro, to jest zdrada. I masowe morderstwo, bo zamierzałeś przekazać flocie system, który już od dawna jest w pełni sprawny, dopiero za pół roku, po wymuszeniu kolejnych milionów.

– Nie udowodnisz tego!

– Ależ udowodnię. Mam kompletną dokumentację tu i ma ją Biuro Wywiadu na Ziemi.

– Ale to, co pan proponuje, mnie... nas zrujnuje!

– Nie zrujnuje. Mniej zarobisz z początku i tyle. Poza tym już zarobiłeś te pieniądze, i to nieuczciwie, a zdrada w czasie wojny karana jest śmiercią. Nawet jeśli twoi prawnicy zdołają cię od tego wyroku wyślizgać, to na kilkadziesiąt lat trafisz do pierdła bez żadnej wątpliwości.

– Ale wszystkie wydatki zostały zatwierdzone przez dowództwo floty.

– Wiem. A ty wiesz, że wiceadmirał Wilson jest w drodze na Ziemię, gdzie czeka go sąd polowy i kula w łeb? – spytał uprzejmie Anderson.

Taliaferro zesztywniał.

– A ja jeszcze czekam na informacje, jakim cudem w ogóle dostaliście kontrakt na opracowanie tego systemu – dodał Anderson. – Wilson na pewno maczał w tym paluchy, zobaczymy, kto jeszcze. Tak więc masz dwie możliwości, ale coś mi się wydaje, że zgodzisz się na moją propozycję. Bo oznacza ona, że po zakończeniu wojny jedyne, co rząd będzie mógł ci zrobić, to wlepić parę milionów grzywny i kar umownych.

– Nie mogę... – Taliaferro urwał, zapadł się w sobie i jęknął. – No dobrze. Wygrałeś.

– Dziękuję za okazanie zdrowego rozsądku, panie Taliaferro. Pierwsze zlecenia otrzyma pan dziś po południu.

Anderson wstał, Taliaferro zaś nie ruszył się. Niczym zahipnotyzowany wpatrywał się we wspartego na lasce gościa.

– Zanim wyjdę, powiem ci coś jeszcze – dodał Anderson z pogardą. – Znałem twojego dziadka i twojego ojca. Obaj byli ekspertami w wyciskaniu ostatniego kredytu z kontraktu i nie raz ścięliśmy się o to. Ale żaden z nich nie upadłby tak nisko ani nie był na tyle głupi, żeby próbować tak chamskiego przewału. To byli uczciwi ludzie, którym dobro Federacji leżało na sercu bardziej niż zarobek. A i tak ani razu żaden z nich ze mną nie wygrał, więc prędzej piekło zamarznie, niż takie zasrane, przynoszące im hańbę zero jak ty zdoła to osiągnąć. Miłego dnia życzę, panie Taliaferro.

I wyszedł energiczniejszym krokiem, niż zdarzyło mu się chodzić od parudziesięciu lat.

Miał przed sobą kolejną wizytę u podobnego cwaniaka z bożej łaski, tyle że nieco mniej pazernego.

I nie były to ostatnie zaplanowane odwiedziny.

* * *

Komodor Angeliqe Timoszenko pełniąca obowiązki szefa filii Działu Konstrukcji Marynarki Federacji na Galloway's World uaktywniła holoprojektor i nad blatem stołu pojawił się trójwymiarowy plan okrętu wojennego. Wskazała palcem na podświetlony na niebiesko fragment i powiedziała:

– To jest właśnie to.

Howard Anderson pokiwał głową. Timoszenko stanowiła pod każdym względem przeciwieństwo swego byłego i nieopłakiwanego przełożonego. Była młoda, zwłaszcza jak na nowo objęte stanowisko, ale inteligentna, no i atrakcyjna. Oraz pewna siebie – gdy Antonow zwrócił się do niej per „komodor Timoszenkowa”, uprzejmie, lecz stanowczo poprawiła go, wyjaśniając, że choć jej rodzina pochodzi z Rosji, dawno już przestała stosować obowiązującą tam w drugiej połowie XX wieku odmianę nazwisk. Był to w sumie drobiazg, tym niemniej wymagał od młodszego wiekiem i stopniem odwagi. Bądź co bądź Iwan Groźny ciężko pracował na swoją reputację.

– A więc tak to sobie wykombinowali... – powiedział cicho Anderson.

– Pomysłowe, prawda?

– I cholernie niebezpieczne.

– Bez dwóch zdań.

Anderson wyprostował się powoli, nadal analizując to, co zobaczył. Nie był już co prawda na bieżąco z najnowszymi rozwiązaniami technicznymi, czego szczerze żałował, ale sześćdziesiąt lat czynnej służby dało mu solidne podstawy. A teraz miał przed sobą schemat niezwykle pomysłowego i jeszcze bardziej niebezpiecznego rozwiązania, na jakie wpaść przeciwnik. Był to wynik dokładnej analizy pryzów zdobytych przez Antonowa. Anderson musiał przyznać, że zrobiło to na nim wrażenie.

Podobne wrażenie wywarła na nim wcześniej tylko jedna rzecz – fazery, które wynalazła w czasie I wojny Flota Chanatu. Tyle że zbytnio się pospieszyła z ich użyciem. Nim Chanat

rozkreślił masową produkcję i zaczął przezbrajać wszystkie okręty, Marynarka Federacji nie tylko wiedziała o istnieniu nowej broni, ale już nią dysponowała. A beamery opracowano i wyprodukowano z zachowaniem wszelkich środków ostrożności, dzięki czemu przeciwnik został kompletnie zaskoczony, gdy zastosowano je pierwszy raz masowo.

– Muszą mieć imponującą liczbę wypadków – ocenił.

– Zwłaszcza że technologicznie stoją niżej od nas – przytaknęła Timoszenko – żeby cały proces był możliwy, potrzebne jest naprawdę silne pole. Jeśli jego moc osłabnie w czasie przesyłania energii...

– Mamy bum – dokończył Anderson. – Duże bum.

Sprawa w sumie była prosta, tyle że sam pomysł dowodził raczej diametralnej różnicy w podejściu do zagadnienia. Ponieważ Thebanie długo nie mogli rozwiązać kwestii opracowania silnych i dalekosiężnych dział laserowych z braku odpowiednio silnych źródeł energii, postanowili użyć w tym charakterze głowic nuklearnych, detonując je wewnątrz swych okrętów w specjalnie zbudowanych do tego celu komorach otoczonych niezwykle potężnym polem siłowym. Całość wraz z liniami przesyłowymi była niezwykle silnie opancerzona i posiadała imponujące osłony antyradiacyjne, ale i tak wszystko zależało od utrzymania stabilności pola. Jeśli ona zawiodła, okręt po prostu przestawał istnieć w rzeczywistości widowiskowej eksplozji. A mimo tych zabezpieczeń komora detonacyjna i wszystko w promieniu paru ładnych metrów musiało zostać szybko napromieniowane. Jak dotąd jednakże w żadnej bitwie nie eksplodował z tego powodu thebański okręt, za to każda detonacja bombki pozwalała na oddanie strzału z czterech dział laserowych.

– Mamy jakieś szacunkowe dane co do zawodności tego systemu? – spytał.

– Jedynie bardzo szacunkowe. Minimum trzy procent, prawdopodobnie bliżej dziesięciu. System powinien się automatycznie wyłączyć przy wykryciu najmniejszej fluktuacji pola, ale wiadomo, że to nie skutkuje w każdym przypadku. Nie oznacza to, że co dziesiąty strzał kończy się katastrofą, tyle że przy co dziesiątym występują problemy. Natomiast trzy procent kończy się zniszczeniem okrętu.

– Hmm... nie sądzę, by coś tak... kapryśnego powinno być instalowane na naszych okrętach.

– Wątpię, żebyśmy musieli to robić – odparła spokojnie Timoszenko i zmieniła holoprojekcję. – Sądzę, że Thebanie zdecydowali się na coś tak ryzykownego jedynie dlatego, że dział laserowe było jedyną skuteczną bronią energetyczną, o której istnieniu wiedzieli – wyjaśniła. – Wydaje mi się, że po prostu nigdy nie pomyśleli o wykorzystaniu promieni siłowych jako broni, toteż skoncentrowali się na poprawie osiągnięć dział laserowych. My natomiast prawie zaprzestaliśmy dalszych prac nad nimi po zetknięciu się z fazerami. Można by powiedzieć, że każda ze stron zaniedbała rozwój broni, na której skoncentrowała się druga.

– I co z tego wynika?

– A to, że choć przykro to mówić, ale dzięki temu przeoczyliśmy kilka możliwych

rozwiązań poprawiających dość radykalnie możliwości posiadanego już od dawna uzbrojenia. Dysponujemy wyższą techniką, więc powinno nam się udać poprawić rozwiązania techniczne Theban, ale to pieśń przyszłości wymagająca lat badań. Natomiast możemy praktycznie od razu poprawić osiągi istniejących dział laserowych. Co prawda nie zdołamy dorównać thebańskim pod względem maksymalnego zasięgu, ale uda się zwiększyć ich moc, będą też zdecydowanie mniej masywne i nieporównanie bezpieczniejsze.

– A to w jaki sposób? – spytał z błyskiem w oczach na widok entuzjazmu rozmówcy.

Zawsze lubił patrzeć na inteligentnych ludzi rozwiązujących trudne problemy.

– Używając pary heterodynowych laserów o dokładnie zsynchronizowanych częstotliwościach. Najpierw myśleliśmy, że będziemy potrzebowali dwóch oddzielnych emiterów, ale po sprawdzeniu okazało się, że możemy zamontować je do jednego działu, zwiększając jego masę jedynie o pięćdziesiąt procent. W ten sposób będzie zbliżona wymiarami do fazera czy beamera, ale na nieco mniejszą odległość niż przeciwnik uzyskujemy broń o równej sile rażenia, a nieporównanie bezpieczniejszą dla obsługi i okrętu. Poza tym nie musimy tracić miejsca na tarcze, generatory pól siłowych i resztę, więc w ogólnym rozrachunku nasze działo laserowe będzie miało masę równą czterdziestu procentom thebańskiego i znacznie większą szybkostrzelność. Oznacza to także, że nasz okręt może dysponować dwukrotnie większą liczbą dział laserowych niż ich jednostka tej samej wielkości.

– Kiedy? – spytał Anderson.

Był pod wrażeniem, ale zbyt długo dowodził na froncie, czekając na dostawy różnych cudów techniki, by nie zacząć od najważniejszego.

– Jeszcze nie do końca rozwiązaliśmy problem utrzymania optymalnych częstotliwości w miarę rozgrzewania się laserów po kolejnych strzałach, ale komandor Hsin pracuje nad tym. Zgodnie z jego ostatnimi meldunkami powinniśmy poradzić sobie, używając zmodyfikowanych przekaźników Tamaguchiego. Modyfikacje będą głównie programowe, więc jeśli jest na dobrej drodze, a tak sędzę, to kwestia miesięcy. Jeśli testy to potwierdzą, w mojej ocenie za pięć miesięcy będziemy dysponowali w pełni sprawnym prototypem, a za dwa kolejne serią próbną. W sumie za osiem do dziesięciu miesięcy powinna zostać uruchomiona produkcja i pierwsze egzemplarze winny dotrzeć na okręty.

– A gdybyśmy skopiowali thebańskie rozwiązanie?

– Zaoszczędzilibyśmy góra dwa miesiące.

– No dobrze. – Anderson wstał i skierował się ku drzwiom, dając jej znak, by mu towarzyszyła. – Jestem skłonny sądzić, że ma pani rację, komodor Timoszenko. Ponieważ pieniądze w tej sytuacji są bez znaczenia, proszę zrobić z nich stosowny użytek, by jak najszybciej zakończyć opracowanie i testowanie tego działu.

– Rozumiem. A generator taranu?

– Z tym na razie damy sobie spokój. Fortom on się i tak nie przyda, a admirał Antonow

uważa, że okręty poradzą sobie z tym zagrożeniem, stosując unik i zmasowany ogień. Tarany były najgroźniejsze, jak długo stanowiły zaskoczenie, przynajmniej taka jest jego opinia.

– Rozumiem.

– Jestem pod wrażeniem, komodor Timoszenko – przyznał Anderson, stając przed drzwiami i podając jej na pożegnanie rękę. – Żałuję tylko, że nie miałem pani do dyspozycji dziewięćdziesiąt lat temu.

– Dziękuję. Uznam to profilaktycznie za komplement.

– I słusznie – uśmiechnął się Anderson. – I bardzo słusznie.

Rozdział XIII

KREW PATRIOTÓW

Tym razem Lantu i Manak mieli towarzystwo, czekając na wezwanie przed oblicze Synodu... Dwóch uzbrojonych i milczących Kościelnych.

Lantu siedział wyprostowany i robił, co mógł, by ignorować obecność kościelnej policji. Nigdy ich nie lubił, zupełnie jakby intuicja ostrzegła go, że kiedyś będzie miał z nimi problemy.

Kątem oka obserwował Manaka, o którego niepokoił się coraz bardziej. Manak był stary i źle znosił przedłużające się, pełne napięcia oczekiwanie. Siedział z pochyloną głową i skrzyżowanymi na piersiach ramionami i mimo że zobaczyli się po raz pierwszy od wielu dni, gdyż trzymano ich w izolacji, nie odezwał się dotąd ani słowem. A siedzieli w poczekalni już kilka godzin.

Lantu westchnął w duchu – wiedział, że przegrana, a zwłaszcza odwrót wyprowadzi Kościół z równowagi, ale nie spodziewał się, że aż tak. W końcu nie stracił wszystkich okrętów; fakt, prawie wszystkie okręty liniowe wylądowały w stoczniach remontowych, i to na długo, ale gdyby się nie wycofał, nie byłoby czego naprawiać. Stracił tylko trzydzieści procent sił i to w obliczu zmasowanych nalotów myśliwców startujących z okrętów tak odległych, że sensory ledwie mogły je wykryć.

A Kwestarze całkowicie zignorowali to, że uratował aż tyle okrętów. Lantu zaś miał pełną świadomość, że ich zachowanie i pytania były odzwierciedleniem stanowiska Synodu, który interesowało tylko to, że nie udało mu się przerwać Linii. To, że wcześniej przestrzegali przed atakiem, wydawało się tylko jeszcze bardziej złościć jego członków. Kwestarze wielokrotnie powtarzali pytanie, czy nie rozpoczął bitwy, spodziewając się porażki, i dlatego uciekł przedwcześnie z pola walki.

Lantu odpowiadał spokojnie i cierpliwie, ale był to jedynie pozorny spokój, gdyż miał coraz większe poczucie niesprawiedliwości. Nie uwzględniono jego uwag, rozkazano mu atakować, a teraz ci, którzy ten rozkaz wydali, czyli Synod i Prorok, najwyraźniej obwiniali jego i Manaka o klęskę.

Coraz mniej mu się to podobało i dochodził do wniosku, że Synod po prostu boi się

przyznać do błędu. I że uważa się za niezastąpiony, a to oznacza, że jego członkowie gotowi są na wszystko, w tym także na poświęcenie w charakterze kozła ofiarnego pierwszego admirała. A nawet kapelana floty, mimo jego pozycji.

Odgłos otwieranych drzwi wyrwał go z zamyślenia. Pojawił się w nich major Kościelnych i oznajmił:

– Synod chce cię zobaczyć.

* * *

Po aprobacie towarzyszącej ostatniemu pobytowi Lantu w sali posiedzeń Synodu nie pozostało ani śladu. Czuł za to na plecach zimne, wrogie spojrzenia, gdy wraz z Manakiem schodzili ku centralnemu podwyższeniu, na którym zasiadał Prorok. Ubrany był jak zwykle w białą szatę, ale narzucił na nią fioletową stulę Najwyższego Inkwizytora.

Widząc to, Lantu odruchowo się wyprostował. Skoro Prorok gotów był ferować wyroki w imieniu Świętej Ziemi, sprawa była przesądzona. A on mógł jedynie poddać się jej woli, wiedząc, że zrobił to, co było najrozsądniejsze, i że służył jej najlepiej, jak potrafił. A jeśli popełnił przy tym jakiś błąd, to tylko dlatego, że był zwykłym śmiertelnikiem.

– Pierwszy admirał Lantu – odezwał się uroczyście Prorok. – Kapelanie floty Manak. Zostaliście wezwani, by wysłuchać osądu Świętej Ziemi na temat waszych poczynań w bitwie o Redwing. Jesteście na niego gotowi?

– Jestem gotów – odparł Lantu. Był zaskoczony, że jego głos brzmi tak spokojnie.

– Jestem gotów, Wasza Świątobliwość – potwierdził Manak lekko drżącym głosem.

– Święta Ziemia uznała, że zawiedliście Ją w świętej wojnie. Gdybyście bowiem kontynuowali atak, ufając, jak powinniście, w Jej wsparcie i moc, Jej Miecz pokonałby umocnienia niewiernych, obracając je w pył, a wówczas złapałibyście w pułapkę ich okręty, które przy udziale Drugiej Floty także zniszczone by zostały. Przez waszą słabość i brak wiary zawiedliście Ją i naraziliście losy świętej wojny.

Lantu przełknął ślinę i czekał na ciąg dalszy.

Manak zaś zapadł się w sobie i przygarbił.

– Powinniście przewiny swe życiem odkupić, aliści Święta Ziemia miłosierna jest, a na waszą korzyść przemawiają wcześniejsze zasługi. I – ciągnął Prorok – dlatego dostaniecie szansę odkupienia grzechów. Święta Inkwizycja napotkała na nieoczekiwane problemy na planecie New New Hebrides. Jako że świat ten był pierwotnym celem Wysłannika, musimy przywrócić jego mieszkańców prawdziwej wierze, nie szczędząc wysiłków. A poganie owi nie dość, że odrzucili nauki, to zbrojnie przeciwko nim występują. Dlatego jako wojskowy, admirał Lantu, i pasterz wiary, kapelanie Manak, macie wspomóc arcybiskupa Tanuka w ponownym sprowadzeniu niewiernych w ramiona Świętej Ziemi. Sukces ten wymaże wasze winy, klęska tolerowana przez Świętą Ziemię nie będzie. Taka jest wola Świętej Ziemi. Majorze, proszę odprowadzić admirała i kapelana do promu.

* * *

Angus MacRory skończył rozbierać zdobyczny granatnik i sięgnął po przybory do czyszczenia broni. Pod długimi liśćmi dębów flagowych było przyjemnie chłodno, ale i tak cieszył się, że ma na sobie cywilną kurtkę, bo w policyjnych dziwnym trafem zawsze było albo za zimno, albo za duszno. Do kołnierza i tak miał przypięte wypolerowane szewrony sierżanta, więc braku munduru nie odczuwał w żaden sposób.

Caitrin przysiadła z drugiej strony koca i zabrała się do czyszczenia zamka starą szczoteczką do zębów. Jej długie, smukłe palce były równie gęsto jak jego pokryte drobnymi bliznami i odciskami. I równie zręczne w składaniu różnych rodzajów uzbrojenia.

Angus obserwował ją spod oka, nie kryjąc się z tym, ale też i nie afiszując. Miała dłuższe włosy splecione w gruby, lśniący warkocz, widoczny spod beretu pozbawionego pomponu – urwała go jakaś kula. W przeciwieństwie do Angusa w czasie rajdu na magazyn policyjny w New Glasgow znalazła prawie kompletny mundur w swoim rozmiarze. W akcji stracili ośmiu ludzi, ale zdobyli tyle broni, że straty się opłaciły.

– Nasłuch odkrył coś ciekawego – powiedziała wreszcie.

– No? – Angus podsunął pod światło wyczyszczoną lufę granatnika i przyjrzał się jej.

Partyzanci nie używali radia, więc musiało chodzić o Pawiany. Jakoś nigdy do nich nie dotarło, że ktoś może podsłuchiwać ich łączność – nie dość, że nie szyfrowali transmisji, to nawet nie używali żadnych kryptonimów, wszystko szło otwartym tekstem.

– W sektorze New Greenock ogłosili stan podwyższonej gotowości. W poniedziałek ktoś ważny ma przylecieć na inspekcję obozów.

– No proszę! – mruknął Angus i spojrzał z namysłem w jej oczy.

Caitrin uśmiechnęła się.

Partyzantom szło lepiej, niż miał nadzieję, że będzie. Ponad sześćdziesiąt oddziałów operowało z górskich baz. Co prawda nie dotarli na wyspy – znajdowały się zbyt daleko i były zbyt małe, by można tam przez dłuższy czas unikać obław i patroli – ale flota rybacka nadal jednak funkcjonowała, bo ludzi trzeba było wyżywić, więc kurierów między kontynentami można było wysyłać w miarę regularnie. Tym bardziej że nadzór okupanta nad rybakami był czysto teoretyczny, zupełnie jakby Pawiany bały się wody.

Angus nigdy nie sądził, że zostanie dowódcą ruchu oporu ojczystej planety. A tak właśnie się stało i to jakoś samo z siebie. Może dał o sobie znać trening w Marine Corps, a może zaważył fakt, że nie przeżył żaden z oficerów i niewielu podoficerów. A może po prostu miał wrodzone zdolności taktyczne, bo wykazał się takowymi, co najbardziej zaskoczyło jego samego. W każdym razie fakt, że Caitrin była jego zastępcą, sprawiał mu dużą ulgę.

Nienaruszalną zasadą, którą przyjął, było nieprzyjmowanie do oddziału nikogo, kto miał rodzinę w okupowanych strefach. Dzięki temu miał mniej ludzi, ale odporniejszych na klasyczny szantaż: współpraca za życie bliskich w przypadku złapania. Stworzył oddział w

oparciu o uciekinierów z obozów reedukacyjnych i jego liczebność oscylowała w granicach sześciuset osób. Pozostałe grupy liczyły łącznie około trzech i pół tysiąca rozsianych po całym obszarze. Wiedział, że porywają się z motyką na słońce, ale podobnie jak nie był zdolny udawać nawrócenia, tak nie umiał siedzieć bezczynnie, a okupanci i tak nie byli w stanie zrobić nic gorszego w ramach represji, niż zrobili w czasie desantu, więc mieszkańcy nie mieli nic do stracenia.

Caitrin rozumiała to, a nawet jak się okazało, rozumiała go lepiej niż ktokolwiek inny. Poza tym miała rzadki talent do wyciągania z niego pomysłów oraz planów i pojmowania ich w lot mimo rozlicznych skrótów myślowych i wybitnej zwięzłości jego wypowiedzi. I do przedstawiania ich reszcie w rozumiały sposób. Jeszcze bardziej zaskakiwało go to, że i on ją całkiem dobrze rozumiał mimo różnic osobowości i wykształcenia. Jakimś cudem stworzyli idealnie spasowaną całość, a siła tego związku była zadziwiająca. To ona pierwsza powiedziała, co czuje, bo on nigdy by się nie odważył. I tak zostali kochankami.

– Amunicja? – spytał.

– Mamy po cztery jednostki ognia do broni ręcznej i po trzy i pół do zdobyczej – odparła, nie sięgając po notatki. – Straciliśmy moździerz na farmie Hynchcliffe’a, ale mamy po dwie jednostki ognia do pozostałych i po pięć w bazie głównej. *Scorpiony* mają po tuzinie rakiet, ale możemy zdobyć ich tyle, ile zdołamy unieść, w składzie amunicyjnym w Maidstone.

– Hm... – burknął i zamyślił się.

Wolałby mieć więcej granatów moździerzowych, bo przyniesienie ich z bazy potrwałoby za długo. Góry dawały doskonałą osłonę, ale nawet ziemskie muły poruszały się po nich wolno. Uniemożliwiały natomiast całkowicie stosowanie jakichkolwiek pojazdów kołowych, co wykluczało przeprowadzanie obław, bo na piechotę Pawiany nie mieli szans dogonić ludzi. Inaczej rzecz się miała z helikopterami, ale ich załogi ostrożności i dyskrecji nauczyły obsługi *Scorpionów*. Tyle że rakiety do nich się kończyły.

Praktycznie rzecz biorąc, kończyła się amunicja do wszystkich rodzajów broni, bo okupant szybko pojął, po co partyzanci napadają na magazyny zdobyczej, ziemskiej broni – i po prostu je zniszczył. Dlatego połowę uzbrojenia partyzantów stanowiła broń myśliwska lub cywilna nieprzystosowana do niszczenia wojskowych celów choćby dlatego, że pociskom brak było masy niezbędnej do przebicia kamizelki kuloodpornej.

Rozwiązaniem było używanie broni thebańskiej, której zdobycie nie stanowiło problemu, podobnie jak stałe dostawy. Na dodatek wytwórcy byli na tyle uprzejmi, że na większości egzemplarzy umieszczali instrukcje po angielsku. Nie było to konieczne, jako że broń była zmodyfikowanymi wersjami ziemskiej i to nie najnowszej, ale pomagało nieobeznanym ze służbą wojskową. Znacznie większy kłopot sprawiały nieporęczne rozmiary dostosowane do dłuższych ramion czy dziwaczne rozmieszczenie spustów i kolb. Zdecydowane użycie piły w dużym stopniu poprawiło sytuację, ale na bezpieczniki umieszczone tak, by obsługiwać je

kciukiem znajdującym się na zewnątrz dłoni, nic się nie dało poradzić.

– Ano – mruknął w końcu. – Poślij posłańców po Bullocha i Ingrama, do innych nie zdążą. Sean ma uderzyć na Maidstone, a potem powtórka z rajdu na Seabridge.

– Zaraz się tym zajmę – obiecała i podniosła się.

Angus obserwował ją z uśmiechem, pewien że dokładnie zrozumiała jego zamiary. Zawsze tak było. No a poza tym sprytna i bystra była dziewczyna z jego Katie.

* * *

Samolot pionowego startu i lądowania arcybiskupa Tanuka znajdował się o pięć minut lotu od obozu Inkwizycji w New Greenock. Sam prałat zaś, ignorując ojca Wamana i sztab, gapił się ponuro przez okno.

Niewierni byli niewiarygodnie wręcz uparci. Nawet wśród tych nielicznych, którzy nawrócili się na prawdziwą wiarę, roiło się wręcz od heretyków. A terroryści kryjący się w górach byli wcielonymi diabłami. Ich rajdy stawały się coraz bezczelniejsze – ostatnio zaczęli przenikać nawet do rejonów zakwaterowania wojsk i cywilnego personelu pomocniczego i tam przeprowadzać ataki! Przybył do nich pełen miłości, chcąc ratować ich dusze od wiecznego potępienia, a oni tak kurczowo trzymali się herezji i zabobonów. Ci znajdujący się poza strefami nadal ukrywali heretyckich księży, a w strefach było niewiele lepiej. Tylko w ostatnim tygodniu okazało się, że trzech nawróceni, którym pozwolono pomagać w obozie w New Selkirk, byli w kontakcie z terrorystami i zdążyli pomóc w ucieczce prawie czterystu niewiernym, nim ich zdemaskowano i rozstrzelano.

Bezskuteczne okazywały się najsurowsze nawet metody przeciwdziałania. Garnizon dowodzony przez pułkownika Fraymaka robił, co mógł, ale góry okazały się przeszkodą nie do pokonania, a lotnictwo poniosło zatrważające straty, zwłaszcza w helikopterach. W końcu zgodził się na propozycję nadzorca – pułkownika Huarka – i w odwecie zaczęto rozstrzeliwać najpierw grupy zakładników, a potem likwidować całe wioski. Jedynym efektem było to, że pomioty szatana z gór dobijały rannych i mordowały każdego należącego do Ludu, którego spotkały – często podrzynając mu gardło w bezpiecznej, zdałoby się, okolicy.

Potań pierścień i wstał. Był sługą Świętej Ziemi i nie wątpił, że pomoże mu ona wypełnić obowiązki, ale zadanie okazało się trudniejsze, niż początkowo sądził. Obawiał się, że będzie zmuszony zastosować jeszcze surowsze metody, i postanowił na początek zaopatrzyć inkwizytorów w wykrywacze kłamstw. Co prawda były wynalazkiem niewiernych, ale powinny pomóc przynajmniej w odróżnieniu prawdziwie nawróconych od udających. A potem...

Samolotem nagle coś wstrząsnęło, toteż przestał spoglądać w okno i spojrzał pytająco na oficera, który wybiegł właśnie z kabiny pilotów.

– Wasza Wielbność, New Greenock zostało zaatakowane. Terroryści przedostali się przez pierścień obrony i zniszczyli koszary ogniem z moździerzy, a potem...

Urwał niespodziewanie i wytrzeszczył oczy, wpatrując się w coś za oknem. Tanuk odwrócił się i również utkwił wzrok w oknie.

Ostatnią rzeczą, jaką w życiu zobaczył, była nadlatująca rakietą typu *Scorpion*.

Rozdział XIV

OPCJE WOJNY

Iwan Antonow stał przed szerokim oknem z armoplastu i przyglądał się panoramie stoczni orbitalnych Redwing. Takiej aktywności nie było tu od momentu ich powstania, jedynym bowiem celem ich istnienia było zbudowanie fortów obrony systemowej. Potem po prostu nie opłacało się ich rozbierać. Teraz wrzała w nich praca przy naprawie ciężko uszkodzonych w czasie bitwy fortów. Pracowano na trzy zmiany przez całą dobę, a uczciwość nakazywała przyznać, że w kilku przypadkach była to raczej odbudowa niż naprawa. Obecnie potrzebne były jednak wszystkie forty, a tworzenie od podstaw trwało dłużej niż odbudowa choćby bardzo zniszczonej fortyfikacji. I tak kilka fortów trzeba będzie zastąpić nowymi, ale tym postanowiono zająć się na samym końcu.

Najmniej uszkodzone, uznane za posiadające ograniczoną zdolność bojową, już odholowano do wylotu warpa QR-107 na wypadek kolejnego thebańskiego ataku. Tym razem obrona byłaby klasyczna, jako że taką pułapkę, w jaką wciągnął atakujących Antonow, można było zastawić tylko raz.

Do systemu napływały też ciągle posiłki w postaci rozmaitych okrętów bądź to zwolnionych z patrolowania granic, bądź pochodzących jeszcze z reaktywowanej Rezerwy, bądź zupełnie nowych, gdyż potencjał gospodarczy Federacji stopniowo rozkręcał produkcję wojenną.

Antonow przyglądał się właśnie nowemu pancernikowi klasy *Thunderer* zajmującemu wyznaczone miejsce na orbicie parkingowej. Był to jeden z niewielu okrętów liniowych, które zdążyły dotrzeć do Redwing. Choć reaktywowany z Rezerwy, nadal stanowił groźną broń, tym bardziej że podstawą jego uzbrojenia były wyrzutnie rakiet.

Równie mile widziane jak okręty liniowe były transportowce wyładowane rakietami z nowymi głowicami i czymś jeszcze. Największym problemem w wojnie międzyplanetarnej od czasu odkrycia warpów był szturm bronionego, a zwłaszcza umocnionego przez takiego warpa systemu planetarnego. Okręty musiały dokonywać tranzytu pojedynczo, co powodowało, że nim w systemie znalazła się spora ich grupa, stawały się celem skoncentrowanego ognia obrony. Do tego dochodziła zwłoka we wznowieniu funkcjonowania

sensorów i komputerów wywołana tymże tranzytem. Okręty znajdowały się zatem w tak niekorzystnym położeniu, że historycy wojskowości porównywali ich sytuację do sytuacji piechoty atakującej w otwartym polu, prosto w sztyletowy ogień broni maszynowej. W rzeczy samej sytuacja okrętów była gorsza, gdyż obrony nie „zmiękczało” wcześniej czy to bombardowanie, czy ostrzał artyleryjski, ponieważ w niewielkiej rakiemie nie mieściło się wyposażenie niezbędne do wykonania udanego tranzytu i przeprowadzenia kontrolowanego ataku.

Dzięki rozwojowi cybernetyki i informatyki wypracowano wreszcie rozwiązanie. Była to automatyczna, programowalna wyrzutnia zdolna samodzielnie dokonać tranzytu, a po jego zakończeniu wystrzelić trzy rakiety mogące przeprowadzić klasyczny atak na zaprogramowane cele. Całość nazwano *Hawk*. Komodor Timoszenko obiecywała co prawda w przyszłości wyrzutnie wielokrotnego użytku i na większą liczbę rakiet, ale dla Antonowa najważniejsze było to, co miał w garści, a nie gruszki na wierzbie. Tym bardziej że broń ta oznaczała prawdziwy przełom w zdobywaniu systemów broniowych w klasyczny sposób. Problem polegał na tym, że miał ich zbyt mało, by móc w pełni te atuty wykorzystać.

Kątem oka dostrzegł podchodzącego z prawej strony Tsuczewskiego.

– Z tego fortu rzeczywiście niewiele zostało – powiedział Paweł, wskazując ledwie rozpoznawalny kształt, wokół którego roilo się od stoczniovców i robotów. – Pierwszy okręt, który go staranował, przepalił generatory osłon i uszkodził silniki manewrowe utrzymujące fort na pozycji. Drugi dokończył dzieła zniszczenia. Prawie cała załoga zginęła, bo kompensator bezwładnościowy nie był w stanie zrównoważyć wstrząsu. Nie sądziliśmy dotąd, że silny kompensator będzie potrzebny, bo forty nie mogą manewrować.

– Ale obrona nie pękła – zadudnił Antonow.

Z drugiej strony podeszła do niego Winnie Trevayne.

– Nim ostatnie grupy abordażowe przystąpiły do ataku, w wielu zbrojach wyczerpało się zasilanie – powiedziała ze smutkiem. – Marines musieli walczyć w zwykłych mundurach... trudno to sobie wyobrazić, ale w ostatniej fazie regułą była walka wręcz.

– Ale wygnietli desant – zadudnił ponownie Antonow.

Z tyłu dobiegł głos Kthaary'zarthana:

– Większość myśliwców zdołała wystartować przed staranowaniem fortów, ale nie wszystkie zdążyły uzupełnić paliwo i amunicję. Mimo to piloci robili, co mogli... przynajmniej jeden staranował thebański okręt, niszcząc mu napęd, przez co nie zdołał on dokończyć ataku. Pilot został przedstawiony do Złotego Lwa Ziemi. Jesteśmy przekonani, że inni piloci postąpili tak samo, ale ich macierzysta forteca została zniszczona i nie można ich zidentyfikować, by uhonorować tak, jak na to zasłużyli.

Unióśł prawą dłoń i wysunął pazury, po czym zacisnął je w pięść, wbijając w ciało. Gdy otworzył dłoń, widać było na niej krople krwi – rytualny salut należny bohaterom.

– Walczyli, jak przystało *farshatok* – dodał miękko. – Po bitwie było mniej miejsc na

pokładach hangarowych fortów niż myśliwców. Nim dotarły lotniskowce, w wielu myśliwcach wyczerpały się systemy podtrzymywania życia.

– Ale wytrzymali i wygrali! – głos Antonowa przypominał grzmot wulkanu przed wybuchem, gdy odwrócił się do trójki podkomendnych. – Spuściliśmy Thebanom solidne lanie, o czym najlepiej świadczy to, że nie próbowali nawet rozpoznania walką od tego czasu. Co prawda niewiele wiemy o ich filozofii czy podobnych sprawach, ale nie ulega wątpliwości, że kieruje nimi rzadki fanatyzm religijny. Jeśli są pod tym względem podobni do ludzi, a można tak założyć, to sukcesy przyjmują doskonale, za to klęski bardzo źle. Każdy fanatyk spodziewa się wygranej, bo przecież jego Bóg jest z nim, jako że tylko on i jego współwyznawcy rozumieją wolę bożą czy zasady działania historii. Klęska jest więc w równym stopniu zaskakująca co niezrozumiała i wstrząsa ich wiarą. Dlatego tak ważne jest, byśmy jak najszybciej zaatakowali. Mamy zbyt mało okrętów liniowych, by próbować dużej bitwy, ale dość sił, by przeprowadzić serię ataków nękających na obszar systemu QR-107. Idealne do tego celu są lotniskowce eskortowe, bo podejrzewam, że pogarda, z jaką dotąd traktowali myśliwce, zmieniła się w strach, jeśli nie manię prześladowczą, a nadal nie opanowali taktyki przeciwlotniczej.

Tsuczewski odchrząknął.

– A obronę warpa możemy oczyścić, używając *Hawków*! – oświadczył radośnie. – Nim Thebanie zorientują się, co się stało, lotniskowce wraz z eskortą będą już bezpieczne w systemie.

Antonow potrząsnął przecząco głową.

– Nie! – oznajmił kategorycznie. – Wiem, że perspektywa przetestowania *Hawków* i naturalnie zmniejszenia strat jest nęcąca, ale użycie ich teraz byłoby błędem. Przeciwnik dowiedziałby się o istnieniu takiej broni, przez co utracilibyśmy element zaskoczenia, dalibyśmy mu czas na opracowanie obrony, no i na produkcję własnych *Hawków*. Nie możemy ich wykorzystać, dopóki nie będziemy dysponowali dużym zapasem i dopóki okoliczności ich użycia nie będą miały decydującego wpływu na przebieg ważnej bitwy albo i całej wojny.

Tsuczewski nie wyglądał na przekonanego.

– Z całym szacunkiem, sir, ale głowice z antymaterią wprowadziliśmy do walki, gdy tylko otrzymaliśmy pierwszą dostawę!

– Także z całym szacunkiem, kapitanie Tsuczewsski, ale warunki były inne – wtrącił Kthaara. – Wątpliwe było, czy zdołamy utrzymać ten system, więc musieliśmy wykorzystać wszystko, co mieliśmy do dyspozycji. Nowe głowice mogły okazać się decydujące. Teraz, po wygranej bitwie, stać nas na luksus... zdaje się, że wy mówicie o „nieujawnianiu atutów”. A o tym, że lepiej poczekać, aż będzie się miało wystarczającą ilość nowej broni, i zastosować w kluczowym starciu, my przekonaliśmy się aż za dobrze; sami nas tego nauczyliście w czasie Wojen Wstydu. Wiem, że wybierając tę opcję, poniesiemy większe straty... ale to wojownicy.

Zapadła cisza.

W grupie nie było nikogo o antyoriońskim nastawieniu, ale Kthaara mówił o stratach wśród ludzi... Wszyscy jednak wiedzieli, że zaprzyjaźnił się z wieloma pilotami myśliwskimi, a to właśnie oni zapłacą najwyższą cenę, jeśli *Hawki* nie zostaną wykorzystane. Nikt też nie miał cienia wątpliwości, że nie wygłosił tej opinii po to tylko, by poprzeć Antonowa.

Nie rozległ się żaden głos protestu.

* * *

Drugi admirał Jahanak wszedł do sali odpraw superdreadnoughta *Hildebrandt Jackson* wraz z kapłanem floty Hinamem. Obecni, czyli jego nowy sztab, wstali za przykładem kapitana Yuraha, zachowując niczego nie wyrażające miny.

Doskonale rozumiał ich zachowanie i wiedział, że byłoby znacznie gorzej, gdyby Synod zrobił to, co pierwotnie chciał – pozbawił Lantu stopnia i awansował jego, Jahanaka, na pierwszego admirała. Jahanak dotąd doskonale dowodził swoją częścią jihu, ale jego osiągnięcia były niczym wobec serii genialnych zwycięstw Lantu. A obecni współuczestniczyli w tych zwycięstwach. I w klęsce... choć nie była ona zawiniona ani przez niego, ani przez nich.

Jahanak miał w tej kwestii własne zdanie, ale rozgłaszać go nie zamierzał – niesprawiedliwości, jaka spotkała Lantu, i tak zmienić nie był w stanie, a sobie na pewno by nie pomógł.

Zasiadł u szczytu stołu i spojrzał na siedzącego naprzeciwko kapitana Yuraha. Ten odwzajemnił spojrzenie. Patrzył może nie z niechęcią, ale na pewno nie z sympatią.

– Panowie, w krótkim czasie zostaniemy wzmocnieni przez jedną trzecią sił Drugiej Floty – zagaił Jahanak energicznie. – Nasze okręty po naprawach będą trafiały do niej, ale oczywistym jest, że przez długi czas nie osiągnie ona pełnego stanu. Pierwsza Flota natomiast ma ten stan osiągnąć najszybciej, jak się da. W drodze są też duże zapasy rakiet przeciwlotniczych. Gdy stan pełnej gotowości bojowej stanie się faktem, mamy rozkaz podjęcia działań ofensywnych i jak najrychlejszego zdobycia systemu Redwing.

Udał, że nie widzi nagłego zeszywnienia obecnych, ale na kilku twarzach pojawił się wyraz tak jawnej wrogości, że Hinam aż się zjeżył i już miał otworzyć usta, gdy Jahanak złapał go pod stołem za rękę. W przeciwieństwie do Synodu nie uważał, by sztab Lantu został „zarażony jego defetyzmem”, gdyż zbyt dobrze znał większość wchodzących w jego skład oficerów. Podobnie zresztą jak i samego Lantu. Skoro bali się powrotu do Redwing, to mieli ku temu powody. A głównym powodem wrogości bywa zwykle właśnie strach.

Jahanak położył dłonie na stole i dłuższą chwilę przyglądał się zgromadzonym, oceniając wpływ ich reakcji na swoją pozycję i ogólną ocenę sytuacji.

– Czytałem wasze raporty... i raport pierwszego admirała Lantu – powiedział w końcu.

Yurah wyraźnie się odprężył, nie słysząc w jego głosie śladu potępienia. Jahanak

uśmiechnął się w duchu: Lantu zawsze wzbudzał u podkomendnych potrzebę lojalności, podczas gdy jego siła leżała w chłodno skalkulowanym manipulowaniu.

– Chciałbym się teraz dowiedzieć, czy zmienilibyście lub rozwinęlibyście cokolwiek z tego, co w nich napisaliście – dodał. – Kapitanie Yurah?

– Rozwinąłbym tylko jedno, sir: kwestię niebezpieczeństwa, jakie stanowią wrogie myśliwce – odparł ten rzeczowo. – Mieliliśmy przewagę nad okrętami wroga pięć do jednego, a ponieśliśmy straty trzykrotnie większe, i to wliczając po jego stronie zniszczenia w fortach. Mówię jedynie o jednostkach straconych, nie ciężko uszkodzonych. Gdyby pierwszy admirał nie nakazał odwrotu, Miecz nie miałby Pierwszej Floty.

– Rozumiem. – Jahanak rozejrzał się po obecnych. – Czy ktoś nie zgadza się z opinią kapitana flagowego?

Nikt się nie odezwał.

Jahanak uśmiechnął się chłodno i dodał:

– Zapewniam, że ani ja, ani kapelan floty Hinam nie będziemy mieli wam za złe szczerości. Szanuję Synod, ale to wy walczyliście z tymi myśliwcami. Jeśli zgadzacie się z opinią kapitana Yuraha, powiedzcie to.

Przez moment jeszcze trwała cisza, po czym rozległy się pierwsze potwierdzające pomruki, a potem obecni kolejno zaczęli zabierać głos. Jahanak poświęcał równie wiele uwagi temu, co mówią, jak i temu, jak mówią. Jego twarz pozostawała nieprzenikniona, ale dłonie stopniowo zaciskały się w pięści.

– Doskonale – odezwał się, gdy umilkł ostatni mówca.

I spojrzął kątem oka na Hinama.

Ten miał starannie obojętny wyraz twarzy. Najwyraźniej nie chciał mu przeszkadzać. Jahanak znów uśmiechnął się w duchu – bycie potomkiem pierwszego Proroka miało wiele zalet...

– Prawdę mówiąc to, co od was usłyszałem, jedynie potwierdziło wnioski, do jakich doszedłem po zapoznaniu się z raportami. Jeszcze przed przyjęciem dowództwa Pierwszej Floty poparłem wniosek admirała Lantu o przyznanie bezwzględnego priorytetu opracowaniu i wdrożeniu do produkcji naszego myśliwca. Wniosek ten został przyjęty, ale arcybiskup Ganhad ostrzegł mnie, że będzie to wymagało czasu. Jak rozumiem, trudność polega na tym, że trzeba przekonstrować kabinę, i mamy pewne problemy z produkcją tak małych reaktorów. Prace jednakże już się rozpoczęły. Mając to na uwadze, musimy poinformować Synod, jaka byłaby w naszej opinii najrozsądniejsza strategia wymuszona istniejącą dysproporcją w uzbrojeniu obu stron. W tej chwili przeciwnik może atakować przy użyciu myśliwców, pozostając poza zasięgiem naszych rakiet. Jeśli będzie dysponował wystarczającą ich liczbą, a po przebiegu bitwy o Redwing należy założyć, że tak jest, będzie go stać na wymianę nawet sporej ilości myśliwców na okręt liniowy. Dopóki my nie będziemy posiadali myśliwców zdolnych przechwycić maszyny wroga, nim te rozpoczną atak, trzeba przyjąć, że

wróg będzie dążył do starć w przestrzeni, gdzie w pełni może wykorzystać przewagę ich zasięgu i prędkości. Walki w pobliżu warpów czy planet postara się uniknąć. Czy zgadzacie się z taką oceną sytuacji?

Odpowiedziały mu potakujące kiwnięcia głowami, a niechęć na obliczach zastąpiła ulga.

Jahanak uśmiechnął się lekko.

– W takim razie doradzę Synodowi, byśmy do czasu otrzymania myśliwców przyjęli strategię defensywną. QR-107 to z punktu widzenia przeciwnika idealne pole bitwy, gdyż jest to system węzłowy, a pozbawiony planet czy nawet gwiazdy. Dla nas jest praktycznie bezużyteczny. Nie mamy w nim żadnych umocnień, toteż by bronić warpa prowadzącego do Redwing, musielibyśmy rozwinąć w jego pobliżu całą Pierwszą Flotę łącznie z okrętami liniowymi. Inaczej nie zdołalibyśmy odeprzeć zdecydowanego ataku przeprowadzonego większymi siłami. A takie rozmieszczenie wojska oznaczałoby umiejscowienie najsilniejszych, ale i najpowolniejszych okrętów najdalej, gdyby zaszła konieczność wycofania się wobec przewagi wroga. Ponieważ nie możemy sobie pozwolić na zmarnowanie okrętów liniowych, zamierzam wycofać je do systemu Parsifal, a wyjście z warpa obsadzić lżejszymi jednostkami. Zwłaszcza krążownikami liniowymi klasy *Ronin* i lekkimi klasy *Nile* – obie mają wzmocnione uzbrojenie rakietowe i zostały dodatkowo zmodyfikowane do roli przeciwlotniczej.

Zamilkł, czując dezaprobatę Hinama. Co prawda głównym celem tej odprawy było zjednanie sobie źle nastawionego sztabu, ale nie oznaczało to, by miał zamiar zrobić to kosztem pozyskania nowego wroga...

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli, panowie – dodał. – Nie oddajemy QR-107. Zamierzam solidnie wykrwawić każde siły, jakie przeciwnik tam wyśle do przeprowadzenia rajdu, a równocześnie zyskać doświadczenie w zwalczaniu myśliwców. Musimy stworzyć właściwą taktykę przeciwlotniczą, nim następny raz wystawimy okręty liniowe na ich atak, a ten system nadaje się doskonale na wysunięte pole walki. Co prawda wolałbym zaatakować bez zwłoki, bo przeciwnik nie miałby wówczas czasu na pełne uzupełnienie strat i odbudowę umocnień, nie mówiąc już o wzmocnieniu sił stacjonujących w systemie Redwing, ale w tej sytuacji to niemożliwe. Dlatego chcę zmienić naszą słabość w przewagę, czekając na uzbrojenie niezbędne do ponownego, udanego ataku na Redwing. Bo atak ten nastąpi, możecie być pewni.

Spojrzenia, jakie posłali mu obecni, były prawie entuzjastyczne.

Jahanak uśmiechnął się.

– To w zasadzie byłoby wszystko, panowie – zakończył. – Proszę wrócić do swoich obowiązków. Za dwie godziny spodziewam się od każdego z was raportu o stanie podległych wam działów. Rozejść się.

Dopiero gdy za ostatnim ze sztabowców zamknęły się drzwi, spojrzął na Hinama.

– Jak sądzę, mój plan nie podoba się Waszej Świątobliwości?

– Bo nie uwzględnia poleceń Synodu, drugi admirał – odparł zimno zapytany. – Prorok nie będzie zadowolony.

– A ja to niby jestem zadowolony?! – spytał kwaśno Jahanak. – Jestem zwykłym śmiertelnikiem. Podobnie jak członkowie mojego sztabu i Synodu. A także Prorok. A każdy śmiertelnik omylnym jest.

Hinam zaczął się nadymać z oburzenia, toteż Jahanak dodał miękko i z lekkim uśmiechem:

– Proszę pamiętać, że nawet mój święty przodek nie był nieomylny w służbie Świętej Ziemi.

Hinam zamknął z trzaskiem usta.

A Jahanak uśmiechnął się w duchu szeroko – faktu pochodzenia od pierwszego Proroka jako argumentu używał rzadko, ale zawsze skutecznie.

– Zatem jako zwykli śmiertelnicy – podjął spokojnie – możemy jedynie najlepiej, jak potrafimy, starać się służyć sprawie Świętej Ziemi. Wasza Świętobliwość widziałeś, jak powitali nas sztabowcy. Służyli pod pierwszym admirałem Lantu, podobnie zresztą jak ja w swoim czasie, i nauczyli się oczekiwać zwycięstw. Nie rozumieją, co się stało, ale nie wierzą, że była to wina Lantu – i nie dziwię im się. Jeszcze niedawno sam nie dałbym wiary, że wycofa się w jakichkolwiek okolicznościach. Ale zrobił to i należy sobie uświadomić, że ma to i będzie miało wpływ na dalszy przebieg świętej wojny. A najbliższe dni będą zależeć od tych właśnie oficerów. Muszę mieć ich pełne poparcie, a nie uzyskam go, podając w wątpliwość postępowanie ich poprzedniego dowódcy, który w ich przekonaniu uratował większość Pierwszej Floty. Nie mówiąc już o zmieszaniu go z błotem czy oskarżaniu o defetyzm.

– Rozumiem... – przyznał niechętnie Hinam. – Ale samowolna zmiana strategii Synodu...

– Jest jednym z wielu zadań oficerów flagowych – przerwał mu Jahanak. – Poza tym nie zmieniam strategii Synodu, lecz taktyczne metody jej osiągnięcia. Członkowie Synodu nie są wojskowymi i nie zdają sobie sprawy z powagi sytuacji militarnej tak jak my tutaj. Gdyby Lantu przełamał Linie, mógłbym dalej atakować, ale w takich okolicznościach nie wystawię okrętów liniowych na ataki myśliwców, bo w tej chwili zbyt wiele naszych jednostek przebywa w stoczniach remontowych, bym mógł równocześnie stawić czoła fortom i myśliwcom. Dopóki ich naprawy nie zostaną ukończone i dopóki nie będziemy mieli lotniskowców, atak na Redwing się nie powiedzie. Przykro mi, że tak jest, ale to, co czuję, nie zmienia faktów. Muszę zdobyć zaufanie oficerów i odbudować ich wiarę i odwagę. To też istotny czynnik w bitwie. A pamiętać należy, że Synod nie podziękuje żadnemu z nas, jeśli po klęsce Lantu poniesiemy teraz jeszcze gorszą porażkę, ponownie próbując bez skutku zdobyć ten sam system.

Hinam długą chwilę milczał, wpatrując się w swój pierścień.

Jahanak zaś czekał cierpliwie. Z racji swego pochodzenia miał do czynienia z większą niż

przeciętny oficer liczbą hierarchów kościelnych i dobrze ich poznał. Wiedział, co powie Hinam, nim ten się odezwał.

– No dobrze – westchnął w końcu. – Nie podoba mi się to i Synod będzie niezadowolony, ale być może ma pan rację, drugi admirał. Poprę pańską decyzję. Na razie.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość – odparł spokojnie Jahanak, starannie unikając tryumfującego tonu czy radosnego błysku w oczach.

* * *

Iwan Antonow spróbował raz jeszcze.

– Widzisz – zaczął, nalewając wódki Khtaarze i sobie. Wy zjednoczyliście się po serii wojen, w których prawie wyrznięliście się wzajemnie w pień. Zginęły całe narody, całe kultury, a te, które ocalały, zostały zmasakrowane. Więc kiedy w końcu jedna grupa zdobyła kontrolę nad tym, co zostało z waszej ojczystej planety, była w stanie przerobić całą rasę na swoje podobieństwo. Można by powiedzieć, że tablica została starannie wymazana. I dlatego teraz wszyscy macie wspólny język i tę samą kulturę. Nam, można by rzec, upiekło się, bo choć wielka wschodnia wojna była wyniszczająca, to nie sposób jej porównać do waszych wojen zjednoczeniowych. Choćby dlatego, że nie użyliśmy strategicznych broni nuklearnych, a broni biologicznych w ogóle. Dlatego różnice pomiędzy naszymi kulturami przetrwały zjednoczenie polityczne i dlatego część z nas nadal pozostaje wierna tej tradycji, z której się wywodzi. No to zdrowie!

– *T'chaaigarna* – zawtórował Kthaara i wypił do dna.

Alkohol na obie rasy wpływał tak samo, obie też pijały go w podobnych okolicznościach i stosując podobne zwyczaje. Po zawarciu przymierza kociambry, zwłaszcza z wyższych klas, zetknęły się z napojami wysokowymi ludzkiej produkcji i zaczęły przejawiać skłonność do bourbona. Ale z tego zboczenia Antonow zdołał wyleczyć Kthaarę, choć kosztowało go to sporo wysiłku – i wódki.

– Myślę, że przeceniasz konsekwencje wojen zjednoczeniowych – Kthaara pogładził w zamyśleniu wąsy. – Inaczej niż u was, u nas istniało jedno państwo obejmujące całą planetę, toteż wiedzieliśmy, do czego dążymy. Ale masz rację: nasze kultury były bardzo różne, nim przywiązanie do tychże różnic zniknęło w obliczu konieczności przetrwania po wojnach zjednoczeniowych.

– Właśnie. Ludzie nie stanęli przed taką koniecznością.

– Zgadza się – przyznał powoli Kthaara. – A to właśnie wyjaśnia wiele spraw, których nie potrafimy zrozumieć u was. I nie chodzi tylko o to, jak zjednoczona i tak zaawansowana w rozwoju rasa może mieć tyle odmian osobniczych imion. Dla nas zawsze był to chaos, ale teraz zaczynam widzieć w nim sens. Podobnie rzecz ma się z waszą pomysłowością. Naturalnie nigdy nie zaakceptowaliśmy tezy, że jesteście po prostu inteligentniejsi, tym bardziej że nie było na to żadnych naukowych dowodów. Mój ojciec Kornazh'zarthan miał na

ten temat teorię, która, jak widzę, była słuszna, a stała się powodem strasznych awantur z dziadkiem, pierwszym lordem Talphonem. Sądził on otóż, że przyczyną jest wasza niewiarygodna różnorodność. Musiała ona bowiem pobudzać kreatywność, a dzięki temu każdy osobnik miał olbrzymią gamę wyboru. Tak musiało być kiedyś na Valkhce, przed wojnami zjednoczeniowymi. Tak wiele straciliśmy i nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Zamilkł, wpatrując się w okno admirałkiej kabiny, w której Kthaara stał się częstym gościem w wolnym od służby czasie. Jak na komandora była to dziwna zażyłość, ale prawdziwy stopień, jaki posiadał we flocie oriońskiej, był odpowiednikiem komodorskiego, a poza tym coraz bardziej stawał się faktycznym dowódcą myśliwców Drugiej Floty. A poza tym Antonow go polubił.

Rozległ się sygnał interkomu, a gdy Antonow przyjął połączenie, na ekranie pojawiła się twarz kapitana Tsuczewskiego.

– Zakończyliśmy odprawę załóg biorących udział w ostatnim rajdzie do QR-107, sir – zameldował. – Potwierdzają wnioski z ostatnich paru tygodni: Thebanie nie stawiają poważnego oporu, po tym jak udowodniliśmy, że mamy dość pancerników, by przełamać każdą ich obronę warpa. Natomiast głębiej w systemie ich opór rośnie i wygląda na to, że są gotowi stoczyć tam bitwę, gdybyśmy weszli wszystkimi siłami. Pełny raport prześlę panu później.

Kthaara pochylił się i nastawił uszy; w jego przypadku był to opis rzeczywistej czynności, a nie przenośnia.

– A więc chcą kontynuować wojnę podjazdową i zyskiwać doświadczenie w zwalczaniu myśliwców. Uważają, że brak nam sił do starcia flot – stulił uszy i dodał: – Może więc teraz jest najlepsza pora, by doprowadzić do takiego boju spotkaniowego. Nasze nowe lotniskowce zdążą dokonać tranzytu, nim przeciwnik zorientuje się, że coś się dzieje!

W głębi serca Kthaara pozostał narwanym oriońskim wojownikiem – gdy w grę wchodził bój spotkaniowy na dużą skalę, teoria taktyczna i wiedza przegrywały z instynktem starszym od znanej historii jego rasy.

– Nie – powiedział wolno Antonow. – Nowy dowódca thebańskiej floty, a jestem pewien, że ma ona nowego dowódcę, próbuje dowiedzieć się, jakie mamy siły. Dlatego lepiej będzie pozostawić go w nieświadomości, iloma dużymi lotniskowcami już dysponujemy. Będziemy kontynuowali rajdy tak, jak zaplanowaliśmy. I nie rób takiej zawiedzionej miny: przypomnij sobie, co sam mi mówiłeś o lekcjach wynikających z Wojen Wstydu.

Kthaara nieco oklapł.

– Masz naturalnie rację, Iwaaan’aaantaahaaawn – uśmiechnął się smętnie.

I sięgnął ponownie po napełnioną w międzyczasie przez Antonowa szklanę.

Rozdział XV

KAPŁANI ŚWIĘTEJ ZIEMI

– Pańska obecność to dla nas zaszczyt, pierwszy admirale.

Szacunek pułkownika Fraymaka wydawał się szczery, co zaskoczyło Lantu. Choć z drugiej strony nie powinno, gdyż o jego niełasce wiedziało niewielu. Ministerstwo Prawdy ogłosiło kampanię za zwycięską, co oznaczało, że Kościół okłamywał nie tylko wiernych, ale i swoich wojowników. Lantu korciło, by powiedzieć Fraymakowi prawdę, ale nie zrobił tego, świadom że jedynie podkopałby własny autorytet. Acz dziwnie pociągająca była chęć wstrząśnięcia ślepą wiarą oficera.

– Dziękuję, pułkowniku Fraymak, ale zadanie jest zadaniem. Złapał pan terrorystów, którzy zabili arcybiskupa Tanuka?

– Nie, sir. – Fraymak spojrział w okno nowego i luksusowego gabinetu Lantu. – Zresztą nie spodziewałem się, aby mi się to udało.

– Nie? – zdziwił się Lantu i odruchowo odchylił w fotelu.

Takie wyznanie złożone nowemu dowódcy, który ledwie od trzech godzin przebywał na planecie, wymagało sporej odwagi.

– A dlaczegoż to? – spytał spokojnie.

– Panie admirale. – Fraymak wbił wzrok w punkt na ścianie nad jego głową niczym kadet pierwszego rocznika. – Mam wzmocnioną brygadę piechoty wspartą przez pułk pancerny i dwa bataliony helikopterów i pułk lotnictwa. To nie wystarczy, by obsadzić garnizonami obozy reedukacyjne i zorganizować siły szybkiego reagowania na całej planecie.

– A dlaczegoż to pańscy ludzie stanowią garnizony obozów? – zdumiał się Lantu. – Za obozy odpowiedzialna jest Inkwizycja i Kościelni.

– Arcybiskup... zażądał, żebym pomógł Kościelnym, sir – odparł ostrożnie Fraymak. – Po tym, jak więźniowie obozu w New Selkirk zmasakrowali załogę i uciekli co do jednego.

– Rozumiem... – Lantu podrapał się z namysłem po nosie.

O tym nikt nie zawiadomił Synodu ani zwierzchników w ojczyźnie.

– Ujmując rzecz w skrócie: gania pan za terrorystami, gdy dowie się pan o ich ataku, tak? – spytał.

– Trafnie pan to ujął, sir.

– Ile tu w ogóle działa grup terrorystycznych?

– Nie jesteśmy pewni, bo nikt z oczekujących na reedukację naturalnie nigdy niczego nie wiedział, ale w naszej ocenie od siedmiu do piętnastu dużych. Przynajmniej trzy na Aberdeen, dwie na Scotii i po jednej na New Gael i Hibernii. Jak dotąd tylko na wyspach panuje spokój, ale nawet używając skonfiskowanych środków transportu, nie jestem w stanie przemieszczać sił na tyle szybko, by pokryć całą powierzchnię wszystkich czterech kontynentów.

Lantu przyjrzał się leżącej na biurku mapie, przesuwając po niej czubkiem otwieracza do listów. I omal nie skrzywił się boleśnie, widząc ukształtowanie terenu środkowych partii każdego z kontynentów. Problemy rozmówcy stały się nagle znacznie bardziej zrozumiałe.

– Atakują cele w pobliżu gór, natychmiast wracają na skały i śmieją się z pana? – spytał.

– Dokładnie tak, sir. – Fraymak nie krył ulgi, słysząc w głosie Lantu zrozumienie, ale i tak dopiero po chwili wahania dodał: – I z całym szacunkiem dla arcybiskupa czy ojca Shamara, ale nie sądzę, że powinniśmy uważać ich za terrorystów.

– A to dlaczego?

– Ponieważ atakują głównie cele wojskowe i doskonale znają taktykę. Brak im trochę ciężkiej broni wsparcia, ale w ich sytuacji to poniekąd dobre, gdyż umożliwia szybkie przemieszczanie się po trudnym terenie, w tej chwili przynajmniej połowę ich uzbrojenia stanowi nasza, zdobycza. Za każdym razem, gdy wysyłam pluton czy drużynę, by osłaniały Kościelnych, praktycznie dają broń i amunicję partyzantom.

– Rozumiem, pułkowniku, ale jesteśmy tu po to, by wspomagać Kościół, podobnie jak kapłani są tu, by wspomagać nas. Rozważał pan przesunięcie obozów i innych obiektów tak, by znalazły się poza zasięgiem oddziałów pieszych operujących z gór?

– To niemożliwe, sir, gdyż pas nadmorskich równin ma w najszerszych miejscach zaledwie dwieście kilometrów szerokości i jest gęsto zalesiony, głównie dębami flagowymi, a to niezwykle drzewa. Mają ponad dziewięćdziesiąt metrów wysokości i listowie, przez które nie przenika promieniowanie cieplne. Ponieważ partyzanci nie posiadają ciężkiego sprzętu, nie mają nic, co emitowałoby jakiegokolwiek sygnały elektroniczne, a w ręcznej broni jest zbyt mało metalu, by wykryły je detektory magnetyczne. Dlatego niewielkie grupy mogą się spokojnie poruszać w lasach, łączyć w duże oddziały tuż przed atakiem i rozpraszać się zaraz po nich. Wyśledzić ich jest równie trudno, jak zauważyć rybę w mulistej wodzie, sir.

Lantu doskonale rozumiał frustrację gospodarza – jego oddziały były rozdrobione i rozrzucone po dużym obszarze, a partyzanci cały czas mieli inicjatywę. Fraymak mógł tylko reagować na ich ataki, a często dowiadywał się o nich po fakcie, bo bywały błyskawiczne.

– Zakładam, że mają jakieś bazy – odezwał się po chwili, odkładając nóż do papieru. – Nie można ich zlokalizować?

– Pułkownik Kościelnych Huarck też się nad tym zastanawiał – odparł Fraymak. – Odpowiedź brzmi: nie. Góry są pełne jaskiń i głębokich kanionów, a dysponujemy tylko

mapami sporządzonymi na podstawie zdjęć lotniczych, na których jaskiń nie ma w ogóle, a kaniony tylko te większe. Nie mam wystarczającej liczby satelitów, by przez całą dobę trzymać pod dokładną obserwacją cały obszar gór. O przeniknięciu przez czterdzieści metrów skały mogę tylko pomarzyć.

– Pułkownik Huark pytał o to? – upewnił się Lantu, gdyż dowodzący Kościelnymi przy powitaniu nie wywarł na nim wrażenia osoby uderzająco inteligentnej czy fachowej.

– Pytał, sir – odparł Fraymak starannie wypranym z emocji głosem. – Sądzę, że chciał je zbombardować głowicami nuklearnymi.

Lantu omal się nie uśmiechnął – taki idiotyzm mógł wymyślić tylko Kościelny. Aż dziw, że nie wpadł na pomysł bombardowań dywanowych całych gór. Omal nie powiedział tego głośno, gdyż mina Fraymaka sugerowała, że podobna propozycja faktycznie padła.

– Sądzę, że mamy dość środków, by odpowiednio ich używając, zabić tę muchę znacznie mniejszym młotkiem – ocenił złośliwie.

– Na pewno, sir! – przyznał z nie ukrywaną ulgą Fraymak.

Lantu uśmiechnął się szerzej.

– No dobrze. Zacniemy od poinformowania pułkownika Huarka, że bezpieczeństwo obozów to wyłącznie jego sprawa. Proszę wycofać z nich wszystkich ludzi i zorganizować bataliony szybkiego reagowania. A potem opracować plan takiego ich rozmieszczenia, by w optymalnym czasie zdołały dotrzeć z baz do każdego naszego obiektu mogącego stać się celem ataku.

– Rozkaz, sir. – Fraymak zawahał się, stoczył wewnętrzną walkę i zaryzykował. – Sir, zgadzam się całkowicie z pańskimi rozkazami, ale chyba powinienem uprzedzić pana, że będzie to oznaczało poważne straty wśród Kościelnych. Przynajmniej z początku.

– Dlaczego? – Wychodziło na to, że jest to ulubione słowo Lantu w tej rozmowie.

– Kościelni nie są zbyt dobrzy w utrzymywaniu bezpieczeństwa, a partyzanci serdecznie ich nienawidzą. Zwłaszcza plutonów eksterminacyjnych.

– Czego? – spytał bardzo cicho Lantu.

Fraymak przełknął ślinę i wyjaśnił:

– Specjalnych jednostek nazywanych plutonami eksterminacyjnymi.

– Będzie pan uprzejmy nie traktować mnie jak idioty – zaproponował równie cicho Lantu.

– Czym zajmują się te plutony?

– Represjami, sir – wykrztusił nieszczęśliwy Fraymak.

– Represjami – powtórzył z lodowatym spokojem Lantu.

– Tak, sir. Partyzanci najczęściej atakują obiekty w pobliżu obozów o najwyższej liczbie zgonów wśród reedukowanych. I nie zostawiają nikogo przy życiu. Huark i ojciec Shamar zorganizowali więc plutony eksterminacyjne. Po każdym takim ataku wybierają zakładników z najbliższej wioski nie poddanej reedukacji i... tego, no, eksterminują ich.

Lantu zamknął oczy i omal nie splunął, przypominając sobie własne słowa o pomaganiu

Kościółowi. Jakim cudem taka polityka mogła służyć Świętej Ziemi, nie mógł w żaden sposób sobie wyobrazić...

Długą, naprawdę długą chwilę siedział zupełnie nieruchomo, zanim otworzył oczy.

– Cóż, pułkownika Fraymak, jest pan pod moimi rozkazami, nie pułkownika Huarka. A ponieważ to ja tu dowodzę, zrobimy po mojemu. Rozmieszczając bataliony szybkiego reagowania, proszę wziąć pod uwagę wszystkie osiedla pracowników cywilnych i podobne obiekty. Plutony eksterminacyjne będą musiały zatroszczyć się same o siebie.

– Rozkaz, sir! – W oczach Fraymaka widać było ponurą satysfakcję.

Zaraz potem zasalutował niczym na paradzie, wykonał przepisowy w tył zwrot i wyszedł.

Lantu patrzył w ślad za nim. Zaczynał rozumieć, dlaczego trafił na tę planetę.

Dopiero znacznie później uzmysłowił sobie, że Fraymak ani razu nie użył słowa „niewierni”.

* * *

– Panie admirale?

Lantu uniósł głowę, słysząc cichy, melodyjny głos sekretarki, i uśmiechnął się odruchowo. Hanat była wysoka jak na Thebankę – głową sięgała prawie do jego ramienia. I nie ulegało żadnej wątpliwości, że to ona utrzymuje porządek w okolicy. Stanowiła dziwne połączenie skuteczności i tradycjonalizmu i w jakiś sposób radziła sobie ze wszystkim, co trafiało na jej biurko, nie przekraczając granic, co szefa tradycjonalistę od razu zaczęłoby irytować.

– Słucham, Hanat?

– Dziesięć minut temu miał się pan zjawić w gabinecie kapelana floty.

– Co?! – Lantu spojrzał na zegarek. – Cholera! Przepraszam.

Ostatnie słowo mu się wyrwało, a Hanat roześmiała się cicho.

– Na szczęście znam go naprawdę długo, więc może nie każe mnie rozstrzelać od razu – dodał Lantu i wstał.

Odruchowo sięgnął po pas z kaburą pistoletu i zapiął ją z niechęcią. Nauczył się już, że nawet po własnej kwaterze głównej powinien chodzić z bronią, co mimo tylu lat służby stanowiło dlań nowe i nieprzyjemne doświadczenie.

– A o czternastej trzydzieści ma pan spotkanie z pułkownikiem Huarkiem – dodała. – Proszę o nim nie zapomnieć.

– Nie da się, choćbym chciał. – Lantu nie próbował nawet ukryć, co myśli o Huarku. – Dostarczyłaś te dane kapelanowi?

– Dostarczyłam – odparła z odrazą. – Miał pan rację. O dwanaście procent przekraczają górny poziom egzekucji zaakceptowany przez arcybiskupa Tanuka.

– Szlag by to! Dobra, zapoznam się z nimi po powrocie. Prześlij je do mojego komputera.

– Naturalnie. – Hanat niespodziewanie poprawiła mu sprzączkę pasa. – Teraz lepiej. Nie

mogę dopuścić, żeby mój szef wyglądał niechlujnie!

Lantu uśmiechnął się radośnie i wyszedł.

Mrucząc coś pod nosem.

* * *

– Usiądź – zaprosił go Manak.

Lantu siadł w fotelu, przez co pistolet wbił mu się boleśnie w bok. Zaklął i szarpnął pas, ale tak łatwo nie poszło – musiał go rozpiąć, by móc przesunąć kaburę.

– Wyrażaj się, mój synu – upomniął go łagodnie Manak. – Klniesz, aż przykro słuchać.

Lantu od razu poczuł się lepiej – Manak przez wiele dni po wyroku Synodu odpowiadał monosylabami albo i wcale. Teraz też miał przygaszony wzrok, choć tliło się w nim wspomnienie niedawnego ognia, ale stłumione przez zgorzknienie. Lantu był dzieckiem, gdy zmarli jego rodzice, i Manak wychował go jak syna, dlatego oglądanie go w takim stanie było dlań kolejnym powodem rosnącej niechęci wobec Synodu.

– Przepraszam, ale naprawdę nienawidzę noszenia tego żelastwa.

– Ja też – przyznał Manak i odruchowo sprawdził, gdzie położył broń.

Zajmował ten sam gabinet co niegdyś Tanuk, ale luksusowe wyposażenie zostało usunięte. Teraz pomieszczenie umeblowano prosto, choć wygodnie. I wyglądało znacznie bardziej swojsko.

– Otrzymałem wiadomości od Synodu – powiedział Manak. – Postanowiono przynajmniej chwilowo zatwierdzić mnie jako pełniącego obowiązki arcybiskupa. Pewnie dlatego, że żaden biskup nie chciał tej posady.

– Co dowodzi dobrze rozwiniętego instynktu samozachowawczego biskupów.

– Niestety to prawda. Ale oznacza to także, że teraz ja decyduję o polityce Kościoła na tej planecie, i dlatego chciałem z tobą rozmawiać. Pułkownik Huark i ojciec Shamar oprotestowali twój rozkaz dotyczący nowego rozmieszczenia wojsk.

– Co mnie w najmniejszym stopniu nie dziwi. Natomiast jeśli chcą, by ataki się skończyły, to zamiast reagować na nie, musimy...

– Spokojnie, mój synu. Znam cię zbyt dobrze, by kwestionować twoją ocenę sytuacji... w przeciwieństwie do niektórych. – Manak skrzywił się gorzko, ale natychmiast nad sobą zapanował. – Powiedziałem im, że całkowicie popieram twoje decyzje. Tylko coś mi się wydaje, że teraz ja będę potrzebował twojego poparcia.

– A to dlaczego?

– Przeczytałem raport przygotowany przez twoją uroczą sekretarkę. – Manak uśmiechnął się porozumiewawczo.

A Lantu jęknął w duchu – kapelan floty od lat namawiał go, by wziął sobie żonę, jak oczekuje tego od niego Święta Ziemia, i miał serdecznie dość tego tematu.

Na szczęście jednak Manak go nie rozwijał.

– I masz całkowitą rację: egzekucji jest stanowczo za wiele. Jeśli twoje obliczenia są prawidłowe, a sędzę, że są, zabiłszy już prawie trzynastą procent populacji. W ten sposób się nie nawraca! W ten sposób dokonuje się ludobójstwa!

Lantu przytaknął z uczuciem.

– Natomiast podejrzewam, że nie zdajesz sobie sprawy z czegoś innego – dodał Manak. – Oficjalnie w tym czasie, powtarzam: oficjalnie, nawróciliśmy mniej niż pięć procent ludności. I to jest dopiero przerażające, bo nawet najgłupszy niewierni powinni udawać nawrócenie choćby po to, by uniknąć śmierci.

– Tutejsi ludzie są wyjątkowo uparci – wtrącił łagodnie Lantu.

– W rzeczy samej, ale mimo wszystko jest to wysoce niepokojące.

– Podejrzewam, że Inkwizycja... przesadziła ze stosowaniem kar – powiedział ostrożnie Lantu.

– Chciałeś powiedzieć: tortur – poprawił gorzko Manak.

Lantu odprężył się – to był stary Manak, którego znał i szanował.

– Nie powinno się źle mówić o zmarłych, zwłaszcza tych, którzy zginęli męczeńską śmiercią w imię wiary, ale Tanuk nie był w stanie odróżnić prawej od lewej bez instrukcji – prychnął kapelan floty.

– Nie miałem okazji go poznać...

– I niewiele straciłeś – przerwał mu Manak. – Jego wiara była wielka, ale równie wielka była nietolerancja. Święta wojna przeciw niewiernym to jedno, a wyrzynanie ich z powodu frustracji i rozczarowania to zupełnie coś innego. A to właśnie Inkwizycja tu robiła i robi. Jeżeli rzeczywiście okazaliby się zatwardziali, być może nie mielibyśmy wyjścia. Ale wiadomo, że miłością zyskuje się więcej wiernych niż nienawiścią. A poza tym oni nadal należą do rasy Wysłannika. Choćby z miłości do Niego musimy podjąć wysiłek, by uratować ich dusze i odbudować ich wiarę.

– Zgadza się, ale wydaje mi się, że może się to okazać trudniejsze niż nawrócenie kogoś, kto zboczył ze ścieżki prawdy.

– Tak?

– Gdy tu przybyliśmy, dokładnie przestudiowałem planetarną bazę danych i archiwa. Jest w nich masa odniesień do Ziemi, ale jedynie jako do miejsca, do ojczyznej planety gatunku ludzkiego. Nigdzie nie ma natomiast wzmianki o jej boskości. Czy więc przypadkiem niewierni nie są szczerzy, twierdząc, że nigdy nie słyszeli o prawdziwej wierze, więc nie odrzucili jej, bo jej nie znali?

– Oczywiście, że są szczerzy. – Manak popatrzył na niego zdumiony. – Myślałem, że to już dawno pojąłeś. Wpływ Szatana-Chana jest subtelny, ale skuteczny: wszystkie wzmianki o prawdziwej wierze zostały starannie usunięte z archiwów.

– Ale nigdzie nie zauważyłem luk, błędów czy śladów ingerencji. – Lantu uważnie dobierał słowa. – Jak można tak całkowicie zatrzeć wszystkie ślady po tak istotnej i

wszechobecnej sferze jak religia?

– Lantu, ta planeta została skolonizowana dziewięć lat po heretyckim traktacie podpisanym na Tycho. Możesz mi wierzyć, że przez ten czas bez trudu można było usunąć wszystkie informacje o wierze w bazie danych przygotowanej dla kolonii i przepisać stosowne fragmenty tak, by nie wzbudziły niczyich podejrzeń. Gdy wyzwolimy Świętą Ziemię, znajdziemy dowody tej manipulacji.

Był tak pewny siebie, że Lantu tylko kiwnął głową, nie dając po sobie poznać, jak dalece ten brak wątpliwości go zaniepokoił. Kościół zawsze dbał, by wierni nie ulegli duchowej zarazie, i dlatego dostęp do oryginalnych Świętych Zapisów znajdujących się w komputerze pokładowym *Starwalkera* był ściśle ograniczony. Pewność Manaka musiała wyływać z doświadczenia, a to oznaczało, że wiedział, jak łatwo jest manipulować bazą danych. A to z kolei mogło oznaczać, że...

O dalszych konsekwencjach zdecydował się w tej chwili nie myśleć.

– Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy – podjął Manak. – Mam zamiar rozwiązać plutony eksterminacyjne i o połowę obniżyć dopuszczalny poziom egzekucji w obozach. Huark i Shamar znienawidzą mnie serdecznie, a na tym nie poprzestaną. Wyślę inspektorów, by dopilnowali zmniejszenia liczby i ograniczenia rodzajów tortur oraz stosowania się do ustalonych przeze mnie limitów. Huark i Shamar mają dobre układy w Synodzie i dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Udzielę jej naturalnie, ale co konkretnie mam zrobić?

– Być w pobliżu i zachowywać się pewnie – odparł zwięźle Manak. – Podstawą moich decyzji jest założenie, że zmniejszenie liczby ofiar zmniejszy też wsparcie, jakim wśród niewiernych cieszą się terroryści.

– Rozumiem. I do pewnego stopnia jest to prawda, ale sprawy zaszły za daleko, by to zakończyło ich działalność.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale być może to wytłumaczenie wystarczy na jakiś czas, a jeśli uda się zwiększyć liczbę nawróceń, nie będę potrzebował już żadnego innego.

– Pojmuję. – Lantu przyjrzał mu się z szacunkiem. – A jeżeli ja w tym czasie rozbiję kilka oddziałów albo doprowadzę do zmniejszenia liczby ataków na nasze obiekty...

– Właśnie, mój synu – potwierdził Manak.

I uśmiechnął się.

* * *

– Słodki Jezu! – jęknął Angus MacRory, padając plackiem, gdy nad jego głową pojawił się kolejny helikopter.

Ledwie kilometr niżej przedzierało się przez zarośla pod górę niczym neohipopotamy pół tuzina pancerek, a po ich śladach jechała piechota na trójkołowych motorkach.

– Też tak uważam – wymamrotała Caitrin i ostrożnie uniosła się na łokciach, patrząc w

górze stoku. – Myślę, że punkt zborny nadal jest czysty.

– I niech tak będzie – burknął Angus, wyciągając z granatnika magazynek odłamkowych pocisków i zastępując go przeciwpancernymi.

Każdy miał ładunek kumulacyjny, który wystarczał, by przebić cienkie burty pancerek, o ile naturalnie zdoła do nich dotrzeć przez pokrywający ją pancerz reaktywny.

W dole aż pod korony drzew unosił się gęsty, czarny dym – płonęło kolejne centrum reedukacyjne, którego załogę wyrznęli w pień. Co się tyczyło zakładników, to mógł mieć tylko nadzieję, że uda im się zniknąć pod opieką przewodników. Byli nimi cywilni współpracownicy partyzantów, którzy mieli przeprowadzić ich do oddalonych farm i osiedli znajdujących się poza strefą.

Pewności, czy się im powiedzie, nie miał, bo tym razem Pawiany zareagowały z zaskakującą szybkością i siłą. Uciekinierów ścigały przynajmniej dwie kompanie, a wylądowały i rozpoczęły pościg, nim jego ludzie odeszli piętnaście kilometrów od miejsca ataku. Na szczęście skalisty łańcuch Grampian dochodził tu szczególnie blisko wybrzeża, ale mimo wszystko...

Z przodu rozległ się charakterystyczny dźwięk i zdobyczna rakietą przeciwlotnicza pomknęła na spotkanie transportowego pionowzlotu szykującego się do lądowania. Zapalnik zbliżeniowy zadziałał, gdy znalazła się koło prawego silnika, i po detonacji transportowiec odleciał, ciągnąc coraz bardziej gęstniejącą smugę dymu ze zniszczonego silnika. Angus uśmiechnął się złośliwie: w pobliżu nie było lądowiska, jeśli samolot będzie musiał przymusowo lądować w lesie, niewielu z załogi przeżyje...

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy opancerzony helikopter szturmowy ostrzelał miejsce, z którego odpalono rakiety. Od detonacji jego rakiet zagotowała się ziemia, a helikopter przeleciał nad dymiącym kraterem i na dokładkę zrzucił pojemnik z napalmem.

Jeśli obsługa wyrzutni miała naprawdę dużo szczęścia, była martwa i na dodatek upieczona na skwarki. Nowe, wzmocnione oddziały szybkiego reagowania zaczynały coraz bardziej utrudniać im życie...

– Ruszaj – polecił Caitrin, pozostając na wszelki wypadek na miejscu i osłaniając ją.

Dopiero gdy zajęła pozycję za wybranym głazem, poderwał się i zygzakując, pobiegł w jej stronę.

To musiała być sprawka tego całego Lantu – nowego dowódcy wojskowego. Zaczęli nawet stosować kryptonimy w łączności radiowej, co im się dotąd nie zdarzyło. Były proste i łatwe do rozszyfrowania, ale sam fakt źle wróżył na przyszłość.

Padając za pniem zwalonego drzewa i czekając na Caitrin, Angus postanowił znaleźć sposób, by wysłać Lantu tam, gdzie wysłał arcybiskupa Tanuka.

Rozdział XVI

KREW WOJOWNIKÓW

Pod wpływem kopnięcia elektromagnetycznej katapulty żołądek podjechał mu w górę, a pozbawiony sztucznej grawitacji pokładowej organizm przez moment był dezorientowany, jako że w przestrzeni „górze” i „dół” przestaje istnieć. Dezorientację powiększało jeszcze to, że w tym konkretnym kawałku nicości nazywanym QR-107 nie było nawet gwiazdy mogącej stanowić wizualny punkt odniesienia. Dopiero znajome uczucie przeciążenia spowodowane uruchomieniem się silnika myśliwca sprawiło, że Kthaara'zarthan na powrót poczuł się normalnie. Przeciągnął się z zadowoleniem na tyle, na ile pozwalała na to zaprojektowana dla człowieka kabina, i westchnął z ulgą.

Ludzie zmodyfikowaliabinę, na ile mogli, by pomieściła go wraz z oriońskim skafandrem próżniowym, a on ćwiczył w systemie Redwing tak długo, aż myśliwiec stał się przedłużeniem jego ciała, reagującym płynnie i błyskawicznie na wszelkie polecenia. Zupełnie jak przy „sprzęgu nerwowym”, o którym od wieków opowiadali naukowcy Chanatu, a jak się potem okazało i Federacji. A żaden nie potrafił uporać się z drobnymi problemami technicznymi – nie przeżył ani jeden pilot testujący ów sprzęg poza laboratorium, o walce nie wspominając.

Prychnął pogardliwie zupełnie jak człowiek – uwierzy w skuteczność sprzęgu, kiedy któryś z tych *droshokol mizoahaarlesh* zachwalających jego zalety zaryzykuje lot w normalnych warunkach. Co naturalnie nie będzie znaczyło, że sprawi mu to przyjemność, jako że wątpił, by cokolwiek mogło zastąpić czystą przyjemność, jaką był normalny pilotaż jednostki, którą się znało i do której miało się zaufanie. Istniał tylko jeden wyjątek – osobista walka i zabijanie morderców kuzyna. To było znacznie przyjemniejsze od samego pilotowania myśliwca i nawet spora część ludzi to rozumiała. Myśl o ludziach wywołała lawinę innych. Trudno było ich pojąć – widział ich w bitwie i wiedział, że każdy następny członek klanu, który nazwie ich *chofaki*, będzie miał z nim do czynienia. Ale nie potrafił zaaprobować ich niespójnej etyki czy nieograniczonych wręcz zdolności do samooszukiwania się. Anderson zacytował mu kiedyś jakiegoś ludzkiego filozofa, który wygłosił wielką prawdę: „Spotkaliśmy wroga: to my sami”.

Ludzie byli rasą od zawsze toczącą wojny między sobą. Był to powód ich unikalnej witalności, a równocześnie cena, jaką za nią płacili. *Zheerlikou'valkhannaiee* dokładnie wiedzący, kim i czym są, postrzegali wszechświat takim, jaki był, a ich problemy wynikały z niemożności wybrania za każdym razem sensownego i bezkrwawego rozwiązania, nie zaś z dziwnej skłonności do tworzenia nierealnych światów cechującej większość ludzi i stanowiącej podstawę ich działania. Na szczęście nie wszyscy ludzie tak postępowali. Do wyjątków należał Iwan Antonow.

No i należało pamiętać o istnieniu jeszcze jednej bariery, o której żaden dobrze urodzony nie powiedziałby człowiekowi. Na szczęście on sam był kosmopolitą i dawno już nauczył się przewycięzać odrazę na widok tak brzydkich osobników. Nie było to łatwe – wolałby już, żeby ludzie w ogóle nie mieli włosów, bo te nierówne kępki sierści wyrastające tu i tam powodowały, że wyglądali jak ofiary ciężkiej zarazy. Na szczęście z reguły zakrywali ciała różnymi materiałami.

Dowiedział się, że już dawno pozbyli się przesądów na temat nagości – przynajmniej większość z nich, bo i w tej kwestii istniała niewiarygodna różnorodność poglądów. Normalnego wojownika mogło to doprowadzić do szału – za każdym razem, gdy już był prawie pewien, że rozumie, co ludzie naprawdę o czymś sądzą, odkrywał dodatkowy poziom niezgodności z teoretycznie powszechnym przekonaniem. Pojęcia nie miał, jak oni się w tym nie gubili, nie wspominając o tym, jak miał tego dokonać przedstawiciel innej, kierującej się rozsądkiem rasy. A ci ludzie, którzy odrzucili tradycyjne religijne traktowanie nagości jako czegoś obscenicznego, byli jeszcze na dodatek z siebie dumni.

I Kthaara w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić dlaczego.

Najbrzydsze były ludzkie twarze – płaskie, z oczami i ustami otoczonymi przez wyglądającą na mokrą, nagą skórę. Osobnicy płci męskiej, kierując się jakąś głupią modą, pogarszali sprawę, goląc wyrastające na twarzach resztki włosów. To musiał być jakiś objaw uwstecznienia – powrót do prymitywnego samookaleczania się, bo inaczej naprawdę nie można było tego nazwać.

Ale jedno należało im przyznać: choć byli nieświadomi własnej brzydoty, potrafili rozpoznać i docenić urodę *Zheerlikou'valkhannaiee*. To, że jego rasa jest atrakcyjna fizycznie i przystojna, powinno być oczywiste dla każdego posiadającego choćby elementarny zmysł estetyczny, ale nie musiało. Choć co prawda zgorzał nieco, gdy się dowiedział, że ludzka reakcja spowodowana jest częściowo podobieństwem mieszkańców Chanatu do pewnych ziemskich zwierząt domowych, ale zasady estetyczne pozostały te same.

Zajmując miejsce w szyku, przestał snuć filozoficzno-estetyczne rozważania. Przesadna troska o wygląd u dorosłego osobnika była nienormalna, a poza tym w równym stopniu liczył się i umysł, czego najlepszym przykładem był choćby Iwan Antonow.

Prawie się uśmiechał, gdy o nim pomyślał. I o tym, co spowodowało, że się tu znalazł, bo było to nierozzerwalnie połączone z Antonowem...

* * *

– Nie, admirale Berenson – oznajmił stanowczo Antonow. – Przedyskutowaliśmy już tę kwestię. Zwiad ustalił, że wylot z warpa broniony jest przez lekkie jednostki wsparte krążownikami liniowymi. *Hawki* nie zostaną użyte, nim nie będziemy zmuszeni do ataku przez warpa bronionego przez okręty liniowe.

– Z całym szacunkiem, panie admirale, ale zanim dotrzemy do takiego warpa, musimy przedrzeć się przez cały system QR-107 – w głosie dowódcy lekkich lotniskowców 2. Floty nie bardzo słychać było szacunek. – Nie jestem w stanie określić, jaka będzie zdolność bojowa moich okrętów po stratach, jakie poniosą przy tym i w czasie ataku przez pierwszy warp. Jestem zdania, że broń nieużywana jest bronią bezużyteczną, sir. Jak pan powiedział, wiemy dokładnie, jakie okręty bronią warpa do QR-107, jest to więc wręcz idealna okazja do użycia *Hawków*. Można je bowiem precyzyjnie zaprogramować. Dlatego sądzę, że powinniśmy zmienić plan ataku.

Antonow zmarszczył brwi – poparcia swego sztabu był pewien, bo nawet Tsuczewski zmienił zdanie, przyznając rację pozostałym. Natomiast Berenson dołączył do nich stosunkowo niedawno, a że był zarówno dobrym pilotem, jak i dowódcą myśliwców o świetnej reputacji, należało liczyć się z jego zdaniem. A okazał się nieprzejednanym zwolennikiem użycia *Hawków*.

– Opracowaliśmy plan, mając na względzie zminimalizowanie strat wśród pańskich lotniskowców, admirale Berenson – odparł Antonow, za wszelką cenę próbując mówić spokojnie. – Naturalnie wśród myśliwców będą straty, ale w naszej ocenie nie powinny one przekroczyć akceptowalnego poziomu, więc...

– Akceptowalnego poziomu! – prychnął Berenson, wprawiając w ciężki szok nawet tych obecnych, którzy się z nim zgadzali, jako że nieuprzejmie jest przerywać starszym stopniem.

A nikt przy zdrowych zmysłach nie przerywał Iwanowi Groźnemu.

Berenson tymczasem spojrział bykiem na Kthaarę, który był jednym z autorów planu, o czym wszyscy wiedzieli, i dodał:

– Może przydałoby się nam ludzkie określenie, jaki jest „akceptowalny poziom strat”, sir!

– Kurwa twoja mać! – eksplodował Antonow.

Fala głosowa zdała się wprawiać w drżenie cały fort orbitalny.

– Kto ci, do kurwy nędzy, powiedział, że to bezpieczne zajęcie?! Liczy się tylko osiągnięcie celu! Ty, ja, my wszyscy jesteśmy spisani na straty. Twoi piloci to rozumieją, a ty nie, ty bezmózgi kretynie!

Antonow zrobił krótką przerwę na złapanie oddechu i dodał, już tylko sycząc:

– Kończyłem kariery większych oficerów za mniejsze tchórzostwo. A za tchórzostwo w obliczu wroga każę rozstrzelać każdego niezależnie od rangi, przysięgam! Jeżeli uważa pan, admirale, że nie może wykonać zadania zgodnie z ustalonym planem, ma pan obowiązek

mnie o tym poinformować, żebym mógł zastąpić pana kimś, kto to zdoła zrobić. Wyraziłem się jasno?

– Absolutnie jasno, sir. – Berenson był blady, ale w przeciwieństwie do większości obecnych nie utracił zdolności mowy. – Pańskie rozkazy zostaną wykonane, sir.

– To dobrze. – Antonow wstał. – Odprawa zakończona. Kapitan Tsuczewski i komandor Kthaara proszę za mną do kabiny!

* * *

Kiedy tylko we trójkę znaleźli się w windzie, Antonow westchnął, wiedząc, na co się zanoszą.

– Któregoś dnia dostanie pan wylewu, Iwanie Nikołajewiczu – zganił go Tsuczewski.

– Wiem. – Antonow machnął ręką, nie kryjąc zmęczenia. – Obiecuję, Pasza, że spróbuję nie dostawać ataków cholery częściej niż to niezbędne. A ty co, mowę ci odebrało? Nie powtórzysz prośby?

Pytanie i słaby uśmiech skierowane były do Kthaary.

Ten odprężył się nieco.

– To raczej niezbyt stosowny czas, sir. Natomiast przyznaję, że winien jestem panu przeprosiny.

Antonow uniósł pytająco brew.

– Teraz zrozumiałem, co miał pan na myśli w czasie naszego pierwszego spotkania – wyjaśnił Kthaara – mówiąc o problemach, które panu sprawię.

– A to! – Antonow na wpół prychnął, na wpół parsknął śmiechem. – Tym się nie przejmuj. Widzisz, Berenson mówił nie tylko o tobie, ale i o mnie.

– Wiem, że niektórzy oficerowie są zdania, że zbyt dobrze rozumie pan moją rasę – odparł powoli Kthaara. – Że rozumie pan ją lepiej, niż człowiek powinien... może mają rację... więc być może jest to idealny czas, by ponowić prośbę!

I uśmiechnął się szeroko.

Antonow jęknął głucho.

– Kthaara, możesz mówić poważnie – wtrącił Tsuczewski, który także przeszedł już z nim na „ty” jakiś czas temu. – Lepiej niż ktokolwiek wiesz, jakie problemy koordynacyjno-dowodcze są związane z operacjami myśliwskimi, a do myśliwca nie upchniesz tłumacza!

– Koordynacja i dowodzenie nie będą problemem, Paaawleee Saaairieewiczu, bo nie zamierzam nikim dowodzić. Wystarczy, jeśli dostanę przydział do dywizjonu, którego dowódca zna Język Języków, żebym mógł się meldować.

Antonow przyjrzał mu się z namysłem i spytał:

– To znaczy, że chcesz wziąć udział w tej bitwie jako zwykły pilot myśliwski? Zdajesz sobie sprawę, o ile więcej szkód spowodowałbyś, będąc w tym czasie na pomoście flagowym? – po czym wziął głęboki wdech i dodał: – Kthaara, nie chciałbym, żebyś to zrobił,

ale muszę ci powiedzieć, że możesz wrócić w tej chwili do domu ze świadomością, że po wielokroć pomściłeś kuzyna. Nie musisz uczestniczyć w bitwie.

– Muszę – odparł Kthaara cicho, choć jego oczy załśniły dzikim błyskiem. – I obaj to wiemy. Jak dotąd jedynie planowałem i organizowałem zabijanie Theban. Sam żadnego nie zabiłem, a dopiero to spełnia honorowe wymogi. I tylko to. Być może jest to nielogiczne... ale honor nie jest kwestią logiki.

Zapadła cisza, po której odezwał się nieco opryskliwie Antonow.

– No dobra, chcesz dać się zabić, twoja sprawa. Z tego co wiem, komandor Takashima nie najgorzej rozumie orioński...

* * *

Pojawienie się pierwszej fali lotniskowców klasy *Pegasus* poinformowało obrońców warpa w QR-107 o rozpoczęciu kolejnego rajdu. Druga fala z lekka ich zaskoczyła, trzecia zaś wprawiła w osłupienie. Spodziewali się bowiem, że poważny atak poprowadzą pancerniki. Jednak Iwan Antonow nadal chronił swoje okręty liniowe.

Admirał Tharana dowodzący siłami broniącymi wylotu z warpa oraz ich wsparciem ogniowym złożonym z piętnastu krążowników liniowych klasy *Ronin* znał swoje obowiązki. Natychmiast wysłał meldunek do dowództwa znajdującego się o prawie pięć i pół godzin świetlnych w głębi systemu, czyli w pobliżu drugiego warpa, a swoim okrętom polecił skupić ogień na lotniskowcach stanowiących główny cel. Zgodnie z opracowywaną taktyką przeciwlotniczą uznano, że myśliwce nie mogące uzupełnić amunicji i paliwa są tylko czasowym zagrożeniem, co było jak najbardziej zgodne z prawdą. Antonow także o tym wiedział, więc zastosował starą taktykę, w której lubowała się oriońska flota, a która dla Theban była całkowitym zaskoczeniem.

Okręty nie mogły wytracić prędkości i stanąć, ale mogły zaraz po starcie myśliwców wykonać ciasny skręt o sto osiemdziesiąt stopni i wlecieć z powrotem w warpa. I tak też zrobiły, zostawiając myśliwce i zaskoczonego przeciwnika. Już w systemie Redwing powtórzyły skręt i połączyły się w pary z krążownikami liniowymi klasy *Scimitar*. I w takiej konfiguracji – na przemian krążownik i lotniskowiec – wróciły do systemu QR-107 akurat na czas, by myśliwce miały gdzie wylądować i uzupełnić rakiety.

Manewr był skomplikowany i wymagał doskonałej koordynacji. W warunkach bitewnych próba realizacji bardzo skomplikowanego planu kończy się zazwyczaj katastrofalnie. Antonowowi powiodło się tylko dzięki długotrwałym ćwiczeniom, które opracował i kontrolował, a które przeprowadził David Berenson. Ten ostatni udowodnił przy tym, że jego sława jest w pełni zasłużona, co z kolei stanowiło jedyny powód, dla którego Antonow go tolerował. W ten sposób Thebanie zostali zmuszeni do obrony przed stale rosnącymi siłami i nim admirał Tharana zarządził odwrót, korzystając z danych mu przez drugiego admirała Jahanaka z uwagi na zwłokę w komunikacji uprawnień, było już za późno.

A im bardziej thebańskie krążowniki się oddalały, tym mniej aktualne informacje o liczbie i klasach okrętów niewiernych wlatujących do systemu mogły przesyłać. Mimo to Antonow przystąpił do kolejnego etapu planu i rozkazał zniknąć wybranym okrętom dopiero, gdy myśliwce przegoniły je poza zasięg sensorów pokładowych.

Wojna radioelektroniczna zawsze stanowiła kluczowy element walk w przestrzeni, jako że przy wchodzących w grę odległościach obserwacja wzrokowa jest bezużyteczna. Zagłuszacze, cele pozorne i inne środki zakłócające odczyt sensorów nazywano w skrócie ECM-ami. ECM-y pierwszej generacji miały za zadanie jedynie utrudnić trafienie w cel, czyli okręt, gdyż sygnatura napędu była promieniowaniem tak silnym, że nie dało się go ukryć. ECM-y drugiej generacji ogłupiały już sensory przeciwnika do tego stopnia, że na przykład pancernik mógł zostać przez nie potraktowany jak ciężki krążownik lub odwrotnie, natomiast nadal nie potrafiły ukryć w całości sygnatury napędu, zwłaszcza przed szerokopasmowymi sensorami aktywnymi. Teraz sytuacja uległa zmianie, gdyż ECM-y trzeciej generacji, choć upiornie kosztowne i zbyt masywne, by dało się je zamontować na mniejszych okrętach, nie tylko posiadały wszystkie funkcje poprzednich urządzeń, ale potrafiły także całkowicie zamaskować elektronicznie jednostkę, na której je zamontowano.

Osiągnięto to, generując specyficzny bąbel siłowy obejmujący okręt i odcinający wszystkie jego emisje, które kierunkowo wysyłano do tyłu. Od strony rufy jednostka była więc jeszcze widoczniejsza niż dotąd, natomiast od dziobu, to jest od strony, którą najczęściej zbliżała się do przeciwnika, nic jej nie zdradzało. Dodatkowo komputery stanowiące część systemu dopasowywały emisje – na przykład magnetyczne – do częstotliwości sensorów przeciwnika i wysyłały sygnały, które dzięki interferencji znosiły możliwość wykrycia. W ten sposób pierwszy raz od kiedy ludzkość przestała polegać wyłącznie na radarze, ponownie dysponowała „niewidzialnymi okrętami”.

Nie był to naturalnie stuprocentowo pewny sposób – aktywne sensory miały około 10-15% szans na odkrycie zamaskowanej jednostki z małej odległości, ale ich zasięg był znacznie mniejszy od zasięgu pasywnych. Zresztą te 10-15% osiągnano w testach, gdy załoga jednostki poszukującej wiedziała, że w pobliżu czai się ukryty okręt. W starciu z wrogiem, który nawet nie podejrzewał istnienia podobnego systemu maskującego, jego skuteczność powinna być znacznie większa.

Osiem lotniskowców klasy *Wolfhound* przestało udawać lekkie krążowniki i zniknęło z ekranów. A następnie zmieniło kurs i z maksymalną szybkością ruszyło w głąb systemu, oskrzydłając cofające się niedobitki obrońców. Nie towarzyszył im żaden okręt eskorty – bezpieczeństwo miało im zapewnić wyłącznie maskowanie elektroniczne pierwszy raz stosowane w warunkach bojowych.

* * *

Drugi admirał Jahanak bawił się piórem świetlnym, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Tharana zbyt długo zwlekał z zarządzeniem odwrotu, przez co poniósł olbrzymie straty. Na szczęście pozostało mu dość jednostek, by w miarę skutecznie obserwować siły przeciwnika. Najmniej ucierpiały krążowniki liniowe, które znajdowały się najdalej. Teraz leciały z maksymalną prędkością ku siłom głównym. A Jahanak mógł tylko trenować cierpliwość, czekając na meldunki.

– Admirał Tharana melduje, że to poważny atak, sir – odezwał się kapitan Yurah po wysłuchaniu kolejnego raportu. – Musiał się wycofać, tracąc warpa z zasięgu sensorów, ale nim to nastąpiło, w systemie znalazło się sześć superdreadnoughtów, dwanaście pancerników, dziewięć krążowników liniowych i ponad tuzin krążowników ciężkich i lekkich. Do tego dziesięć lotniskowców i ponad dwadzieścia niszczycieli. Przeciwnik kieruje się prosto ku nam z szybkością pięciu procent prędkości światła. Jeśli ją utrzyma, dotrze tu za około dziewięćdziesiąt trzy godziny.

– Dziękuję, kapitanie.

Jahanak włączył pióro świetlne i dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że się nim nerwowo bawi. Wyłączył je czym prędzej i schował do kieszeni, zły na siebie, że okazał emocje.

– No cóż, Wasza Świątobliwość – powiedział, obracając się wraz z fotelem do Hinama. – Wygląda na to, że niewierni zdecydowali się w końcu na walną bitwę. Pytanie, czy mamy życzenie stoczyć ją, czy też nie.

Hinam pochylił się ku niemu, nie ukrywając zaniepokojenia i zaskoczenia.

– Przecież w tej kwestii nie ma żadnych wątpliwości! Niewierni mają mniej okrętów, a do tego mniejszych, i nawet ich szatańskiego pochodzenia broń nie może...

Jahanak przestał go słuchać, zachowując wszelkie pozory uwagi, i zaczął analizować sytuację. Przeciwnik na pewno liczył, że myśliwce i rakiety z nowymi głowicami wyrównają dysproporcje w liczbie i tonażu okrętów. Pytanie, iloma myśliwcami dysponował. Dzięki informacjom docierającym ze stoczni, w których badano zdobyte lotniskowce, orientował się z grubsza w stosunku masy lotniskowca do liczby bazujących na nim myśliwców. Tharana meldował jedynie o lekkich lotniskowcach, zbliżonych wielkością do krążownika, czyli takich, jakie napotkali w systemie Redwing. Na dodatek było ich niewiele więcej niż w trakcie tamtej bitwy, co mogło sugerować, że przeciwnik dysponuje ograniczoną liczbą czy to pilotów, czy to samych maszyn.

W świetle wcześniej zdobytych informacji wydawało mu się to mało prawdopodobne, ale należało brać pod uwagę fakt, że przeciwnik stracił w dotychczasowych walkach sporo i wyszkolonych pilotów, i lotniskowców. Na pokładach tych, o których meldował Tharana, nie mogło znajdować się aż tyle myśliwców, by wyrównały siły obu stron. Tym bardziej że teraz nie mogły atakować z zasadzki, a jedynie od czoła, a on dysponował naprawdę dużym zapasem rakiet przeciwlotniczych. Głowice z antimaterią były zupełnie inną kwestią, ale przeciwnik nie miał prawa wiedzieć, że pancerniki klasy *Prophet* zostały zmodernizowane i

także miały na wyposażeniu rakiety dalekiego zasięgu. Podobnie jak pozostałe okręty liniowe, tyle że wyłącznie w zewnętrznych wyrzutniach, co znacznie zwiększało siłę ognia pierwszej salwy. Jeżeli niewierni powtórzą dotychczasową taktykę, rozpoczną ostrzał, pozostając tuż poza granicą maksymalnego skutecznego zasięgu klasycznych rakiet, by zwiększyć celność swych pocisków. A to pozwoli mu zadać im spore straty pierwszą salwą. Kiedy zaś znajdą się w zasięgu dział laserowych...

Z drugiej strony jednakże niewierny, który dowodził w Redwing, nie był głupcem. No ale każdy może paść ofiarą nadmiernej pewności siebie wynikającej z odniesionego zwycięstwa...

Zdał sobie sprawę, że Hinam zrobił przerwę na złapanie oddechu, z czego skorzystał Yurah:

– Jedna sprawa nie daje mi spokoju, sir. Pewna niezgodność w meldunkach z pierwszej fazy bitwy i tych złożonych przez admirała Tharanę w czasie wycofywania się w kwestii liczebności sił przeciwnika. Tharanie zginęło gdzieś kilka lekkich krążowników.

– Wcześniejsze raporty były także sprzeczne w kilku innych sprawach i niekompletne, jak to w zamieszaniu bitewnym bywa – odparł Hinam, nim Jahanak zdążył się odezwać.

Drugi admirał nie zaprotestował jednak, gdyż kapelan miał rację.

– Poza tym niewierni wykorzystują teraz zapewne ECM-y, żeby ogłupić nasze sensory – dodał Hinam i spojrzał na Jahanaka pałającymi oczyma. – Oto pańska godzina, admirałe! Nie można zmarnować szansy, jaką daje Święta Ziemia! Trzeba ją wykorzystać! A Synod przecież nie będzie miał pretensji o niewielkie odstępstwa od generalnej strategii w stosunku do bohatera, który zniszczył główne siły niewiernych!

Jahanak zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, ale wiedział, że ostatnie zdanie było całkowicie zgodne z prawdą. Zwycięstwo stanowiłoby najlepszy dowód słuszności obranej przez niego taktyki, potwierdziłoby także, że Synod się mylił. Nikt naturalnie tak tego nie ujmie, ale wszyscy to rozumieją! Uniósł głowę i powiedział:

– Jak zwykle mądrość Waszej Świątobliwości jest pomocna w podjęciu słusznej decyzji. Kapitanie Yurah, proszę wykonać plan Delta Dwa. Skoro niewierni chcą bitwy, to będą ją mieli.

– Natychmiast przekażę rozkaz na wszystkie okręty, sir! – Oczy kapitana flagowego rozbłyły.

A Jahanak uśmiechnął się lekko, przypominając sobie ich pierwsze spotkanie. Zapal Yuraha dobrze wróżył...

Usiadł wygodniej i obserwował na ekranie taktycznym fotela, jak jego flota zmienia szyk i rusza ku przeciwnikowi. Mieli dość czasu, by wybrać i przećwiczyć najlepszą taktykę podobnego starcia flot i teraz Miecz Świętej Ziemi gotował się do walki z szybkością i sprawnością uzyskanymi dzięki długiej praktyce.

Jedenaście superdreadnoughtów, czternaście pancerników i trzydzieści krążowników liniowych stanowiło siły główne. Krążowników i niszczycieli osłony nawet nie liczył, tyle ich

było w zmasowanych formacjach przeciwlotniczych. Nawet jeśli nieprzyjaciel nie stracił do tej pory żadnego myśliwca, a było to fizyczną niemożliwością, nie mógł mieć ich dość, by wyrównały taką przewagę liczebną. Tym bardziej że załogi i dowódcy jego okrętów wiedzieli już, co potrafią myśliwce oraz jak je skutecznie zwalczać.

Mimo to nie dał się ponieść zbytnej pewności siebie i wybrał plan Delta 2. Zgodnie z jego założeniami bitwa miała rozegrać się na tyle blisko warpa prowadzącego do systemu Parsifal, by jego okręty mogły się tam wycofać, gdyby zaszło coś nieprzewidzianego. Skoro niewierni byli na tyle głupi, że parli do bitwy, dysponując mniejszymi siłami, nie miał nic przeciwko temu, by ich zniszczyć. Jednakże Pierwsza Flota stanowiła zbyt dużą część Miecza Świętej Ziemi, by mógł ryzykować jej utratę.

* * *

Obie floty zbliżały się do siebie wolno, ale nieubłaganie. Natomiast zamaskowane lotniskowce w tym czasie oskrzydliły formację thebańską i wyszły na jej tyły, zajmując pozycję między nią a warpem do systemu Parsifal. Zdążyły zrobić to na tyle wcześnie, by wybrać najdogodniejsze stanowiska, nim walka się rozpoczęła. I gdy obie floty znalazły się w zasięgu maksymalnego skutecznego ognia rakietowego i odpaliły pierwsze salwy, z pokładów ośmiu lotniskowców floty wystartowało 288 myśliwców. Pilotowanych przez 287 ludzi i Kthaarę'zarthana. Zaatakowały one thebańską formację od rufy, czyli z martwej strefy.

* * *

Kthaara czuł prawie idealne spełnienie, gdy jego dywizjon mknął ku rufie thebańskiego superdreadnoughta. Jego kapitan ostrzeżony przez jednostki osłony próbował uniknąć zagrożenia, robiąc gwałtowny skręt, ale w porównaniu do myśliwca okręt liniowy był wręcz niewiarygodnie niezdarly i powolny. Myśliwce bez trudu utrzymywały się za jego rufą, zbliżając się bardziej, niż Kthaara miał nadzieję kiedykolwiek zbliżyć się do wrogiego okrętu liniowego. Skupił się na celowaniu... a zaraz potem cały 509. Dywizjon Myśliwski odpalił rakiety.

Z takiej odległości po prostu nie można było chybić i rufa superdreadnoughta rozkwitła serią nuklearnych eksplozji, które pochłonęły cały napęd. A w słuchawkach wszystkich pilotów 509. Dywizjonu rozległo się przeraźliwe wycie pełne mściwej satysfakcji.

– Trochę ciszej, jeśli można – zaproponował komandor Takashima, gdy dywizjon kończył zwrot.

W jego głosie nie było śladu nagany; najwyraźniej znacznie lepiej rozumiał Język Języków, niż sugerowała to wypowiedź Antonowa.

– Dobra robota – pochwalił. – Teraz wrócimy i... – głos Takashimy nagle umilkł; jego myśliwiec eksplodował, powodując polaryzację lewoburtowych części owiewki myśliwca Kthaary. Gdy widzialność wróciła do normy, za miejscem wybuchu Kthaara zobaczył

thebański lekki krążownik, który w jakiś sposób zdołał zmienić kurs i znaleźć się na tyle blisko, by mieć dywizjon w zasięgu rakiet przeciwlotniczych. Krążownik nadal się zbliżał, co oznaczało, że wkrótce będzie w stanie użyć też burtowych działek laserowych obrony antyrakietowej.

– Unik! – w słuchawkach rozległ się głos młodego porucznika, dotąd zastępcy dowódcy.

Kthaara miał okazję przekonać się wcześniej, że również rozumie on Język Języków, co wykluczało przypadkowy przydział do tej właśnie jednostki. Antonow musiał wcześniej zastanowić się dokładnie, do którego dywizjonu go skierować.

– Wracamy do domu! – polecił porucznik. – Pełen ciąg!

– Kurs prosto na lotniskowiec prowadzi przez strefę najskuteczniejszego ostrzału przeciwlotniczego krążownika, poruczniku Paapaass – Kthaara zareagował odruchowo. – Możemy go ominąć, ale wtedy oddalimy się za bardzo od lotniskowca. Jak wy to mówicie... może ja poprowadzę dywizjon, bo jestem w najdogodniejszej pozycji do...

– Oczywiście, komandorze! – przerwał mu Pappas, nie kryjąc ulgi.

Kthaara poczekał, aż przekaże pozostałym polecenie, po czym wykonał ciasny zwrot, dał pełen ciąg i skierował się prosto ku thebańskiemu krążownikowi, kręcąc równocześnie zwariowaną serię uników. Pozostali piloci trzymali się jego maszyny niczym przyklejeni, powtarzając każdy jego manewr. Był z nich dumny, ale nie tracił czasu na pochwały, bo znaleźli się za blisko okrętu.

Załoga krążownika była dobrze wyszkolona i знаła opowieści weteranów bitwy o Redwing, ale był to jej debiut w starciu z myśliwcami, a na dodatek byli wstrząśnięci tym, co się działo z innymi okrętami. Działka obrony antyrakietowej powinny były zdziśiatkować dywizjon, a tymczasem ich obsługi tak zaskoczył niespodziewany manewr, jak i szybkość, z jaką nastąpiło spotkanie, że ich ogień okazał się zupełnie niecelny. Myśliwce przemknęły wzdłuż burty krążownika, ostrzeliwując ją z działek laserowych, i zniknęły za rufą okrętu, błyskawicznie się od niego oddalając.

Wszystkie.

Kthaara doszedł do wniosku, że zaczyna być za stary na takie ekscesy.

* * *

– Ale gdzie one są? – w głosie Hinama pobrzmiwały nutki hysterii. – Gdzie...

– Cisza! – warknął Jahanak.

Podziałało – nikt nie odnosił się tak do kapelanów, więc Hinama zatkało. Poza nim jednak nikt na pomoście flagowym nie zwrócił na to uwagi – wszyscy byli zbyt zajęci. Jahanak zaś zmusił się do spokojnego wysłuchania lawiny meldunków. Teraz było oczywiste, dlaczego myśliwce z lekkich krążowników wystartowały z takim opóźnieniem. Dotrą do jego okrętów zaraz po ataku tych, które właśnie odlatywały, by uzupełnić amunicję i paliwo na zamaskowanych lotniskowcach, których jak dotąd nie udało się wykryć żadnemu z jego

podkomendnych. Skuteczna walka z myśliwcami wymagała zwartej formacji, a jego flota takiej chwilowo nie utrzymywała w wyniku właśnie zakończonego nalotu. Co prawda zdąży zewrzeć szyk przed rozpoczęciem kolejnego, ale w ten sposób nie będzie w stanie skutecznie szukać zamaskowanych lotniskowców, a równocześnie jego siły będą stanowić dogodniejszy cel dla okrętów liniowych przeciwnika, które pozostawały poza zasięgiem dział, ale rozpoczęły ostrzał raketami wyposażonymi w głowice z antymaterią. Ich większa siła rażenia i dalszy zasięg skutecznie równoważyły większą liczbę wyrzutni, jakimi dysponował.

– Kapitanie Yurah, proszę przekazać na wszystkie okręty rozkaz natychmiastowego oderwania się od przeciwnika i wycofania do systemu Parsifal – polecił spokojnie Jahanak.

Taka możliwość została uwzględniona przy planowaniu bitwy, toteż manewr powinien zostać wykonany sprawnie i szybko.

– Wygląda na to, Wasza Świątobliwość, że osiągnęliśmy minimalny cel, czyli poznaliśmy lepiej siły i możliwości niewiernych – dodał, odwracając się do Hinama, nim ten zdążył się odezwać. – Teraz przeciwnik nabierze nadmiernej pewności siebie, która się na nim zemści, gdy spotka się z naszymi myśliwcami. Możemy więc wycofać się... tak jak planowaliśmy.

Hinam spojrział na niego zdumiony, przeniósł wzrok na ekran z wylistowanymi stratami i uszkodzeniami poszczególnych okrętów, po czym ponownie przyjrzał się Jahanakowi jak wariatowi. Próbował coś powiedzieć, ale mu się nie udało, co Jahanak wykorzystał natychmiast:

– Naturalnie Wasza Świątobliwość pomoże mi wyjaśnić Synodowi prawdziwe powody, dla których zdecydowaliśmy się na tę bitwę, tak jak miało to miejsce w przypadku mojego sztabu. Istotne jest, byśmy przedstawili spójny raport, bo tylko w ten sposób można uniknąć ewentualnych nieporozumień, prawda, Wasza Świątobliwość?

I patrzył mu wymownie w oczy przez naprawdę długą chwilę.

Następnie odwrócił się od spacyfikowanego kapelana i skupił na przebiegu bitwy. Był pewien, że Hinam zrobi, co mu każe, choćby po to by uratować własną skórę. Instykt samozachowawczy wraz z okazjonalnym przypomnieniem, czym jest potomkiem, powinny pozwolić mu uniknąć gniewu Synodu za przegraną bitwę, i to mimo poważnych strat. Na szczęście nie oddalili się zbyt od warpa prowadzącego do systemu Parsifal. Dzięki temu myśliwce z zamaskowanych lotniskowców zdążą przypuścić jeszcze tylko jeden atak, a potem jego okręty będą już bezpieczne.

Naturalnie te, którym uda się przetrwać kolejne spotkanie z myśliwcami.

* * *

Mniejsze i szybsze okręty, w tym lotniskowce Berensona, zbliżyły się już do warpa prowadzącego do Parsifala, gdy bitwa zmieniła się w pościg. A po kilkunastu minutach w łowy na kilka mniejszych okrętów osłony, które znalazły się zbyt daleko warpa, by uciec wraz z głównymi siłami thebańskiej floty.

Nie biorący już w nich udziału Kthaara wysiadł z kutra na pokładzie hangarowym nowego okrętu flagowego Antonowa, superdreadnoughta FNS *Gosainthan*, i zjawił się na pomoście flagowym akurat na czas, by zobaczyć na głównym ekranie łączności przypominające maskę oblicze kontradmirała Berensona i wysłuchać jego pełnego wściekłości meldunku:

– Pański rozkaz został wykonany, sir. Trzy niszczyciele klasy *Shark*: *Shark*, *Hammershead* i *Orca* dokonały tranzytu do systemu Parsifal. Wróciła jedna sonda kurierska. Wiadomość kazałem już przesłać na pański okręt, a zawiera ona między innymi Kody Omega wszystkich trzech niszczycieli, sir!

Antonow przez chwilę przyglądał się w milczeniu ekranowi taktycznemu fotela.

– Tak – powiedział po chwili spokojnie. – A poza tym zawiera też odczyty sensorów dotyczące całej obrony stacjonarnej wyjścia z warpa. Sam pan dowodził na ostatniej odprawie, admirale Berenson, że warunkiem niezbędnym do skutecznego użycia *Hawków* jest dokładna wiedza o tym, co ma stanowić ich cel. Teraz mamy takie informacje. A jak powiedziałem na tej samej odprawie, naprawdę liczy się tylko zwycięstwo.

I zakończył połączenie.

Następnie odwrócił się, przyjrzał przybyszowi i ocenił zwięźle:

– Wyglądasz, jakby ktoś cię przeżuł i wypluł.

Kthaara, który nie zdążył zadbać o swój wygląd, co nieczęsto mu się zdarzało, nie zaprotestował, a zrewanżował się komplementem:

– Ty też.

Antonow co prawda nadal wyglądał niczym opoka, ale tym razem nieco zużyta.

– Widziałem, co wyprawiałeś – ocenił admirał z błyskiem rozbawienia w oczach.

– A ja widziałem, czego dokonałeś! – odparł Kthaara poważnie. – Jesteś bardziej do nas podobny niż Baaaraaanssahn przypuszcza. I dlatego... wiesz, co to takiego przysięga *vilksatha*, prawda?

– Oczywiście, że wiem. To przysięga krwi, dzięki której wojownik staje się członkiem rodu drugiego składającego ją.

– Zgadza się, choć z małą poprawką: dwaj *farshatok Zheerlikou'valkhannaieee*. Z tego co wiem, w tej ceremonii nigdy nie wziął udziału ktoś należący do innej rasy. Ale jak to wy ludzie mawiacie: zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz... Iwanie'zarthanie!

Na kilka sekund Antonow zamarł w bezgłośnym bezruchu. Po czym odrzucił głowę i ryknął śmiechem.

– Cóż... – wykrztusił, łapiąc oddech. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz... Kthaaro Kornazowiczu!

Rozdział XVII

„POTRZEBUJĘ TYCH OKRĘTÓW!”

Warta trapowa wyprężyła się przy wtórze świstu trapowego, a Marines sprezentowali broń, gdy z promu stojącego na pokładzie hangarowym FNS *Gosainthan* wysiadł Howard Anderson.

– Witamy w Redwing, panie ministrze – oznajmił Antonow, podchodząc ku niemu.

Anderson nie zareagował na powitanie. Wpatrywał się długą chwilę w admirała, po czym wskazał laską na jego głowę i spytał:

– Co to jest, do ciężkiej cholery?

– Sądzę, że moja twarz.

– Wiem, że to twoja gęba! – Anderson nie wykazał tym razem poczucia humoru. – Wiesz, o co pytam!

– A, to – Antonow pogładził się po bródce. – Cóż, zawsze zastanawiałem się, jak bym wyglądał z brodą. Jakoś tak wyszło w rozmowie z komandorem Ktharaa’zathranem, że on też jest ciekaw, więc postanowiłem spróbować. Efekt wydaje się zachęcający, nieprawdaż?

– Dawniej nazywano to zarostem kolejowym. Wyglądasz jak bandyta, z którego na początku dwudziestego wieku zrobili bolszewika! – prychnął Anderson.

Po czym spojrzął z niechęcią na sprawcę całego zamieszania. I uznał, że Ktharaa’zarthan wygląda, jakby właśnie zeżarł kanarka.

Naturalnie stosownej wielkości.

* * *

– Cóż – Anderson westchnął i odstawił pustą szklankę na blat. – Gratulacje, Iwanie. Nie muszę ci mówić, czego dokonałeś, bo sam doskonale wiesz.

Stojący przy oknie Antonow wzruszył ramionami.

– Mieliśmy szczęście. A dzięki tobie mieliśmy też broń, by to zrządzenie losu wykorzystać. Ostatnio ulubioną rozrywką we flocie stało się zgadywanie, co nowego wyciągniesz następnym razem z worka z prezentami, Gwiazdorku.

– Proszę, proszę. A nie Dziadku Mrozie? Ech, ginie u ruskich tradycja! No, dobra, tak się

składa, że mam dla ciebie prezencik. Czytałeś raport o działaniu thebańskich dział laserowych?... Czytałeś. I jak cię znam, nie jesteś zachwycony perspektywą detonowania głowic nuklearnych wewnątrz własnego okrętu za każdym razem, kiedy chciałbyś z takowego wystrzelić?

– Nie jestem – przyznał posepnie Antonow. – Ale jeśli nie ma innego wyjścia...

I ponownie wzruszył wymownie ramionami.

– Czy ja mówię, że nie ma? – Anderson przez moment wyglądał na równie zadowolonego z siebie co nie tak dawno Kthaara' zarthan. – Co byś powiedział na działa laserowe o zasięgu równym 75% thebańskich, ale bez żadnych bombek, za to w ilości większej o jakieś 2/3 na każdym okręcie?

– *Boże moj!* – szepnął z nabożnym wręcz szacunkiem Antonow. – Taka broń istnieje?

Howard Anderson uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową.

– No to tym razem Gwiazdor przeszedł samego siebie!

– Tym razem Gwiazdka przeszła samą siebie – poprawił go Anderson. – A konkretnie zawdzięczasz ten prezent kontradmirał Timoszenko. Tuż przed odlotem widziałem próby polowe i dopilnowałem, by dostała zasłużony awans. Gomułka prawie się zapluł, ale musiał zatwierdzić, stary piernik! Co się tyczy mocy, to te są słabsze od thebańskich, ale większa liczba dział na okręcie to równoważy. Już istnieją plany modyfikacji superdreadnoughtów i pancerników. Opóźni to co prawda oddanie do służby nowych jednostek średnio o dwa miesiące, ale sądzę, że uznasz ten poślizg za jak najbardziej uzasadniony.

– Oczywiście – zgodził się z zapalem Antonow. – Tak naprawdę Thebanie mają tylko jedną przewagę taktyczną: właśnie działa laserowe. Jeśli ona zniknie, a atak rozpoczniemy od użycia *Hawków*, nie ma sposobu, by zdołali obronić Parsifal. A jak dotąd jeszcze nie wykorzystaliśmy pełnego zasięgu rakiet, więc są przekonani, że ich najnowsze rakiety dorównują pod tym względem naszym... Tyle że z tego, co powiedziałaś, wynika, że będziemy mieli dość *Hawków* do przeprowadzenia ataku na długo wcześniej, nim dostaniemy wystarczającą liczbę nowych przebrojonych okrętów liniowych. A im dłużej będziemy czekać, tym bardziej oni wzmocnią obronę. Dlaczegoż by nie przebroić w działa laserowe moich okrętów zaraz?

– Myśleliśmy o tym. Ale nawet gdyby wycofywać twoje okręty liniowe do przebrojenia na Galloway's World partiami, oznaczałoby to konieczność przejścia do obrony tu, w QR-107.

Antonow spojrzał na niego zdumiony.

– Oczywiście, że tak. Działa laserowe i *Hawki* umożliwią nam wywalczenie wejścia do systemu Parsifal bez ponoszenia olbrzymich strat, więc bezsensowne byłoby atakowanie, dopóki nie będziemy dysponowali wystarczającą liczbą obu rodzajów uzbrojenia. Poza tym już przeszliśmy tam do obrony. A ruchoma obrona systemu nie posiadającego stałego elementu, do którego nie można dopuścić przeciwnika, na przykład planety, nie wymaga

udziału okrętów liniowych. Obroną dowodzi komandor Berenson, który ma pod swymi rozkazami tak lotniskowce eskortowe, jak i wyposażone w maskowanie lotniskowce floty klasy *Wolfhound*. Dysponuje więc wystarczającą liczbą myśliwców do pokonania każdego kontrataku, jaki wyszedłby z systemu Parsifal. Rozumiesz chyba, że...

– Pewnie, że rozumiem. Skleroza mnie jeszcze na tyle nie dopadła, żebym zapomniał elementarną taktykę. Wspomniałem o tym problemie jedynie z powodu czynników politycznych.

– Czego znowu?! – Antonow spojrzał na niego groźnie. – Jakich znowu czynników politycznych?! Mówimy o decyzji czysto militarnej!

Miał powody do oburzenia, gdyż kolonizacja kosmosu oznaczała między innymi dwie rzeczy, których ludzkość się nauczyła i przestrzegała. Mianowicie niemożność utrzymywania stałej łączności, a co za tym idzie rezygnację z dowodzenia zza biurka. Prawo do podejmowania decyzji militarnych z wyłączeniem zawierania rozejmów i innych podobnie ważkich kwestii mieli admirałowie dowodzący na polu walki, gdyż żadna inna forma nie sprawdzała się. Prawda ta dotarła nawet do polityków.

– Pamiętaj, że cała ta wojna jest nienormalna – przypomniał mu Anderson. – Politycy wrobili nas w nią i cały czas srają po nogach ze strachu. Dlatego sędzę, że gdy zyskamy zdecydowaną przewagę militarną, zrobią się mściwi. Teraz tylko się boją, więc jakiegokolwiek „obrony” mogą napotkać sprzeciw. Możesz mi wierzyć: twierdzą tak na podstawie siedemdziesięciu lat standardowych doświadczeń.

– Których ci absolutnie nie zazdroszczę! – prychnął Antonow, z trudem nad sobą panując. – Chyba nawet tak głupie bydlę jak polityk zrozumie konieczność zwłoki. Z militarnych względów jest to oczywiste, więc jak im wytłumaczysz, powinni pojąć, no nie?

Anderson roześmiał się ponuro.

– Nie ta banda kretynów. A na Waldecku i jego poplecznikach moje wyjaśnienia nie wywrą żadnego wrażenia. Wiesz, że nienawidzi mnie prawie tak jak ja jego.

– Sukinsyn! Więc zwycięstwo i zmniejszenie strat wśród moich ludzi są dla niego mniej ważne od uniknięcia konsekwencji jego własnej głupoty? I tego obsranego półgłówka Sakanamiego?!

– I gdzie się podział twój szacunek dla demokratycznie wybranej władzy? – spytał uprzejmie Anderson.

W odpowiedzi usłyszał bogatą i wygłoszoną z prawdziwym zaangażowaniem wiązaną kunsztownych rosyjskich inwektyw, z których sporej części nie znał. Kiedy Antonow uspokoił się na tyle, by przejść na standardowy angielski, warknął:

– Na poważanie władza musi sobie zasłużyć! To, że jakiś karierowicz kupił sobie głosy czy ogłupił ludzi, nie upoważnia go do oczekiwania szacunku z mojej strony. Demokrację, w której rządzą durnie, może szybko szlag trafić!

– No, tylko bez rosyjskiego nihilizmu! – zaprotestował zaniepokojony Anderson. – Nie

mamy na to czasu!

Antonow odetchnął głęboko.

– Spokojnie, nie będę robił żadnej rewolucji. Ale żeby wykonać otrzymane rozkazy, czyli wygrać tę wojnę, potrzebuję tych okrętów. Będziesz to musiał wytłumaczyć tym złamasom Waldeckowi i Sakanamiemu, i tej durnej cipie Wycliffe! Jeżeli zaatakuję Parsifal bez dział laserowych albo będę musiał czekać na nowe okręty, by zaatakować, poniesiemy takie straty, że faktycznie posrają się na wieść o nich. Ja naprawdę potrzebuję tych okrętów, Howard!

– Cóż, w takim razie trzeba będzie spróbować ci je załatwić, no nie?

* * *

Biało-błękitny krąg rósł w oczach na głównym ekranie wizualnym lekkiego krążownika FNS *Warrior*.

– Wie pan, admirale, że ostatni raz Ziemię widziałam osiem standardowych lat temu? – spytała kapitan starszego cywila siedzącego na stanowisku oficera artyleryjskiego. – Piękny widok, prawda?

– Zaiste piękny. Dziękuję, że pozwoliła mi pani go zobaczyć, komandor Takaharu. Nie oglądałem go z mostka znacznie dłużej niż osiem lat.

– W takim razie, admirale, może zechce pan przejąć stery? – zaproponowała z uśmiechem komandor Helena Takaharu.

Howard Anderson rozpromienił się jak uczeń, ale szybko spowaźniał.

– Dziękuję za propozycję, ale obawiam się, że minęło zbyt wiele czasu. A poza tym już nie jestem admirałem.

– Zawsze pan będzie admirałem, sir – odparła miękko. – A ja byłabym zaszczycona, gdyby się pan zgodził.

Anderson się zaczerwienił, ale tym razem nie czuł śladu rozdrażnienia, jako że w jej głosie nie było wazeliniarstwa czy pochlebstwa. Zawahał się i musiało to być widoczne, ponieważ Takaharu dodała:

– Proszę, sir. I wiem, że mówię w imieniu całej załogi.

– Cóż, w takim razie to ja jestem zaszczycony, kapitan Takaharu – przyznał nieco chrapliwie Anderson.

I podniósł się.

Takaharu również wstała z fotela kapitańskiego.

– Przejmuję stery, ma'am – oznajmił formalnie Anderson.

– Oddaję stery, sir – odparła.

Anderson usiadł w fotelu, a ona zajęła miejsce z prawej strony za jego plecami i uśmiechnęła się szeroko.

– Sternik, proszę przygotować się do wejścia na orbitę – polecił Anderson.

– Aye, aye, panie admirale.

Howard Anderson pogładził poręcz kapitańskiego fotela prawie z rewerencją.

* * *

– To nie wchodzi w grę! – zaprotestowała ostro Irena Wycliffe. – To absolutnie nie wchodzi w grę! Jestem zaskoczona, że admirał Antonow w ogóle mógł zasugerować coś podobnego!

Anderson rozsiadł się wygodniej i rozejrzał powoli po sali konferencyjnej. Kilko ministrów pod jego spojrzeniem zaczęło się kręcić niespokojnie, a najwyraźniej nieszczęśliwy Hamid O'Rourke opuścił wzrok.

– Pani Wycliffe – odezwał się w końcu Howard Anderson. – Jakoś nie bardzo rozumiem, co uprawnia panią do wygłaszania opinii w kwestiach militarnych, skoro jest pani ministrem opieki społecznej?

Wycliffe zarumieniła się i spojrzała wściekle na prezydenta. Wszyscy doskonale wiedzieli, że nie wygłaszała własnych opinii, tylko Periclesa Waldecka, którego popierała naprawdę energicznie. I któremu relacjonowała każde posiedzenie rządu.

– Mogę nie mieć pańskich wieloletnich i zadawnionych, a może przedawnionych, doświadczeń wojskowych, panie Anderson, ale w przebiegu tej wojny orientuję się całkiem dobrze! – odparła. – Admirał Antonow ledwie zdołał utrzymać Redwing, a teraz, kiedy w końcu udało mu się wygnać Theban z systemu, chce osłabić siły, którymi dowodzi. Nawet ja wiem, że Thebanie przystąpią do kontraktaku tak szybko, jak tylko będą w stanie!

– Panie i panowie, to nie jest stosowna okazja do osobistych wycieczek – wtrącił Sakanami, próbując załagodzić sytuację. – Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?

Anderson jedynie prychnął pogardliwie.

Wycliffe zaś spojrzała wrogo i na prezydenta, i na niego.

– Admirał Antonow ma prawo podejmowania wszelkich decyzji taktycznych, w tym także tych dotyczących ruchów i dyslokacji podległych mu okrętów – przypomniał Sakanami. – Nikt tego nie kwestionuje, ale uważam, że mamy prawo wyrażać zaniepokojenie tak radykalnym posunięciem strategicznym. Admirale Brandenburg?

Szef operacji floty był wysoki, siwy i dystyngowany. I choć miał o siedemdziesiąt standardowych lat mniej od Andersona, zdawał się być starszy – być może sprawiał to czarno-srebrny uniform, a być może cechujący go spokój. Od pięciu lat zajmował obecne stanowisko i nauczył się, jak przeżyć w politycznej puszczy. W czasie III wojny międzyplanetarnej dowodził zespołem wydzielonym, toteż nie brak mu było doświadczenia liniowego. Teraz zamyślił się i dopiero po chwili oświadczył:

– Oficer dowodzący ma z zasady lepsze rozeznanie sytuacji i potrzeb danego teatru działań niż kwatery główna. Jak dotąd wszystko wskazuje na to, że admirał Antonow wie, co robi. Naturalnie istnieje szansa kontraktaku, ale jak rozumiem, nie ma on zamiaru wysłać równocześnie do przezbrowienia wszystkich swoich okrętów liniowych. Zgadza się, Howard?

– Nie ma. Po części dlatego, że uświadomiłem mu, w jaką panikę wpadniecie, po części dlatego, że przy takim natężeniu budowy nowych jednostek zdołamy znaleźć miejsce w stoczniach dla około jednej trzeciej jego okrętów. Inne rozwiązanie spowodowałoby poważne opóźnienia w budowie nowych i ogólne zamieszanie. Dlatego Antonow będzie pozbawiony okresowo tylko trzeciej części okrętów liniowych. Reszta będzie gotowa odeprzeć ten hipotetyczny kontratak, gdyby jakimś cudem nastąpił.

– Doprawdy? – zgrzytnęła Wycliffe. – Bo według mnie tak naprawdę będzie to redukcja sił o dwie trzecie, a nie jedną trzecią.

– Jedyne przez kilka tygodni – przyznał spokojnie Anderson. – Jedna trzecia zostanie wycofana na Galloway's World w celu przebrojenia natychmiast. Kiedy termin ukończenia prac będzie się zbliżał, kolejna jedna trzecia sił Antonowa wyruszy w drogę do stoczni i minie się z wracającymi po modernizacji okrętami. Dzięki temu cały proces przebiegnie szybciej. Rzeczywiście przez tych kilka tygodni Druga Flota będzie dysponowała tylko trzydziestoma procentami okrętów liniowych.

– Ale Druga Flota broni nexusa pozbawionego planet i gwiazdy, w którym można toczyć obronę ruchomą, bo nie ma potrzeby bronić wyjścia z warpa – dodał Brandenburg.

– Co nie oznacza, że nie będzie potrzebowała tych okrętów! – oburzyła się Wycliffe. – Panie prezydencie, taka polityka spowoduje wielki niepokój w Zgromadzeniu. Ważni ludzie będą zadawali pytania.

– Niech sobie zadają, wolno im – odparł Anderson, nie kryjąc pogardy.

– Tak? Zaiste doskonały pomysł! Wojny, panie Anderson, nie toczy się tylko na frontach, a wojskowi nie są jedynymi ludźmi zainteresowanymi jej wynikiem.

– Fakt – zgodził się jeszcze pogardliwiej Anderson. – Najbardziej zainteresowani są ci, którzy w nich giną.

Wycliffe podskoczyła niczym spoliczkowana, Anderson zaś dodał spokojnie:

– Fritz już powiedział, że dzięki temu, iż nie musimy bronić planety w QR-107, mamy całą przestrzeń systemową do dyspozycji. To doskonałe miejsce do stoczenia ruchomej walki obronnej, w której liczą się głównie manewrowość i szybkość okrętów. W takiej walce okręty liniowe bardziej przeszkadzają, niż pomagają, bo są najwolniejsze i najmniej zwrotne ze wszystkich. Poza tym admirał Antonow jest przekonany, że ma dość myśliwców by zatrzymać każdy kontratak. Zgadzam się z jego oceną, a ty, Fritz?

– Ja także. Na podstawie raportów, które otrzymałem – zastrzegł się lekko Brandenburg.

– A jeśli chodzi o ocenę przydatności do takiej obrony okrętów liniowych, popieram go całkowicie. Najistotniejsze są lotniskowce i okręty osłony.

– Rozumiem. – Sakanami przetarł palcami blat stołu, jakby spodziewał się znaleźć na nim kurz. – Hamid?

– Jestem... – O'Rourke spojrział na Wycliffe, ale dodał: – Jestem zdania, że admirał Brandenburg ma rację. Okręty liniowe będą miały drugorzędne znaczenie przy ewentualnej

obronie QR-107.

– W takim razie pozostaje druga sprawa. – Wycliffe była równie uparta, co wierna Waldeckowi. – Dlaczego Druga Flota ma bronić QR-107, zamiast jak najszybciej zaatakować system Parsifal i go odbić?

– Dlatego, że taki atak w obecnej sytuacji skończy się masakrą ludzi i okrętów – warknął rozeźlony Brandenburg. – W bitwie o broniony wylot z warpa umocnienia i okręty obrońców znajdują się na starannie wybranych pozycjach umożliwiającym najskuteczniejszy ostrzał. Ich załogi są gotowe do walki i osłonięte przez pola minowe. Atakujący nie dość, że muszą dokonywać tranzytu kolejno, to przez pierwszych kilka sekund nie są zdolni do otwarcia celnego ognia. Zawsze ponoszą więc większe straty w początkowej fazie ataku; jeśli okażą się one zbyt duże, po prostu nie będzie komu go kontynuować. Dlatego Antonow chce wykorzystać wszelkie możliwości, by wyrównać szanse. Działo laserowe strzela poprzez osłony siłowe, działa, którymi w tej chwili dysponują jego okręty, muszą najpierw te osłony przeciążyć. To zasadnicza różnica przy starciu na krótki dystans. Wdarcie się do systemu Parsifal i tak będzie kosztowne. Jeśli spróbujemy teraz, skończy się masakrą. A odpowiedzialność spadnie na rząd, który wyda taki rozkaz, bo Antonow bez niego nie zaatakuje, nie mając przebrojonych okrętów.

– Fritz ma rację, panie prezydencie – dodał Anderson, ignorując Wycliffe, tak jak na to zasługiwała. – Najprawdopodobniej zdołalibyśmy w tej chwili zdobyć system Parsifal, ale Druga Flota zostałaby zmasakrowana. Po przebrojeniu i tak poniesie ciężkie straty, ale nie będą one niewspółmierne do osiągnięć. Owszem, zwłoka może wywołać pytania, ale niewygodne pytania są lepsze od uzasadnionych zarzutów o bezsensowne trwanie okrętów i ludzi w nie przygotowanym natarciu. A należy pamiętać jeszcze o jednym: jeśli Antonow będzie musiał czekać na nowe okręty, atak odbędzie się za rok. W tej chwili Thebanie nie mają myślicieli, ale jeśli damy im rok spokoju, będą mieli. A wtedy oberwiemy jeszcze bardziej.

– Jestem zmuszony zgodzić się z panem Andersonem i admirałem Brandenburgiem – oznajmił niespodziewanie Hamid O'Rourke.

– Dlaczego? – zdumiała się Wycliffe.

Było jasne, że ma na myśli konsekwencje, jakimi grozi mu sprzeciwienie się woli Waldecka, a nie cokolwiek innego.

– Bo mają rację – odparł zdecydowanie O'Rourke. – I to samo powiem na forum Zgromadzenia. Najlepszym sposobem zakończenia tej wojny jest przeprowadzenie zdecydowanych, dobrze przygotowanych ataków. A najskuteczniejszą metodą przeprowadzenia tych ataków jest danie Drugiej Flocie uzbrojenia, którym dysponujemy, a które jest lepsze od dotychczasowego. Admirał Antonow ma całkowitą rację, chcąc przebroić swoje okręty przed uderzeniem na Parsifal, panie prezydencie.

– Doskonale – oznajmił spokojnie Sakanami. – Skoro Szef Operacji Marynarki Federacji,

minister obrony i minister do spraw produkcji wojennej są zgodni, sprawa jest zamknięta. Następnym zagadnieniem, którym należy się zająć, jest kwestia...

Howard Anderson usiadł wygodniej i przestał słuchać. Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Wiedział co prawda, że Brandenburg go poprze, ale nie spodziewał się, że O'Rourke tak szybko przewycięży strach przed zemstą Waldecka. Wyglądało na to, że winien mu był przeprosiny, i postanowił przekazać je przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Osobiście.

Rozdział XVIII

NIE NAJGORSZY... JAK NA PAWIANA

Kabina pionowzlotu była nieporównanie ciaśniejsza od pomostu flagowego, a na dodatek mógł zginąć, gdyby natknęli się na któryś z partyzanckich zespołów przeciwlotniczych, ale wyrwanie się z kwatery głównej warte było niewygód i ryzyka. A przynajmniej tak uważał Lantu, obserwując przyrządy po kolejnym nawrocie. Wiedział, że jego aktywność niepokoiła Fraymaka, ale nie był i nie zamierzał stać się dowódcą od przekładania papierków, a udział od czasu do czasu w akcjach dawał mu złudzenie, że nadal decyduje o własnym losie.

W przeciwieństwie do wielu oficerów floty Lantu był doświadczonym pilotem tak klasycznych odrzutowców, jak i pionowzlotów. Odruchowo jednak zajmował fotel drugiego pilota, świadom, iż ma mniej doświadczenia od latających stale tymi maszynami. Poza tym dawało mu to więcej okazji do rozglądania się, jak choćby teraz, gdy przytknął czoło do wypukłej owiewki i spojrzał w tył, wzdłuż burty. Z drzwi przedziału desantowego sterczała lufa szybkostrzelnego działka, a pod skrzydłami zawieszono zasobniki z pociskami rakietowymi, ale najgroźniejszy był umieszczony w dolnej części kadłuba zestaw szerokopasmowych czujników sprawdzających podczerwień, emisje elektroniczne i anomalie magnetyczne. Sprzężono go z laserowym desygnatorem celu oznaczającym wykryte anomalie, co umożliwiało atak towarzyszącym pionowzlotowi samolotom szturmowym. Tyle że nadzwyczaj rzadko, jako że partyzanci mieli duże doświadczenie, a przekłete drzewa porastające cały rejon praktycznie uniemożliwiały wykrycie ich, jeśli poruszali się w niewielkich grupach. Jedynym skutkiem częstych lotów patrolowych było wymuszenie na nich właśnie tego, by pozostawali w małych grupkach, co powinno utrudnić im skoordynowane ataki na poważne cele.

A przynajmniej Lantu miał taką nadzieję.

Przepełniała go frustracja, bo na dobrą sprawę nie wiedział nawet, czy wygrywa tę walkę. Liczenie zabitych było jakąś metodą, ale partyzanci zdawali się mieć niewyczerpane zasoby rekrutów dzięki Huarkowi i nieopłakiwanemu arcybiskupowi. Zmniejszenie liczby ataków również mogłoby być dobrym znakiem, gdyby nie to, że każdy kolejny był silniejszy i wsparty coraz większą siłą ognia. A ostatnie okazały się na dodatek zasadzkami na zespoły

szybkiego reagowania, które miały uniemożliwić partyzantom ucieczkę z miejsca ataku.

Lantu westchnął ciężko. Planując jihad, źle obliczono siły lądowe potrzebne do skutecznego obsadzenia planet niewiernych. Potem zaś wzrastające straty wśród załóg floty skutecznie uniemożliwiły rozbudowę wojsk lądowych. Na dodatek New New Hebrides, ważne w sferze symbolicznej, militarnie stały się obiektem drugorzędnym, o czym najlepiej świadczył stan garnizonu. Uzupełnienia ledwie wystarczały do wyrównania strat i Fraymak nadal, tak jak na początku, dowodził słabą dywizją. Ciągłe brakowało wojsk i sprzętu, a co za tym idzie – elastyczności działania.

Analiza metod atakowania i działania partyzantów przekonała Lantu, że niewielu z nich jest aktywnych przez cały czas. Potwierdzały to przesłuchania jeńców. Świadomość ta była wprawdzie pocieszająca, ale z braku żołnierzy i tak nie mógł rozszerzyć stref okupacyjnych, a poza nimi partyzanci „rozpływali się” w słabo zaludnionej okolicy. Zresztą nawet w strefach trudno ich było zauważyć, a punkty kontrolne nie mogły istnieć wszędzie. Niemożliwością też było umieszczenie wszystkich ludzi w obozach, co proponował Huark, a to z uwagi na niewystarczającą liczbę strażników. Nie wspominając już o tym, że musiał jakoś wyżywić zarówno mieszkańców, jak i swoich podkomendnych, a rolnictwo na planecie było zbyt rozdrobnione, by sprawdziły się scentralizowane oddziały robocze.

Wiedział, że zadaje partyzantom straty i utrudnia im działania, ale nie miał pojęcia jak bardzo. Z pewnością nie aż tak, by ich powstrzymać, czego najlepszym dowodem był powód obecnego patrolu, czyli zniszczenie obozu New Perth. Szczęśliwie odkąd Manak złagodził zasady reedukacji, nastąpiły tylko dwa ataki na osiedla cywilne – i to była jedyna pozytywna zmiana.

Lantu uśmiechnął się gorzko, świadom ironii losu. Oto polował na partyzantów, chcąc ich pozabijać, by dzięki temu wymóc oszczędzanie więźniów przetrzymywanych przez Inkwizycję. Jeśli Święta Ziemia istnieje, w co zaczynał coraz bardziej wątpić, to z całą pewnością ma złośliwe poczucie humoru.

* * *

Angus MacRory pocił się w nieruchomym i parnym powietrzu, ale nie opuścił lornetki, przez którą przyglądał się uważnie pionowzlotowi. Lornetka była zabytkowa – nie posiadała żadnych elektronicznych wspomagań, jedynie czystą optykę, i dzięki temu była niewykrywalna dla wrogich sensorów. Miał tylko nadzieję, że nikogo z obsługi rakiet przeciwlotniczych nie zaświerzbą palce i nie zdradzi swej pozycji. Pięciu ludzi za pionowzlot wyładowany elektroniką nie było wysoką ceną... jeśli miało się tych ludzi dość.

Opuścił lornetkę i przygryzł sumiastego wąsa. Problem polegał na tym, że jego nie stać było na takie wymiany. Nowe metody operacyjne przeciwnika kosztowały go w ciągu ostatnich dwóch miesięcy 51 zabitych i 20 poważnie rannych. Dla dywizji Marines był to drobniaczek, dla jego sił były to poważne straty. Do tego należało dodać jeszcze ze 40 lżej

rannych, którzy dotarli o własnych siłach do szpitala, zarządzanego przez doktora MacBridge'a i na szczęście umieszczonego w głębokiej jaskini, niewykrywalnej dla wszystkiego, czym dysponowały Pawiany.

Jego ludzie podzieleni na zespoły ogniowe i drużyny nadal mieli przed sobą daleką drogę do bezpiecznych kryjówek, ale zdobyli już takie doświadczenie, że mogliby szkolić formację Marine Raiders, toteż przeciwnik musiałby mieć niesamowite szczęście, by ich wykryć. Dlatego można było uznać rajd za w pełni udany. Tyle tylko że obóz New Perth został obrany za cel właśnie dlatego, że sukces był w tym wypadku nader prawdopodobny, a nie z racji swej ważności. Z postępowania tego całego admirała Lantu, czyli nowego dowódcy Pawianów, wynikało niezbitcie, że miał inne priorytety niż ochrona Kościelnych, zbyt głupich, by potrafili sami zadbać o własną skórę. A to było niepokojące mimo satysfakcji, jaką dawała eliminacja tej najwredniejszej odmiany Pawianów. Lantu nie był idiotą, więc następnym krokiem będzie użycie Kościelnych jako przynęty... o ile już nie zaczął tego robić, bo ten zespół szybkiego reagowania zjawił się naprawdę piorunem.

Angus niechętnie, ale zmuszony był przyznać, że Lantu był dobrym taktykiem. Nim się pojawił, partyzanci mieli inicjatywę, i choć Angus nigdy nie spodziewał się wygrania walki na planecie, zaczął nabierać przekonania, że zdoła tę inicjatywę utrzymać aż do powrotu floty, wymuszając na przeciwniku pozostawanie w obronie. Teraz zmuszony był planować akcje naprawdę ostrożnie i przeprowadzać je na tyle rzadko, że w obrębie stref przeciwnik mógł robić, co chce. A to nie wróżyło dobrze na przyszłość.

Mógł zastąpić zabitych – ochotników nie brakowało, ale nowi potrzebowali wyszkolenia, a wszyscy broni. Ta zabrana Kościelnym z obozu New Perth chwilowo wystarczy, ale na dłuższą metę musi mieć normalny magazyn uzbrojenia. Powinien takowy zdobyć, a Lantu mu to utrudniał. Choć z drugiej strony nie wziął pod uwagę, że Pawiany właśnie odbudowały bazę Maidstone, do której płynęła New Rye... gdyby zdołał odciągnąć oddział szybkiego reagowania stacjonujący w Knightsbridge...

Zmarszczył brwi, myśląc intensywnie. To mogło się udać. Co prawda nie rozwiązałyby problemów równie skutecznie jak zabicie Lantu, ale przynajmniej miałyby broń i amunicję na dłuższy czas...

* * *

Lantu wszedł do gabinetu, powiesił kamizelkę kuloodporną na haku przy drzwiach i uśmiechnął się, nie kryjąc zmęczenia, do Hanat.

– Poszczyściło się? – spytała.

– Czasami skłonny jestem przyznać rację Shamarowi w kwestii diabelskich interwencji – oznajmił z uczuciem.

– Czyli nie poszczyściło się – oceniła, podając mu kubek gorącej *chadan*.

Przyjął go z wdzięcznością i usiadł ciężko w fotelu za biurkiem.

– Nie poszczyściło się – przyznał. – Ten, kto nimi dowodzi, zna się na rzeczy.

– To może być „ta”, a nie „ten”.

– Może. Zazdrosna jesteś?

– Może – powiedziała i parsknęła śmiechem, widząc jego minę. – Nie mam zamiaru prosić cię o broń. Ich kobiety mają odpowiednią posturę, by walczyć, nasze nie. Natomiast są inne rzeczy, które mogę robić równie dobrze jak mężczyzna.

– Fakt – przyznał, dziwnie spokojnie rozważając tę heretycką myśl. – Sądzę, że tak, ale...

– Ale Święta Ziemia oczekuje od swych córek wyłącznie produkowania dzieci, najlepiej synów, i siedzenia w domu – dokończyła gorzko.

– Hanat, mnie możesz mówić takie rzeczy, bo te pokoje sprawdzają codziennie moi specjaliści od podsłuchu – ostrzegł Lantu. – Ale nigdy nie mów tego gdzieś, gdzie Huark mógłby to usłyszeć.

– Wiem – położyła mu na biurku kilka chipów. – Tu są raporty, które chciałeś przeczytać. I pamiętaj, że punktualnie o piętnastej masz spotkanie z kapelanem floty.

Lantu kiwnął głową i sięgnął po pierwszy meldunek.

Hanat zaś skierowała się ku drzwiom, lecz stanęła, słysząc jego pytanie:

– Rzeczywiście są rzeczy, które mogłabyś robić równie dobrze jak mężczyzna. Chciałabyś móc je robić?

– Tak – odpowiedziała, nie odwracając się. – Chciałabym.

Po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

– Ja też bym chciał – mruknął cicho Lantu.

* * *

– ...więc twoi ludzie mają zaatakować bazę paliwową w MacInnis. – Caitrin MacDougall postukała w laminowaną mapę czubkiem bagnetu. – Ostrzelajcie skład z moździerzy, baraki załogi rozwalcie raketami, słowem – zróbcie wystarczające piekło, żeby ściągnąć batalion z Knightsbridge. Potem zakopcie ciężką broń i ruszcie w głąb strefy. Przy odrobinie szczęścia oblawa pójdzie ku góróm i po paru dniach będziecie mogli spokojnie się wycofać. Wszystko jasne czy masz jakieś pytania?

– Jasne, ale nie powiem, żeby mi się podobało. Lepiej uderzyć tu – Tulloch MacAndrew wskazał punkt znajdujący się dalej od Maidstone.

Angus potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Wstrzymali egzekucje, to nie bede atakował ich mieszkań – wyjaśnił.

– To żeś dureń. Represje wstrzymali, ale w obozach dalej mordują.

– Tylko że o siedemdziesiąt procent mniej – wtrąciła Caitrin.

– Wiem i też mnie to cieszy – przyznał Tulloch. – Ale jak długo nas zabijają, będę zabijał ich. Gdzie i jak się da.

– I masz rację – powiedział Angus cicho. – Ale nie dziś, musze pomyśleć.

I tak długo patrzył w oczy Tullocha, aż ten skinał głową.

* * *

Porucznik Darhan skulił się w okopie, słysząc kolejną serię czterech wystrzałów z moździerza. Granaty kalibru 90 milimetrów trafiły w park maszynowy z dokładnością typową dla thebańskiej broni. Ten, kto obsługiwał zdobyczny moździerz, był w tym równie dobry jak on sam. W ostrzale nastąpiła chwila przerwy, gdy obsługa zmieniała magazynek, a po chwili rozległy się kolejne cztery pyknięcia oznaczające następną serię.

Poganie musieli dokładnie rozpoznać bazę – pewnie obserwowali jej budowę, bo ich celność była wręcz niesamowita. Pierwsze dwie wystrzelone przez nich rakiety zniszczyły radiostację i pancerkę dowodzenia wyposażoną w antenę satelitarną. Razem z nią przestał istnieć kapitan Kyhor i obowiązki dowódcy spadły na jego barki. Darhan nie wiedział tego, ale szczerze wątpił, by kapitan przed śmiercią zdążył poinformować dowództwo o ataku. A żaden z radiotelefonów, które pozostały, nie miał odpowiedniego zasięgu, by móc skontaktować się z dowództwem.

Poza tym perymetr obronny był zbyt duży, by mogły go obsadzić dwa plutony stanowiące garnizon bazy, bo wszystkie stanowiska ciężkiej broni zostały zniszczone w kilku pierwszych minutach ataku punktowymi trafieniami. Obsługa ostatniego ciężkiego karabinu maszynowego zdążyła wcześniej skosić grupę saperską niewiernych, zbyt szybko próbującą zrobić przejście w zasiekach, ale to było jej ostatnie osiągnięcie. Zaraz potem bunkier, broń i obsługa zniknęły w serii eksplozji, gdy w fortyfikację trafiły trzy rakiety.

Chwilową ciszę przerwał huk odpalanej rakiety. Darhan ostrożnie wyjrzał nad przedpiersie i dostrzegł pocisk ciągnący za sobą ładunek przedłużony, który opadł na zasieki z drutu kolczastego i dopiero potem eksplodował. Wybuch był na tyle silny, by nie tylko zrobić przejście, ale także spowodować detonację min położonych w pobliżu. Moździerze ponownie otworzyły ogień, ale tym razem wystrzeliły granaty dymne i termiczne, stawiając zasłonę w rejonie świeżo utworzonej przerwy w zasiekach i polu minowym.

– Atak w sektorze alfa! Przerwali zasieki i pole – warknął Darhan do mikrofonu. – Rezerwa do punktu alfa dwa! Natychmiast!

Drużyna będąca jego jedyną rezerwą przebiegła przez pobojuwisko, w jakie zmieniła się baza, tak szybko jak tylko mogła. Darhanowi i tak wydawało się, że mijają wieki – miał świadomość, że jeśli napastnicy pierwsi wedrą się w linie obronne przez wyłom w zasiekach, po prostu wdepczą ich w ziemię.

Niespodziewany silniejszy podmuch wiatru rozwiął zasłonę dymną i Darhan wytrzeszczył oczy, bo ani w przejściu, ani nigdzie w okolicy nie dostrzegł żadnego niewiernego. Nim zdołał otrząsnąć się z szoku, w radiotelefonie rozległ się głos sierżanta Targana:

– Sektor gamma! Atak i włamanie w sektorze gam...

Głos ucichł nagle, za to po przeciwnej stronie bazy rozpętała się strzelanina. Darhan był

już na nogach i gnał na czele zziąanej drużyny rezerwowej ku odcinkowi spowitemu dymem i ogniem. Potknął się o coś i gdy odzyskał równowagę, ujrzał na tle płomieni długonogą sylwetkę. Nacisnął spust pistoletu maszynowego i sylwetka padła. Ale za nią były następne... Coś trafiło go z olbrzymią siłą w kamizelkę kuloodporną i poczuł, że traci grunt pod nogami. Wylądował na plecach, a uderzył w ziemię tak mocno, że stracił oddech, a nad nim stanął niewierny. Wyjątkowo niski i z długimi, czarnymi włosami. Dopiero gdy przyłożył mu bagnet nasadzony na thebański karabin do gardła i warknął, zorientował się, że to kobieta.

– Leż i bez wygłupów, Pawianie jeden!

Posłusznie znieruchomiał, nie wiedząc, co go bardziej boli – poobijane ciało czy świadomość klęski.

* * *

Pułkownik Fraymak podrapał się zaskoczony po brodzie. Baza w MacInnis leżała dalej od gór, niż partyzanci mieli zwyczaj się zapuszczać, a sam atak był dość dziwny... Po krótkim, gwałtownym ostrzale, w wyniku którego zginęła lub została ranna prawie połowa załogi, a skład paliwa podpalony, wycofali się, zamiast ją zająć i, jak to mieli w zwyczaju, ograbić i zniszczyć dokumentnie, wybijając przy okazji wszystkich obrońców. Co takiego skłoniło ich do odwrotu i to przez otwarty teren, jakim otoczona była baza, nie miał pojęcia. Na dodatek zwiadowcy nie natrafili na ich ślad, a niewierni, choć poruszali się pieszo znacznie szybciej od nich, nie byli przecież w stanie dotrzeć do lasu.

– Nadal nic? – spytał.

– Nie, sir – major Wantak potrząsnął głową. – Wysłałem na pomoc jednostkę z New Bern. Powinniśmy ich zauważyć, nim uciekną; to dość głęboko w strefie.

Fraymak znieruchomiał. Coś w słowach zastępcy zwróciło jego uwagę, tylko nie wiedział jeszcze co...

A potem go olśniło.

– Piekło i szatani! – syknął z takim uczuciem, że Wantak aż się cofnął. – To dywersja! Chcieli ściągnąć tam nasze siły! A to oznacza, że...

– Ale... – Wantak urwał, zastanowił się i spytał: – Ale od czego chcieli je odciągnąć, sir? Nie otrzymaliśmy żadnych meldunków o innych atakach.

– Właśnie! – Fraymak pochylił się nad stołem, przesuwając mapę, dopóki nie ukazał się odpowiedni fragment.

Powiększył obraz sektora Knightsbridge.

– Jako pierwsze odciągnęli siły podpułkownika Shemaka... – mruknął do siebie, mrużąc oczy.

W sektorze znajdowało się z dziesięć możliwych celów – od obozów reedukacyjnych po arsenał w Maidstone.

– Proszę połączyć się przez satelitę z każdą jednostką w sektorze Knightsbridge – polecił.

– Chcę dostać od wszystkich kompletny meldunek o sytuacji!

* * *

Porucznik Darhan siedział na ziemi wraz z niedobitkami swego oddziału. Większość niewiernych już odeszła, prowadząc muły i lokalne staghorny używane jako zwierzęta juczne, obciążone bronią i amunicją. Skierowali się ku zadrzewionej dolinie, którą płynęła Rye, a ładunki starannie otulili thebańskimi siatkami maskującymi, które kwatermistrzostwo nie wiedzieć czemu dostarczyło na planetę. Siatki zabezpieczały przed czujnikami termicznymi i magnetycznymi, których niewierni w ogóle nie mieli, a teraz bardzo skutecznie im służyły, ogłupiając czujniki jednostek szybkiego reagowania.

Ostatnia grupa partyzantów otaczała jeńców i Darhan zastanawiał się, dlaczego jeszcze żyje – niewierni nigdy dotąd nie darowali nikomu życia. Fakt, przeważnie atakowali obiekty chronione przez Kościelnych, nie przez armię, ale...

Do grupki jeńców podeszła para niewiernych, więc przestał snuć rozważania o własnej przyszłości. Wiedział, że za chwilę ją pozna. Mężczyzna był duży, wysoki i miał ciemne włosy, a Darhan naoglądał się dość pogan, by wiedzieć, że jest znacznie starszy od towarzyszącej mu wysokiej kobiety. Na kołnierzu jego koszuli widniały wypolerowane, metalowe dystynkcje sierżanta.

– Ty jesteś najstarszy stopniem? – spytał.

Darhan kiwnął głową.

– Dobra. Masz to oddać admirałowi Lantu.

Darhan zamrugnął gwałtownie powiekami, bo to znaczyło, że go jednak nie zabiją.

– Masz!

Mężczyzna wsadził mu w dłoń kopertę i zasalutował z krzywym uśmiechem.

Darhan odruchowo oddał honory.

Niewierny uśmiechnął się nieco naturalniej i machnięciem thebańskiego granatnika dał znak swoim ludziom, by ruszali.

Po kilkudziesięciu sekundach Darhan i jego żołnierze zostali sami.

* * *

Czterdzieści pięć minut później z południa nadleciały pierwsze pododdziały batalionu pułkownika Shemaka.

* * *

– Mogło być gorzej – westchnął Manak. – Przynajmniej nie zmasakrowali jeńców.

– Prawda – zgodził się Lantu, kolejny raz zastanawiając się, czy powiedzieć mu o wiadomości od partyzantów.

Kiedys zrobiłby to zaraz po jej otrzymaniu, ale Manak ostatnimi czasy z dnia na dzień

stawał się coraz bardziej zgorzkniały. Niechęć do używania metod Tanuka walczyła w nim z rosnącym rozczarowaniem i zniecierpliwieniem. Manifestowało się to różnie, jak choćby pełnymi potępiania tyradami przeciwko admirałowi Jahanakowi, natomiast jeden objaw się powtarzał: Manak coraz bardziej usztywniał poglądy. I coraz częściej rozładowywał złość i zdesperowanie na sprawach czysto militarnych, by uniknąć konieczności choćby wspomnienia o doktrynalnych.

– Może rzeczywiście uczą się od nas opanowania – powiedział z namysłem Manak.

– Może. – Lantu złączył dłonie na plecach i dodał: – Mam pewną propozycję, tylko obawiam się, że nie spodoba się ani ojcu Shamarowi, ani pułkownikowi Huarkowi.

– A tym bym się nie przejmował – prychnął Manak, na moment odzyskując dawne poczucie humoru. – Już bardziej wściekli na ciebie nie mogą być.

– W takim razie chciałbym chwilowo wstrzymać egzekucje za herezję.

– Co?! – spytał ostro Manak. – Wiara to nie żarty, mój synu!

– Tu nie chodzi o kwestię wiary – odparł Lantu, starannie dobierając słowa. – Chodzi o to, że mamy podwójny problem. Z jednej strony musimy nawrócić niewiernych na prawdziwą wiarę, z drugiej musimy utrzymać planetę, nie zabijając ich wszystkich, bo nie będzie kogo nawracać, a po to tu przybyliśmy. Dotychczasowe złagodzenie metod inkwizycyjnych wydaje się skutkować zmianą taktyki partyzantów. Praktycznie przestali atakować obiekty cywilne, a teraz nie zabili porucznika Darhana i pozostałych jeńców. Sądzę, że w najbliższej przyszłości flota będzie potrzebowała znacznych uzupełnień, więc nie należy liczyć na poważniejsze wzmocnienie naszych sił. Dlatego należy oszczędzać życie naszych żołnierzy. Sądzę, że można to osiągnąć, zawieszając czasowo egzekucje za herezje. Na ogłoszeniu, że do odwołania niewierni będą karani śmiercią tylko za konkretne naruszenie prawa, powinniśmy naprawdę skorzystać.

– Hmm... – mruknął Manak, myśląc intensywnie.

A Lantu poczuł lodowate zimno. Jeszcze kilka miesięcy temu Manak nie tylko zorientowałby się, o co tak naprawdę mu chodzi, ale pomógłby osiągnąć ten cel. Teraz perspektywa przetrwania bezsensownych mordów w obozach niezbyt mu się podobała. W końcu jednak skinął powoli głową na znak zgody.

– Dobrze, mój synu. Poinformuję ojca Shamara, że z przyczyn czysto militarnych niewierni mogą być rozstrzeliwani tylko za aktywne działania i że to ja będę decydował w każdym przypadku, czy zasłużyli na śmierć. Ale jeżeli terroryści zaczną znów atakować cele niemilitarne, ta decyzja automatycznie przestanie obowiązywać!

Na słowo „terroryści” położył dyskretny, ale i zdecydowany nacisk.

– Myślę, że to rozsądna decyzja, Wasza Świątobliwość.

– Bo masz dobre serce, mój synu – odparł miękko Manak. – Tylko nie pozwól, by ta dobroć przeszkodziła ci w wypełnianiu obowiązków.

Lantu poczuł coś lodowatego maszerującego po kręgosłupie, ale nie dał tego po sobie

poznać. Skłonił się w milczeniu i wyszedł.

* * *

Hanat czekała z niecierpliwością w jego gabinecie. Była jedyną poza nim osobą w garnizonie, która знаła treść wiadomości od partyzantów. Lantu już jakiś czas temu przestał myśleć i mówić o nich jako o terrorystach. Spojrzała na niego z niepokojem, gdy wszedł, lecz nie spytała o nic.

– Zgodził się wstrzymać egzekucje za herezję i deklaracje trwania przy niej – powiedział cicho Lantu.

Hanat wcale się nie odprężyła, słysząc to. Wyglądało wręcz na to, że jeszcze bardziej się spięła.

– Jesteś pewien, że to rozsądne? – spytała.

Objął ją delikatnie jedną ręką.

– Nie jestem – przyznał, starając się, by zabrzmiało to lekko. – Ale jestem pewien, że powinienem zrobić wszystko, by do tego doprowadzić. Poza tym teraz przynajmniej wiemy, kto jest ich przywódcą.

Hanat kiwnęła głową ale nie była uszczęśliwiona.

Lantu przytulił ją mocniej przez chwilę, po czym puścił i siadł za biurkiem. Miał do napisania krótki list, którego treści nie zamierzał powierzać żadnym elektronicznym nośnikom.

* * *

– No, no... – mruknął Angus, wkładając do koperty list dostarczony osobiście przez Tullocha MacAndrew, nadal zaskoczony faktem, że jeszcze żyje.

Po pechowym aresztowaniu w czasie przypadkowej kontroli nie został rozstrzelany, a wykorzystany jako goniec – i wrócił do swoich. Dla Angusa dobór kuriera był dodatkową i zupełnie jasną, choć nie wypowiedzianą wiadomością od Lantu.

– Zgodził się? – spytała Caitrin.

– Ano. I przekonał swojego szefa, żeby zabijać tylko za walkę, jak długo dotrzemy słowa i będziemy atakować tylko cele militarne. I słowem o Kościelnych nie wspominał!

Zebrani ryknęli pełnym satysfakcji śmiechem.

– Myślisz, że serio mówi? – spytał sceptycznie Sean Bulloch.

– Ano, tak myślę – potwierdził poważnie Angus. – Ten Lantu jest odważny i coś mi się widzi, że go dzien zaufania... W sumie całkiem nie najgorszy z niego gość... jak na Pawiana.

Rozdział XIX

„WSZYSCY MUSIMY WYPEŁNIĆ SWÓJ OBOWIĄZEK, ADMIRALE BERENSON”

– Zanim rozpoczniemy – zadudnił Antonow, przyglądając się uważnie zebranym oficerom. – Komandor Trevayne przygotowała uzupełnienie informacji o przeciwniku w oparciu o nowe dane, które uzyskaliśmy w ostatnim czasie. Proszę, komandor Trevayne.

– Dziękuję, sir – odparła nowo awansowana oficer wywiadu, wstając, by referować.

W czasach, gdy wady wzroku nie były jeszcze korygowane biochemicznie, Winnifred Trevayne nosiłaby bez wątpienia okulary zsunięte na czubek nosa, znad których bacznie obserwowałaby słuchaczy, sprawdzając, czy przykładają należyłą wagę do jej słów.

– Jak wszyscy wiecie, Thebanie mają zwyczaj niszczyć swoje okręty, gdy uznają, że mogą one wpaść w nasze ręce. W tych kilku przypadkach, gdy z powodu uszkodzeń nie zdołali tego dokonać, zniszczyli pokładowe systemy komputerowe i popełnili zbiorowe samobójstwo. Dlatego dokładne informacje posiadaliśmy dotąd jedynie o ich fizjologii i anatomii. Poza tym wiedzieliśmy niewiele – że doskonale i powszechnie używają standardowego angielskiego, że ich okręty wywodzą się ze starych ziemskich typów bardzo poważnie zmodyfikowanych i że nazwy tychże to często nazwiska znanych ziemskich postaci historycznych. W ostatniej bitwie wreszcie dopisało nam szczęście. Otóż dywizjon thebańskich niszczycieli odcięty od warpa prowadzącego do systemu Parsifal zdołał uniknąć wykrycia i zniszczenia przez długi czas po zdobyciu przez nas QR-107, ukrywając się nader pomysłowo, czyli przy samym wyjściu z warpa prowadzącego do Redwing. Tam, przyznaję, ich nie szukaliśmy, a oni mogliby jeszcze długo pozostać niezauważeni, gdyby dowódca dywizjonu nie wpadł na pomysł zaatakowania jednego z naszych konwojów. Pomysł był samobójczy, gdyż konwoje zwykle posiadają silną eskortę. Większość thebańskich jednostek została zniszczona w wyniku tego ataku, natomiast jeden zdobyto prawie nieuszkodzony w wyniku szczęśliwego trafienia, które wybiło całą obsadę mostka, powodując równocześnie poważne przeciążenie linii przesyłowych napędu zakończone awaryjnym wyłączeniem reaktora. Proces był automatyczny, a załoga maszynowni zorientowała się za późno, że

Marines dokonali abordażu, by zdążyć uaktywnić ładunek autodestrukcyjny. Rozkazu zniszczenia systemu komputerowego nie było komu wydać. Na specjalne uznanie zasługuje dowodzący abordażem kapitan M'bota, który zaczął od zdobycia maszynowni, ale równocześnie wysłał grupę z zadaniem opanowania bazy danych i banków pamięci. Szybkość działania Marines uniemożliwiła obsłudze ich zniszczenie. Zdołali poczynić pewne spustoszenia, nim zostali zabici, ale tylko w sposób elektroniczny, toteż naszym specjalistom udało się, choć z trudem, odzyskać te skasowane informacje. Nie dysponujemy jeszcze naturalnie kompletnym zestawem danych o przeciwniku, ale wiemy już o nim dużo. Znamy powody, dla których toczy się ta wojna.

To oświadczenie zostało przywitane cichym pomrukiem. Cichym tylko dlatego, że Antonow toczył wściekłym spojrzeniem po obecnych. O zdobyciu niszczyciela wiedzieli wszyscy, ale o uzyskanych dzięki temu informacjach tylko Antonow i szef jego sztabu. Trewayne nie chciała uświadamiać pozostałych, jak długo nie dysponowała na tyle pełnym i spójnym zestawem danych, na ile to było możliwe.

Teraz zaczęła od znanej wszystkim historii wyprawy kolonizacyjnej, która lecąc w czasie I wojny międzyplanetarnej na New New Hebrides, wpadła w zasadzkę w systemie Lorelei, i której niedobitki salwowały się ucieczką przez warpa zwanego Łodzią Charona.

– Teraz wiemy, dlaczego wcześniej nie powróciła żadna jednostka Zwiadu Kartograficznego – zakończyła wstęp i uaktywniła hologram.

Nad stołem pojawiła się mapa systemu Thebes.

– Do systemu prowadzi zamknięty warp, a na dodatek jego wylot zlokalizowany jest w pasie asteroidów – dodała i odczekała spokojnie, aż umilkną pomruki zaskoczenia. – Wiemy, że to anomalia, być może jedyna tego typu we wszechświecie, ale jak widać, ten system jest pełen asteroidów, co jest typowe dla podwójnych układów planetarnych, bowiem przyciąganie drugiej gwiazdy znacznie skuteczniej uniemożliwia powstanie oddalonych od pierwszej planet niż siła grawitacji gazowego giganta. Nie to jest jednak ważne; istotne jest, że wielkie statki kolonizacyjne, z uwagi na toczącą się wojnę zostały wyposażone w stosowne generatory pól wojskowego typu. Dlatego przetrwały spotkanie z asteroidami, które zniszczyły jednostki Zwiadu nie mające tak silnych generatorów, no i znacznie mniejsze.

Widać było, że obecni zaczynają wyciągać wnioski z zasłyszanych rewelacji. Najszybciej szło to admirałowi Berensonowi.

– Chce pani powiedzieć, że to koloniści ziemscy, a raczej ich potomkowie, stoją za tą wojną? – spytał, pochylając się, jakby gotów wziąć się za bary z niewidzialnym przeciwnikiem. – To by tłumaczyło standardowy angielski, podobieństwa w konstrukcji okrętów czy nazwy pochodzące od nazwisk słynnych postaci historycznych... ale co z jednostkami noszącymi imiona ludzi, o których nikt nie słyszał?

– To właśnie one naprowadziły mnie na ślad, panie admirale. One i ciągłe wzmianki o „Aniele Saint-Juście” w materiałach teologicznej natury, którymi napakowane były bazy

danych. Obawiałam się, że będę musiała skorzystać z archiwów na Ziemi, ale okazało się, że te na Redwing posiadają dokładne i kompletne informacje o starych ekspedycjach kolonizacyjnych w tym rejonie. Wykaz uczestników pechowej misji kolonizacyjnej, o której wspomniałam na początku, zawiera wszystkie te nie znane dotąd nazwiska. Oraz informacje o jakimś Aloisie Saint-Juście. Te ostatnie zresztą były najłatwiejsze do odnalezienia, bo człowiek ten wywarł duże wrażenie na wszystkich, którzy go poznali. Wydaje się, że był to ktoś nietuzinkowy. Ksenolog z zawodu, a historyk z zamiłowania. Choć zainteresowań miał dużo więcej, historia stanowiła główne, a szczególnie historia starożytnego Egiptu, stąd nazwa, jaką nadał systemowi. Martwił się też obsesyjnie, że Ziemia przegrywa ten konflikt, co w czasie startu ekspedycji nie było wcale takie absurdalne, jak mogłoby się nam teraz wydawać. Wracając do meritum. Tego, co stało się po dotarciu na powierzchnię planety, możemy jedynie się domyślać, natomiast w religijnym materiale jest tyle odniesień, że przynajmniej w kwestiach podstawowych mamy kilka pewników. Otóż ocalały trzy statki, choć wszystkie doznały poważnych uszkodzeń. Wylądowały na dużej wyspie będącej równocześnie odrębnym państwem, ponieważ społeczeństwo thebańskie znajdowało się wówczas na etapie drugiej rewolucji przemysłowej, acz władze wszystkich państw miały niezdrowe skłonności do wojen religijnych i struktur wyznaniowych na szczeblu przemysłowym. Saint-Just, który został przywódcą rozbitków, zdecydował się złamać edykt z 2097 roku zakazujący ingerowania w naturalny rozwój prymitywniejszych społeczności, i udostępnił wyspiarzom nowoczesną technologię, w tym także militarną. Chodziło mu o jak najszybsze doprowadzenie do zjednoczenia planety i zdobycie sojusznika dla Federacji w walce z Chanatem, co mu się udało. Przynajmniej do pewnego stopnia. Natomiast krótko potem wybuchła wśród ludzi epidemia, najwyraźniej zmutowanego ziemskiego wirusa, którą przeżyli tylko Saint-Just i kilkoro innych. W ten sposób stali się bardziej zależni od wysokich rangą tubylców, a zwłaszcza niejakiego Sumasha, który miał, zdaje się, nietypowo silne ciągoty religijne, nawet jak na thebańskie warunki. I uznał się za głównego ucznia Saint-Justa. Wirus wrócił po paru latach w jeszcze złośliwszej formie i tym razem zabił wszystkich pozostałych przy życiu ludzi. Bazy danych statków kolonizacyjnych musiały zawierać sporo informacji o historii rozmaitych religii ziemskich, bo to widać po teologii, jaką stworzył Sumash. Saint-Just i pozostali ludzie stali się Wysłannikami Boga, którzy przywieźli owoce techniki, ich przeciwnicy zaś, którzy zabili już tak wielu ludzi, diabelskim pomiotem i ucieleśnieniem zła, a przewodził im Szatan-Chan. Saint-Just wyjaśnił im, że to właśnie słudzy Szatana-Chana kontrolują system Lorelei, do którego prowadzi warp, toteż Sumash, zwany Pierwszym Prorokiem, po śmierci Saint-Justa zakazał jakichkolwiek kontaktów międzyplanetarnych, dopóki Thebanie nie będą przygotowani do jihu, czyli wojny religijnej na pełną skalę.

– Którą właśnie niedawno zaczęli – dokończył posępnie Berenson. – Natomiast czegoś tu nie rozumiem: skoro ludzie są jakąś tam odmianą aniołków według tych wierzeń, to dlaczego

Thebanie zaatakowali nas, a nie Chanat?

– Bo po śmierci twórcy religia często ewoluuje w sposób niezgodny z jego wolą, sir. I tak się też stało w tym przypadku. Boga i ludzi zastąpiła Święta Ziemia jako źródło wszelkiej mądrości i dobroci. Ludzie są tylko jej sługami. Dla Theban musiało być szokiem usłyszenie ludzkiego głosu z pokładu oriońskiego okrętu, gdy wreszcie zjawili się w Lorelei gotowi do walki w obronie Świętej Ziemi. Doszli do wniosku, że sprawdziły się najgorsze przewidywania Saint-Justa i jego rasa została czy to podbita zbrojnie, czy to zindoktrynowana przez Szatana-Chana. I zostali sami, jedyne prawdziwe dzieci Świętej Ziemi.

Tym razem pierwszy zrozumiał konsekwencje Tsuczewski.

– Chce pani powiedzieć, że ich celem stało się wyzwolenie Ziemi od ludzkiej rasy, komandor Trevayne?

Trevayne uśmiechnęła się smutno.

– Może nie tyle od ludzi, ile od herezji zaszczerpionej im przez Szatana-Chana, ale w uproszczeniu można powiedzieć, że tak. Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale tak to właśnie wygląda z ich punktu widzenia.

Pełną osłupienia ciszę przerwał dopiero głos Berensona:

– Przecież to absurd! Musieli się do tej pory dowiedzieć, choćby z informacji dostępnych w naszych systemach, które podbili, że to my wygraliśmy pierwszą wojnę międzyplanetarną! I że nigdy nie istniała żadna religia Świętej Ziemi!

– Obawiam się, że nie docenia pan talentu religijnych fanatyków do fałszowania rzeczywistości i znajdowania odpowiadającej im interpretacji faktów, sir – wyjaśniła posepnie Trevayne. – Fakty, o których pan wspomniał, jedynie udowadniają, jak skutecznie Szatan-Chan i pomagający mu zdrajcy rasy ludzkiej sfałszowali historię i usunęli religię z pamięci poprzednich pokoleń, sprowadzając na ludzkość jako taką herezję. Dlatego trzeba najpierw pokonać ludzi i sprowadzić ich ponownie na drogę prawdziwej wiary. Tak brzmi oficjalna, doktrynalna wykładnia wiary thebańskiej na dzień dzisiejszy, panie admirałe!

Bas Antonowa zabrzmiał donośniej, bo tym razem nikt przez dłuższy czas nie zdołał słowa wykrztusić:

– Dziękuję, komandor Trevayne. I gratuluję doskonałej analizy wywiadowczej. Teraz proszę przejść do bardziej nas w tej chwili interesujących informacji, czyli do danych dotyczących obrony systemu Lorelei.

Wszyscy wiedzieli, że Antonow naprawdę rzadko kogoś chwali, toteż słowa uznania pod adresem komandor Trevayne wywarły duże wrażenie.

Największe na niej samej.

– Dziękuję, sir – wykrztusiła, rumieniąc się, i czym prędzej zajęła się holoprojektorem.

Po parunastu sekundach nad stołem pojawiła się mapa Lorelei ukazująca pięć planet i sześć warpów. Cztery z nich prowadziły na obszar Federacji i roiiło się wokół nich od czerwonych symboli. Dopiero wtedy Trevayne zaczęła dalej referować:

– Te dane są nieco przestarzałe, toteż należy przypuszczać, że obecnie obrona została wzmocniona...

I umilkła, widząc reakcję obecnych na to, co zobaczyli.

– To zmienia sytuację – świadczył cicho Antonow. – Obrona jest co najmniej dwukrotnie silniejsza, niż zakładaliśmy. No, ale też robiąc te założenia, nie wiedzieliśmy, jak uprzemysłowiony jest system macierzysty przeciwnika ani jaki fanatyzm kieruje jego działaniami. Dodać do tego należy to, że Lorelei jest ostatnią linią obrony przed tymże macierzystym systemem. Żeby przełamać te umocnienia, musimy zachować w rezerwie jakąś niespodziankę... i dlatego nie użyjemy *Hawków* przed atakiem na Parsifal. Przełamanie obrony warpa należeć będzie do przezbrojonych w działa laserowe okrętów liniowych, a atak nastąpi, gdy będziemy dysponowali stosowną ich liczbą.

W sali kolejny raz zapadła idealna wręcz cisza.

Ton Antonowa nie zachęcał ani do dyskusji, ani do zadawania pytań. Mimo to Berenson powoli wstał. Przez kilka sekund obaj z Antonowem spoglądali sobie w oczy, a napięcie w sali odpraw rosło. Toteż gdy admirał Berenson odezwał się całkiem spokojnie i uprzejmie, większość obecnych odruchowo drgnęła, gdyż wszyscy przygotowali się na burzę.

– Czy mamy rozumieć, że powody, dla których załogi trzech niszczycieli zostały wysłane z samobójczą misją rozpoznawczą do systemu Parsifal, stały się nieaktualne, sir? Inaczej mówiąc, czy załogi te zginęły na darmo?

– Jest to błędne rozumowanie, admirale Berenson – odparł równie spokojnie Antonow: starcie woli obu oficerów osiągnęło poziom, na którym siła głosu nie miała już znaczenia. – Dane zebrane w czasie tego rozpoznania można wykorzystać rozmaicie, nie tylko do zaprogramowania *Hawków*. I zostaną one wykorzystane, gdy zaatakujemy. Te załogi wypełniły swój obowiązek, dostarczając nam bezcennych informacji taktycznych... My wszyscy musimy wypełnić swój obowiązek, admirale Berenson.

– Oczywiście, admirale Antonow. Wypełnię swoje obowiązki, ale wyślę także do admirała Brandenburga raport dotyczący mojej oceny pańskiego dowodzenia tą kampanią. To także jest mój obowiązek.

Obecni wstrzymali oddech, czekając na wybuch.

I ponownie się go nie doczekali. Antonow jedynie przez długą chwilę przyglądał się Berensonowi, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz niechętnego szacunku.

– Zrobi pan, co uzna za stosowne – powiedział wolno i dobitnie. – Ja także, admirale Berenson.

* * *

Miesiąc później admirał Antonow stał na pomoście flagowym superdreadnoughta *Gosainthan* i spoglądał na pobojuwisko, w jakie zmieniło się sąsiedztwo warpa, przez który wlecieli do systemu Parsifal.

Jak na tak zaciętą bitwę wraków i szczątków było niewiele, ale i tak był to widok niezwykley, gdyż po bitwach toczonych w kosmosie z zasady nie pozostają żadne widoczne ślady, toczony są bowiem na duże odległości w jeszcze większych obszarach pustki. W tym wypadku odległości były mniejsze, liczba fortów i okrętów znacznie większa, a walka dopiero co się zakończyła i pozostałości nie miały czasu rozproszyć się po zewnętrznych obszarach przestrzeni systemowej.

Obrońcy przygotowali się na taki atak, jaki nastąpił przy szturmie QR-107, i odpowiednio rozlokowali siły. Najbliżej wylotu warpa rozmieszczono forty uzbrojone w działa laserowe, a dopiero za nimi okręty, tak by mogły jak najskuteczniej wykorzystać pełny zasięg i możliwości rakiet przeciwlotniczych. Forty miały zniszczyć lotniskowce, okręty zaś myśliwce, które zdążą z nich wystartować.

Spotkała ich przykra niespodzianka, gdyż atak poprowadziły nie lotniskowce, ale przebrojone w działa laserowe pancerniki klas *Cobra* i *Thunderer* wsparte przez również przebrojone superdreadnoughty klasy *McKinley*. Doprowadziło to do starcia dwóch flot uzbrojonych w najbardziej niszczycielskie działa w dotychczasowej historii wojen kosmicznych w znanej galaktyce. Przypominało to pojedynek na pistolety maszynowe z odległości dziesięciu kroków. Praktycznie każdy strzał był celny, a przed promieniami laserów z tak małej odległości nic nie stanowiło ochrony. Każdy, kto mógł, użył także rakiet, toteż straty wśród okrętów pierwszej i drugiej fali ataku były olbrzymie. Antonow jednakże przygotował się na to, a fal było w sumie pięć i w końcu przewaga ilościowa dział laserowych jego jednostek przyniosła skutek. Lotniskowce dokonały tranzytu dopiero, gdy forty zostały rozstrzelane. Natychmiast też wypuściły myśliwce i to w zasadzie był koniec bitwy, gdyż Jahanak, mając przeciwko sobie myśliwce i przebrojone okręty liniowe, uznał całkiem rozsądnie, że nie zdoła stawić im czoła, i wycofał się do warpa prowadzącego do Lorelei. Kilka nie całkiem zniszczonych fortów osłaniało ten odwrót.

W pościg ruszyły lotniskowce wraz z osłaniającymi je krążownikami, nie czekając na zniszczenie ostatniego z fortów, jako że nie było takiej potrzeby – okręty liniowe dysponowały aż za dużą siłą ognia, by tego dokonać.

– Wstępne meldunki wskazują, że udało nam się uzyskać nowe dane, sir – zameldowała komandor Trewayne. – Ponieważ są świeże, będziemy w stanie uaktualnić informacje o obronie Lorelei.

– Doskonale – skwitował odruchowo Antonow, nadal przyglądając się pobojuwisku.

Po czym niespodziewanie odwrócił się, uruchomił holoprojektor i gdy pojawiła się holomapa systemu Lorelei, dał znak Ktharze i Tsuchewskiemu, by podeszli do niej.

– Najwięcej fortów skoncentrowali przy wylocie warpa z systemu Parsifal – oświadczył. – I sądzę, że teraz jeszcze wzmocnią jego obronę stałą, a na pewno zostawią tam wszystkie okręty, które zdołają stąd uciec. W końcu to najprostsza i najkrótsza droga do systemu Thebes, więc będą się spodziewali, że tędy właśnie zaatakujemy.

Przerwał i przeprogramował holoprojektor, by ten wyświetlił wszystkie szlaki przez warpy prowadzące z obszaru Federacji do systemu Lorelei. Po czym uaktywnił kursor, podświetlił jeden z nich i wyjaśnił:

– Ale jest też inna trasa: stąd do Sandhurst, potem do New New Hebrides... wyjątkowo kretańska nazwa, tak na marginesie... i dalej do systemu Alfred, a następnie do Lorelei.

Przełączył holoprojektor na mapę Lorelei i dodał:

– Jak widać, warp prowadzący z Alfreda jest najsłabiej broniony.

Ktharaa przyjrzał się holomapie sceptycznie i mruknął:

– Ale zwłoka, jaką spowoduje ten manewr...

– Za to znacznie szybciej wyzwolimy Alfred i New New Hebrides, a w obu systemach są skolonizowane planety – wtrącił Tsuczewski. – I przy okazji odbijemy Danzig, do którego jedyna droga prowadzi z Sandhurst.

– Co? – Antonow przyjrzał mu się zaskoczony. – A, tak. Naturalnie. Ale przede wszystkim zmusimy przeciwnika do zmiany całego systemu obrony Lorelei w związku z nowym kierunkiem naszego ataku. A to spowoduje co prawda wzmocnienie obrony warpa prowadzącego z Alfreda, ale zarazem osłabienie obrony wszystkich pozostałych i znaczne rozśrodkowanie sił w systemie Lorelei. A pamiętać należy, że nie zredukują za bardzo jednostek broniących warpa łączącego Lorelei z Parsifalem, bo nie będą pewni, czy nasze uderzenie przez Sandhurst nie jest operacją mającą odwrócić ich uwagę, a atak właściwy i tak nie nastąpi stąd.

Dyskusja trwała jeszcze jakiś czas, ale sprawa w sumie i tak była już przesądzona.

Zgodnie z podjętymi decyzjami w systemie Parsifal pozostały siły stosowne, by ewentualny zwiad thebański nie wykrył zmiany planów, natomiast większość jednostek Drugiej Floty po dokonaniu niezbędnych napraw udała się do warpa prowadzącego do systemu Sandhurst.

Szczałki po bitwie o Parsifal rozprasały się wolno, ale stale, aż nie pozostało nic, co wskazywałoby, że w ogóle miała miejsce.

Rozdział XX

KOMPLIKACJE

Wylot warpa z Parsifala znajdował się o prawie sześć godzin świetlnych od gwiazdy typu G8 będącej słońcem systemu Sandhurst. Z takiej odległości była widoczna jedynie jako gwiazda pierwszej wielkości, ale Antonowowi i tak wydawała się bardziej daleka.

Był zniecierpliwiony ciągłym przesuwaniem terminu ataku spowodowanym przedłużającymi się naprawami, ale nie okazywał tego, jako że były one konieczne, gdyż w bitwie o Parsifal 2. Flota poniosła naprawdę ciężkie straty i liczył się każdy wyremontowany okręt. Teraz, po pokonaniu słabych umocnień strzegących wylotu z warpa, które zostały zmienione raczej w szczątki niż we wraki, Druga Flota leciała kursem prosto na warpa prowadzącego do New New Hebrides. Znajdował się on po przeciwległej stronie słońca, a ponieważ okręty liniowe rozwijały mniej niż 0,06 prędkości światła, przelot wydawał się straszliwie powolny.

Admirał Berenson miał większe szczęście, gdyż jego lotniskowce podobnie jak ciężkie krążowniki i krążowniki liniowe osłony lecące przed nimi rozwijały większą szybkość. Dodatkową zaletą był fakt, iż trzecia planeta systemu – gazowy gigant prawie zasługujący na miano brązowego karła – znajdowała się na tak odległej pozycji, iż nie komplikowała obliczeń astronawigacyjnych, a pas asteroidów nie znajdował się na kursie, toteż nie stanowił zagrożenia.

Antonow był mimo to w nie najlepszym nastroju – coś go martwiło i niepokoiło, tylko nie bardzo wiedział co. Po okrętach thebańskich nie było śladu, co znaczyło, że nadal znajdowały się w Lorelei, czekając na atak wyprowadzony z Parsifala. Podejrzał, że w Lorelei zapanuje niezła panika, gdy dotrze tam wieść o ataku na Sandhurst i dalej na New New Hebrides. Brak okrętów w Sandhurst świadczył, że atak zaskoczył Theban całkowicie, a jeśli jakież ich okręty dokonałyby tranzytu do systemu, wysłane przez Berensona maszyny zwiadowcze, które minęły już pas asteroidów ostrzegłyby o ich obecności na tyle szybko, by spokojnie zdążył ogłosić alarm bojowy i przyjąć odpowiedni do ugrupowania przeciwnika szyk.

Obserwując na ekranie taktycznym symbole przedstawiające lotniskowce Berensona

docierające do pasa asteroidów, nie mógł jednak oprzeć się niepokojącemu wrażeniu, że powinien być o czymś pamiętać.

A potem przypomniał sobie o czym.

Drugi admirał Jahanak także przyglądał się symbolom taktycznym, tyle że w holoprojeksji na pomoście flagowym krążownika liniowego *Arbela*. Pokazywała ona więcej niż ekran taktyczny Antonowa, gdyż znajdowały się na niej także okręty thebańskie ukryte w gęstym skupisku asteroidów na obrzeżu pasa w pobliżu warpa prowadzącego do New New Hebrides.

Jahanak zmusił się do odprężenia. Od momentu wycofania się z systemu Parsifal sprawy zaczęły się dlań komplikować. Członków Synodu, dotąd jedynie niespokojnych, ogarnęła panika. Prałaci prawie zarzucili mu tchórzostwo. Prawie, bo oficjalnie jeszcze nikt tego nie powiedział. Oficjalnie uznali jego wersję, że nigdy nie chciał walczyć tak daleko od baz zaopatrzeniowych i stoczni remontowych. Nie miał jednak złudzeń – gdyby nie był potomkiem w prostej linii Pierwszego Proroka, nie wyłgałby się tak łatwo. A co gorsza ten argument przestawał ostatnio mieć cudowne działanie.

Jedyną korzyścią płynącą z paniki Synodu było to, że posłuchano jego argumentów i wycofano jednostki stacjonujące bezużytecznie w systemie Manticore. Siły Federacji znajdujące się w układzie Griffin, które te jednostki miały blokować, były tak niewielkie, że nawet gdyby jakimś cudem połączyły się z resztą atakujących, nie miałyby to znaczenia. A w ten sposób obrona Lorelei została wzmocniona.

Dobłą wiadomością było też to, że kończono modernizację zdobywczych lotniskowców na potrzeby Wiernych, a także szkolenie pierwszych dywizjonów myśliwskich Świętej Ziemi. Gdy je dostanie, będzie pewien, że zdoła utrzymać Lorelei, natomiast póki co dysponował wystarczającymi siłami, by podjąć działania opóźniające posuwanie się niewiernych, tak jak chciał tego Synod. Choć właściwie Synod nie chciał czegoś konkretnego; Synod chciał, żeby Jahanak coś zrobił, nie precyzując co.

Ponieważ niewierni nie wpadli w zasadzkę, którą zorganizował przy wylocie warpa prowadzącego z Parsifala, mogło to oznaczać, że nie zamierzali tędy atakować. Mogli wybrać dalszą drogę: Sandhurst-New New Hebrides-Alfred-Lorelei. Stałoby to w sprzeczności z ich własną doktryną taktyczną nakazującą atakować najkrótszą możliwą trasą, ale dowodzący 2. Flotą wydawał się nie znać tej doktryny, sądząc po dotychczas stosowanej taktyce.

A jeśli tak postąpili, mógł opóźnić ich działania i spróbować zmniejszyć liczbę lotniskowców. Wybór systemu Sandhurst na miejsce zasadzki był oczywisty, gdyż nawet gdyby przeciwnik nie wybrał tej trasy, a tylko gromadził siły do ataku na Lorelei z układu Parsifal, gdy natarcie się rozpocznie, okręty z Sandhurst mogłyby uderzyć go od tyłu, wprowadzając prawdziwe zamieszanie, a być może i powodując klęskę.

Dlatego zebrał wszystkie krążowniki liniowe wraz z okrętami osłony i zaczął się w pasie

asteroidów po odkryciu tego skupiska. Był to sprzyjający zbieg okoliczności, wbrew bowiem powszechnemu mniemaniu asteroidy w pasach zwykle wcale nie są gęsto skupione. Fakt, jest ich tam olbrzymia ilość, i jeśli brać pod uwagę całą drobnicę, faktycznie jest tam gęsto, ale jedynie w skupiskach duże znajdują się wystarczająco blisko siebie i w stosownej liczbie, by mogły stanowić maskowanie dla większych sił.

Co prawda Hinam nie był zachwycony, że nie wsparł fortów broniących wylotu z warpa, ale to akurat niewiele by zmieniło poza tym, że straty niewiernych byłyby większe. Tak, ukrył w skupisku wszystkie okręty, bo było na to wystarczająco duże, a równocześnie mógł z nimi utrzymywać normalną łączność, bo było odpowiednio małe. Na dodatek znajdowało się na tyle blisko warpa prowadzącego do New New Hebrides, że mógł w każdej chwili oderwać się od przeciwnika i uciec. A poświęcenie fortów powinno przekonać niewiernych, że w systemie nie ma żadnych innych sił Miecza Świętej Ziemi.

I sądząc po ich zachowaniu, przekonało.

Patrząc na holoprojekcję taktyczną, był tego pewien. Jak i tego, że Święta Ziemia jest z nim. Jego główny cel stanowiły lotniskowce i cel ten sam pchał mu się w ręce, lecąc w dużej odległości od sił głównych, osłaniany jedynie przez niszczyciele. Fakt, przed nimi znajdowała się osłona krążowników, ale te już minęły jego kryjówkę, niczego nie zauważając. A okręty liniowe leciały tak daleko z tyłu, że nie będą mogły wziąć udziału w starciu, które sobie zaplanował.

– Lotniskowce przeciwnika prawie osiągnęły punkt największego zbliżenia, sir – odezwał się kapitan Yurah, którego Jahanak mianował czasowym dowódcą *Arbeli*, nie mając czasu na przyuczenie nowego oficera do funkcji kapitana flagowego.

Jahanak kiwnął głową. Najbardziej zależało mu na lotniskowcach wyposażonych w nowe systemy maskowania czyniące je niewidzialnymi dla sensorów. Oczywiście nie miał pojęcia, które jednostki je posiadają, ale jeśli zdoła zbliżyć się do nich, cały czas mając je w namarach, to nawet jeśli przeciwnik zastosuje maskowanie, operatorzy i komputery taktyczne powinny być w stanie je znaleźć, znając ich poprzednie położenie i kurs. W końcu to była tylko technika, a nie magia, co by załogi nie gadały.

Spojrzał kątem oka na Hinama i powrócił myślami do kłopotów z morale. Kapelan siedział oklapnięty, co od bitwy w QR-107 zdarzało mu się regularnie. Ostatnio nie sprawiał mu kłopotu – nawet protestował bardziej z obowiązku niż z przekonania, ale równocześnie przestał wygłaszać płomienne kazania, które dobrze wpływały na ducha członków załóg. A ci potrzebowali moralnego wsparcia zwłaszcza w takich sytuacjach jak ta. Pozostało mu więc tylko jedno...

– Wasza Świętobliwość, za chwilę zaatakujemy niewiernych. Może dobrze byłoby przemówić do załóg? – spytał, jakby był zdziwiony, że Hinam jeszcze się do tego nie wziął.

Równocześnie spojrzał pytająco na Yuraha, który po sprawdzeniu stanu obciążenia taktycznej sieci łączności skinął głową potwierdzająco. Kierunkowe lasery uniemożliwiały w

praktyce wykrycie transmisji, ale przy zbyt dużej ilości przesyłanych równocześnie wiadomości miały tendencję do korkowania łączności. Teraz sieć, tak jak polecił wcześniej, była prawie wolna.

Tylko że nie spodziewał się, że będzie musiał zachęcać Hinama do wygłoszenia przemowy. Dotychczas kapelan floty nie zawsze myślał wystarczająco szybko, ale małowówności naprawdę nie sposób było mu zarzucić.

Hinam drgnął, a w jego oczach zapłonęło wspomnienie dawnego ognia. Pochylił się, włączył mikrofon i powiedział niskim, zachrypniętym głosem:

– Wojownicy Świętej Ziemi! Wreszcie niewierni zostali wydani na naszą łaskę. Ich zwycięstwa w Redwing i Parsifal oraz plugawy wpływ Szatana-Chana napełniły ich pychą i zgubną pewnością siebie, ale zaprawdę powiadam wam, że puści są jako ten wiatr wobec tych, których przepęlnia prawdziwa wiara!

Zrobił przerwę, w jego oczach pojawił się błysk, a głos stał się dźwięczniejszy, gdy przemówił ponownie:

– Wojownicy, wiemy to, co wiedzieli waleczni i prawi samurajowie w czasach Anioła Saint-Justa: że śmierć lżejsza jest od piórka, obowiązek zaś względem Świętej Ziemi cięższy od góry. Przygotujcie się na ten ciężar ze świadomością, że Ona da wam uświęconą siłę, byście mogli wypełnić swe zadanie w Jej służbie! Albowiem wrogowie i heretycy zbliżają się właśnie do paleniska, które dla nich przygotowaliśmy z Jej pomocą, by oczyścić ich w nim z grzechu herezji. Spotkał was zaszczyt rozpalenia w nim uświęconego ognia! Albowiem zaufała właśnie wam! Dobądźcie oręża i gotujcie się do czynu, bo nadszedł czas, by Miecz Świętej Ziemi pokazał, co potrafi! Naprzód, a zwycięstwo jest wasze!

Ostatnie zdanie Hinam wygłosił z dawną werwą, wiarą i ogniem, a jego oczy pały niczym dwie żółte latarnie, gdy wyłączył mikrofon i znieruchomiał w fotelu.

– Dziękuję, Wasza Świątobliwość. Te słowa były inspiracją dla nas wszystkich – powiedział cicho Jahanak, mając nadzieję, że w ten właśnie sposób odbiorą je załogi.

Po czym skupił uwagę na holoprojeksji taktycznej. Lotniskowce wroga dotarły właśnie do punktu, w którym znalazły się najbliższe jego okrętów.

– Kapitanie Yurah, rozpoczynamy atak! – rozkazał.

Polecenie zostało przekazane natychmiast na pozostałe jednostki.

Teraz miał się przekonać, czy pułapka okaże się równie skuteczna jak ta, którą niewierni zastawili na Lantu w...

* * *

– ...Redwing!

To było to, o czym cały czas próbowała mu przypomnieć podświadomość.

– Kapitanie Chen, ogłosić natychmiast alarm bojowy! – warknął Antonow. – I wywołać admirała Berensona! Trzeba go uprzedzić, że...

Zorientował się za późno – dokładnie w tym momencie na ekranie pojawiły się czerwone symbole wrogich okrętów wylatujące z pasa asteroidów tak blisko lotniskowców Berensona, że miały je w zasięgu dział energetycznych.

A od krążowników osłony dzieliła je prawie minuta świetlna.

* * *

Konradmirał Berenson dostrzegł okręty thebańskie nieco wcześniej, jako że dzieliła go od nich znacznie mniejsza odległość niż Antonowa. I tak były jednak zbyt blisko, by mógł podjąć jakiegokolwiek skuteczne działania. To, co zrobił, było rozpaczliwą próbą zredukowania strat, bo na nic innego nie starczyło już czasu. Ogłosił alarm bojowy i nakazał zmianę kursu z równoczesnym startem alarmowym wszystkich myśliwców.

Lotniskowce ledwie zaczęły zawracać, gdy thebańskie okręty otworzyły ogień.

* * *

– Panie admirale, wygląda na to, że mamy do czynienia z wszystkimi krążownikami liniowymi, jakimi dysponowali w Lorelei Thebanie – zameldował Tsuczewski. – Koncentrują ogień na lotniskowcach, ale zdołali wejść między nie a krążowniki osłony i spychają ocalałe lotniskowce byle dalej od niej. Nasze krążowniki liniowe zmieniły kurs, ale jeszcze nie mają przeciwnika w zasięgu rakiet. Lotniskowce floty w pełnym maskowaniu elektronicznym lecą całą naprzód na miejsce walki, tak jak pan rozkazał, sir.

Antonow kiwnął głową na znak, że rozumie.

Jedyną pociechę stanowił fakt, że trzymał lotniskowce floty wraz z okrętami liniowymi. Berenson miał tylko lotniskowce lekkie i eskortowe, a ponieważ Thebanie nigdy nie widzieli lotniskowców floty, bo te zawsze działały zamaskowane, musieli nabrać przekonania, że to wśród jednostek Berensona znajdują się te posiadające zdolności znikania sensorom. To wyjaśniałoby upór, z jakim starali się dopaść je wszystkie. Atak zaś przypuścili na tyle blisko warpa do New New Hebrides, że nim jego okręty zdołają się zbliżyć, by mieć ich w zasięgu rakiet, przerwą walkę i uciekną. Tyle że nie wiedzieli, jaki jest rzeczywisty maksymalny zasięg jego rakiet...

– Kapitanie Tsuczewski, proszę polecić lotniskowcom floty zbliżyć się jak najbardziej do warpa, nim wyślą myśliwce. Szansa odkrycia jest niewielka, bo przeciwnik wie, że naszych okrętów nie ma za rufą, więc nie będzie dokładnie sprawdzał tego kierunku. Myśliwce mają wystartować niezależnie od tego, gdzie będą lotniskowce, gdy tylko przeciwnik rozpocznie odwrót. Uprzedzając pytanie: nie, Kthaara, nie mamy czasu, więc nie będą w stanie czekać, aż doleczysz czymś na pokład najbliższego. Kapitanie, proszę następnie skontaktować się z konradmirałem Berensonem i przekazać mu, że może użyć rakiet, ujawniając ich prawdziwy maksymalny skuteczny zasięg. Wygląda na to, że tej tajemnicy dłużej nie da się utrzymać.

– Aye, aye, sir – potwierdził Tsuczewski i zajął się wykonaniem rozkazów.

Potwierdzenie od kontradmirała Berensona przyszło praktycznie w tym samym momencie, w którym na ekranie taktycznym zaroilo się od rakiet wystrzelonych przez krążowniki liniowe osłony z odległości pełnych dwudziestu sekund świetlnych.

Jahanak zaklął, słysząc pierwsze meldunki o trafieniach rakietami wystrzelonymi przez krążowniki liniowe wroga z odległości większej, niż wynosił ich maksymalny zasięg. A raczej niż powinien wynosić ich maksymalny zasięg. Odległość była zbyt duża, by ta salwa mogła spowodować poważniejsze uszkodzenia, nie mówiąc już o zniszczeniu któregoś z jego okrętów, chyba że czystym przypadkiem. Natomiast zniweczyła jego plany ostatecznego rozprawienia się z lotniskowcami, gdyż nowa broń (kolejna nowa broń!) znacznie skracala czas, jaki mu pozostał do rozpoczęcia odwrotu. I to nie z uwagi na ostrzał ze strony krążowników, a dlatego że skoro one miały na wyposażeniu nowe rakiety, to musiały je także mieć okręty liniowe sił głównych.

A znalezienie się w zasięgu salw burtowych sił głównych oznaczałoby masakrę jego okrętów.

Jeszcze bardziej niepokojące było to, że żaden z lotniskowców nie zniknął sensorom, mimo że pięć już zostało zniszczonych. Pozostałe powinny użyć systemów maskujących, by uniknąć tego samego losu... gdyby je posiadały.

A to oznaczało, że w pobliżu musiały czaić się inne wrogie lotniskowce. Najprawdopodobniej używające tego maskowania elektronicznego.

– Kapitanie Yurah, przekazać na wszystkie jednostki rozkaz oderwania się od przeciwnika i odwrotu do systemu New New Hebrides! – rozkazał czym prędzej Jahanak.

Z zaskoczonych przez jego krążowniki lotniskowców zdołała wystartować tylko część myśliwców, a i te wyczerpały już zapas rakiet, toteż pościg z ich strony nie był groźny. Podobnie jak starcie artyleryjskie z wrogimi krążownikami liniowymi, gdyż analiza wywiadowcza bitwy o Parsifal wykazywała, że nie zostały one przebrojone w działa laserowe. A od tej pory minęło zbyt mało czasu, by zdążyły przejść tak poważną modernizację. On zaś miał pod rozkazami sporo jednostek klasy *Manzikert* charakteryzującej się dużą liczbą dział energetycznych. Gdyby dowódca wrogich krążowników chciał stoczyć z nim pojedynek artyleryjski, byłby to ostatni błąd w jego życiu.

Niemniej przepelniała go wściekłość – zorganizował doskonałą zasadzkę i udało mu się kompletnie zaskoczyć przeciwnika, a mimo to nie zdołał zniszczyć lotniskowców, których szukał. Ba, nie udało mu się nawet zlikwidować wszystkich pozostałych lotniskowców, bo zabrakło mu czasu. Fakt, żaden nie wyszedł z tego bez szwanku, a sporo przestało istnieć, ale choć zadał przeciwnikowi poważny cios, nie było to całkowite zwycięstwo.

Odruchowo zerknął na Hinama i z trudem opanował grymas pogardy – kapelan floty znów pogrzyżył się w apatii. Całkiem niespodziewanie przypomniał mu się łagodny i wyrozumiały kapłan, który w dzieciństwie opowiadał mu wspaniałe historie i służył pociechą,

gdy zmarł jego pierworodny... Delikatnie położył Hinamowi dłoń na ramieniu i powiedział miękko:

– Nie zostaliśmy pokonani. Zmasakrowaliśmy ich mniejsze lotniskowce, prawie nie ponosząc strat. Teraz musimy się wycofać, tak jak zaplanowaliśmy od początku.

Równocześnie jednak nie mógł się otrząsnąć z przeświadczenia, iż to jak najbardziej zgodne z prawdą stwierdzenie zabrzmiało nieprawdziwie. Zupełnie jakby słowa raz użyte kłamliwie zostały skażone... W rzeczywistości skażone były nie słowa, lecz ci, którzy ich...

Dalsze rozważania przerwał mu dźwięk alarmu zbliżeniowego – chmary wrogich myśliwców zjawiły się nie widzieć skąd, wykryte dopiero, gdy prawie doleciały już do martwych stref ostrzału jego okrętów.

* * *

Nim okręty liniowe Drugiej Floty dotarły na tyle blisko, by móc użyć rakiet, było już po bitwie, a lotniskowce floty zatłoczone były myśliwcami, gdyż oprócz własnych miały też na pokładach niedobitki dywizjonów Berensona, które nie posiadały już macierzystych okrętów. Z jedenastu lotniskowców, którymi kontradmirał Berenson dowodził, ocalały bowiem jedynie cztery, z czego trzy poważnie uszkodzone. Co gorsza mimo większego zasięgu rakiet i niespodziewanego ataku myśliwców przeciwnikowi nie zadano podobnych strat i po raz pierwszy od bitwy o Redwing Thebanie odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Poważnie nadszarpnęły też siły Federacji. Było to bolesne doświadczenie, tym bardziej że nastąpiło po serii sukcesów.

Powodem niewielkiej liczby zniszczonych krążowników liniowych wroga było to, że myśliwce miały czas tylko na jeden atak, a musiały najpierw przebić się przez jednostki osłony, ciężkie krążowniki Federacji zaś z braku dział laserowych musiały ograniczyć się do pojedynku raketowego. W efekcie thebańskie krążowniki i niszczycele ochrony zostały zmasakrowane, ale większość krążowników liniowych uciekła, choć wiele ciągnęło za sobą smugi skryzalizowanego powietrza i znaczyło swą drogę szczątkami.

Kthaara przysłuchujący się toczonej po ucieczce wroga rozmowie Antonowa z Berensonem kolejny raz stwierdził, że zrozumienie skomplikowanych ludzkich emocji i zachowań go przerasta. Obaj sprawiali wrażenie, jakby smakowali klęskę, do której nie byli przyzwyczajeni. Zwłaszcza Antonow, który był prawie zawstydzony.

– Cóż, admirale Berenson, wygląda na to, że ta trasa do Lorelei... niespodziewanie się skomplikowała. – Antonow wyglądał tak, jakby ugryzł robaczywe jabłko. – Wygląda też na to, że nie możemy tak zupełnie swobodnie decydować, gdzie i kiedy użyjemy nowego rodzaju uzbrojenia, jak sądziliśmy. A raczej jak ja sądziłem.

– Na to wygląda, sir – przyznał Berenson.

Jego mina wyraźnie świadczyła o tym, że z trudem powstrzymuje się od słów: „A nie mówiłem!”

– Sądzę, że wszyscy byliśmy za bardzo pewni siebie.

I nie docenialiśmy przeciwnika – dodał.

– Zgadza się – przytaknął ponuro Antonow. – I dlatego musimy z tym skończyć i to od zaraz! Należy założyć, że w systemie Danzig czeka na nas niemiła niespodzianka, a ponieważ nie wiemy, jakie siły przeciwnik tam pozostawił, nie możemy poprzestać na wydzieleniu grupy blokującej warpa do Danzig bez sprawdzenia, jakie siły znajdują się w tym systemie. Mogłoby to nas zbyt drogo kosztować. Dlatego zmieniamy plan: nie będziemy natychmiast atakowali New New Hebrides, by nie dać przeciwnikowi czasu na zorganizowanie sił, lecz udamy się najpierw do warpa prowadzącego do systemu Danzig i dokonamy rozpoznania. I to podejmując wszelkie możliwe kroki na wypadek kontrataku.

– Zgadzam się, sir – przytaknął Berenson. – Wysłać zwiad?

– Tak. I przydzielę panu jako wsparcie lotniskowce floty. Część okrętów liniowych zostanie, by blokować warpa łączącego z New New Hebrides, a reszta ruszy śladem pańskich jednostek – Antonow uśmiechnął się mściwie. – W ten sposób dopilnujemy, by to, co wyleci z systemu Danzig, nie miało już okazji tam wrócić.

– Absolutnie, sir – potwierdził Berenson.

I Kthaara pierwszy raz zobaczył, jak obaj oficerowie uśmiechają się do siebie przyjaźnie.

Rozdział XXI

SAMODZIELNOŚĆ

Hannah Avram siedziała w swoim fotelu na pomoście flagowym nowego okrętu flagowego – krążownika liniowego FNS *Haruna*, sprawdzając ostatnie raporty ze stoczni. Nie mogła wyjść z podziwu (kolejny zresztą raz), gdy dotarło do niej, jakie zmiany zaszły w ostatnich miesiącach w komodorze Richardzie Hazelwoodzie. Można by rzec, że skoro został całkowicie pozbawiony wsparcia ze strony rządu planetarnego, nie miał wyboru i musiał dołączyć do niej, ale byłoby to niesprawiedliwe. Przez dobry miesiąc po jej zamachu stanu (jak z uporem maniaka określał to prezydent Wyszyński) Hazelwood był zamknięty w sobie i nie przejawiał ochoty do współpracy, ale gdy odparto pierwszy atak Theban, nie tracąc ani jednego okrętu, jego podejście zmieniło się radykalnie.

Odparcie drugiego ataku poszło prawie równie dobrze, natomiast trzeci kosztował ich naprawdę drogo. Głównie dlatego, że na samym początku popełniła zbyt wiele błędów, między innymi wahając się zbyt długo, czy wydać rozkaz otwarcia ognia czy nie. Stało się tak, gdyż jako pierwsze w systemie pojawiły się krążowniki liniowe klasy *Kongo*. Z perspektywy czasu zdawało się oczywiste, że były to jednostki zdobyte przez Theban w bitwie o Lorelei, ale nagłe pojawienie się ziemskich okrętów mogło oznaczać przybycie Marynarki Federacji i Hannah zbyt długo łudziła się, że tak właśnie jest. Pozwoliła przeciwnikowi na spokojne namierzenie celów i otwarcie ognia jako pierwszemu.

Drugim równie poważnym błędem było założenie, że Thebanie nie skopiują najcięższych rakiet, skoro wiedzą o ich istnieniu. Zrobili to i wyposażyli swoje okręty w zewnętrzne wyrzutnie, przez co pierwsze salwy prowadzących atak jednostek dosłownie rozstrzelały jej ukochany okręt flagowy *Dunkerque* i ciężko uszkodziły *Kirowa*. Jediną pociechę stanowił fakt, że dwie trzecie załogi flagowca przeżyło. Mimo to utrata okrętu i straty, jakie ponieśli, przybiły ją... a pomógł jej wyjść z dołka nie kto inny jak Dick Hazelwood.

Nadal pamiętała zaskoczenie na twarzy Maguire'a, gdy Hazelwood ją zrugwał. Jak najbardziej uprzejmie, ale też jak najbardziej energicznie. Obwiniła się o wahanie i o podjęcie decyzji, by w pierwszej kolejności budować jednostki innych niż krążowniki liniowe klas, przez co w początkowej fazie bitwy walkę z przeciwnikiem mogły podjąć tylko *Kirow* i

Dunkerque. Dodatkowo pewność, że nadal dysponują przewagą jakości rakiet, spowodowała, że wyrzutnię zewnętrzną kazała załadować wyłącznie klasycznymi rakietami z głowicami nuklearnymi, co przesądziło los *Dunkerque*. Gdyby część stanowiły ECM-y, z pewnością odciągnęłyby większość nadlatujących rakiet, tworząc sieć pozornych celów i zagłuszając emisję własnego okrętu.

Nie poleciła ich załadować, bo była przekonana, że jej okręty znajdują się poza zasięgiem thebańskich rakiet, więc szkoda było jej marnować wyrzutni na rakiety z głowicami do prowadzenia wojny radioelektronicznej. Zapłaciła za to stratami w ludziach i zniszczeniem okrętu flagowego, co nastąpiło, nim wyposażone w rakiety o mniejszym zasięgu jednostki zdołały zbliżyć się na tyle, by otworzyć ogień, a załogi fortów włączyły się do walki. To, że sama przeżyła, wydało jej się szczególnie technicznym nie wartym wzmianki.

Hazelwood miał na całą sprawę znacznie obiektywniejsze spojrzenie. Nie kwestionował tego, że popełniła błędy, ale uświadomił jej, że to wyłącznie dzięki jej uporowi tak poważnie wzmocniono pola minowe, co okazało się decydującym czynnikiem w tej bitwie. Od chwili jej przybycia liczba postawionych wokół wylotu z warpa min wzrosła czterokrotnie i choć w samym wylocie nie można było ich umieścić, bo uniemożliwiały to prawa fizyki, gęstość pól przeszkodziła Thebanom w szybkim wykorzystaniu pierwszego sukcesu i locie w głąb systemu. Ich jednostki skupione wokół warpa były też niezdolne do wykonywania skutecznych uników, a skoncentrowanie uwagi i ognia na krążownikach liniowych pozwoliło załogom fortów na pełne uaktywnienie systemów obronnych, nim same otworzyły ogień do dokładnie namierzonych celów.

W efekcie zniszczono osiem krążowników liniowych, cztery ciężkie i sześć lekkich krążowników wroga, tracąc *Dunkerque*, *Atago* i dwa niszczyciele. Oprócz tego *Kirow* i dwa forty zostały poważnie uszkodzone. W połączeniu z faktem, że przeciwnik się wycofał, było to najczystszej wody zwycięstwo według wszelkich możliwych standardów, co Hazelwood jej dobitnie powiedział.

I miał rację, a ona była mu za te słowa wdzięczna. Podobnie jak za energię połączoną ze skutecznością, które wykazał na nowym stanowisku. Powinien był dostać przydział nie do Fortress Command, ale do którejś ze stoczni orbitalnych albo do działu konstrukcyjnego floty. Wyglądało bowiem na to, że znalazł się w swoim żywiole, nie wspominając już o tym, że dużą, acz starannie ukrywaną satysfakcję sprawiło mu wzięcie do galopu i za mordę Wiktora Tokarowa i jego koleżków. Ponieważ miał okazję dokładnie poznać tak układy ekonomiczne, jak przemysłowe, posiadał informacje o możliwościach praktycznych, szwindlach i innych szczegółach, dzięki którym wymuszał współdziałanie na pełną skalę.

Zostali przyjaciółmi; nie uwierzyłaby, że to możliwe, w dniu, w którym go poznała.

Skończyła ostatni raport i odetchnęła z ulgą. Oprócz *Haruny* w pełni sprawne i gotowe do walki były także siostrzane: *Hiei*, *Repulse* i *Alaska*, a *Von der Tann* powinien do nich dołączyć za miesiąc. Co prawda żałowała, że nie ma prawdziwych okrętów liniowych, jako że

każdy thebański atak był silniejszy od poprzedniego, więc pancernik albo dwa przydałyby się w roli wsparcia, ale możliwości miała ograniczone. Już decyzja o budowie krążowników liniowych oznaczała wstrzymanie budowy innych jednostek i stanowiła spore ryzyko. Gdyby zachciało jej się pancernika, stan ten trwałby znacznie dłużej i byłby jeszcze groźniejszy.

I tak zdołała wcześniej zbudować całkiem sporo mniejszych okrętów osłony. Jej siły trudno było nazwać równomiernie rozwiniętą flotą, ale dobrze dostosowała je do potrzeb, czyli do obrony jednego jedyne warpa istniejącego w systemie planetarnym. Miała ponad trzydzieści niszczycieli uzbrojonych do walk na bliski dystans i wyposażonych w słabsze generatory pól oraz znacznie grubsze opancerzenie, niż komukolwiek przyszłoby do głowy przed zetknięciem się z thebańskimi laserami. A także czternaście lotniskowców eskortowych klasy *Sand Fly*, których parametry i dane taktyczno-techniczne ustalił właśnie Dick Hazelwood.

Każdy był niewiele większy od niszczyciela, dlatego też możliwa była ich szybka budowa. Można by powiedzieć, że były to zmodernizowane lotniskowce klasy *Pegasus*. Dzięki temu, że dało się je szybko budować i że w fortach stacjonowało kilka dywizjonów obrony systemowej, udało się na czas stworzyć i wyszkolić pilotów oraz wyprodukować ponad trzysta myśliwców przed trzecim atakiem. Okazało się w pewnym momencie, że mają więcej maszyn niż miejsc na pokładach lotniskowców i fortów. Rozwiązanie znalazł Danny Maguire. Zaadaptował mianowicie taktykę rigeliańską z III wojny międzyplanetarnej i nadliczbowe maszyny rozmieścił na barkach rozstawionych od orbity planety do miejsca stacjonowania lotniskowców. W razie potrzeby mogły z nich dotrzeć do lotniskowców, których myśliwce już by walczyły, tam zostałyby uzbrojone i wystartowałyby, gdy stale bazujące na lotniskowcach wracałyby po ataku uzupełnić amunicję i paliwo. Nim by to nastąpiło, wykonałyby atak i wróciły na lotniskowce, których organiczne maszyny wystartowałyby do kolejnego nalotu. I tak w kółko.

Wymagało to oczywiście starannej koordynacji i olbrzymiego wysiłku ze strony obsługi pokładowej lotniskowców, ale ćwiczenia pokazały, że jest to wykonalne, a znacznie zwiększało liczebność myśliwców możliwych do natychmiastowego wykorzystania.

Westchnęła i przeczesła palcami włosy. Dick rządził stoczniami, kapitan Tinker dowodził fortami, a Bill Yan zastępował ją w razie potrzeby w dowodzeniu okrętami. Dzięki temu mogła od czasu do czasu zająć się sprawami cywilnymi. Nieocenioną pomocą była dla niej komandor Richenda Bandaranaike, która okazała się genialnym, pomysłowym i nader złośliwym prawnikiem. Ponad połowę spraw Hannah załatwiała po wysłuchaniu lub przeczytaniu jej rekomendacji, które w praktyce stanowiły gotowe rozwiązania. Dla Wyszyńskiego i Tokarowa kontakt z Raichendą musiał być niesamowitym przeżyciem, gdyż nie dość, że spełniała wszystkie prawie życzenia Hannah, to na dodatek dla każdego z nich potrafiła znaleźć wiarygodne uzasadnienie prawne.

Hannah od początku obawiała się problemów z brakiem ludzi, jako że populacja systemu

Danzig nie była bardzo liczna, a stały rozwój floty powodował ciągłą konieczność znajdowania załóg dla nowych okrętów. Pod tym względem jednak ludzie przyjemnie ją zaskoczyli. Podejrzała, że ile pieniędzy by Tokarow nie wpompował w następne wybory, defetystyczny rząd Wyszyńskiego będzie miał nikłe szanse na reelekcję. Mimo ciągłych protestów i zaczynania każdej rozmowy od skargi na jej „nielegalne przejęcie władzy” Wyszyński współpracował z nią, bo musiał, a społeczeństwo nie podzielało jego stanowiska. Najlepiej świadczyło o tym to, iż ochotników do służby zgłaszało się więcej, niż było potrzeba i niż można było wyszkolić.

Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek, a potem nacisnęła klawisz interkomu i poprosiła stewarda o następny kubek kawy. Robiło się późno. Niezależnie od pomocy podkomendnych doba zawsze była zbyt krótka, by wszystko załatwić. Przejęcie pełni obowiązków militarnych i cywilnych związanych z rządzeniem całym systemem planetarnym okazało się znacznie bardziej męczące i pracochłonne, niż podejrzewała. Momentami miała wręcz nadzieję, że Zgromadzenie i Admiralicja uznają, że działała samowolnie i bezprawnie, bo kiedy ją za to skażą, będzie mogła wreszcie wypaść się do woli. A potem już regularnie sypiać przez więcej niż sześć godzin bez żadnych przerw.

Odebrała od stewarda kubek, sięgnęła po kolejny raport...

I podskoczyła, klnąc, gdy gorąca kawa wylała jej się na kurtkę mundurową. Był to efekt uboczny wywołany przez przenikliwe wycie alarmu bojowego. Odstawiła kubek w uchwyt i obróciła się wraz z fotelem ku głównemu ekranowi taktycznemu.

Kody przy symbolach jej jednostek zmieniały się błyskawicznie, świadcząc o dobrym poziomie wyszkolenia załóg zajmujących stanowiska, ale nie na tym skupiła uwagę, lecz na symbolach jednostek, które właśnie opuściły warpa. Podobnie jak poprzednim razem atak prowadziły zdobyczne okręty – konkretnie sześć niszczycieli klasy *Shark*.

– Dan, przełącz miny na sterowanie ręczne! – poleciła.

Jeśli Thebanie zdołali uruchomić transpondery z oryginalnymi kodami identyfikacyjnymi okrętów, miny nie zareagują automatycznie na ich obecność, uznając je za własne okręty. Sterowanie ręczne zapobiegało takim niespodziankom.

– Aye, aye, ma’am. Jest sterowanie ręczne.

– Doskonale.

– Komandorze Maguire, jeśli pozostaną poza zasięgiem min, wykończymy ich raketami. Nie ma sensu tracić myśliwców czy ryzykować uszkodzenia naszych okrętów, zmniejszając dystans.

– Rozumiem, ma’am – potwierdził Maguire i dodał po paru sekundach: – Mamy stałe namiary celów, ma’am.

– W takim razie proszę otworzyć ogień – poleciła spokojnie Hannah.

* * *

Kapitan Georgette Meuller dowodząca 19. Eskadrą Niszczycieli przyglądała się z niedowierzaniem głównemu ekranowi taktycznemu. Podobnie jak pozostali oficerowie i członkowie załóg 19. Eskadry zdawała sobie sprawę, że wysłano ją z misją samobójczą. Oczywiście zawsze istniała szansa całkowitego zaskoczenia obrońców, dzięki czemu udałoby się uciec i nie posłużyć im za ruchomy cel, ale była to szansa czysto teoretyczna. A w każdym innym wypadku do Sandhurst powinny dotrzeć jedynie informacje wywiadowcze, po które wysłano jej okręty. I Kody Omega oznaczające ich zniszczenie.

Rozumiała konieczność takiej formy rozpoznania i spodziewała się, że zginie. Ale nie spodziewała się tego, co właśnie zobaczyła.

W pobliżu wylotu z warpa znajdowało się kilkadziesiąt okrętów... wszystkie miały sygnatury napędów i emisje pasujące do jednostek Marynarki Federacji. Nawet wszystkie forty były na miejscu! Nie mogła uwierzyć własnym oczom – Danzig był odcięty przez dwadzieścia pięć standardowych miesięcy, a wcześniej stacjonowało w nim tylko pół tuzina niszczycieli jako mobilne wsparcie fortów na wypadek ataku. Skąd więc na litość boską wzięły się te wszystkie pozostałe okręty?!

Z osłupienia wyrwał ją głos oficera artyleryjskiego:

– Krążowniki liniowe wzięły nas w namiar, ma'am!

Georgette obróciła się wraz z fotelem ku oficerowi łącznościowemu i poleciła:

– Ron, wywołaj natychmiast tego, kto tam dowodzi! Nadawaj otwartym tekstem!

Nim ten zdążył wykonać polecenie, rozległ się wstrząśnięty głos oficera artyleryjskiego:

– Odpalili rakiety!

* * *

– Pierwsza salwa odpalona, ma'am – zameldował komandor Maguire. – Dotrze do celu za dwadzieścia pięć sekund.

Hannah mruknieniem potwierdziła, że słyszy, z satysfakcją obserwując ekran taktyczny. Durnie powinni być mądrzejsi i nie próbować drugi raz manewru, który nie udał się za pierwszym razem. A skoro spróbowali, zapłacą za to życiem.

– Odbieram wezwanie na awaryjnej częstotliwości, ma'am! – zameldował oficer łącznościowy.

Hannah skinęła głową – Thebanie dawno już udowodnili, że potrafią nieźle podszywać się pod ludzi, zwłaszcza używając wyłącznie łączności głosowej. Gdyby w ten sposób zdołali oszukać obrońców, mieliby czas na dokończenie zbierania danych, po które przylecieli, i spokojne wystrzelenie kapsułek kurierskich zawierających kompletne informacje o systemie obrony. Dla następnych fal ataku byłyby one bezcenne.

– Co to za wezwanie? – spytała prawie bez śladu ciekawości.

– Do wstrzymania ognia, ma'am. Twierdzą, że należą do Marynarki Federacji, a wezwanie jest od kapitan Meuller

– Co?! – Hannah dosłownie wyskoczyła z fotela i długim susem przeskoczyła stanowisko Maguire’a, lądując na ugiętych nogach obok konsoli łączności.

Szarpnięciem obróciła ekran i spojrzała na twarz swej najlepszej przyjaciółki z akademii.

* * *

Georgette Meuller wiedziała, że jest martwa. Rakiet było zbyt dużo, by obrona antyrakietowa mogła sobie z nimi poradzić, a ona nie miała już czasu, by przekonać tego, który je odpalił, że strzela do swoich.

– Obrona antyrakietowa, ognia! – poleciła chrapliwie i przygryzła wargę.

Tu i tam rakietka zniknęła w rozbłysku eksplozji przechwycona przez antyrakietę, ale działo się to zbyt rzadko, by mogło uratować jej okręty. Nieco więcej przestało istnieć, gdy odezwały się sprzężone działka laserowe, ale i tak większość leciała dalej.

A potem, gdy rakiety znalazły się sto kilometrów od jej okrętów, ekrany wizualne spolaryzowały się od oślepiającego rozbłysku, gdy ponad osiemdziesiąt pocisków uległo równoczesnej autodestrukcji.

* * *

Kuter kapitański krążownika liniowego *Haruna* dokończył cumowanie, zewnętrzne drzwi śluzy otworzyły się i po rampie zeszła smukła niewiasta w uniformie Marynarki Federacji z dystynkcjami komodora. Rozbrzmiał świst trapowy, warta okrętowa zamarła w pozycji zasadniczej, a Hannah Avram oddała honory banderze wiszącej na ścianie pokładu hangarowego. Po czym odwróciła się i zaszalutowała krępemu kapitanowi, który na nią czekał. Nigdy nie spotkała Tsuczewskiego, ale rozmawiała z nim przed przylotem. Teraz, opuszczając dłoń, ponownie zaczęła się niepokoić. Nieobecność Antonowa i jego milczenie od momentu odebrania jej raportu nie wróżyły najlepiej.

– Komodor Avram – powitał ją neutralnym tonem Tsuczewski. – Admirał Antonow byłby zobowiązany, gdyby dołączyła pani do niego i jego sztabu w sali odpraw. Jeśli pani pozwoli, pokażę drogę.

Hannah skinęła głową i ruszyła krok za nim, za wszelką cenę starając się zachować obojętny wyraz twarzy. Przy okazji gryzła się w język; odpowiedzi na nurtujące ją pytania i tak szybko pozna. Być może nawet zbyt szybko. Tym niemniej nie miała ochoty zdradzać, jak niecierpliwie ich oczekuje.

Podróż windą nie była długa i upłynęła w całkowitym milczeniu. Po kilkunastu krokach Tsuczewski otworzył drzwi i odsunął się, puszczając ją przodem, jako że miała wyższy stopień. A przynajmniej póki co jeszcze go miała. Jak długo to potrwa, trudno było wyczuć; choć nigdy nie spotkała admirała Antonowa, znała jego reputację i nie zdziwiłaby się, gdyby zarezerwował sobie prawo do egzekucji.

Iwan Antonow uniósł głowę, gdy stanęła przed stołem konferencyjnym z czapką pod

pachą i zameldowała się przepisowo:

– Komodor Avram melduje się na rozkaz, sir!

Kiwnął głową, przyglądając się jej uważnie.

I po raz pierwszy od ponad dwóch lat przypomniała sobie, jak uzyskała prawo do dystynkcji, które nosiła. Miała też dość czasu, by przyjrzeć się zarówno jemu, jak i siedzącym obok. Z jednej strony była to ciemnoskóra komandor, a z drugiej... wojownik orioński. Omal niestosownie nie wybałuszyła oczu.

Z trudem oderwała wzrok od kociambra i wbiła go w Antonowa, zastanawiając się, jaka też będzie jego reakcja, bo ani z zachowania, ani z wyrazu twarzy nie dało się nic wyczytać. Podobnie jak z lakonicznego rozkazu stawienia się na pokładzie okrętu flagowego, który nadszedł krótko po wysłaniu przez nią raportu o tym, co zaszło przez ostatnich dwadzieścia pięć miesięcy standardowych w systemie Danzig. Nie wróżyło to najlepiej, bo choć Antonow słynął ze skłonności do łamania zasad, znany był także z bezwzględności.

Stojąc teraz przed nim, przekonała się empirycznie, dlaczego nazywany jest Iwanem Groźnym.

– Komodor Avram, zdaje sobie pani sprawę, jak niewiele brakowało, by zabiła pani tysiąc dwustu członków załóg Marynarki Federacji? – spytał chłodno Antonow.

– Zdaję sobie sprawę, sir – odparła, wbijając wzrok w ścianę nad jego głową.

– Byłoby rozsądne w przyszłości dokładniej sprawdzać, do kogo pani strzela.

– Tak, sir – potwierdziła, bo co innego miała powiedzieć.

W raporcie dokładnie wyjaśniła powody tak szybkiego otwarcia ognia, toteż komentarz był niesprawiedliwy. A poza tym jeszcze jej się gorąco robiło, gdy przypominała sobie, jak niewiele brakowało, by zabiła Georgette i wszystkich wchodzących w skład jej eskadry.

– Sądzę jednak, że w tym przypadku możemy przejść do porządku dziennego nad tym incydentem – dodał Antonow. – Ja na przykład nie wziąłem zupełnie pod uwagę możliwości, że Danzig nadal pozostaje w naszych rękach. Gdybym o takiej ewentualności pomyślał, wysłałbym kapsuły kurierskie zamiast niszczycieli i całe to niefortunne zdarzenie w ogóle nie miałyby miejsca. Wróćmy więc do rzeczy ważniejszych, czyli do pani innych poczynań. Sądzę, że przyzna pani, że było dość nietypowym posunięciem zastąpienie w dowodzeniu starszego stopniem oficera, prawda? No, ale nigdy go też pani nie poinformowała o tym drobnym szczególe, zgadza się?

Ponieważ Hannah nie odpowiedziała, Antonow uśmiechnął się lekko i dodał:

– No, a poza tym jest jeszcze fascynujący wręcz sposób, w jaki bezprecedensowo zinterpretowała pani prawo. Ten, kto pani doradzał w kwestiach prawnych, musi być pomysłową osobą.

– Biorę pełną odpowiedzialność za to, co zrobiłam, sir. Komandor Bandaranaike wypełniała jedynie moje rozkazy.

– Rozumiem. I to samo naturalnie dotyczy całego personelu floty i wszystkich Marines,

którzy pomagali pani w pozbawieniu władzy rządu planetarnego? Rządu, rządku, który tak na marginesie już zażądał oskarżenia pani o bunt, zdradę, niesubordynację, zawłaszczenie prywatnej własności i wszystko inne poza śmieceniem i włóczęgostwem.

– Zgadza się, sir. Wszyscy postępowali dokładnie w myśl wydanych im przeze mnie rozkazów, w przekonaniu, że mam prawo takie rozkazy wydawać, sir.

– Czy pani naprawdę spodziewa się, że uwierzę, że żaden z pani oficerów i nikt z załogi nigdy nie podejrzewał, że przekroczyła pani swoje uprawnienia? Że nikt pozostający pod pani dowództwem nie wiedział, że komodor Hazelwood ma dłuższe od pani starszeństwo, więc automatycznie jest wyższy rangą?

– Wiedzieli tylko to, co... – Hannah urwała i po paru sekundach dokończyła, starannie dobierając słowa: – Nigdy nie poinformowałam żadnego z moich podkomendnych, w jakich okolicznościach otrzymałam awans na komodora. Żaden z moich oficerów nie miał więc powodu kwestionować mojego postępowania. Nie wiem, co myśleli, ale przez cały czas działali zgodnie z regulaminem i zasadami służby stosownymi do swojej wiedzy o sytuacji, sir. Niezależnie od ostatecznego werdyktu dotyczącego moich działań uczciwa ocena postępowania moich podkomendnych musi wykazać, iż zachowywali się bez zarzutu.

– Doceniam pani wysiłki, by ich chronić, pani komodor, ale niewiarygodne jest, że nawet członkowie pani sztabu nie znali prawdy i nie wiedzieli, że działa pani całkowicie samodzielnie i samowolnie – oznajmił jeszcze dobitniej Antonow.

Hannah zaskoczona jego tonem opuściła wzrok, spoglądając na jego twarz, i zamarła, widząc na niej szeroki i pełen szczerej radości uśmiech.

– Co oznacza, kontradmirał Avram, że należy im się uznanie za to, że posłuchali głosu rozsądku, gdy go usłyszeli – zadudnił ciepło Antonow. – Dobra robota, ba: doskonała robota, admirał Avram!

I złapał jej dłoń w swoją masywną łapę, popierając słowa silnym uściskiem.

Rozdział XXII

GONIEC BIJE KRÓLOWĄ

Angus MacRory maszerował przez zimną mgłę, klnąc cicho i z uczuciem. W brzuchu mu burczało i choć mgła skutecznie chroniła przed sensorami Pawianów, wilgoć powodowała, że ścieżka stała się śliska. A on od dziesięciu godzin nic nie jadł.

Idąca przed nim Caitrin potknęła się, ale zdołała odzyskać równowagę i ruszyła w dalszą drogę. Angus przygryzł wargę – to był kolejny powód do niepokoju... Zły otarł pot i skroploną mgłę z twarzy, nie zwalniając kroku.

Była zima, a flota nie wróciła. Od jeńców wiedzieli, że ich flota też nie jest w dobrej kondycji, ale to akurat nie miało wpływu na ich sytuację. A sprawa była prosta – jeśli Marynarka Federacji szybko nie odbije systemu, to na New Hebrides nie będzie partyzantki, by ją powitać, gdy w końcu przybędzie.

Zaklął jeszcze energiczniej niż dotąd. Samego siebie nie mógł oszukać. Lantu wreszcie wygrywał, a pogoda mu sprzyjała. Systemowe słońce było gwiazdą typu F7 i znajdowało się w odległości prawie siedemnastu minut świetlnych od planety, przez co rok trwał półtora raza dłużej niż rok marsjański, a średnia temperatura była niższa. Śniegu i lodu było w zimie niewiele, ale zimna wilgoć otępiiała zarówno fizycznie, jak i psychicznie. A co gorsza olbrzymie dęby flagowe w tym czasie prawie kompletnie traciły liście, co w połączeniu z chłodem powodowało poważny wzrost skuteczności czujników termicznych.

Ale Lantu zawdzięczał sukcesy nie tylko pogodzie, co Angus musiał mu oddać. Najpierw zdusił ruch oporu na Scotii, teraz robił to na Hibernii, a potem przyjdzie kolej na Aberdeen. Pawian był wyjątkowo systematyczny.

I umiał cholernik myśleć.

Pierwszą oznaką kłopotów było wycinanie drzew przez brygady przymusowych robotników osłanianych przez silne oddziały wojskowe wzdłuż granic stref okupowanych. Dzięki temu obrońcy zyskali czyste, szerokie pola ostrzału. Początkowo partyzanci nie przejęli się tym – przeciwnik miał niewiele ciężkiego sprzętu, a roślinność była gęsta i rosła szybko. Zaczęli się przejmować, gdy wzdłuż wycinek rozpylono ściągnięte z macierzystej planety defolianty. Środka nie żałowano, maszyny latały nisko i w krótkim czasie wszystkie

drzewa straciły większość liści.

Przecinki nadal można było przekraczać, ale stało się to znacznie groźniejsze – średnio jeden oddział na dziewięć zostawał spostrzeżony i albo w całości, albo w części wybity. Straty osiągnęły poziom, którego partyzanci na dłuższą metę nie byli w stanie wytrzymać.

A to był dopiero początek. Następnie zmieniono rozmieszczenie sił szybkiego reagowania i przydzielono każdemu batalionowi większy obszar do pilnowania. Stało się to możliwe dzięki tym właśnie oczyszczonym z roślinności strefom ostrzału. Uzyskane w ten sposób rezerwy Lantu przewiózł na Scotię, podwajając liczebność stacjonujących tam wojsk, i rozpoczął regularną ofensywę. Dzięki takiej przewadze w ludziach, sprzęcie i satelitach szpiegowskich kolejno zdobywał bazy partyzantów, spychając ich coraz dalej i dalej. Poniósł przy tym ciężkie straty, bo nie ustępowali łatwo, ale w końcu jedna czwarta uciekła na Aberdeen, a reszta albo zginęła, albo dostała się do niewoli, albo zaprzestała walki. Najwięcej zostało zabitych.

Teraz na skutek zimy Pawiany wykryły jego własną bazę numer jeden. A jak wykryły, no to i zniszczyły. Co prawda jego zespoły przeciwlotnicze straciły imponującą liczbę helikopterów i samolotów, a ludzi zginęło niewiele, ale stracili kryjówkę i naprawdę solidne zapasy broni i amunicji. Potem wykryta została baza numer 3, ale oddział szturmowy zauważono na tyle wcześnie, że udało się ewakuować wszystkich ludzi i prawie całe wyposażenie.

Tyle że to nie mogło za długo trwać.

Na początku Pawiany miały szczęście, jeśli udało im się zaskoczyć jakiś oddział partyzantów. Teraz Lantu przejął inicjatywę, wykorzystując przewagę liczebną i sprzętową, a Angus na tyle poznał jego metody, by wiedzieć, że na tym nie poprzestanie.

* * *

– Kolejny obóz partyzancki zniszczony, sir – pułkownik Fraymak podszedł do mapy i wbił chorągiewkę w sektor górski. – Zwiad donosi, że zabiliśmy trzydzieści procent obecnych i zdobyliśmy większość zapasów. Z przesłuchania jeńców wynika, że wśród zabitych może być Claiborne.

– Tak? – Lantu z namysłem potarł podbródek.

Duncan Claiborne był odpowiednikiem Angusa MacRory'ego na Hibernii. Jeśli zginął w tym ataku, powinno to poważnie dezorganizować lokalną partyzantkę.

– Tak jest, sir – Fraymak odłożył hełm i podszedł do mapy, wskazując palcem łańcuch górski. – Możemy przesunąć satelitę na ten obszar? Nie zdołali spalić wszystkich dokumentów. Z lektury tych, które zdobyliśmy, wnosimy, że w tym rejonie jest coś naprawdę ważnego.

– Sądzę, że możemy. – Lantu podszedł do niego i przyjrzał się mapie. – Albo zlecimy to niszczycielowi. Kilka jest na orbicie parkingowej, więc wystarczy, jeśli jeden zejdzie niżej i

sprawdzi sensorami pokładowymi ten teren.

– Jeżeli tak, to w tym tygodniu powinniśmy zlikwidować jeszcze jeden obóz, sir. A wtedy być może do końca miesiąca udałoby się zakończyć całą operację na Hibernii.

– Byłoby to prawdziwe osiągnięcie – pochwalił Lantu, starając się, by zabrzmiało to autentycznie.

Zadowolony z tego mógł być bowiem tylko jako zawodowiec – znalazł skuteczny sposób, udowadniając tym samym, jak niewiele warta była jatka uznawana przez Huarka za strategię antypartyzancką. Ale nie czuł żadnej radości z tego, co robił.

I tak naprawdę te sukcesy były dlań bez znaczenia.

Teraz już świadomie unikał Manaka. Wiedział, że tamtemu jest przykro, ale kapelan floty znał go zbyt dobrze i dlatego mimo że sam coraz bardziej umacniał się w wierze, odcinając się od rzeczywistości, jaką była perspektywa nieuchronnej klęski, zauważyłby, że jego podopieczny przestał być osobą wierzącą.

Nie pierwszy raz Lantu przeklinał własny upór i nadmiar uczciwości. Gdyby nie uparł się przy dążeniu do poznania prawdy, życie byłoby prostsze i przyjemniejsze, a przede wszystkim nadal nie bałby się Inkwizycji.

Ponieważ jednak był, jaki był, nie mógł zatrzymać się w pół drogi, podobnie jak nie mógł pozwolić swoim okrętom zginąć bez sensu w Redwing. Postępował ostrożnie i miał nadzieję, że nikt niczego nie podejrzewa, ale sprawdził naprawdę dokładnie biblioteki, archiwa i bazy danych planety. I porównał dane historyczne tam znalezione z obowiązującą wersją głoszoną przez Kościół Świętej Ziemi.

I znalazł drastyczne różnice, by nie rzec sprzeczności.

Prawdę zaś mówiąc znalazł kłamstwa.

I obojętne jak próbował, nie potrafił przekonać samego siebie, że to ludzie kłamali.

* * *

Caitrin dorzuciła do ogniska i oparła się z ulgą o ścianę jaskini. Była zmęczona. Angus mógł jedynie objąć ją delikatnie. Wiedział, że nigdy nie przyznałaby się do strachu czy wyczerpania, ale czuł, że się boi i jest u kresu wytrzymałości. I znał powody tego stanu rzeczy. A powodem była jego własna głupota i nieostrożność – jakby działalność partyzancka powodowała mało problemów, musiał jeszcze postarać się, żeby jego oficer wywiadowczy i najbliższa współpracownica zaszła w ciążę.

Zaklął cicho i z uczuciem.

– Przestań – powiedziała cicho, ale zdecydowanie Caitrin. – Ja też miałam w tym swój udział.

– Ano, ale...

– Żadnych ale! Nic by się nie wydarzyło, gdybym pamiętała, że implant się wyczerpał. Albo gdybym nie była taką upartą idiotką i usunęła ciążę.

Przytulił ją mocniej, nic nie mówiąc, bo doskonale wiedział, dlaczego tak postąpiła. Pozbycie się płodu byłoby najlogiczniejszym rozwiązaniem, ale czynniki emocjonalne uniemożliwiały Caitrin podjęcie takiej decyzji. Zaczynając od tego, że dla mieszkańców niedawno skolonizowanych planet pogranicznych dzieci były tak cenne, że logicznie nie sposób było tego wytłumaczyć. A kończąc na tym, co było dla niej najważniejsze – zdecydowała się mieć to dziecko, ponieważ było to jego dziecko. Jeśli on zginie, będzie miała choć cząstkę jego do kochania.

Puścił Caitrin, gdy w krąg blasku wkroczył Tulloch.

– Wszyscy ukryci – zameldował zwięźle.

Angus kiwnął głową.

– Jutro musimy iść szybciej – mruknął.

– Ano – Tulloch zerknął kątem oka na Caitrin i czym prędzej odwrócił wzrok. – Idę sprawdzić warty.

I wyszedł.

Angus zaś wpatrzył się z namysłem w ogień.

– Tak se myślę – powiedział powoli. – Że wkrótce ruszą na nas, Katie.

– Wiem.

– To trza by sie było przygotować...

– Jak?

– Kryjówki na południu. Pogoda lepsza i ukrycie też.

– To ma sens.

– Ano. Ale któreś z nas musi się tym zająć.

Poczuł, jak Caitrin sztywnieje, ale nie spojrzał na nią. Odetchnęła i chciała coś powiedzieć, lecz nie zrobiła tego. Oboje wiedzieli, o co tak naprawdę mu chodziło – by dostać się na południe, będzie musiała przejść fragment strefy, ale było to stosunkowo mało ryzykowne, a usuwało ją z rejonu, w którym będą toczyć się najcięższe walki. A gdy już znajdzie się na południu, będzie bezpieczna.

Przynajmniej na razie.

– Jak daleko na południe? – spytała w końcu.

– Daleko... gdzieś koło New Gurock.

– Rozumiem...

Wiedział, że dziewczyna ma dylemat – buntowała się wewnętrznie przeciwko takiemu rozwiązaniu, choć gdyby chodziło o kogoś innego, natychmiast przyznałaby mu rację. Wiedziała o tym i stąd wynikał ten wewnętrzny konflikt. I wiedziała także, że jemu zależy na tym, by była bezpieczna, bo wtedy mógłby całą uwagę skupić na tym, jak walczyć i przeżyć.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Pojadę.

* * *

Lantu skończył ostatni raport i przeciągnął się z westchnieniem ulgi. Na zewnątrz lało, ale w gabinecie panowało miłe ciepło.

– Lantu?

Uniósł głowę, słysząc głos Hanat, która weszła, zamykając za sobą drzwi. Tak wyraz jej twarzy, jak i to, że zwróciła się do niego po imieniu, ostrzegły go, że stało się coś niecodziennego.

– Tak?

– Złapali kogoś z twojej listy.

Lantu bardzo powoli opuścił ręce i oparł je o blat biurka.

– Gdzie?

– Czterdziesty pierwszy punkt kontrolny w czasie rutynowego sprawdzania dokumentów. Miały starą pieczętkę... punkt obsadza wojsko...

– I bardzo dobrze. Kogo złapano?

– MacDougall – odparła cicho Hanat.

Lantu skrzywił się, po czym zebrał się w sobie i spojrzał jej w oczy.

– Użyj mojego osobistego kodu do zablokowania i utajnienia raportu. I do sprowadzenia jej bezpośrednio tutaj – polecił.

– Lantu...

– Zrób to, Hanat – powiedział ostrzej, niż chciał, więc złagodził wrażenie uśmiechem. – Po prostu to zrób.

Skinęła głową i wyszła.

* * *

– Angus, nie! – Sean Bulloch potrząsnął nim energicznie. – Obojga nie możemy stracić! Do reszty żeś zgłup czy jak?

– Puść mnie Seanie Bulloch! – głos Angusa był spokojny i lodowaty.

– On ma rację! – Tulloch MacAndrew poparł Seana prawie prosząco. – Katie by tego nie chciała, wiesz.

– Nie będę powtarzał. Puszczajcie! – Angus sięgnął po granatnik i spojrzał bykiem na obu.

– Zrobiłbyś to dla kogoś innego, Angusie MacRory? – spytał cicho Sean.

Angus spojrzał mu prosto w oczy.

– Nie. Ale to nie ktoś inny, zgadza się?

Sean przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie. Wreszcie opuścił oczy. A potem potrząsnął głową i puścił jego ramię.

– No – mruknął Angus. – Tak lepiej.

– I co możesz dla niej zrobić? – spytał Tulloch. – Jeśli Pawiany wiedzą, kim jest, to już ją zabiły!

– Myślę, że nie. Jeśli wiedzą, kim jest, to wiedzą, że po nią przyjdę. Lantu nie jest durniem: wykorzysta ją, żeby mnie dorwać.

– To po co mu pomagasz?

– Bo nie mam wyboru.

– Masz – warknął Tulloch. – Samego nie puszczę! Angus spojrział na niego wściekle.

Tulloch zrewanżował mu się podobnym spojrzeniem.

– Myślisz, że tylko ty ją kochasz, stary durniu? – spytał niespodziewanie miękko Tulloch.

– Jak tobie tak odbiło, żeby iść ją ratować, to jest tu więcej wariatów, żeby ci pomóc.

– Nie pozwolę...

– A jak nas powstrzymasz? – przerwał mu Tulloch. – Pójdziemy za tobą, jeśli nie z tobą. Lepiej w kupie, bo w kupie ciepiej.

Angus zamknął z trzaskiem usta, widząc determinację przyjaciela. A raczej przyjaciół, bo gdy spojrział na Seana, w jego oczach dostrzegł ten sam uparty błysk.

– No dobra – skapitulował z westchnieniem. – Ale nie więcej jak dziesięciu, Tulloch!

Rozdział XXIII

ADMIRAŁ-HERETYK

Caitrin MacDougall siedziała na niskim łóżku wsparta plecami o ścianę. Miała zamknięte oczy i za wszelką cenę próbowała nie poddawać się rozpacz. Kościelni zmienili wzór pieczętki na zezwoleniach podróжных zaledwie dwa dni wcześniej, ale ona była oficerem wywiadowczym Angusa i powinna o tym wiedzieć. Nie wiedziała i wpadła. I choć zdołała załatwić trzech Pawianów, nie skłoniło to pozostałych do zabicia jej.

I to właśnie najbardziej ją przerażało. Sposób, w jaki ją tutaj przewieziono, fakt, że żołnierzom na punkcie kontrolnym kazano zapomnieć, że ją kiedykolwiek widzieli, oznaczały, iż Pawiany wiedzą, kim jest. A to nie wróżyło dobrze na przyszłość, gdyż odkąd Lantu zastąpił Huarka, przeciwnicy nauczyli się zwracać uwagę na dane wywiadowcze. A to z kolei oznaczało, że zdają sobie sprawę, jakie informacje są w stanie z niej wydusić. Czyli mówiąc prosto i brutalnie: jej śmierć mogła złamać Angusowi serce, jej przeżycie natomiast oznaczało jego koniec...

Odruchowo przyłożyła dłoń do brzucha i po jej policzku spłynęła jedna ciężka łza.

* * *

Admirał Lantu wygładził starannie kurtkę mundurową, mając świadomość, że troska o szczegóły wyglądu może wydać się niestosowna, ale miał złożyć wizytę przeciwnikowi, którego wielce szanował. I który mógł doprowadzić do jego śmierci.

Powoli przeszedł korytarzem pogrążony w myślach. Największym powodem rozmyślań był raport lekarza, któremu polecił opatrzyć jeńca mimo związanego z tym ryzyka. Sam nie wiedział, czy kierował nim profesjonalizm, ale informacja, jaką orzeczenie zawierało, była jedyną naprawdę pocieszającą.

Odsalutował Marines ze swojej osobistej ochrony trzymającym wartość przed drzwiami i zapukał. Dopiero potem otworzył drzwi i wszedł.

Sypialnia została zamieniona na celę raczej pospiesznie i było to widać. Plastikowe pręty w okno wklejono tak niechlujnie, że polimer zastygł w postaci sopli. Poza tym całe umeblowanie dostosowano do anatomii thebańskiej, więc dla człowieka było za niskie. Ale i

tak było tu wygodniej niż w celi w obozie.

Wstała, ostrzeżona pukaniem, i spojrzała mu prosto w oczy. Na policzku naznaczonym karabinową kolbą dostrzegł ślady łez, ale poza tym sprawiała wrażenie spokojnej i pogodzonej z losem. Pomimo że wyższa od niego o pół głowy, była drobniejszej budowy, czemu nie dał się zwieść – mając tylko nóż, zabiła wyszkolonego w walce wręcz żołnierza i ciężko zraniła dwóch innych.

– Dobry wieczór, kapral MacDougall – powitał ją Lantu. – Jestem Lantu, pierwszy admirał Miecza Świętej Ziemi.

W jej oczach coś błysnęło, jakby zastanawiała się, czy jeśli go zabije, zmusi ich, by to samo zrobili z nią.

Lantu prawie pożałował, że tak się nie stanie.

– Musi być dla pani oczywiste, że skoro wiem, kim pani jest, wiem także, iż posiada pani informacje, których potrzebuję. Nie mam jednakże zamiaru uzyskiwać ich od pani siłą – wyjaśnił i prychnął, widząc niedowierzanie na jej twarzy. – Kościelni nie mają pojęcia o pani aresztowaniu, a przynajmniej taką żywię nadzieję. I nie planuję ich o tym informować. Należy pani do grona kilku osób, które w razie aresztowania poleciłem przywieźć bezpośrednio tu. Można powiedzieć, że jest pani moim jeńcem.

– Dlaczego? – spytała spokojnie, ale ponieważ odezwała się pierwszy raz, i tak go zaskoczyła.

– Sam do końca nie wiem... – przyznał. – Na pewno powodowała mną ciekawość, ale są... też inne przyczyny. Jak pani wie, uwolniłem już innych partyzantów z wiadomościami dla sierżanta MacRory’ego. Jeśli uda mi się utrzymać pani porwanie lub prawdziwą tożsamość w tajemnicy, mam nadzieję panią też wypuścić.

– Dlaczego? – powtórzyła.

– Bo... – Lantu urwał, nie potrafiąc zmusić się, by wyznać jej targające nim wątpliwości. – Jest coś, czego pani potrzebuje? Dodatkowa opieka medyczna?

– Nie.

Lantu odwrócił się ku drzwiom, ale powstrzymał go jej lodowaty głos:

– Spodziewałam się po panu czegoś więcej, admirale Lantu. Nawet podoficerowie sił porządkowych na odległych od Ziemi planetach znają technikę „zły i dobry glina”.

W pierwszym momencie zaskoczyła go, dopiero potem przypomniał sobie, co oznacza to określenie, i roześmiał się chrapliwie.

– Nie rozumie pani podstawowych kwestii, kapral MacDougall: według naszych standardów ja zachowuję się gorzej niż „zły glina”. Nie będę tłumaczył teraz dlaczego, bo i tak by mi pani nie uwierzyła, ale powiem pani coś innego. Chwilowo jest pani całkowicie bezpieczna i nie tylko z mojej strony nic pani nie grozi, ale także ze strony Kościelnych czy Inkwizycji.

Ponieważ nadal przyglądała mu się z niedowierzaniem, dodał łagodnie:

– Jest pani w ciąży, a dla nas to uświęcony stan. Stan, którego na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo nie odważy się narazić nawet Inkwizycja.

– Dlaczego? Jestem niewierną, o ile nie heretyczką i na dodatek terrorystką. I nie zamierzam się zmienić.

– Może i nie, ale pani dziecko nie miało możliwości wyboru, prawda? Sytuacja jest taka, że nawet jeśli wyjdzie na jaw, kim pani naprawdę jest, chwilowo jest pani bezpieczna. Co naturalnie nie znaczy, że pułkownik Huark nie użyłby pani jako przynęty, by pojmać sierżanta MacRory’ego, więc lepiej niech pani udaje, że wierzy, iż naprawdę pani bezpieczeństwo leży mi na sercu, i nie robi nic, by zwrócić na siebie uwagę.

* * *

Pancerka z wyciem silnika przejechała przecinką, oświetlając okolicę szperaczem. Była to czwarta droga, jaką musieli przekroczyć, i znajdowała się głęboko wewnątrz strefy okupowanej, toteż Angus już nawet nie kłął. Leżał w chłodnym błocie, udając kamień, z nadzieją że dzięki temu nie zostanie wykryty przez czujniki podczerwieni.

Za pancerką jechał wóz osobowy o znacznie ciszej pracującym silniku i bez świateł. Najprawdopodobniej maszyna sztabowa albo dowodzenia.

Minikonwój pojechał dalej, ale Angus odczekał jeszcze dobre pięć minut, nim dał znak Tullochowi.

Jedenastu uzbrojonych mężczyzn ruszyło w dalszą drogę w głąb strefy niczym grupa zjaw.

* * *

– Kapelan floty wybiera się z wizytą – poinformowała go Hanat, ledwie Lantu wrócił z nocnej inspekcji.

Znieruchomiał, mrugnął zewnętrznymi powiekami i ruszył ku drzwiom gabinetu, rozpinając po drodze kamizelkę i wieszając ją na haku. Pistolet maszynowy wraz z kaburą i pasem rzucił na blat biurka.

Hanat szła za nim coraz bardziej zdziwiona.

– Nie rozumiesz?! – spytała w końcu. – Jedzie tutaj!

– Rozumiem.

– Ale... czy on wie?

– Cśśś... – ujął jej dłoń i pogładził delikatnie. – Jeśli wie, to nic tego nie zmieni.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytała ze łzami w oczach.

Podał jej chusteczkę.

– Dlaczego? – powtórzyła.

– Bo musiałem. – Już miała mu ostro odpowiedzieć, gdy dodał: – Wybacz mi, jeśli potrafisz. Nie miałem prawa ciebie w to wciągać.

– Drań! – oceniła zwięźle. – Jakbym sama nie...

Przerwał jej brzęczyk u drzwi.

Pogładziła dłoń Lantu, wyprostowała się dumnie i poszła otworzyć już zupełnie opanowana.

* * *

Angus, sprawdzając swoje położenie, spojrzął na wyświetlacz elektronicznego planu sieci kanałów miejskich dostarczonego przez jednego ze współpracowników cywilnych.

– Jesteśmy tu! – oznajmił.

Pochylny nad ekranikiem MacAndrew skinął głową.

Pozostali byli jedynie majaczącymi w mroku postaciami.

– Ano, tylko gdzie ona – mruknął.

– W tamtych zabudowaniach... – mruknął Angus. – Jest taki jeden Pawian, który mi powie... nim go zabiję.

* * *

– Wasza Świątobliwość. – Lantu poczuł ulgę, gdy Manak zamknął drzwi prowadzące do sekretariatu, zostawiając w nim czteroosobową ochronę.

Gdyby przybył z powodu, o którym z takim lękiem myślała Hanat, nie zrobiłby tego.

– Czemu zawdzięczam wizytę o tak późnej porze? – spytał.

– Wybacz mi, synu. – Manak opadł ciężko na fotel. – Przepraszam za to najście, ale musiałem się z tobą zobaczyć.

– To żaden problem. Jestem do dyspozycji.

– Dziękuję ci, synu, ale to wszystko... – Manak machnął zniechęcony ręką.

– Co się stało? – spytał łagodnie Lantu.

– Niewierni zdobyli Sandhurst – wyznał Manak.

Lantu usiadł prosto z wrażenia.

– Zjawia się tu za kilka dni, najpóźniej za miesiąc – dodał nieszczęśliwym głosem kapelan floty.

– Święta Ziemio! – szepnął odruchowo Lantu.

– Nie wiesz jeszcze najgorszego: Jahanak nie będzie bronił ani tego systemu, ani Alfreda. Tchórz chce się wycofać aż do Lorelei! Możesz w to uwierzyć?

Lantu odruchowo pogładził leżącą na blacie kaburę.

– Mogę. I nie sądzę, by to wynikało z tchórzostwa. Jeśli został zmuszony do opuszczenia Sandhurst, to musiał ponieść ciężkie straty, a ani w tym systemie, ani w Alfredzie nie ma umocnień stałych z prawdziwego zdarzenia. Wszystkich okrętów będzie zaś potrzebował do obrony Lorelei. Prawdopodobnie na jego miejscu zrobiłbym to samo.

– Cóż... może masz rację, na taktyce zawsze dobrze się znałeś. – Manak westchnął i

obrócił pierścień na palcu. – Skoro taka jest wola Świętej Ziemi, nie mamy wyboru, mój synu.

Lantu odruchowo kiwnął głową, próbując nie okazać, co go najbardziej martwi. Próbował ograniczyć ekscesy Inkwizycji, ale gdy ludzie odbiją planetę i przekonają się, co przeżyli mieszkańcy, będą wściekli. To, że on sam najprawdopodobniej tego nie przeżyje, martwiło go znacznie mniej niż konsekwencje, jakie to oznaczało dla całej jego rasy. A jeśli...

Dalsze rozważania przerwał mu głos Manaka:

– Musimy dopilnować, by heretycy nie zbrukali tej planety ponownie!

– Tak pułkownik Fraymak, jak i ja zrobimy, co będziemy mogli, ale bez wsparcia floty to walka z góry skazana na klęskę.

– Wiem o tym, mój synu, ale niewierni nie dostaną tej planety! – w chrapliwym głosie Manaka zabrzmiała dziwna pewność. – Tu zmierzał Wysłannik. Nawet jeśli nie uda się nam uratować przed herezją innych światów, ten musimy!

– Ale...

– Jest na to sposób, mój synu – przerwał mu Manak. – Chcę, żebyś zaminował ładunkami nuklearnymi każde miasto, wioskę i farmę. A potem niech niewierni lądują. Rozumiesz? Pozwolimy im wylądować, a potem odpalimy ładunki! Za jednym posunięciem połączymy swe dusze ze Świętą Ziemią, uratujemy ten świat przed zbrukaniem i zabijemy wielu wrogów.

Lantu był tak zaskoczony, że zdołał jedynie wykrztusić:

– Nie mamy tylu ładunków.

– To użyj wszystkich, jakie mamy, a jeśli Jahanak jeszcze nie uciekł, każę mu przysłać wszystkie miny, jakie ma na okrętach! Na szczęście moje słowo jeszcze coś znaczy.

Lantu przyglądał mu się, zdumiony ogniem fanatyzmu w oczach opiekuna, i dopiero teraz dotarło doń, jak głębokie zaszły w nim ostatnio zmiany. Nie było już kapłana, którego znał i kochał... był obłąkany fanatyk.

– Wasza Świętobliwość, proszę się dobrze nad tym zastanowić – powiedział cicho.

– Zrobiłem to, mój synu, i Święta Ziemia pokazała mi drogę. Nawet jeśli zabijemy niewielu tych piekielnych Marines, ten świat będzie dla nich bezużyteczny.

– Nie to miałem na myśli – Lantu ponownie zaczął starannie dobierać słowa. – Pamięta Wasza Świętobliwość bitwę o Redwing? Gdy wycofaliśmy się, by uratować flotę?

– Oczywiście! – potwierdził nieco zniecierpliwiony Manak.

– To proszę pomyśleć, dlaczego tak postąpiliśmy. Żeby uratować flotę, uratować Lud... Lud Świętej Ziemi od bezsensownej śmierci. Jeżeli zniszczymy mieszkańców tej planety, to co niewierni zrobią z nami, gdy dotrą do Thebes?

– Zrobią? Co mają zrobić? Nic! – Manak roześmiał się. – Mój synu, niewierni nigdy tam nie dotrą, bo Święta Ziemia im na to nie pozwoli.

Lantu na moment odebrało mowę.

Manak naprawdę w to uwierzył. Stał się kolejną ofiarą jihu gotową w imię swej wiary zabić wszystkich na tej planecie. I siebie także.

– Nie można tak postąpić! – oznajmił, odzyskując głos. – Nasza rasa zapłaci za to...
– Cisza! – Dłoń Manaka walnęła o blat z hukiem podobnym do wystrzału pistoletowego.
– Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! Święta Ziemia ciebie oświeciła czy mnie?
– Nie o to chodzi, tylko...
– Cisza, powiedziałem! Słyszałem o szerzącym się defetyzmie i herezji i nie będę słuchał więcej.
– Nie ma innego wyjścia, jak spojrzeć prawdzie w twarz!
– Święta Ziemio! – Manak spojrział zdumiony na Lantu. – Ty, Lantu? Ty miałbyś mnie zdradzić?... Zdradzić naszą wiarę?!...

I wytrzeszczył oczy.

– Tak... – szepnął po sekundzie. – Zdradziłeś! Niech mi Ziemia wybaczy! Shamar mnie ostrzegął, a ja nie chciałem go słuchać... ale w głębi duszy wiedziałem... Może zresztą zawsze wiedziałem...!

– Posłuchaj choć przez chwilę głosu rozsądku! – warknął Lantu, wstając.

Manak odsunął się, kreśląc krąg, czyli najskuteczniejszy symbol przeciw demonom.

– To ty uczyłeś mnie służyć Ludowi. I ponieważ nauczyłeś mnie dobrze, nie mogę ci teraz pozwolić na masowe morderstwo, za które ludzie znienawidzą nas i spustoszą naszą planetę, kiedy tam dotrą. A dotrą, możesz być pewien!

– Nie podchodź! – Manak zerwał się i cofnął. – Nie zbliżaj się, heretyku!

W jego głosie było tyle jadu, że Lantu znieruchomiał.

– Teraz widzę jasno! – wrzasnął Manak. – I przeklinam cię po trzykroć, przekłety heretyku i odstępco! Skazuję cię na wieczne potępienie w ogniu piekielnym!

Lantu jęknął, słysząc słowa ekskomuniki, bo pomimo wszystko był dzieckiem Kościoła wychowanym w Świętej Wierze... przez tego samego kapłana, który teraz strącał go w otchłań ciemności.

Tyle tylko że żadna otchłań go jakoś nie pochłonęła.

Powoli wsparł się dłońmi o blat biurka i spojrział na wykrzywioną nienawiścią twarz jedyne go ojca, jakiego miał. I nadal był zdecydowany trzymać się tego, czego ten ojciec go nauczył – uczciwości i zdecydowania w dążeniu do celu.

– Nie pozwolę ci tego zrobić! – oznajmił z mocą.

– Heretyk! – wrzasnął Manak.

I sięgnął po broń.

Lantu poczuł olbrzymi żal i strach. Nie o swoje życie, bo wolałby zginąć, niż zobaczyć taki wyraz w oczach Manaka. Bał się, że jeśli nie powstrzyma szaleńca, którym stał się jego ojciec, zniszczy on wszystkich i wszystko.

Do drzwi gabinetu załomotały pięści ochroniarzy, którzy usłyszeli wrzask Manaka, ale drzwi były solidne, a zamek mocny. Natomiast Manak zdążył odpiąć kaburę i teraz zacisnął palce na kolbie broni.

Ciało Lantu poruszyło się, gdy zadziały wyuczone odruchy – złapał kolbę spoczywającego na blacie pistoletu maszynowego, wyszarpnął go z kabury i uniósł płynnym ruchem, łapiąc oburącz.

– Giń, heretyku! Giń i wiedz, że przeklinam dzień, w którym nazwałem cię synem! – zawył Manak, dobywając broni.

Szczęknął bezpiecznikiem.

Lantu przeciął go w pół starannie mierzoną serią.

* * *

– Jasna cholera! – Tulloch MacAndrew odskoczył od kłapy, którą właśnie miał otworzyć, gdy dobiegła zza niej seria z broni maszynowej.

Po niej rozległa się następna.

I rozpętała się regularna strzelanina.

– Słodka godzino! – wzruszył się Davey MacIver. – Co się...

– Pojęcia nie mam, ale siedząc na dupach, niczego się nie dowiemy! – warknął Angus, odbezpieczając broń. – Idziemy, chłopcy!

– Ano! – poparł go Tulloch i napał ramieniem na klapę.

Ta odskoczyła z hukiem i Tulloch wypadł na korytarz, robiąc w powietrzu obrót. Wylądował na prawym kolanie z bronią gotową do strzału i w niezbyt jasno oświetlonym korytarzu dostrzegł pojedynczego wartownika. Ściął go krótką serią i poczekał, aż pozostali wyjdą z tunelu technicznego. Angus i Davey poprowadzili ich w lewo, w stronę strzelaniny, więc ruszył za nimi, ubezpieczając tyły.

Strzelanina grzmiała coraz głośniejszą miarą, jak się zbliżali. W pewnym momencie z otwartych drzwi wybiegł Pawian w zielonym uniformie armii lądowej, ale z purpurowymi naszywkami korpusu kapelanów na kołnierzu. Na ich widok stanął zaskoczony; z trzymanego w rękach pistoletu użytku już nie zdążył zrobić.

Seria pocisków z broni maszynowej posłała go na ścianę, a sam Angus skoczył przez otwarte drzwi prosto w huk wystrzałów.

Wpadł do sekretariatu pełnego prochowego dymu i łusek brzęczących pod nogami. Na dywanie leżał martwy Pawian, drugi oparty o ścianę krwawił, a trzeci skulony za przewróconą szafą ostrzeliwał się krótkimi seriami. Tyle że strzelał w stronę gabinetu, a nie korytarza. Nawet nie zauważył wejścia partyzantów, gdy jego i krwawiącego pod ścianą przecięły serie wystrzelone przez Angusa i MacIvera.

Huk wystrzałów nagle ucichł i Angus usłyszał gdzieś w oddali wyjący alarm. Rozejrzał się otępiały, nie bardzo rozumiejąc, co się tu w ogóle dzieje.

Jakiś cichy dźwięk spowodował odruchową reakcję – wycelował w miejsce, z którego dobiegł, ale nie nacisnął spustu. W drzwiach stanął kolejny Pawian, ale trzymał broń lufą ku podłodze i rozglądał się równie błędnie co on sam wzrokiem. Z lufy pistoletu maszynowego

unosila się smuzka dymu...

Zrobił krok do wnętrza sekretariatu, nadal nie unosząc broni, i dostrzegł dystynkcje na kołnierzu Angusa.

– MacRory – powiedział bez zaskoczenia. – Powiniennem być się spodziewać.

– Rzuć broń! – warknął Angus.

Pawian spojrział ze zdziwieniem na swoją dłoń, rozwarł palce i pistolet maszynowy upadł na dywan. Zza biurka dobiegł nowy dźwięk i MacIver obrócił się tam, celując, ale także nie nacisnął spustu, gdyż zobaczył zgrabną i wiotką postać zupełnie do Pawiana niepodobną, choć w mundurze, która podbiegła do stojącego w drzwiach i objęła go.

– Spokojnie, Hanat... nic mi nie jest... – powiedział miękko objęty.

– Nie chcę być natrętny, ale zaraz się tu zwali cała kupa Pawianów! – warknął Tulloch.

– Zaraz. – Angus podszedł do trwającej w uścisku pary i dotknął wylotem lufy piersi Pawiana tuż ponad głową kobiety. – Może ty mnie znasz, ale ja ciebie nie.

– Pierwszy admirał Lantu, do usług – przedstawił się ten.

– A, kurwa! – ucieszył się Angus, myśląc intensywnie.

Planował cichą akcję, ale strzelanina zniweczyła jego zamiary. Znajdowali się w pułapce, ale mieli najwyższego rangą przeciwnika jako zakładnika, a to zmieniało sytuację. Mogło się jeszcze okazać, że wyjdą z tego cało.

– Właż do środka! – polecił. – I pod ścianę!

Nadal mierzył do obojga, a pozostali partyzanci rozstawili się na pozycjach w obu pomieszczeniach. Angus dopiero teraz dostrzegł jeszcze jednego Pawiana, martwego, na podłodze. Ten miał dystynkcje pierwszego kapelana floty. Lantu skrzywił się boleśnie, patrząc na trupa, po czym wyprostował się i spytał prawie spokojnie:

– Co chcesz osiągnąć?

– Myślę, że wiesz – odparł miękko Angus.

Lantu przytaknął bez słowa:

– Gdzie ona?

– Mogę was zaprowadzić – zaoferował się admirał.

– No! I zamknąć w tej samej celi! – burknął ktoś.

– Nie... – zaczął Lantu i umilkł, widząc gwałtowny gest Tullocha.

Na korytarzu załomotały kroki licznego oddziału, lecz nim Angus zdążył cokolwiek powiedzieć, przytulona dotąd do Lantu niewiasta podbiegła do drzwi i z zaskakującą szybkością jak na kogoś o tak krótkich nogach przemknęła przez sekretariat. Rory MacSwain zaklął, unosząc broń, lecz Tulloch podbił ją, nim tamten zdążył wystrzelić. Angus był w sumie z tego zadowolony, bo cały czas obserwował Lantu. Wiedział, że gdyby Rory strzelił, ten zaatakowałby ich gołymi rękoma, co nie byłoby dobre dla nikogo z obecnych...

Dalszy ciąg rozważań przerwał mu dobiegający z korytarza głos:

– Dzięki Ziemi, że jesteście! Terrorysty zabili kapelana i porwali admirała! Tam poszli!

Wschodnim korytarzem! Pospieszcie się, błagam!

Odpowiedział jej gwar zmieszanych głosów uciszonych przez zdecydowanie podoficerski ton i oddalający się tupot wielu butów.

Partyzanci popatrzyli na siebie, z trudem zamykając gęby i wytrzeszczając oczy jeden na drugiego. A potem szczęki opadły im jeszcze bardziej, gdy Thebanka najspokojniej w świecie wróciła do gabinetu i oznajmiła:

– To był dyżurny pluton. Macie dziesięć minut, nim przybędą tu posiłki z koszar. I jacyś oficerowie...

– Coś ty zrobiła?! – jęknął Lantu. – Przecież kiedy się przekonają, że ich okłamałaś...

– Nic mi nie zrobią, bo jestem tylko głupią kobietą – przerwała mu spokojnie. – Jeśli po was nie będzie już śladu, uwierzą, że w tym całym zamieszaniu pomyliły mi się kierunki. A ty musisz stąd zniknąć i wiesz o tym!

– Nie mogę! – zaprotestował Lantu. – Moim obowiązkiem jest...

– Och, przestań opowiadać bzdury! – wybuchnęła, łapiąc go za ramię obiema dłońmi i potrząsając.

Wyglądało to tak, jakby terier próbował potrząsnąć owczarkiem kaukaskim, ale nikt z obecnych nawet się nie uśmiechnął. Wszyscy bowiem mieli jeszcze problem z dojściem do siebie po jej ostatnim wystąpieniu.

– Skończyły się twoje obowiązki! I niech to wreszcie do ciebie dotrze! Nawet Manak się zorientował! Uważasz, że Huark czy Shamar nie rozumieją? Zabiją cię w majestacie prawa! Trup nie ma żadnych obowiązków, Lantu! Musisz stąd zniknąć i to zaraz!

– Z nimi? – spytał Lantu.

– Właśnie z nimi! – potwierdziła i odwróciła się do Angusa. – Macie przecież jakiś plan, jak się stąd wydostać. Lantu zaprowadzi was do tej, której szukacie... jest tutaj, w tym budynku, bezpieczna... postarał się o to dla ciebie... ale musicie go stąd wyprowadzić i zabrać ze sobą w góry. Błagam!

Angus spojrział na nią z niedowierzaniem, ale już tylko odruchowym. To, co mówiła, miało sens, a poza tym Lantu, choć zwalczał partyzantkę, zawsze dotrzymywał słowa.

– Ano niech będzie – zgodził się niechętnie. – Wychodzimy tą samą drogą, co weszliśmy. Jeśli zaprowadzisz nas do Katie i nie będzie żadnych problemów, zabierzemy go. Będzie jeńcem, ale żywym. Daje na to słowo.

– Ja... – zaczął Lantu i urwał, spoglądając to na Hanat, to na Angusa.

Był zmęczony i miał wszystkiego serdecznie dość... w końcu pochylił głowę, zamykając wewnętrzne powieki.

– Dobra – westchnął. – Zaprowadzę pana do niej, sierżancie MacRory.

Rozdział XXIV

„WŁAŚNIE TEMU PRÓBOWAŁEM ZAPOBIEC!”

Drugi admirał Jahanak wpatrzony w ekran taktyczny swego fotela stojącego na pomoście flagowym *Arbeli* pokiwał smętnie głową. To, co widział, potwierdzało jego najgorsze obawy. W Sandhurst zadał przeciwnikowi poważne straty, ale nie aż takie, by uniemożliwić mu dalsze natarcie. Tym razem niewierni jeszcze ostrożniej szturmowali system – każdemu lotniskowcowi w przejściu przez warpa towarzyszył superdreadnought lub pancernik, toteż gdyby zdecydował się na obronę wylotu z warpa, wróg dysponował wystarczającą siłą ognia, by mu to poważnie utrudnić. Była to ze strony niewiernych zbytnia ostrożność, bo po stratach, jakie zadały mu te przekłete myśliwce z potrójnie przeklętych niewidzialnych lotniskowców, nie miał sił, by tak postąpić. Zwłaszcza że nowy zasięg rakiet wroga wspierający zasięg myśliwców powodował, iż starcie na większą odległość niż zasięg dział byłoby samobójcze i bezsensowne. Powstrzymanie ataku wymagało poważnych fortyfikacji wspartych rozległymi polami minowymi i ogniem okrętów liniowych.

A niczego z wyżej wymienionych w tym systemie nie było.

– Kapitanie Yurah, proszę przekazać na wszystkie okręty rozkaz opuszczenia systemu – polecił cicho, ignorując pusty fotel, który powinien zajmować kapelan floty Hinam.

Hinam nie miał odwagi sprzeciwić się jego decyzji, mając świadomość, że i tak się to na nic nie przyda, a śmierć Manaka z rąk terrorystów dała mu idealny pretekst, by zrobić to, zachowując wszelkie pozory. Poleciał mianowicie na planetę, zabierając wszystkich Marines, jakich Jahanak zdecydował się odżalować, by wzmocnić obronę, którą dowodził pułkownik Huark.

Bez okrętów obrona ta nie miała cienia szansy na sukces, ale o tym wszyscy wiedzieli. A okręty odlatywały, i to nie tylko z tego systemu, ale i z następnego, zostawiając jedynie pikiety, choć Jahanak nie bardzo rozumiał po co.

Myśl o obu planetach w tych systemach niepokoiła Jahanaka, choć naturalnie nikomu się do tego nie przyznał. Wiedział, że Święta Ziemia zatryumfuje w końcu, a wtedy nie będzie

problemu z tym, jakich metod użyto na podbitych planetach. Były ostre, ale niezbędne, by nawrócić choć część zamieszkujących je biedaków.

Mimo to miał cichą nadzieję, że Huark będzie miał dość zdrowego rozsądku, by zniszczyć wszystkie dowody...

* * *

– To był ostatni, sir – zameldował kapitan Tsuczewski, wskazując na symbol thebańskiego okrętu, który zamigotał i zgasł na ekranie taktycznym, gdy jednostka wyszła z zasięgu sensorów maszyn zwiadowczych. – Zostały tylko umocnienia orbitalne i załoga planetarna. Mogą albo się poddać, albo zginąć.

– Wiemy już, że się nie poddadzą – dodał Kthaara rzeczowo. – Przygotować myśliwce do ataku, sir?

Antonow przyglądał się ekranowi, na którym lotniskowce eskortowe admirała Avram rozwijały się wraz z niedobitkami okrętów Berensona, zajmując pozycje za silną osłoną krążowników. Te właśnie lotniskowce spotkane w systemie Danzig pozwoliły mu kontynuować natarcie mimo strat poniesionych w Sandhurst. W tej chwili były wręcz bezcenne. Danzig zresztą okazał się wysoce przydatny również z innego powodu – jego stoczniovcy uporali się z naprawami lotniskowców admirała Berensona szybciej, niż Antonow sądził, że to możliwe. Spory wpływ na to miał komandor Hazelwood, a gdy okazało się, że na poprawienie projektów lotniskowców eskortowych także, stało się dla Antonowa oczywiste, że na poprzednim przydziale ten człowiek się marnował, i postanowił dopilnować, by się to nie powtórzyło.

Teraz otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na Kthaarę.

– Nie – zdecydował. – Straciliśmy już za dużo pilotów w Sandhurst. Rozwalimy forty orbitalne z bezpiecznego zasięgu rakietami, a potem pogadamy z dowódcą obrony planetarnej. Może gdy zobaczy, co się stało na orbicie, odnajdzie resztki zdrowego rozsądku... Do najgłupszego powinno już dotrzeć, że przegrywają tę wojnę, a nawet wśród fanatyków religijnych zdarzają się jednostki posiadające resztki instynktu samozachowawczego. Poza tym ktoś pozostawiony bez pomocy może się poddać rozpacz... Jak by nie było, warto spróbować.

– Dlaczego? – spytał szczerze zaciekawiony Kthaara.

* * *

W bazie partyzanckiej od rana panowało podniecenie, choć nikt nie wiedział dokładnie dlaczego. A jeśli wiedział, to nie zadał sobie trudu poinformowania o tym Lantu. Zapadła noc. Wszyscy zebrali się przed wejściem do jaskini i wgapili w niebo. Lantu wyszedł wraz z nimi w towarzystwie dwóch strażników i usiadł ciężko na jakimś kamieniu. Nie odzywał się do nikogo i nikt nie odzywał się do niego.

MacRory darował mu życie, tak jak obiecał. Lantu zastanawiał się jednak momentami, czy ktokolwiek z nich dotrze żywy w góry. Nie miał pojęcia, czy Fraymak szukał go, by go uratować, czy zabić, ale robił to dokładnie. I Lantu zmuszony był przyznać, że metody, które sam pomógł wprowadzić w życie, a w znacznej mierze wymyślić, nie były złe, za to zdecydowanie nieprzyjemne.

Było to dlań zupełnie nowe przeżycie, jako że dotąd nikt na niego nie polował, ale także dlatego, że choć wszystko pamiętał i rozumiał, niczego nie czuł. Uczucia zniknęły, gdy doprowadził partyzantów do MacDougall. Potem było już tylko otepienie.

I wryte w pamięć obrazy z nocnej ucieczki.

Gorący uścisk MacRory'ego z MacDougall i jego bardziej niż lakoniczne tłumaczenie, co tu robi i skąd się wziął... własne zaskoczenie, gdy znaleźli się w kanałach pod sztabem: nigdy nie brał ich pod uwagę, organizując środki bezpieczeństwa budynku... co mu w końcu wyszło na dobre... wymianę zdań między MacSwainem a MacRorym, gdy już znaleźli się na otwartym terenie, stwierdzenie, że opóźnia ich marsz, co było zresztą prawdą, i że najlepiej byłoby po cichu poderżnąć mu gardło, na co sierżant się nie zgodził, i to ostro. A MacDougall go poparła. Był zbyt zmęczony, by go to obeszło, ale poczuł zaskoczenie, bo obiektywnie MacSwain miał rację. A on był przecież ich wrogiem... Leżenie w zimnym błocie obok MacDougall, gdy pozostali rozprawiali się z patrolem, którego nie zaalarmował, bo mu się nie chciało. Nie dlatego że przyciskała mu nóż do gardła. Patrol był liczniejszy od partyzantów, a mimo to został wybity nożami tak sprawnie, że rozległ się tylko jeden zdławiony krzyk... Helikoptery ciągle latające nad głowami... Zimny deszcz i strome zbocza... w pewnym momencie tak strome, że MacAndrew złapał go i na pół przrzucił przez drogę, by zdążyć przed nadjeżdżającą pancerką...

Było to trzy dni temu i nadal wydawało mu się koszmarem, z którego nie mógł się obudzić, a nie realnym przeżyciem.

Realne wydawały się jedynie wolno wracające w pustkę emocje – poczucie winy, nienawiść do samego siebie i coraz bardziej wszechogarniająca wściekłość na Kościół, który okłamywał pięć pokoleń wiernych. Wielkie kłamstwo doprowadziło ich w końcu do wojny z rasą, której winni byli wdzięczność i szacunek. Na tej jednej planecie wymordowali ponad milion niewinnych osób, a tego, ilu zginęło po obu stronach i ilu jeszcze zginie, nawet nie próbował zgadywać.

Był w pułapce, gdyż z jednej strony czuł się współwinny – współuczestniczył w tych morderstwach tak pośrednio, jak i bezpośrednio, toteż pociągało go bezpieczeństwo zapewniane przez kłamstwo. Z drugiej zaś strony wściekłość nakazywała mu, by zwrócił się przeciwko jego twórcom i ukarał ich najdotkliwiej, jak potrafi.

Widząc rozbłyski na nocnym niebie, tym silniej czuł tę rozterkę, gdyż doskonale wiedział, co one oznaczają. Ludzka flota dotarła na orbitę i właśnie niszczyła forty orbitalne. Wkrótce wylądują na planecie Marines Federacji i poznają prawdę.

Przeklinał się za tchórzostwo, ale był też bezsilny. A co gorsza doskonale rozumiał, że gdy ludzie dowiedzą się, co tu się wyrabiało, będą chcieli się zemścić. A nie mógł im przecież pomóc w zniszczeniu swojej własnej rasy...

* * *

Na głównym ekranie wizualnym pomostu flagowego planeta o dziwacznej nazwie New New Hebrides wyglądała wręcz uroczo: błękitna kula otoczona białymi chmurami. Forty orbitalne zostały zniszczone zupełnie bez strat własnych, gdyż ich załogi nie dysponowały niczym dorównującym zasięgiem rakietom nowej generacji. Teraz Druga Flota Marynarki Federacji zajmowała pozycje na orbitach parkingowych, a oficerowie łącznościowi jej dowództwa próbowali nawiązać łączność z kimś, od kogo mogliby zażądać kapitulacji.

Poszukiwania zostały zakończone w raczej nieoczekiwany sposób.

– Panie admirale, mamy łączność na kierunkowym laserze, wyłącznie głosową i niekodowaną, z kimś na powierzchni – zameldował kapitan Tsuczewski. – Ten ktoś twierdzi, że jest sierżantem planetarnej policji, nazywa się MacRory i reprezentuje jakąś lokalną partyzantkę. Winnie właśnie sprawdza, czy... aha, już sprawdziła, jak widzę. Znaczy to, że ktoś taki był w tutejszej policji, a nie tylko używa policyjnego sprzętu. Będzie pan z nim rozmawiał, sir?

Antonow skinął głową i podszedł do konsoli oficera łącznościowego.

– Tu admirał Antonow z Marynarki Federacji – oznajmił głośno. – Czy rozmawiam z sierżantem MacRorym z policji planetarnej New New Hebrides?

– Ano! Zaś to bede jo – z głośnika zabrzmiała tak twarda wymowa, że deski można było nią rznąć. – I wasz widok to zbawienie dla naszych oczu, ale nie bede zaś tracił czasu, bo Pawiany... znaczy sie Thebanie bede zaś chcieć...

– Przepraszam, sierżancie – przerwał mu Antonow. – Ale powiedziano mi, że rozmawiamy otwartym tekstem bez kodowania.

– Ano! Bo tak zaś jest – przyznał MacRory. – O, cholera...

Antonow spojrzał na Tsuczewskiego z pretensją i spytał:

– Po jakiemu mówią na tym zadupiu?! Przecież ten człowiek nie zna standardowego angielskiego!

Winnifred Trevayne z trudem stłumiła radosny chichot, nim odpowiedziała zamiast zapytanego:

– To jest angielski, sir. Tyle że niezbyt standardowy. Jeśli pan pozwoli...

Antonow kiwnął głową, więc podeszła, przedstawiła się i przejęła prowadzenie rozmowy, co poszło jej nawet sprawnie, jeśli nie liczyć stłumionego komentarza z głośnika.

– Ać, cholerne ruski to nawet po ludzku nie rozumiejo...

Po kilku minutach ożywionej wymiany zdań z sierżantem zameldowała:

– Dowódcą obrony planetarnej jest pułkownik Huark i mamy już namiary jego kwatery

głównej, sir. Natomiast jeśli chodzi o poddanie się, śmiem w to wątpić po tym, co już usłyszałam od sierżanta MacRory'ego. Thebanie wyczyniali tu rzeczy trudne wprost do uwierzenia...

* * *

Huark był pierwszym przedstawicielem rasy thebańskiej, jakiego ktokolwiek z nich widział żywego. Zasadniczą różnicę między żywym a nieboszczykiem stanowiły pałające żółte oczy spoglądające na nich z głównego ekranu wizyjnego przełączonego w tryb łączności.

Huark przyjął połączenie w imieniu kapelana floty Hinama i z kamienną twarzą wysłuchał żądania bezwarunkowej kapitulacji. Ożywił się tylko raz, gdy w zasięg kamery wszedł Kthaara. Teraz, gdy Antonow skończył, zapadła cisza.

Trwała ledwie kilka sekund. Potem Huark odezwał się:

– Zdecydowałem się wysłuchać cię, niewierny, tylko dlatego by przekonać się osobiście, w jaką otchłań herezji stoczyła się wasza przeklęta rasa. Ale nie spodziewałem się, że herezja sięgnie tak głęboko, że wystąpicie przeciwko wiernym w towarzystwie plugawego pomiotu Szatana-Chana, tracąc wszelką pamięć własnej historii i religii! – Aż nim wstrząsnęło i musiał to być silny cios, gdyż choć dotąd mówił spokojnie, teraz jego głos błyskawicznie zmienił się w krzyk. – Ten świat był celem Wysłannika i nie trafi ponownie pod wasze władanie, byście go splugawili i sprofanowali, skoro współpracujecie z demonami, zaprzańcy! Godniście wiecznego potępienia! Możecie nas zbombardować bezkarnie, wtedy wybijecie własnych heretyckich rodaków. Możecie tego nie zrobić, ale wiedzcie, że gdy pierwsi wasi Marines staną na powierzchni tej planety, pograżymy ją w oczyszczającym ogniu, który wypłeni zaprzaństwo! Każde miasto i każda osada zostały zaminowane, a miny mają ładunki nuklearne! Możecie nas zabić, bośmy śmiertelni, ale nie podbijecie nas. Dzieci Świętej Ziemi nigdy się przed wami nie ukorzą! Dostaniecie tylko radioaktywną pustynię, w którą oby zmieniły się wszystkie wasze planety, bo to jedyne stosowne miejsce dla takich jak wy świętokradców!

Antonow wysłuchał tego spokojnie, choć sądząc po ruchu ramion, co najmniej od połowy tyrady ogarniała go coraz większa wściekłość.

– Pułkownik Huark, ludzie na własnej skórze przekonali się, że groźby wobec zakładników nie mogą powstrzymać działań, podobnie jak nauczyli się, że jeśli tym zakładnikom stanie się krzywda, muszą zostać pomszczeni – oznajmił równie spokojnie jak wcześniej Antonow. – Ostrzegam, że jeśli ta groźba zostanie zrealizowana, cała wasza rasa pozna, czym jest zemsta ludzi. Możecie gardzić życiem i być gotowi na śmierć tutaj, bo jest was niewiele. Pomyślcie jednak dla odmiany o losie wszystkich pozostałych członków swej rasy, gdy dotrzemy do waszej ojczystej planety. Bo gwarantuję, że będzie taki sam jak los ludzi na tej planecie.

Zamiast odpowiedzieć, Huark wybuchnął śmiechem, w którym prawie nie było humoru, za to była histeria. I obłąd.

A potem przerwał połączenie.

Antonow rozluźnił ramiona i westchnął:

– Ot, kretyn: śmiać się będzie... Kapitanie Tsuczewski, sądzę, że musimy porozmawiać ponownie z sierżantem MacRorym. Tylko miłe byłoby, żebyśmy tym razem mogli się też widzieć, dobrze?

* * *

Angus MacRory pokiwał powoli głową i najwyraźniej doszedł do siebie po napadzie radości, bo używał standardowego angielskiego całkiem dobrze. Co nie znaczyło, że Antonow nie musiał korzystać z pomocy Winnie Trevayne, a po drugiej stronie Cairin MacDougall nie była zmuszona interweniować, gdy Angusa zaczynał ponosić entuzjazm.

– Ten cały Huark to taki sam świr jak przeciętny Rigelianin, panie admirale – oznajmił MacRory. – Jeśli założyli te miny, to je wysadzi, jak obiecał.

– Obawiałem się, że to pan właśnie powie, sierżancie. – Antonow podrapał się po brodzie.

– To by pasowało do tego, co wiemy o Thebanach, ale tego akurat nie muszę tłumaczyć ani panu, ani pańskim ludziom. Mieliście okazję znacznie dokładniej ich poznać.

– Nie musi pan – zgodziła się Cairin. – Pytanie co pan zrobi w tej sytuacji?

– Wykonam swój obowiązek, czyli doprowadzę tę wojnę do końca najszybciej, jak to tylko możliwe. – Antonow wzruszył ramionami. – Nic innego mi nie pozostało, a wszystko jest podporządkowane temu celowi.

Widać było, że nie podoba mu się to rozwiązanie, ale nie ulegało także wątpliwości, że zrobi, to co uzna za konieczne. Początek XXI wieku na Ziemi charakteryzował się taką falą terroryzmu, że skutecznie a szybko wyleczył ludzkość z kretyńskich przekonań poprzedniego wieku, iż z terrorystami należy negocjować dla dobra zakładników albo też że przysługują im jakiegokolwiek prawa – poza tym do szybkiej śmierci. Dlatego wszyscy zainteresowani wiedzieli, jak Antonow postąpi.

– Natomiast to, że nikt za mnie nie podejmie decyzji, nie oznacza, że nie ma sensu, bym pytał o radę – dodał Iwan Groźny. – A teraz pytam was. Konkretnie o alternatywną do inwazji formę zdobycia planety. Jestem otwarty na każdą propozycję, która pozwoli mi uniknąć masakry ocalałych z thebańskiego programu eksterminacyjnego mieszkańców planety.

– Rozumiem – przytaknęła Cairin – i dziękujemy, admirale Antonow. Musimy się naradzić z towarzyszami... i z kimś jeszcze.

* * *

– Musimy pogadać – oznajmił Angus.

Lantu uniósł głowę.

- O czym? – spytał obojętnie.
- O tym, że to ścierwo Huark chce rozwalić wszystko minami nuklearnymi.
- Co?! – Lantu zerwał się już bez śladu obojętności.
- Wkopał ładunki pod miastami i wsiami – warknął Angus. – Nie mów, że sam na to wpadł!
- Właśnie temu próbowałem zapobiec gdy się spotkaliśmy!
- A, to o to poszło?! – mruknął Angus i przysiadł na skale. – Prawie ci wierzę...
- Ja mu wierzę całkowicie. – Caitrin wyłoniła się z mroku i podeszła do ogniska. Lantu przyjrzał się jej, zastanawiając się, skąd to nagłe zaufanie.
- Bo to prawda – powiedział Lantu bez śladu apatii. – Powiedzcie mi, co on dokładnie chce zrobić?

Caitrin streściła mu informacje uzyskane od Antonowa, Angus zaś cały czas obserwował go z namysłem, jako że Lantu pierwszy raz zdawał się być żywy. Zadawał pytania i wręcz tryskał energią – po parunastu sekundach do Angusa dotarło, że dopiero teraz widzi prawdziwe oblicze oficera, który omal nie zlikwidował ruchu oporu.

– Huark jest idiotą – oznajmił w pewnym momencie Lantu, zaczynając spacer w tę i z powrotem ze splecionymi na plecach rękoma. – To głupi, zaślepiony fanatyk, który naprawdę to robi.

– To już wiem – burknął Angus. – W obozach znów zaczęli zabijać, więc nie przestaną, jeśli Korpus nie wylądje.

– Wznowili egzekucje? – Łuski na twarzy Lantu nagle pociemniały.

– Ano. Dzień po twoim zniknięciu. Dlatego powiedziałem, że chyba ci wierzę, Paw... admirał.

W innych okolicznościach ta nagła zmiana w podejściu szczerze by Lantu ubawiła. Teraz ledwie ją zauważył.

– Sądzę, że musi dojść do inwazji, ale innego wyjścia nie ma. Takim jak on czy Shamar nie można zostawić władzy nad planetą i powinniście to oboje rozumieć, bo uciekliście Inkwizycji. A to znaczy, że słyszeliście, co głosi Kościół Świętej Ziemi.

– Ano – potwierdził zwięźle Angus.

– To jest kłamstwo. Jedno wielkie kłamstwo, teraz jestem tego pewien, ale Huark czy Shamar nawet o tym nie pomyślą. A fanatycy wierzący w świętą wojnę i pokonani są znacznie groźniejsi od zwyczajnych. Zabili tu prawie milion ludzi, gdy byli pewni, że wygrywają. Teraz zabiją wszystkich pozostałych, jeśli tylko będą mieli czas. Skutek dla mieszkańców będzie taki sam jak w przypadku inwazji, tylko śmierć boleśniejsza. Tylko że ja im na to nie pozwolę!

– O! A to niby jak?

– Sposobem... jeśli mi zaufacie.

* * *

Antonow zakończył rozmowę i gdy z ekranu zniknęli MacRory, MacDougall i... ten trzeci, odwrócił się ku siedzącym przy stole oficerom. Wszyscy wyglądali na targanych równie sprzecznymi uczuciami co on sam. Spodziewali się radosnego powitania i pomocy ze strony ruchu oporu, gdy dowiedzieli się o jego istnieniu, ale thebańskiego zdrajcy nikt nie wziął pod uwagę.

A już nikomu się nie śniło, że będzie to dowodzący thebańską flotą do bitwy o Redwing włącznie admirał. Oficer odpowiedzialny równocześnie za zdradziecki atak i masakrę Floty Pokojowej. Antonow wiedział o zmianie dowódcy wrogiej floty, ale nie spodziewał się spotkać kiedykolwiek jego poprzednika. A już w żadnym razie jako sprzymierzeńca.

– No cóż, panie i panowie – zadudnił. – Usłyszeliśmy, jaki partyzanci, a raczej Lantu ma plan. Jakies komentarze?

– Nie podoba mi się – ocenił generał Aram Shahinian zawsze walący prosto z mostu, jak na rasowego Marine przystało. – Mamy posłać na powierzchnię kilkuset Raidersów tylko z lekkim uzbrojeniem, żeby ich nie wykryto, i oddać ich pod komendę tego Pawiana. Nie podoba mi się to.

Prawie było widać, jak okopuje się na tym stanowisku z uporem godnym armeńskich górali, od których się wywodził.

– Mnie zaś nie podoba się i to zdecydowanie to, że mam zaufać Pawianowi – dodał Kthaara poprzez tłumacza, jako że nie wszyscy obecni znali orioński.

Słyszając go, Antonow prawie się uśmiechnął – określenie wymyślone przez partyzantów przyjęło się praktycznie z prędkością światła.

– Tylko pytanie, czy mamy alternatywę – odezwał się Tsuczewski. – Partyzanci znają Huarka, a Lantu zna go najlepiej ze wszystkich. Są przekonani, że spełni swą groźbę, jeśli wylądujemy. A jeśli tego nie zrobimy, powoli wyrzną mieszkańców do ostatniego. W sumie wyjdzie na to samo. Ich plan jest ryzykowny, ale jeśli ktoś ma inny, dający szansę odzyskania planety bez masakry mieszkańców, to nic o nim nie słyszałem. Ma ktoś taki plan?

Odpowiedziała mu cisza.

Przerwała ją w końcu nieco niepewna Trewayne:

– Zniszczyliśmy obronę planetarną, więc garnizon nie stanowi zagrożenia; można by zostawić siły patrolowe i po prostu kontynuować natarcie...

– Nie! – przerwał jej zdecydowanie Antonow. – Nie zwałę tego problemu komuś innemu na kark, bo to niczego nie zmieni poza tym, że Huark będzie miał więcej czasu na stopniowe wyrzynanie mieszkańców. Tę decyzję trzeba podjąć teraz i jest to obowiązek głównodowodzącego, czyli mój. Ja też nie ufam temu całemu Lantu, ale sierżant MacRory i kapral MacDougall wydają się być odmiennego zdania. A fakt, że po tym, co przeszli, ufają jakiegokolwiek... Pawianowi, mówi wiele i jest przekonującym argumentem w tej kwestii. Generale Shahinian, rozumiem pańskie zastrzeżenia, ale zaryzykujemy to, co proponuje

lokalny ruch oporu. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za tę decyzję. Proszę przygotować oddziały do desantu na pełną skalę. W pierwszej kolejności trzeba opanować obozy. Desant zaczniemy natychmiast po otrzymaniu wiadomości o sukcesie grupy uderzeniowej. Jeśli jej się nie powiedzie, zobaczymy.

– Aye, aye, sir. – Shahinian znał Antenowa na tyle dobrze, by wiedzieć, że czas dyskusji właśnie się skończył.

– Proszę wyznaczyć stosownego dowódcę grupy uderzeniowej, uwzględniając to, z kim będzie musiał współpracować – przypomniał Antonow. – I musimy coś zrobić z sierżantem MacRorym: nie uchodzi, żeby sierżant był odpowiedzialny za wyzwolenie całej planety. Proszę przygotować dokumenty z awansem na stopień oficerski, generale. Tylko nie na jakiegoś tam poruczniczynek czy kapitana z bożej łaski! Czy ktoś ma coś do dodania?

– Tak – Kthaara spojrział mu prosto w oczy. – Proszę o przydział do grupy uderzeniowej. Myśliwce nie mają zostać użyte, więc w swej zwykłej roli do niczego się nie przydam. A ponieważ broje nie mogą być wykorzystane, jak to wyjaśnił generał Shaahiiniaan, fakt, że nie mogę takiej użyć z powodu różnic w budowie anatomicznej przestaje mieć w tym wypadku znaczenie.

Antonow przez długą chwilę przyglądał mu się z namysłem. Z jednej strony Kthaara jeszcze nie miał okazji zemścić się w najpełniejszy klasyczny sposób, a to była wręcz doskonała okazja. Z drugiej był oriońskim wojownikiem i postępował honorowo... a poza tym na pewno nie zufa żadnemu Pawianowi, co oznaczało, że będzie obserwował Lantu niezwykle uważnie i podejrzliwie.

– Zgoda, komandorze – powiedział cicho.

* * *

Angus stał na wietrznym płaskowyżu i spoglądał w ciemne nocne niebo, mając nadzieję, że Marines dobrze obliczyli, gdzie mają lądować, bo oznaczenie lądowiska w jakikolwiek sposób nie wchodziło w grę. Co prawda wszystkie thebańskie satelity zostały zniszczone, ale zawsze mógł przelecieć nad górami jakiś samolot, w najmniej naturalnie odpowiednim momencie.

W górze nagle rozbłysły silniki hamujące promów szturmowych. By zminimalizować ryzyko wykrycia, schodziły pod ostrym kątem, a w tej okolicy oznaczało to równie ostre hamowanie z braku miejsca. Opadające światła wyraźnie zwolniły i wyrównały lot, po czym zgasły, gdy manewr zakończono. Nad jego głową przeleciał ciemniejszy od nocy, masywny kształt i zniknął.

Angus czekał cierpliwie i po chwili zauważył, jak coś na moment przesłoniło jedną z gwiazd. A potem gwiazdy zaczęły nieregularnie migotać, w okolicy zaś rozległy się głuche łupnięcia i stłumione przekleństwa. Uśmiechnął się, przypominając sobie swoje nocne skoki, i włączył latarkę z czerwoną przysłoną.

Prawie równocześnie obok wyrosła bezgłośnie masywna postać.

– Sierżant MacRory? – spytał ostro przybysz.

– Ano – przyznał Angus.

– Major M'boto, Dwunasty Batalion Marine Raiders.

– Witamy na New Hebrides – Angus wyciągnął ku niemu prawicę.

* * *

Jaskinia była zatłoczona, jako że znajdowało się w niej dwustu partyzantów, pięciuset Marines i jeden Pawian, bo tak już Theban nazywali wszyscy w Drugiej Flocie. Marines mieli na sobie reaktywne kombinezony maskujące nazywane kameleonami, gdyż dostosowywały się do otoczenia. W mroku jaskini rozświetlanym jedynie przez blask ogniska były zupełnie niewidoczne. Twarze i ręce pokryli czarną pastą maskującą, tak że na dobrą sprawę widać było jedynie białka ich oczu. Jaskinia przypominała miejsce zlotu duchów.

Właśnie skończono rozdawać broń, którą przywieźli ze sobą.

Przy samym ognisku, na pojemnikach z amunicją, siedzieli Lantu, Angus i M'boto. Ten pierwszy czuł się dziwnie, widząc wokół siebie tylu uzbrojonych ludzi, choć sam ich tu sprowadził. Nie żeby się bał, ale było mu nieswojo, a wrażenie to potęgowało się za każdym razem, gdy spojrzał na M'boto, ponieważ krok za nim i z boku stał milczący, porośnięty czarnym futrem wojownik orioński, nie spuszczał zimnych oczu z Lantu, a dłoni z rękojeści sztyletu przy boku. Choć znał prawdę, za każdym razem gdy spoglądał na sługę Szatana-Chana, musiał opanowywać dreszcz.

– A więc... – odezwał się M'boto – to ty jesteś pierwszy admirał Lantu.

– Jestem – przyznał spokojnie Lantu.

Spoglądając na czarny beret M'boto z oznaką Federation Marine Corps, czyli skrzyżowanym karabinem i rakieta, Lantu zastanawiał się nieco abstrakcyjnie, ilu przyjaciół majora zginęło na okrętach, które zniszczyły thebańskie jednostki dowodzone przez niego samego.

– No dobra – M'boto przerwał ciszę. – Mam rozkazy oddać się pod dowództwo sierżanta... przepraszam: pułkownika MacRory'ego. Jak rozumiem, on ci ufa, więc chwilowo mi to wystarcza.

– Dziękuję, majorze.

M'boto wzruszył ramionami i zwrócił się do Angusa.

– Byłoby dobrze, panie pułkowniku, gdyby wprowadził mnie pan w szczegóły.

– Ano. – Angus otrząsnął się już tak z szoku, jak i ataku wesołości na wieść o awansie „w oficerzy”. – Daj no tu mapę, Katie.

* * *

Przykucnięty za mokrym krzakiem Lantu rozglądał się bacznie, w duchu zaś wdzięczny

był losowi, że partyzanci, których zwalczał, byli tak nieliczni i źle uzbrojeni. Otaczało go siedmiuset ludzi, a wszyscy byli niewidoczni. I to nie dlatego, że Marines oprócz broni przywieźli dla wszystkich kombinezony maskujące – nawet bez nich ci ludzie poruszali się jak duchy. Raidersi byli lepsi, niż Lantu sobie wyobrażał, ale partyzanci byli od nich jeszcze lepsi, jako że znali świetnie tę planetę, a na doskonalenie umiejętności mieli lata ciągłej praktyki. Ci, którzy przeżyli, byli mistrzami.

Poza tym przekonał się, jak różniła się przestarzała broń, w którą wyposażona była planetarna policja czy thebańska armia, od broni pierwszoliniowych sił Federacji. W czasie nocnego marszu dwa helikoptery znalazły się zbyt blisko kolumny i oba zostały błyskawicznie zniszczone, nim ich załogi zdążyły zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. A to dlatego, że pociskami do ręcznych wyrzutni przeciwlotniczych były ważące po sto gramów miniaturki antyrakiet używanych w przestrzeni, osiągające cel z prędkością wynoszącą 10% szybkości światła i mające główce wypełnione nowym rodzajem materiału wybuchowego.

Obie maszyny dosłownie rozpadły się tuż po trafieniu.

Przez moment było mu żal załóg, ale natychmiast się otrząsnął – jeśli kłamliwa banda fanatyków nie zostanie powstrzymana, to znacznie więcej okłamywanych do końca jego rodaków zginie.

Dalsze rozmyślenia przerwało mu nagłe pojawienie się Angusa i M'boto. Bo stałą, bezgłośnie obecność Kthaara'zarthana nauczył się już ignorować. Nie miał zresztą żadnych złudzeń, dlaczego ten ma go zawsze w zasięgu skoku.

– Jesteśmy na miejscu i to w niezłym czasie – ocenił Angus.

– Teraz pojmuję, dlaczego ten Huark czuje się tu tak bezpiecznie – zawtórował mu M'boto, ponownie przepatrując teren przez lornetkę z wyłączonym wspomaganie elektronicznym.

Parę metrów przed nimi kończył się las. Dalej znajdował się starannie wykarczowany i oczyszczony z roślinności pas ziemi o szerokości stu metrów i szerokie zasieki z drutu kolczastego, pod którym wkopano miny. Kończyły się one przy ziemnych umocnieniach, z których w regularnych odstępach wyrastały masywne wieże. Rozmieszczono na nich ciężką broń, a stanowiska ogniowe starannie osłonięto workami z piaskiem. Wewnątrz stacjonował liczący 1200 żołnierzy oddział Kościelnych w czarnych mundurach wsparty przez dwa plutony pancerek.

Pancerek, na których Lantu nigdy nie udało się położyć ręki, choć próbował naprawdę uczciwie.

– Mówiłeś, że te bunkry są jak głębokie?

– Do dwudziestu metrów. Poziom główny bunkra dowodzenia jest na tej głębokości, majorze. A na tym właśnie poziomie znajduje się kwatera i gabinet Huarka.

– Szlag! – mruknął z uczuciem M'boto i opuścił lornetkę.

Po czym spojrzął na Angusa i wyjaśnił:

– Zewnętrzne umocnienia, zasieki i pola minowe to żaden problem: czego nie rozwałą rakiety, dobieje ogień broni maszynowej i granaty. Ale dwadzieścia metrów w głąb gruntu to za dużo nawet dla tych rakiet. Obawiam się, że musimy się zgodzić na plan admirała Lantu, panie pułkowniku.

– Ano – przyznał niechętnie Angus.

Potem pozostało im tylko czekać, aż M'boto wyda stosowne rozkazy swoim oficerom.

* * *

Pułkownik Huark siedział w swoim gabinecie na głównym, czyli najniższym poziomie bunkra dowodzenia, wpatrując się w niewielki przycisk podłączony do centralki, z której wkopane w ziemię łącza prowadziły do wszystkich założonych min. I aż go świerbiło, żeby go nacisnąć.

Admirał niewiernych nie odezwał się, co mogło oznaczać, że jest zajęty przygotowaniem do inwazji...

Huark pogłaskał delikatnie przycisk – miał nadzieję, że tak właśnie się stanie.

* * *

– Pora – mruknął Angus.

Lantu przytaknął ostrym ruchem głowy.

Orioński wojownik zamiauczał coś po swojemu, ale M'boto jedynie wzruszył ramionami i podał Lantu broń.

Nie mający nawet jednego metalowego elementu pistolet był ciężki i nie leżał właściwie w jego dłoni. Nie było w tym nic dziwnego – wykonano go dla Sił Specjalnych Federacji. Lantu wsunął go za pazuchę i starannie zapiął kurtkę mundurową.

– Będziecie wiedzieli, kiedy zaatakować – powiedział.

Angus przytaknął ruchem głowy.

I wyciągnął ku niemu prawą dłoń.

– Uważaj na siebie – powiedział szorstko. – Nie bądź głupi, nie daj się zabić.

– Dziękuję – odparł cicho Lantu, ściskając jego szeroką i trudną do objęcia dłoń.

A potem odszedł w noc.

* * *

Kościelny szeregowy Katanak wycelował, widząc w ciemnościach jakiś ruch. Prawie nacisnął spust, ale zapanował nad strachem i krzyknął:

– Sierzancie Gohal! Niech pan spojrzy!

Sierzant też odruchowo sięgnął po broń, ale zaraz się odprężył, widząc krepą postać na krótkich nogach wychodzącą z lasu i maszerującą przez oświetlone reflektorami pole.

– Zawiadom porucznika! – polecił szeregowemu. – To jeden z naszych!

* * *

Lantu próbował zataczać się jak najnaturalniej, zbliżając się do bazy. Zwiesił ramiona, by symulować zmęczenie. Mundur miał rozdarty i wybrudzony przez Angusa i Tullocha. Wiedział jednak, iż wszystko to na nic się nie przyda, jeśli Huark poznał prawdę o jego „porwaniu”.

– Kto... – zaczął młody porucznik czekający przy bramie. – Święta Ziemia! Pierwszy admirał Lantu!

– Zgadza się – wysapał Lantu. – Na co czekasz, chłopcze? Wpuść mnie do środka.

– Admirale... miny... znaczy jak?

– Zamierza pan tu tkwić całą noc i się jąkać bez ładu i składu?! – warknął Lantu, prostując ramiona. – Nie po to uciekałem bandzie heretyków i tułałem się przez dobre sto kilometrów, żeby mieć do czynienia z idiotą!

– Przepraszam, sir! – Porucznik czym prędzej wyprężył się, salutując. – Byliśmy przekonani, że pan nie żyje, sir! Sierżancie, natychmiast otwierać bramę!

Brama rzeczywiście została otwarta natychmiast. Lantu przeszedł przez nią pewnym krokiem i nawet nie spojrzał na wbudowane w ścianę detektory. Wykrywały tylko metal...

– Dziękuję, poruczniku – pozwolił, by w jego napiętym głosie pojawiła się ulga. – Teraz proszę zaprowadzić mnie do pułkownika Huarka. Ci przekłeci terroryści chcą... nieważne. Do pułkownika! Natychmiast!

– Tak jest, sir! – Porucznik prawie zasalutował.

Następnie zrobił przepisywy w tył zwrot i poprowadził Lantu do bunkra dowodzenia.

* * *

– Jest w środku – mruknął M'boto. – Mam nadzieję, że nas nie zdradzi.

Angus tylko chrząknął w odpowiedzi.

Kthara wyszczał natomiast coś długiego, zakończonego warknięciem i brzmiącego jak piętrowe przekleństwo.

* * *

Lantu schodził po stromych i długich stopniach z coraz większym zmęczeniem, toteż coraz łatwiej mu było udawać wyczerpanego uciekiniera. Stojący przy pancernych drzwiach na końcu klatki schodowej wartownicy popatrzyli na niego i porucznika bez zaciekawienia i dopiero gdy ten drugi podbiegł do nich i coś szepnął, przyjrzeni mu się uważniej, ale niewiele mogli dojrzeć w słabym świetle. Dowodzący nimi kapitan podszedł pospiesznie do Lantu.

– Pierwszy admirał Lantu! Myśleliśmy, że pan...

– Wiem, porucznik wyjaśnił mi wszystko po drodze – przerwał mu zmęczonym głosem Lantu. – Jak widać, żyję. I muszę natychmiast widzieć się z pułkownikiem.

– Nie sądzę... – zaczął kapitan.

I umilkł pod nagle lodowatym spojrzeniem Lantu.

– Zaraz mu zamelduję, sir!

– Tak już lepiej, kapitanie – pochwalił go chłodno Lantu.

Kapitana wręcz wymiotło za drzwi.

Wrócił po kilkunastu sekundach.

– Pułkownik pana oczekuje, sir!

Lantu chrząknął i ruszył w ślad za oficerem do wnętrza głównego poziomu.

Kwatera i gabinet Huarka znajdowały się mniej więcej w jego środkowej części.

– Słodka Ziemo, to naprawdę pan! – westchnął nieco kwaśno Huark, najwyraźniej w przeciwieństwie do podkomendnych średnio ucieszony jego widokiem.

– Witamy wśród żywych, sir! – Odezwał się drugi głos.

Lantu odwrócił się i ze zdumieniem dostrzegł pułkownika Fraymaka wyciągającego ku niemu dłoń. W głosie Fraymaka brzmiała autentyczna radość. Próbując odpowiedzieć uśmiechem, Lantu czuł jedynie żal do losu, że to właśnie Fraymak musiał się tu znaleźć w tym momencie.

– Pułkowniku Fraymak, pułkowniku Huark, dzięki Świętej Ziemi, że dotarłem tu na czas. Mam ważne informacje o planach terrorystów! – oznajmił.

Fraymak mrugnął wewnętrznymi powiekami, słysząc to określenie od niego, ale była to jedyna jego reakcja.

– Tak? – Huark pochylił się z zaciekawiony. – Co to za informacja?

– Sądzę, że lepiej będzie, jeśli wpierw tylko pan ją pozna.

Huark zmrużył oczy, a po sekundzie kiwnął głową.

– Wszyscy wyjść! – warknął. – I zamknąć drzwi za sobą!

Sztabowcy wraz z wartownikami wyszli, ale Fraymak został.

A Lantu nie mógł nic na to poradzić, gdyż Fraymak był jego najbardziej zaufanym oficerem. Huark przez moment wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie zrobił tego, najwyraźniej nie chcąc rozdrażniać niespodziewanego gościa.

– Dobrze, panie admirale – powiedział zamiast tego. – Słucham.

– Terroryci planują poważny atak – oznajmił Lantu, rozpinając kurtkę mundurową. – Ukradłem jedną z ich map i...

Sięgnął za pazuchę i płynnym ruchem wy dobył pistolet.

Nacisnął spust, ledwie zdążył skierować lufę w stronę Huarka.

* * *

– Zamieszanie przy wejściu do bunkra dowodzenia, sir! – zameldował Raider siedzący z lornetką na gałęzi najbliższego drzewa kilkanaście metrów nad ziemią.

– Ognia! – polecił M'boto, słysząc jego głos w umieszczonej w uchu słuchawce.

Jeśli Lantu zawiódł, to za chwilę zginą nie tylko oni, ale i ze trzy miliony innych ludzi.

* * *

Siła pocisku odrzuciła Huarka na ścianę.

Lantu ponownie nacisnął spust i z ust Huarka buchnęła krew. Był martwy, nim osunął się na podłogę, zostawiając na ścianie krwawą smugę.

Lantu już się odwracał. Kolejny strzał zniszczył przełącznik na biurku, a trzy następne zmieniły centralkę na ścianie w iskrzący i dymiący złom. Przez cały czas czekał, kiedy trafi go pierwsza kula z pistoletu Fraymaka, ale nic podobnego nie nastąpiło.

Dokończył obrót i stanął twarzą w twarz z pułkownikiem. Broń Fraymaka nadal znajdowała się w zapiętej kaburze, a jego dłoń w bezpiecznej od niej odległości.

– Ppanie admirale...?

– Przykro mi, Fraymak. Nie mogłem dopuścić, by to zrobił – wyjaśnił Lantu i podszedł do pancernych drzwi.

Zdążył zasunąć pierwszą blokadę, gdy załomotały w nią najpierw pięści, a potem kolby. Metodycznie dokończył zabezpieczenia drzwi, dając Fraymakowi czas na ochłonięcie.

– Święta Ziemio! – jęknął ten wreszcie. – Pan nie uciekł! Pan...

– Zgadza się – przytaknął miękko Lantu.

I w tym momencie na górze rozpętało się piekło.

* * *

Noc rozdarły wybuchy, gdy pierwsza salwa rakiet trafiła w wieże, niszcząc prawie wszystkie. Potem zaś noc zmieniła się w dzień, gdy dołączyły do nich moździerze ostrzeliwujące amunicją przeciwpancerną i zapalającą park maszynowy i granatniki robiące przejścia w zasiekach oraz polu minowym. Obsługi wyrzutni rakiet zmieniły cele i kolejne salwy zmiotły pozostałe wieże, zmieniły bramę wjazdową w dymiący otwór i zajęły się otwartymi stanowiskami strzeleckimi na murach. Seria eksplozji wewnątrz umocnień świadczyła o celności moździerzy, a pożary o trafieniu w zapasy paliwa. Moździerze załadowano magazynkami z granatami odłamkowymi i kolejne serie eksplozji zaczęły maszerować po fortyfikacji, dziesiątkując spieszących na stanowiska obrońców.

Granatniki postawiły osłonę dymną i termiczną i przez wysadzone przejścia rozpoczął się atak.

Tu i ówdzie z nie zniszczonych jeszcze stanowisk strzeleckich odezwały się karabiny maszynowe, tnąc niebo seriami pocisków.

* * *

– Potwierdzone eksplozje w celu głównym, sir – zameldowała major Janer Toomepuu, oficer ogniowy FNS *Mangus Coloradas*.

Jednostka dowodzenia 1. Grupy Uderzeniowej Federation Marine Corps unosiła się na orbicie geostacjonarnej nad obozem, w którym przebywał Huark i o który właśnie toczyła się walka.

– Nigdzie na planecie nie zanotowano eksplozji nuklearnej, panie generale – dodała major Toomepuu.

– A odnotowano jakieś duże ruchy wojsk? – spytał generał Shahinian.

– Nie, sir.

– W takim razie proszę rozpocząć desant!

– Tak jest, sir!

Promy szturmowe pierwszej fali wiozące Pierwszą i Drugą Dywizję Marines i czekające na orbicie na ten właśnie rozkaz runęły w dół niczym stado sokołów, zmierzając ku rozszanym po planecie obozom reedukacyjnym i thebańskim bazom wojskowym.

Ich miejsce zaczęły zajmować promy wiozące drugą falę desantu.

* * *

Większość garnizonu spała sobie smacznie i obudzona została dopiero eksplozjami pierwszej salwy. Nim oprzytomnieli i wybiegli z kwater, dopinając oporządzenie, zdziętkowały ich na otwartej przestrzeni granaty moździerzowe. A gdy nawała się skończyła i oszołomieni zdołali pozbierać się na nogi, z dymu i kurzu wypadły na nich na poły jedynie widoczne demony siejące śmierć i zniszczenie granatami i lawiną ognia z broni maszynowej.

Marines i partyzanci byli w twierdzy.

Grupy szturmowe przenikały coraz głębiej i głębiej, ignorując większość obrońców i zmierzając do wyznaczonych celów. Najważniejszą i największą prowadził pułkownik Angus MacRory.

* * *

Angus wyszarpnął bagnet z martwego Kościelnego i opróżnił magazynek granatnika prosto w drużynę wybiegającą z ziemianki, roznosząc Kościelnych i ich kwatery w serii eksplozji. Nie przerywając biegu, wymienił magazynek i zaklął, gdy znajdujący się obok Davey MacIver padł ścięty serią jakiegoś karabinu maszynowego przy wejściu do bunkra dowodzenia.

Strzelec przesunął lufę broni, ale nim seria świetlnych pocisków dosięgnęła Angusa, na stanowisku karabinu maszynowego eksplodował granat ciśnięty przez jakiegoś Raidera. Głowa innego Marine nagle zmieniła się w krwawą miazgę, a w następnej sekundzie ponad zgiełk walki wybił się przeraźliwy ryk wojenny klanu Zarthan i Kthaara opróżnił magazynek w szczelinę bunkra, z której padły strzały.

Jakiś Pawian wypadł z wejścia do bunkra dowodzenia i zamarł, widząc, co się dzieje.

Angus wpakował mu pocisk z granatnika w klatkę piersiową i kucnął. Gdy pocisk eksplodował, po Pawianie zostały tylko dymiące buty.

Raider z miotaczem ognia wyprzedził go i jako pierwszy dopadł wejścia. Uchylił drzwi, wsadził lufę miotacza do środka i omiół wewnątrz długą strugą ognia. Po czym natychmiast je zamknął. Mimo strzelaniny dało się słyszeć dobiegające z bunkra nieludzkie wrzaski i wycia.

Dopiero gdy ucichły, kapral Marines otworzył drzwi, wypuszczając na zewnątrz falę smrodu i dymu. Raidersi wpadli do środka, a w ślad za nimi Angus, Tulloch i pozostali. Aż do schodów nie napotkali nikogo żywego, zobaczyli jedynie dymiące ciała lub ich szczątki.

Jako pierwsze w dół poleciały granaty. Gdy umilkł huk ich eksplozji, rozległy się ciche jęki, ale strzałów nie było. Trzech Marines ruszyło jako szpica, Angus i Tulloch zaraz za nimi, a potem inni, odliczając wyznaczonych do sprawdzenia reszty naziemnego poziomu i obrony wejścia na wszelki wypadek.

Na podejście prowadzącym na pierwszą podziemną kondygnację ujrzeli tylko trupy, więc ruszyli dalej. Zdobywaniem tej miała zająć się ostatnia grupa schodzących.

Z podestu kolejnej kondygnacji otwarto do nich ogień – padł prowadzący Marine, dwaj pozostali odpowiedzieli ogniem. Gdy strzelanina umilkła, tylko jeden z nich trzymał się na nogach, ale był ranny. Angus minął go i objął prowadzenie, strzelając co któryś stopień z granatnika. Z dołu odpowiedziały serie, więc padł na brzuch i zjechał pół piętra, waląc ogniem ciągłym aż do opróżnienia magazynka. Po trafieniu na równą przestrzeń przetoczył się, poślizgnął na kałuży krwi i w końcu pozbierał, klnąc z uczuciem.

Załadował nowy magazynek i rozejrzał się, co pozwoliło Tullochowi go wyprzedzić i wbiec przez na wpół wysadzone pancerne drzwi. Zaraz za nimi potknął się o trupa i padł jak długi, co mu uratowało życie, gdyż z wejść do różnych pomieszczeń z prawa i lewa otwarto ogień. Kule z wizgiem rykoszetowały od drzwi, ale Tulloch podobnie jak Angus miał granatnik. I doskonałe pole ostrzału.

Angus takiego pola nie miał, ale starał się, jak mógł, i obaj błyskawicznie wybili najbliższych strzelców, stawiając przy okazji zasłonę z dymu, kurzu i odłamków betonu. Angus wpadł do środka i od razu uskoczył w otwór pierwszych drzwi. Na zwolnione przez niego miejsce wcisnęli się dwaj Marines i otworzyli ogień z broni maszynowej.

Dalej wszystko poszło już zgodnie z zasadami zdobywania budynków: dopaść wnęki drzwiowej, wrzucić granat, odczekać, a po wybuchu wpaść do środka i omieść pomieszczenie ogniem, gdy pozostali przyduszali kolejnych obrońców seriami z broni maszynowej.

Ogień obrońców słabł, a potem na moment zamarł zupełnie, gdy z dymu wypadł Kthaara i waląc z biodra, pomknął w głąb korytarza, ignorując wspomniane reguły zdobywania pomieszczeń. Czarne futro, białe kły i wściekły błysk oczu sprawiały, że wyglądał rzeczywiście niczym demon z piekielnych otchłani.

W ślad za nim gnał klnący na czym świat stoi sierżant Marine Raiders, krótkimi mierzonymi seriami kładąc tych, których przeoczył Kthaara. Obaj zniknęli za zakrętem

korytarza, gdzie rozpętała się kanonada wsparta eksplozjami granatów, a potem wszystko ucichło. Nie słychać było nawet żadnego jęku.

Angus wyprostował się i wodząc przed sobą lufą granatnika, ruszył ku korytarzowi prowadzącemu w bok do gabinetu i kwatery Huarka.

– Lantu? – zawołał.

Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległ się głos:

– Tutaj, pułkowniku MacRory! Tylko proszę podejść powoli.

Angus wykonał polecenie, ostrożnie stawiając kroki. Ostrożnie, gdyż podłogę korytarza zaścielał co najmniej tuzin trupów, a w powietrzu gęsto było od kurzu i prochowego dymu. Wszystkie ciała zwrócone były twarzami ku wysadzonym pancernym drzwiom na końcu korytarza.

Z wyczuciem przekroczył próg i zamarł, celując w Pawiana w mundurze armii thebańskiej z dystynkcjami pułkownika na kołnierzu i nadal dymiącym pistoletem maszynowym w dłoniach. Obok niego na podłodze siedział Lantu, trzymając się za krwawiące mocno ramię, blady tak z bólu, jak i z powodu utraty krwi.

– Niech pan nie strzela, pułkowniku! – polecił ostro.

Tak Angus, jak i jego rodak spojrzeli na niego.

Lantu roześmiał się słabo i wyjaśnił:

– Chodziło mi o pana, pułkowniku MacRory. Okazało się, że miałem tu jednak sprzymierzeńca... Pułkowniku MacRory, to jest pułkownik Fraymak.

Rozdział XXV

ZBIERA SIĘ NA BURZĘ

– Rozmawiałem o tobie z admirałem Al-Saną z działu personalnego floty, Andy – oświadczył Howard Anderson.

– Tak, sir? – Chorąży Mallory spojrział na niego zaskoczony.

– W przyszłym tygodniu awansujesz na porucznika. Al-Sana obiecał przenieść cię albo do sztabu, albo do Drugiej Floty, jak zdecydujesz.

– Przenieść?!

– Osobiście uważam, że nauczysz się więcej u admirała Timoszenko – odparł Anderson, spoglądając przez okno pojazdu. – Natomiast jeśli wybierzesz przydział liniowy, zdążysz przed ostatecznym atakiem, a udział w akcji bojowej nigdy jeszcze nie zaszkodził karierze młodego oficera...

– Moment, sir. – Mallory wyrobił się na tyle, by przerwać szefowi i nie rozkwitnąć przy tym rumieńcem jak piwonia. – Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to wołałbym dokończyć tę wojnę tu, gdzie jestem, czyli z panem.

– Przykro mi, Andy – Anderson spojrział na niego ze szczerym żalem – ale to akurat nie będzie możliwe.

– Dlaczego, sir? Kiedy wróci pan z Ziemi...

– Nie wrócę – przerwał mu łagodnie Anderson. – Rezygnuję ze stanowiska.

– Teraz?! Kiedy wszystko zaczyna się wreszcie kręcić i zbliżać do finału? – Mallory był zszokowany.

– Właśnie dlatego. Terminy budowy okrętów są dotrzymywane, nowe systemy uzbrojenia wdrożone do produkcji... z resztą doskonale poradzi sobie admirał Timoszenko.

– Ale to nieuczciwe, sir! To pan wymusił na tych dusigroszach i oszustach to wszystko, a kto inny zbierze za to laury.

– Andy, naprawdę sądzisz, że mi na tym zależy?

Tym razem Mallory zaczerwienił się i potrząsnął przecząco głową.

– To dobrze. – Anderson poklepał go po kolanie. – Natomiast jest coś, co muszę zrobić na Ziemi, a czego nie mogę zrobić jako członek rządu.

Mallory przyjrzał mu się uważnie, po czym pokiwał głową, tym razem z aprobatą.

– Rozumiem. Powiniennem być się domyślić – powiedział cicho.

Pojazd tymczasem wylądował, toteż młodzieniec wysiadł i otworzył drzwi. Anderson wysiadł wolniej, ale jak zwykle samodzielnie, i podał mu rękę.

– Powodzenia, sir.

– Panu także, poruczniku, choć może to lekkie nadużycie tytułu. – Anderson uścisnął dłoń Mallory’ego. – Spodziewam się usłyszeć o panu dobre wieści.

– Postaram się, by tak się stało, sir.

Anderson kiwnął głową i nie oglądając się już, wspiał się po stopniach do przedziału pasażerskiego promu.

* * *

Atmosfera w budynku Zgromadzenia Legislacyjnego uległa zmianie.

Czuło się to zaraz po wejściu, ale im bliżej było głównej sali obrad, tym było to wyraźniejsze. Andersona taki stan rzeczy nie dziwił, jako że we wszystkich mediach trąbiono o tym samym. Przecieki utajnionych raportów dotarły na Ziemię zadziwiająco szybko i choć naturalnie nie był w stanie tego udowodnić, dobrze wiedział, czyja to zasługa.

Nie wyglądało na to, by wojna potrwała jeszcze długo, a do wyborów pozostało ledwie osiem miesięcy i Pericles Waldeck miał zamiar poprowadzić do nich partię, unikając odpowiadania na głupie pytania typu „kto i po co wciągnął Federację w cały ten konflikt”. A wymachiwanie zakrwawioną koszulą i słuszne oburzenie zbrodniami przeciwko ludzkości zawsze stanowiły skuteczny chwyt wyborczy radykalnie zwiększający liczbę głosów.

Anderson prychnął pogardliwie i włączył się w nurt delegatów, odruchowo wymieniając powitania. Był prawie pewien, że Sakanami nie miał nic wspólnego z przeciekami. I nie dlatego, by nie był do tego zdolny, ale dlatego, że był ostatnią osobą, której mogło zależeć na skomplikowaniu finalnego etapu wojny. A rozgłos nadany całej sprawie na pewno ten etap skomplikuje.

Reakcji opinii publicznej trudno się było dziwić, jako że z liczącej 6,5 miliona populacji New New Hebrides 980 tysięcy zostało zabitych w czasie thebańskiej okupacji. Gdyby zastosować ten sam stosunek do ludności Ziemi, oznaczałoby to śmierć ponad półtora miliarda ludzi, co dziennikarze szybko obliczyli. Najbardziej zaś rozpałał umysły fakt, że ledwie drobna część zginęła w wyniku działań wojennych – większość wymordowała Inkwizycja.

Gniew i nienawiść zrodziły się błyskawicznie, a ich nasilenie zwielokrotni się, gdy Druga Flota znajdzie się w systemie Alfred i do Ziemi dotrą oficjalne meldunki. Anderson jako jeden z niewielu miał prognozy wywiadu oparte o informacje uzyskane z archiwów zdobytych na New New Hebrides i gdy o nich myślał, wstrząsał nim dreszcz.

Usiadł ciężko w swoim fotelu, przeklinając w duchu zmęczenie, które ostatnimi czasy

stało się jego nieodłącznym towarzyszem. Organizm coraz szybciej doganiał lata, pozbawiając go złośliwie sił, a wkrótce będzie ich naprawdę potrzebował. Bo po Zgromadzeniu już krążyły pogłoski o „stosownej karze dla rzeźników”. Podobne słyszał już w ostatniej fazie III wojny międzyplanetarnej. Następnym etapem była zgoda Federacji na propozycję Chanatu, w wyniku której centralne planety Protektoratu Rigeliańskiego zostały zmienione w radioaktywne pustynie, a rasa Rigelian przestała istnieć. Tyle tylko że tamto posunięcie było sensowne, gdyż Rigelianie według standardów ludzkich czy oriońskich nie byli istotami o normalnej psychice i nigdy nie nauczyli się, co to znaczy „poddąć się”. Inwazja na ich centralne planety kosztowałaby miliardy ofiar, a pozbawienie ich tylko możliwości lotów kosmicznych gwarantowało w krótkim czasie kolejną wojnę i kolejne ofiary, bo choć byli szaleni, nie byli głupi i szybko by tę możliwość odzyskali. Co gorsza, nawet po podbiciu ich planet garnizony toczyłyby ciągłą wojnę partyzancką z mieszkańcami, która trwałaby przez pokolenia. Mimo to gdy zakończono bombardowanie i po dokładnym sprawdzeniu zdano sobie sprawę, że Federacja wzięła udział w wymordowaniu całej rasy...

Wstrząsnął się na samo wspomnienie i mocniej ujął laskę, czekając na rozpoczęcie obrad.

Waldeck mógł sobie chcieć wyróżnić następną rasę dla własnych politycznych korzyści i bezpieczeństwa, ale Howard Anderson był naprawdę starym człowiekiem.

I nie miał najmniejszego zamiaru pojawić się przed swoim Stwórcą z krwią dwóch ras inteligentnych na rękach.

* * *

New New Hebrides malała za oknem, czego Iwan Antonow zajęty studiowaniem raportu o likwidacji resztek sił okupacyjnych na planecie nawet nie zauważył. Rozległ się brzęczyk przy drzwiach, więc odłożył raport na biurko i nacisnął przycisk zwalniający zamek. Do kabiny weszli Tsuczewski i Kthaara.

– Właśnie przyszła wiadomość z planety, sir – zameldował. – Znaleźli ostatnich poszukiwanych inkwizytorów. Mimo pewnych trudności ciała dało się zidentyfikować.

– Mhm. – Antonow pogładził brodę. – Niewielu stanie w takim razie przed sądem. Może i dobrze, bo będzie to kilka procesów o morderstwo według lokalnego prawa, a nie pokazowy proces o zbrodnie wojenne. Nigdy mi się ten pomysł nie podobał.

– Wspominałeś – przyznał uprzejmie Kthaara, nie kryjąc, że temat go nie interesuje. Nie pojmował, dlaczego ludzie po prostu nie zastrzelą winnych od ręki – coś o zwycięzcach w jakiejś waszej wojnie, którzy przegranych sądzili w miejscu o niewypowiadalnej nazwie.

– Tamci zrobili to samo co Thebanie, tylko z innych powodów i na większą skalę. No i z przedstawicielami własnej rasy – wyjaśnił Antonow. – Ukarać ich należało, i to przykładnie, tylko że kiedy zaczyna się rozstrzeliwać żołnierzy za wykonanie rozkazów, które w czasie ich wydania nie były bezprawne, bo nie istniało pojęcie „zbrodni przeciwko ludzkości”, powstaje pytanie, skąd żołnierz miał to wiedzieć. A zaraz potem dochodzi się do wniosku, iż został

ukarany za to, że wykonał rozkaz, więc nie powinien go wykonać. I pojawia się pytanie, jakich innych rozkazów nie powinien słuchać w przyszłości. I dochodzimy do jedynie słusznej, absurdalnej odpowiedzi: „zwycięzcy zadecydują o tym po wojnie”. Poza tym przynajmniej jedna ze stron, która tę wojnę wygrała, postępowała prawie tak samo i nikt nie został za to ukarany.

– Nigdy nie zrozumieję, dlaczego upieracie się stosować zasady etyczne i moralne wobec *chofaki* – przyznał z lekka zdesperowany Kthaara. – Nie dość, że oni tego nigdy nie zrobią, to na dodatek nawet nie pojmą różnicy. Honor nawet jako pojęcie abstrakcyjne jest dla nich po prostu niezrozumiałe. Skoro zagrażają waszemu istnieniu, należy ich od ręki pozabijać, nie sądzić. A jeśli będziecie zaciemniać problem kwestiami moralnymi, które są bez znaczenia, sami utrudnicie sobie życie. Zwłaszcza w stosunkach z obcymi rasami, w czym macie niewiele doświadczenia. To zresztą też coś, czego nie pojmuję: konkretnie wasz edykt o nieingerencji z dwa tysiące dziewięćdziesiątego siódmego roku.

– A to akurat jest całkiem proste – wtrącił Tsuczewski. – Jedyne obce rasy, jakie spotkaliśmy do tego momentu, znajdowały się na prymitywnym etapie rozwoju, a nasza własna historia nauczyła nas, że asymilacja kulturalna przy zbyt dużej różnicy techniki nie udaje się. Efektem z reguły jest zniszczenie prymitywniejszej technicznie społeczności i obarczenie bardziej rozwiniętej apatyczną mniejszością całkowicie od niej zależną w kwestiach utrzymania. Dlatego zamiast powtarzać stare błędy, zdecydowaliśmy się pozostawić te rasy własnemu losowi, aby samodzielnie osiągnęły wymagany do kontaktu poziom. Wy spotkaliście znacznie więcej ras obcych na rozmaitych etapach rozwoju, ale jeśli mnie pamięć nie myli, regularnie kończyło się to „demonstracyjnymi uderzeniami nuklearnymi na ich macierzyste planety”. Koniec cytatu.

– Cóż, te czasy już nie wrócą – przyznał z nostalgią Kthaara, choć znacznie mniejszą, niż zrobiłby to rok temu. – A przyznać musicie, że całej tej wojny by nie było, gdyby ten tam... Saaan-Juuuss przestrzegał waszego edyktu. Jak widać, dobrze jest uczyć się na błędach z przeszłości. Zwłaszcza teraz.

Ostatnia uwaga dotyczyła dwóch „gości” zajmujących bacznie strzeżoną sąsiednią salę odpraw, czyli Lantu i Fraymaka. Ponieważ żaden nie był oskarżony o jakiekolwiek przestępstwo, nie wspominając już o zbrodni – nawet członkowie ruchu oporu przyznawali, że nie wydali ani jednego rozkazu o represjach i toczyli tak „czystą” wojnę z partyzantką, jak to tylko było możliwe – nie groził im proces. Profilaktycznie lepiej było ich nie zostawiać na planecie, by nie kusić losu – o podejściu mieszkańców do okupantów najlepiej świadczył niewielki odsetek ujętych żywcem oprawców.

Kthaara od początku nie ukrywał, co sądzi na temat ich obecności na pokładzie, ale pozostali zgadzali się, że Lantu odegrał ważną rolę w zapobieżeniu totalnej masakrze mieszkańców New New Hebrides, toteż przejawiali wobec niego pozytywne podejście, choć w różnym stopniu.

Co mogło się bardzo szybko zmienić.

Ale jak na razie wiedział o tym tylko on, Winnie Trevayne i kilku najbardziej zaufanych jej podkomendnych. A wszystko to z powodu informacji, czego mogą się spodziewać w systemie Alfred, uzyskanych z bazy danych Inkwizycji zdobytej na New New Hebrides.

Antonow zdecydował, że przed rozpoczęciem tranzytu do systemu Alfred podwoi strażę przed salą odpraw.

Tak na wszelki wypadek.

* * *

Wiadomość nie wywarłaby takiego wrażenia, gdyby nie nadeszła bezpośrednio po euforii spowodowanej faktem, że nie muszą wyrąbywać sobie drogi do systemu Alfred. Teraz patrząc na radioaktywne zgliszcza i pustynię, w jaką zmieniała się planeta New Boston, wiedzieli dlaczego. Po prostu nie było czego bronić.

Kthaara znajdujący się wówczas na pomoście flagowym odezwał się pierwszy raz tak cicho, że nie usłyszał go nikt poza Antonowem:

– Wiedziałaś?

Antonow przytaknął i wyjaśnił:

– New Boston miał tylko około miliona mieszkańców. Thebanom nie zależało na nawróceniu tak małej populacji, zwłaszcza po klęsce programu reedukacyjnego na New New Hebrides, więc eksterminowali ich tak szybko, jak się tylko dało. Wyślemy naturalnie grupy poszukiwawcze, by sprawdziły, czy ktoś nie przeżył, bo nawet tak niewielką populację trudno jest wybić do nogi, ale to bardziej formalność. Odnajdziemy niewielu... Uprowadzonych o tym zostało tylko parę najważniejszych osób na Ziemi, ale wkrótce będą wiedzieli wszyscy. Politycy i dziennikarze będą się w tym tarzali jak świnie w gównie i nawet Howard Anderson będzie miał problem, by powstrzymać żądzę zemsty i falę nienawiści.

– Minisharhuaak Iwaaan Nikolaajewicz! – zirytował się Kthaara na tyle głośno, że zaskoczona obsada mostka odwróciła się odruchowo w ich stronę. – Jeszcze by ktoś pomyślał, że współczujesz tej bandzie zradzieckich zbrojczyków!

Antonow powoli odwrócił głowę i spojrzał spokojnie w jego wściekłe oczy. A Kthaara dostrzegł w jego oczach coś, co spowodowało, że jego gniew osłabł.

– Bo tak jest – powiedział cicho Antonow i uśmiechnął się, ale smutek nie zniknął z jego oczu. – I ty też powinieneś, Ktharoo Kornazowiczu, bo teraz jesteś Rosjaninem. A my Rosjanie wiemy aż za dużo o powalonych tyraniach. Ale znacznie bardziej żal mi ludzi...

Na pomoście flagowym stopniowo milkły rozmowy, aż zapanowała kompletna cisza – wszyscy przysłuchiwali się tej wymianie zdań.

A raczej monologowi Antonowa:

– Zakończymy tę wojnę, i to we właściwy sposób. W jedyny możliwy sposób. Zdobędziemy Lorelei, a potem system Thebes i odbierzemy fanatykom jakkolwiek

możliwość powtórzenia tego, co tu zrobili. Ukarzemy winnych i zrobimy wszystko co niezbędne, by tego dokonać. Ale jak długo dowodzę, tak długo nie będziemy sami zachowywali się jak fanatycy. I nie z powodu Theban, ale dlatego że sami sobie jesteśmy winni udowodnienie, że nauczyliśmy się czegoś z własnej historii! Kapitanie Tsuczewski, proszę przygotować kapsuły kurierskie i ponaglić konwój. Będziemy potrzebowali całego zapasu *Hawków*.

* * *

– ...i to byłoby wszystko, sir.

Drugi admirał Jahanak odchylił się na oparcie fotela, rozejrzał po pustej sali odpraw superdreadnoughta *Alois Saint-Just* i podrapał po czole.

– Dziękuję, kapitanie Yurah.

Podziękowanie obejmowało nie tylko ten konkretny meldunek, ale całe zachowanie Yuraha, który w niczym nie przypominał podejrzliwego, by nie rzec wrogiego oficera witającego następcę pierwszego admirała Lantu. Yurah nie był genialnym taktykiem, ale był kompetentnym oficerem floty i choć dokładnie zdawał sobie sprawę, jak poważna jest sytuacja, nie pozwolił, by miało to wpływ na jego działanie. Nie poddał się ani rozpacz, ani co ważniejsze bzdurnym fantazjom, że Święta Ziemia sprawi cud, by ich uratować. To ostatecznie podejście zmusiło Jahanaka do zdjęcia ze stanowisk i odesłania do domu jako nie nadających się do służby zaskakująco wielu oficerów różnych stopni. Wiara była potrzebna i pomocna, ale nie mogła zastąpić realnej oceny sytuacji u oficera floty, bo przestawał nim być, a stawał się wizjonerem.

Jahanak przyjrzał się kolejny raz holoprojekcji ukazującej wylot warpa łączącego ich z systemem Alfred, skąd, jak był przekonany, musiał nastąpić atak. Po pierwsze dlatego, że przeciwnik oddalił się zbyt od Parsifala i potrzebowałby tygodni na przegrupowanie sił. A po drugie dlatego, że nie odważyłby się odsłonić systemu New New Hebrides po tym, co zastał w układzie Alfred. Konkretnie po tym, czym stała się planeta New Boston.

Wokół wylotu z warpa zgrupowane były praktycznie wszystkie siły, jakimi dysponował: 11 superdreadnoughtów i 15 pancerników. Wszystkie znajdowały się na tyle blisko, by mieć wylot w zasięgu dział laserowych. Naturalnie byłby szczęśliwszy, mając więcej okrętów liniowych, ale podejrzewał, że każdy admirał dowolnej floty zawsze chciałby mieć do dyspozycji więcej okrętów, niż miał. A on w przeciwieństwie do większości z nich wiedział, że jeśli przeciwnik poczeka z atakiem choć kilka tygodni, dostanie jeszcze cztery okręty, których naprawy kończono właśnie w stocznich remontowych.

Byłby też znacznie szczęśliwszy, mając więcej krążowników liniowych, gdyż stracił sporo jednostek klasy *Ronin* o wzmocnionym uzbrojeniu raketowym w trzech ostatnich bitwach, a w stocznich pozostało ich ponad 10 plus 6 klasy *Manzikert* wyposażonych w beamery. Jednakże pierwszeństwo w naprawach miały okręty liniowe, co było logiczne. Poza

tym dysponował 4 zdobycznymi krążownikami liniowymi po całkowitej modernizacji. To samo zresztą dotyczyło trzech z 11 superdreadnoughtów. Jeszcze większe braki były w lżejszych jednostkach, ale stoczniovcy opanowali w końcu zasady seryjnej ich budowy i wiedział, że niedługo będzie miał dość krążowników i niszczycieli. Problem nadal stanowiła budowa okrętów liniowych pochłaniająca zbyt wiele czasu, dlatego rozmieszczenie tych, które posiadał, tak blisko wylotu z warpa zwiększało jego niepokój.

Nie miał innego wyjścia, ponieważ przeciwnik dysponował rakietami o większym zasięgu, o myśliwcach nie wspominając. Produkcję fazyerów mających większy zasięg niż działa laserowe wstrzymano, ponieważ wróg wcześniej nie posiadał tych ostatnich, a teraz, gdy się okazało, że już ma, pierwszeństwo i tak przyznano produkcji myśliwców. Jahanak to rozumiał, niemniej chwilowo pozbawiony był i myśliwców, i artylerii o takim samym co wróg zasięgu, poza działami laserowymi. Dlatego jedyną szansą na skuteczną obronę Lorelei było takie rozmieszczenie sił, by pozbawić przeciwnika przewagi zasięgu uzbrojenia.

Co też zrobił.

Poza tym jako wsparcie posiadał forty i pola minowe. I choć forty nie były tak potężne jak te tworzące Linie, było ich dużo, a każdy otoczony rojami satelitów myśliwskich, z których sporą część uzbrojono już w fazery. Jeśli przeciwnik rozpocznie atak od wysłania okrętów liniowych, by oczyścić drogę lotniskowcom, znajdą się one w zasięgu dział laserowych jego okrętów i fortów. Jeśli zaś wyśle przodem lotniskowce, zmasakrują je fazery z fortyfikacji, zanim zdążą wystartować myśliwce. Zakładając, że przetrwają aż tak długo w gęstych polach minowych i pod ciągłym ogniem laserów.

A było to mało prawdopodobne, gdyż rotacyjnie, ale przez cały czas jedna czwarta jego sił pozostawała w stanie alarmu bojowego. Powodowało to co prawda dodatkowe zużycie sprzętu, ale wróg nie miał prawa zaskoczyć 1. Floty – obojętne kiedy zaatakuje, 25% jej okrętów natychmiast skoncentruje ogień na jego czołowych jednostkach.

– Doskonale, kapitanie Yurah – powiedział w końcu. – Sądzę, że nie sposób było przygotować się lepiej.

– Ja też tak uważam, sir – zgodził się Yurah, ale spytał mimo to: – A co z lotniskowcami, panie admirale?

Jahanak ukrył uśmiech – jak na nie mającego do czynienia z hierarchiami Kościoła zwykłego oficera floty Yurah wykazywał niezwykle talent dyplomatyczny.

– Nic, kapitanie – odparł zwięźle.

I dostrzegł w oczach rozmówcy pełen zrozumienia błysk.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Yurah zaczął go bardzo dobrze rozumieć i pojął, że pod pozorną akceptacją drogi Synodu kryje się niechęć i cicha walka, o której Jahanak wołał nie mówić. Powodowało to, iż znacznie lepiej im się ze sobą współpracowało, i oszczędzało zbędnych, a nie zawsze prawdziwych wyjaśnień zgodnych z oficjalną wersją.

– Synod – dodał zgryźliwym tonem Jahanak – uznał, że nasze staranne i przemyślane

przygotowania oraz naturalnie łaska Świętej Ziemi zapewnią nam nieuchronne wręcz zwycięstwo. Dlatego uznał, że nie ma potrzeby, abyśmy zdradzali wrogowi, iż posiadamy własne lotniskowce, gdyż ich liczba jest jeszcze ograniczona.

– Czyli mówiąc krótko: zostają w domu.

– Zgadza się. I naturalnie użyjemy ich, gdy tylko rozpoczniemy kontrofensywę, by wykorzystać w pełni zaskoczenie przeciwnika.

– Naturalnie – zgodził się kapitan Yurah.

* * *

Antonow jeszcze przez chwilę przyglądał się holoprojeksji taktycznej nad stołem w sali odpraw, po czym zwrócił się do dwóch oficerów, których poprosił o pozostanie po jej zakończeniu.

– Admirale Berenson i admirał Avram, czy rozumiecie państwo wszystkie aspekty planu?

– spytał. – Bo wiem, że obowiązki dotąd nie pozwalały wam uczestniczyć jak zwykle w jego tworzeniu od samego początku.

O innych kwestiach wołał nie wspominać. Jak choćby o tym, że Avram była nowym członkiem zespołu, a Berenson miał zwyczaj zachowywać się jak primadonna. Poza tym oboje dowodzili myśliwcami, więc przejęli w pewnym stopniu mentalność ich pilotów, a udział mieli wziąć dopiero w ostatnim stadium bitwy.

Oboje przytaknęli bez słowa.

– Rozumiemy, sir – odpowiedział Berenson. – Lotniskowce znajdą się w ostatniej fali ataku, a zadaniem myśliwców będzie rozprawienie się z ocalałymi thebańskimi okrętami i umocnieniami.

Antonów kiwnął głową, a obserwująca ich Avram stwierdziła, że choć w plotkach o braku miłości między obu oficerami flagowymi, jakie słyszała, jest sporo prawdy, istnieje też między nimi niechętny bo niechętny, ale coraz większy szacunek.

– To dobrze – mruknął Antonow.

I odwrócił się ponownie ku holoprojeksji przedstawiającej przygotowaną już do ataku flotę. Superdreadnoughty w pierwszej fali, pancerniki w drugiej, a lotniskowce z okrętami osłony w trzeciej. Ale najdłużej przyglądał się chmurze punkcików znajdujących się jeszcze przed superdreadnoughtami tuż przy wlocie w warpa.

* * *

Wycie alarmów bojowych poderwało załogi Drugiej Floty Miecza Świętej Ziemi i ci, którzy jeszcze nie znajdowali się na stanowiskach, pognali tam natychmiast. Był wśród nich drugi admirał Jahanak, który zdyszany siadł w fotelu i zażądał:

– Proszę meldować, kapitanie Yurah!

– Proszę spojrzeć na pomocniczy ekran taktyczny, sir! – odparł oficer, nie kryjąc

zdziwienia.

Jahanak zdziwiony odpowiedzią spojrział na ekran i wytrzeszczył oczy.

Coś bezwzględnie wylatywało z warpa, ale pojęcia nie miał, co to było. Nie dość, że nigdy nie widział, by tak wiele jednostek dokonywało tranzytu równocześnie, to na dodatek były one niewielkie. Całe dziesiątki znikwały w oślepiających eksplozjach powodowanych zbyt bliskim sąsiedztwem, gdy tylko znalazły się w normalnej przestrzeni.

Samozagładzie ulegał jednak jedynie niewielki ich procent, a liczba ocalałych rosła wręcz lawinowo. Nagle zrobiło mu się zimno – jeśli przeciwnik opracował myśliwce zdolne do samodzielnego przelotu przez warpa, cały jego plan obrony był nic niewart. Po paru sekundach odetchnął z ulgą: to, co widział, było znacznie większe od myśliwca, choć równocześnie o wiele za małe jak na regularne okręty wojenne dowolnej klasy.

Najwcześniej przybyłe zaczęły wykonywać uniki, a były tak szybkie, że z łatwością przyszło im manewrowanie i unikanie promieni dział laserowych. Natomiast miny zbierały wśród nich obfite żniwo... nadal nie wiedział, z czym ma do czynienia, ale obiekty były tak małe, że nie powinny stanowić poważnego zagrożenia...

Nie powinny.

* * *

Specjalnie ekranowane komputery nawigacyjne *Hawków* przeładowały się po wyjściu z warpa, porównały namiary pobrane z zaprogramowanymi i rozpoczęły serię uników, czekając na sygnał ustabilizowania się wyrzutni.

Decyzja Antonowa, by użyć *Hawków* dopiero, gdy będzie miał ich naprawdę dużo, poza zaskoczeniem przeciwnika przyniosła także dodatkowe korzyści. Pozwoliła bowiem admirał Timoszenko i jej podkomendnym dopracować systemy celownicze, programy manewrujące i przede wszystkim wdrożyć nową broń do masowej produkcji. Teraz komputery porównały sygnatury celów z tymi załadowanymi do banków pamięci, wybrały te, które miały największy priorytet, i uruchomiły systemy celownicze, biorąc konkretne cele w namiary.

* * *

Jahanak aż się uniósł z przerażenia, gdy na ekranie taktycznym daleko manewrujące cele nagle się rozmnożyły. Dopiero w tym momencie zrozumiał, że ma do czynienia z automatycznymi zasobnikami zawierającymi po kilka wyrzutni rakiet.

Zmusił się do opadnięcia w fotel i jedynie zacisnął dłonie na jego poręczach aż do bólu, widząc, jaka lawina pocisków mknie ku jego okrętom. Jego szok zwiększył się jeszcze, gdy na ekranie pojawiły się przewidywane kursy rakiet – to nie był przypadkowy ostrzał. To był zaplanowany atak, którego celem były forty. Setki rakiet obrały każdy z nich za cel, a z nowo przybyłych do systemu Lorelei zasobników ciągle wystrzeliwane były następne.

– Wykonać plan V! – rozkazał.

Zaskoczone załogi okrętów reagowały powoli, ale stopniowo wszystkie jednostki zaczęły robić uniki. Nie mogło to w sposób istotny zmienić sytuacji.

Jednakże tylko tyle mogli uczynić.

Spojrzał na Yuraha – ten nie odezwał się słowem, bo słowa też niczego nie były w stanie zmienić.

* * *

Forty oberwały pierwsze.

Z każdego *Hawka* wystrzelono trzy rakiety, co dało salwę o niespotykanej dotąd w konfliktach w znanej części galaktyki liczebności. Żaden istniejący system obrony antyrakietowej nie był przystosowany do radzenia sobie z taką liczbą celów, toteż sterujące obroną antyrakietową fortów komputery dostały elektronicznej hysterii. Objawiało się to najczęściej odmową strzelania do jakiegokolwiek celu. Zresztą nawet gdyby funkcjonowały bezbłędnie, nic by to nie dało, gdyż rakiet było po prostu zbyt dużo, by zniszczyć je dostępnymi środkami.

Pierwsze eksplozje antymaterii rozbłysły na osłonach siłowych i ich liczba błyskawicznie tak wzrosła, że nawet potężne generatory fortów zostały przeciążone i przestały działać. Następne miały więc otwartą drogę do pancerza, który topniał w oczach pod ich wybuchami.

Szybko doszło do pierwszych przebić kadłubów, z których zaczęło wyciekać powietrze, a potem śmierć zebrała swe żniwo – całe przedziały znikwały w oślepiających eksplozjach, wręgi gięły się, grodzie przestawały istnieć i forty kolejno zaczęły ginąć.

* * *

Cel większości *Hawków* stanowiły forty. Z prostego powodu: wiadomo było, gdzie je można znaleźć, co pozwalało na wprowadzenie znacznie dokładniejszych parametrów, więc gwarantowało wyższą skuteczność ostrzału. Gorzej rzecz się miała z okrętami, gdyż w tym wypadku można było zaprogramować rakietom jako parametry celu jedynie sygnatury napędów z poleceniem wyszukiwania w pierwszej kolejności okrętów liniowych i wybierania ich.

To rozwiązanie miało swoje plusy i minusy – plusem było prawie pewne zniszczenie fortów, gdyż każdy musiało wybrać za cel zbyt wiele rakiet, a minusem, że okręty ucierpiały mniej, niżby mogły.

I tak też się stało. Ostrzał przetrwało jedynie kilka fortów, a i tak każdy był wrakiem nie mogącym odegrać już żadnego znaczenia w bitwie.

Natomiast okręty thebańskie praktycznie nie ucierpiały.

Tyle tylko, że nie wszystkie *Hawki* zostały użyte do pierwszego ataku...

* * *

Druga fala *Hawków* była nieporównywalnie mniej liczna, jako że założono, iż forty już nie istnieją, więc nie ma sensu marnować wszystkich na niezidentyfikowaną liczbę celów.

– Poszły, sir – zameldował bez potrzeby kapitan Tsuczewski.

Antonow chrząknął, spoglądając na główny ekran taktyczny, z którego zniknęły właśnie ostatnie *Hawki* drugiej fali, przestając istnieć na moment we wszechświecie Einsteina i Hawkinga, by pojawić się w nim ponownie w systemie Lorelei, którego z Alfreda nawet widać nie było.

W ślad za nimi podążyły superdreadnoughty pierwszej fali. Pierwszych sześć okrętów zostało przebrojonych – zwiększono ich uzbrojenie, przystosowując je, na ile się dało, do roli trałowców. Naturalnie odbyło się to kosztem uzbrojenia zaczepnego, toteż choć mogły się dobrze bronić przed raketami i skutecznie niszczyć miny, ich zdolności do toczenia pojedynków artyleryjskich zostały poważnie ograniczone.

Biorąc pod uwagę, że przeciwnik w tej kategorii uzbrojenia zawsze miał przewagę, Antonow był pełen milczącego podziwu dla załóg tych okrętów.

* * *

Angus MacRory zdecydował się tranzyt i bitwę o Lorelei spędzić w sali odpraw, w której przebywali pod strażą Lantu i Fraymak. I tak nie miał nic do roboty i nikogo na okręcie nie znał, a tam przynajmniej zamontowano porządny ekran taktyczny.

Gdy pierwsze superdreadnoughty dokonały tranzytu, przeniósł wzrok na obu Theban. Znał Pawiany wystarczająco dobrze, by być w stanie z ich min i mowy ciała odczytać reakcje. Nie wszystkie, ale na przykład to, że u Fraymaka nadal poczucie winy walczyło z rozsądkiem i uczciwością.

Albo by wiedzieć, że Lantu smażył się w swoim własnym, prywatnym piekle, a mimo to nie spuszczał wzroku z ekranu...

* * *

Jahanak zacisnął zęby, widząc kolejne zasobniki i zaraz potem następne wystrzelone przez nie rakiety. Było ich znacznie mniej, ale też ich celem nie były już forty, które przestały istnieć, lecz jego okręty.

Przez pomost flagowy przetoczył się jęk, gdy superdreadnoughty *Eloise Abernathy*, *Carlotta Garda* i *Hildebrand Jackson* zniknęły w ognistych wybuchach.

– Cisza! – warknął ostro, odwracając się od holoprojektacji z pałającymi oczyma. – Jesteśmy Mieczem Świętej Ziemi, nie bandą przerażonych gówniarzy! Wracać do wykonywania obowiązków! Ta bitwa dopiero się zaczęła!

Oficerowie i pozostali członkowie załogi pochylili się nad ekranami swoich stanowisk, a Jahanak znów spojrział na holoprojektację, obserwując ciąg dalszy masakry swoich okrętów. Pancerniki *Cotton Mather*, *Confucius*, *Freidrich Nietzsche* i *Torquemada* zmieniły się w

ogniste kule, a praktycznie wszystkie pozostałe okręty liniowe odniosły mniejsze lub większe uszkodzenia. Oberwało się nawet krążownikom liniowym.

A lawina rakiet poza zniszczeniami fizycznymi powodowała napromieniowanie zewnętrznych wyrzutni, powodując uszkodzenia komputerów pokładowych rakiet, które stawały się bezużyteczne, nim zaszła możliwość ich wykorzystania. No i naturalnie wpływała destrukcyjnie na morale załóg nie mających z kim walczyć.

– Kapitanie Yurah, wykonać plan Samson – polecił Jahanak.

Jego głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie w panującej na pomoście flagowym ciszy.

I spowodował, że stała się jeszcze głębsza, bo nikt nie spodziewał się, by plan ten okazał się kiedykolwiek konieczny. Umocnienia były silne, dysponowali przewagą taktyczną...

I nigdy dotąd nie mieli do czynienia z *Hawkami*.

* * *

Antonow spoglądał na główny ekran taktyczny i czekał. Jego okręt flagowy znajdował się wśród jednostek drugiej fali, ale nie na jej czele, bo byłoby to zbyt oczywiste miejsce. Taka już była tradycja Federation Navy, że dowódcy prowadzili żołnierzy do bitwy, a nie siedzieli bezpiecznie w rezerwie. Tak w bitwie o Aklumar i o Ophiuchi Junction postąpił Howard Anderson i Iwan Antonow też tak postępował.

Tyle że zanim druga fala ruszy, miało nastąpić coś jeszcze...

* * *

Pierwsze superdreadnoughty Marynarki Federacji pojawiły się w systemie Lorelei tuż za ostatnimi *Hawkami*. Na ich spotkanie ruszyła natychmiast Pierwsza Flota Miecza Świętej Ziemi żądna zemsty za straty i upokorzenie.

Prowadzący szyk superdreadnought *Saint Helen* przetrwał wyjście z warpa i krzyżowy ogień dział laserowych przez dwadzieścia trzy sekundy i zmienił się w supernową dopiero, gdy kolejne trafienie zdestabilizowało pole którejś z głowic z antymaterią w dziobowym magazynie artyleryjskim, powodując jej detonację. A moment później detonację całego magazynu.

Głowice nuklearne były jednymi z najbezpieczniejszych i najstabilniejszych rodzajów amunicji. Głowice z antymaterią wręcz przeciwnie – trafienie magazynu artyleryjskiego, w którym się znajdowały, było groźniejsze od ognia w dawnym magazynie prochowym, bo głowice te miały niewspółmiernie większą siłę niszczenia.

Siostrzana jednostka *Saint Helen* – superdreadnought *Yerupaja* przestała istnieć siedem sekund później. Ale te siedem sekund wystarczyło, by oddał pełną salwę burtową, mając pewny zamiar uszkodzonego thebańskiego superdreadnoughta *Commander Wu Hsin*. Obie jednostki prawie równocześnie zmieniły się w miniaturowe supernowe.

A potem zaczęła się masakra.

* * *

– Kolejne kapsuły z Kodami Omega, sir! – zameldował Tsuczewski. – Dostarczone przez nie namiary są już załadowane do komputerów celowniczych pozostałych *Hawków*, panie admirale.

– Doskonale – potwierdził Antonow, wiedząc, że przekazanie danych nastąpiło automatycznie. – Może pan wysłać pozostałe *Hawki*, kiedy pan uzna za stosowne, kapitanie.

– Aye, aye, sir!

* * *

Drugi admirał Jahanak wyszczerzył zęby w drapieżnym grymasie, prowadząc swoje okręty przez własne pola minowe. Planował walkę na mały dystans, ale nie aż tak mały. Skoro jednak forty przestały istnieć, nie pozostało mu nic innego – zanim Pierwsza Flota zginie, musi zadać wrogowi jak największe straty, by obrońcy macierzystego systemu zyskali czas na przygotowanie obrony.

I dlatego wszystkie założenia taktyczne i staranne kalkulacje, którymi kierował się przez całe życie, przestały mieć znaczenie.

* * *

Pozostałe *Hawki* wyłoniły się z warpa wśród eksplodujących okrętów w przestrzeni przesywanej przez niewidzialne promienie laserowe. Nie było ich wiele, ale załogi jednostek, z których wysłano namiary celów, wykonały solidną robotę, nim zginęły, i namiary były bardzo precyzyjne.

* * *

Jahanak zaklął, widząc, jak kolejne dwa superdreadnoughty zostają zniszczone, a zaraz potem dołączają do nich pancerniki *Jonathan Edwards* i *ALi*. Były to na szczęście ostatnie ofiary wrogich zasobników, a jego okręty znajdowały się między uszkodzonymi jednostkami pierwszej fali przeciwnika, gdy z warpa zaczęły wylatywać te należące do drugiej fali.

Działa laserowe strzelały do celów odległych o pięćdziesiąt metrów. Z tego dystansu nie sposób było chybić, a przed wiązką nie chroniło nic, nawet najgrubszy pancerz. Okręty targane eksplozjami i wewnętrznymi pożarami znikwały z ekranów niczym iskry w gigantycznej kuźni, a były tak blisko siebie, że eksplozja jednego miała duży wpływ na losy innych. W taki właśnie sposób uszkodzony superdreadnought Marynarki Federacji *Pobieda* został wytracony z kursu i wpadł na pole minowe. Dziesiątki detonujących min przesądziły jego los.

Rakiety lżejszych thebańskich okrętów, które nie stały się celem dla *Hawków*, detonowały na osłonach siłowych superdreadnoughtów Federacji, powodując zniszczenie ich

generatorów. A gdy tylko coś takiego nastąpiło, do akcji przystępowały czekające już w przestrzeni thebańskie oddziały abordażowe.

A w ślad za nimi do bitwy włączyły się okręty Floty Taranującej.

* * *

Huk eksplozji i jęk dartego metalu wypełniły korytarz, gdy ładunek wybuchowy rozpruł burtę FNS *Dhaulagiri*. Marines w zbrojach, dzięki którym przeżyli wybuch, powitali wyłaniające się z dymu postacie nawałą ognia. Korytarz wypełniły kule plazmy, pociski i odłamki ścian, tworząc środowisko, w którym ktoś pozbawiony opancerzonego skafandra nie przeżyłby nawet kilku sekund.

Thebanie nie zdołali zbudować zasilanych skafandrowp pancernych popularnie zwanych zbrojami i porucznik Amleto Escalante był za to wdzięczny losowi. Stworzyli natomiast nie zasilane i tak opancerzone, jak tylko było to możliwe do uniesienia, więc ci napastnicy byli trudniejsi do zabicia niż członkowie grup abordażowych, z którymi walczył w Redwing. Naturalnie nie mogły równać się ze zbrojami, ale też tym razem wrogów było znacznie więcej. Zmodyfikowany system bliskiego śledzenia celów umożliwił Marines przechwycenie części grup abordażowych tuż po wejściu na pokład, co likwidowało zagrożenie w zarodku. Ale dzięki niemu wiedzieli też, w ilu miejscach Pawiany wdarły się na okręt, nie napotykając Marines, gdyż tych ostatnich było za mało. A to oznaczało, że walczyć będą z członkami załogi w zwykłych, nie opancerzonych skafandrach próżniowych.

Jego pododdział skończył sprzątać grupę abordażową, o czym Escalante natychmiast zameldował przebywającemu w kontroli uszkodzeń i koordynującemu walkę z abordażem majorowi Oelsowi. Kontrolę uszkodzeń na stanowisko dowodzenia wybrano z uwagi na dokładny holograficzny plan okrętu dostępny w każdej chwili i w dowolnym powiększeniu.

– Trzeci pluton, napastnicy w sektorze D7 – poinformował go prawie natychmiast major Oels. – Obchodzą was, więc uważajcie na tyły!

Nie ulegało wątpliwości, że Pawiany dokładnie zapoznały się z planem okrętu, najprawdopodobniej dzięki zdobyciu siostrzanej jednostki, gdyż poruszały się po nim szybko i pewnie. Ledwie bowiem Escalante zdołał wydać rozkaz, by nieparzyści Marines zajęli się obroną tyłów, pierwsi napastnicy uzbrojeni w ręczne wyrzutnie rakiet wyłonili się zza załomu korytarza.

Rozgorzała zacięta strzelanina, której pierwszą ofiarą była kapral Kim trafiona rakieta przeciwpancerną w pierś. Plecy jej zbroi rozleciały się w deszcz odłamków i szczątków, a krew zalała wizjer zbroi Escalante'a, nim zdążyła skryształizować się w częściowo pozbawionym już powietrza korytarzu.

Omali nie zwymiotował, ale zdołał się powstrzymać resztką sił, świadom, że obrzygana od wewnątrz zbroja na pewno nie ułatwi mu przeżycia. Wspomnienie sierżanta Grogana, instruktora musztry z obozu rekruckiego, okazało się w tym wybitnie pomocne. Przetarł

wizjer rękawicą, zgarniając większość czerwonej substancji, i nacisnął spust karabinu plazmowego.

Coś mu mówiło, że walka o okręt będzie coraz bardziej przypominała pijackie mordobicie w knajpie, gdy zgaśnie światło...

* * *

Coraz więcej okrętów liniowych Federation Navy wyłaniało się z warpa w systemie Lorelei. Do superdreadnoughtów dołączyły pancerniki, wyznaczając siłę ich ognia, i szybko zaczęło być to widoczne. Druga Flota poniosła spore straty, ale jej struktura dowodzenia i sieć taktyczna pozostały nienaruszone, podczas gdy eskadry thebańskie zostały wcześniej zmasakrowane przez Hawki, a sieci taktycznej już nie było. Jednostki, które ocalały, walczyły do końca, ale właśnie jako jednostki przeciwko skoordynowanym formacjom Marynarki Federacji wspierającym się wzajemnie ogniem. I dlatego za każdy zniszczony okręt Antonowa Thebanie płacili dwoma, a potem i trzema własnymi.

Stosunek strat zmieniło przystąpienie do ataku krążowników Floty Taranującej, ale one także nie były w stanie wpłynąć na ostateczny wynik bitwy.

* * *

Wszechświat wrócił do normy zarówno dla ludzi obecnych na pomoście FNS *Gosainthan*, jak i do komputerów pokładowych. O ile naturalnie normą można było nazwać chaos boju spotkaniowego na minimalną odległość, urozmaiconego taranowaniem. Informacje napływały zbyt szybko, by ludzki umysł zdołał je przyswoić.

Iwan Antonow siedział w swoim fotelu nieruchomo niczym głaz, czekając, aż z tego informacyjnego pandemonium wyłoni się w miarę spójny obraz sytuacji. By to nastąpiło, operatorzy, a zwłaszcza oficerowie musieli mieć trochę czasu, a poganianie ich odniosłoby wręcz przeciwny efekt. Dlatego dopiero po prawie minucie polecił cicho:

– Proszę podsumować sytuację, kapitanie Tsuczewski.

– Dorzynamy ich konwencjonalne jednostki, sir – Tsuczewski wskazał na ekran, na którym wylistowane były zniszczone okręty wroga i podane zaobserwowane uszkodzenia pozostałych.

– Ponieśliśmy ciężkie straty: z pierwszej fali ocalały niedobitki, a część taranujących jednostek zaatakowała czołowe okręty drugiej fali. Z wielu okrętów napływają meldunki o wielokrotnych abordażach, panie admirale.

– Wygląda na to, że przyda się każde działo – ocenił Antonow i wybrał kombinację na klawiaturze interkomu wmontowanej w poręcz.

– Mostek, kapitan Chen – rozległ się głos w głośniku fotela.

– Kapitanie, ma pan zgodę na wzięcie udziału w bitwie według własnego uznania – oznajmił.

– Aye, aye, sir. Dobrze się składa, bo obrał nas za cel przynajmniej jeden krążownik taranujący.

– Daję panu wolną rękę, kapitanie Chen.

Antonow zakończył rozmowę i rozsiadł się wygodniej – teraz był tylko obserwatorem na własnym okręcie flagowym.

A FNS *Gosainthan* zmienił kurs i ruszył prosto w piekło bitwy o Lorelei.

* * *

Jahanak sprawdził raz jeszcze informacje wyświetlone w hologramie taktycznym i poczuł dziwny spokój. Jego flota ginęła, a z warpa wylatywały coraz to nowe wrogie okręty, zastępując zniszczonych i uszkodzonych poprzedników. I tym skuteczniej masakrując jego jednostki, jak choćby samobójczą szarżę dywizjonu niszczycieli na superdreadnoughta.

Nie dotarła do celu, a żaden z niszczycieli nie ocalał.

Pozostały mu już tylko trzy poważnie uszkodzone superdreadnoughty. Chwilowo przeciwnik zajęty przez krążowniki taranujące zmuszony został do obrony, więc je ignorował. Ale wiedział, że w ciągu kilku minut, a może i kilkunastu sekund sytuacja ta ulegnie zmianie.

– Kapitanie Yurah.

– Słucham, sir.

W oczach Yuraha nie było strachu. Jahanak kiwnął głową, wyjął z kabury pistolet maszynowy i przeładował. Po czym polecił:

– Proszę przydzielić wszystkich, których tylko można, do grup abordażowych. Staranujemy wrogi okręt i spróbujemy go zdobyć.

– Aye, aye, sir.

Drugi admirał Jahanak, dowódca 1. Floty Miecza Świętej Ziemi nałożył i uszczelnił hełm skafandra próżniowego. A jego okręt flagowy ruszył na spotkanie wroga i śmierci.

* * *

Drużyny awaryjne skończyły pracę i na pomoście smród spalenizny stał się ledwie wyczuwalny. Antonow i tak tego nie zauważył, pochłonięty studiowaniem listy strat i drugiej, zawierającej informacje o stratach przeciwnika. Zaskakujące było, że jeszcze do niedawna uważał, iż bitwa o Parsifal była wstrząsającym przykładem masowego zniszczenia po obu stronach. Teraz straty poniesione w tamtej bitwie wcale nie wydawały mu się tak wielkie...

Odruchowo rodziło się pytanie, czy podobnie będzie traktował bitwę o Lorelei po bitwie o Thebes...

Praktycznie cała thebańska 1. Flota została zniszczona. Ale cena tego zwycięstwa była wysoka: z 24 superdreadnoughtów Marynarki Federacji 16 zostało zniszczonych, wszystkie pozostałe zaś poważnie uszkodzone, w tym również jego okręt flagowy. Z 14 pancerników zniszczonych zostało 6, ale co do dalszych czterech istniały poważne wątpliwości, czy da się

je wyremontować. Straty w ludziach zaś były znacznie większe niż w symulacjach komputerowych, w których nie uwzględniono z oczywistego powodu tak licznych ataków abordażowych.

Na szczęście walka praktycznie dobiegała końca, nim tranzytu dokonały lotniskowce. Dzięki temu żaden prawie nie został uszkodzony. Obecnie lotniskowce ściagały niedobitki thebańskiej floty, czyli kilka niszczycieli i krążowników, którymi nie dowodzili idioci o samobójczych skłonnościach. Nie zmieniało to jednak faktu, że Druga Flota będzie potrzebowała wielu miesięcy, by odzyskać zdolność bojową i odtworzyć poprzedni stan. No i naturalnie uzupełnić wyczerpane do cna zapasy *Hawków*.

Cichy dźwięk interkomu wyrwał go z rozmyślań.

Nacisnął klawisz na poręczy fotela i na niewielkim ekranie łącznościowym ukazała się twarz Pawła Tsuczewskiego.

– Panie admirale – powiedział nieco niepewnie – rozmawiałem z naszymi gośćmi i admirał Lantu chciałby się z panem jak najszybciej spotkać. Mówi, że to pilne.

Antonow skrzywił się, nie ukrywając niechęci – nie był w nastroju do pogawędek, a już zwłaszcza z Pawianem, ale z drugiej strony Lantu udowodnił już swoją przydatność...

– Daj go – polecił w końcu.

Tsuczewski odsunął się i na ekranie ukazało się oblicze Lantu. Antonow miał spore doświadczenie w odczytywaniu wyrazu twarzy obcych i bez trudu zauważył, że Lantu prześladują demony.

– Admirale Antonow – głos Lantu drżał lekko, a dziwny thebański akcent był bardziej niż zwykle wyraźny. – Obserwowałem przebieg bitwy z pułkownikiem MacRorym i jestem wstrząśnięty tą masakrą. Sądzę zresztą, że podobnie jak i pan...

– Proszę przejść do rzeczy! – warknął Antonow.

Ostatnie, czego było mu potrzeba, to przeprosiny ze strony Pawiana zdrajcy! Lantu zaskoczył go – wyprostował się i oznajmił bez poprzedniego wahania:

– Dobrze, panie admirale. Ta rzeź pozbawiła mnie resztek wątpliwości. Moi rodacy muszą zostać pokonani, ale taki samobójczy fanatyzm, którego właśnie doświadczyliśmy, będzie zwielokrotniony przy obronie macierzystego systemu. A ponieważ ma on nieporównywalnie silniejsze fortyfikacje, straty będą dużo większe. Pułkownik MacRory wyjaśnił mi, że jeśli o zwycięstwo będzie trzeba walczyć zbyt długo lub bój będzie zbyt krwawy, wasi politycy zdecydują się na eksterminację mojej rasy. Nie powiem, by wasza chęć zemsty mnie zaskoczyła: Kościół zasłużył na unicestwienie podobnie jak najbardziej fanatyczni jego wierni. Ale moja rasa jako całość nie zasłużyła... a taki koniec ją spotka, jeśli szybko nie zdobędziecie systemu Thebes i nie zakończycie tej wojny. Dlatego nie mam wyboru i gotów jestem udostępnić wam całą swoją wiedzę o umocnieniach i potencjale obronnym systemu planetarnego, z którego pochodzę.

Przez długą chwilę Antonow i Lantu patrzyli na siebie w milczeniu.

Przerwał je Antonow:

– Jestem... niezwykle zainteresowany pańską propozycją, admirale Lantu. Proponuję, byśmy za kwadrans spotkali się w mojej kabinie. Kapitanie Tsuczewski, proszę przyprowadzić oficera wywiadu.

I zakończył połączenie.

Natychmiast też wstał i skierował się do windy, pragnąc kuć żelazo, póki gorące. Lantu był najlepszym możliwym źródłem informacji, jako że sam ten system obronny pomagał stworzyć, więc znał jego wady i zalety. Problem polegał na tym, że nie sposób było ocenić, na ile można mu było ufać. Sprawiał wrażenie całkowicie szczerego, ale przez całe życie poddawano go indoktrynacji...

Mimo to dobrze się złożyło, że Kthaara był na pokładzie jednego z lotniskowców, bo co by o tym powiedział po wyjściu z szoku, Antonow wolał nie myśleć.

Rozdział XXVI

„DAJ MI TEN CZAS”

Iwan Antonow siedział w swojej kabinie i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w słońce systemu Lorelei za oknem. Choć spoczywające na blacie biurka dłonie pozostawały nieruchome, jego umysł pracował intensywnie.

W bitwie o Lorelei zdobyli niewiele danych z uwagi na to, że większość fortów i okrętów wroga uległa całkowitemu lub poważnemu zniszczeniu. Te fragmenty, które się udało odzyskać, w połączeniu z wcześniej zdobytymi informacjami potwierdzały jednak wszystko, co powiedział i narysował Lantu.

A to, co wynikało z jego słów, było, ujmując rzecz zwięźle, przerażające.

Prawda brzmiała brutalnie prosto – zdobywając Thebes, Druga Flota zapłaci za to taką cenę, że straty poniesione w bitwie o Lorelei wydadzą się niczym.

Antonow wstał i zaczął powoli spacerować po kabinie. Warp zwany Łodzią Charona był od thebańskiej strony warpem zamkniętym, czyli praktycznie nie oddziaływały tam olbrzymie fale grawitacji typowe dla otwartego warpa. Oznaczało to, że prawie w samym jego wylocie można było umieścić nawet coś tak małego jak mina i to coś by tam pozostało. A pola minowe broniące wylotu warpa były znacznie potężniejsze niż wszystko, o czym Antonow w życiu słyszał, nawet na zajęciach z taktyki.

A za polami minowymi znajdowały się forty.

I to nie klasyczne zbudowane od podstaw, lecz znacznie potężniejsze i trudniejsze do zniszczenia. Były to bowiem wydrążone i przystosowane do roli fortyfikacji stałych asteroidy. Nie dość, że znacznie większe, to wyposażone w potężne generatory osłon i mające wszystkie najważniejsze elementy chronione przez metry skały. Ponieważ miejsca w nich było pod dostatkiem, wyposażono je w pojemne magazyny amunicyjne, zapasowe reaktory i silne uzbrojenie. Takie fortyfikacje były niezwykle trudne do zniszczenia nawet przy użyciu olbrzymich ilości rakiet. A wylotu z warpa broniło ich kilkadziesiąt.

Już samo przygotowanie zapasów amunicji i stosownej liczby okrętów do takiego przedsięwzięcia wymagało miesięcy standardowych. A jeśli wiadomości napływające od Howarda z Ziemi dokładnie odzwierciedlały sytuację, to nie miał tych miesięcy do

dyspozycji.

Rozległ się brzęczyk do drzwi wejściowych, więc zwolnił blokadę zamka.

Do kabiny wszedł Kthaara'zarthan wyglądający niczym uosobienie śmierci. Antonow zaprosił go gestem, by usiadł, i przyglądał mu się uważnie.

Milczenie zaczęło się przedłużać.

– No i co? – spytał w końcu gospodarz.

– Przystudiowałem analizy wywiadu. Nadal co prawda nie rozumiem twojej troski o Theban, ale to już inna sprawa. Ty i twoi wojownicy jesteście ludźmi, więc myślicie po swojemu. A wojownik nie może walczyć honorowo, jeśli jego postępowanie jest sprzeczne z honorem. Przyjmuję więc twój punkt widzenia, bracie, choć go nie rozumiem. Natomiast nie widzę sposobu przełamania tych umocnień w czasie, który mi podałeś.

– Ja też nie – westchnął Antonow. – A muszę taki sposób znaleźć, bo nie będę miał go więcej. I jest tylko jedna osoba, która może mi w tym pomóc.

– Thebanie to *chofaki!* – warknął Kthaara, stulając uszy. – A ty chcesz, żebym zaufał jednemu z tych, którzy zamordowali mojego *khanhaku!*

– Kthaaro Kornazowiczu, pochodzisz z rasy wojowników – powiedział dziwnie miękko Antonow. – Czy żaden orioński wojownik nie postąpił nigdy niehonorowo, będąc przekonany, że to jedyny sposób, w jaki może postąpić zgodnie z nakazami honoru?

Kthaara zamarł i siedział tak przez naprawdę długą chwilę.

A potem zastrzygł uszami na znak zgody.

– Wierzę w honor admirała Lantu – stwierdził po prostu Antonow. – Wykonał to, co uważał za swój obowiązek, tak jak nauczono go ten obowiązek pojmować. Dokładnie tak jak ty czy ja byśmy postąpili, choć kierując się innymi zasadami moralności czy skalą wartości. A kiedy odkrył prawdę, miał dość odwagi, by zachować się wbrew zasadom honoru, które mu od dzieciństwa wpajano... Nie wiem, czy zdobyłbym się na coś podobnego... Na odwrócenie się od wszystkiego, czego mnie uczono, i wszystkich, których znałem, na odrzucenie wiary i systemu wartości. Tylko dlatego, że uczciwość nakazywała przyznać, że były błędne i powstałe z kłamstwa. Lantu to nie *chofak*, Kthaara.

– Prosisz o zbyt wiele – Kthaara odruchowo wysunął pazury, wbijając je w poręczę fotela. – Nie mogę się z tym zgodzić, jak długo mój *khanhaku* spoczywa nie pomszczony.

– Więc nie będę cię o to prosił. Ale mam nadzieję, że będziesz obecny w czasie naszej rozmowy i uważnie wysłuchasz tego, co Lantu powie. Nigdy dotąd nie byłem zmuszony przyznać się do bezsilności i nie jestem gotów teraz tego zrobić... a niewiele mi brakuje w tych okolicznościach. Pomóż mi znaleźć rozwiązanie. Nawet jeśli jedynym jego źródłem będzie Lantu.

Spojrzał na Kthaarę i przez moment w kabinie panowała cisza.

A potem Kthaara zastrzygł uszami na znak zgody.

* * *

– Nie wiem, admirale Antonow – Lantu pogładził się po czole, wpatrując się cały czas w holoprojekcję systemu Thebes stworzoną przez Winnie Trevayne. – Pomagałem opracować te umocnienia tak, by były zdolne powstrzymać każde zagrożenie, jakie tylko potrafiłem przewidzieć... Nigdy nie sądziłem, że będę próbował je zaatakować i przełamać.

– Rozumiem, admirale – Antonow oderwał wzrok od holoprojekcji. – Można je przełamać, ale będzie to wymagało czasu i spowoduje straty. Ciężkie straty. Według ocen kapitana Tsuchewskiego i moich pierwsze cztery fale ataku zostaną całkowicie unicestwione, następne trzy poniosą około osiemdziesięciu procent strat, a pozostałe przynajmniej czterdzieści procent. Nie mamy wystarczającej liczby okrętów, by po takich stratach kontynuować natarcie, i przez najbliższe pół roku na pewno nie będziemy ich mieli. Bardziej prawdopodobne jest, że dopiero za rok nasze siły okażą się wystarczające do przeprowadzenia klasycznego ataku.

Lantu drgnął, słysząc niewypowiedziane ostrzeżenie. Przez rok jego rodacy zdołaliby wzmocnić obronę tak, że jego informacje straciłyby aktualność. A z drugiej strony żądza zemsty stałaby się podstawą polityki Federacji. A kiedy dojdą do tego ofiary w ludziach przy przełamaniu obrony...

– To te cholerne miny! – mruknął bardziej do siebie niż do Antonowa. – Forty można zniszczyć, mając wystarczającą ilość rakiet.

I zaczął spacerować ze splecionymi na plecach rękami.

– Zgadza się – przyznał Antonow, widząc, jak intensywnie tamten myśli.

Kthaara od początku rozmowy nie odezwał się słowem, ale przysłuchiwał się uważnie.

– Gdyby to był otwarty warp – dodał Antonow – albo gdybyśmy mieli choć niewielką przestrzeń wolną od min, w której dałoby się manewrować...

I wzruszył wymownie ramionami.

– Wiem – Lantu przyspieszył kroku.

A potem nagle zamarł.

Odwrócił się powoli do holoprojekcji, spoglądając na nią niewidzącym wzrokiem, i w jego oczach zapłonęło bursztynowe światło.

– Gdyby znalazł się sposób przejścia przez pola minowe, admirale Antonow – powiedział powoli – ile czasu potrzebowaliby pan na przygotowanie ataku?

– Trzy miesiące na naprawę uszkodzeń i zgranie załóg okrętów, które już są w drodze z Galloway's World – odparł zapytany, przyglądając mu się uważnie. – Dodać do tego należy przynajmniej miesiąc na zgromadzenie wystarczającej liczby *Hawków*. Co daje szacunkowo cztery miesiące. Co pan na to, kapitanie?

Spojrzał na swego szefa sztabu, który cały czas obserwował Lantu równie uważnie jak Antonow. Po chwili mężczyzna kiwnął głową.

– Rozumiem... – Lantu zakołysał się na szerokich stopach, spojrzał na Antonowa i

oznajmił: – W takim razie za pięć miesięcy znajdzie się pan w systemie Thebes, admirał Antonow. Myślę, że znalazłem sposób.

* * *

Iwan Antonow siedział przed kamerą i nagrywał list:

– Ufam mu, Howard. I nie dlatego, że muszę. Gdyby chciał nas zdradzić, nie musiałby uciekać się do tak skomplikowanego planu. Zamiast podać nam te informacje, mógł siedzieć cicho, a wtedy sami atakując, wpadlibyśmy w zasadzkę. Bo ponieśliśmy klęskę, co do tego nie ma wątpliwości: podobnych umocnień po prostu nikt by się nie spodziewał i nie bylibyśmy na nie przygotowani. A jego pomysł na zneutralizowanie min jest wręcz genialny. A zarazem tak prosty, że trudno się dziwić, iż nikt wcześniej na to nie wpadł. Wiem, że zrezygnowałeś z funkcji ministra, ale teraz musisz wykorzystać swoje kontakty i wysłać mi wszystkie frachtowce oraz trampy, jakie znajdziesz. Dosłownie wszystkie te, bez których może obejść się Federacja, a może i część z tych niezbędnych. Im starsze, tym lepsze, bo żaden raczej do właściciela nie wróci. Muszę je tu mieć jak najszybciej, nawet gdyby oznaczało to holowanie złomu między warpami. Nie muszą też być wielkie, byle było ich dużo i byle każdy zdołał lecieć o własnych siłach przez kwadrans. Jestem pewien, że mając wystarczająco wiele frachtowców oraz duży zapas *Hawków*, zdołam wejść do systemu i opanować go. Zdaję sobie sprawę z sytuacji, ale potrzebuję przynajmniej czterech miesięcy standardowych, nawet dysponując trampami i raketami, na przygotowanie szturm. Wcześniej jest to po prostu niemożliwe, więc musisz przez ten czas powstrzymać Zgromadzenie przed podjęciem nieodwracalnych decyzji. Nie wiem jak – nie jestem chwałą Bogu politykiem – ale musisz. Daj mi ten czas, Howard. Użyj każdego sposobu, ale daj mi ten czas!”

* * *

Caitrin MacDougall powoli szła korytarzem, zastanawiając się, jakim cudem jej matka przeżyła pięć ciąż. Jej własna była już dobrze rozwinięta i czuła się jak przeżarta do nieprzyzwoitości krowa, a gdy patrzyła w lustro, źle jej się robiło. Chciała mieć to dziecko, ale to nie znaczyło, że wszystkie uboczne objawy takie jak poranne nudności czy spuchnięte kostki musiały jej się podobać.

Dotarła do celu, czyli do drzwi, i zapukała.

– Witaj, Caitrin.

– Cześć, Hanat.

Doczłapała do przepastnego fotela i zapadła się w niego z ulgą. Wiedziała, że wygramolenie się z niego nie będzie ani łatwe, ani przyjemne, ale siedziało się wygodnie i to chwilowo było najważniejsze.

Smukła Thebanka zajęła krzesło dostosowane do jej budowy. Wyglądała niczym dziecko

przycupnięte u stóp Caitrin, ale ta już nie czuła się niczym przedszkolanka. Poznała i polubiła Hanat. Wiedziała, jak ta cierpi w areszcie domowym. Co prawda nikt jej nie skazał na żaden areszt, ale jako osobista sekretarka Lantu nie miała innego wyjścia. Rodacy zabiliby ją gołymi rękoma za jego „zdradę”, a większość ludzi powiesiła lub zastrzeliła za to, co wycierpiała z rąk Theban. Dosłownie w każdej rodzinie ktoś zginął, a większość nie znała jeszcze roli, jaką Lantu odegrał w wyzwoleniu planety, ani też nie wiedziała o jego wpływie na zmniejszenie liczby egzekucji. A nawet ci, którzy wiedzieli, nie do końca w to wierzyli. Dlatego złośliwym zrzędzeniem losu jej jedyną przyjaciółką stała się Caitrin – numer dwa w ruchu oporu na planecie.

– Jak się czujesz? – spytała Hanat.

– Dobrze... przypuszczam. Sądząc po wyczynach ostatniej nocy, ten mały potworek jak nic zostanie gwiazdą piłki nożnej. Poza tym czuję się kwitnąco, cholera.

– To dobrze – Hanat przytknęła wewnętrzne powieki. – Zazdroszczę ci.

Caitrin przygryzła wargę i zmieniła nieco temat:

– Dostałam wieczorem nagranie od Angusa. Gadatliwy się zrobił: całych dziesięć kompletnych zdań.

Hanat roześmiała się szczerze, tak jak chciała Caitrin. Śmiech miała srebrzysty, pasujący do elfiej sylwetki i zupełnie nie ludzki, ale miły dla ucha.

– Powiedział, że Lantu i Fraymak współpracują z Antonowem w planowaniu ataku.

– Och! – Hanat załamała ręce.

– Hanat! – Caitrin pochyliła się i ujęła delikatnie jej smukłą dłoń. – Wiesz, że zdecydował się na to dobrowolnie, i wiesz też, że to słuszne.

– Ale wiem także, ile go to kosztuje.

– Możesz mi powiedzieć, że to nie moja sprawa – przyznała spokojnie Caitrin. – Ale dlaczego nie wyślesz mu wiadomości?

– Bo on mnie żadnej nie przysłał. Thebańskiej kobiecie nie uchodzi pierwszej wysłać wiadomości do mężczyzny.

– Jakoś nie wyglądasz mi na kogoś kurczowo trzymającego się tradycji.

– Może i tak – Hanat uśmiechnęła się smutno. – Nie wysłał mi żadnej wiadomości celowo... i dlatego ja jemu też nie mogę.

– Dlaczego? Gdybym czekała, aż Angus coś powie, prędzej umarlibyśmy oboje ze starości, niż się do siebie zbliżyli! I to nie dlatego, że jest małomówny. Ale zasady w tej sprawie są podobne u nas i u was.

– Nie o to chodzi. – Hanat mówiła tak cicho, że Caitrin musiała wyczuwać słuch. – Lantu mnie kocha... wiem o tym i on wie, że ja wiem... ale nie przyzna tego otwarcie, bo nie wierzy, że do mnie wróci... Jest przekonany, że zginie... może nawet szuka śmierci... dlatego tak zazdroszczę Angusowi i tobie...

I rozpląkała się cicho.

Caitrin zaś wyciągnęła do niej ramiona i przytuliła ją mocno.

* * *

– ...oburzające! Celowe, planowe mordowanie bezbronnych cywilów na taką skalę jasno dowodzi, że Thebanie nie kierują się tymi samymi zasadami moralno-etycznymi co my! Fanatyzm nie może być wymówką dla masowych mordów! – zakończył Jewgienij Owens i sięgnął po szklankę z wodą mineralną.

Zawtórował mu cichy pomruk obecnych. Najgłośniejszy dobiegał z okolicy, gdzie siedzieli posłowie liberalno-postępowi, co nie było zaskakujące, jako że Owens częstokroć bywał – tak jak w tym wypadku – tubą Periclesa Waldecka. Sporo pomruków aprobaty rozległo się jednak także w rejonie zajęтым przez liberalnych demokratów Eriki Van Smitt. I co Andersonowi najmniej się podobało, z grona jego własnych konserwatystów. Splótł dłonie na lasce i czekał na ciąg dalszy.

– Pani marszałek, panie i panowie – podjął Owens ciszej i spokojniej – nie pierwszy raz ludzkość napotyka szaloną rasę i nie pierwszy raz za to płaci. Pragnę przypomnieć, że w czasie wojny z Rigelianami także niewielu polityków uwierzyło początkowo w podawane fakty. Dowiedzieliśmy się, że Thebanie popełnili te wszystkie okrucieństwa w imię religii. A okrucieństwa są różnorakie i czasami wręcz trudne do pojęcia, od tortur zaczynając, przez mordowanie rodziców, by „nawrócić” ich dzieci, aż do mordowania mieszkańców całych wiosek i miast w odwecie za działania partyzantów broniących jedynie swych bliskich i swej ojczyzny. Powiedziano nam też, że najświętsza w tej religii jest planeta, na której się znajdujemy, a religia owa powstała przy współudziale ludzi w wyniku bezpośredniego naruszenia edyktu z dwa tysiące dziewięćdziesiątego siódmego roku. Być może taka jest prawda, ale jaka racjonalnie myśląca istota przyjąłaby taki stek bzdur i ślepo weń wierzyła? Jakie rozsądne istoty zdolne do podróży międzyplanetarnych i dysponujące całą niezbędną do tego wiedzą uwierzyłyby w taki nonsens jak święta planeta?

Owens ponownie zrobił przerwę i tym razem odpowiedziała mu cisza.

– Nie akceptujemy tezy, że to ludzie są odpowiedzialni za to rasowe szaleństwo – kontynuował nadal spokojnie. – Nie możemy być winni temu, że jakaś rasa jest szalona, a nikt normalny nie wszcząłby „świętej wojny” przeciwko tym, których przedstawiciele dali mu wyższą technikę. I to z powodu nie trzymających się kupy pseudoreligijnych bredni. Ale nawet jeśli ludzkość jest odpowiedzialna za niezamierzone stworzenie tego zagrożenia, ponieważ dała rasie socjopatów nowoczesną broń, która umożliwiła im ludobójstwo, nie zmienia to sytuacji, z jaką mamy obecnie do czynienia. A raczej zmienia o tyle, że nakłada na nas dodatkowe zobowiązania. Jeśli bowiem to ludzie pomogli stworzyć to zagrożenie, zlikwidowanie go jest także sprawą ludzi. Naszą powinnością jest jak najszybsze i ostateczne unicestwienie tych, którzy w każdej chwili mogą zwrócić się przeciwko komuś innemu. I to wszelkimi niezbędnymi do osiągnięcia tego celu metodami. W tej sprawie trzeba opierać się

nie na tym, co chcielibyśmy, aby było prawdą, lecz jedynie na tym, co jest prawdą. Thebanie udowodnili, że są nieracjonalni, a wydarzenia na New New Hebrides i New Boston dowiodły też ich bezwzględności i skłonności do masowych mordów. Bitwa o Lorelei udowodniła zaś ich fanatyzm. A kiedy szalony fanatyk o morderczych skłonnościach szuka martyrologicznej śmierci, jest najgroźniejszy, nic go bowiem nie powstrzyma. Jedynym skutecznym sposobem jest pomóc mu znaleźć tę śmierć jak najszybciej i przy jak najmniejszych ofiarach. A to, panie i panowie delegaci, co dotyczy pojedynczego osobnika, tym bardziej dotyczy całej rasy fanatyków dysponującej bronią nuklearną i okrętami kosmicznymi. Rasa taka jest niewspółmiernie niebezpieczniejsza i stanowi groźbę dla wszystkich. Bezpieczeństwo nie tylko nasze, ale całej zasiedlonej galaktyki wymaga, abyśmy znieśli zakaz z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku, i wnioskuję, abyśmy tak właśnie postąpili.

I usiadł.

Anderson zgrzytnął zębami – Owens wierzył w to, co powiedział, i dlatego właśnie był tak przekonywający. Z tego zresztą powodu Waldeck wybrał go do przedstawienia stanowiska partii.

Wziął głęboki oddech i nacisnął guzik informujący marszałka, że chce zabrać głos.

– Udzielam głosu prezydentowi emeritusowi Howardowi Andersonowi – ogłosiła Chantal Duval.

Anderson zaczął wstawać, widząc, że na olbrzymim ekranie jego twarz zastąpiła jej oblicze, ale zmienił zdanie. Nogi coraz bardziej odmawiały mu posłuszeństwa, a tym razem nie mógł okazać żadnej słabości. Wszyscy musieli mieć wrażenie, że kieruje nim logika i jasny umysł, a ktoś, kto chwycie się na nogach, podobnego wrażenia nie wywiera.

– Pani marszałek, panie i panowie delegaci – zaczął jak zwykle silnym i donośnym głosem. – Pan Owens twierdzi, że Thebanie są szaleni, a ludzkość jedynie udostępniła im środki, dzięki którym to szaleństwo mogło się wyrazić. Twierdzi, że gdyby nie było wiary w Świętą Ziemię, znaleźliby inny powód. I twierdzi też, że nie możemy decydować w oparciu o to, czego byśmy sobie życzyli, że jest prawdą lecz jedynie w oparciu o prawdę... I ma naturalnie rację.

Przez salę przetoczył się cichy pomruk niedowierzania, Anderson zaś mówił dalej:

– Najgorszym błędem, jaki może popełnić jakikolwiek rząd, jest pozwolenie, by nadzieja i oczekiwania wypaczyła odbiór rzeczywistości. Nie raz widziałem, jak ten rząd tak właśnie postępuje. Tak, panie i panowie: jestem stary, bardzo stary... a w opinii części z was za stary. Obserwowałem Federację rozwijającą się i zmieniającą przez ponad wiek. Przez tenże wiek służyłem jej jako oficer floty, prezydent i członek tego Zgromadzenia. Widziałem, jak osiąga szczyty idei, o których ludzkość marzyła, i widziałem, jak toczy wojny, ponosząc olbrzymie straty, lecz w końcu zwyciężając. Widziałem, jak dzięki głoszeniu tych ideałów i polityce nieagresji zawiera przymierze z innymi rasami inteligentnymi. Ale widziałem też, jak popełniano błędy. Błędy wynikające z jak najlepszych chęci, w nadziei osiągnięcia jak

najrozsądniejszych celów, ale tym niemniej błędy straszliwe. Popełniali je również ludzie dobrzy i współczujący, choć znacznie częściej pozbawieni skrupułów egoiści, których nigdy nie brakowało. Nie twierdzą, że do takich straszliwych błędów należy to, co wydarzyło się w tej sali w dwa tysiące dwieście sześćdziesiątym szóstym roku, gdy Zgromadzenie zdecydowało się poprzeć propozycję Admiralicji sprecyzowaną w dyrektywie numer osiemnaście i zgodziło się na unicestwienie całej ludności Protektoratu Rigeliańskiego. Faktem jest, że nie mieliśmy wyboru. Rigelianie byli szaleni i zasiedlali zbyt wiele światów, a na dodatek walczyli fanatycznie do końca. Każdy z nich uważał, że jego obowiązkiem jest zniszczyć wszystkich zagrażających supremacji jego rasy albo zginąć, próbując. Podbój ich planet zakończyłby się masakrą, a garnizony przez pokolenia toczyłyby z mieszkańcami wojnę partyzancką. Straty, które ponieśliśmy w tamtej wojnie, były nieporównywalnie wyższe niż poniesione w tej, ale gdybyśmy zdecydowali się na inwazję, uległyby zwielokrotnieniu. A w końcu i tak musielibyśmy ich wszystkich zabić, gdyż stanowili zbyt wielkie zagrożenie nie tylko dla ludzi. Sojusz zdecydował się więc nie marnować milionów istnień tak ludzi, jak i naszych sprzymierzeńców, i zbombardować planety macierzyste Rigelian, dokładnie tak jak Thebanie postąpili z New Boston. Uważam, że wówczas zrobiliśmy słusznie, gdyż jedyną alternatywą byłoby wyrżnięcie ich pojedynczo w walce, a to kosztowałoby nas zbyt wiele zupełnie niepotrzebnych ofiar. Ale to, panie i panowie, nie była cała prawda, a o drugim powodzie, dla którego zdecydowaliśmy się podjąć takie działania, nikt nie odważył się głośno mówić. Byłem tu w trakcie debaty i dobrze to pamiętam: o tym mówiono tylko szeptem, nigdy oficjalnie. A powodem tym była zemsta.

Wypowiadając ostatnie słowo, przyglądał się uważnie Owensowi i zauważył, że tamten przygryzł wargę. Anderson nie dał nic po sobie poznać i dodał:

– Nie mówię, że nie powinniśmy byli podjąć takiej decyzji. Mówię natomiast, że zachowaliśmy się jak hipokryci. I twierdzą to jako jeden z tych, którzy brali w tym udział. Nawet gdybyśmy mogli znaleźć inne rozwiązanie, nie zrobilibyśmy tego, gdyż przepęłniała nas chęć zemsty. Pół miliona ludzi zabitych w Szpitalu Kosmicznym, osiem i pół miliona na Tannermanie, prawie półtora miliarda na Lassa's World, miliard na Codalusie. Miliard poddanych chana na Tol, dziewięćset milionów na Gozal'hira, osiemset pięćdziesiąt tysięcy na Chilliwalt. Do tego sama Marynarka Federacji i Korpus Marines straciły dwa miliony zabitych, a Flota Chanatu znacznie więcej. Nie chcieliśmy tylko zakończenia walk, chcieliśmy zemsty i zemściliśmy się. Tylko nikt nie miał odwagi o tym powiedzieć!... Być może było to też sprawiedliwe, a na pewno nieuniknione. Sądzę, że i takie, i takie... ale chodziło o coś więcej niż tylko wymierzenie sprawiedliwości. Nasi sojusznicy Ophiuchi zdali sobie z tego sprawę pierwsi i odmówili udziału w tym ostrzale... niektórzy z nas nazywali ich wówczas „moralnymi tchórzami”... dopóki nie ucichły eksplozje i dopóki nie zdaliśmy sobie sprawy ze wszystkich pobudek, które nami kierowały. I dlatego to samo Zgromadzenie Legislacyjne, które poleciło wykonać dyrektywę numer osiemnaście, w dwa tysiące dwieście

czterdziestym dziewiątym roku uchwaliło Zakaz. Postąpiono tak nie dlatego, że uznano, iż niepotrzebnie wymordowano całą rasę inteligentną, ale ponieważ obawiano się, że może stać się tak w przyszłości. Członkowie Zgromadzenia wiedzieli, że działali w pośpiechu i że kierowała nimi nienawiść. Zakaz, jak wszyscy wiemy, nie jest zakazem w dosłownym tego słowa znaczeniu, lecz głosi, iż decyzja o zniszczeniu rasy inteligentnej musi zostać podjęta bezwzględną większością dwóch trzecich głosów wszystkich delegatów, a nie tylko obecnych w chwili głosowania. Było to jedyne sensowne zabezpieczenie, jakie mogliśmy wymyśleć, umożliwiające w przyszłości temu Zgromadzeniu podjęcie tak ważnej decyzji ze spokojem, rozważą i uczciwością. By ci, którzy będą głosować, w pełni zdawali sobie sprawę z powodów i konsekwencji takiego posunięcia. Miałem nadzieję, że umrę, nim Zgromadzenie powtórnie stanie przed koniecznością podjęcia takiej decyzji. Większość moich kolegów delegatów z tamtych lat miała to szczęście, ale trochę nas jeszcze zostało i kiedy słuchamy tej debaty, słyszymy samych siebie i duchy umarłych zabierających głos w tamtej dyskusji. Wiemy, co czują ci, którzy nawołują do zemsty, bo sami to czuliśmy. I z przykrością stwierdzamy, że nikt nie ma odwagi się do tego przyznać. Tak jak wtedy... A prawda jest taka, że Thebanie nie są Rigelianami, a sytuacja jest inna. Tu mamy do czynienia z rasą posiadającą tylko jeden system planetarny, nie wiele systemów. I tylko jedną planetę, którą trzeba zdobyć. To jedna różnica. Druga jest taka, że ich szaleństwo ma podłoże religijne i nie jest istotne, czy ludzie pomogli im stać się tym, kim są, czy też znaleźliby sobie sami inny idiotyzm, który nazwaliby religią i postąpili tak samo. Ważne jest to, że ludzkość w swej historii przeżywała podobne okresy religijnego szaleństwa i to dzięki różnym religiom. Nikt nie zliczy, ilu ludzi zabito „w imię Boga”. Uczyliśmy się na własnych błędach i fanatyzm religijny należy już do dawno przebrzmiałej historii. Skoro nam się to udało, dlaczego zakładamy, że Thebanom się to nie uda?... Nie wiem. Wiem za to, że na New New Hebrides Thebanie celowo nie zabili ani jednego dziecka. Dzieci naturalnie ginęły w czasie walk, ale nawet gdy mordowano mieszkańców całych wsi, dzieci najpierw oddzielano od rodziców i wywożono. Możemy to nazwać „kradzieżą dzieci”, możemy dowodzić, że chodziło tylko o to, by poddać je praniu mózgu i zrobić z nich kolejnych fanatyków, ale nie ulega kwestii, że Thebanie świadomie je oszczędzali. A Rigelianom nawet by to przez myśl nie przeszło. I choćby dlatego nie można stawiać między obiema rasami znaku równości. Nie będę was zapewniał, że możemy bezpiecznie odstąpić od eksterminacji Theban, bo dopóki nie dotrzemy na Thebes, nie dowiemy się tego. Ale celem Zakazu z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku jest właśnie zmuszenie nas do czekania, do odkrycia całej prawdy przed podjęciem decyzji. I dlatego, z całym szacunkiem dla delegata Owensa, muszę was prosić, panie i panowie, byście powstrzymali się przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji w tej sprawie. Poczekajcie, aż admirał Antonow opanuje system Thebes. Poczekajcie, aż nie będziemy mieć cienia wątpliwości, że nie kieruje nami zemsta i nienawiść... Jestem starym człowiekiem w przeciwieństwie do większości z was. Zapłaciłem już za pośpiech koszarami

i poczuciem winy. Nie miałem wyboru, fakt. Może i wy go nie będziecie mieli, ale nie spieszcie się, byście nie płacili za to przez całe życie. Poczekajcie, jeśli nie z uwagi na nich, to z uwagi na samych siebie.

Wyłączył mikrofon i pochylił głowę nad wspartymi o laskę dłońmi.

Przestronną salę wypełniła absolutna cisza.

A potem rozbrzmiał sygnał oznaczający, iż ktoś chce przemówić.

– Udzielam głosu delegatowi z planety Fisk – powiedziała cicho Chantal Duval.

Jewgienij Owens wstał.

Na jego twarzy widać było jeszcze ślady gniewu, ale odezwał się bardzo spokojnie:

– Pani marszałek, panie i panowie delegaci: wycofuję swój wniosek do czasu zdobycia przez admirała Antonowa systemu Thebes.

Rozdział XXVII

ZA WSZELKĄ CENĘ

Iwan Antonow przemaszerował przez przestrzeń zewnątrzukładową systemu Thebes, stawiając kroki długości sekund świetlnych. Nie oganiał się od przelatujących wokół asteroid, może dlatego że nie było ich wiele. Thebanie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat oczyścili segment pasa, który wyglądał jak rozcięty mieczem. Antonow szedł po „podłodze” tego przejścia, a jego „sufit” miał nad głową. Tam asteroidy były upakowane znacznie gęściej niż gdziekolwiek tam, gdzie dotąd pojawili się ludzie czy ich sprzymierzeńcy. W oczyszczonym segmencie natomiast znajdowały się ustawione w geometryczny wzór asteroidy zamienione na forty. Każdy miał zaznaczone zasięgi i pola ostrzału tworzące pokrywający się wzór, który mógłby być piękny, gdyby nie był śmiertelnie groźny.

Antonow odwrócił swoje liczące dwieście tysięcy kilometrów szerokości ciało i wrócił do wylotu z warpa pogrążony w myślach. Ledwie tam dotarł, wszechświat zafalował i zniknął, a on znalazł się twarzą w twarz z niewielką grupką podkomendnych stojących pod ścianą głównej sali holoprojekcyjnej FNS *Gosainthan*.

Holoprojekcją sterował naturalnie komputer, ale oprogramowana została przez Winnie Trevayne i jej zespół z wydatną pomocą Lantu. Antonowowi przyszło do głowy, że kiedy takie symulacje będą powszechnie dostępne, mogą stać się nałogiem, ale zaraz skupił się na ważniejszych rzeczach.

– Sprawdziłem wszystkie aspekty planu i znalazłem tylko jeden drobiazg. Wykonanie go wymaga mianowicie sił, jakich jeszcze nie posiadamy, ale o tym wszyscy wiedzą – oświadczył. – Ponieważ tak okręty, jak i zaopatrzenie przybywają zgodnie z założeniami, wkrótce się to zmieni.

– Mnie niepokoi jedna rzecz – przyznał Lantu, podchodząc do niego. – Chciałbym wiedzieć, jak naprawdę wygląda stan produkcji myśliwców i iloma lotniskowcami dysponują moi rodacy. Bo nie wątpię, że jakaś ich liczbą dysponują, a podejrzewam, że ostatnie bitwy spowodowały większe przyspieszenie opracowania i produkcji tego rodzaju uzbrojenia niż moje wcześniejsze rekomendacje. Oczywiście od czasu bitwy o Redwing nie cieszyłem się względami Synodu, więc nie mogę nic konkretnego na ten temat powiedzieć poza tym, że już

wtedy trwały prace nad przystosowaniem zdobywczych myśliwców i lotniskowców do naszych potrzeb. Tyle że miały dość niski priorytet. Sądzę, że jakiś czas temu przyznano im najwyższe uprzywilejowanie.

Słyszając to, Winnifred Trewayne prychnęła lekko i oznajmiła z przekonaniem kogoś, kto jest zupełnie pewien tego, co mówi:

– Nie zgadzam się z oceną admirała Lantu, sir. Z powodów, które już przedstawiłam, ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to je powtórzę.

Antonow kiwnął głową na znak zgody.

– Thebanie bez wątpienia zdają sobie sprawę, że brak myśliwców jest niekorzystny nie tylko taktycznie, ale i strategicznie. Obrońcy Lorelei przygotowani byli na ciężką bitwę i zdecydowani walczyć do ostatniego. Obrona została starannie zaplanowana i przygotowana, także użycie krążowników taranujących. Jest to zrozumiałe, gdyż system Lorelei miał dla przeciwnika kluczowe znaczenie, tym bardziej że musiał on sobie uświadomić, iż wobec przewagi naszego potencjału przemysłowego jedyną szansę daje mu wojna obronna. Każdy, kto gotów jest poświęcić krążownik w samobójczym ataku, zrobiłby to samo z myśliwcami, znając ich skuteczność. Gdyby je miał – podkreśliła Trewayne i spojrzała na kontradmirała Berensona.

Ten kiwnął głową, jako że takie posunięcie dyktował elementarny zdrowy rozsądek początkującego nawet taktyka.

– W takim razie można spokojnie przyjąć – dodała Trewayne – że trzy miesiące temu, gdy rozegrała się bitwa o Lorelei, przeciwnik nie posiadał myśliwców wcale bądź miał niewielką ich liczbę. Biorąc pod uwagę, jak długo trwa wyszkolenie pilota i zbudowanie lotniskowca, nie sądzę, byśmy musieli się przejmować taką ewentualnością za miesiąc, gdy zaatakujemy.

I rozejrzała się na poły wyzywająco, na poły tryumfująco, gotowa bronić do upadłego swego stanowiska przed każdym, gdyż tokowi logicznemu, dzięki któremu do niego doszła, nie sposób było czegokolwiek zarzucić.

– Pani logika jest niepodważalna, komandor Trewayne – pochwalił Lantu. – Ale proszę pamiętać o podstawowym ograniczeniu logiki: wnioski zależą od założeń. A pani założyła, że moi rodacy, czyli Synod, uznali już przed bitwą o Lorelei, że mogą prowadzić jedynie wojnę obronną.

Wszyscy spojrzeli na niego jak na wariata: jak ktoś w tak katastrofalnej pozycji strategicznej mógłby myśleć inaczej.

Wszyscy poza Antonowem, który patrzył na niego ze zmarszczonym czołem.

* * *

Hannah Avram przyglądała się symulacji taktycznej z nogami na stole, a gdy ta dobiegła końca, skrzywiła się z niesmakiem. Dzięki Dickowi dysponowała 16 lotniskowcami, a według komputera właśnie straciła trzynastę z nich.

Wstała i przespacerowała się po sali odpraw *Haruny*. Problem sprowadzał się do założeń, według których rozgrywała się symulacja. Jeżeli były one następujące: przeciwnik działa zgodnie z własną doktryną taktyczną i nie wie o istnieniu jej lotniskowców, plan Antonowa rzeczywiście umożliwi im przeniknięcie w głąb systemu bez strat większych niż trzy jednostki. A wtedy startujące z nich myśliwce stają się bardzo istotnym i groźnym elementem bitwy, gdyż przeciwnik nie dysponuje niczym, co mogłoby zniszczyć jej lotniskowce. Natomiast jeśli zmieniała choćby jedno założenie, straty zaczynały gwałtownie rosnać. A gdy zmieniała oba, jej okręty przestały w praktyce istnieć.

Zatrzymała się, marszcząc brwi. Wszystko przez to, że jej lotniskowce były małe i delikatne. Nie posiadały pancerza ani generatorów osłon siłowych. Na swój sposób stanowiło to ochronę, ponieważ nie wydawały się istotnymi celami, dopóki nie wystartowały z nich myśliwce. Oznaczało to jednak, że jeśli ktoś wzięłby je na cel, to niewiele trafień było potrzebnych, by je zniszczył.

Mimo tego i mimo wielokrotnego sprawdzania pod różnymi kątami planu Antonowa nie była w stanie podważyć żadnego z założeń, na których był oparty. Biorąc pod uwagę to, co wiedzieli, był nie tylko logiczny, ale wręcz genialny. Jedyne, co tak naprawdę mogło położyć kres jego realizacji, to posiadanie przez przeciwnika myśliwców. A w tej sprawie zmuszona była przyznać rację komandor Trewayne.

Tyle że cały czas miała wątpliwości, których nie potrafiła uzasadnić.

Co gorsza wiedziała, że Antonow też je ma, choć się do tego nie przyznaje.

* * *

– Na zdrowie! – powiedział Kthaara, całkiem poprawnie wymawiając toast.

Dużo ćwiczył i był dumny z efektu, ale na Tsuczewskim nie wywarło to wrażenia. Widać było, że myślami błądzi gdzie indziej.

– Co się stało, Paawleee Sieeergieeeeeewiczuuu? – spytał Kthaara, jak zwykle przed bitwą w doskonałym humorze. – Ciągłe się martwisz, że Pawiany wywiną nam jakiś numer?

Warknął chrapliwie, co było odpowiednikiem pogardliwego parsknięcia u człowieka, wypił i podał butelkę Tsuczewskiemu, który posłusznie napełnił szklanki.

– No, Paaaszaaa – zachęcił Kthaara. – Bierz się za szkło i przestań pieprzyć *mairkazh*.

Pierwszy raz użył tego powiedzonka i tym razem osiągnął zamierzony efekt. Tsuczewski akurat przetykał i omal się wódką nie udławił.

Nawet Antonow się roześmiał. Ubawił go tak tekst, jak i prychnący wściekle Tsuczewski. Ale szybko spoważniał – nie podzielił się z podkomendnymi treścią ostatniej wiadomości od Andersona, nie widząc potrzeby, by złościł się na własną bezsilność tak jak on. A świadomość, że politycy narzucili im nieprzekraczalny termin zdobycia Thebes, była irytująca. Poza tym Kthaara nie zrozumiałby, dlaczego złości go fakt, iż musi zacząć działania wcześniej, niżby chciał, mając do dyspozycji wszystkie siły. Dla oriońskiego wojownika

zwłoka w celu uzupełnienia sił i zapasów była przykrą koniecznością. Im krócej trwała, tym lepiej.

Przyznawał, że wśród najniższej stojącej odmiany istot ludzkich, czyli polityków, zdarzały się myślące wyjątki, choć niezwykle rzadko. Ich istnienie tym bardziej jednak podkreślało stan zdegenerowania pozostałych zajętych jedynie własnymi ambicjami i interesami. Owens wycofał wniosek, fakt, ale Waldeck nie poddał się i wznowił kampanię, wykorzystując posłuszniejszych pomagierów. A ponieważ miał do czynienia z bandą durniów o selektywnej pamięci, stopniowo, lecz stale zwiększał liczbę zwolenników eksterminacji Theban. Przy okazji niejako równie stopniowo i stale podkopywał stan zdrowia Andersona, który marnował resztki sił na jego zwalczanie. I dlatego stanęło na tym, że ataku nie można dłużej odwlekać – tak jak powiedział na niedawno zakończonej odprawie, rozpocznie się on za dziewięćdziesiąt sześć godzin.

Wypił wódkę i skrzywił się nie z powodu smaku, którego nawet nie zauważył, ale do własnych myśli. Życie byłoby znacznie przyjemniejsze, gdyby tak powywieszać wszystkich polityków...

* * *

Potężne fortece, w jakie zmieniono asteroidy, czekały gotowe do akcji w odległości piętnastu minut świetlnych od gwiazdy typu G-0 stanowiącej jedno z dwóch słońc podwójnego systemu nazwanego Thebes. Jego promienie odbijały się od znajdujących się na powierzchni kopuł i anten, ale niczego więcej widać nie było, gdyż uzbrojenie, magazyny i całą resztę ukryto we wnętrzach asteroid. Kilka dziesięcioleci trwało usunięcie kosmicznego śmiecia z zewnętrznego pasa asteroid wokół wylotu z warpa i przeholowanie największych z nich na nową pozycję. Większość z tych skalnych czy żelaznych brył dorównywała lub nieco przewyższała wielkością Ceres w Układzie Słonecznym lub Mjólnir w Epsilon Eridani. Wszystkie zostały wydrążone, wyposażone w silniki manewrowe umożliwiające im utrzymanie pozycji i potężne uzbrojenie wsparte przepastnymi magazynami artyleryjskimi i źródłami energii.

Każda otoczona była rozległym i gęstym polem minowym i wyposażona w nader silne generatory osłon. A za nimi czekały resztki floty Miecza Świętej Ziemi – garść superdreadnoughtów i krążowników liniowych wsparta przez krążowniki i niszczyciele. A jeszcze dalej, poza zasięgiem nowych rakiet przeciwnika, czekały zmodernizowane, zdobyczne lotniskowce i barki przerobione pod kątem wykorzystania myśliwców. Natomiast podstawę obrony stanowiły zapory minowe i forty, z których najmniejszy był siedem razy większy niż zbudowany dotąd przez kogokolwiek w znanym wszechświecie superdreadnought. I dysponujący stosowną do wielkości siłą ognia. Największego nie dało się z niczym porównać i jeszcze do niedawna uważano, że jest on w stanie powstrzymać każdy atak.

Dopóki wróg nie zastosował tych przeklętych zasobników raketowych zdolnych do samodzielnego tranzytu.

Teraz przy fortach pełno było jednostek warsztatowych i wrzała gorączkowa praca. Montowano dodatkowe stanowiska obrony antyraketowej i hangary z katapultami. Było oczywiste, że wszystkie prace nie zostaną ukończone przed atakiem, a większość nowych stanowisk budowano na powierzchni z braku czasu na wydrążenie ich, ale wszyscy uwijali się świadomi, że stawką jest los wszystkich. Całej rasy.

Bronili bowiem ostatniego bastionu wiary, a zdegenerowaną rasę Wysłannika dzielił od nich tylko jeden tranzyt. Jeśli uda się jej wywalczyć przejście przez umocnienia i opanować system, będzie to oznaczało koniec wiary. Śmierci w walce o słuszną sprawę nie bał się żaden z nich, ale wizja końca religii była przerażająca i niewyobrażalna.

A gdy zabraknie wiernych, zakończy się też ich wiara.

* * *

Iwan Antonow obserwował na głównym ekranie taktycznym, jak pierwsza chmara *Hawków* znika we wlocie warpa zwanego Łodzią Charona. W bezpośrednim sąsiedztwie wlotu takich zgrupowań było kilkanaście. I każde z nich miało zaprogramowany tylko jeden cel.

Odruchowo spojrzął na Lantu rozmawiającego cicho z MacRorym – niełatwo było uzyskać dane tak dokładne, by zaprogramować rakiety. Udało się to dopiero dzięki użyciu głębokiej hipnozy. Seans trwał długo, jako że Lantu nie był człowiekiem, musiano go więc wprowadzać w trans ostrożnie. Poza tym jego podświadomość nawet przy maksymalnie dobrej woli nie była w stanie ujawnić tego, czego w niej nie było, czyli informacji o modernizacji, jakie forty przeszły od czasu, gdy ostatni raz miał do czynienia z ich danymi techniczno-taktycznymi. To, co uzyskali, powinno jednak okazać się wystarczające...

Lantu obserwował ekran przez zamknięte wewnętrzne powieki, przez co obraz był nieco rozmyty. Zmusił się, by zachować obojętny wyraz twarzy, i wdzięczny był losowi, że tak niewielu ludzi potrafi właściwie odczytać język jego ciała.

Ostatnie zasobniki zniknęły, a on zamknął zewnętrzne powieki, żałując, że nie mógł pozostać w swojej kabinie tak jak Fraymak. Pułkownik, choć nigdy nie kwestionował jego decyzji, nie mógł się zmusić, by obserwować skutki tychże. A Lantu po prostu nie miał wyjścia. Zbyt wiele wiedział o tym, co znajdowało się po drugiej stronie warpa, zbyt wielu obsadzających forty oficerów znał... Osiągnął pewien poziom przedziwnej równowagi – akceptował to, co musiał zrobić, i czerpał z tego siłę, ale nie chroniło go to przed koszmarami. Gdyby nie patrzył na początek walki, przed którą zrobił co mógł, by ludzie jak najskuteczniej wybili obrońców, byłaby to swoista zdrada.

A tego by nie zniósł.

Angus MacRory, nigdy nie będący gadułą, teraz milczał jak głaz. Ale ścisnął ramię

Lantu. Ten nie otworzył co prawda oczu, lecz położył swoją czteropalczystą dłoń na dłoni Angusa.

I odetchnął głęboko.

* * *

Obrońcy powitali pojawienie się pierwszych *Hawków* prawie z ulgą. Szarpiące nerwy czekanie wreszcie dobiegło końca i bitwa się zaczęła.

Kapitan Ithanad miał wachtę w centrali obrony antyrakietowej fortu dowodzenia *Saint Elmo*, gdy zawył alarm bojowy. Jego podkomendni już namierzali pojawiające się w normalnej przestrzeni zasobniki z rakietami, toteż pozostało mu tylko jedno.

Przełknął ślinę i polecił donośnie, by przekrzyczeć alarm:

– Wszystkie baterie ognia do namierzonych celów!

* * *

Hawki pierwszej fali, które przetrwały tranzyt – czyli przeważająca większość – rozpoczęły uniki, poszukując równocześnie zaprogramowanego celu. Straty wśród nich rosły, gdyż poruszały się po niezwykle gęstym polu minowym, a na dodatek trzy dywizjony thebańskich myśliwców odbywające właśnie patrol bojowy natychmiast włączyły się do akcji niszczenia ich. Piloci byli jednak niedoświadczeni, a *Hawki* zwrotne, toteż stanowiły naprawdę trudny cel i niewiele padło łupem myśliwców.

A potem systemy celownicze i wyrzutnie ustabilizowały się i setki rakiet opuściły wyrzutnie.

* * *

Kapitan Ithanad zbladł.

Te zasobniki nie rozpraszały ognia, mimo że celów w okolicy nie brakowało. Niewierni musieli zdobyć dokładne dane dotyczące obrony Thebes, gdyż wszystkie rakiety obrały ten sam cel: fort *Saint Elmo*, serce i mózg obrony.

Ku fortyfikacji leciało kilkaset rakiet i choć na ich spotkanie pomknęły antyrakiety, a w następnej linii obrony czekały sprzężone działka laserowe, kapitan Ithanad zaczął się bezgłośnie modlić.

Bo wiedział, że to nie wystarczy.

* * *

Użycie *Hawków* nie było zaskoczeniem, a obrona *Saint Elmo* została silnie wzmocniona przez te cztery miesiące zapewnione przez poświęcenie załóg drugiego admirała Jahanaka. *Saint Elmo* nie był też zwykłym fortem. Wszystko to spowodowało, że nawet tak liczna salwa nie przeciążyła jego komputerów. Ale była wystarczająco liczna, by baterie obrony

antyrakietowej nie zdołały sobie z nią poradzić.

Antyrakiety, sprzężone działka laserowe i wielolufowe działka strzelające z szybkością kilkuset pocisków na minutę zniszczyły ponad trzysta nadlatujących rakiet.

Ale prawie dwieście przedarło się przez ich ogień.

* * *

Kapitan Ithanad złapał się kurczowo poręczy fotela, a wszechświat oszalał.

Uprząż antyurazowa, której nie spodziewał się nigdy użyć, biorąc pod uwagę gabaryty fortu i jego masę, wpiła mu się boleśnie w ciało, a detonacje rakiet trwały i trwały...

Pierwsze zawierające antymaterię głowice rakiet detonowały na osłonach siłowych, których generatory były potężne, ale ich moc okazała się niewystarczająca i jeden po drugim ulegały zniszczeniu w wyniku przeciążenia niewyobrażalnymi wręcz dawkami energii. A gdy zabrakło osłon, na powierzchni asteroidy zaczęły rozkwitać minisupernowe. Każda taka detonacja niszczyła fragment olbrzymiej asteroidy. Był on zbyt mały, by miało to znaczenie samo z siebie, ale blisko siebie detonowało ponad sto głowic, co doprowadziło do zniknięcia większości powierzchni oraz prawie wszystkiego, co znajdowało się w wydrążonym wnętrzu ciała kosmicznego.

Kapitan Ithanad i prawie cała jego załoga zginęli, zanim w fort trafiła ostatnia rakietka.

* * *

Załogi pozostałych fortów i okrętów przyglądały się z przerażeniem powoli stygnącemu wrakowi fortu *Saint Elmo*. Nie został on całkowicie zniszczony – około pięciu procent stanowisk uzbrojenia i dziesięciu procent załogi ocalało, co świadczyło o nadzwyczajnych umiejętnościach projektantów i budowniczych.

Ale było to zbyt mało, by fort nadal liczył się jako bojowa jednostka.

A *Saint Elmo* był najpotężniejszym i mającym najlepszą obronę antyrakietową ze wszystkich...

Dyżurne wachty pozostałych fortów pochyliły się ponuro nad ekranami gotowe namierzyć cele, gdy tylko się pojawią.

I zamarły w oczekiwaniu na drugą falę tych przeklętych zasobników.

* * *

– Druga grupa *Hawków* gotowa do tranzytu, sir – zameldował kapitan Tsuczewski.

– Doskonale – Antonow spojrział na zegarek. – Uaktywnić napędy za trzy godziny pięćdziesiąt minut.

– Aye, aye, sir! – potwierdził szef sztabu.

I odwrócił się ku głównemu ekranowi taktycznemu, zastanawiając się, co też czują obrońcy systemu, czekając na kolejną falę śmierci i zniszczenia. Oczekiwanie zżerało nerwy

jak nic innego, a połączone ze strachem było nader skuteczną mieszanką prowadzącą do załamania. A oni tam byli właśnie świadkami zniszczenia swego najsilniejszego fortu i żaden z nich nie wiedział, które umocnienie stanie się następnym celem.

Zerknął na Lantu siedzącego obok MacRory'ego i wpatzonego w ekran i czym prędzej odwrócił wzrok.

* * *

Kolejne wycie alarmu bojowego wyrwało piątego admirała Panhanala ze snu. Spojrzał na holoprojekcję taktyczną i ujrzał znajomy już horror. Od prawie tygodnia nie opuszczał pomostu flagowego superdreadnoughta *Charles P. Steadman* ani nie zdejmował skafandra próżniowego. Noc we własnym łóżku czy prysznic stały się marzeniem, bo od tygodnia niewierni w nieregularnych odstępach czasu wysyłali swoje przekłete rakiety, niszcząc fort po forcie.

Teraz z wylotu warpa wypadły kolejne zasobniki...

Przetarł oczy, próbując zmusić się do myślenia. Był najstarszym rangą oficerem Miecza Świętej Ziemi po śmierci czwartego admirała Wantara i kapelana floty Urlada. Zginęli wraz z superdreadnoughtem flagowym *Masada* dnia poprzedniego... albo dwa dni temu...

Nie mógł sobie przypomnieć, ale to było bez znaczenia. Wszystko poza zmęczeniem było bez znaczenia. Przeciwnik mógł wysyłać kolejne fale rakiet co kwadrans i bitwa dawno już by się skończyła, ale złośliwie przeciągał niszczenie umocnień. Każda fala rakiet miała zaprogramowany jeden konkretny cel i każda ten cel niszczyła. Wróg musiał zdobyć bardzo dokładne dane, by móc tak precyzyjnie zaprogramować rakiety. Już to było policzkiem dla obrońców; przeciąganie ataku było po prostu psychicznym ich wykańczaniem. Najkrótsza przerwa między atakami wynosiła kwadrans, najdłuższa dziewięć godzin. Załogi były na skraju załamania nerwowego i odbijało się to na skuteczności obrony antyrakietowej.

Zresztą nawet na samym początku, gdy wszyscy byli wypoczęci, nic nie wskórali i *Saint Elmo* został wyeliminowany w pierwszym ataku... Mimo to walczyli dalej, bo tylko to im pozostało.

Podciągnął bliżej lotniskowce, by wzmocnić obronę, bo z każdym niszczonym fortem malała liczba myśliwców mogących brać udział w eliminowaniu zasobników. Lotniskowce znajdowały się w odległości czterdziestu sekund świetlnych od warpa, a piloci nabierali coraz większej wprawy, ale równocześnie byli coraz bardziej wyczerpani ciągłymi patrolami.

Teraz nie musiał patrzeć na ekran, by wiedzieć, co jest celem wrogich rakiet. Ostatni fort: *Verdun*. Zobaczył, ile rakiet ku niemu leci, opuścił obie powieki i czekał.

Otworzył je dopiero, słysząc głuchy, pełen bólu jęk dobiegający z wielu gardeł. Verdun był jednym z mniejszych fortów i nie pozostało po nim nic. Dosłownie nic.

Odruchowo spojrzął na ekran taktyczny. Pozostały wraki sześciu fortów niewiele groźniejsze od superdreadnoughtów, a na dodatek nie mogące manewrować. Nie wszystkie

zresztą dysponowały aż taką siłą ognia – *Vicksburg* i *Rorke's Drift* były uzbrojone gorzej niż krążownik liniowy. W ciągu tych sześciu dni przepadły efekty czterdziestu lat pracy. Liczby zabitych nie znał i nie chciał poznać. Ani teraz, ani nigdy.

Teraz przeciwnik zaatakuje, skoro skończył niszczenie fortów. Pozostały już tylko pola minowe gorączkowo uzupełniane w przerwach między atakami. Pola były gęste i szerokie, ale wróg musiał wiedzieć o ich istnieniu, skoro miał tak dokładne informacje o fortach. A skoro tak, to znalazł jakiś sposób, by sobie z nimi poradzić – inaczej nie marnowałby rakiet na niszczenie umocnień stałych.

Żałował, że nie ma więcej nadziei, ale nie potrafił zdobyć się na optymizm. Jako jedyny z załogi wiedział, że kapelan floty Sanak nie poszedł w nocy spać. Ledwie znalazł się u siebie, wsadził w usta lufę pistoletu maszynowego i nacisnął spust. Panhanal chciał z nim porozmawiać w cztery oczy i zajrzał do jego kabiny...

– Przesłać przypomnienie o pozostawaniu w stanie alarmu bojowego na pozostałe jednostki – polecił chrapliwym głosem.

– Aye, aye, sir! – potwierdził oficer łącznościowy.

* * *

Antonow spoglądał na główny ekran taktyczny, nadal nie mogąc wyjść z podziwu, że taka zbieranina frachtowców i trampów najrozmaitszej wielkości tak zgrabnie wygląda poustawiana w rzędy i zdalnie sterowana w celu utrzymania porządku.

Wbrew wcześniejszym teoretycznym przewidywaniom handel międzyplanetarny rozkwitał wraz z kolonizacją kosmosu. Głównie dzięki temu, że choć budowa statku kosmicznego sporo kosztowała, koszty jego eksploatacji były niewielkie, a dzięki szlakom przez warpy można było dolecieć wszędzie, gdzie one istniały, w dość krótkim czasie.

Dlatego też udało się zgromadzić odpowiednią liczbę jednostek, a fakt, że większość była stara i w opłakanym stanie, w niczym nie przeszkadzał. Miał zaś dodatkową zaletę – o tyle rupieci mniej będzie latało po obszarze Federacji. Każdy został wyposażony w autopilota i automatyczne sterowanie napędem oraz w ECM-y umożliwiające odegranie roli wymyślonej przez Lantu. Jeśli im się uda, będzie to znaczyło, że każdy kredyt odszkodowania wypłacony właścicielom był kredytem dobrze wydany.

Tsuczewski chrząknął cicho i Antonow spojrzął na zegarek.

Wybiła oznaczona godzina.

Mimo niecierpliwości Tsuczewskiego i jeszcze większej Kthaary Antonow pozostał nieugięty i trzymał się zaplanowanego harmonogramu. Thebanie musieli być wykończeni psychicznie i zmęczeni, by plan miał jak największe szanse na sukces.

Kiwnął głową i szef sztabu wydał odpowiednie rozkazy.

* * *

Dyżurne wachty na okrętach admirała Panhanala nie tyle odprężyły się, ile odsapnęły, gdy po zniszczeniu *Verdun* nie nastąpił atak. Nie było odboju alarmu bojowego, ale wszyscy byli tak zmęczeni, że ulga musiała się w ten sposób objawić. Panhanal próbował temu przeciwdziałać, ale miał nader ograniczone możliwości i...

Ponad dwieście superdreadnoughtów dokonało równoczesnego tranzytu przez warpa.

Panhanal wytrzeszczył oczy, gapiąc się na holoprojekcję taktyczną, na której kilka okrętów liniowych zniknęło w potężnych wybuchach zaraz po znalezieniu się w normalnej przestrzeni, a pozostałe ruszyły, formując klin, prosto w pole minowe. Czołowe natychmiast wpadły na pierwsze miny i ich symbole zaczęły znikać z holoprojekcji, ale kolejne parły dalej...

To, co widział, było niemożliwe! Nawet Szatan-Chan nie zgromadziłby tak szybko tak potężnej armady, a gdyby nawet, to nie marnowałby okrętów i wyszkolonych załóg w taki sposób!

– Start alarmowy wszystkich myśliwców! – warknął.

A zaraz potem blask bijący z głównego ekranu wizualnego zmusił go do zamknięcia wewnętrznych powiek. Ekran bowiem jaśniał nieustającą orgią wybuchów, gdy eksplodowała mina po minie, niszcząc okręt po okręcie. A te superdreadnoughty, które ocalały, leciały dalej, wyrabując sobie drogę przez zaporę i ściągając na siebie coraz więcej min, których komputery zwabiły tak atrakcyjne cele. Oprogramowanie min było standardowe – miały pozostać na miejscach, chyba że ich sensory wykryłyby sygnatury okrętów liniowych. Wtedy powinny włączyć silniki manewrowe i starać się dotrzeć jak najbliżej namierzonych jednostek. Potem wszystko zależało od zapalników zbliżeniowych.

Kolejne superdreadnoughty i pancerniki wylatywały z warpa ciągłym strumieniem, zasilając dziesiątkowane przez miny formacje znajdujące się już w systemie. Tyle że miny okazywały się zbyt skuteczne... wrogie jednostki ulegały zniszczeniu zbyt szybko!

Panhanal długą chwilę przyglądał się eksplozjom ciągle rozjarzającym ekran wizualny i statystyce skuteczności min wyświetlanej na jednym z pomocniczych ekranów taktycznych, nim wreszcie pojął prawdę. To nie mogły być superdreadnoughty. To były automatyczne wyposażone w ECM-y statki albo nawet barki udające superdreadnoughty. Ich celem nie było wytrałowanie przejścia w zaporze minowej, ale zniszczenie tej zaporę w najpewniejszy sposób, czyli przez uaktywnienie, a więc i detonowanie jak największej liczby stanowiących ją min.

Zaklął głośno, w bezsilnej złości waląc pięścią o poręcz fotela. Jego miny niszczyły bezwartościowe cele. Jego największy atut obronny marnował się na jego oczach. A on nie mógł nic zrobić, gdyż nie przewidziano możliwości ręcznego sterowania zaporą minową.

* * *

Ostatni frachtowiec zniknął we wlocie warpa prowadzącego do systemu Thebes i do

wylotu zbliżyła się pierwsza grupa okrętów – pięć superdreadnoughtów przerobionych na trałowce. Ich śladem leciała druga grupa: trzy klasyczne superdreadnoughty i trzy lotniskowce eskortowe kontradmiral Avram.

Superdreadnoughty trałowe dotarły do wlotu warpa i zniknęły.

* * *

Superdreadnought FNS *Finsterorhorn* pojawił się w przestrzeni systemu Thebes i natychmiast stał się celem min. Po dywersji ze strony frachtowców przetrwało ich jednak niewiele i jego wzmocniona obrona antyrakietowa z przeciwminowym oprogramowaniem radziła sobie niezgorzej. A zaraz po nim pojawił się kolejny superdreadnought trałowy. I następny.

Za pięcioma pierwszymi z warpa wyłoniły się kolejne, normalne już okręty liniowe, i ledwie ich systemy celownicze ustabilizowały się, odpaliły pełne salwy burtowe łącznie z zewnętrznymi wyrzutniami, biorąc za cel wraki nie do końca zniszczonych fortów.

Te odpowiedziały, czym mogły, podobnie jak thebańskie okręty, i przestrzeń wokół okrętów Federacji zagotowała się od nuklearnych wybuchów, a ich pancerze rozjarzyły się od trafień promieni laserowych.

* * *

Kontradmiral Hannah Avram odetchnęła z ulgą, gdy jej flagowy *Mosquito* dokonał tranzytu zaraz za superdreadnoughtem *Pike's Peak* i przetrwał kilkanaście sekund do pełnej stabilizacji systemów.

Na ekranie taktycznym nie było widać w okolicy ani jednej miny, co oznaczało, że największe poza fortami zagrożenie zostało zneutralizowane. A o tym jak skutecznie najlepiej świadczył fakt, że superdreadnoughty trałowe, choć zdehermetyzowane w wielu miejscach i ciągnące za sobą smugi powietrza i szczątków, przetrwały wszystkie.

Z wylotu warpa wyłoniła się siostrzana jednostka *Mosquito* – FNS *Rainier*, a po chwili jeszcze jedna. Okręty przeciwnika zignorowały je, skupiając ogień na superdreadnoughtach i nie zbliżając się. Najwyraźniej dowodzący nimi obawiał się powtórki z Lorelei, czyli tego, że napastnicy zostawili trochę *Hawków*, by wykorzystać je po uzyskaniu dokładnych namiarów jego okrętów. Oprócz nich ocalało jeszcze pięć wraków fortów – szósty właśnie przestał istnieć trafiony pełną salwą burtową *Pike's Peak*.

Hannah uśmiechnęła się z satysfakcją – jak dotąd przeciwnik postępował zgodnie z zasadami taktyki i mając przed sobą superdreadnoughty, ignorował jej „lekkie niszczyce” jako niegodny rakiet cel. Należało skorzystać z tego i wyjść z zasięgu jego rakiet, jak długo nie oprzytomnieje i nie zmieni zdania.

– Danny: kurs 1-1-7 na 2-8-3! – poleciała. – Wynosimy się stąd!

– Aye, aye, ma'am! – potwierdził MacGuire.

Okręt zaczął wykonywać zwrot, zwiększając równocześnie szybkość, byle jak najprędzej wydostać się z centrum bitwy, która, choć mniej zażarta, niż się spodziewano, i tak...

W tym momencie pierwsza rakietą wystrzelona przez thebański myśliwiec eksplodowała na osłonie burtowej *Rainiera*.

* * *

Admirał Panhanal uśmiechnął się drapieżnie. W przekrwionych oczach pojawił się triumfalny błysk. Atak dyżurnych dywizjonów całkowicie zaskoczył przeciwnika, który nawet nie otworzył ognia do nadlatujących myśliwców. A teraz wszystkie myśliwce Miecza Świętej Ziemi leciały już na spotkanie wroga!

* * *

FNS *Rainier* drgnął gwałtownie, gdy w ostatniej chwili zamontowane generatory osłon siłowych zostały zniszczone i kolejne rakietę wystrzelone przez thebańskie myśliwce eksplodowały na rufie, niszcząc napęd.

Dyżurny oficer ogniowy ocknął się z szoku wywołanego faktem posiadania przez wroga myśliwców i zabrał energicznie do przeprogramowywania obrony raketowej na przeciwlotniczą. Nie zdążył, gdyż kolejne rakietę i promienie działek laserowych następnym myśliwców rozpruły kadłub.

Zginął wraz z okrętem.

* * *

– Start wszystkich... nie! – Hannah sama sobie przerwała.

Instynktownie chciała wydać rozkaz, jaki powinien paść z ust kapitana zaatakowanego lotniskowca. Gdy zaczęła, dotarło do niej, co widzi na głównym ekranie taktycznym. A widać na nim było ugrupowanie myśliwców zbliżających się do pola bitwy, ale wszystkie symbole były zielone, co oznaczało własne maszyny!

Zmęła w ustach przekleństwo, rozumiejąc nagle wszystko. Pawiany miały myśliwce, gdyż skopiowały zdobyczne maszyny Federation Navy, i to wraz z transponderami identyfikacyjnymi. I ich oprogramowaniem. Dlatego nadlatujące myśliwce złapane w wiązkę radarową zawierającą żądanie identyfikacji nadały odpowiedź taką samą jak myśliwce własne i komputery za taką ją uznały. A ponieważ miały dokładnie takie same sygnatury napędów, emisje radarów i lidarów, nie było sposobu, by je odróżnić od swoich.

– Komandorze Doherty, proszę natychmiast wysłać kapsułę kurierską do Lorelei z wiadomością dla admirała Antonowa oznaczoną jako bezwzględny priorytet – poleciła. – Treść wiadomości: „Wykryto nieprzyjacielskie myśliwce posiadające identyczną sygnaturę, emisje i kody identyfikacyjne jak jednostki własne. Powtarzam: identyczne jak nasze. Wstrzymałam start myśliwców do czasu zlokalizowania lotniskowców wroga. Avram”.

Koniec wiadomości.

– Nagrana, ma'am. I wysłana.

– Doskonale. Proszę nadać na wszystkie okręty: zakaz, powtarzam: zakaz startu dla myśliwców. Dołączyć do mnie i proszę podawać naszą aktualną pozycję.

– Aye, aye, ma'am.

– Doskonale. Komandor Braunschweig, niech pani odtworzy kurs tych myśliwców i znajdzie lotniskowce. I poda mi jak najszybciej namiary!

– Aye, aye, ma'am – sądząc po głosie Braunschweig, jej ludzie już nad tym pracowali.

Hannah spojrzała ponownie na główny ekran taktyczny – pojawiały się na nim wciąż nowe formacje myśliwców kierujących się prosto ku wylotowi warpa i zgrupowanym tam okrętom Marynarki Federacji.

– Komodorze Mitchell, mamy około dziesięciu minut na wymyślenie, co zrobić, by dało się odróżnić ich myśliwce od naszych – powiedziała spokojnie, patrząc na dowódcę skrzydła stacjonującego na lotniskowcu.

* * *

Wiadomość nadana przez kapsułę kurierską FNS *Mosquito* pojawiła się równocześnie na ekranie fotela Antonowa i na ekranie komputerowym stanowiska Lantu. Obaj zareagowali tak samo – odwrócili głowy i spojrzeli na siebie z całkowitym zrozumieniem.

– Kapitanie Tsuczewski – zadudnił Antonow i jedynie ci, którzy go naprawdę dobrze znali, zorientowali się, jak jest wstrząśnięty. – Proszę przekazać tę wiadomość na wszystkie okręty, które jeszcze nie opuściły systemu. I proszę mnie natychmiast połączyć z admirałem Berensonem!

Mosquito i pozostałe lotniskowce eskortowe całą naprzód oddalały się od superdreadnoughtów. Tranzyt wszystkich zabrał sporo czasu, ale jej ostrzeżenie dotarło do każdego, gdyż nie wystartował z nich ani jeden myśliwiec. Hannah z napięciem obserwowała pierwsze zmasowane uderzenie thebańskich myśliwców, którego celem były okręty liniowe. Jej „niszczycielami” zainteresowały się ledwie trzy dywizjony, a na ich przyjęcie gotowa już była obrona przeciwlotnicza. Fakt, własny parasol myśliwski byłby skuteczniejszy, ale w tych warunkach niecałkowicie skuteczny.

A wprowadziłyby niesamowite wręcz zamieszanie, gdyż nie dość, że sami piloci mieliby problem ze zidentyfikowaniem po pierwszym ataku, która maszyna jest wroga, a która nie, to dokładnie to samo dotyczyłoby obrony przeciwlotniczej superdreadnoughtów. A to z kolei spowodowałoby, że ta albo strzelałaby do wszystkich myśliwców, niszcząc w ten sposób też i własne, albo nie strzelałaby do żadnego, bojąc się trafić swoje maszyny. Teraz ten problem nie istniał, bo załogi wiedziały, że operujące myśliwce należały do wroga, nawet jeśli komputery pokładowe pokazywały co innego.

Na dodatek start myśliwców uświadomiłby przeciwnikowi, czym w rzeczywistości są jej

okręty, a to oznaczało, że natychmiast stałyby się celem dla wszystkiego, czym dysponowali obrońcy. No a na jej lotniskowcach bazowała trzecia część myśliwców Drugiej Floty. Nie można ich było zmarnować, nie osiągając konkretnych korzyści taktycznych.

Na głównym ekranie taktycznym pojawiły się w krótkim odstępie czasu trzy czerwone znaki i trzy symbole własnych superdreadnoughtów zniknęły. Thebańscy piloci udowodniali, że czegoś się jednak nauczyli...

Czuła furję załogi wywołaną jej rozkazem, w wyniku którego uciekali z miejsca walki.

I rozumiała ją doskonale.

Ale nie wydała innego rozkazu.

* * *

Piąty admirał Panhanal podzielał radość obsady pomostu flagowego. Skrzydła Śmierci okazały się skuteczniejsze, niż ośmielał się mieć nadzieję. Niewierni zniszczyli forty i zapórę minową, praktycznie nie ponosząc strat, ale teraz za to płacili. Jego myśliwce atakowały z zaciętością rozjuszonych hansali i z równą im skutecznością, co było widać po liczbie zniszczonych wrogich okrętów. Co prawda nie byli tak skuteczni jak piloci wroga – dawały tu o sobie znać tak wyczerpanie, jak i brak doświadczenia, ale nadrabiali to liczbą. A jeśli będą się dalej spisywać tak dobrze jak dotąd, może się jeszcze okazać, że mimo wszystko obronią wylot z warpa.

Spojrzał na holoprojekcję i prychnął pogardliwie, widząc uciekające niszczyciele wroga. Jeśli reszta ich przeklętej floty okaże się równie tchórzliwa...

* * *

– I cóż, komodorze Mitchell? – spytała z napięciem Hannah.

W wylocie warpa zaczęły pojawiać się pancerniki, a całe jego sąsiedztwo było pełne okrętów liniowych, wybuchów, myśliwców i wyciekającej z uszkodzonych jednostek atmosfery. Jej lotniskowce znajdowały się w odległości czternastu sekund świetlnych od tego piekła. Średnio czternastu sekund, gdyż jej okręt dzieliło od niego szesnaście, a ostatni w szyku dwanaście.

– Przykro mi, ma'am, ale nie mogę niczego zagwarantować. Zmieniliśmy ustawienie transponderów, co w pierwszym ataku na pewno będzie skuteczne. Ale oni mają ten sam sprzęt, więc gdy się zorientują, zrobią to samo i nie zdołamy im w tym przeszkodzić.

– Rozumiem... ale przez co najmniej kilka minut myśliwce będą rozróżnialne dla komputerów?

– Zgadza się, ma'am.

– Doskonale. Komandor Braunschweig, znalazła mi pani te lotniskowce?

– Myślę, że tak – odparła komandor Roberta Braunschweig. – Wykryliśmy cztery jednostki klasy *Wolfhound*, zdobyczne bez wątplenia. I jeszcze coś, co wygląda na

przerobione frachtowce, takie jakich używaliśmy w systemie Danzig, ale nie mam co do tego pewności, gdyż odległość jest zbyt duża, by dało się je zidentyfikować na sto procent.

Hannah przeniosła wzrok na Mitchella.

– Wiem, że nie mamy czasu na właściwe zaplanowanie misji, ale musimy zniszczyć te lotniskowce i resztę, zanim one do końca zmasakrują nasze okręty liniowe. Proszę zostawić cztery dywizjony do osłony, a resztę wysłać z zadaniem zniszczenia lotniskowców wroga... To są cele, które muszą być wyeliminowane za wszelką cenę, komodorze Mitchell.

Ostatnie zdanie dodała ciszej, ale bez śladu wahania.

– Aye, aye, ma'am – potwierdził równie cicho i stanowczo Mitchell.

* * *

Superdreadnoughtem FNS *Baden* wstrząsnęła kolejna seria eksplozji. Gdyby nie uprząże antyurazowe, większość obsady mostka poleciałaby na ściany i połamała kości o wyposażenie, gdy okręt stanął dęba, a sztuczna grawitacja na moment przestała działać. A tak los ten spotkał tylko paru.

Przez gryzący dym elektrycznych pożarów i iskrzenie zniszczonej elektroniki z trudem przebił się blask awaryjnego oświetlenia.

– Drużyna awaryjna na mostek! – polecił kapitan Lars Nielsen.

Jego głos brzmiał normalnie, gdyż zdążył zamknąć wizjer hełmu. Ci, którzy nie zdążyli, kasłali teraz rozpaczliwie. Wycie alarmów uszkodzeniowych było wszechobecne, a okrętem wstrząsały wciąż nowe wybuchy. *Baden* był na to za stary – choć zmodernizowany, pochodził z Rezerwy i dni świetności miał już za sobą. Jakby na potwierdzenie tego kolejne potężne szarpnięcie wstrząsnęło okrętem, a zaraz potem zamilkł napęd.

Silniki zostały zniszczone i Nielsen zrozumiał, że pozbawiony napędu, a więc i możliwości manewrowania okręt zostanie dobity przez następny atak myśliwców. Spojrzał na jedyny funkcjonujący jeszcze ekran i zaklął. Thebańskim pilotom brakowało doświadczenia i dla myśliwców Drugiej Floty byłiby łatwym łupem. Tyle że lotniskowce eskortowe, na których znajdowały się wszystkie myśliwce Marynarki Federacji w systemie Thebes, uciekły z pola bitwy, nim piloci zdążyli wystartować.

Zaczął z uczuciem przeklinać dowodzącą nimi Avram, ale nie dokończył, bo wszechświat nagle zmienił się w piekło ognia i wybuchów...

* * *

– Admirał Berenson jest na pozycji, sir! – zameldował kapitan Tsuczewski, nie kryjąc zmęczenia.

Antonow skinął głową na znak potwierdzenia. Czuł się równie wykończony, jak Tsuczewski wyglądał. Porządek w Drugiej Flocie został jednak przywrócony i można było kontynuować atak. Plan operacji na taką skalę dorównywał prawie objętością rocznemu

sprawozdaniu finansowemu Marynarki Federacji, toteż wprowadzanie doń zmian w ostatnim momencie było niełatwym zadaniem. Udało im się to jednak wspólnym wysiłkiem i lotniskowce admirała Berensona, które miały jako ostatnie dokonać tranzytu, znalazły się na początku kolejki połączone w pary z krążownikami liniowymi. Prawdę mówiąc, Antonow nader niechętnie zdecydował się posłać je do walki, ponieważ wiedział, że znajdą się pod ostrzałem, zanim zdążą uaktywnić systemy maskowania elektronicznego, a być może nim zdążą ustabilizować katapulty, ale nie miał wyboru. Jego okręty ginęły bez wsparcia myśliwców, o czym dobitnie świadczyła kolejna kapsuła, która pojawiła się w Lorelei, nadając Kod Omega. Została wysłana przez FNS *Baden*.

– Proszę polecić admirałowi Berensonowi, by dokonał tranzytu najszybciej, jak to tylko możliwe – rozkazał Tsuczewskiemu.

* * *

– Start!

Katapulty piętnastu lotniskowców eskortowych odpaliły prawie równocześnie i sto osiemdziesiąt myśliwców pojawiło się w przestrzeni. Trzydzieści sześć utworzyło parasol ochronny nad lotniskowcami, pozostałe skierowały się z pełną szybkością ku odległym o nieco ponad minutę świetlną thebańskim lotniskowcom.

Hannah Avram zmusiła się do odprężenia. Zrobiła to, co uważała za najlepsze.

I teraz mogła jedynie czekać.

* * *

Piąty admirał Panhanal stracił cenne sekundy na zrozumienie tego, co się dzieje. Był zmęczony i odbijało się to na jego zdolności kojarzenia mimo dawki adrenaliny. A lotniskowce eskortowe dotąd uznawane za niszczyciele znajdowały się daleko od pola walki, na którym tak on, jak i jego podkomendni koncentrowali uwagę.

Dopiero po prawie minucie dotarło doń, co jest celem wrogich myśliwców i skąd się one tak niespodziewanie pojawiły. Klnąc siebie i niewiernych, wydał szybko rozkazy, wściekły najbardziej na samego siebie. Wysyłanie tak nieistotnych, łatwych do zniszczenia jednostek jak niszczyciele w pierwszej fali ataku wraz z okrętami liniowymi było nonsensem. Skoro przeciwnik tak postąpił, musiał mieć w tym konkretny cel i powinno to od razu wzbudzić jego podejrzenia. Był wyczerpany i za dużo działał się równocześnie, ale to go nie tłumaczyło.

Jego własne myśliwce lecące właśnie po uzupełnieniu uzbrojenia do kolejnego ataku rozdzieliły się – dwie trzecie skierowało się przeciwko wrogim maszynom, by je przechwycić. Reszta zaś ruszyła ku lotniskowcom wroga, które osłaniała ledwie garść myśliwców, więc atak powinien się powieść.

Okręty liniowe atakowały maszyny pozbawione już rakiet, które miały zostać zmienione przez nadlatujące. Widać było, że przy użyciu samych działek laserowych nie zdołają ich

powstrzymać. No, ale pozostałe jego okręty nie wzięły jeszcze udziału w walce – jeśli zdołają dotrzeć w zasięg dział laserowych i zablokować przeciwnika w pobliżu wylotu z warpa, nim myśliwce rozprawią się z lotniskowcami i myśliwcami wroga i wrócą na pole bitwy.

– Wrogie myśliwce przerwały atak, ma'am!

Dyżurna obsada mostka zareagowała okrzykiem radości, a kapitan Lauren Ethridge uśmiechnęła się, nie mając serca zganić ludzi. *Popocate'petl* został zaatakowany w chwili, w której pojawił się w systemie Thebes, a piloci thebańscy z uporem nadrabiali braki umiejętności i atakowali prawie cały czas.

Wiedziała, że chwila wytchnienia zawdzięczana admirał Avram nie potrwa długo, bo wynikało to jednoznacznie z obrazu widocznego na głównym ekranie taktycznym, ale nie było sensu odbierać załodze tej chwili przyjemności.

– Zbliżają się wrogie okręty liniowe, ma'am! – zameldował oficer artyleryjski.

Równocześnie na ekranie taktycznym pojawiły się odpowiednie symbole wraz z przewidywanymi kursami i czasem znalezienia się w odległości umożliwiającej otwarcie ognia z dział. Nie ulegało wątpliwości, że do walki ruszyły wszystkie thebańskie okręty liniowe.

Kapitan Ethridge zakłęła w duchu i zaczęła wydawać rozkazy.

* * *

– Panie i panowie, zaczynamy bal! – oznajmiła kapitan Angela Martens tonem jeźdźca dosiadającego nerwowego konia, który nie może doczekać się rozpoczęcia biegu.

Nie spuszczała wzroku z wrogich myśliwców lecących bezładną gromadą, by przechwycić jej maszyny, i uśmiechnęła się z satysfakcją. Ta chaotyczna formacja wiele mówiła doświadczonemu pilotowi o umiejętnościach przeciwnika. A wniosek był prosty – to, co spotka jej pilotów, będzie przykre z uwagi na przewagę liczebną przeciwnika, ale to, co spotka Pawiany, będzie niewspółmiernie gorsze.

– Przygotować się do zmiany kodu IFF... – poleciła, wyczekując stosownego momentu. – Uwaga... teraz!

Wśród thebańskich pilotów zapanowało zamieszanie, gdy dostrzegli, że przeciwnicy zmienili kody identyfikacyjne transponderów. W sumie i dla nich było to pomocne, ale nie spodziewali się podobnego posunięcia. A jeszcze większym zaskoczeniem było to, że połowa myśliwców Federacji została uzbrojona do walki z myśliwcami, a nie do ataku na okręty, i zamiast rakiet posiadała zasobniki z działkami laserowymi.

Dywizjony osłony przeleciały przez thebańską formację i zawróciły niczym doskonale wyważony rapier w dłoni Martens.

Po tym przelocie, który trwał około dziesięciu sekund, z szeregów thebańskich ubyło ponad pięćdziesiąt myśliwców.

* * *

Niewyraźnie mająca anomalia, jaką w normalnej przestrzeni był wlot warpa, znajdowała się prosto przed dziobem lotniskowca *Bearhound*, co ukazywał główny ekran wizualny. Wiceadmirał Dawid Berenson przyglądał się jej nieżyczliwie niczym przeciwnikowi.

– Okręt gotów do tranzytu, sir – zameldował kapitan Kyllonen dowodzący lotniskowcem.

– Doskonale. – Berenson obrócił się wraz z fotelem do swego oficera operacyjnego i spytał: – I co, Akira? Zdążymy i zadziała?

Komandor Akira Mendoza był spocony, ale pewny siebie.

– Kody zostały zmienione. Właśnie dostałem potwierdzenie, sir. A czy zadziała... na pewno, ale na jak długo, nie sposób przewidzieć.

Nie mógł wiedzieć, że obaj z Kthaarą wpadli niezależnie od Mitchella na dokładnie ten sam pomysł. Jego ostrożność mówiła zaś sama za siebie, gdyż karierę zaczynał jako pilot myśliwski, a myśliwcy słynęli z pewności siebie i brawury. Berenson zresztą też wywodził się z tego grona, tylko że był starszy tak stopniem, jak i wiekiem. Teraz pokiwał głową, rozumiejąc niedopowiedziane, i westchnął.

– Niczego już nie zmienimy, więc nie ma na co czekać – ocenił, nacisnął przycisk interkomu na poręczy fotela i polecił: – Proszę rozpocząć tranzyt, kapitanie Kyllonen. I poinformować o tym admirała Antonowa.

* * *

Hannah siedziała beczynn timer na pomoście flagowym FNS *Mosquito* i przyglądała się rozwojowi wydarzeń. Nic już nie mogła zrobić – teraz wszystko zależało od Mitchella i pilotów osłony myśliwskiej. Pierwsze odezwały się wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, ale jej lotniskowce nie miały ich zbyt wiele, toteż choć sporo rakiet trafiło, straty wśród nadlatujących maszyn thebańskich nie były duże.

Potem przysła kolej na myśliwce. Piloci thebańscy byli niedoświadczeni, zmęczeni i mieli złe uzbrojenie do walki z myśliwcami. Rakiety były w takim starciu bezużyteczne, a ledwie kilka maszyn miało zamiast nich podczipione zasobniki z działkami laserowymi, czyli takie uzbrojenie, jakie posiadały wszystkie osłaniające lotniskowce maszyny. Na dodatek thebańskie działka laserowe miały większy zasięg, ale mniejszą szybkostrzelność – lepiej nadawały się do ostrzeliwania okrętu, gdy myśliwiec przelatywał wzdłuż jego burty, ale tym samym były mniej skuteczne w starciu ze zwrotnym przeciwnikiem na niewielką odległość. No i piloci Federacji znacznie lepiej znali możliwości swoich maszyn.

W efekcie przelecieli przez ogień thebańskich działek laserowych bez strat i zaczęła się walka od czasów samolotów atmosferycznych zwana kołową.

I od razu dała się zauważyć przewaga umiejętności pilotażu i lepsze umiejętności strzeleckie pilotów Federacji – thebańskie myśliwce jeden po drugim zmieniały się w kule

ognia, a formacje traciły szyk po śmierci dowódców. Ale myśliwców thebańskich było znacznie więcej, a ludzie nie byli nieśmiertelni. I choć nadal walczyli zajadle, zaczęli ginąć.

Hannah obserwowała, jak walka przemieszcza się coraz bliżej, aż w końcu ogarnęła jej lotniskowce. Gdy odezwały się sprzężone działka laserowe obrony antyrakietowej przełączone na funkcję przeciwlotniczą, ze zdziwieniem stwierdziła, że piloci thebańscy nadal nie przestawili swoich transponderów.

A potem wszechświat ogarnęło szaleństwo.

* * *

Piąty admirał Panhanal próbował śledzić wszystkie miejsca, w których toczyła się walka, ale było ich zbyt wiele i znajdowały się zbyt daleko od siebie, by zdołał tego dokonać. Mógł próbować, ale była to próba skazana na fiasko.

Charles P. Steadman drgnął, odpalając wszystkie rakiety z zewnętrznych wyrzutni oprócz pełnej salwy burtowej, i pancernik, który był celem jego rakiet, przestał istnieć. Oprócz swojego okrętu flagowego Panhanal dysponował jednakże tylko trzema superdreadnoughtami i choć wszystkie zniszczyły cele, do których strzelały, wrogich okrętów ciągle przybywało. Straty wśród myśliwców rosły, gdyż nie mając rakiet, musiały atakować z mniejszej odległości, by ogień ich działek laserowych był skuteczny. Byli jednak wojownikami Świętej Ziemi, więc choć z każdym atakiem pozostawało ich coraz mniej, nie wycofali się.

Spojrzał na ekran taktyczny fotela tak skonfigurowany, by cały czas pokazywał własne lotniskowce, i zbladł. Wrogie myśliwce dziesiątkowały jego własne, które miały je przechwycić, i choć ponosiły straty, nadal utrzymywały kurs na lotniskowce.

Choć byli znacznie lepsi od jego pilotów, na szczęście było ich zbyt mało. Do lotniskowców mogło dotrzeć co najwyżej kilkunastu, a ataku najprawdopodobniej nie przeżyje żaden. Za to lotniskowce powinny przetrwać.

W przeciwieństwie do wrogich lotniskowców, które już stały się obiektem ataku jego myśliwców i ginęły jeden po drugim. Dwie pierwsze ogniste kule, które wykwitły wśród wrogich lotniskowców, zostały powitane rykiem radości przez obsadę pomostu flagowego.

Panhanal uśmiechnął się, ukazując zęby. Zdawał sobie sprawę, że zmęczenie i zapal bitewny sprowadziły go do poziomu przodków-drapieżników, ale nie miało to znaczenia.

Odwrócił się ku holoprojeksji taktycznej w momencie, w którym okręty przeciwnika znalazły się w zasięgu dział laserowych jego okrętu.

* * *

Mosquito zatoczył się pod impetem eksplozji rakiet, które prawie równocześnie trafiły w prawoburtową osłonę siłową, powodując przeciążenie, którego nie wytrzymały generatory. Następne rakiety eksplodowały już bezpośrednio na burcie, siejąc śmierć i zniszczenie, a promienie działek laserowych jeszcze te zniszczenia potęgowały.

Główny ekran taktyczny zgasł nagle, więc Hannah odruchowo spojrzała na ekran wizualny. I zbladła – sześć jej okrętów już nie istniało, a dalsze ciągnęły za sobą smugi powietrza i szczątków, ale thebańskim pilotom skończyły się rakiety. Teraz ostrzeliwali okręty już tylko z działek, powodując znacznie mniejsze zniszczenia.

A potem zobaczyła trzech samobójców lecących prosto w obiektyw kamery. Ścigał ich samotny ziemski myśliwiec, strzelając desperacko... jedna z maszyn thebańskich zmieniła się w kulę ognia... Potem druga...

A trzecia leciała dalej.

* * *

Odległość między okrętami zmniejszała się cały czas. Thebański pancernik *Lao-tze* eksplodował jako pierwszy. *Charles P. Steadman* trząsł się od trafień, ale wszystkie sprawne działa odpowiadały ogniem.

* * *

Angela Martens zakończyła ostrą beczkę i zmniejszyła ciąg. Trzymający się dotąd jej ogona thebański myśliwiec powtórzył manewr, ale prędkości nie zmniejszył i przeleciał pod jej maszyną, wystawiając się wręcz idealnie na strzał. Nacisnęła spust i zmieniła go w kulę ognia, po czym dała pełen ciąg. Pociemniało jej w oczach od przeciążenia, ale trafiła kolejnego przeciwnika, choć zawdzięczała to bardziej wytrenowanym odruchom niż starannemu celowaniu.

Jej boczny odleciał nagle, kręcąc rozpaczliwy unik, i zniknął w ognistym wybuchu. Na jego miejscu natychmiast pojawił się porucznik Haynes. Dywizjon rozbił się na pary i kontynuował walkę. Gdyby nie przestawione transpondery, w tym zamieszaniu nie sposób byłoby odróżnić swojego od wroga.

* * *

Ocalałe z pogromu myśliwce Hannah Avram wyrównały szyk i rozpoczęły atak na thebańskie lotniskowce. Choć pozostało ich więcej, niż zakładał admirał Panhanal, i tak było ich za mało. Dowodzący atakiem jako czwarty z kolei komandor porucznik Saboski zdecydował, że skoro nie są w stanie wyeliminować wszystkich celów, należy zostawić znacznie wolniejsze i łatwiejsze do zniszczenia barki myśliwcom admirała Berensona i skupić się na głównych celach.

– Dowódca do wszystkich: atakować tylko *Wolfhoundy*! – rozkazał na częstotliwości dowodzenia.

Formacja rozdzieliła się na sześć części, by zaatakować cele ze wszystkich kierunków, i rozpoczął się właściwy atak.

* * *

Bearhound zakończył tranzyt i obecni na jego pokładzie mogli tylko czekać, aż jego komputery, sensory i katapulty ustabilizują się i zresetują nawet informacyjny towarzyszący chaosowi, jakim stała się bitwa o Thebes.

Prawie równocześnie kontrola lotów ogłosiła gotowość startu myśliwców, a sekcja taktyczna zameldowała o odnalezieniu lotniskowców Hannah Avram. Berenson nakazał start i okręt przechylił się, gdy wszystkie katapulty prawej burty odpaliły równocześnie. Okręt wykonał zwrot i wypuścił myśliwce z lewej burty, oddalając się równocześnie od wylotu warpa wraz z podążającym obok niczym cień krążownikiem liniowym FNS *Parang*. Kolejne lotniskowce powtarzały jego manewr jeden po drugim.

– ECM-y sprawne, sir! – zameldował Mendoza.

Berenson skwitował to chrząknięciem.

Tym razem nie mogli użyć maskowania elektronicznego, gdyż tak blisko wroga i tak nic by ono nie dało, ale ECM-y ustawiono tak, by udawały okręt innej klasy, co zawsze okazywało się przydatne. Miał nadzieję, że teraz też tak będzie.

* * *

– Myśliwce, panie admirale!

Panhanal uniósł głowę, słysząc ten okrzyk, i poczuł, jak ogarnia go lodowaty chłód – świeże dywizjony wrogich myśliwców zbliżały się od ruf do niedobitków jego floty, a w holoprojeksi taktycznej symbole nieprzyjacielskich lotniskowców zniknęły zastąpione symbolami krążowników liniowych. Ogłupiało to sekcję artyleryjską jedynie na moment, ale to wystarczyło, by czołowe lotniskowce nieostrzelane zawróciły i zaczęły uciekać. Sensory i komputery jego okrętu wykazały zaskakujące jak na elektronikę niezdecydowanie, ale destabilizacja systemów wywołana tranzytem odbiła się na wrogich ECM-ach i komputery utrzymały lotniskowce w natarciu.

A po paru sekundach w holoprojeksi pojawiły się z powrotem ich właściwe symbole.

– Ignorować krążowniki liniowe! – warknął Panhanal, pokazując zęby. – Zniszczyć lotniskowce!

– Aye, aye, sir!

* * *

Kapitan Rene Dejardin jakoś nie mógł uwierzyć w analizy Winnifred Trevayne. Nie dlatego, że kwestionował jej logikę czy kompetencje zawodowe, ale dlatego, że po prostu nie mógł przyjąć do wiadomości, iż rasa zdolna do podróży międzyplanetarnych i kontrolowania fuzji termonuklearnej hołdowała fanatyzmowi religijnemu z typu tych, o których czyta się w podręcznikach historii.

To po prostu było niemożliwe.

Uwierzył, próbując wyprowadzić swój lotniskowiec po starcie myśliwców z totalnego chaosu panującego w pobliżu wylotu z warpa.

Thebański superdreadnought lecący ku *Bulldogowi* był widoczny na głównym ekranie wizualnym bez powiększenia. A odczyt odległości był po prostu niewiarygodny – pięćset kilometrów to na warunki walki w przestrzeni nawet nie była odległość bójki na noże, ale na kły i pazury. Przy tak znikomym dystansie większa szybkość czy zwrotność *Bulldoga* nie miały najmniejszego znaczenia, bo nie było czasu, by je wykorzystać.

A to oznaczało, że nie zdoła uniknąć spotkania z olbrzymem. O walce z nim nawet nie było co marzyć – lotniskowce floty miały uzbrojenie antyrakietowe i przeciwlotnicze plus kilka wyrzutni rakiet w ramach ukłonu w stronę tradycji. A mimo gorączkowych wysiłków krążownika liniowego eskortującego *Bulldoga* superdreadnought ignorował go całkowicie. Co było koronnym dowodem fanatyzmu obsadzającej go załogi.

Charles P. Steadman odpalił salwę burtową ze wszystkich dział laserowych, dosłownie rozpruwając *Bulldoga* wraz z jego osłonami siłowymi. Prawie równocześnie jednak z pokładów lotniskowców: *Rottweiler*, *Direhound* i *Malamute* wystartowały kolejne dywizjony.

* * *

Pozostałości thebańskich myśliwców, których celem były lotniskowce eskortowe, próbowały przyjąć jakiś szyk, gdy maszyny pod dowództwem kapitan Martens dopadły ich i w ciągu jednego przelotu zmieniły w niezorganizowaną zbieraninę pilotów. Ci, choć nie brakło im zapału do walki, musieli uzupełnić amunicję, a to oznaczało, że zmuszeni byli użyć barek, gdyż nie ocalał ani jeden thebański lotniskowiec.

Z krótkiej acz zaciętej walki kołowej udało się wyrwać trzydziestu jeden thebańskim myśliwcom.

* * *

Hannah Avram odzyskała przytomność i natychmiast poczuła dojmujący ból. Krew płynęła jej z nosa, a przy każdym oddechu w płuca wbijały się szklane igiełki. Zrozumiała, że ktoś w ostatnim momencie zdążył uszczelnić jej hełm.

Pomacała uprząż antyurazową, bo niezbyt dobrze widziała. Wszystko było rozmyte i czerwone, co oznaczało, że w oczach też pękły naczynia krwionośne. Dopiero po dłuższej chwili jej otumaniony umysł pojął, że jej wysiłki są tak nieporadne, gdyż lewa ręka jest niesprawna. A właściwie nie funkcjonuje cała lewa strona ciała. Ktoś zjawił się w jej polu widzenia, toteż zamrugnęła gwałtownie powiekami, próbując dostrzec, kto to. Na skafandrze próżniowym widniały insygnia kapitana, więc musiał to być Danny...

Poczuła na piersiach dłoń łagodnie, ale zdecydowanie przyciskającą ją do fotela, a w następnej chwili ogarnął ją błogostan – wszystko przestało ją boleć. Najwidoczniej uaktywniono medpakiet skafandra.

A potem powróciły ciemność i nieświadomość.

* * *

FNS *Gosainthan* pojawił się w przestrzeni systemu Thebes jako pierwszy z ostatnich pięciu superdreadnoughtów Drugiej Floty. Iwan Antonow siedział nieporuszony na pomoście flagowym, czekając na ustabilizowanie systemów i nawiązanie łączności z Berensonem. Wstępne meldunki wyglądały optymistycznie, a potwierdzał to obraz stopniowo ukazujący się na ekranie taktycznym. Thebańskie myśliwce w pobliżu warpa przestały liczyć się jako siła bojowa: teraz miały na karku myśliwce Federacji i ginęły, aż miło było patrzeć.

Okręt nagle zmienił kurs i Antonow spojrzął na projekcję kursu. Kapitan Chen prowadził eskadrę na spotkanie ocalałych thebańskich superdreadnoughtów. Antonow w milczeniu kiwnął głową, potwierdzając słuszność tej decyzji.

Tak... sytuacja mogła być znacznie gorsza.

* * *

– Skrzydła Śmierci kończą uzupełnianie amunicji, sir. Za siedem minut wystartują ponownie.

Piąty admirał Panhanal mruknął coś, co można było uznać za pochwałę, ale w głębi duszy wiedział, że myśliwce przybędą za późno. Te przekłete lotniskowce eskortowe nie dość, że odciągnęły jego uwagę, to także część myśliwców, które powinny były znaleźć się w pobliżu warpa. Gdyby tam były, nie ocalałby żaden wrogi lotniskowiec floty, a tak zniszczonych zostało pięć, i to wszystkie po wystartowaniu myśliwców. Przeciwnik mimo strat miał dość lotniskowców, by wszystkie myśliwce równocześnie mogły uzupełnić amunicję.

A to znaczyło, że przegrał.

Zawiódł Świętą Ziemię i nic nie mogło już tego zmienić. Przyglądał się przekrwionymi oczyma uciekającym z pola bitwy wrogim lotniskowcom floty eskortowanym przez krążowniki liniowe. Przepęniała go taka wściekłość i tak skupił na nich uwagę, że nie zauważył trzech wrogich superdreadnoughtów, które natychmiast po zakończeniu tranzytu zmieniły kurs i wzięły na cel podziurawiony kadłub *Charlesa P. Steadmana*.

* * *

Pierwszy raz od wielu godzin Dawid Berenson miał niewiele do roboty – ot, potwierdzić meldunek o zniszczeniu kolejnego thebańskiego marudera czy złożyć raport Antonowowi o przebiegu pościgu. Mógł sobie wreszcie posiedzieć w spokoju na pomoście flagowym *Bearhouna* i poprzyglądać się systemowi planetarnemu, który od tak dawna stanowił ich cel.

Za rufą miał pas asteroidów z wzbudzającym szacunek oczyszczonym fragmentem, w którym Antonow skończył dobijając ostatnie thebańskie okręty liniowe. Godne podziwu było, jak dokładną holoprojekcję systemu stworzyła komandor Trevayne. Przed dziobem miał

główny składnik podwójnego systemu – gwiazdę typu G-0, nieco jaśniejszą i cieplejszą od Słońca, wraz z systemem planet. Czwarta, nazwana Thebes, była źródłem wszystkich problemów. Drugi element składowy podwójnego systemu, czyli czerwonego karła odległego o ponad 900 minut świetlnych, widać było jedynie jako odległy rudawy punkt.

– Kolejny meldunek, sir – zameldował Mendoza funkcjonujący jedynie dzięki stymulantom. – Potwierdzone zniszczenie ostatniej barki.

Berenson kiwnął głową i odetchnął z ulgą. Oznaczało to w praktyce całkowite zniszczenie thebańskiej floty i objęcie panowania w systemie Thebes. Mieszkańcy planety nie mieli teraz już cienia nadziei i mogli jedynie się poddać.

Pozostawało pytanie, czy postąpią racjonalnie.

Rozdział XXVIII

UFORTYFIKOWANA PLANETA

Ognista burza na nieboskłonie Thebes oznaczała zniszczenie fortyfikacji orientalnych.

Iwan Antonow unicestwił je szybko i sprawnie, nie narażając swych okrętów na ogień czy to z fortów orbitalnych, czy z powierzchni planety. Planety, którą najrozsądniej było traktować jak jedną olbrzymią fortecę z uzbrojeniem ukrytym pod skałami i wielometrowymi pancierzami, a oceanami służącymi jako chłodziwo dla niezliczonych baterii dział energetycznych.

Dlatego Druga Flota wykorzystwała przewagę zasięgu swych rakiet i koordynując ostrzał z nalotami myśliwców, systematycznie rozstrzeliwała fort po forcie. Myśliwce poniosły pewne straty od ognia rakiet przeciwlotniczych, ale nie były one wielkie, jako że obrońcom nie pozostały już żadne myśliwce stanowiące najskuteczniejszą broń przeciwlotniczą. Następnie w ten sam sposób zniszczono olbrzymie stocznie orbitalne, tak budowlane, jak i remontowe.

Wszyscy do znudzenia powtarzali Winnie Trevayne, że Thebanie mieli niewielką liczbę myśliwców, ale to nie pomagało, bo była przybita błędem, jaki popełniła. Nikt jej o to nie obwiniał, gdyż po prostu źle oceniła mentalność obcych, którzy nie doszli do logicznego wniosku z powodów religijnych. Nikt oprócz niej samej.

Martwiło to Antonowa, choć Winnie zaczęła ostatnio być irytująco pewna siebie, bo teraz, tracąc zaufanie do swych zawodowych umiejętności analizy i oceny, przestawała być dlań użyteczna. Dlatego też odetchnął z ulgą, gdy po paru dniach od zakończenia bitwy poprosiła o spotkanie z nim, Tsuczewskim i Lantu.

* * *

– Panie admirale – Trevayne była zdecydowanie przygaszona, ale stopniowo się rozkręcała. – Jak być może pan pamięta, w zdobywczej bazie danych, dzięki której mieliśmy okazję poznać podstawy thebańskiej religii, znajdowały się zapisy sugerujące, że jednostka flagowa floty kolonizacyjnej przetrwała na planecie do dziś dnia. I że jest odpowiednikiem katolickiego Watykanu połączonym z główną świątynią Kościoła Świętej Ziemi.

– Coś mi się kojarzy, ale dość mętnie – przyznał Antonow. – Wówczas nie była to zbyt

istotna informacja, zwłaszcza w świetle innych.

– Zgadza się, sir. Dlatego nie przywiązywałam do niej większej wagi. Teraz wiem, że to prawda, ponieważ potwierdził to admirał Lantu. *Starwalker* rzeczywiście nadal spoczywa tam, gdzie awaryjnie wylądował, i choć nigdy już nie wystartuje, jego system komputerowy jest w pełni sprawny.

Ponieważ zrobiła przerwę, Antonow dał jej znak, by kontynuowała. Nie bardzo wiedział, do czego zmierza, ale sądząc po jej ożywieniu, musiała uważać to za naprawdę ważne.

– Być może pamięta pan też, że analizując zdobyte wtedy dane, ściągnęłam z Redwing kompletne informacje. Najwyraźniej stare Biuro Kolonizacyjne miało zasadę zapisywania wszystkiego. Otrzymałam też wówczas kody dostępu do systemu komputerowego *Starwalkera*!

W tym momencie Antonow zrozumiał, o co jej chodzi.

– Moment, komandor Trewayne. Chce mi pani powiedzieć, że możemy się tam dostać z orbity? – upewnił się na wszelki wypadek.

– Ależ Thebanie na pewno zmienili te kody – wtrącił Tsuczewski. – A nawet jeśli nie, to czy taki zdalny dostęp jest w ogóle możliwy?

– Nie byłby możliwy, gdyby *Starwalker* był okrętem wojennym albo współczesnym statkiem kolonizacyjnym, sir – przyznała Trewayne. – Natomiast został zaprojektowany i zbudowany w czasach poprzedzających nasz kontakt z jakąkolwiek rozwiniętą rasą obcą, kiedy ludzie uważali galaktykę za bezpieczne miejsce. I dlatego większy nacisk niż na bezpieczeństwo położono na efektywność. Jego system komputerowy nie został wyposażony ani w ładunki samoniszczące, ani w programy zabezpieczające. Ba, oprogramowanie zostało dostosowane do możliwości zdalnego dostępu do danych, gdyby potrzebował ich inny statek kolonizacyjny lub baza na powierzchni planety na orbicie, po której krążyłby statek. Co się tyczy zmiany kodów... specjaliści zapewnili mnie, że byłoby to naprawdę trudne przedsięwzięcie, wymagające prawie całkowitego przeprogramowania systemu. Byłoby to naturalnie wykonalne, ale z tego co wiem, Thebanie nigdy nie uznali takiej ewentualności za konieczną!

Ostatnie zdanie wygłosiła już ze zwykłym błyskiem w oczach.

– Nawet gdyby była to prosta operacja, Kościół by na nią nie zezwolił – dodał powoli Lantu i uśmiechnął się, gdy pozostali spojrzeli na niego. – Wszystko na pokładzie tego statku jest święte, nawet uszkodzenia, których doznał przed lądowaniem. Kolejni prorocy ograniczyli co prawda dostęp do danych dotyczących życia Saint-Justa, ale gdyby któryś spróbował zmienić cokolwiek w tych zapisach, miałby przeciwko sobie cały Synod. Żaden by się na to nie odważył.

– Aha... – mruknął Antonow – więc możemy wykraść te dane...

– Albo je wymazać – dodał Tsuczewski radośnie.

Antonow omal nie parsknął śmiechem na widok min Lantu i Trewayne. Ten pierwszy

najwyraźniej jeszcze nie do końca wyzwolił się spod wpływu kościelnej indoktrynacji, co się zaś dotyczyło Winnie, widać było, że miała zupełnie inny pomysł.

Tsuczewski też to zauważył.

– No cóż, byłby to poważny cios dla ich matek – dodał pospiesznie. – Nie mówiąc już o zamieszaniu wynikającym z utraty wszystkich dodanych ostatnio informacji.

– Nie wymażemy tych danych – zdecydował cicho Antonow – ponieważ ich wartość historyczna jest zbyt wielka. A wpływ na morale mógłby okazać się dokładnie odwrotny, Pawle Siergiejewiczu: oburzenie z powodu takiego świętokradztwa mogłoby tylko wzmocnić w nich chęć walki. Natomiast należy się zapoznać z tymi informacjami i dlatego, komandor Trewayne, zechce pani przygotować szczegółowy plan, jak uzyskać dostęp do komputerów *Starwalkera* bez wiedzy Theban.

– Aye, aye, sir – potwierdziła z entuzjazmem Winnie. – Teraz będziemy wiedzieć, co się naprawdę tam wydarzyło, a nie tylko zgadywać!

Tym razem Antonow uśmiechnął się, jako że niedopowiedziana część zdania była oczywista – co powinno potwierdzić, że analizy komandor Trewayne były słuszne.

* * *

Ojciec Trudan westchnął i przeciągnął się, żalując, że światła są tak jaskrawe. Nie lubił nocnych dyżurów, a zwłaszcza ostatnimi czasy. Na planecie zapanowała panika, przenikając nawet do uświęconego wnętrza *Starwalkera*, co nie było miłe, ale przede wszystkim czuł zmęczenie. Strach wyczerpywał go, a Synod cały czas domagał się informacji, pozbawiając go snu, którego tak bardzo potrzebował.

Przyjrzał się ponuro klawiaturze – pojęcia nie miał, co Synod spodziewał się znaleźć, bo już dokładnie przestudiowali wszystko, co kiedykolwiek napisał Pierwszy Prorok. A jak podejrzewał, sięgnęli też głębiej, do zablokowanych plików pozostawionych przez samego Wysłannika. Tego jednakże nie był pewien, bo tylko członkowie Synodu i to nie wszyscy mieli do nich dostęp, a...

Rozmyślenia przerwało mu pojawienie się na ekranie dziwnej ikony. Nigdy jej dotąd nie widział, ba, nie miał nawet pojęcia, co ona oznacza. A był przecież jednym z najstarszych techników komputerowych Synodu.

Ikona płonęła zielenią, a on się poważnie zaniepokoił – skoro nie znał jej znaczenia, musiała oznaczać funkcję zarezerwowaną dla członków Synodu. Tylko dlaczego w takim razie nie uaktywniła się nigdy wcześniej...

Sprawdził, czy używane jest jeszcze jakieś stanowisko komputerowe; stwierdził że nie i jego niepokój zmienił się w strach. Sięgnął po telefon i wybrał numer arcybiskupa Kirsala.

– Wasza Wielbność? Tu ojciec Trudan. Wiem, że jest późno, ale coś dziwnego dzieje się na ekranie mojego komputera i nie mam pojęcia, co to znaczy... – przez chwilę słuchał, po czym skinął potakująco głową i powiedział: – Tak, Wasza Wielbność, myślę, że będzie

lepiej zobaczyć to na własne oczy.

Odłożył słuchawkę i spojrzął na tajemniczą ikonę, mając nadzieję, że arcybiskup się pospieszy. I że będzie wiedział, co oznacza napis w zielonej ramce: RMT.ACC.ENG.

* * *

Pierwszy admirał Lantu wyglądał tak, jakby był poważnie chory. W oczach miał prawie obłąd, a siedział przygarbiony jak w ataku bóleści, opierając nogi o podnóżek specjalnie dla niego przymocowany do fotela. Kiedy komandor Trevayne skończyła mówić, spojrzął na Antonowa i na jego twarzy widać było tyle bólu, że Antonowowi zrobiło się go żal. Znał historię swych przodków i wiedział, jak łatwo można ją było zmanipulować, by służyła potrzebom rządzącej kliki.

– Muszę się zgodzić z komandor Trevayne – powiedział cicho Lantu i odetchnął głęboko.
– Pierwszy Prorok był albo szaleńcem, albo tyranem, który skorzystał z okazji. To nie jest błąd czy niezrozumienie intencji, to jest celowe i spójne fałszerstwo.

Antonow przytaknął, spoglądając na obiekt całej rozmowy, czyli grubą teczkę wydruku leżącego na stole. Dusza Aloisa Saint-Justa musiała nieźle cierpieć w otchłani piekielnej, wiedząc, do czego wykorzystano jego imię. I miał nadzieję, że tak właśnie jest, choć nie był człowiekiem przesadnie religijnym. Saint-Just bowiem, mając może i nie najgorsze intencje, bezpośrednio przyczynił się do powstania tego wynaturzenia i oszustwa przechodzącego wszelkie wyobrażenie.

– Oboje jesteście więc pewni, że Saint-Just nigdy o żadnej religii nie wspominał? – spytał na wszelki wypadek.

– Oczywiście, że nie wspominał! – prychnął Lantu. – Z jego dziennika jasno wynika, że nigdy nie twierdził, by Ziemia była jakąkolwiek świętością. Podkreślał zdesperowanie Federacji w walce z przeważającym wrogiem, ale z każdej jego wypowiedzi wynika niezbicie, że ludzie, choć dysponują znacznie większą wiedzą i techniką, są istotami śmiertelnymi. Nic dziwnego, że inni uczniowie byli oburzeni, gdy Sumash ogłosił świętość Ziemi. Znali prawdę i wiedzieli, co planuje, żeby go cholera wzięła!

W jego głosie było tyle bólu i nienawiści, że wielu z obecnych odwróciło wzrok. Kthaara tego nie zrobił – przyglądał mu się spokojnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Admirał Lantu ma rację, sir – powiedziała miękko Trevayne. – Prawdopodobnie nigdy nie dowiemy się, dlaczego Sumash tak postąpił, ale nie ulega wątpliwości, że świadomie stworzył całkowicie fałszywą religię po śmierci ostatniego człowieka. W zapisach pochodzących z okresu życia Saint-Justa nie ma wzmianki o religii, a „Wiara Świętej Ziemi” jest takim konglomeratem ziemskich religii i historii, że nie może to być przypadkowe. Ktoś dokładnie przestudiował materiały dotyczące wierzeń i historii znajdujące się w bazie danych *Starwalkera* z takim właśnie zamiarem. Tym kimś musiał być Sumash, gdyż wyeliminował wszystkich, którzy mogli sprzeciwić się jego racji, i uniemożliwił kolejnym dotarcie do

archiwów statku.

– Ale Synod musiał wiedzieć! – sprzeciwił się Lantu. – Jego członkowie cały czas mieli dostęp do zablokowanych informacji! Musieli...

Umilkł, czując na ramieniu masywną dłoń Angusa.

– Mieli i wiedzieli, ale nie wszyscy – poprawiła go Trewayne. – Dostęp posiadał Prorok i ci, których do tego wyznaczył. A wyznaczał nie na bazie starszeństwa, lecz zaufania, i mamy dowody, że prorocy się mylili, obdarzając zaufaniem nie zawsze tego, kogo trzeba. Jedenastu prałatów umarło z niesprecyzowanych „naturalnych powodów” w ciągu tygodnia od uzyskania dostępu do tajnego archiwum.

Lantu zgrzytnął zębami, przypominając sobie Manaka i jego pewność co do manipulowania informacjami. Manak znał prawdę i wiedział, że Kościół okłamywał wiernych. A był zbyt uczciwy, by ta świadomość go nie gryzła. I ten konflikt uczciwości z wiarą w kłamstwo w końcu go zabił.

– Dlaczego nie usunięto oryginalnych materiałów, zostawiając tym samym dowody? – spytał David Berenson. – Niezależnie od tego jak staranne by nie były zabezpieczenia, zawsze istnieje możliwość przecieku. Musieli sobie z tego zdawać sprawę.

– Ludzka historia, admirał Berenson, pełna jest megalomanów, którzy zdecydowali się zachować informacje zaprzeczające ich sfalszowanej wersji wydarzeń – odparł Antonow. – Nie widzę powodu, dla którego thebańscy mieliby postępować racjonalniej.

– W pewnym sensie nie mieli wyboru – dodała Trewayne. – Przynajmniej od drugiego pokolenia już nie mieli. To był święty tekst, najświętszy ze wszystkich. Nawet jeśli nie mogli go przeczytać, programiści wiedzieli, że istnieje, a więc wiedzieliby, że został zniszczony. Taka wiadomość musiałaby się przedostać na zewnątrz, a tego, co wówczas by się stało, nie sposób przewidzieć, ale z pewnością nie byłoby to miłe dla Kościoła Świętej Ziemi.

– Co sugeruje przynajmniej jedną interesującą możliwość... – dodał z rozmarzeniem Tsuchewski.

– To się nie uda, kapitanie – sprzeciwił się Lantu, a widząc uniesione brwi Tsuchewskiego, wzruszył ramionami i wyjaśnił: – Chodzi panu o zdyskredytowanie Synodu, prawda? Tak też sądziłem. Obawiam się, że nie docenia pan problemu. Wy wszyscy w oczach Kościoła, a więc całej mojej rasy, jesteście niewiernymi lub poganami. Ja jestem oczywiście heretykiem. Wiedzą, że nie mogą wygrać, ale i tak gotowi są walczyć do śmierci. Jeśli komuś takiemu powie się prawdę, zostanie ona uznana za nieporadną propagandę zainspirowaną przez Szatana-Chana, a jedynym skutkiem będzie jeszcze większa nienawiść do was, za wszelką cenę chcących zniszczyć prawdziwą wiarę.

– W takim razie nie widzi pan żadnej możliwości przekonania swych rodaków do zaakceptowania prawdy i kapitulacji? – spytał wolno Antonow.

– Żadnej – potwierdził rzeczowo Lantu i dodał gorzko: – Moja rasa jest gotowa umrzeć za kłamstwo.

* * *

Kłapa promu medycznego uniosła się, a rampa opuściła, umożliwiając rozładunek rannych wraz z łózkami i całą aparaturą, do której byli podłączeni. Na New Danzig panowało lato i po słonecznym niebie wolno przesuwały się chmury, w powietrzu zaś czuć było wilgoć zbliżającego się deszczu.

Dwaj sanitariusze powoli sprowadzili łóżko unoszące się na poduszce antygravitacyjnej po rampie. Leżąca na nim kobieta sprawiała wrażenie martwej, podobnie jak wielu mieszkańców tej planety, którzy polecili walczyć pod jej rozkazami i zostali w kosmicznej próżni. Żyła jednak, choć jej umysł pracował leniwie, otumaniony środkami przeciwbólowymi i uspokajającymi, którymi była naszpikowana. W jej oczach błysnęły łzy – próbowała je otrzeć, ale nie mogła jakoś zmusić nieporadnej prawej ręki, by jej posłuchała. A lewej nie miała.

Widząc ruchy jej prawej dłoni, jeden z sanitariuszy delikatnie przycisnął ją do łóżka, pochylił się i otarł jej łzy. Próbowała mu podziękować, ale język też nie chciał jej słuchać.

Hannah Avram zamknęła oczy, powtarzając sobie, że miała więcej szczęścia niż rozumu. Nieuszczelnienie hełmu, gdy zaczął się atak myśliwców, było idiotyzmem i zapłaciła za to. Zawdzięczała życie Danny'emu MacGuire'owi, ale nawet on nie był wystarczająco szybki, by uratować jej płuca – z prawego pozostał fragment, lewe nadawało się tylko do przeszczepu. Oddychała wyłącznie dzięki aparaturze dostarczającej tlen bezpośrednio do żył.

Poczuła na prawej dłoni ciepły uścisk i otworzyła oczy. Tym razem zogniskowanie wzroku poszło łatwiej i bez trudności rozpoznała twarz Richarda Hazelwooda ściągniętą od troski. Personel statku szpitalnego ustabilizował jej stan, ale zdecydowano, że z przeszczepem i resztą leczenia lepiej będzie poczekać, aż znajdzie się w pełni wyposażonym szpitalu, toteż jej wygląd sugerował stan znacznie gorszy, niż był on w rzeczywistości.

Łóżko w całości wyłoniło się z promu i nagle usłyszała wrzawę. Usiłowała spytać o jej powód Hazelwooda, ale nie miała dość powietrza. Zobaczyła, że mówi coś do sanitariusza. Ten zawahał się, wzruszył ramionami i pochylił się nad łóżkiem. Te po paru sekundach ustawiło się pod kątem 45° do ziemi, umożliwiając Hannah rozejrzenie się.

Spojrzała i wytrzeszczyła oczy – lądowisko otaczał wielotysięczny tłum ludzi, w większości w mundurach, ale cywilów było też sporo. A wrzawa, jaką słyszała, to były wiwaty na cześć kretynki, która doprowadziła do śmierci tylu ich bliskich!

Morze twarzy zafalowało i na jego miejscu pojawił się dumnie uśmiechnięty Dick. To był znacznie gorszy widok, więc pociągnęła go za rękę i zmusiła resztkę płuca do pracy.

– Źle! – szepnęła, gdy pochylił się nad nią, – Straciłam... twoje... okręty...

Delikatnie zakrył jej dłonią usta.

– Cicho! – polecił łagodnie, choć głośno, by przekrzyczeć wiwaty.

Popatrzyła na niego jak na durnia. Zachowywał się, jakby nie rozumiał, że straciła

dwanaście lotniskowców.

– Wiedzą o tym, ale wiedzą też, że dzięki tobie wygraliśmy tę bitwę – wyjaśnił Hazelwood. – To ich bliscy ją wygrali. Nie zginęli na marne i to dzięki tobie.

Ponieważ nic już nie widziała przez łzy, sanitariusze ustawili łóżko we właściwej pozycji i ruszyli ku czekającemu pionowzlotowi sanitarnemu. Hannah nie puściła dłoni Dicka, toteż gdy jej usta znów się poruszyły, Hazelwood pochylił się nad nią natychmiast.

– Nigdy... ci... nie... powiedziałam... przejmując... dowo...

Jego dłoń uciszyła ją ponownie.

– Chodzi ci o to, że miałaś awans połowy i ledwie kilkudniowe starszeństwo? – spytał.

Wytrzeszczyła oczy.

– Wiesz...?

Nadal trzymając jej dłoń, wsiadł na pokład pionowzlotu i gdy rampa załadunkowa zamknęła się, odcinając ich od wrzawy, powiedział miękko:

– Od początku wiedziałem, Hannah.

* * *

W sali Zgromadzenia Legislacyjnego panowała cisza. Wszyscy przyglądali się prezydentowi, który zjawił się osobiście, by złożyć raport o przebiegu wojny, i właśnie skończył podawać straty, jakie poniosła Druga Flota w bitwie o Thebes. Były takie, że obecni nadal znajdowali się pod wrażeniem, i wieść o tym, że Antonow kontroluje system, przeszła praktycznie niezauważona.

Howard Anderson siedział wsparty o lasce, klnąc w duchu słabość organizmu, która stała się stanem chronicznym. Lepiej od przytłaczającej większości obecnych wiedział, jaką cenę zapłaciła 2. Flota – dowodził w zbyt wielu bitwach oraz stracił zbyt wiele okrętów i ludzi, by nie wiedzieć. Zamknął oczy i przypomniał sobie inną bitwę, acz podobnie dojmujące straty... dla siebie. Dzień, w którym odciął oriońską flotę uderzeniową, która wtargnęła w głąb obszaru Federacji. Było to w czasie II wojny międzyplanetarnej, a bitwa rozegrała się w systemie Lorelei. Wtedy została zniszczona ponad jedna trzecia okrętów liniowych Chanatu, ale i Federation Navy poniosła olbrzymie straty. Przestał istnieć między innymi superdreadnought FNS *Gorbaczow*, okręt flagowy jego najlepszego przyjaciela... na którym służył jedyny syn Howarda Andersona.

– ...i nic nie wskazuje na skłonność Theban do kapitulacji – dodał ciężko Sakanami. – Admirał Antonow wezwał Proroka do poddania i usłyszał kategoryczną odmowę. Zagroził odkryciem prawdy, czyli zawartości zablokowanej bazy danych *Starwalkera*, ale i to nie odniosło skutku. Kościół zorientował się, że uzyskaliśmy dostęp do tych informacji, ponieważ rozpoczął kampanię przygotowującą wiernych na „falsz i kłamstwa rozsiewane przez sługi i niewolników Szatana-Chana”, jak to ujęto.

Przez salę przetoczył się ponury pomruk.

Anderson zaś zacisnął dłoń na lasce.

Sakanami przedstawił sprawę tak obiektywnie, jak to tylko było możliwe, ale poplecznicy Waldecka od miesięcy wzbudzali nienawiść u delegatów i teraz była ona prawie namacalna. A każdy fakt podawany przez prezydenta jedynie ją wzmacniał, ponieważ potwierdzał jej słuszność.

– Zakończono zbieranie informacji o uzbrojeniu planetarnym przez okręty pozostające poza jego zasięgiem. Okazało się, że planeta jest tak ufortyfikowana, a stanowiska ogniowe, garnizony, umocnienia i magazyny znajdują się tak blisko siebie i rozsiane są po całej powierzchni, że przy ostrzale z orbity zmieniono by Thebes w miejsce całkowicie nie nadające się do życia. – Sakanami wziął głębszy oddech i dodał: – To wszystko, pani marszałek.

I usiadł.

Prawie natychmiast rozległ się sygnał oznaczający, iż ktoś prosi o głos.

– Udzielam głosu delegatowi planety Christophon – powiedziała cicho Chantal Duval.

Na ekranie za jej plecami pojawił się Pericles Waldeck.

– Pani marszałek, panie i panowie delegaci – zagaił. – Sprawa jest prosta. Próbowaliśmy wszystkiego, by ich oszczędzić. Ponieśliśmy olbrzymie straty, zdobywając ich system macierzysty. Znajdują się w beznadziejnej sytuacji i są tego świadomi. Co więcej ich przywódcy wiedzą, że cała ta ich religia to kłamstwo, a mimo to odmawiają kapitulacji. My zaś nie możemy pozostawić bandy fanatyków, która już udowodniła, jak potrafi być groźna, samej sobie, ponieważ zagrozi nam ponownie, gdy tylko będzie w stanie. W tej sali toczyła się długa debata o zakazie z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku. Część obecnych bardzo pragnęła oszczędzić Thebanom konsekwencji ich przestępstw przeciwko cywilizowanej części galaktyki. Podnoszono argumenty, iż są oni rasą niedojrzałą, iż ich zbrodnie wynikają z religijnego zacietrzewienia, z którego z czasem wyrosną, jak też fakt, że szczerze wierzyli, iż postępują słusznie. Teraz dowiedzieliśmy się, że to nieprawda. Okazało się, że ich przywódcy od początku mieli świadomość, że „święta wiara” to oszustwo i kłamstwo. Teraz wiemy także, że ich fanatyzm narodził się w wyniku zaplanowanego spisku i jest narzędziem międzyplanetarnego podboju, podboju nie w imię Boga, ale w imię ambicji. Panie i panowie, nadszedł czas, by zrobić to, co konieczne. Thebanie sami nas do tego zmuszają. Zniszczyliśmy ich przemysł orbitalny, ale planetarny pozostał nienaruszony. Muszą mieć odczyty sensorów dotyczące naszych rakiet najnowszej generacji, a dysponując nimi, w niedługim czasie wyprodukują takie rakiety. Każdy dzień naszego wahania przybliży ten moment, a wówczas cena, jaką przyjdzie nam zapłacić za ich zniszczenie czy pokonanie, będzie niewspółmiernie wysoka. Jeśli zaś nie unicestwimy tego szalonego reżimu i fanatyzmu wynikającego z manii religijnej, bitwy, które stoczyła w czasie tej wojny Druga Flota, będą jedynie wstępem do znacznie krwawszego konfliktu. Nie możemy... nie wolno nam dopuścić do nowej wojny, dlatego musimy zlikwidować zagrożenie, które musi się nią zakończyć.

Skoro umocnienia planety są tak potężne i wszechobecne, że nie sposób ich zlikwidować, nie niszcząc przy tym całej rasy, desant skończyłby się masakrą wojsk biorących w nim udział. Nie ma więc sensu go próbować. A skoro próba zniszczenia umocnień skończyłaby się tym samym co ostrzelanie planety z zamiarem wybicia jej mieszkańców, nonsensem byłoby narażanie załóg okrętów, wybierając pierwszy wariant, jeśli drugi można przeprowadzić, pozostając poza zasięgiem broni planetarnej. Panie i panowie, składam wniosek, by poddać pod głosowanie uchylenie Zakazu z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku i nakazanie admirałowi Antonowowi przeprowadzenia strategicznego ostrzału całej powierzchni Thebes bronią nuklearną aż do osiągnięcia pożądanego skutku.

Równowaga, o której zachowanie Anderson walczył tak długo i skutecznie, prysnęła. Rozległ się taki ryk, że Duval potrzebowała dobrych pięciu minut, by uspokoić obecnych na tyle, by przywrócić jako taki porządek obrad.

– Panie i panowie delegaci – oznajmiła, gdy na sali wreszcie ucichło. – Wniosek o uchylenie Zakazu z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku i polecenie zbombardowania planety Thebes został złożony i poparty. Czy ktoś pragnie zabrać głos w debacie na ten temat?

Odpowiedziała jej cisza.

Klnąc w duchu wszystkich obecnych za tchórzostwo, a los za to, że jeszcze żyje, Anderson nacisnął przycisk. Żył 150 lat standardowych głównie dzięki uporowi, jak mawiał, i nie zamierzał i teraz ustępować bez walki.

– Udzielam głosu prezydentowi emeritusowi Howardowi Andersonowi – poinformowała obecnych Chantal Duval. Anderson spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przez salę przebiegło pełne zaniepokojenia westchnienie, gdy liktor zmaterializował się nagle obok i pomógł mu utrzymać równowagę, a potem posadził delikatnie w fotelu. Tym razem „wielki, stary człowiek Federacji” nie czuł gniewu. Liktor poprawił ustawienie kamery i mikrofonu, by pasowały do siedzącej pozycji mówcy, Anderson zaś zebrał siły. Zebrani czekali w absolutnej ciszy.

I zaczął mówić.

– Panie i panowie delegaci – głos nadal miał mocny, ale w ciągu ostatnich miesięcy pojawiły się w nim oznaki drżenia. – Wiem, co w tej chwili czujecie. Aby pokonać Theban, Federacja poniosła olbrzymie nakłady finansowe, straty w personelu sił zbrojnych i ofiary liczone w milionach wśród ludności cywilnej. Jest to cena, której nie sposób dokładnie określić, a teraz, jak powiedział pan Waldeck, nadszedł moment podjęcia ostatecznej decyzji.

Zrobił przerwę, pozornie dla wywołania stosownego wrażenia, w rzeczywistości zaś dla odpoczynku. Był stary, zmęczony i miał dość. To powinien mówić ktoś inny... tyle że nikogo innego nie było.

– Nie powiem, że pan Waldeck źle ocenił obecne władze thebańskie, bo reżim ten jest tak fanatyczny i kłamliwy, jak to opisywał. Nie wszyscy jego przywódcy, ale większość, i to ta

większość kontroluje Kościół Świętej Ziemi, a z jego pomocą wszystkich mieszkańców planety. Natomiast należy sobie uświadomić, że kontrolują ich dzięki kłamstwu i poprzez kłamstwa. Thebańskie masy wierzą w Świętą Ziemię, i to wierzą szczerze, nie mając pojęcia o oszustwie. I właśnie dzięki tej wierze Prorok i jego klika stanowiąca część Synodu manipulują nimi. To nie Thebanie jako społeczeństwo odrzucili propozycję kapitulacji, tylko ich przywódcy religijni i dyktator zrobili to w ich imieniu – w oczach Andersona zapłonął dawny blask, a głos przestał drżeć: już nie oszczędzał sił, bo nie miał po co. – Panie i panowie, ludzie nie mordują istot, które zostały okłamane i oszukane! Federacja Ziemska nie popełnia masowych morderstw dlatego, że kilku szaleńców i oszustów nabrało całą rasę!

Wstał całkiem sprawnie, odtrącając pomocną dłoń liktora, i spojrzął na Periclesa Waldecka. Nadeszła pora ostatecznej rozgrywki.

– Jacy nie byliby Thebanie, my nie jesteśmy ani głupi, ani szaleni, a to Zgromadzenie nie będzie niczym ogłupiałym narzędziem! – zagrzemiał. – Pamiętamy, kim jesteśmy i czym jest Federacja! A jeśli nie potraktujemy przeciwników sprawiedliwie, to nie będziemy od nich lepsi! Wyrznięcie całej rasy w imię chorych ambicji kilku polityków nie jest sprawiedliwością, tylko zbrodnią gorszą od wszystkich popełnionych przez Theban. Jest to ohyda na skalę kosmiczną i nie pozwolę, by została popełniona w imię ludzkości! Prawda jest następująca, panie i panowie: Pericles Waldeck chce splamić wasze ręce thebańską krwią dlatego, że jest winny całego tego nieszczęsnego konfliktu. Może sobie wygłaszać piękne słówka o konieczności, rozsądku i sprawiedliwości, ale to wszystko kłamstwo! Powodem, dla którego wplątał nas w tę wojnę, była ambicja i nic tylko ambicja! To on zmusił swoją partię i rząd do wysłania do Lorelei Floty Pokojowej z tajnymi rozkazami, których istnieniu zaprzeczono na tej sali. Rozkazy te dawały pełnię władzy Victorowi Aurelliemu także w kwestiach militarnych. To on, nie admirał Li, doprowadził do masakry oraz utraty tylu jednostek i ludzi w Lorelei!

Waldeck zerwał się z twarzą wykrzywioną wściekłością, a wśród obecnych rozległ się pomruk najpierw zaskoczenia, a potem złości. Andersonowi sala zakołysała się przed oczyma, ale utrzymał równowagę, bo jeszcze nie skończył. Liktor musiał wezwać pomoc, bo przez salę ruszył biegiem medyk, ale z głośników zabrzmiał ponownie głos Howarda Andersona:

– Mam kopie tych rozkazów, więc wiem, co mówię! Straty i nieunikniony konflikt z Thebanami to wina Periclesa Waldecka. A teraz ten sam Pericles Waldeck chce zatrzeć ślady swojej głupoty, oszukując i wykorzystując was. Jeśli skłoni was do masowego mordu, uciszy tym samym krytykę swego postępowania. Bo zrobi was współwinnymi! Chce zniszczyć całą rasę nie po to, by ratować galaktykę czy życie personelu floty, ale dla zaspokojenia ambicji i uzyskania bezkarności. By potem móc dalej kłamać, manipulować i oszukiwać tak, jak robił to do tej...

Głos Andersona nagle umilkł, a w oczach zgasł blask. Drżącą dłonią złapał za ramię

liktora, ale i tak się zatoczył. Gdyby nie reakcja tego ostatniego znalazłby się na posadzce.

– Nie pozwólcie mu na to! – rozległ się w głośnikach cichnący szept.

Medyk przeskoczył przez stanowisko oddzielające go od rzędu, w którym siedział Anderson, odpinając w biegu medpakiety. Obecni zaś w przerażeniu patrzyli na koniec największego żyjącego bohatera Federacji.

– Jesteście lepsi niż Prorok czy Waldeck – wyszeptał Anderson. – Powstrzymajcie go, błagam was!

I mimo wysiłków liktora osunął się na posadzkę niczym szmaciana lalka.

Rozdział XXIX

FINALNE ROZWIĄZANIE

– Jasne z modrym! – jęknęła komandor Trevayne, patrząc na widoczne na ekranie plany.
– A to znowu co za dziwo?!

Admirał Lantu nic nie odpowiedział – od wielu dni prawie się nie odzywał. Za to siedzący po jej drugiej stronie pułkownik Fraymak prychnął radośnie, słysząc jej ton. Fraymak przeczytał sobie informacje z tajnej bazy danych *Starwalkera* i jego postawa zmieniła się radykalnie. Poparcie wynikające z szacunku dla Lantu zostało zastąpione wściekłością, w wyniku której zaczął wręcz entuzjastycznie współpracować z ludźmi.

– To, komandor Trevayne – wyjaśnił – jest strategiczna jednostka pancerna klasy *Archangel*.

– Gówno prawda – sprzeciwił się uprzejmie generał Shahinian. – To zmodyfikowana pancerna wyrzutnia rakiet balistycznych Mark VII. Ciekawość, skąd oni mieli plany... no tak, pewnie z banku pamięci *Ericssona*. Chyba gdzieś czytałem, że po wybuchu I wojny Biuro Kolonizacyjne wymogło załadowanie wszelkich odtajnionych już planów systemów uzbrojenia do baz danych statków kolonizacyjnych. Szczyt debilizmu: jakby kupa farmerów miała możliwość marnować środki na coś takiego tylko dlatego, że jakiś durny biurokrata zapomniał ten rupieć wykasować z pamięci komputera.

– Nigdy nie widziałam czegoś podobnego – przyznała Trevayne.

– I nie dziwota. Do muzeum za duże, a ostatnia została wycofana ze służby i złomowana, zdaje się w dwa tysiące dwieście trzydziestym roku, jak mnie pamięć nie myli. Do przewozu elementów potrzeba było dziesięciu promów transportowych, a demontaż trwał wieki. Jeżeli potrzebna jest taka siła ognia, znacznie prościej i szybciej jest użyć do tego czegoś na orbicie.

– Jeśli się tam coś ma, sir – wtrącił pułkownik Fraymak.

– Jak się nie ma, pułkowniku, to znaczy, że nie jest to potrzebne – odpalił chłodno Shahinian. – I należy zadowolić się mniejszymi zabawkami!

Trevayne pokiwała głową, zapisując jakieś uwagi dotyczące opancerzonego potwora zdolnego odpalać megatonowe głowice. Westchnęła, gdy skończyła, i otworzyła kolejny plik. Dane ściągnięte z banku pamięci były bezcenne, ponieważ Synod umieścił tam również

najtajniejsze informacje dotyczące obrony planetarnej. Jej pierwsze wrażenie się pogłębiało – im więcej się dowiadywała, tym bardziej beznadziejnie wyglądała jej zdaniem sytuacja.

Planeta była bowiem podręcznikowym wręcz przykładem celu, którego nigdy nie powinni atakować Marines. Stanowiła jedną olbrzymią bazę wojskową z garnizonem liczącym ponad czterdzieści milionów żołnierzy i najcięższym uzbrojeniem, jakie w życiu widziała. Uzbrojeniem, fakt, przestarzałym, ale mimo to skutecznym. Desant bowiem musiałby zostać dostarczony na powierzchnię wraz z bronią wsparcia i zaopatrzeniem. A promy szturmowe stanowiły naprawdę wrażliwy cel nawet dla starych modeli broni przeciwlotniczej, byle była ich odpowiednia ilość. Tu mieli jej aż za dużo. Sensowne symulacje wykazywały 40% strat w promach, ale w mniej sprzyjających okolicznościach straty te błyskawicznie wzrastały do 70%...

Doktryna zarówno Federation Navy, jak i Marine Corps nakazywała przed rozpoczęciem desantu wybić dziurę w systemie obrony, otwierało to bowiem wolną drogę promom i poważnie redukowało straty. Tu jednakże było to niewykonalne. Nawet Chanat nie fortyfikował aż tak zamieszkałych planet! Pola ostrzału pokrywały się w 50%, co powodowało, że wybicie stosownej dziury w obronie, by mógł wylądować tam odpowiedniej wielkości desant, wymagało siły ognia, która zmieniałaby w pustynię cały kontynent.

Spojrzała na drzwi prowadzące do prywatnej sali odpraw Antonowa. Przez lata współpracy nigdy nie widziała go tak wściekłego i bezsilnego równocześnie. Już nie grzmiał – teraz mówił cicho, z lodowatą precyzją, a i to nader rzadko. A ona nie potrafiła znaleźć rozwiązania, którego od niej oczekiwał.

Bo tym razem takiego rozwiązania nie było.

* * *

Antonow obrócił się wraz z fotelem i zmierzył lodowatym spojrzeniem członków swego sztabu. Lekarze twierdzili, że Howard Anderson przeżyje... prawdopodobnie... jeszcze kilka lat. Ale ze sparaliżowaną lewą połową ciała. Jego służba Federacji dobiegła końca. Sama myśl o kimś tak aktywnym przykutym do fotela inwalidzkiego była wstrząsająca...

Przestał dumać o Howardzie, bo miał w tej chwili poważniejsze problemy. Nie czas było także myśleć o przyjemnościach, jak choćby dorwaniu tego sukinsyna Waldecka. Wystarczyłoby mu naprawdę kilkanaście sekund, żeby ścierwo udusić... Jego polityczna kariera została wprawdzie przez Howarda zrujnowana, ale nie było to absolutnie żadną karą w oczach Iwana Antonowa.

Oczywiście nie pierwszy i zapewne nie ostatni raz żołnierze zostali zdradzeni przez bandę knurów nieskrobanych zwanych politykami, którym zmuszeni byli służyć. I ci politycy najczęściej to przeżywali, bo rozstrzelanie takiego gnoja było ponoć niecywilizowane. Chanat pod tym względem miał znacznie rozsądniejsze i normalniejsze zasady. Trudno się było dziwić, że lubił i rozumiał oriońskich wojowników!

Prychnął i wrócił do rzeczywistości.

– Otrzymałem rozkazy od admirała Brandenburga – oświadczył. – Zgromadzenie zdecydowało się zasięgnąć „opinii specjalisty” w kwestii dalszej polityki wobec Theban. Chcą poznać moje zdanie przed głosowaniem w sprawie uchylecia Zakazu z dwa tysiące dwieście czterdziestego dziewiątego roku. Poinformowano mnie, że Zgromadzenie postąpi w tej sprawie tak, jak mu zarekomenduję. Mówiąc inaczej: zgadzają się na wszystko, byle ktoś za nich zdecydował, i wypadło na mnie.

Trevayne odetchnęła głęboko. Pozostali milczeli, ale na ich twarzach, zwłaszcza zaś na obliczu Kthaary, widać było pogardę. Kthaara zachował się niezwykle dyplomatycznie na wieść o prawdziwych powodach masakry Floty Pokojowej, ale teraz pokazał kły w pogardliwym grymasie. I całkowicie uzasadnionym. Politycy jak zwykle obijali sobie dupy blachą. Zwykle „opinii specjalisty” zasięgali po fakcie, a nie przed. Tym razem, ponieważ sprawa była naprawdę drażliwa, odeszli od tej zasady.

– I dlatego potrzebuję od was szczerych opinii i najbardziej nawet zwariowanych pomysłów, jeśli sądzicie, że ich relacja może się powieść – dodał Antonow. – Kapitanie Tsuczewski?

– Panie admirale, nie mam żadnych – oznajmił prosto z mostu szef sztabu. – Nadal zapoznajemy się z informacjami i choć prawdą jest, że wiemy więcej o nieprzyjacielskiej obronie niż jakikolwiek dotąd sztab w historii wojen, jedynym rozwiązaniem, jakie w tej chwili widzę, jest użycie zmasowanej siły ognia. Ten system obrony nie ma martwych stref ostrzału ani słabych punktów, a wybicie w nim dziury ogniem będzie w praktyce miało ten sam skutek co Dyrektywa Osiemnasta. I choć przykro mi to przyznać, w jednej kwestii Waldeck powiedział prawdę: tylko kwestią czasu jest, by przeciwnik miał rakiety o tym samym co nasze zasięgu. Wtedy stracimy i tę przewagę.

– Rozumiem. Ale jest to rozwiązanie nie do przyjęcia – oświadczył spokojnie Antonow.

I spojrzął na Lantu zapadniętego w zbyt obszerny dla niego fotel i zgaszonego.

Lantu odwzajemnił to spojrzenie i powiedział ponuro:

– Nie ma innego wyjścia, admirale Antonow. Kapitan Tsuczewski ma rację.

– Bzdura – warknął Antonow. – Nie istnieje coś takiego jak obrona doskonała, jeśli atakujący ma do dyspozycji wszystkie informacje o niej, a na dodatek najlepszego stratega przeciwnika do pomocy.

– Najlepszego? – powtórzył tępo Lantu i potrząsnął głową. – Nie, admirale Antonow. Ma pan do pomocy durnia. Patetycznego cymbała, który bezpodstawnie uważał, że jego rasa zasługuje na przetrwanie. Stałem się największym zdrajcą w thebańskiej historii. Zdradziłem wszystko, w co wierzyłem, poświęciłem honor i pomogłem zabić tysiące żołnierzy, których wcześniej wyszkoliłem i którymi niegdyś dowodziłem. Wszystko dla rasy tak głupiej, że przez pięć pokoleń pozwalała się oszukiwać szarlatanom, którzy teraz chcą doprowadzić ją do zguby.

Ostatnie dwa zdania Lantu powiedział prawie szeptem. Potem westchnął i dodał ciężko:

– Niech pan robi, co pan musi, admirale Antonow. Może przeżyje choć kilku, by przeklinać mnie tak, jak na to zasłużyłem.

W sali zapadła ciężka cisza.

Przerwał ją ku zdumieniu wszystkich Kthaara'zarthan.

– Chciałbym panu opowiedzieć pewną historię, admirale Lantu – powiedział spokojnie, nie spuszczać wzroku z Lantu, a jego tłumacz dokładnie wszystko przekładał.

Lantu spojrział zaskoczony na oriońskiego wojownika, ten bowiem pierwszy raz odezwał się bezpośrednio do niego.

– Wieki temu, kiedy jeszcze moja rasa zamieszkiwała planetę Old Valkha, żył wielki wódz *khanhar* imieniem Cranaa'tolnatha. Jego klan przysiągł służyć klanowi Kirhaar. Cranaa był wielkim wojownikiem, który nigdy nie przegrał bitwy ani nie doznał uszczerbku na honorze. Jego klan był *linkar'a ia'Kirhaar*: Noszącym Tarczę klanu Kirhaar. W bitwie klan Tolnatha zajmował miejsce na prawej flance, a Cranaa był *shartok khanhar* klanu Kirhaar: Pierwszym Kłem klanu, czyli najlepszym z jego wojowników, podobnie zresztą jak w klanie Tolnatha. Ale wódz klanu Kirhaar był pozbawiony honoru: zdradził swych sojuszników i stał się *chofak*. Nie wiedział o tym żaden z jego wojowników, jako że doskonale się maskował, ale przekazywał wrogom plany swych spzymierzeńców, a kiedy ci wrogowie zaatakowali, wezwał do siebie Cranaa i na osobności polecił mu ukryć się wraz z wojownikami klanu Tolnatha, by w odpowiednim momencie zaatakować tyły wroga. Momentem tym miała być pozorowana ucieczka klanu Kirhaar i jego sojuszników, którymi miał dowodzić *chofak*. Cranaa nie miał powodu, by nie ufać swojemu *khanhaku*, ale był doświadczonym wodzem, a otrzymane rozkazy wydały mu się bez sensu, gdy je dokładnie przeanalizował. Jego oddział byłby bowiem zbyt daleko od pola walki, by zdążyć na czas po otrzymaniu wiadomości od posłańca. Pozorowana ucieczka spowoduje, że nie zdoła w ogóle wziąć udziału w walce, bo ta zbyt szybko się oddali. A poza tym doszedł do wniosku, że pozostali sojusznicy nic nie wiedzą o wspomnianym manewrze. Bitwa miała zostać stoczona na górskiej przełęczy, za którą znajdowała się rzeka. Jeśli obrońcy, czyli sojusznicy jego klanu, zostaną przyparci do tej rzeki, zginą. Ale nie klan Kirhaar, ponieważ stanowi on rezerwę. Przez rzekę prowadził jeden most i dzięki pozorowanej ucieczce klanu znajdzie się jako pierwszy po drugiej stronie rzeki. Do obowiązków rezerwy należało przygotowanie rozmaitych sposobów opóźnienia pościgu w razie klęski, a więc także jego wojownicy przygotowują most do zniszczenia. Potem wystarczy go tylko zniszczyć, odcinając wojskom sojuszników jedyną drogę odwrotu. Cranaa zorientował się, że *khanhaku* zdradził nie tylko jego, ale wszystkich sojuszników, i skazał ich na śmierć jednego po drugim. Najpierw klan Tolnatha wykona rozkaz, lecz przybędzie za późno i zostanie pobity, potem wódz klanu Kirhaar ucieknie wraz ze swymi wojownikami i każe zniszczyć most, by powstrzymać wroga. A na koniec nie mający drogi odwrotu pozostali jego sojusznicy zostaną wycięci w pień nad rzeką. Po bitwie nie pozostanie przy życiu nikt,

któ mógłby zarzucić mu zdradę. Cranaa znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Znał prawdę, ale przysiągł *hirikolus* swemu *khanhaku*, a złamanie tej przysięgi było nie do pomyślenia. Ten, kto by tak postąpił, stałby się czymś gorszym niż *chofak*. Stałby się *dirguasha*: wyjętym spod prawa wyrzutkiem pozbawionym klanu i przodków. Mógłby go zabić każdy, kto by chciał. To najgorsza kara dla oriońskiego wojownika. Ten, kogo by miała spotkać, prędzej sam się zabije. Z drugiej zaś strony, jeśli dotrzyma przysięgi, jego klan zginie, podobnie jak inne wierne danemu słowu, a zdrajca i *chofak* skorzysta na ich śmierci. I dlatego Cranaa złamał słowo. Złamał *hirikolus*, bo nie miał dowodu, którym mógłby przekonać innych. Odmówił zajęcia wyznaczonej pozycji, wybrał inną i odpowiedni moment do ataku, dzięki czemu wygrał bitwę i uratował swój klan oraz pozostałe. Ale stał się *dirguasha*. Nie mógł bowiem dowieść zdrady swemu *khanhaku*, choć nikt w nią nie wątpił. Zresztą nawet gdyby mógł to zrobić, nie uratowałoby go to, ponieważ postąpił wbrew zasadom honoru. Wyrzucono go z klanu i uznano za wyjętego spod prawa. Pozbawiono go imienia i wygnano na pustkowie bez jedzenia i broni. Ktoś mniej dzielny od niego popełniłby samobójstwo, ale w ten sposób przyznałby, że skłamał, i oczyściłby imię zdrajcy. Cranaa żył więc, jak potrafił, i to było największym przekleństwem dla jego *khanhaku*. Dlatego też wysłał on zabójców, a ponieważ Cranaa był chory i słaby, zabili go, ciągnąc za wierzchowcami na linach, odmawiając w ten sposób prawa do śmierci na stojąco. Tak zginął Cranaa'tolnatha, a jego ogryzione przez *zhakleich* kości zostały rozwłócone po pustkowiach. Ale tyle wieków później *Zheerlikou'valkhannaiee* nadal pamiętają o nim i czczą jego honor oraz odwagę, a nawet w klanie Kirhaar zapomniano imię *chofaka*, gdyż usunięto je z archiwów. Cranaa był zdrajcą, admirałem Lantu, ale nasi wojownicy modlą się do Hiranow'khanarka, by mieli odwagę stać się takimi zdrajcami, gdyby musieli.

Gdy skończył, w sali odpraw panowała absolutna cisza.

Lantu długo spoglądał prosto w oczy Kthaary'zarthana i powoli w jego własnych coś się zmieniało. Zwężyły się i błysnęło w nich bursztynowe światło. Z początku słabe, ale szybko rosnące.

– Może istnieje sposób – powiedział cicho.

* * *

W opinii Iwana Antonowa był to wariacki plan.

Próbował przekonać samego siebie, że tak nie jest i że akcja się powiedzie. I próbował nie myśleć o kosztach ewentualnej klęski...

Odwrócił się od okna i przespacerował po kabinie, bijąc się z myślami. Rzecz była ryzykowna, ale w Redwing też postawił wszystko na jedną kartę... potem w New New Hebrides również...

Fakt, wtedy nie miał wyboru. Ale tak na dobrą sprawę teraz też go nie miał, jeśli nie chciał wymordować całej rasy. Jeśli mu się nie powiedzie, skaże na niepotrzebną śmierć trzy

dywizje Marines... sześćdziesiąt tysięcy ludzi, którzy nie musieli ginąć. Ale alternatywą była śmierć sześciu miliardów Theban.

Wzjął głęboki oddech i podjął decyzję.

* * *

– To, panie i panowie, jest Planetarne Centrum Obrony Saint-Just na wyspie Arawk – oznajmiła komandor Trevayne. – To najpotężniejsza fortyfikacja na całej planecie. I wasz cel.

Zebrani w sali odpraw – sztab III Korpusu Federation Marine Corps – przyglądali się holograficznemu planowi z osłupiałym przerażeniem, po czym jak jeden mąż spojrzeli z niedowierzaniem na generała Shahiniana. Ten nie opuścił wzroku, ale też nic nie powiedział, za to wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Większość obecnych zbladła. Wszyscy zaś zwrócili się znów w stronę Trevayne, która stanęła przed holoplanem i zaczęła referować, starannie maskując własny osąd całej operacji rzeczowym tonem:

– Jest to główna siedziba dowództwa obrony całej planety oraz kwatera główna Proroka. Główna część sztabowo-mieszkalna znajduje się dwieście metrów pod łańcuchem Turnol, broniona jest zaś przez mający czterdzieści kilometrów głębokości pierścień umocnień naziemnych. Na wyspie bazują co najmniej dwa, a prawdopodobnie cztery dywizjony myśliwskie, których zadaniem jest przechwytywanie promów szturmowych, ale dysponujemy wystarczająco dużą liczbą myśliwców, by zneutralizować to zagrożenie. Znacznie większą groźbę stanowią stanowiska obrony przeciwlotniczej, której nie możemy zniszczyć wstępnym ostrzałem, ponieważ nie tylko zaalarmowałyby to obrońców, ale także spowodowałyby zniszczenia, które poważnie utrudniłyby przeniknięcie do wnętrza obiektu.

– Przeniknięcie? – spytał słabo brygadier Shimon Johnson, oficer operacyjny III Korpusu. I spojrzął z przerażeniem na generała Shahiniana.

– Przeniknięcie – potwierdził tamten i wstał.

Trevayne zaś usiadła, nie ukrywając ulgi.

– Naszym celem jest przedostanie się do środka obiektu, ponieważ jest to jedyne miejsce, w którym na pewno znajdują się Pawiany wiedzące, że cała ich religia to jeden wielki kant. Będą to zresztą te same osoby, które odmówiły kapitulacji, licząc na to, że nie zechcemy zniszczyć całej ich rasy. Można spokojnie uznać, że używają reszty Theban jako zakładników zgodnie z najlepszymi terrorystycznymi wzorcami. Cele ataku są dwa: usunięcie ich, gdyż wówczas powinien znaleźć się ktoś na tyle przytomny, że podda planetę, oraz udowodnienie, że potrafimy zdobyć i zniszczyć ich najsilniejszą pozycję obronną bez zmieniania okolicy w radioaktywną pustynię. Powinno to wyrzucić poważny skutek na morale wszystkich Pawianów. Dodatkowym atutem tego obiektu jest to, iż jako położony na wyspie ma pola ostrzału słabiej pokrywane się z innymi umocnieniami. Konkretnie około trzydziestu procent. Zniszczenie zaś wyrzutni rakiet i stanowisk artylerii rozmieszczonych na terenie obiektu pozwoli na wybite dziury w systemie obrony planetarnej. Niewielkiej, przynajmniej,

tym niemniej wystarczającej, by w razie konieczności można było ją wykorzystać do kolejnych ataków bez wcześniejszego ostrzału z orbity.

– Przepraszam, sir, ale nie zostanie nas dość do kolejnego ataku – wtrąciła generał porucznik Sharon Manning, dowodząca Drugą Dywizją.

– To raczej pesymistyczna ocena, a poza tym decyzja została już podjęta – uciał Shahinian.

Manning ugryzła się w język, słysząc jego ton i widząc całkowicie pozbawioną wyrazu twarz.

Aram Shahinian zaczął karierę jako szeregowy Marine i doskonale zdawał sobie sprawę, że wysła swoich ludzi na śmierć, by dokonali niemożliwego. Nie było więc najmniejszego sensu mówić mu czegoś, o czym wiedział.

Shahinian spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym oddał głos komandor Trevayne i usiadł.

Trevayne podeszła do holoprojektora i podświetlając lub powiększając odpowiednie elementy, zaczęła szczegółowo omawiać możliwości obronne i rozmieszczenie stanowisk poszczególnych rodzajów uzbrojenia. Twarze obecnych ściągały się w kamienne maski, gdy kolejno podświetlane były podziemne wyrzutnie rakiet, baterie artylerii przeciwlotniczej i stanowiska rakiet przeciwlotniczych, systemy bunkrów wspierające się ogniem działek szybkostrzelnych i moździerzy, rozległe pola minowe i inne pułapki oraz bunkry artyleryjskie, podziemne hangary i parki maszynowe, w których stacjonowały jednostki pancerne.

To nawet nie była forteca – to był jeden olbrzymi system uzbrojenia zaprojektowany tak, by utopić atakujących w ich własnej krwi.

Trevayne zakończyła omawianie możliwości obronnych Centrum Obrony Planetarnej Saint-Just i rozejrzała się po obecnych. Większość z nich znała, z częścią się przyjaźniła... teraz wszyscy spoglądali na nią z nienawiścią. Nie była to jej wina, a oni reagowali instynktownie, ale to bolało...

– Generał Shahinian przedstawi cele taktyczne ataku – zmusiła się do utrzymania rzeczowego i spokojnego tonu. – Chciałam na zakończenie dodać, że posiadamy bezcenny atut: admirał Lantu zna tajny system tuneli prowadzących z obiektu. Tunele mają dwa cele: dają dostęp do twierdzy w razie skażenia radioaktywnego jej powierzchni i są drogą ucieczki dla Proroka i Synodu w razie poważnego zagrożenia centrum. Zamierzamy wykorzystać jeden z nich do infiltracji twierdzy przez Siły Specjalne pod osłoną głównego ataku.

Nikt się nie odezwał, ale prawie słyszała ich myśli. Generalnie sprowadzały się do tego, że w tajne przejścia w nowoczesnym systemie umocnień mógł wierzyć jedynie jakiś dureń z floty.

– Tunele te są starannie zamaskowane i chronione przez komputerowo sterowane systemy uzbrojenia przeciwpiechotnego – dodała. – Ich plan znajduje się w bazie danych *Starwalkera*,

ale większość garnizonu ze względów bezpieczeństwa nie ma pojęcia o ich istnieniu. Dostęp sterowany jest przez komputer pozbawiony łączności z resztą systemu centrum obrony. Także ze względów bezpieczeństwa. Admirał Lantu zna kod dostępu, a wątpliwe jest, by Synod go zmienił, nawet wiedząc, że posiadamy te informacje, ponieważ przed otwarciem wejścia przeprowadzane jest także badanie siatkówki oka. A żaden człowiek nie przejdzie pomyślnie tego testu. Natomiast admirał Lantu jest na liście upoważnionych do korzystania z tuneli, a przeciwnik nie wie o jego przejściu na naszą stronę. Nie usunął go z żadnej z list dostępu czy to do miejsc, czy to informacji, jakie znajdują się w bazie danych *Starwalkera*. Dzięki temu mamy zamiar osiągnąć dwie rzeczy: pułkownik Fraymak poprowadzi jeden oddział do stanowiska dowodzenia centrum Saint-Just z zadaniem opanowania go i zniszczenia systemu łączności oraz komputerów. Admirał Lantu zaś poprowadzi drugi, którego zadaniem będzie wyłączenie ładunku o mocy dwustu megaton znajdującego się pod twierdzą, który ma zostać odpalony na wypadek jej zdobycia.

W sali zapadła idealna wręcz cisza.

I tak ciężka, że Trewayne z ulgą dostrzegła w tylnym rzędzie czyjaś uniesioną dłoń.

– Tak? – spytała szybko.

– A co robimy po południu, pani komandor?

* * *

Iwan Antonow stał na pokładzie hangarowym swego okrętu flagowego i obserwował, jak Lantu i Fraymak wymieniają z generałem Shahinianem ostatnie uwagi przed odlotem na transportowiec *Black Kettle*. Na twarzy Marine nie było już śladu nieufności, były natomiast ból i zazdrość. Shahinian miał wkrótce wydać rozkaz, w wyniku którego trzy z jego czterech dywizji zostaną zdziesiątkowane, nawet jeśli operacja skończy się sukcesem. I nie mógł w niej uczestniczyć – musiał pozostać na okręcie dowodzenia i koordynować całą skomplikowaną akcję. Desantem dowodziła generał Manning, ale tak Lantu, jak i Fraymak brali w niej udział.

Rozmowa dobiegła końca. Obaj Thebanie podeszli do Antonowa, stanęli i zaszalutowali. Antonow odsalutował, podobnie jak stojący obok niego rozżalony Kthaara. Powód tego żalu był prosty – Lantu i Fraymak mieli walczyć, mimo iż nie mogli użyć zbroi, natomiast on nie. A fakt, że jego umiejętności i wiedza mogą okazać się niezbędne, jeśli obrońcy dysponują większą liczbą myśliwców, niż zakładano, nie był dlań żadnym pocieszeniem.

– Powodzenia. – Antonow kolejno uściśnął ich wąskie dłonie.

Fraymak wyglądał na spiętego i nieco przestraszonego, Lantu zaś na całkowicie spokojnego.

I to właśnie niepokoiło Antonowa.

– Dziękuję, admirale Antonow – powiedział poważnie Lantu. – I dziękuję za podjęcie takiego ryzyka, by uratować moją rasę.

Antonow machnął ręką, jak zwykle czując się niezręcznie, gdy ktoś mu za coś dziękował.

Lantu kiwnął głową, choć miał zamiar jeszcze coś powiedzieć, i odwrócił się w stronę czekającego na nich kutra, ale powstrzymała go porośnięta czarnym futrem ręka, która nagle spoczęła na jego ramieniu. Odwrócił się i uniósł głowę, spoglądając pytająco na Kthaare'zarthana.

Tym razem nie towarzyszył mu tłumacz, co nie było akurat żadnym problemem, gdyż z oriońskiego mogli bez trudu przekładać Tsuczewski czy Antonow. Nie zaistniała jednak taka potrzeba, bo Kthaara nie odezwał się. Wyjął z pochwy *defargo*, honorowy sztylet, i naciął nim lekko swój nadgarstek. A gdy pojawiła się krew, podrzucił sztylet, złapał go za klingę i podał rękojęścią do przodu Lantu.

Ten przez moment przyglądał się broni, nim ją wziął. Kthaara odczepił od upręży pochwę i podał mu ją. Wtedy Lantu, choć nikt nie powiedział mu o tym oriońskim zwyczaju, odsłonił swój nadgarstek i także go naciął, używając niezakrwawionej strony obosiecznego ostrza.

Oczy Kthaary'zarthana rozbłysły.

Wyjął z torby przy pasie niewielki kawałek jedwabistego materiału i starannie wytarł ostrze sztyletu. A potem patrzył, jak Lantu przypina pochwę do pasa i chowa do niej broń.

Obserwujący całą ceremonię Antonow był ciekaw, ilu z obecnych zdawało sobie sprawę, że byli świadkami oficjalnego odwołania *vilknarma*. I zastanawiał się, dlaczego jego samego to nie zaskoczyło...

Kthaara zaś ucisnął rękę Lantu chwytem *farshatok*, puścił i cofnął się na poprzednie miejsce.

Lantu pogładził sztylet, oczy mu rozbłysły i kiwnął głową w krótkim zdecydowanym geście.

A potem w ślad za Fraymakiem ruszył w stronę kutra.

Rozdział XXX

ZEMSTA JEST MOJA

Pierwszy marszałek Sekah stał w centrali dowodzenia Planetarnego Centrum Obrony Saint-Just i z namysłem obserwował holoprojekcję taktyczną przedstawiającą planetę i krążące po jej orbicie siły wroga. Jako wierny syn Kościoła był gotów umrzeć, ale niedobrze mu się robiło na myśl, że wraz z nim umrze cała jego rasa. Jediną pociechą stanowiła świadomość, że lepsza jest śmierć od wiekuistego potępienia.

Mimo tej gotowości wdzięczny był niewiernym, że przedłużyli mu to życie choć o tych kilka tygodni. Ich postępowanie było zresztą zastanawiające – ponad miesiąc temu zniszczyli całą obronę orbitalną i od tej pory nie zrobili nic. Istniała możliwość, że nie wiedzieli, co począć, ponieważ nie dość, że ich planety zdobyte przez wojowników Świętej Ziemi były zupełnie nieufortyfikowane, to ich doktryna taktyczna nakazywała toczyć walkę w przestrzeni, a nie na planetach. Był to oczywisty kretynizm, ale nie jedyny, więc się w to nie wgłębiał. W końcu musiało do nich dotrzeć, że wierni nie poddadzą się, więc nie bardzo rozumiał, na co czekają. Mieli przewagę zasięgu rakiet, więc mogli ostrzelać planetę z bezpiecznej odległości.

Teraz patrząc na zmieniającą się konfigurację symboli, poczuł niepokój. Po raz pierwszy od miesiąca coś się zaczęło dziać, tylko nie wiedział co. Formacje wrogich okrętów zmieniały pozycje, ustawiając się tuż poza granicą zasięgu thebańskich rakiet, a to oznaczało, że w każdym mieście na planecie ogłoszono właśnie alarm przeciwlotniczy.

W przypadku zmasowanego ostrzału to co prawda i tak by nic nie dało, ale działało uspokajająco.

– Wezwij Proroka – polecił cicho adiutantowi.

* * *

– Wszystkie jednostki na pozycjach, sir – zameldował kapitan Tsuczewski.

Antonow kiwnął głową i polecił:

– Połącz mnie z *Magnusem Coloradasem*.

Gdy na ekranie pojawił się generał Shahinian, Antonow uśmiechnął się bez śladu

wesołości i oświadczył:

– Druga Flota jest do pańskiej dyspozycji, generale.

– Rozumiem, sir.

Ekran ściemniał, a Antonow rozsiadł się wygodniej i założył nogę na nogę – właśnie stał się pasażerem i obserwatorem.

* * *

– Sekwencja ogniowa sprawdzona i załadowana, sir!

Kapitan FNS *Dhaulagiri* potwierdził meldunek, nie przestając patrzeć na zegarek. Ktoś tam na dole dostanie niezły łomot, choć prawdopodobnie nie aż tak ciężki, jak się spodziewa.

* * *

Lantu spojrział w górę, gdy obok zatrzymał się jakiś Marine w zasilanej zbroi, i wytrzeszczył oczy, gdy w otwartym wizjerze dostrzegł twarz Angusa MacRory'ego.

– Nie wiedziałem, że pan też bierze udział w desancie, pułkowniku.

– A co mam robić? Dalej jesteś moim jeńcem.

– Aha, chce pan dopilnować, żebym nie uciekł – uśmiechnął się Lantu.

– Pułkownik MacRory dowodzi oddziałem, który będzie panu towarzyszył, admirałe – wyjaśnił major M'boto, wyrastając z drugiej strony Lantu.

– Tak? A dlaczego nikt mi o tym wcześniej nie powiedział?

– Bo nie byliśmy pewni, czy zakończy szkolenie w użyciu nowego modelu zbroi – M'boto błysnął zębami w uśmiechu. – Pobił dotychczasowy rekord o dwa tygodnie.

* * *

Prorok i jego świta dotarli na miejsce prawie dokładnie w chwili odpalenia przez wroga pierwszych rakiet.

– Wasza Świątobliwość – skłonił się pierwszy marszałek Sekah.

Prorok skinął głową z dziwnym błyskiem w oczach.

Sekah nie skomentował tego – nawet Prorok Świętej Ziemi może w takiej chwili okazać napięcie. Odwrócił się ku holoprojeksji i zmarszczył brwi – wyglądało na to, że niewierni zaczęli lokalny atak, najwidoczniej licząc, że skłonią w ten sposób ludność do zejścia z drogi wiary i kapitulacji. Było to głupie z ich strony, ale nie miał o to do nich pretensji.

Skupili ostrzał na twierdzy znajdującej się na biegunie północnym, najbardziej odizolowanej od zamieszkanym terenów. Sekahowi to odpowiadało – fortyfikacja była silna, a przynajmniej straty wśród ludności cywilnej będą małe.

* * *

Potęźnie opancerzone pokrywy silosów twierdzy na biegunie północnym otworzyły się i

na spotkanie nadlatujących z przestrzeni rakiet ruszyły antyrakiety. Każda z głowicą o sile kilotony. Nad biegunem niebo rozbłysło atomowym ogniem. Wiele rakiet zostało przechwyconych, ale część dotarła do celu i na terenie twierdzy zaczęły wyrastać atomowe grzyby zmieniające lód i skałę w parę i wstrząsające całą okolicą.

Im dłużej jednak trwał ostrzał, tym większej nadziei nabierali obrońcy. Niszczyli więcej rakiet, niż zakładały najoptimistyczniejsze założenia, a te, które dotarły do celu, powodowały mniejsze zniszczenia, niż się obawiali. Owszem, po każdym trafieniu znikwały olbrzymie ilości skał, cementu i lodu, a stopione stalowe pancerze blokowały kolejne silosy czy inne stanowiska ogniowe, ale przeciwnik albo nie miał, albo z nieznanых powodów nie używał głowic penetrujących, których ładunki detonowały pod ziemią. A naziemnym brak było mocy, by zniszczyć to, co najważniejsze w każdej fortyfikacji stałej – centrum dowodzenia i magazyny artyleryjskie.

Poziom radioaktywności w atmosferze co prawda stale rósł, ale także wolniej, niż się spodziewali. A to dlatego, że ostrzał prowadzony był wyłącznie przy użyciu głowic nuklearnych, nie zaś zawierających antymaterię.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah uśmiechnął się tryumfalnie po przeczytaniu meldunków z bieguna. Fakt, ostrzał powodował straty, a poziom radioaktywności, choć niski, i tak oznaczał poważne zanieczyszczenie, ale było lepiej, niż się spodziewali. A żadna flota nie miała równie pojemnych magazynów co planeta. Wróg będzie musiał postarać się znacznie bardziej, jeśli chciał zniszczyć umocnienia, zanim wyczerpie mu się amunicja.

* * *

Generał Aram Shahinian dzielił uwagę między główny ekran taktyczny a wizualny, na którym nuklearny ogień topił skały i lodowiec. Jedyne, co go tak naprawdę niepokoiło, to że któryś z obrońców przeprowadzi analizę i zorientuje się, że ostrzał jest lżejszy, niż powinien być. A to dlatego by obrona antyrakietowa sprawiała wrażenie skuteczniejszej, niż była w rzeczywistości. Nic nie mógł na to poradzić, więc spojrzął na zegarek, włączył mikrofon i polecił:

– Wykonać etap drugi!

* * *

– Zaczynają atak, sir!

Pierwszy marszałek Sekah chrząknął i potarł brodę. Ogień nieprzyjacielski osłabł, co mogło sugerować wyczerpanie zapasów rakiet w prowadzących ostrzał okrętach. Inne jednostki zbliżyły się do granicy maksymalnego zasięgu jego rakiet. Miały znacznie lepsze środki walki radioelektronicznej i w przeciwieństwie do umocnień planetarnych mogły

manewrować. Za to on dysponował znacznie większą liczbą wyrzutni.

– Wrogie myśliwce wystartowały, sir!

Sekah prychnął pogardliwie.

– Pierwszy marszałku? – rozległ się głos Proroka najwyraźniej żądającego wyjaśnień.

– Myśliwce mnie nie martwią, Wasza Świątobliwość: mają niewielkie rakiety w porównaniu z tymi, którymi już nas ostrzelano, a przeciwnik nie wie, czy nie posiadamy własnych myśliwców w podziemnych hangarach, więc będzie ich używał ostrożnie. To zwykły parasol ochronny dla okrętów, ale przeciwko temu, co ich powinno martwić, na nic się nie przyda.

* * *

Potężna, choć miękka dłoń wcisnęła Lantu w fotel, gdy *Black Kettle* wystrzelił swoje promy szturmowe. Lantu odruchowo uszczelnił hełm, a potem uśmiechnął się, zdając sobie sprawę z bezsensowności tego postępkę. Jeśli bowiem cokolwiek trafiłoby tak małą jednostkę, jej pasażerowie nawet by nie wiedzieli, że giną.

Spojrzał w górę, na ukrytą za wizjerem twarz Angusa MacRory’ego i poczuł się jakoś pewniej.

* * *

Iwan Antonow przyglądał się rozwojowi wydarzeń z chłodnym zainteresowaniem. Ponad tysiąc dwieście promów, kutrów i myśliwców kręciło się po przestrzeni, ciągle zmieniając pozycje zgodnie z dokładnym planem opracowanym w ciągu ostatnich dwóch tygodni przez Kthaarę i sztab III Korpusu. Myśliwców było wśród nich jedynie trzysta, a kutrów mniej niż pięćdziesiąt. Resztę stanowiły nieco zmodyfikowane promy szturmowe trzeciej dywizji Marines. Każdy został wyposażony w transponder myśliwca.

Jeśli przeciwnik skupi się na okrętach, próbując je zniszczyć, do czego będzie miał okazję, i zignoruje drobne anomalie w odczytach sensorów...

* * *

Sekah czuł rosnące zdziwienie – nie dość, że przeciwnik dysponował kilkakrotnie większą liczbą myśliwców, niż zakładano, to w dodatku wystartowały teraz wszystkie – nie wiedzieć po co. Po chwili wzruszył ramionami i dał sobie spokój, jako że miał ważniejsze problemy. Pierwszy wrogi okręt wszedł mianowicie w maksymalny zasięg rakiet twierdzy na biegunie północnym.

Pierwszy marszałek Sekah uśmiechnął się mściwie i wydał rozkaz.

* * *

Ku okrętom Drugiej Floty Federation Navy pomknęło kilkaset rakiet.

Boje radioelektroniczne umieszczone między okrętami a planetą uaktywniły nadajniki, systemy obrony antyrakietowej przeszły z pogotowia w stan alarmu bojowego, a na spotkanie wrogich pocisków pomknęły pierwsze antyrakiety. Niebo nad biegunem północnym Thebes rozkwitło eksplozjami nuklearnego ognia.

Po kilkunastu sekundach sprzężone działka laserowe dołączyły do kanonady.

* * *

FNS *Gosainthan* drgnął, gdy pierwsza thebańska rakieta detonowała na jego osłonie siłowej. Po niej nastąpiły kolejne eksplozje, ale nie było ich wiele – przytłaczająca większość wrogich rakiet została ogłupiona lub zniszczona, nim dotarła do celu.

Antonow odruchowo poprawił uprząż antyurazową i przyglądał się dalej rozwojowi wypadków.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah prawie zatarł dłonie z zadowolenia, widząc, jak okręty napastników zaczynają tracić osłony siłowe. Na razie nie było ich wiele, ale jeśli pozostaną w zasięgu jego rakiet trochę dłużej...

– Proszę zauważyć, Wasza Świątobliwość, że chwilowo ostrzeliwujemy wszystkie okręty, które znalazły się w zasięgu – odezwał się, choć Prorok o nic nie pytał. – W ten sposób co prawda zwiększamy skuteczność ich obrony antyrakietowej, bo każdy okręt staje się celem mniejszej liczby rakiet, ale daje nam to czas na poznanie możliwości ich ECM-ów i stosowne poprawienie namiarów następnych rakiet. Poza tym zmusza to przeciwnika do stawiania coraz to nowych celów pozornych, bo stare zostają zniszczone, a nie może mieć ich niewyczerpalnego zapasu. Jeszcze kilka takich salw i forteca skupi ogień na wybranych okrętach przeciwnika, a wtedy sytuacja ulegnie drastycznej zmianie.

Prorok uśmiechnął się ze zrozumieniem, a Sekah spojrział na holoprojekcję taktyczną. Myśliwce przemieszczały się, koncentrując po dziennej stronie planety, czyli prawie nad ich głowami.

Dowodzący obroną przeciwlotniczą twierdzy Saint-Just poprosił o pozwolenie otwarcia ognia.

– Jeszcze nie, pułkowniku Frank. Kiedy znajdą się na granicy atmosfery, może pan odpalić pierwszą salwę rakiet i przejść na ogień ciągły.

– Rozumiem, sir.

* * *

Generał Shahinian sprawdził obraz taktyczny i czas. Po jego czole spłynęła pojedyncza kropla potu. Pawiany rozgrywały bitwę sprytnie, niszcząc w pierwszej kolejności cele pozorne stawiane przez okręty liniowe. Ich zapasy zaczynały się wyczerpywać, więc lada

chwila obrońcy powinni skupić ogień na wybranych celach. Co w normalnej sytuacji oznaczałoby, że najwyższy czas wyjść z zasięgu ich rakiet.

Ponieważ jednak celem tej manifestacji nie było zniszczenie ostrzeliwanego obiektu, a przyciągnięcie uwagi przeciwnika, nie wydał takiego rozkazu. Każda sekunda zwłoki w odpaleniu przez Theban rakiet przeciwlotniczych oznaczała mniejsze straty wśród promów. A okręty miały większy niż standardowy zapas boi...

Nacisnął klawisz na poręczy fotela, uruchamiając wcześniej zaprogramowaną częstotliwość, i na ekranie pojawiła się twarz generała Manning.

– Tak, sir? – głos miała prawie normalny i omal się nie uśmiechnął.

Wśród oficerów III Korpusu od dawna trwały zakłady, kiedy głos Sharon Manning załama się wreszcie. Z tego co wiedział, pula wygranej sięgnęła atrakcyjnej kwoty.

– Wątpię, żeby was dłużej ignorowali, Sharon. Ruszajcie!

– Rozumiem.

* * *

– Teraz, Wasza Świątobliwość! – wymamrotał Sekah.

* * *

Pancernikiem FNS *Viper* wstrząsnęło kilka równoczesnych trafień. Wymierzona w niego salwa była tak liczna, że mimo boi i pełnej sprawności obrony antyrakietowej dużo pocisków dotarło do okrętu. Ostatnie generatory osłon siłowych przestały działać, a następne wybuchy zdehermetyzowały kadłub, wytapiając w nim i w pancerzu olbrzymie dziury. Zawyły alarmy uszkodzeniowe, zatrzasnęły się grodzie odcinające pomieszczenia, z których uciekała atmosfera... I kolejne rakiety trafiły w jego kadłub.

Bezpośrednie trafienie zniszczyło mostek, a inne centralę obrony antyrakietowej, przez co natychmiast spadła skuteczność antyrakiet i sprzężonych działek laserowych. Wszystkie cele pozorne zlikwidowano, a na wystrzelenie nowych nie było czasu.

Pierwszy oficer znajdujący się na zapasowym stanowisku dowodzenia otarł krew zalewającą oczy, spojrzął na plan okrętu z wykwitającymi czerwonymi symbolami uszkodzeń i warknął:

– Kod Omega! Natychmiast opuścić okręt! Powtarzam: cała załoga ma natychmiast opuścić okręt!

Obsada mostka jak jeden mąż pociągnęła za wyzwalacze zamykające kapsuły ratunkowe, które potężne ładunki natychmiast odpaliły w przestrzeń. Pierwszy oficer sprawdził jeszcze, czy wszyscy na pokładzie usłyszeli jego rozkaz, nim sięgnął po dźwignię uruchamiającą własną kapsułę.

Sprawdzał o sekundę za długo.

* * *

Iwan Antonow zacisnął zęby, gdy *Viper* eksplodował.
Była to jego jedyna widoczna reakcja.

* * *

Twarz Sharon Manning była całkowicie pozbawiona wyrazu, choć ta nie mogła uwierzyć, że dotarli tak daleko bez żadnych strat. Naturalnie nikt dotąd nie próbował podobnego manewru: fortel to może i dobry sposób, ale solidne bombardowanie zmiękczonego celu to dobry i sprawdzony sposób.

Wydała rozkaz i promy znajdujące się w odległości mniejszej niż dwieście kilometrów od granicy atmosfery zmieniły gwałtownie kursy, zaczynając ostre nurkowanie.

* * *

– Doskonale, pułkowniku – uśmiechnął się Sekah, widząc niecierpliwość oficera przeciwlotniczego. – Może pan otworzyć ogień!

* * *

Kolejny pancernik zmienił się w kulę ognia.

Superdreadnoughty, większe i masywniej zbudowane, nadal nie poniosły strat i nie stały się celami zmasowanych salw.

– Proszę polecić pancernikom odwrót poza zasięg thebańskich rakiet – polecił Shahinian.

Nie chciał wydawać tego rozkazu, ale jeszcze bardziej nie chciał oglądać zniszczenia kolejnych pancerników.

– Rozkaz, sir – potwierdziła Janet Toomepuu i wykonała polecenie.

Zmiany na ekranie taktycznym stały się widoczne natychmiast.

* * *

Pierwsze rakiety przeciwlotnicze eksplodowały za wysoko, gdyż ustawiono je na maksymalny zasięg, a promów już tam nie było. Kolejne obramowały myśliwce, i to tak złośliwie, że wybuchały nie tylko wokół miejsc, gdzie znajdował się cel, ale też tam, gdzie mógłby się on znaleźć, gdyby wykonał którykolwiek z klasycznych uników. Nie wszyscy piloci wykonali niestandardowe.

A potem prawie trzysta myśliwców odpaliło wszystkie posiadane rakiety, lecz nie w stronę planety, lecz w punkt tuż za jej atmosferą. Tysiąc głowic detonowało w jednym zaprogramowanym momencie, tworząc oślepiający błysk i potężny impuls elektromagnetyczny.

Z tego sztucznego słońca wypadły specjalnie ekranowane przed skutkami impulsu promy wiozące trzy dywizje Marines.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah drgnął jak ukąszony i obrócił się ku holoprojeksji.

Impuls elektromagnetyczny dowolnej mocy nie był w stanie zniszczyć ekranowanych sensorów, którymi dysponował, ale to nie znaczyło, że nie mógł ich na krótko oślepić i ogłupić. Tak właśnie się stało, jako że dawka była potężna. Jego obrona przeciwlotnicza oślepiła na chwilę.

Akurat wtedy, gdy 900 promów szturmowych weszło w atmosferę i niczym stęsknione za domem meteory runęło z wyciem rozgrzanego powietrza ku wyspie znajdującej się na oświetlonym promieniami słońca morzu Arawk.

* * *

– Udało się! Cholera, udało się!

Aram Shahinian podskoczył, słysząc przeraźliwie wysoki, radosny pisk, a potem uśmiechnął się szeroko. Sopran nie bardzo nadawał się do tak żywiołowego okazywania radości, a Sharon musiała zapomnieć wyłączyć mikrofon.

Dzięki czemu któryś z oficerów III Korpusu wygrał okrągłą sumkę.

* * *

Lantu był zły sam na siebie, ale poczuł się jak skończony idiota, gdy w pewnym momencie, tuż przed nagłym przewrotem promu na burtę, która otworzyła się na całej długości, złapał go Angus. Skafander Lantu nie miał antygravitatora...

Obok przemknęła komora superrozgrzanego powietrza, piękna za polem siłowym, bo zupełnie bezpieczna. Lantu przyglądał się jej przez chwilę, a potem czym prędzej zamknął oczy, gdy MacRory podobnie jak reszta obecnych nacisnął dźwignię skoku. Trzymanego przez niego w objęciach Lantu coś kopnęło w brzuch, czuł przez chwilę falę gorąca, a potem obaj zaczęli spadać przez tysiące metrów pustego powietrza.

* * *

– Święta Ziemio, to był fortel! – szepnął Sekah, gdy na ekranach i holoprojeksji pojawił się ponownie odczyt sensorów. – Nie chodzi im o twierdzę na biegunie, tylko o nas!

Prorok spojrział na niego bez śladu zrozumienia, toteż Sekah złapał go za ramię i prawie potrząsnął, nim dotarło doń, z kim chciał tak postąpić. Zamiast tego pociągnął go do holomapy i pokazał palcem, o co mu chodzi.

– To nie myśliwce, tylko promy szturmowe! Ci cholerni Marines właśnie lądują na tej twierdzy i są już poniżej dolnego pułapu rakiet! – wyjaśnił nerwowo.

Tym razem Prorok zrozumiał. I zbladł.

A gdy pierwszy marszałek go puścił, cofnął się o krok.

Sekah nawet tego nie zauważył, zajęty wydawaniem rozkazów.

W całej podziemnej bazie rozległy się dźwięki alarmu bojowego.

* * *

Marines spadali niczym pikujące sokoły, choć absolutnie bez ich gracji, prosto na teren Centrum Obrony Planetarnej Saint-Just, którego obrońcy dopiero gnali na stanowiska całkowicie zaskoczeni rozwojem wydarzeń. Artylerzyści dopadali przyrządów celowniczych i dział... obsługi wyrzutni i szybkostrzelnych działek zziębnięte zaczynały szukać celów... A cele te były małe i niezwykle szybkie – jedyne źródło energii stanowiły silniczki antygravitacyjne zbroi opadające w dodatku niezwykle szybko. Wraz ze zrzucenymi przez promy ogłupiaczami emitującymi dokładnie takie same sygnały energetyczne co silniczki było ich dobrze ponad sto tysięcy. Nie sposób było utrzymać takich celów w stałym namiarze, toteż obsługi czy automatyczne systemy obronne otwierały ogień bardziej na wycucie, niż starannie celując. Jedyne część stanowisk zdążyła zacząć strzelać, a desant był celem powietrznym krótko, toteż straty nie były duże – zginęło mniej niż tysiąc Marines. Ponieważ najważniejsze było jak najszybsze znalezienie się na ziemi, tym razem zignorowano porządek lądowania i zasady bezpieczeństwa. Wszyscy skakali równocześnie i spadali prawie bez hamowania z prędkością, za którą w czasie szkolenia każdy by solidnie oberwał.

Hamowano awaryjnie tuż nad ziemią, co nie zawsze się udawało, toteż mimo osłony zapewnianej przez broje kilkuset kolejnych Marines zginęło lub połamało sobie różne części ciała. Łącznie trzy dywizje straciły około półtora tysiąca ludzi, czyli mniej niż 5% stanów, co przy konwencjonalnym desancie na normalnie broniony cel uznawano za udane lądowanie przy niskich stratach.

Sharon Manning złamała przy zetknięciu z ziemią jakieś drobne kostki w prawej stopie, rzuciła kurwą nadal na otwartym mikrofonie i włączyła automatyczny system identyfikujący, dzięki któremu podkomendni mogli ją odszukać w zamieszaniu, które zawsze panowało w gorącej, czyli ostrzeliwanej strefie zrzutu.

I pospiesznie sięgnęła po ciężką strzelbę systemu *flechette*.

– To nie jest miejsce dla generała, cholera – warknęła, zmieniając zdumionego thebańskiego żołnierza w krwawą miazgę – ale lepiej już być tu, niż być martwym!

* * *

– Rozkaz do wszystkich okrętów: wycofać się poza zasięg wrogich rakiet! – polecił generał Shahinian.

Okręty Drugiej Floty wykonały go błyskawicznie.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah kłął bez finezji, ale za to z uczuciem, ignorując kompletnie

obecność Proroka. Okręty niewiernych właśnie uciekły poza zasięg jego rakiet, więc cała ta operacja była pozorowana, a celem było wysadzenie desantu. On zaś dał się nabrać.

Coraz więcej stanowisk przeciwlotniczych otwierało ogień, ale promy zrzuciły już amunicję, ciężką broń wsparcia oraz zapasowe zasilacze wraz z kolejną chmarą ECM-ów i wiały, aż się kurzyło, lecąc niziutko nad morzem, a więc poza polem rażenia ciężkiej broni. Rozwijały przy tym niewiarygodną prędkość i były doskonale uzbrojone. Dywizjon szturmowych helikopterów, który znalazł się w pobliżu kilku z nich, zdołał strącić jeden, nim przestał istnieć.

Co w niczym nie zmieniało faktu, że promy były spisane na straty w razie klęski ataku. Jeśli Centrum Obrony nie zostanie zdobyte, wszystkie ulegną zniszczeniu. Mogły bowiem unikać jednostek powietrznych i artylerii, kręcąc się w kółko nad morzem, ale nie mogły uciec poza atmosferę, nie przelatując przez rejon ostrzału artylerii przeciwlotniczej. Zaalarmowanej artylerii przeciwlotniczej. A to zupełnie zmieniało ich szanse na przetrwanie. Jeśli twierdza zostanie zdobyta lub zniszczona, w systemie obrony przeciwlotniczej powstanie luka umożliwiająca ucieczkę i dalsze ataki. Jeśli nie, niewiele zdoła wrócić na macierzyste okręty...

Sekah przez długą chwilę nie mógł zrozumieć postępowania niewiernych – po co wysyłać dziesiątki tysięcy żołnierzy po niepewne zwycięstwo, skoro można było to samo osiągnąć ostrzałem raketowym...

A potem go olśniło.

Prorok! Wróg wiedział, gdzie przebywa Prorok, i to o niego mu chodziło.

Szybko podszedł do Proroka i powiedział cicho: Niewierni musieli się dowiedzieć, że Wasza Świątobliwość tu jest, i chcą Waszą Świątobliwość albo zabić, albo porwać. To jest prawdziwy cel tego ataku i dlatego nalegam na jak najszybszą ewakuację. Przed powrotem Waszej Świątobliwości rozprawimy się z nimi.

– Ewakuację?! – Prorok spojrzał na niego jak na szaleńca. – Przecież to najsilniejsza twierdza na całej planecie! Niech się pan opanuje, pierwszy marszałku! Nie zdobędą jej atakiem kilku tysięcy gołej piechoty!

Sekah już miał zaprotestować, gdy dotarło do niego, co powiedział Prorok. To rzeczywiście był najsilniejszy system umocnień na całej planecie. Tylko że nie dawało to żadnej gwarancji. Wróg miał doskonałe informacje – skoro wiedział, gdzie uderzyć, to być może znał też jakiś szatański sposób, by go zdobyć atakiem pozbawionej wsparcia piechoty...

Sekah zamknął z trzaskiem usta, wyprostował się i odszedł z posepną miną. Skoro Prorok zdecydował, że zostaje, on mógł już zrobić tylko jedno. Czy działali z podszeptu Szatana-Chana czy nie, niewierni dotrą do Proroka jedynie po jego, Sekaha, trupie.

* * *

Rakieta trafiła i thebański bunkier zniknął w ognistej eksplozji. Sharon Manning włączyła

serwoskok i wskoczyła do dymiącego jeszcze krateru. W ślad za nią zrobili to członkowie jej sztabu, a przynajmniej ci, którzy zdołali do niej dołączyć. Z dymu wyłoniła się sekcja wsparcia, obsadzając perymetr wokół krateru. Sharon skrzywiła się z niesmakiem – nie był to najlepszy punkt dowodzenia, ale przynajmniej osłonięty przed ogniem... jeśli nie liczyć tego cholernego mózdzierza! Warknęła krótki rozkaz i trzech Marines z sekcji ochrony sztabu ruszyli się nim zająć.

Wykonali rozkaz.

Wrócił jeden.

* * *

Lantu jęknął, gdy uderzyli o ziemię. Zbroja nie była najprzyjemniejszą rzeczą, na którą można było upaść, jako że była twarda i kanciasta, co wyraźnie poczuł. Ale dzięki niej żył.

Angus pozbierał się i pospiesznie postawił go na nogi. Spomiędzy otaczających ich drzew wyłonili się pierwsi Marine-Raiders w zbrojach przystrojonych żywicą i gałęziami drzew, które roztrzaskali, spadając. Poza kontuzjowanymi w czasie skoku nikt nie ucierpiał – nie strzelano do nich, jako że znajdowali się prawie 200 kilometrów od pola walki, czyli głównych umocnień Centrum Obrony Saint-Just.

Lantu rozejrzał się, próbując zorientować się, gdzie dokładnie się znajduje, gdy przez zarośla z trzaskiem przedarł się major M'boto trzymający niczym dziecię w objęciach pułkownika Fraymaka.

– Tam – Lantu wskazał kierunek. – Jesteśmy jakieś dziesięć kilometrów od wejścia, ajć!

Zakończenie wypowiedzi zawdzięczał Angusowi, który złapał go ponownie, uaktywnił serwoskok zbroi i pognął długimi susami we wskazanym kierunku.

Reszta batalionu ruszyła skokami za nim.

* * *

Iwan Antonow obserwował ekran taktyczny, żalując, że nie ma pełnego obrazu przebiegu bitwy, ale odległość była zbyt duża dla sensorów pokładowych, więc musiał zadowolić się informacjami przekazywanymi z *Mangusa Coloradasa*. A te z kolei były fragmentaryczne, gdyż pochodziły wyłącznie od walczących pododdziałów.

Obrócił głowę, bardziej czując, niż słysząc, że ktoś stanął obok fotela.

– Cóż, Kthaara, twój pomysł z raketami zadziałał – pogratulował.

– Zadziałał – przyznał Kthaara, odruchowo wysuwając pazury, gdy spojrzął na ekran taktyczny fotela.

A potem dotknął miejsca, w którym zwykle znajdował się jego *defargo*, i odprężył się.

Lekko.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah przejął osobiście dowodzenie obroną centrum. I w krótkim czasie spociał się z wrażenia, gdy zaczęły napływać pierwsze meldunki od oddziałów naziemnych. Napastnicy byli demonami – nie wyobrażał sobie nawet istnienia pewnych rodzajów broni, którymi się posługiwali, a możliwości i wytrzymałość na trafienia ich zasilanych pancerzy była niewiarygodna. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego abordaże floty po początkowym okresie były tak mało udane i przynosiły tak wielkie straty.

Nie oznaczało to na szczęście, że niewierni są nieśmiertelni.

Tyle że pokrywające się pola ostrzału, ogień sztyletowy broni automatycznej, nawały artyleryjskie i pola minowe nie zabijały ich tysiącami, jak powinny, lecz pojedynczo. I ciągle szli naprzód, niszcząc kolejne stanowiska i punkty oporu.

Szybko też zorientował się, w jakim obszarze nastąpił desant, i zaczął ściągać rezerwy oraz jednostki obsadzające niezagrożone sektory. Wróg atakował od zachodu i wbijał się klinem w system obrony. Przełamał pierwszą linię umocnień na szerokim froncie i w wielu, w zbyt wielu miejscach drugą, a wysunięte oddziały dotarły już do trzeciej. Za to im głębiej wnikał w obronę, tym bardziej odsłaniał flanki.

Poza tym dzięki systemowi podziemnych przejść możliwe było przeprowadzenie kontrataków z zaskoczenia na tyły przeciwnika, co też powinno odbić się na tempie natarcia. Pierwszy w sile batalionu miał się właśnie rozpocząć, a jego celem była kompania posuwająca się głębokim wąwozem.

* * *

– Uwaga z tyłu! Uwa...! – głos majora Oelsa umilkł nagle.

Porucznik Escalante obrócił się gwałtownie i zobaczył falę wyjących i strzelających Pawianów gnającą prosto na kompanię Delta. Poprzedzała ją lawina rakiet i granatów, która załatwiła ponad tuzin Marines. Reszta odpowiedziała ogniem dziesiątkując napastników strzałami z karabinów plazmowych, strzelb systemu *flechette* i granatników.

Gdy krótka, ale zacięta walka dobiegła końca, ośmiu kolejnych Marines było martwych.

Escalante odruchowo obrócił się z wycelowaną bronią, poszukując kolejnych przeciwników, i odsapnął, gdy po wykonaniu pełnego koła nie zauważył żywego Pawiana. A potem podskoczył i omal nie nacisnął spustu, bo ktoś puknął go w ramię. Odwrócił się na pięcie z mordem w oczach, ale wiązanka utknęła mu w gardle na widok wyrazu twarzy sierżanta-majora Abbota.

– Stary nie żyje – wyjaśnił chrapliwie Abbot. – Kapitan Sigourney też.

Escalante spojrzał na obryzganego krwią sierżanta, nie kryjąc przerażenia. Trzeci batalion został rozproszony po całej strefie zrzutu i diabli wiedzieli, gdzie znajdują się jego pozostałe trzy kompanie. Porucznik Gardener dowodzący kompanią D i jego zastępca Matuchek zginęli, a to oznaczało, że...

Sierżant-major pokiwał głową, widząc jego minę.

– Wygląda na to, że teraz pan dowodzi, sir.

* * *

Lantu uparł się, że nie odda śniadania. Żołądek miał na ten temat odmienne zdanie. Na dodatek gałęzie przy każdym skoku Angusa chlastały jego opancerzony skafander jak wściekłe, a każdy skok stanowił niespodziankę, bo w przeciwieństwie do MacRory'ego nie widział terenu przed sobą. W sumie przypominało to jazdę przez palmiarnię windą bez dwóch ścian, za to z czkawką. Już samo upilnowanie elektromapy z systemem nawigacyjnym było w tych warunkach osiągnięciem.

– Stop! – wrzasnął, zerkając na ekranik.

I cały batalion jak jeden mąż łupnął o ziemię.

– Niech mnie pan postawi, pułkowniku! – zażądał Lantu.

Angus delikatnie wykonał polecenie i Lantu mógł się wreszcie spokojnie rozejrzeć. Co prawda ostatni raz był tu w zimie i nie towarzyszyło mu pięćset metalowych trolli, ale w końcu mimo zmieniającej krajobraz roślinności zorientował się, gdzie się dokładnie znajdują.

– Tam! – wskazał na porośnięte jakimś pnączami czy powojami pobliskie wzgórze.

Wyglądało zupełnie zwyczajnie, niczym kilkanaście podobnych w okolicy.

Dopóki nie sprawdzili, co pokazują skanery zbroi.

– Chyba tu – mruknął Angus, przyglądając się ponad dziesięciu stanowiskom automatycznych działek szybkostrzelnych zaznaczonych na ekranie zbroi.

Lantu był już w połowie drogi do najbliższego.

* * *

Generał Manning kiwnęła głową w milczącym podziękowaniu, nawet nie podnosząc głowy znad elektromapy, gdy sierżant Young zmienił zasilacz w jej zbroi. Byli na trzecim z kolei punkcie dowodzenia od wylądowania i czuła zaskoczenie, że aż tak głęboko wbili się w obronę. Co prawda poszarpane góry utrudniały dokładne ustalenie pozycji, ale wszystko wskazywało na to, że właśnie przeszli czwarty pierścień umocnień.

Uśmiechnęła się bez śladu wesołości – jeszcze tylko cztery i zacznie się prawdziwa zabawa...

* * *

Amleto Escalante nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oto bowiem Pawiany natyrały się jak głupie, wydrążyły w skałach ładne, szerokie tunele do przerzutu wojsk i nawet nie zadały sobie trudu, by umieścić w nich najprostszy choćby system alarmowy czy sensory!

Nie żeby miał im to za złe, ale łagodnie rzecz ujmując, było to dziwne.

Idąca w szpicy drużyna znajdowała się sto metrów przed nim i poruszała naprawdę ostrożnie. Niestety tunel, choć szeroki – dwóch Marines w zbrojach mogło iść obok siebie –

był też niski, co uniemożliwiało poruszanie się skokami, czyli w najszybszy możliwy sposób. Escalante nie był zachwycony takim powolnym marszem na oślep, tym bardziej że zostało mu ledwie sześćdziesięciu ludzi, ale miał dziwną pewność, że dzięki podziemnym tunelom kompania Delta wniknęła znacznie głębiej w obronę niż ktokolwiek. Żeby jeszcze wiedział, dokąd zmierzają...

– Korytarz się rozgałęzia, sir – zameldował Abbot. – Na wschód i na zachód.

– Idziemy na wschód – zdecydował Escalante, zdając się na los.

* * *

Podchodząc do wejścia, Lantu czuł serce w gardle. Miał na sobie thebański skafander pancerny, thebańskie wyposażenie i thebańską broń, nie licząc sztyletu Kthaary.

Ludzie zatrzymali się poza strefą skanowania, więc teoretycznie nic nie powinno mu grozić. Ale jeśli wzór jego siatkówki został z jakiegoś powodu usunięty z listy...

Odetchnął nieco, gdy dotarł do skalnej ściany. Skoro nie uaktywnił żadnego z automatycznych stanowisk strzeleckich, nie uruchomił również żadnego alarmu. Niezgrabnie zdjął hełm, naciśnięciem z jednej strony otworzył pancerną przykrywkę i pochylił się tak, by oczy znalazły się na poziomie skanera. Rozbłysło oślepiające światło i Lantu wstrzymał oddech...

A potem wypuścił z ulgą powietrze, gdyż blask zniknął, a pojawiła się zielona poświata.

– Alfa – Zulu – Delta – 4 – 9 – 1 – powiedział wolno i wyraźnie. – Prorok jest wielki.

Coś zgrzytnęło i masywny kawał skały odjechał w bok, ukazując wejście do obszernego tunelu. Lantu wszedł doń pospiesznie i na mrugającym panelu kontrolnym wybrał odpowiednią kombinację.

A potem uśmiechnął się z mściwą satysfakcją, gdy panel zgasł.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah zaczął się uspokajać, gdyż natarcie wroga stopniowo, lecz stale traciło impet. Klął się w duchu, że nie postawił przed zewnętrznym pierścieniem umocnień min nuklearnych, bo tam wylądowało najwięcej tych przeklętych Marines z piekła rodem. Zmasakrowałby ich kosztem parunastu tysięcy własnych żołnierzy. Naloty też nic nie dały – podziemne lotniska Saint-Justa nie mogły być wykorzystane z powodu zbyt bliskich walk, a rakiety przeciwlotnicze Marines miały niewiarygodny zasięg i celność – żadna z maszyn wezwanych z sąsiednich baz nie dotarła nad wyspę.

Ale widać było, że choć powoli, ich siły słabną, a więc tylko kwestią czasu było, aż ich natarcie zostanie powstrzymane. Po dojściu do tego wniosku usilnie starał się nie myśleć o wpływach i mocy Szatana-Chana.

* * *

Pierwszy wagonik maszynowej kolejki pomieścił Lantu i dwudziestu Marines. Lantu bał się wezwać kolejkę, żeby nie wzbudzić podejrzeń kogoś w dowództwie obrony, ale najważniejsza była szybkość i to przeważało. Podobnie jak świadomość, że system transportu jest w pełni zautomatyzowany, a w dowództwie powinni mieć wystarczająco dużo poważniejszych problemów, by tego nie zauważyć.

Teraz usadowił się w fotelu maszynisty i spytał:

– Gotowi?

Angus MacRory kiwnął w odpowiedzi głową.

Lantu sapnął i pięciuset ludzi oraz dwóch thebańskich zdrajców ruszyło z prędkością dwustu kilometrów na godzinę ku sercu Centrum Obrony Planetarnej Saint-Just.

* * *

– O kurwa!

Escalante odruchowo przytulił się do ściany, gdy z przodu wybuchła nagle strzelanina. Potem zaklął i skoczył w kierunku kanonady. Sierżant-major Abbot próbował go złapać, chybił, i chcąc nie chcąc, ruszył za nim, klnąc znacznie wprawniej wszystkich młodych oficerów mających mniej zdrowego rozsądku od przeciętnego Rigelianina.

* * *

– Święta Ziemia! – jęknął ktoś przerażony.

Sekah odwrócił się, słysząc to, i w tym momencie zawył przeraźliwie alarm, którego nie spodziewał się usłyszeć. Na planie fortyfikacji pojawiła się czerwona pulsująca kropka. Oznaczała obecność wrogich sił wewnątrz ostatniego pierścienia obronnego, czyli w kompleksie podziemnym.

* * *

Porucznik Escalante wpadł do przestronnej, jasno oświetlonej sali zaraz po tym, gdy szpica skończyła rozprawiać się z ostatnimi zaskoczonymi Pawianami. Rozejrzał się, zobaczył olbrzymie wyrzutnie rakiet stojące niczym regularny las i zrozumiał, że są na terenie głównej bazy, poza wszystkimi pierścieniami obronnymi.

– Sierżancie Abbot!

– Jestem, sir. – Abbot prawie wylądował mu na plecach.

Escalante wskazał wylot tunelu znajdujący się po przeciwnej stronie wyrzutni.

– Zaminować i wysadzić! – polecił zwięźle. – A potem proszę wysadzić te pancerne drzwi.

– Już się robi, sir – potwierdził Abbot, nie kryjąc uznania.

Może ten gówniarz mimo wszystko wiedział, co robi...

* * *

– Brygadier Ho przyduszony ogniem, ma'am!

Sharon skrzywiła się, słysząc ten meldunek. Brygada Ho szła w szpicy i poniosła już wcześniej poważne straty. Przyjrzała się mapie, myśląc intensywnie. Całe szczęście, że Trevayne dostarczyła naprawdę szczegółowe mapy wyspy, bo w takiej jak ta okolicy...

Ogień musiał pochodzić z tego kompleksu bunkrów, a to znaczyło...

– Czwarta Brygada ma obejść rejon 4-7 i uderzyć na północ – poleciła.

Ciąg dalszy rozkazu przerwał jej łomot kul o pancerz plecowy zbroi. Odruchowo pochyliła się, osłaniając elektromapę, a sekundę później pojedyncze huknięcie strzelby uciszyło upierdliwego Pawiana.

– Równocześnie drugi batalion Dziewiętnastego Pułku ma obejść te bunkry. Tylko niech uważają na rakiety z... – i zaczęła recytować całą litanię szczegółowych poleceń.

* * *

Kompania thebańskiej piechoty gnała tunelem w kierunku wyrzutni numer 64, nie całkiem wierząc otrzymanym rozkazom. Walki toczyły się znacznie dalej i w innym rejonie, więc jakim cudem niewierni przedostali się aż do wyrzutni?! To musiał być błąd kogoś z dowództwa.

Prowadzący ją kapitan wybiegł zza zakrętu i odetchnął z ulgą na widok regulaminowo zamkniętych pancernych drzwi. To musiał być fałszywy alarm. Dał znak żołnierzom, żeby zwolnili tempo.

W następnej sekundzie zginął wraz z większością podkomendnych, gdy odpalony przez Marines ładunek wysadził drzwi, zmieniając ich środek w deszcz stalowych odłamków.

* * *

Porucznik Escalante już miał dać sygnał do dalszego natarcia przez wysadzone drzwi, gdy uświadomił sobie, że o czymś zapomniał. Tylko o jednym, ale za to bardzo istotnym szczególe. Prawdę mówiąc, na tyle istotnym, że skłonny był w tym momencie przyznać rację sierżantowi Groganowi twierdzącemu, że każdy porucznik ma łeb jak sklep, tylko mu półek brak. Otóż dotarł daleko w głąb wrogich pozycji, ale nie raczył nikogo o tym poinformować, a o nawiązaniu łączności radiowej przez taką masę skał i żelastwa można było zapomnieć.

Rozejrzał się gorączkowo i dostrzegł Lutwell. Coś wielkiego i wrednego zniszczyło prawe ramię jej zbroi. Bezużyteczną rękę przypięła do napierśnika, a broń obsługiwała lewą, ale nie szło jej to najlepiej.

– Lutwell!

– Sir?

– Biegiem z powrotem i zamelduj naszym, że jesteśmy wewnątrz i posuwamy się, zamykając wyloty bocznych korytarzy ładunkami wybuchowymi, żeby nas z flanki nie

odciął.

– Sir, ale ja mogę...

– Już cię tu nie widzę! – warknął Escalante. – I ani słowa więcej!

Lutwell zniknęła w tunelu niczym przestraszony królik, a Escalante ruszył ku wysadzonym drzwiom do innego tunelu. Kątem oka zauważył szeroki uśmiech na twarzy sierżanta-majora Abbota, ale żaden z nich nie odezwał się słowem.

* * *

Kolejka zahamowała łagodnie i Marines wysiedli. W pogrążonym w półmroku tunelu wyglądali niczym zjawy z baśni. Lantu podszedł do Angusa, a Fraymak do majora M'boto.

– Prosto tym szybem, Fraymak – przypomniał Lantu. – I pamiętaj o punkcie kontrolnym tuż przed tunelem numer czternaście.

Fraymak kiwnął głową. Wzoru jego siatkówki nie było na liście uprawnionych do korzystania z systemu tuneli ewakuacyjnych, więc nie był w stanie przejść kontroli. A to znaczyło, że Marines muszą zniszczyć automatyczne stanowiska strzeleckie, nim te otworzą ogień. I dalej wyrąbywać sobie drogę siłą.

– Zanim rozwalicie ten punkt, dajcie nam dziesięć minut – zakończył Lantu.

– Pamiętam, sir. – Fraymak zasalutował, a potem podał mu rękę. – Powodzenia, sir.

Lantu uścisnął jego dłoń.

– Panu także, pułkowniku, się ono przyda – powiedział z przekonaniem. – A my idziemy tędy, pułkowniku MacRory!

Angus bez słowa złapał go w objęcia i oba oddziały zniknęły w dwóch różnych kierunkach.

* * *

– Wasza Świątobliwość, niewierni są wewnątrz twierdzy! – zameldował bladym pierwszym marszałek Sekah.

Prorok wciągnął głęboko powietrze i złapał symbol Świętej Ziemi – kulę wiszącą na szyi. Sekah zaś przełknął nerwowo ślinę. Pojęcia nie miał, jak napastnicy przedostali się tak głęboko ale powinien był ich powstrzymać. To był jego obowiązek. Zawiódł.

– Nie wiem, jakie to są siły – dodał. – Możliwe, że to tylko patrol ale możliwe też, że szpica całego pułku. Wysłałem tam odwody, ale z kwadrans zajmie im dotarcie w rejon włamania. Dlatego proszę, żeby Wasza Świątobliwość ewakuował się do jednej z pobliskich twierdz i pozostał tam, dopóki nie uporamy się z zagrożeniem, albo...

Urwał gwałtownie.

Prorok zaś zmrużył oczy, ale potem uśmiechnął się wyrozumiale i dotknął łagodnie jego ramienia.

– Zrobię, jak mówisz, mój synu. Z pewnością będziesz lepiej dowodził, nie musząc

martwić się o moje bezpieczeństwo – zakreślił nad jego głową krąg Świętej Ziemi i dodał: – Błogosławieństwo Świętej Ziemi z tobą, pierwszy marszałku. Da ci zwycięstwo, a ja wrócę, by ci pogratulować.

– Dziękuję Waszej Świątobliwości. – W oczach Sekaha widać było wdzięczność.

Prorok odwrócił się i dał znak arcybiskupowi Kirsalowi, po czym obaj skierowali się do pancernych drzwi.

– Ten kretyn nie obroni centrum – mruknął Prorok, ledwie znaleźli się na korytarzu.

– Też tak sądzę.

– Zajrzyjmy w takim razie najpierw do mnie – zdecydował Prorok. – Wybuch ładunku samoniszczącego powinien osłonić naszą ucieczkę z wyspy.

* * *

Marine Sinead Lutwell wysunęła ostrożnie głowę z tunelu i natychmiast ją cofnęła, gdy w cement i skały obok uderzył grad wirujących tarcz ze strzelby.

– Nie strzelać, do kurwy nędzy, wy ślepe skurwiele! – wrzasnęła.

A zewnętrzny głośnik zbroi zmienił ten krzyk w ryk.

Zaskoczony strzelec aż przysiadł z wrażenia, a Lutwell najszybciej jak mogła wypełzła z tunelu.

Nie musiała pełzać daleko – po paru metrach spojrzała w wylot lufy karabinu plazmowego pospiesznie opuszczonego zaraz potem z zawstydzonym uśmiechem przez opancerzonego Marine.

* * *

– Że jak?! – Zdumiała się generał Manning, unosząc głowę znad mapy. – Co zrobiła kompania Delta?

Wysłuchiwała powtórnego meldunku i zamarła z opuszczoną dolną szczęką.

Dopiero po dobrych dwóch sekundach pochyliła się nad elektromapą i zaczęła gorączkowo wbijać koordynaty na klawiaturze. A gdy mapa przewinęła się, na jej twarzy pojawił się wręcz promienny uśmiech. Nie miała pojęcia o przebiegu służby porucznika Escalante, ale była pewna, że przed zachodem słońca zostanie kapitanem.

I to niekoniecznie pośmiertnie.

– Frank, skontaktuj się zaraz z 5. Brygadą – poleciała radiooperatorowi. – Chcę mieć jeden, a jeszcze lepiej dwa pułki w tym tunelu tak szybko, jak tylko się da albo jeszcze szybciej.

– Rozkaz, ma'am.

Piąta Brygada stanowiła rezerwę 4. Dywizji, a to był doskonały przykład potwierdzający słuszność kardynalnej zasady taktycznej nakazującej zawsze mieć jakiś odwód w pogotowiu.

* * *

Lantu uniósł rękę i Angus postawił go natychmiast na podłodze.

Pięć metrów przed nimi znajdował się kolejny automatyczny punkt kontrolny. Lantu podszedł do niego, przyłożył oko do wizjera, a potem wybrał starannie kombinację cyfr i liter na wmontowanej w ścianę klawiaturze. Ekranik nad klawiaturą rozblił się seledynowym blaskiem. Lantu nadusił kolejne dwa klawisze i ekranik zgasł.

A pancerne drzwi przegradzające korytarz stanęły otworem.

Lantu przekroczył próg, rozejrzał się i kiwnął głową. Dwustu pięćdziesięciu Marines ruszyło jego śladem tak cicho, jak tylko pozwalały na to zbroje. Lantu zdołał zrobić trzy kroki, nim powstrzymała go dłoń w pancernej rękawicy.

– Czekaj! – polecił MacRory cicho.

I przytrzymał go, nim dwudziestu Marines nie przeszło obok, obejmując prowadzenie i zasłaniając go równocześnie dwudziestoma zbrojami.

* * *

Porucznik Escalante zaklął, gdy szybkostrzelne działko zmieniło jego zwiadowcę w gulasz mięsa i odłamków zbroi. Zaraz potem kucnął, słysząc za plecami kasznięcie granatnika. Z przodu rozległ się wybuch i działko umilkło. Dał znak i uszczuplony oddział ruszył ponownie, ślizgając się na krwawych szczątkach tych, którzy jeszcze niedawno byli obsługą działka.

* * *

Pułkownik Fraymak sprawdził, która godzina, i kiwnął głową. Cztery ładunki wybuchowe detonowały równocześnie, wysadzając panel kontrolny, dwa stanowiska automatycznych działek i pancerne drzwi prowadzące do tunelu numer czternaście. W dym skoczyło dwóch Marines, strzelając jeszcze w czasie skoku. Ponad dziesięciu techników zginęło, nim zdali sobie sprawę, co właściwie wybuchło.

* * *

Angus MacRory zatrzymał się, a Lantu przepchnął się do przodu. Znajdowali się w okrągłej komorze, w której zbiegały się wszystkie tunele ucieczkowe z terenu twierdzy. Było ich dwanaście. Marines już obsadzali ich wyloty. Lantu zignorował ich i prawie biegiem ruszył ku stalowej skrzyni stojącej za szybami wind i dziwnie przypominającej trumnę. Po drodze zdjął rękawice i ledwie dotarł do celu, pochylił się nad czytnikiem siatkówki.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah odwrócił się na pięcie, gdy przez otwarte drzwi dobiegł głuchy huk eksplozji.

– Co...?

* * *

Major M'boto zaklął, gdy z przodu eksplodowały kolejne rakiety. Trzeba było mieć prawdziwego pecha, żeby w tym labiryncie natknąć się akurat na jakiś zasrany pułk, którego w ogóle nie powinno być w tej okolicy... Przestał kłać i złapał najbliższego thebańskiego trupa. Gdy na kołnierzu zobaczył purpurowe patki ze złotą kulą Świętej Ziemi, zrozumiał wszystko. Naturalne było, że przeciwnik był tak dobrze uzbrojony i tak fanatycznie walczył – nadziali się na Gwardię Proroka.

Z przodu nadleciały kolejne rakiety, ale jego ludzie wykorzystywali już osłonę ścian i odpowiadali lawiną ognia. On sam zaś ruszył ostrożniej ku przedniej straży, uważając, by cały czas osłaniać sobą Fraymaka.

* * *

Prorok wszedł do swoich prywatnych pomieszczeń pełnych bezcennych dzieł sztuki i zbliżył się do terminalu komputerowego. Włączył urządzenie i marszcząc brwi, powoli i starannie wpisał na klawiaturze kod.

* * *

Lantu zdjął osłonę i odskoczył. Angus wyciągnął rękę i złapał opisany przez niego wcześniej przekaźnik i programator detonatora. Wspomagany serwomechanizmami zbroi powoli zacisnął palce i szarpnął gwałtownie.

* * *

Prorok skończył wybierać kombinację, wcisnął zatwierdzenie i uśmiechnął się. Uśmiech po paru sekundach zmienił się w grymas zaskoczenia, gdy rozbłysł czerwony napis informujący o nieuzbrojeniu bomby. Ponownie wybrał kombinację.

I ponownie z takim samym efektem.

Odwrócił się, klnąc siarczyście. Musiało nastąpić uszkodzenie przekaźnika. Na szczęście przewidziano podobną sytuację i zapalnik można było zaprogramować ręcznie, a droga ucieczki i tak prowadziła przez salę, w której znajdował się ładunek.

* * *

Oddział majora M'boto spychał Gwardię Proroka wolno, ale bezustannie. Fanatycy drogo sprzedawali każdy metr korytarza i straty rosły, jako że nawet zbroje nie mogły ochraniać bez końca w starciu na małą odległość z przeciwnikiem gotowym zginąć, byle tylko przy tej okazji kogoś zabić.

* * *

Pułkownik Ezra Montoya prowadził swój pułk tunelami tak szybko, jak tylko mógł. Ludzkie pojęcie przechodziło, że ich istnienie odkrył zielony jak szczypiorek na wiosnę poruczniczyna świeżo po szkole. Ale fakt, że wiedział, jak znaleźć wykorzystać, potwierdzał, że istnieje jednak sprawiedliwość na tym świecie.

Albo Bóg – wedle uznania.

* * *

Pierwszy marszałek Sekah zakrztusił się dymem wlatującym z korytarza. Gwardia walczyła bohatercko, ale odgłosy bitwy wciąż się przybliżały. Przestał o nich myśleć, próbując z coraz bardziej fragmentarycznych i sprzecznych informacji widocznych na ekranie wnioskować, gdzie jeszcze wróg wniknął do twierdzy.

Co prawda nie miał konkretnych wieści o drugim włamaniu ale ten oddział, z którym walczyła Gwardia Proroka, nie mógł być tym samym, o którym dostał zgłoszenie wcześniej. To jedno nie ulegało wątpliwości, tylko nadal nie rozumiał, jak dwa wrogie oddziały zdołały przeniknąć niepostrzeżenie do samego serca fortyfikacji.

Tym postanowił zająć się później, teraz trzeba było zlikwidować największe zagrożenie. Wydał stosowne rozkazy i dwa odwodowe bataliony zmierzające ku miejscu wykrycia pierwszego wroga zawróciły i skierowały się ku bitwie toczonej przez Gwardię.

* * *

M'botto z Fraymakiem przykucnęli za wysadzonymi drzwiami pancernymi. Gdyby nie ta cholerna Gwardia Proroka, byłiby już na stanowisku dowodzenia. Tamci spowolnili ich natarcie wystarczająco, by zdołały dotrzeć posiłki, i teraz Pawiany mnożyły się w okolicy niczym zaraza.

Spojrzał kątem oka na Fraymaka, który też miał świadomość, że nie zdołają przebić się do celu. Natomiast jeśli zostaną tutaj, prędzej czy później ktoś wyjdzie na ich tyły...

Musiał o tym pomyśleć w złą godzinę, bo w tym momencie za ich plecami wybuchła gwałtowna kanonada.

* * *

Sekah uśmiechnął się z mściwą satysfakcją, słysząc najnowszy meldunek. Wróg dotarł na dwieście metrów od stanowiska dowodzenia, ale bliżej już nie zdoła, gdyż ma przed sobą Gwardię wspartą świeżym batalionem piechoty, a za sobą drugi, także odwodowy batalion. Zbroje czy nie, takiej koncentracji ognia w zamkniętej przestrzeni nikt nie mógł długo wytrzymać.

* * *

Porucznik Escalante nigdy nie był tak zmęczony, przerażony i podniecony. W ciągu ostatnich dziesięciu minut pokonali prawie kilometr, nie napotykając żywej duszy, co napawało go wręcz szczęściem. Bocznymi korytarzami było tyle, że skończyły im się ładunki wybuchowe, a ponieważ miał zbyt mało ludzi, by przy wylocie każdego zostawić choćby po jednym wartowniku, obie flanki miał odsłonięte wbrew podstawowej zasadzie taktyki. Co go w najmniejszym stopniu nie martwiło – i tak zgodnie z teorią wszyscy powinni być już dawno martwi. Wniosek był prosty – im głębiej wejdą, nim ich wybiją, tym większe zamieszanie wywołają.

Rozejrzył się po twarzach trzydziestu paru żołnierzy, którzy mu pozostali, i widząc ich uśmiechy, był pewien, że myślą tak samo.

Też się uśmiechnął i machnięciem ponaglił ich do dalszego marszu.

* * *

Major M'boto zawrócił kilkadziesiąt metrów, kierując się ku odgłosowi strzałów, gdy natknął się na wycofujących się żołnierzy ze straży tylnej. Sytuacja musiała być poważna, a Pawianów kupa, inaczej znajdowałiby się znacznie dalej. Złapał najbliższego, którym okazał się saper, i polecił:

– Ładunki tu, tu i tu! Kiedy ostatni je minie, odpalaj! Zwalimy im sufit na łby!

– Według rozkazu, sir! – uradował się saper.

M'boto zawrócił do sił głównych. Dzięki temu od tyłu powinni mieć spokój, a że przy okazji odcięli sobie drogę odwrotu, to może i lepiej. Teraz już naprawdę nie było innej możliwości, niż atakować.

* * *

Prorok wepchnął Kirsala do windy i niecierpliwie czekał, aż wsiądą pozostali. Ledwie ostatnia osoba wepchnęła się do zatłoczonej klatki, nacisnął guzik.

I winda ruszyła w dół.

* * *

Lantu siadł ciężko na rozbrojonej bombie, kładąc na kolanach thebański karabinek szturmowy. Był naprawdę zmęczony.

Otępiały obserwował, jak Angus obsadza jedną kompanią tunele, a resztę oddziału wysłał na pomoc M'boto, by tak jak uzgodnili, zaatakowali stanowisko dowodzenia z drugiej strony.

Odetchnął głęboko, zdziwiony własną radością, że jeszcze żyje. W końcu przyznał się sam przed sobą, że chce żyć, i było mu z tą świadomością naprawdę dobrze.

Zabrał się do ściągania opancerzonych rękawic i zamarł, słysząc cichy sygnał dobiegający od strony windy.

* * *

Oddział porucznika Escalante stanął, gdy z przodu rozległ się gwałtowny łoskot wystrzałów.

Escalante uśmiechnął się, pokazując zęby.

- Cóż, sierżancie, wygląda na to, że jest nas tu więcej.
- Właśnie, sir – odparł Abbot z takim samym uśmiechem.
- No to przyłączymy się do imprezy!

* * *

Sekah podskoczył, gdy nowa, bliska eksplozja napełniła skalnym pyłem pomieszczenie. Zaskoczone i przerażone głosy w słuchawkach poinformowały go, że wróg zawałił tunel, grzebiąc prowadzący pluton naciskającego go od tyłu batalionu, ale Gwardia wzmocniona posiłkami nadal się trzyma.

Jeszcze.

Dopał klawiatury i zaczął gorączkowo wpisywać polecenia, poszukując najbliższych nie związanych walką jednostek. Jeśli zdoła szybko ściągnąć choćby jeszcze jeden batalion...

Coś kazało mu unieść głowę i dostrzegł pancernego trolla, który stanął w otwartych i nie pilnowanych przez nikogo drzwiach...

Pierwszy marszałek Sekah nadal zrywał się, sięgając po broń, gdy porucznik Amleto Escalante z Federation Marine Corps nacisnął spust, zmieniając go w krwawą miazgę.

* * *

Prorok zaklął z satysfakcją, gdy winda stanęła, a drzwi otworzyły się. Wypchnął pozostałych i wysiadł, skręcając natychmiast ku bombie.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył w życiu, były rozbłyśki wystrzałów trzymanej przez pierwszego admirała Lantu broni.

* * *

General Manning kuśtykała powoli tunelem, nadal nie do końca wierząc, że im się udało. Meldunki o stratach wciąż napływały, toteż nie wiedziała, ilu ludzi straciła, ale sytuacja nie była wesoła. Jak dotąd miała potwierdzenia o ponad dziewięciu tysiącach zabitych, a więc ponad piętnastu procentach swych sił. O liczbie rannych i zaginionych nie sposób było w tej chwili mówić, a wszystkie rosły z każdą mijającą minutą.

Chwilowo było to jednak mniej ważne od tego, że wygrali. Odsunęła wizjer poznaczonego śladami po kulach i odłamkach pancerza – nawet przesycone dymem i pyłem powietrze w tunelu pachniało lepiej niż wewnątrz skafandra pancernego po dziewiętnastu godzinach walki.

Miała zamontowany ostatni zasilacz jak prawie wszyscy jej podkomendni, ale teraz to też było bez znaczenia. Zdobycie stanowiska dowodzenia było przełomowym momentem, gdyż zniknęła koordynacja obrony. A kiedy w samym środku fortecy zjawił się pułkownik Montoya, Pawiany mogły albo się poddać, albo iść prosto do piekła.

Większość wybrała to drugie, wołając śmierć od niewoli.

Przeszła obok usuniętego pod ścianę zwału trupów z dystynkcjami Gwardii Proroka na poszarpanych i zakrwawionych mundurach i weszła do pomieszczenia, w którym znajdowało się stanowisko dowodzenia. I uniosła brwi, widząc obu thebańskich sojuszników żywych. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się, by któryś zdołał przetrwać tę misję.

Obecni na jej widok zaszalutowali, więc odsalutowała im zmęczonym gestem i rozejrzała się. Część znała – MacRory, M'boto, Fraymak, Lantu z dziwnie zadowoloną miną.

– Miło widzieć, ma'am – powitał ją MacRory.

– Pana też, pułkowniku – odparła.

I przyjrzała się uważnie młodzieńcowi bez zbroi siedzącemu na jednym z foteli, za którym stał niczym skrzyżowanie niańki i goryla sierżant-major z raczej ponurą miną. Siedzący miał założone zakrwawione opatrunki unieruchamiające lewą rękę i lewą nogę oraz solidnie obandażowaną klatkę piersiową. I szaro-zieloną twarz. Nie wyglądało to ładnie, ale na pierwszy rzut oka nie brakowało mu żadnego kawałka, a to z zasady medykom wystarczało, by przywrócić rannemu pełną sprawność.

– A któż to taki, jeśli można wiedzieć? – spytała, jako że po koszuli z dystynkcjami rannego też nie było śladu.

– Chłopak, który uratował mu dupę – odparł radośnie MacRory, wskazując na M'boto.

Ten potwierdził ruchem głowy i dodał:

– Porucznik Escalante, ma'am.

– Obawiam się, że jest pan w błędzie, majorze – oświadczyła Manning, stając się obiektem zdumionych spojrzeń wszystkich obecnych.

Escalante chciał coś powiedzieć, ale ponieważ wyciągnęła ku niemu prawicę, odruchowo ją uściśnął, zapominając języka w gębie. Nim odzyskał mowę, oznajmiła:

– To, panowie, jest kapitan Escalante, najnowszy posiadacz Golden Lion of Terra.

Zaraz potem żałowała, że nie ma przy sobie kamery.

Rozdział XXXI

WARUNKI KAPITULACJI

Iwan Antonow przestał patrzeć w ekran i wyłączył głos. Miał dość słuchania religijnego bełkotu, zwłaszcza wygłaszanego napuszonym tonem i bez szacunku dla reguł gramatycznych. Prędzej czy później perorujący będzie musiał przejść do rzeczy, czyli do udzielenia odpowiedzi. A jeśli Thebanie rzeczywiście nie byli obłąkani, odpowiedź mogła być tylko jedna. Choć ostatnimi czasy zaczął się poważnie zastanawiać, czy w teorii o masowym obłędzie nie ma prawdy i czy Fraymak i Lantu nie należą w tym wypadku do nielicznych wyjątków.

Zdobycie Centrum Obrony Planetarnej Saint-Just co prawda kosztowało mniej ofiar, niż się obawiali, i gdyby w tym wszechświecie istniały choć resztki sprawiedliwości, powinno to oznaczać koniec Kościoła Świętej Ziemi. Tymczasem niedobitki Synodu, które nie przebywały na wyspie, pospiesznie zebrały się, kanonizowały zabitego Proroka i mianowały nowego. A ten natychmiast wyraził nieugiętą wolę kontynuowania jihu, nawet gdyby miało go to kosztować życie.

W tej ostatniej kwestii Antonow był skłonny dołożyć starań i przyspieszyć moment powiększenia przez niego grona tutejszych świętych. Być może wyróżnienie całego Synodu nauczyłoby czegoś pozostałych Theban.

Był naturalnie świadom, że najlepszym sposobem umacniania fanatyzmu było dostarczanie religijnym obłąkańcom świeżych męczenników, ale miał już ich naprawdę serdecznie dość. A poza tym pamiętał czyjeś słowa, iż prędzej fanatykom skończą się ochotnicy na męczenników niż jego ludziom kule, i udowodnił, że miał rację. Antonow oczywiście nie powiedział tego wszystkiego głośno, choćby dlatego że oczyma wyobraźni widział reakcję Kthaary, ale coraz bardziej skłaniał się ku opinii, że może to być jedyne słuszne podejście do religijnych obłąkańców.

Fakt, że Synod reagował dokładnie tak, jak przewidział Lantu, nie poprawiał mu humoru. Nowy Prorok z uporem maniaka twierdził, że skoro niewierni zdołali zgrać dane z banków pamięci *Starwalkera*, to mogli je tam i wgrać, a jego tyrada potępiająca świętokradców brukających Pismo Święte wyczerpała cierpliwość Antonowa. A najgorsze było to, że ten

stary kretyn sprawiał wrażenie, że wierzy w to, co mówi. Jeśli tak było, to wymienił bandę oszustów na autentycznych fanatyków. Czyli, jak to mawiano w jego stronach ojczystych, dokonał korzystnej transakcji z typu „zamienił stryjek siekierkę na kijek”.

Przy tej okazji Antonow doszedł do budującego wniosku – w galaktyce istniało jednak coś gorszego od polityka, a nawet od ludzkiego polityka. Fanatyk religijny. Rasa obojętna.

Ponieważ Prorok zrobił przerwę, Antonow zaryzykował włączenie głosu, dzięki czemu usłyszał to co istotne w wypowiedzi byłego arcybiskupa Ganhada, kierującego przed mianowaniem ministerstwem przemysłu.

– I dlatego, niewierny, nie mamy wyboru i musimy wysłuchać twoich słów. Wiedz jednakże, że twój plugawy władca Szatan-Chan nie zdoła odwieść nas od prawdziwej wiary, tak jak udało mu się to z wami! Prawdziwe dzieci Świętej Ziemi nigdy jej nie opuszczają, aż nastanie dzień, w którym wszyscy odszczepieńcy, poganie i heretycy zapłacą za grzechy i...

Antonow prychnął i wyłączył nagranie. Usłyszał to, co było najważniejsze, a reszty bzdur mogła wysłuchiwać Winnie – w końcu to należało do jej obowiązków służbowych. Jeśli przypadkiem w tym bełkocie było jeszcze coś sensownego, przekaże mu to, streszczając wypowiedź. Może to i nie było uczciwe, ale ranga w końcu wiązała się z jakimiś przywilejami.

Na szczęście.

* * *

– Muszę przyznać, że po wysłuchaniu go nabrałem nieco otuchy – stwierdził Lantu.

Od chwili własnoręcznej eksterminacji Proroka i jego najbliższych współpracowników Lantu odzyskał humor i chęć do życia, czego Antonow mu szczerze zazdrościł. Kthaara'zathan natomiast był zadowolony – jego *defargo* obecny był przy zemście w jego zastępstwie. Prawie zamruczał się z satysfakcji, gdy Lantu zdał mu relację z całego przebiegu misji. Ze szczegółami, jak uparł się słuchający. A pełen aprobaty uśmiech ukazujący kły, którym go obdarzył, gdy dowiedział się o losie Proroka, zaskoczył nawet Antonowa.

Choć nie aż tak jak Tsuczewski informacją, że Kthaara zaczął Lantu zapoznawać z urokami picia wódki...

– Że co? – zdziwił się Antonow.

– Jeśli nie liczyć religijnego zacietrzewienia, Ganhad nie jest głupi. Jeśli zignorować całe to fanatyczne pieprzenie, wygląda na to, że ma pełną świadomość beznadziejności sytuacji. A na dodatek w przeciwieństwie do swego poprzednika troszczy się o los wiernych. Oba te czynniki powinny umożliwić osiągnięcie jakiegoś porozumienia.

Antonow chrząknął i uniósł szklanę.

Los Periclesa Waldecka sprawił mu czystą satysfakcję i przyjemność, ale chaos wywołany rewelacją Andersona miał też mniej przyjemne konsekwencje – rząd przestał istnieć, ze wszystkich przedwojennych ministrów ocalał tylko Hamid O'Rourke, ponieważ

nie miał pojęcia o tajnym rozkazie. Sakanami i Waldeck zrobili to za jego plecami, a jego własne postępowanie od momentu zmasakrowania Floty Pokojowej, zwłaszcza fakt, że stał się sojusznikiem Howarda Andersona w rządzie, zyskały mu powszechne poparcie. Pojawiły się nawet propozycje, by wybrać go nowym prezydentem, ale w kwestii zbliżających się wyborów jak na razie pewne było tylko jedno: Sakanami Hideoshi nie miał szans na reelekcję.

Póki co jednakże w MSZ panowało totalne zamieszanie, a ci z jego pracowników, którzy ocaleli po czystce, byli zbyt zajęci walką o przetrwanie z komisją powołaną przez Zgromadzenie, by mieć czas na cokolwiek innego. I dlatego ktoś wpadł na genialny z punktu widzenia polityków pomysł – skoro Antonow tak dobrze poradził sobie z wygraniam tej wojny, to niech też zakończy całą sprawę. I tak po pełnieniu przez trzy lata standardowe obowiązków głównodowodzącego Iwan Antonow został głównym negocjatorem Federacji w rozmowach pokojowych z Thebanami.

– To nie znaczy, że zgodzi się na bezwarunkową kapitulację – dodał Lantu, sięgając przez stół po butelkę, w czym nieproporcjonalnie długie ramię było mu wysoce pomocne. – A jeśli okażesz ślad wahania czy oznak słabości, może zdoła przekonać samego siebie, że Święta Ziemia interweniuje w jego sprawie, a wtedy stanie się uparty. Ale sądzę, że przyjmie twoje warunki.

– Twoje warunki – poprawił go Antonow.

Bo warunki kapitulacji oraz traktatu pokojowego wymyślił głównie Lantu, opierając się na swej znajomości członków Synodu, który pozostali przy życiu. Chodziło o osiągnięcie swoistego złotego środka, by Federacja dostała to, co chce, a prałaci mogli to przełknąć. Naturalnie gdyby podejrzewali, kto jest doradcą Antonowa, nawet by do rokowań nie przystąpili.

Lantu uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Sądzę, sir, że admirał Lantu ma rację – wtrąciła komandor Trevayne, nie całkiem potrafiąc ukryć zadowolenie, jako że analizując reakcje Theban, była w swoim żywiole. – Nowy Prorok na pewno będzie się ciskał i desperował, ale jest realistą i wie, że nie ma wyjścia. Gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy, nie zgodziłby się na spotkanie. A podejrzewam, że jest przygotowany na znacznie gorsze warunki, toteż czym prędzej zaakceptuje te, które mu przedstawimy. A w duchu będzie przekonany, że jest pan durniem nie potrafiącym wykorzystać zwycięstwa.

Mówiąc ostatnie zdanie, uśmiechnęła się złośliwie.

– To się nazywa umiejętność podtrzymania na duchu – burknął Antonow, ale z błyskiem uznania w oczach.

– Cóż, sir... pan akurat na słabość ducha nie cierpi – odcięła się Trevayne. – A tak na serio, pod tym względem negocjacje niczym się nie różnią od operacji militarnej: nie jest ważne, co przeciwnik myśli, ważne, co robi.

* * *

Prorok Świętej Ziemi wszedł do sali konferencyjnej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, ale po rozszerzonych nozdrzach i oczach widać było, że przygotował się na wszystko. Nawet na materializację w obłoku dymu Szatana-Chana osobiście. Antonow i jego sztab (z wyjątkiem specjalnego zastępcy oficera operacyjnego do spraw taktyki myśliwskiej, komandora Kthaaryzarthana) siedzący u szczytu stołu wstali na powitanie jego i delegacji biskupów i arcybiskupów. Ich oczy były żółte od pogardy dla heretyków, ale za tą pogardą czaiło się przerażenie. I było to widać.

Antonow usiadł pierwszy, sztab poszedł za jego przykładem, toteż Thebanie pospiesznie zajmowali miejsca, by nie wyglądać na petentów. Ledwie Prorok zdążył usiąść, Antonow odchrząknął i oznajmił:

– To spotkanie wstępne i dyskusja nie jest przewidziana. Możecie debatować między sobą, ja z wami dyskutować nie będę.

Prorok zeszywniał, ale nim zdołał się odezwać, spojrzął w oczy Antonowa i zamknął z trzaskiem usta.

– Nie będę się powtarzał, więc słuchajcie uważnie – podjął Antonow, gdy upewnił się, że tamten będzie milczał. – Gdybyśmy rzeczywiście byli bezbożnikami, czy jak nas tam nazywacie, wy już byście nie żyli, a wasza planeta byłaby radioaktywną pustynią świecąca w nocy. Nie macie broni, która mogłaby uniemożliwić nam zniszczenie waszej rasy. Nie zrobiliśmy tego, bo nie chcieliśmy. To, czy nadal nie zechcemy, zależy tylko od was. Musicie przekonać nas, że możemy pozwolić wam istnieć, nie narażając siebie i swoich sojuszników na kolejną wojnę. A jedynym sposobem, byście to udowodnili, jest przyjęcie warunków, które za chwilę ogłoszę.

Dwie pary oczu ponownie zwały się w milczącym pojedynku i Antonow z satysfakcją dostrzegł w oczach Proroka zdesperowanie. Lantu i Winnie mieli rację – był przerażony tym, co miał usłyszeć, ale był też świadom, że nie ma wyboru.

Antonow odczekał, aż Prorok opuści wzrok, i oznajmił chłodno:

– Po pierwsze: planeta Thebes zostanie całkowicie rozbrojona. Wszystkie tak zwane twierdze i inne umocnienia stałe zostaną zniszczone, podobnie jak stanowiska ciężkiej broni o zasięgu strategicznym. A całe uzbrojenie, czy to artyleryjskie, czy raketowe, które w nich umieszczono, zostanie skasowane wraz z zapasami amunicji. Władze planetarne nie będą posiadały żadnej, nawet wewnątrzsystemowej marynarki wojennej i ani jeden okręt, nawet najmniejszy nie będzie latał pod flagą Thebes.

Począł na pierwsze reakcje delegatów, chcąc mieć pewność, że treść dotarła do nich, a potem podjął:

– Po drugie: wszelkie fortyfikacje systemowe i orbitalne obsadzone będą przez załogi Marynarki Federacji, a zbudowane na koszt Thebes. Ich liczba i rodzaj zostaną ustalone przez

Marynarkę Federacji i obejmować będą obszar dziesięciu minut świetlnych od warpa oraz orbitę parkingową planety.

Tym razem przerwał na krócej, bo kwestia była bardziej techniczna.

– Po trzecie: własnością Federacji zostają umocnienia na wyspie Arawk, jak i cała wyspa, ponieważ tu będzie stacjonował garnizon liczący nie mniej niż dywizję Marines ze wszystkimi niezbędnymi jednostkami wsparcia zarówno powietrznego, jak i pancernego. Po zakończeniu usuwania zniszczeń i niezbędnych modernizacjach przeprowadzonych na koszt Thebes zostanie na wyspie wybudowany port kosmiczny także pozostający pod całkowitą kontrolą Federacji. I także na koszt Thebes.

Na twarzach delegacji thebańskiej pojawiło się przerażenie – niewierni będą profanować świeże powietrze wyspy, na której wylądował Wysłannik. Antonow poczekał, aż przerażenie zacznie ustępować oburzeniu. Tak jak przewidział Lantu, zbierali się na odwagę, by odrzucić warunki, spodziewając się, że następne będą gorsze. Nim zdążyli się zebrać, stwierdził:

– Po czwarte: nie będzie innych garnizonów okupacyjnych na planecie, natomiast nasi ludzie będą mieli prawo wstępu wszędzie i o każdej porze, jeśli będzie to związane z kontrolowaniem postępu rozbrojenia i przestrzegania innych postanowień traktatu pokojowego. Thebańscy przedstawiciele mogą towarzyszyć takim inspekcjom, ale nie mają prawa im przeszkadzać, a próba odmowy wpuszczenia zakończy się użyciem siły.

Prorok wytrzeszczył oczy, a pozostali zapomnieli, że chcieli protestować. Antonow zaś szedł za ciosem:

– Po piąte: każdy Thebańczyk, który zechce wyemigrować poza planetę, jeśli nie będzie poszukiwanym przestępcą, będzie miał do tego prawo. Jeśli władze Thebes zdecydują się nie wesprzeć finansowo jego decyzji, zrobi to Federacja, rozliczając się później z rządem planetarnym.

To stwierdzenie wywołało pobłażliwe uśmiešky i żadnego komentarza. Najwyraźniej purpuraci uważali, że takich chętnych nie będzie. Antonow zignorował ich reakcję i kontynuował:

– Po szóste: Federacja będzie miała prawo przedstawienia prawdziwej wersji historii Ziemi i Federacji mieszkańcom planety Thebes w formie od ustnej do elektronicznej. Prawo to nie będzie ograniczane w jakikolwiek sposób. Zdajemy sobie sprawę, że nie wierzycie w prawdziwość własnych komputerowych banków pamięci. My wiemy, że są one prawdziwe, ponieważ nie zmieniliśmy ani nie dodaliśmy do nich niczego. Federacja ogłosi zatem, że to, co zawierają, jest częścią historii Thebes, ale nie Federacji, i przedstawi właściwy przebieg wydarzeń. Będzie to dotyczyło także całej tej wojny. Natomiast nie będzie ingerowała w poprzedzającą ją historię tego systemu.

Prorok nawet nie usiłował ukryć zaskoczenia, większego niż w jakimkolwiek innym punkcie monologu Antonowa. Nie potrafił dociec, jaka przewrotność kryła się w tym oświadczeniu, no bo przecież słudzy Szatana-Chana nie mogli zrezygnować z takiej okazji do

ataku na podstawy wiary. Musiała to być perfidia wyższej klasy, niż był w stanie odkryć na poczekaniu.

Na widok jego miny przez twarz Antonowa przewinął się zimny uśmiezek satysfakcji, ale głos pozostał tak samo spokojny, chłodny i beznamiętny jak dotąd.

– Po siódme: rząd thebański będzie miał wolną rękę w kwestii polityki imigracyjnej na całej planecie z wyłączeniem enklawy Arawk, gdzie nie będzie miał nic do powiedzenia w żadnej kwestii.

Wywołało to kolejne zdziwienie u członków thebańskiej delegacji, które Antonow zignorował całkowicie.

– Po ósme: Federacja uznająca zasadę wolności przekonań i wyznania nie będzie zwalczała wiary Świętej Ziemi poprzez jej delegalizację ani nie będzie uniemożliwiała thebańskim emisariuszom prób głoszenia jej w pozostałej części znanej galaktyki. Nie będzie zobowiązana zapewniać im bezpieczeństwa, jednakże w przypadku śmierci któregoś z nich Federacja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia śledztwa, a wszystkie instytucje i obywatele planety będą zobowiązani do współpracy.

To wprawiło purpuratów w szok. Gdyby nie byli tak doświadczonymi intrygantami, zamarliby z opuszczonymi szczękami i wybałuszonymi oczyma.

– Po dziewiąte: jeśli obywatele planety będą sobie tego życzyć, zostanie utworzona thebańska flota handlowa. Opuszczając system, wszystkie jej jednostki będą poddawane ścisłej kontroli przez inspektorów Federacji, a żadna nie będzie mogła być uzbrojona. Inspekcje ograniczać się będą do sprawdzania, czy ta zasada jest przestrzegana. Podobnie wszystkie przylatujące do systemu statki będą kontrolowane pod tym względem. Sprawdzone zostaną też ich ładunki, czy nie zawierają broni lub jej komponentów. Poza tym handel thebański nie będzie ograniczany w żaden sposób, a rząd planetarny, jak i pojedyncze firmy thebańskie będą mogły handlować z Federacją, jeśli będą miały ochotę.

To nie wywołało żadnej reakcji, zgodnie zresztą z oczekiwaniem Antonowa.

– Po dziesiąte: ponieważ planeta nie będzie posiadała żadnych rodzajów sił zbrojnych, Federacja zobowiązuje się gwarantować bezpieczeństwo systemu Thebes i chronić go przed wszelkimi zewnętrznymi zagrożeniami.

To także nie wywołało reakcji Theban, więc Antonow ciągnął dalej wyliczankę:

– Po jedenaste: rząd i mieszkańcy planety Thebes nie będą zmuszeni płacić odszkodowań czy reparacji wojennych poza kosztami zniszczenia fortyfikacji i broni oraz budowy nowych na terenie planety i systemu Thebes. Jednakże władze Thebes formalnie i jednoznacznie ogłaszają, że atak na Dziesiątą Eskadrę Niszczycieli Floty Chanatu został przeprowadzony przez jednostki thebańskie i nie był w żaden sposób sprowokowany. Oraz że był atakiem zdradzieckim przeprowadzonym pod pozorem negocjacji. Rząd thebański w swoim oświadczeniu ogłosi także, że rozkaz wydał ówczesny Prorok.

Antonow poruszył się pierwszy raz od chwili, w której rozpoczął wyliczanie warunków –

pochylił się i oznajmił znacznie dobitniej niż dotąd:

– Po dwunaste: wszyscy Thebanie odpowiedzialni za przestępstwa, zbrodnie i występki na podbitych planetach i w stosunku do wziętych do niewoli w bitwach kosmicznych jeńców staną przed sądem Federacji. Niezależnie od płci, wieku, stanu zdrowia czy piastowanej funkcji. Nie obchodzi mnie, z jakich powodów zaczęliście tę wojnę, ale nie będzie żadnych wątpliwości ani teraz, ani w przyszłości, kto i w jakich okolicznościach ją wszczął. Nie będzie też żadnych nie ukaranych zbrodni wojennych. Federacja dokona wymiany jeńców tak szybko, jak to będzie możliwe, ale wszyscy podejrzani o wymienione zbrodnie czy przestępstwa pozostaną do wyjaśnienia pod jurysdykcją Federacji, a jeśli zostaną o nie oskarżeni, procesy będą przebiegały zgodnie z prawem planet, na terenie których lub wobec obywateli których zostały popełnione. Nasze prawo będzie jedynym, według którego będą sądzeni winni przestępstw przeciwko naszym obywatelom!

Po czym odczekał, aż Prorok opuści wzrok, a potem dodał:

– Warunki, które właśnie usłyszeliście, nie podlegają negocjacom. Macie standardowy tydzień na podjęcie decyzji. Możecie je przyjąć lub odrzucić. Federacja innych nie postawi. Jeśli nie przystaniecie na nie, rozpoczniemy działania wojenne takimi siłami i środkami, jakie uznaję za stosowne.

Wstał, a w ślad zanim zrobili to członkowie jego sztabu.

– Spotkanie zostało zakończone – dodał Antonow lodowato.

Rozdział XXXII

KHIMHOK ZA'FANAK

Tym razem Francis Mulrooney nie był zaskoczony, gdy herold wezyra zaprowadził go do pilnie strzeżonej komnaty. Co nie zmieniało faktu, że był spięty, bo okazja była niecodzienna. Chan zdawał się siedzieć na tronie w tej samej pozycji, w której żegnał go trzydzieści dwa standardowe miesiące temu. A jego oczy obserwowały go z równą uwagą co wówczas.

Mulrooney podszedł do podwyższenia, skłonił się i wyprostował. Liharnow'hiirtalkin uniósł dłoń, w której trzymał spisany na pergaminie dokument podpisany przez Proroka Świętej Ziemi i opieczętowany wielką pieczęcią Kościoła Świętej Ziemi.

– Otrzymałem twoją wiadomość i dokument, ambasadorze – odezwał się *Khan'a'khanaaeeee*. – Wasz admirał Antonow w sposób godny uznania rozumie *Zheerlikou'valkhannaieeee* i wymogi naszego kodeksu honorowego. Może dzięki pewnej, nie wątpię że niewielkiej, pomocy ze strony Kthaaryaantaahnaavy.

Przy ostatnim zdaniu zastrzygł uszami, co ambasador przyjął z ulgą.

Jednak w następnej chwili uszy chana stanęły na baczność, co znaczyło, że mówi jak najpoważniej.

– Ani my, ani Federacja nie zinterpretowaliśmy właściwie wydarzeń w systemie Lorelei, ambasadorze. Gdyby tak się stało, uniknęlibyśmy wielu ofiar i cierpień ludzi, ale Federacja dotrzymała słowa i wywiązała się ze zobowiązań, nawet gdy prawda stała się wiadoma. Ten dokument zostanie umieszczony wśród oficjalnych papierów wagi państwowej, by po wieczne czasy stanowił dowód i przykład dla wszystkich, jak powinien postępować *khimhok*. Otrzymaliśmy *shirnowkashaik* od tych, którzy zdradziecko wymordowali naszych wojowników, i w imieniu *Zheerlikou'valkhannaieeee* ogłaszam oficjalne zrzeczenie się jakichkolwiek odszkodowań czy roszczeń. To jest Khiinarma: jestem kontent i deklaruje tak przed Hirnov'kharnak, jak i przed przodkami klanu, że Federacja jest *khimhok za'Fanak*.

Mimo wielu lat doświadczeń w dyplomacji Mulrooney westchnął głęboko, nawet nie próbując ukryć ulgi.

– W imieniu swego rządu i obywateli dziękuję, *hia'khan* – powiedział cicho.

– To miłe, ale zupełnie niepotrzebne – odparł miękko chan. – Sami nie moglibyśmy

postąpić bardziej zgodnie z wymogami honoru. Dzięki temu zresztą wśród moich kłów nie będzie już mowy o *chofaki*, jeśli chodzi o ludzi. Nie jesteście *Zheerlikou'valkhannaieee*, ale nauczyliśmy się szanować odwagę waszych wojowników w czasie wspólnej walki z Rigelianami, teraz zaś udowodniliście, że macie honor, więc inne różnice między nami przestały mieć znaczenie. I to właśnie jest dla nas najważniejsze.

Mulrooney ponownie skłonił się, przykładając zaciśniętą pięść do piersi.

A chan niespodziewanie wstał i zstąpił z podwyższenia.

A potem zrobił coś niebywałego – wyciągnął rękę i dotknął ambasadora.

– Czas przedstawić ten *shirnowkashaik* moim kłom – powiedział, opierając się na ramieniu Mulrooneya. – Chciałbym, żebyś był przy tym obecny.

I uśmiechnął się, nie pokazując zębów, na widok nadzwyczajnej ostrożności, jaką ambasador zaczął przejawiać w ruchach. Służył za ruchomą podpórkę z taką uwagą i troską, jakby była to najważniejsza czynność w galaktyce.

– Dziś, Fraaanciis'muuulrooooooneee, będziesz moim *hirkinzi Zheerlikou'valkhannaieee*, a nie ambasadorem Federacji Ziemskiej. Wojownicy, którzy dla honoru przelewali krew, nie potrzebują ambasadora.

* * *

Kthaara pożegnał się już ze wszystkimi poza Antonowem i teraz obaj znajdowali się w niewielkiej poczekalni orbitalnego portu numer 19 krążącego wokół Ziemi. Poza nimi nie było tu nikogo, toteż mogli w spokoju przyglądać się błękitno-białej planecie, którą opuścili ledwie godzinę wcześniej.

Kthaara towarzyszył Antonowowi w podróży z systemu Thebes na Ziemię, ponieważ chciał zobaczyć planetę, która stała się także jego domem. A ponieważ dopiął swego, potem ze stoickim spokojem musiał przetrwać serię ceremonii, w trakcie których ludzkość obławiała go odznaczeniami i awansowała do stopnia kapitana. Teraz zaś czekał na liniowiec pasażerski, który zawiezie go do Chanatu. I choć powracał do życia, do którego przywykł i które było dlań normalne, wiedział, że do niczego nie będzie już podchodził w ten sam sposób. Ponieważ milczenie zaczęło się zbyt przedłużać, spytał:

– I co? Nowy marszałek zapoznał się już ze swymi obowiązkami?

Antonow prychnął, aż echo poszło.

– Skończyły im się stopnie admirałskie, to wymyślili nowy i zdecydowali, że potrzebują jednak głównodowodzącego sił zbrojnych o określonej władzy... bo już nie będą mieli Howarda, żeby ich niańczył i sprzątał burdel, do którego doprowadzą! Naturalnie żaden polityk nie wierzy, żeby tak naprawdę kiedykolwiek ktoś na tym stanowisku był potrzebny, bo dla takich durniów każda wojna jest ostatnia, ale na wszelki wypadek stworzyli ten precedens... Cóż, może im się wydawać, że mnie wsadzili do pozłacanego więzienia, ale dopóki nie posłucham rady Pawła Siergiejewicza i nie przejdę na emeryturę, którą spędzę na

Nowej Rodinie, nie zapomną, że istnieję i że muszą liczyć się z moim zdaniem. Dopilnuję, by flota była gotowa, gdy będzie kolejny raz potrzebna. Bo będzie, choć nie wiem kiedy. Widzisz, Kthaara, tyle moglibyśmy się od was nauczyć... choćby tego, by widzieć wszechświat takim, jaki jest, a nie takim, jakim chcielibyśmy go widzieć...

– My też moglibyśmy się wiele od was nauczyć – odparł cicho Kthaara. – A nim odleczisz na Nową Rodinę, gdzie będziesz zresztą strasznie sfrustrowany, bo w nowej kolonii nie będzie dość polityków, na których mógłbyś się wściekać, mam zamiar zmusić cię, byś dotrzymał słowa i odwiedził *Valkha'zeeranda*. I spotkał się z pozostałymi członkami swego klanu. A tak w ogóle to masz rację: w przyszłości naszym rasom na pewno zagrażą niebezpieczeństwa, których nie sposób dziś przewidzieć. Ale cokolwiek by się stało, Federacja będzie miała zawsze przyjaciół w radzie *Khajia'aKhanaaeae*. Klan Zarthan jest związany z ludźmi więzami krwi, a takie są nierozzerwalne. Mój statek wkrótce odlatuje, więc pożegnajmy się teraz... Wania.

I błysnął zębami w szerokim uśmiechu.

Nigdy nie słyszał, by ktoś zwracał się tak do Antonowa, a dyskretnie podpytany o to Tsuczewski zadławił się wódką na samą myśl. Kthaara postanowił jednak spróbować i ćwiczył, póki nie udało mu się dobrze wymówić tego zdrobnienia. Teraz z ciekawością czekał na reakcję przygotowany na kosmiczną wręcz awanturę. To, co zobaczył, zaskoczyło go kompletnie, bo nigdy nie widział podobnego wyrazu na twarzy przyjaciela. Dostrzegł na niej nawet kroplę wilgoci zwaną łzą, którą ludzie z rozmaitych, często sprzecznych ze sobą powodów wydzielali z oka.

– Wiesz... – powiedział po długiej chwili Antonow. – Nikt tak do mnie nie mówił, odkąd Lidoczka...

I wzruszenie ścisnęło go za gardło, blokując słowa.

– Nigdy nie mówiłeś o żonie – odezwał się po kilku sekundach Kthaara. – Dlaczego?

Antonow chciał mu wyjaśnić, ale nie mógł. W ciągu tych lat, jakie minęły od śmierci Lidii Aleksiejewny Antonowej wraz z córką w bezsensownym wypadku drogowym, nigdy o niej nie mówił. Zamknął ten rozdział, stając się oficerem bez prywatnego życia i żywiołem, który w Marynarce Federacji zwano Iwanem Groźnym. Były jednakże sprawy powodujące taki ból, że nawet Iwan Groźny nie chciał go doświadczać.

Teraz uśmiechnął się szeroko, jednym z uśmiechów, które dane było widzieć tylko tym, którzy go naprawdę dobrze znali, i powiedział:

– Nieważne. Żegnaj, Kthaara.

– Po czym złapał go w uścisk, od którego słabiej zbudowanej istocie zatrzeszczałyby żebra.

– Proszę, proszę: jaki śliczny obrazek!

W ślad za okrzykiem do poczekalni wpadł wózek Howarda Andersona z napędem antygravitacyjnym. Prawy kącik ust siedzącego był opadnięty, a prawa ręka spoczywała

bezwładnie na kolanach, ale w błękitnych oczach czał się dawny błysk, a choć mówił nieco mniej wyraźnie, to z równą co dotąd złośliwością.

– Mój statek odlatuje, a dopiero teraz zdołałem się urwać pielęgniarce – wyjaśnił. – I w przeciwieństwie do poniekąd od wieków nic nie piłem, więc zajmij się flaszka, Iwan! I to szybko, zanim łapiduchy mnie znajdą. Dla siebie co chcesz, dla mnie jak zwykle bourbon. Dla Kthaary także, zgadza się?

– Prawdę mówiąc, admirał Anderson, sądzę, że wolę wódkę – wyprowadził go z błędu Kthaara.

Anderson uniósł brwi, ale szoku doznał dopiero, gdy ten wypił typowo rosyjskim zwyczajem, czyli całą szklanek duszkiem i bez tak zwanej zagrychy.

A potem zwrócił się do Antonowa:

– Dziękuję za tłumaczenia, mam nadzieję, że doślesz mi następne. Choć przyznaję, że ciągle mam problemy z nazwiskami, co, jak rozumiem, zdarza się też ludziom o innym niż rosyjskie pochodzeniu, rosyjska kultura całkiem mi się podoba. Uważam ją za unikatową w dorobku kulturowym waszej rasy. Zgodzi się pan ze mną, admirał Anderson?

Andersonowi mowę odebrało.

Za to Antonow uśmiechał się wręcz promiennie.

– Ty czerwona wywłoko! – wychrypiął Anderson. – Coś ty z niego zrobił?!

* * *

Patrząc na malejącą za oknem kabiny Ziemię, Anderson uśmiechnął się półgębkiem, czyli lewą stroną twarzy. Zostawiał za sobą chaos co się zowie i był z tego naprawdę zadowolony. Do końca kadencji prezydenckiej zostały miesiące, a Sakanami będzie miał wielkie szczęście, jeśli przed opuszczeniem fotela zdoła zmienić choćby wysokość mandatów drogowych. Bo żadnych poważniejszych zmian nie miał cienia szansy wprowadzić. Andersonowi było go żal, ale tylko odrobinę – Sakanami nieźle się naharował w czasie tej wojny i nawet całkiem sensownie postępował, ale gdyby wcześniej właściwie podchodził do swych obowiązków, do tej wojny w ogóle by nie doszło. A gdyby był rasowym politykiem, wiedziałby, że jedynie rezygnacja zaraz po zwycięstwie pozwoli mu zakończyć karierę z choćby resztą godności.

A co sprawiało mu jeszcze większą satysfakcję, to świadomość, że nic nie było w stanie ochronić Periclesa Waldecka przed osądem historii. Bo współcześni już go osądzili – okłamał Zgromadzenie, doprowadzając do niepotrzebnej wojny, i dał się złapać. Jego partia przetrwa ten kryzys, choć wiele lat zajmie jej odtworzenie dawnej siły i liczebności. Najprawdopodobniej zresztą zacznie od najostrzejszego ataku na niego i prezydenta, bo pierwsze objawy już się pojawiły. Gorsze było to, że Planety Korporacji rosły w siłę i będą to robiły nadal. Trochę ten proces przystopował, ale poza Christophonem, który odzyska utracony prestiż dopiero po dziesiątkach lat, było to drobnutkie opóźnienie.

Co najważniejsze jednak, Federacja i jej flota mogły być z siebie dumne. Mimo swych

licznych wad ludzkość potrafiła kolejny raz postąpić godnie i rozsądnie. Co prawda nie będzie go wśród żywych, gdy nastąpi kolejna próba, ale będą inni – Antonow, MacRory, MacDougall czy Mallory, Avram lub Hamid O'Rourke. Rasa ludzka była w dobrych rękach. A jemu pozostało do wykonania jeszcze jedno zadanie.

Odruchowo pogładził teczkę spoczywającą na kolanach a ozdobioną godłem Federation Navy – planetą, księżycem i okrętem kosmicznym. Przyrzekł Chien-lu, że odwiedzi Hangchow, i właśnie tam się udawał. By osobiście dostarczyć jego synowi wyrok sądu wojennego w sprawie dowodzenia w bitwie o Lorelei.

Jego lewa dłoń znieruchomiła na teczce, a wzrok przesunął się z Ziemi na gwiazdy.

* * *

Hannah Avram powoli wyszła na zalany słońcem balkon, odgarniając dłonią włosy z czoła. Prawą dłonią.

Mimo że już od kilku miesięcy nosiła protezę i ciągle ćwiczyła pod okiem terapeutów, wiedziała, że jeszcze dużo czasu minie, nim odważy się zrobić prawą ręką coś naprawdę delikatnego.

Oparła się o poręcz i z rozkoszą wciągnęła powietrze w płuca, co nadal sprawiało jej radość, choć nowe płuca miała już także jakiś czas.

Była wczesna jesień i duchy zabitych już jej nie męczyły. Właściwie od czasu wyborów przetrzyniętych wręcz konkursowo przez Wyszyńskiego i innych finansowanych przez Tokarowa kandydatów.

Drzwi na szpitalny balkon otworzyły się i pojawił się w nich Dick Hazelwood, także już w admirałskim mundurze. Pogładził ją po ramieniu i stanął obok, przyglądając się panoramie Gdańska.

– Przyszły oficjalne rozkazy – powiedział cicho. – Admirał Timoszenko chce mnie mieć w Stoczni.

– Doskonale. Zasłużyłeś na to.

– Może, ale... nie chcę opuszczać tego systemu.

– A to dlaczego?

– Cholera, dobrze wiesz dlaczego – burknął, ponownie skupiając uwagę na panoramie miasta.

– Wiem?

– Pewnie, że wiesz! – Odwrócił się zirytowany. – Dobra, skoro chcesz to usłyszeć, to usłyszysz! Kocham cię i nie chcę cię zostawić. Teraz zadowolona?

Spojrzała mu w oczy i powoli uśmiechnęła się.

– Wiesz, myślę, że tak – powiedziała cicho i delikatnie pogładziła jego twarz. – Ale nie będę tu siedziała wiecznie... prawdę mówiąc, już dostałam rozkaz przeniesienia na Galloway's World. Mam tam dokończyć rekonwalescencję, zanim obejmę dowództwo

Obrony Systemowej!

* * *

Lantu, już nie pierwszy admirał, a zwykły cywil, stał, obejmując żonę, i obserwował z uśmiechem Seana Davida Andrew Tullocha Angusa MacDougall-MacRory'ego sunącego w iście ekspresowym tempie na czworakach po podłodze ku matce. Jego szybkość nadal zaskakiwała Lantu – thebańskie dzieci, nim nauczą się chodzić, poruszają się wolniej. A poza tym sama długość imienia, a raczej imion, powinna go przytłaczać, a więc i spowalniać.

Obok Caitrin stał naczelnik policji New New Hebrides i uśmiechał się szeroko na widok wyczynów swojego pierworodnego. Gdy żona podniosła malca, Angus oznajmił:

– Dobrze, że się w ciebie wrodził.

– Nie byłabym taka pewna. – Caitrin rozwichrzyła złocistorudawe włosy brzdąca. – Oczywiście na pewno twoje, a poza tym nie słyszałam jeszcze, żeby wymówił słowo!

Uśmiech Angusa stał się jeszcze szerszy.

Lantu zaś roześmiał się głośno. I oboje z Hanat podeszli do gospodarzy, z tym że Hanat nader dostojnie i ostrożnie. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy jej smukła figura zmieniła się radykalnie, gdyż u Thebanek ciąża trwa znacznie krócej niż u ludzi, a regułą są trojaczki i czworaczki. Natomiast jej uśmiech był jak zwykle olśniewający.

Angus zaprosił ich szerokim gestem do zajęcia miejsc w thebańskich fotelach stojących na ocienionej werandzie i usiedli wszyscy czworo, spoglądając na morze przez pnie dębów flagowych.

– Słyszałem, że wystąpiłeś o obywatelstwo. – Angus w obecności Lantu starał się mówić poprawnym, standardowym angielskim. – Znaczy się tutejsze obywatelstwo.

– Zgadza się. – Lantu usiadł wygodniej, ale ciągle trzymał Hanat za rękę. – Synod dowiedział się o tym, co Fraymak i ja zrobiliśmy. Obaj zostaliśmy oficjalnie wyklęci i obłożeni ekskomuniką. To boli... nie dlatego, że któryś z nas wierzy jeszcze w te religijne brednie, ale dlatego, że przez to nigdy nie będziemy mogli wrócić do domu.

– Dom jest tam, gdzie cię kochają – powiedział miękko Angus. – W życiu bym nie myślał, że to się tak skończy, kiedy kombinowałem, jak cię utłuc, ale to prawda.

Caitrin przytaknęła bez słowa.

– Wiem. – Lantu spojrział na nich i uśmiechnął się trochę smutno. – I myślę, że Synod był niemile zaskoczony tym, ilu jeńców odmówiło powrotu. A będzie jeszcze bardziej zaskoczony, gdy młode pokolenia zaczną porównywać ich wersję historii Ziemi z ludzką. Może się nawet zdarzyć, że za ileś tam lat obaj z Fraymakiem doczekamy się jakichś wzmianek w podręcznikach thebańskiej historii i że nie nazwą nas w nich „zdrajcami i renegatami”.

– Ażebyś wiedział – Angus potwierdził z przekonaniem. – Każda rasa potrzebuje swojego Cranaa'tolnatha.